

**Michael DiMercurio**

# **Wektor zagrożenia**

**Przełożył Krzysztof Bednarek**

**Data wydania oryginalnego: 2000**

**Data wydania polskiego: 2000**

**TMN**

*Kobiecie, którą uwielbiam ponad życie,  
Patti DiMercurio,  
mojej żonie, miłości, mojemu światu.  
Kocham Cię i zawsze będę Cię kochał.*

*...Należy tu wspomnieć o relacji pomiędzy dobrocią a stresem. Osoba, która w sprzyjających warunkach zachowuje się szlachetnie, może postępować całkiem inaczej w sytuacji trudnej i stresującej. Stres wystawia dobroć człowieka na próbę. Naprawdę dobrzy są ci, którzy pod jego działaniem nie tracą nic ze swojej rzetelności, dojrzałości i wrażliwości. Szlachetność można by zdefiniować jako zdolność do zachowania pozytywnych cech osobowości na przekór degradacji otoczenia; umiejętność ocalenia własnej wrażliwości w obliczu bólu i cierpienia i pozostania nie zbrukanym. Jak napisałem gdzie indziej: „Jedyną miarą — i być może najlepszą miarą — wielkości człowieka jest jego zdolność do cierpienia”.*

dr med. Scott Peck  
People of the Lie, 1983

*... Gdy zaakceptuje się ideę zniszczenia jako problem, staje się ono tylko problemem. Jednak wiąże się z nim tyle złego; choćbyś Bóg wie jak łatwo je przyjmował. Niezbędne są nieustanne próby stworzenia odpowiednich warunków dla dokonywania zabójstw, towarzyszących zniszczeniom. Czy wielkie słowa są w stanie usprawiedliwić? Czy sprawiają, że zabijanie staje się choć trochę łatwiejsze do zniesienia? Prawdę mówiąc, przyjmowałeś to wszystko z przesadną gotowością — powtarzał sobie. Jaki będziesz — albo raczej: do czego się będziesz nadawał — kiedy porzucisz już służbę Republice? To dla mnie wielka niewiadoma — pomyślał. Sądzę jednak, że pozbędziesz się tego wszystkiego, pisząc o tym — powiedział sobie. — Gdy już wszystko spiszesz, odnajdziesz spokój. To będzie dobra książka, jeśli zdołasz ją napisać. O wiele lepsza niż inne.*

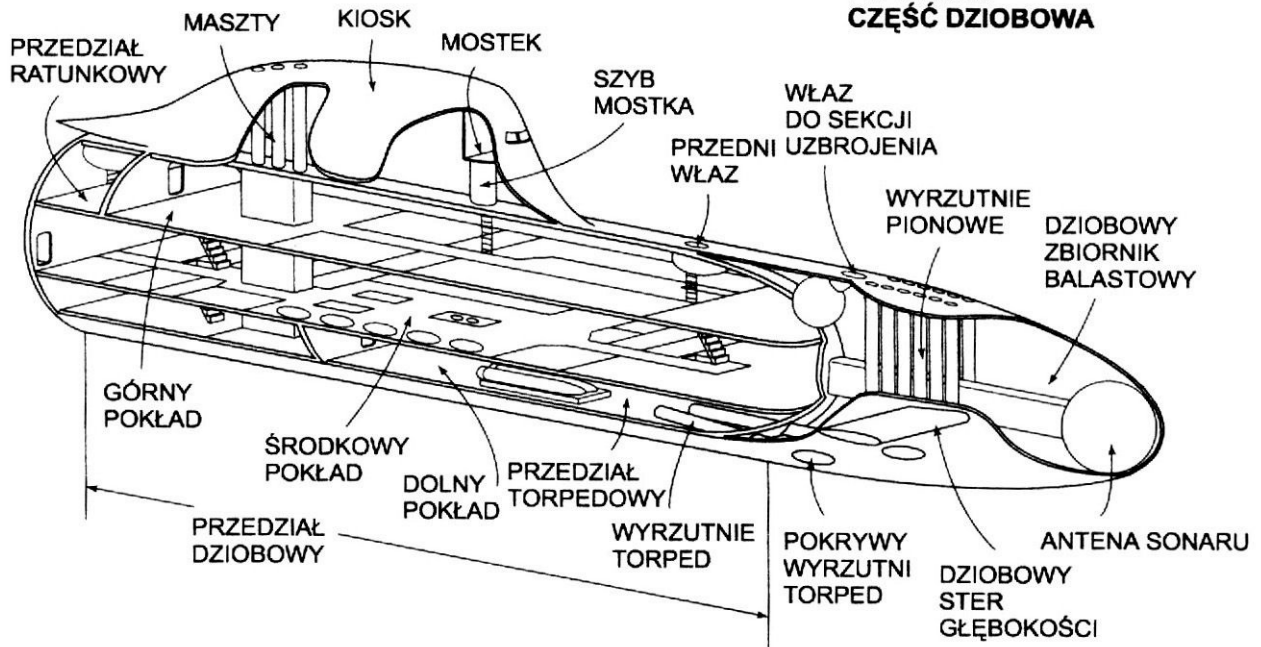
Ernest Hemingway  
Komu bije dzwon, 1940

*Ty i ja posiadamy pewną wiedzę, Mikey, wynikającą z tego, że obaj byliśmy oficerami okrętów podwodnych. Zanim nie zobaczysz na celowniku peryskopu przepływającego niedaleko okrętu, mając świadomość, że możesz zatopić go jednym strzałem i nikt nie dowie się, że to ty — nie wiesz, co znaczy być podwodniakiem. Ludzie Warner nie wiedzą tego i nie chcą wiedzieć.*

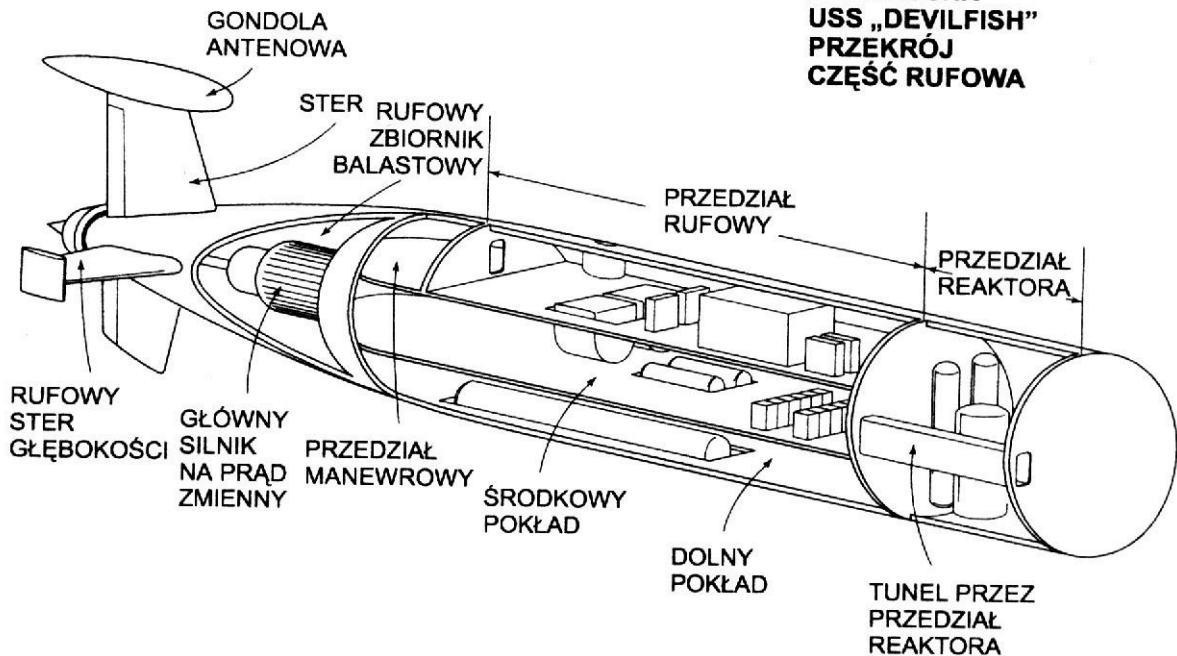
admirał Richard Donchez, dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, podczas konfliktu na Morzu Wschodniochińskim

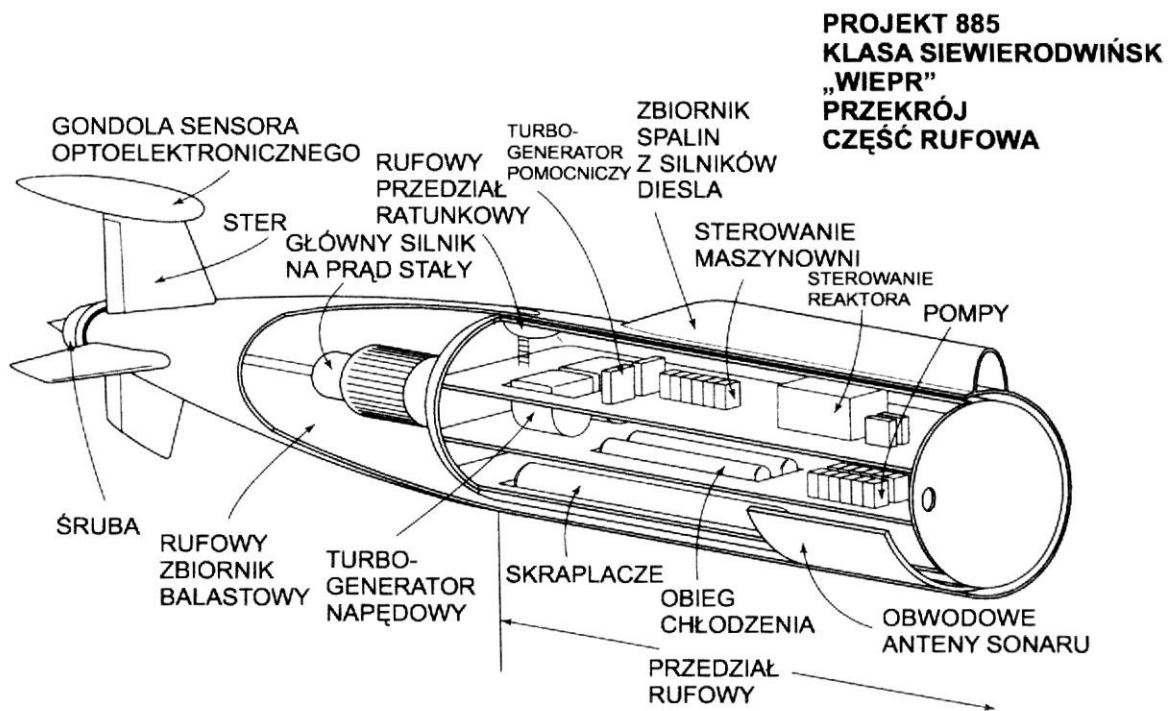
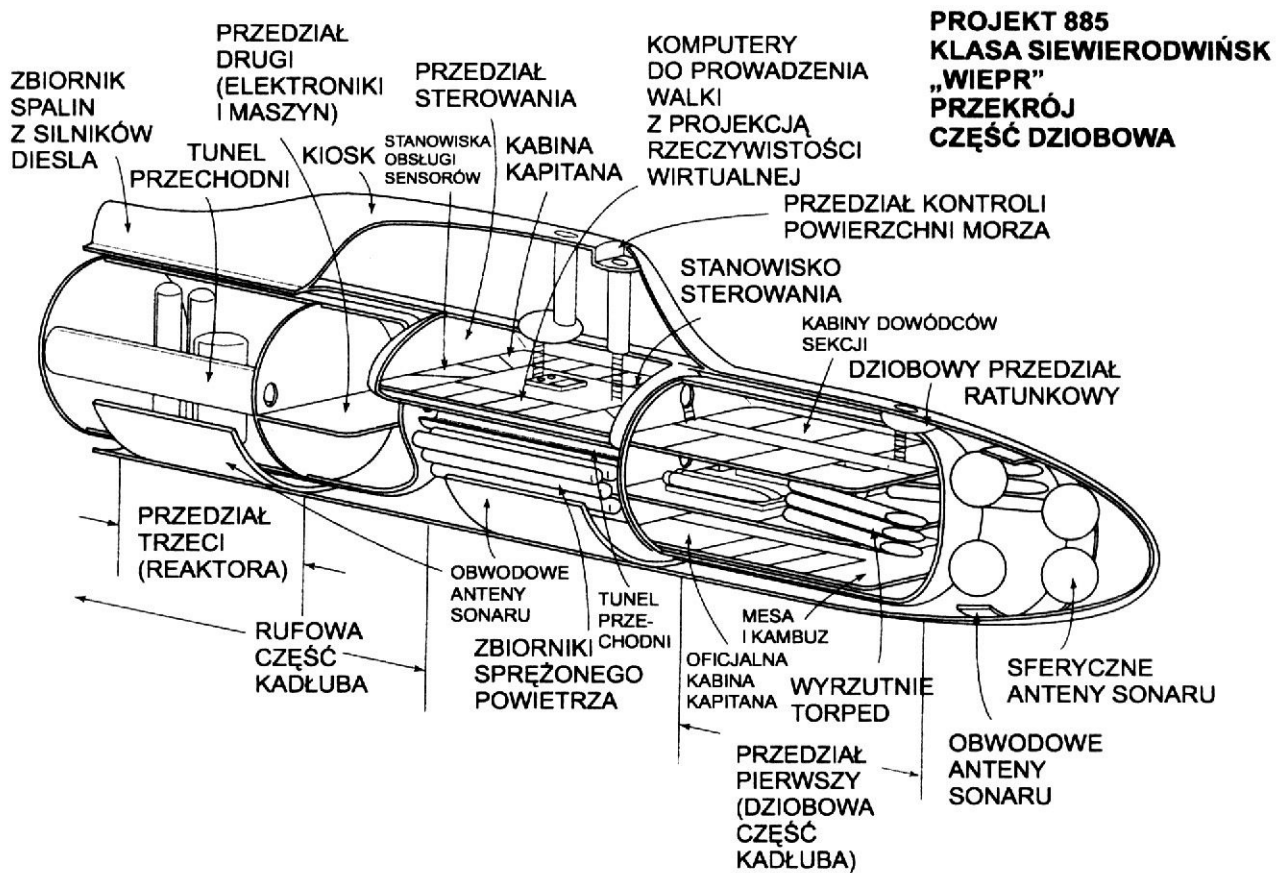
**Wektor zagrożenia** — termin używany w amerykańskiej Marynarce Wojennej, oznaczający kierunek, z którego zbliża się najpoważniejsze i najbardziej bezpośrednie zagrożenie ze strony nieprzyjaciela. Definicja ta zakłada, że dowódca okrętu wie, kim jest nieprzyjaciel...

**KLASA SSNX  
USS „DEVILFISH”  
PRZEKRÓJ  
CZĘŚĆ DZIOBOWA**



**KLASA SSNX  
USS „DEVILFISH”  
PRZEKRÓJ  
CZĘŚĆ RUFOWA**





# **Część pierwsza**

## **Cele**

# 1

Kłótnia trwała przez cały dzień i wieczór.

Zaczęli, ledwie słońce wyrzało sponad zbocza góry. Wypiła pierwszy łyk kawy z parującej filiżanki, którą jej podał. Siedziała wygodnie w jednym ze starych, skórzanych foteli, stojących przed kominkiem. Kelly rozpalił ogień, aby ogrzać chatę. Kiedy wrócił z długiej morskiej podróży, objął w posiadanie należący do jego zmarłego dziadka stary, górski domek w stanie Wyoming. Rodzina uważała domek za stracony, jednak wynik procesu sądowego dotyczącego majątku dziadka Earla okazał się korzystny. Chata leżała w tak odludnej okolicy, że prąd raczej bywał tam, niż był, a wodę pompowało się ze studni, stojącej na środku zarośniętego trawą dawnego placu. Najbliższy telefon znajdował się o godzinę marszu lub trwającej niemal równie długo jazdy samochodem po zniszczonej błotnistej drodze pełnej wielkich dziur i wystających korzeni. Dolina była właściwie kanionem, w którym nie działały telefony komórkowe, nie pisał żaden pager i nie można było połączyć się z Internetem z laptopa. I o to chodziło — uciec od zgłębienia i zamieszania. Niezmałony spokój okolicy dawał nadzieję na uporządkowanie spraw z Dianą. W blasku ognia jej policzki wydawały się przesadnie różowe. Piękne, jasne włosy, trochę zmierzwiłone, opadały na błękitne oczy, a pełne usta uśmiechały się do niego znad filiżanki. Poprawił płonące drwa, usadowił się w fotelu naprzeciwko i utkwiał wzrok w jej twarzy.

— Mówiłaś, że masz mi do powiedzenia coś ważnego — zaczął.

— Kelly, chcę, żebyś z tym skończył — oznajmiła. Już się nie uśmiechała. — Ten romans trwa wystarczająco długo.

Omal nie zakrztusił się kawą. Rozłożył ręce i jękając się, zapewnił, że jest całkowicie niewinny.

— Nie mam na myśli żadnej kobiety — wyjaśniła, zmarszczywszy brwi. — Chodzi mi o okręt.

— O okręt...! — powtórzył martwym głosem.

— Tak, o okręt. Chcę, żebyś był ze mną, w domu. Oczekujemy dziecka, więc musisz zmienić swój sposób życia. Skończyła się era chłopięcych zabaw.



Ona nigdy tego nie zrozumie. Przecież służba na morzu to nie tylko praca. To coś nierozdzielnie związanego z jego psychiką. Coś, co go definiuje. Jest jego częścią jak głos czy rysy twarzy.

Kłótnia, na początku całkiem łagodna, w miarę upływu dnia stawała się coraz bardziej zaciekle. Ona oskarżała go, że nie troszczy się o rodzinę. On wykrzykiwał, że zupełnie nie obchodzi ją jego punkt widzenia. Jego punkt widzenia powinien uwzględniać dobro dziecka, wołała. A czy ona uważa, że dziecko przestanie oddychać, kiedy jego ojciec wypłynie w morze? I że przemawia przez nią brak poczucia bezpieczeństwa, a poza tym jest samolubna i dziecinna. To właśnie on jest dziecinny, kiedy upiera się przy służbie na morzu, podczas gdy z łatwością mógłby zarobić fortunę, pracując u jej ojca. Wtedy zaczął wrzeszczeć. A więc o to chodziło! Nie zarabia wystarczająco dużo. A może to opinia jej ojca — wielkiego przemysłowca, który wprowadził na rynek projekcje trójwymiarowe. Tylko po diabła wyrzuca mu to teraz, kiedy jest w ciąży? Przecież wiedziała, za kogo wychodzi za mąż.

Żeby nieco ochłonąć, wyszedł na długi spacer. Przeprowadził się na drugą stronę rzeki stuletnim mostem kolejowym, z którego dawno zdjęto szyny, przeznaczając je na złom. Wrócił, gdy słońce zaczynało zniżać się ku zachodnim stokom wąwozu. Został żoną milczącą i zdenerwowaną. Próbował ją przeproszać, ale popełnił błąd, powtarzając, że praca na morzu jest częścią jego tożsamości i jego zawodem.

Diana przerwała mu. Kiedy byli świeżo po ślubie — przypomniawszy — planował porzucić ten zawód i poszukać innego zajęcia.

— A skąd miałem, do licha, wiedzieć, że będę w tym taki dobry?! — wrzasnął. Nagle przyszło mu do głowy trafne porównanie. Popatrzył na jej zaokrąglony brzuch i wypalił:

— To tak, jakbym powiedział ci, że nie życzę sobie, żebyś była matką! Że chcę, abyś była taka jak przedtem!

Na twarzy Diany odmalował się szok; zupełnie, jakby została spoliczkowana. Jej rysy ściągnęły się, spod przymkniętych powiek zaczęły płynąć łzy. Pobiegła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Odejście żony wydało się Kelly'emu tak nagłe i ostateczne, że aż niemożliwe do zaakceptowania. Przed chwilą po prostu nie zgadzali się w pewnej sprawie, a teraz ich związek wyglądał na skończony. Było tak, jak gdyby piętrząc kolejne argumenty, wspinał się krok po kroku po wysokim zboczach, aż w końcu trafił na przepaść i poleciał głową w dół. A teraz zastanawiał się, czy żałuje tego ostatniego kroku, czy też może całej mozolnej wspinaczki.

Pobiegł za Dianą i zaczął bić pięściami w drzwi, wołać ją po imieniu, błagać, żeby wyszła, zapomniawszy o tym, co powiedział na końcu. Miała na myśli tylko tyle, że morze jest dla niego równie ważne, jak dziecko dla niej. A nie, że nie chce, aby została matką.

— Jeśli to twoje pierdolone morze jest aż tak ważne, to wracaj na nie i daj mi spokój!  
— odpowiedziała mu w końcu łamiącym się głosem. I to była jej jedyna reakcja. Kelly wiedział, że dalsze błagania nie mają sensu. Poszedł więc do drugiej sypialni, dobudowanej kiedyś do chaty za kuchnią. Zapadała ciemność.

W świetle księżycy studiował skomplikowane wzory słoików na drewnianym suficie. Jego małżeństwo leżało w gruzach. Zbyt mocno rozbujana łódź za którymś kolejnym pchnięciem nie wraca do poprzedniego położenia, nabiera wody i tonie. Ich związek miał już za sobą wiele niebezpiecznych przechyłów. To, co stało się dzisiaj, mogło oznaczać więcej niż kolejną kłótnię. Było całkiem prawdopodobne, że Diana wykonała ostateczny ruch, doprowadzając ich małżeństwo do nieodwracalnej katastrofy.

Aby z nią pozostać, Kelly musiałby rzeczywiście zrezygnować ze służby na morzu. A nie był pewien, czy jest w stanie to zrobić. Wpatrywał się w sufit i rozmyślał o tym, czy potrafi żyć bez okrętu. Perspektywa równie ponura, jak życie bez Diany. Wiedział, że musi dokonać wyboru. Czy zdoła? Zaczął zapadać w nerwowy sen i budzić się, zlany potem. Dręczyły go koszmarne zwidy. W końcu odgarnął kołdrę, bliski podjęcia decyzji. Jestem przede wszystkim mężem i ojcem! — powiedział sobie. Usiadł na łóżku i drapiąc się w szyję, dumął, czy powiedzieć o tym Dianie teraz, czy lepiej poczekać do rana. Zobaczył fosforyzującą tarczę swojego odpornego na wodę i wysokie ciśnienie zegarka. Było kilka minut po drugiej. Ziewnął. I zamarł.

Dźwięk... dźwięk, jaki w tej okolicy nie miał prawa się pojawić — odległy odgłos wirnika śmigłowca — od strony szerszej części doliny. Urwał się natychmiast po tym, jak go usłyszał. Wiedział, że to tylko sen. Spojrzał dla pewności na zegarek i stwierdził, że jest wpół do trzeciej. Najwyraźniej zdrzemnął się, siedząc na łóżku. Zamrugał oczami, żeby oprzytomnieć. Musiał powiedzieć Dianie o swojej decyzji.

Podłoga zaskrzypiała pod jego stopami. Coś zasłoniło na moment księżyc. Kelly przystanął i zaczął wpatrywać się w ciemny korytarz. Wzruszył ramionami. Poszedł dalej, w stronę głównej sypialni. Był prawie przed drzwiami, kiedy coś spadło mu na twarz; pająk czy jakiś robak. Sięgnął ręką, aby to strącić, ale poczuł coś mokrego. Jednocześnie usłyszał szum; w powietrzu wokół jego twarzy pojawiła się mgiełka.

Środek w aerozolu! — pomyślał, tylko częściowo zdając sobie z tego sprawę. Ze zdumieniem stwierdził, że traci władzę w mięśniach i osuwa się na podłogę, mimo że jego umysł pozostaje całkowicie jasny. Czy to zawał? Powinien jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Opadł na deski, niemal w zwolnionym tempie, uderzając w nie głową. Widział wciąż sufit, ale nie mógł poruszyć rękami ani nogami. Potrafił tylko mrugać. Czuł nadal kończyny, lecz nie słuchały jego rozkazów. Na szczęście oddychał, a serce, ze strachu, biło mu jak oszalałe. Był sparaliżowany. Może umierał. Próbował zobaczyć coś w słabym świetle księżycy i wykonać jakiś ruch, który spowodowałby hałas. Jeśli Diana się zbudzi, pewnie zawiezie go do najbliższego lekarza w Saratodze.

Spojrzał w górę i zauważył jakąś ciemną sylwetkę. Zbliżała się. Mężczyzna w narciarskiej masce. Był potężny. Wyciągnął dłonie w rękawicach ku Kelly'emu; trzymał w nich coś. Zakleił mu usta taśmą i skrępował sparaliżowane ręce i nogi. Wreszcie uniosło Kelly'ego kilka silnych rąk. Wyszli z nim na dwór. Zobaczył, że jest ich aż czterech.

Ponieśli go powoli przez zarośnięte chwastami centrum miasteczka, mijając opuszczony ratusz zbudowany z pni drzew i studnię z ręczną pompą. Po drugiej stronie placu wolna przestrzeń kończyła się. W świetle księżyca Kelly zobaczył szeroki, terenowy samochód z pałakiem zabezpieczającym pasażerów oraz platformą jak w półciężarówce. Mężczyzna, który nachylał się nad nim jako pierwszy, dał znak ręką i nietypowy pojazd ruszył bezgłośnie. Musiał mieć chyba napęd elektryczny. Podskakiwał na nierównej drodze, wjeżdżając w gęsty las. Po mniej więcej pięciu minutach zatrzymał się. Mężczyźni wysiedli i podnieśli Kelly'ego z platformy.

Co zrobi Diana?! — pomyślał wtedy nagle. Jak wytłumaczy sobie rano jego nieobecność? Czy wpadnie na pomysł, że go porwano? Oczywiście, że nie. Uzna po prostu, że ją porzucił. Tak czy owak, nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Zobaczył przed sobą największy śmigłowiec, jaki w życiu widział. Był pomalowany na matowy, szary kolor. Na burcie znajdowała się duża biała gwiazda w kole, od którego na boki odchodziło po kilka pasków. Obok widniały litery US NAW. Podczas gdy niesiono Kelly'ego do otwartych drzwi kabiny, silniki śmigłowca zaczęły pracować, najpierw cicho, a potem coraz głośniej. Posadzono go na brezentowym siedzeniu i zapięto pięciopunktowe pasy bezpieczeństwa. Ale taśmy krępujące kończyny i zakrywające usta pozostały.

Mężczyźni ściągnęli kominiarki, starli z twarzy czarny kamuflaż, założyli lotnicze hełmy i zajęli swoje miejsca. Dowódca zasiadł w fotelu pierwszego pilota. Wirnik zaczął się obracać z przeciągłym gwizdem, a później z terkotem. Maszynę opanowała wibracja. Wystartowali. Zbocze wzgórza zostało gdzieś w dole. Dowódca zerknął na drugiego pilota, po czym odpiął pas, wstał z fotela i ruszył na tył kabiny w stronę Kelly'ego. Zdjął mu z ust taśmę, starając się robić to delikatnie.

— Sir! — zawołał, przekrzykując łoskot śmigłowca. — Panie komandorze McKee! Jestem komandor porucznik Sonny Sorenson, dowódca drugiego plutonu siódmej drużyny jednostki SEALs. Przepraszam za porwanie, którego musieliśmy dokonać, żeby pana sprowadzić. Otrzymaliśmy w tej sprawie bezpośredni rozkaz od samego admirała Phillipsa. Środek chemiczny, który zastosowaliśmy, za kilka minut przestanie działać. Zabieramy pana na lotnisko w Saratodze. Admirał podstawił tam naddźwiękowy samolot, w którym czekają jacyś dziwni faceci. Nic więcej nie wiem, sir, ale musi chodzić o coś wyjątkowo ważnego.

Komandor Marynarki Stanów Zjednoczonych Kyle Liam Ellison McKee, zwany Kellym, patrzył na nachylonego nad nim oficera słynnej jednostki specjalnej SEALs, „Foki”. W jego głowie kłębiły się myśli. Przebywał właśnie na urlopie i nikomu, nawet

najbliższej rodzinie, nie powiedział, dokąd wyjeżdża. Stwierdził, że może znów poruszać głową, choć było to dosyć bolesne, a chwilę później odzyskał władzę w rękach i nogach. Miał wrażenie, jakby wbito w nie setki igiełek. Kiedy mógł już normalnie poruszyć ręką, spojrzął na zegarek. Była trzecia w nocy. Za oknami przesuwały się wierzchołki gór — za blisko i za szybko jak na jego gust. I hałas był zbyt intensywny. Trzeba by wrzeszczeć i nasłuchiwać, co odpowiadają. McKee postanowił więc zachować spokój i poczekać, aż śmigłowiec wyląduje. Nastąpiło to po niecałych dziesięciu minutach. Kiedy osiedli na płycie lotniska w Saratodze, dowódca plutonu SEALS podał Kelly'emu używane w lotnictwie marynarki wyposażenie — kombinezon, spadochron, skarpetki, wysokie buty. Komandor dopiero teraz uświadomił sobie, że jest ubrany tylko w bokserki i koszulkę z krótkim rękawem. Następnie oficer jednostki specjalnej wziął go za ramię i zaprowadził do stojącego w cieniu hangaru niedużego, chyba prywatnego, nadźwiękowego gulfstreama.

McKee wspiął się do środka. Dwanaście foteli odrzutowca było pustych, za to w przejściu stało dwóch ponurych typów w ciemnych garniturach. Oficer SEALS zsalutował i wysiadł.

— O co chodzi?! spytał Kelly. Przez otwarte drzwiczki widać było pustą kabinę pilotów. Lampki przyrządów pokładowych świeciły się.

— Proszę usiąść, panie komandorze — odezwał się starszy z mężczyzn, wskazując fotel. — Agent specjalny Calvert, Służba Śledcza Marynarki.

McKee nadal nie rozumiał, co się dzieje. Usiadł i popatrzył na rozmówcę.

— Niech pan przeczyta i podpisze — powiedział mężczyzna, podając Kelly'emu teczkę z jakimś dokumentem zapisanym drobnym maczkiem. Komandor zmrużył oczy i zaczął czytać.

— Milion dolarów grzywny?! — wydusił. — Wyrok śmierci lub sto lat więzienia?! Co to jest...?!

— Dokument umożliwiający ujawnienie panu informacji objętych Aktem Dwunastym. A propos, termin „Akt Dwunasty” jest ściśle tajnym słowem kodowym. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, jakie są kary za ujawnienie materiałów objętych klauzulą ścisłej tajności.

— Porywacie mnie z letniego domku o trzeciej nad ranem i jeszcze mi grozicie?! Przepraszam, ale idę zatelefonować! — rzucił McKee, wstając. Dwie pary rąk złapały go jednak i posadziły z powrotem. Calvert uchylił połę marynarki, pokazując kaburę z pistoletem maszynowym.

Przez następne pół godziny agenci odczytywali Kelly'emu surowe przepisy dotyczące Aktu Dwunastego. Kazali mu wstać, unieść prawą rękę i złożyć przysięgę, że nigdy, nawet pod groźbą egzekucji, nie zdradzi informacji objętych Aktem. Podpisał papiery, oni złożyli swoje podpisy jako świadkowie, przystawiono pieczęć. W końcu mężczyźni

wyszli, a na ich miejsce pojawiły się dwie kobiety w kombinezonach podobnych do tego, jaki miał na sobie McKee. Starsza zaskłoniła go, przedstawiła się jako porucznik Davies i znikła w kabinie pilotów.

— Dajcie mi telefon — rzucił Kelly, zaglądając przez drzwi kabiny. Wiedział, że Diana będzie wściekła, kiedy obudzi się sama w chacie. Jeśli nie uda mu się jej powiadomić, dlaczego nagle zniknął, uzna, że postanowił w ten tchórzliwy sposób skończyć z ich małżeństwem.

— Nie wolno nam, panie komandorze — odpowiedziała porucznik Davies, uruchamiając kolejne urządzenia pokładowe. — Bezpośrednie rozkazy pana admirała Phillipsa. — Z lewej strony usłyszeli cichy szum, a po nim głucho stuknięcie. To zatrzasnęły się drzwi samolotu. Nastąpiła chwilowa cisza. — Proszę usiąść w fotelu i zapiąć pasy, panie komandorze. Za dwie minuty będziemy już w powietrzu, a za trzy przekroczymy prędkość dźwięku. — Uruchomiła pierwszy, a potem drugi silnik. Maszyna szybko wystartowała, wznosząc dziób stromo ku ciemnemu niebu. Kiedy wskaźnik liczby macha przekroczył prędkość dźwięku, nastąpiła zupełna cisza. Strzałka zatrzymała się na 1,80 macha. Odrzutowiec wypoziomował. McKee odpiął pas. Miał właśnie zamiar wrócić do kabiny i spytać, dokąd lecą, gdy pojawiła się porucznik Davies, trzymając jakąś czarną teczkę.

Proszę powiedziała, kładąc ją na stoliku przed komandorem. — Aby się załogować, trzeba podać hasło. Jest nim pana podoficerski numer z okresu studiów w Akademii. Tak powiedział admirał Phillips. — Zostawiła go i ruszyła w stronę toalety.

Kelly przez chwilę patrzył w zdumieniu na teczkę. Potem otworzył ją i znalazł w środku niedużego palmtopa. Był wyposażony w wyjątkowo skomplikowany system zabezpieczeń. Najpierw przeanalizował odcisk palca komandora, później siatkówkę jego oka, wreszcie zażądał podania hasła. McKee wpisał numer, który otrzymał, będąc kadetem przed szesnastu laty. Numer ten tak wrył mu się w pamięć, że sam używał go zawsze jako swojego prywatnego kodu.

Na ekranie zamiast zwykłego obrazka Windows/Linux 2017 pojawił się czarny druk na białym tle, tak wyraźny, że wyglądało to jak prawdziwa kartka papieru. Kelly przeczytał pierwszy paragraf — definicję Aktu Dwunastego. Następnie sprawdził, co jest zakodowane pod hasłem „Alpha”. Znalazł informacje na temat rozwoju wydarzeń na Ukrainie.

Jednak oprócz streszczenia najświeższej historii Ukrainy tekst zawierał również wiadomość o groźbie wybuchu wojny pomiędzy Argentyną a Urugwajem. McKee nigdy nawet o tym nie słyszał. Oba południowoamerykańskie państwa weszły w posiadanie broni jądrowej i obecnie dysponowały poważnymi jej arsenałami. W 2013 roku zwiększyły liczebność swoich armii, składających się głównie z wojsk lądowych.

Następna strona zawierała opis planów Argentyny, pozyskanych dzięki wywiadowi elektronicznemu — podsłuchowi rozmów telefonicznych i przejętej poczcie internetowej. Oto Argentyna zawarła potajemny pakt z niespokojną od lat Ukrainą, dysponującą potężną Flotą Czarnomorską. Władze Ukrainy zgodziły się wysłać flotę ku wybrzeżom Urugwaju i zaatakować od morza stolicę kraju Montevideo, podczas gdy wojska argentyńskie przekroczą granicę lądową.

McKee aż gwizdnął. Informacje te nigdy nie dotarły na łamy „New York Timesa”. Przypuszczał, że stara, poradziecka Flota Czarnomorska rdzewieje od lat przy nabrzeżach Sewastopolu. Choć jednocześnie był przekonany, że Ukraina zechce kiedyś wykorzystać jej wielką siłę rażenia.

Zauważył, że porucznik Davies siada obok, przyglądając mu się uważnie.

— Tak? — spytał.

— Może coś panu podać...? — spytała.

— Bardzo proszę o kawę — odparł Kelly. — Chciałbym także zapalić, chociaż obawiam się, że nie mają panie na pokładzie cygar...

— Admirał Phillips polecił zapewnić panu komandorowi wszystko, czego będzie pan potrzebował. — Kobieta wstała i wyciągnęła z półki ponad przejściem pudełko z kubańskimi cygarami marki Montecristo, przyrząd do obcinania końcówek i zapalniczkę. Podała to wszystko pasażerowi, po czym poszła do barku znajdującego się w tyle kabiny.

— Tak naprawdę to potrzebny mi telefon! — mruknął McKee.

— Z wyjątkiem telefonu! — dodała porucznik Davies z uśmiechem.

— Cholera! — mruknął. Obciął końcówkę cygara w kształcie torpedy i zapalił zapalniczką ozdobioną symbolem Zjednoczonego Dowództwa Sił Podwodnych USA — czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami. Po chwili dostał kawę. Podziękował gestem i przesunął tekst dalej.

Nie było żadnych mapek, schematów, zdjęć. Na następne paragrafy składała się treść przechwyconych przez amerykański wywiad emalii i zakodowanych komunikatów radiowych, poczynawszy od 2013 roku. Najstarsze miały zatem pięć lat. Dokumentowały narastającą wrogość pomiędzy Argentyną a Urugwajem. Powodem jej były spory handlowe, graniczne, a także, najwyraźniej, osobista nienawiść pomiędzy głowami obydwu państw. Poza tym, w 2014 roku Urugwaj przeprowadził podziemną próbę jądrową. Argentyna odpowiedziała na początku 2015 czterema takimi próbami. Wtedy z komunistycznych Chin przyplłynął do Argentyny statek handlowy, przywożąc dwadzieścia rakiet balistycznych, gotowych do zainstalowania w nich głowic nuklearnych. W 2016 roku armia Urugwaju liczyła zaledwie trzydzieści tysięcy żołnierzy. W 2017 natomiast wzrosła aż do siedmiuset tysięcy. Była to olbrzymia liczba — zwłaszcza że kraj ten miał tylko dwanaście milionów obywateli. Ponieważ armia nieco większej Argentyny urosła

w tym czasie do dwóch milionów żołnierzy, Urugwaj w odpowiedzi sprowadził ponad trzysta najnowszych hinduskich czołgów typu madras. Argentyna postawiła swoją skromną marynarkę wojenną w stan najwyższej gotowości, a jej tajne rozmowy z Ukrainą stały się bardziej konkretne. Argentyńskie pieniądze powędrowały na ukraińskie konta w szwajcarskich bankach. Wkrótce obsługa techniczna Floty Czarnomorskiej zmieniła się z nędznej na słabą, a następnie przyzwoitą. W ciągu dwóch lat zakochani w swoich okrętach mechanicy doprowadzili niszczyciele, fregaty, krążowniki i jedyny lotniskowiec Floty do stanu pełnej gotowości bojowej.

Kelly przeczytał długi e-mail wysłany ukraińskiemu prezydentowi Dołowcowi przez amerykańskiego sekretarza stanu, zgryźliwego Lido Gaza. Sekretarz opisywał pięcioletnią historię nieudanych amerykańskich inicjatyw dyplomatycznych zmierzających do zakończenia urugwajsko-argentyńskich waśni. Wspominał między innymi o swojej ostatniej wizycie na Ukrainie, kiedy to polecał rozmawiać z Dołowcem czy też grozić mu; zostało to jednak zignorowane.

McKee doszedł w swojej lekturze do wiadomości przechwyconych niedawno. Dowiedział się, że czternastego kwietnia bieżącego, 2018 roku trzy ukraińskie niszczyciele przepłynęły cieśniny Bosfor i Dardanele, wypływając na Morze Śródziemne jakoby na ćwiczenia. Zawinęły do francuskiego portu Toulon w ramach, jak to ogłoszono, międzynarodowej wymiany. Jednak dwudziestego kwietnia Morze Czarne opuściły kolejne trzy niszczyciele; te także zatrzymały się u wybrzeży Francji. Następnie, dwudziestego piątego kwietnia, sześć ukraińskich okrętów opuściło Toulon i przez Cieśninę Gibraltarską wpłynęło na Atlantyk. Amerykańskie satelity zwiadowcze potwierdziły, że przeprowadzają ćwiczenia około trzystu kilometrów od wybrzeży Hiszpanii.

Dwudziestego ósmego kwietnia satelity CIA wykryły ciepło z uruchamianego reaktora atomowego olbrzymiego ukraińskiego lotniskowca „Admirał Kuzniecowa”. Później, tego samego dnia, włączono reaktor szybkiego okrętu podwodnego „Tigr” klasy Siewierodwińsk. Dwudziestego dziewiątego kwietnia port w Sewastopolu opuściły cztery krążowniki. Skierowały się na zachód wraz z czterema szybkimi okrętami desantowymi, pełnymi ukraińskich żołnierzy i czołgów, oraz dwoma wojskowymi tankowcami, mogącymi zapewnić grupie bojowej paliwo na długotrwały rejs. Trzydziestego kwietnia na Morze Śródziemne wypłynęły trzy dywizjony fregat. Tego samego dnia „Tigr” opuścił Sewastopol i po przepłynięciu trzydziestu kilometrów zanurzył się, znikając z pola widzenia satelitów. Pierwszego maja za fregatami i krążownikami wyruszył lotniskowiec. Dziesiątego maja ostatnie okręty flotyli przepłynęły Cieśninę Gibraltarską. Przeprowały się pojedynczo, w odstępach, aby nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Jedenastego maja cała ukraińska grupa bojowa przeprowadzała już manewry na zamkniętym obszarze oceanu na zachód od wybrzeży Europy.

Dwunastego maja nastąpił istny zalew e-maili, rozmów telefonicznych oraz komunikatów radiowych, przesłanych pomiędzy Buenos Aires a Kijowem. Trzynastego maja potężna grupa bojowa Floty Czarnomorskiej sformowała się na Atlantyku i ruszyła na południowy zachód z maksymalną rejsową prędkością trzydziestu węzłów. Czternastego maja z bazy w Sewastopolu wystartowały trzy dywizjony naddźwiękowych, myśliwsko-bombowych Su-33. Wylądowały na pokładzie „Admirała Kuzniecowa”. Podążył za nimi dywizjon śmigłowców szturmowych. Szesnastego maja ukraińska grupa bojowa przekroczyła zwrotnik Raka, zdążając dalej, w stronę równika.

McKee zerknął na zgasłe cygaro. Kawa wystygła zupełnie. Dopił zimną resztkę i zapalił cygaro ponownie. Powrócił do lektury informacji wywiadowczych. W kolejnych komunikatach coraz częściej odnajdywał nazwę pewnego amerykańskiego okrętu podwodnego USS „Devilfish”, „Diabeł Morski”. „Devilfish” był prototypowym okrętem nowej klasy NSSN. Sam miał oznaczenie SSNX, od submersible ship nuclear experimental, eksperymentalny atomowy okręt podwodny. Klasa NSSN miała zastąpić starzejącą się już „Seawolf — „Wilk Morski” — i wprowadzić amerykańską flotę w lata dwudzieste i trzydzieste XXI stulecia. Jako prototyp „Devilfish” był jedynym okrętem w swoim rodzaju. Budowany już pierwszy prawdziwy NSSN, który miał otrzymać nazwę USS „Wirginia”, nieco się od niego różnił. Powstawał w stoczni DynaCorp New Construction Facility w Groton, w stanie Connecticut, podobnie jak trzy następne okręty tej klasy, znajdujące się we wcześniejszych stadiach konstrukcji. Do czasu zwodowania „Wirginii”, co miało nastąpić za rok, „Devilfish” był uznawany za najnowocześniejszy okręt podwodny świata. Z informacji, z jakimi zapoznał się Kelly, wynikało, że SSNX może zostać wykorzystany przeciwko ukraińskiej grupie bojowej. Najpierw zasugerował to jeden z oficerów niższego szczebla; następnie propozycja uzyskała akceptację wyższych dowódców, aż wreszcie poparł ją admirał Bruce Phillips, dowódca Zjednoczonych Sił Podwodnych USA. Następnie w komputerowym tekście pojawiły się emalie, jakie wymienił Phillips z admirałem Kane’em — zastępcą dowódcy operacji morskich do spraw okrętów podwodnych — a także z admirałem Michaeliem Pacino — dowódcą operacji morskich, czyli głównodowodzącym amerykańskiej marynarki.

Pacino wypytywał o taktykę, zdolność przetrwania okrętu, cel operacji i konkretnie o sposób, w jaki proponowano użyć „Devilfisha”. Interesowało go też, jakiej broni i przeciwko komu miałyby on użyć. Następnie Pacino przedstawił za pomocą poczty elektronicznej swoje zalecenia admirałowi Richardowi O’Shaughnessy’emu — przewodniczącemu Połączonego Komitetu Szefów Sztabów — oraz Freddy’emu Mastersowi — sekretarzowi obrony. Proponował, aby wylądować „Devilfisha” bronią do niszczenia okrętów nawodnych i podwodnych, wysłać z maksymalną prędkością na spotkanie Flocie Czarnomorskiej i zniszczyć ją. Następne e-maile napisał Masters i przesłał samej prezydent Stanów Zjednoczonych, pani Warner. W odpowiedzi w minioną sobotę zebrała się



w Camp David Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Sprawozdanie ze spotkania miało trzydzieści dwie strony i sugerowało konieczność zatopienia Floty Czarnomorskiej na środku Atlantyku, aby zapobiec wybuchowi wojny atomowej.

Piętnastego maja, czyli przed paroma dniami, nastąpiło znaczne nasilenie korespondencji. Głównodowodzący najwyższego szczebla z Pentagonu otrzymali informacje, że dowódca USS „Devilfish” poszedł na urlop i wyjechał w nieznanym kierunku; nie można go więc natychmiast wezwać. Sytuacje tego typu zdarzają się całkiem często, kiedy jakieś wiadomości są tak ściśle utajnione jak te objęte Aktem Dwunastym. Nawet admirał Phillips, udzielając kapitanowi urlopu, nie wiedział o zbliżającym się nieuchronnie konflikcie w Ameryce Południowej. Siedemnastego maja rozkazano pierwszemu oficerowi „Devilfisha” wypłynąć na Atlantyk i posuwać się z maksymalną prędkością ku równikowi. Kapitan, po odnalezieniu, miał dotrzeć na okręt drogą lotniczą. Dziewiętnastego maja ustalono miejsce jego pobytu — odludna okolica w stanie Wyoming. Dwudziestego maja, czyli dziś, miał zostać przerzucony na pokład. Operacja, którą poprowadzi, trwała już trzy dni.

Planowano, że dwudziestego trzeciego maja okręt znajdzie się naprzeciw ukraińskiej grupy bojowej. Miało to nastąpić na trzydziestym stopniu szerokości geograficznej południowej, w sąsiedztwie brazylijskiego miasta Porto Alegre, tuż poza zasięgiem ukraińskich samolotów. Aby zdążyć na czas, „Devilfish” musiał płynąć z maksymalną prędkością.

Ostatnią wiadomość stanowił raport dowódcy plutonu z siódmej drużyny jednostki specjalnej SEALs. Meldował on, że kapitan „Devilfisha” został odnaleziony i znajduje się na pokładzie samolotu, w drodze do swojego okrętu. Komandor McKee wyłączył komputer i zamknął teczkę. Za oknem wstało słońce; w jego blasku połyskiwały granatowe wody Morza Karaibskiego. Kelly był w każdym razie przekonany, że to Morze Karaibskie.

A więc dlatego porwano go z chaty! Zastanawiał się tylko, czemu wysłannicy najwyższego dowództwa nie zapukali zwyczajnie do drzwi. Po namyśle stwierdził, że po prostu admirałowie nie mogli sobie pozwolić na ryzyko odmowy. Sytuacja była zbyt poważna. Trzeba by wtedy powiedzieć otwarcie: „Musi pan lecieć, bo mamy wojnę” — i informacje objęte Aktem Dwunastym i protokołem Alpha przestałyby być tajemnicą. Co za poplątany system! — pomyślał komandor.

Wyjrzał znowu przez okno i zamyślił się. Oto jeszcze tydzień temu mógł najwyżej uczestniczyć w drobnych politycznych sporach w ramach struktury amerykańskiej marynarki. Teraz leciał na wojnę. Trudno było nagle przystosować się do tego psychicznie. Kawa, cygaro i mdłości odczuwane po zastosowanym przez komandosów środkiem wprawiały go w stan rozdrażnienia, mimo to postanowił spróbować zasnąć. Opuścił fotel, zasłonił okno i zamknął oczy.

Zapadł w niespokojną drzemkę. Pod powiekami majaczyła mu twarz płaczącej Diany. Obudził się po niecałej godzinie, w dziwnym stanie psychicznym. Obiecał sobie solennie, że natychmiast po zakończeniu czekającej go operacji bojowej wystąpi z marynarki.

## 2

Komandor Kelly McKee siedział w uprząży połączonej stalową liną z żurawikiem wystającym z terkoczącego głośno śmigłowca „Sea King”. Maszyna zakręciła ostro ponad połyskującą w słonecznym świetle wodą. Wykonała pełny krąg, po czym mniej więcej w jego centrum powierzchnię oceanu zakłóciła kotłująca się coraz mocniej biała piana, z której wyłonił się obły, czarny kształt kiosku okrętu podwodnego. Na koniec w fontannach wody pojawił się cały kadłub — ogromny, pękaty, metalowy cylinder, ponad który wystawał opływowy kiosk.

Po wynurzeniu końcówki rufy wraz ze sterem „Devilfish” zawisł na moment w niestabilnym położeniu i opadł niżej. Kolejne fontanny wody wzbily się tak wysoko, że uderzyły nawet w otwarte drzwi śmigłowca, zawieszzonego na wysokości trzydziestu metrów. Okręt znikł na moment w wirach i wynurzył się po raz drugi, niczym podskakujący korek. Teraz ustawiony był już poziomo, a z wody wystawały tylko górna część kadłuba i kiosk oraz końcówka steru z zamontowaną na szczycie gondolą w kształcie wydłużonej kropli. Z tylnej części kiosku wysunął się wysoki maszt, a później drugi, jeszcze wyższy i grubszy. Pierwszy był w rzeczywistości peryskopem typu 20; drugi — wieloczęstotliwościową anteną bigmouth.

W górnej części kiosku obsunęła się dwuskrzydłowa pokrywa wjazdu, ukazując mostek. Na pokład wyszło dwóch mężczyzn w marynarskich kurtkach i czapkach. Jeden podniósł maszt flagowy i wciągnął ogromną amerykańską flagę. Niżej znajdowała się mniejsza, czarna, piracka bandera z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami oraz napisami; na górze: GŁĘBOKO-CICHO-SZYBKO-ZABÓJCZO, a na dole: ZJEDNOCZONE DOWÓDZTWO SIŁ PODWODNYCH. Flaga i emblemat były pomysłem poprzednika admirała Phillipsa, którym był admirał Pacino.

Otworzyły się dwa wielkie, stalowe wjazdy w pokładzie. Wyszło z nich kilku mężczyzn przypiętych uprężami i linami bezpieczeństwa.

USS „Devilfish” miał sto piętnaście metrów długości, dziesięć i pół metra średnicy i ważył siedem tysięcy siedemset ton. Mieścił dwadzieścia sześć torped, z których dwanaście znajdowało się w wyrzutniach pionowych. Okręt napędzany był za pomocą wod-

nego reaktora atomowego wysokiej gęstości S9G firmy DynaCorp. Wytwarzał parę poruszającą dwa turbogeneratory pomocnicze oraz dwie potężne turbiny parowe, nazywane silnikami głównymi. Te z kolei napędzały dwa generatory prądu zmiennego, potrzebnego do uruchomienia zasadniczego silnika elektrycznego, poruszającego śrubę. Siła reaktora wynosiła dwieście trzydzieści megawatów, co pozwalało uzyskać olbrzymią moc sześćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych na wale śruby.

— Wszystko gotowe, panie komandorze! — zawołał jeden z członków załogi. McKee skinął głową i już po chwili wisiał nad wielokilometrową głębią oceanu. Obsuwał się coraz niżej, aż kilku marynarzy złapało go i osadziło bezpiecznie na mokrym pokładzie okrętu. Powłoka antysonarowa była dziwna w dotyku, każdy spodziewałby się raczej twardego metalu. Odpięto uprząż, śmigłowiec wciągnął ją, po czym od razu zakręcił i odleciał. Kelly ruszył szybko do włazu znajdującego się tuż za kioskiem i zszedł po drabince. Wnętrze „Devilfisha” wydawało się początkowo zupełnie ciemne w porównaniu z zalaną słońcem powierzchnią morza. Poniżej włazu był zamknięty przedział raktunkowy duży cylinder, tej wysokości co pokład. Prowadził on na środkowy poziom trój pokładowego przedziału dziobowego okrętu.

Przy trapie czekał oficer w niebieskim morskim kombinezonie. Rozległ się gwizdek bosmana i krzyk:

— Kapitan na pokładzie! — Głośnieki obwieściły przybycie McKee całej załozde. Wydało się to wszystkim dziwne, zważywszy, że okręt wypłynął z portu trzy doby temu i znajdował się ponad dwa tysiące mil morskich od brzegu. Gwizdek bosmański odezwał się po raz drugi dokładnie w chwili, kiedy stopy Kelly’ego dotknęły środkowego pokładu. Oficer stanął na baczność.

— Witamy na pokładzie, panie kapitanie — głos był niski, ale niewątpliwie kobiecy.



Wysoka, szczupła komandor porucznik o ciemnych włosach związanych w koński ogon patrzyła na swojego dowódcę. Na piersi miała wyhaftowany znaczek z nazwiskiem Petri. Na kołnierzyku złote dębowe liście, a ponad kieszonką wyszywany emblemat przedstawiający delfiny. Na jednym rękawie morskiego kombinezonu widniała amerykańska flaga, na drugim — bandera Zjednoczonych Sił Podwodnych oraz godło okrętu — głowa szarżującego barana. Poniżej — okręt podwodny oraz numery boczne wszystkich poprzednich jednostek noszących nazwę „Devilfish”.

— XO — rzucił McKee, używając powszechnie przyjętego w Marynarce Wojennej skrótu od executive officer, oznaczającego pierwszego oficera. Patrzył na kobietę z dziwaczną mieszaniną ulgi i zdenerwowania. Ulgi — bo znalazł się na powrót w swoim własnym, dobrze znanym świecie; zdenerwowania, bo nawet krótka nieobecność pra-

wowitego kapitana wystarczyła jej do przejęcia dowództwa okrętu. Tak przynajmniej oceniała to Petri. Właśnie skończyło się jej dowodzenie i stwierdziła niespodziewanie, że również ma w związku z tym mieszane uczucia. Nagły rozkaz wypłynięcia „Devilfisha” z Norfolku bez Kelly’ego wywołał u niej niepokój; potem jednak, gdy zdała sobie sprawę, że potrafi podołać zadaniu, zaczęła odczuwać głęboką satysfakcję. Doświadczyła na własnej skórze tego, o czym przekonywali się kapitanowie od wielu stuleci — że poczucie władzy na morzu potrafi wciągnąć jak narkotyk. Pojawienie się komandora McKee, mentora i kapitana, wywołało u niej rozczarowanie i prawie złość — musiała zdać mu z powrotem dowództwo. Przeważało jednak uczucie radości. Rejs był jak dotąd ciężki, a obecność komandora sprawiała, że każde zadanie wydawało się wykonalne. Nie było rzeczy trudnych, kiedy on znajdował się na pokładzie.

Kelly nie wyróżniał się wzrostem, choć jego sposób bycia powodował, że wydawał się wyższy. Miał ciemne, lecz nie czarne włosy i ciemne oczy. Jego twarz była bardzo wyrazista, jak gdyby wykuta z kamienia; usta wydawały się zbyt pełne w tym kościstym obliczu. Miał też krzaczaste brwi, zdumiewająco potężne jak na czterdziestolatka.

Petri służyła pod rozkazami McKee od dwóch lat i doszła stopniowo do wniosku, że zna go lepiej niż jego własna żona i ktokolwiek inny na świecie. Obserwowała, kręciła się przy nim całe dni, wypełniając polecenia w ciasnym okręcie podwodnym. Diana tymczasem siedziała gdzieś w swojej złotej klatce i oczekiwała, że Kelly będzie ją rozpieszcał. Karen nie przepadała za żoną kapitana, odznaczała się jednak dyplomacją. Dotychczas zresztą pomagało jej to w karierze. Była bowiem jedną z pierwszych kobiet oficerów dopuszczonych do służby na okrętach podwodnych, zarezerwowanych do niedawna wyłącznie dla mężczyzn.

Kiedy amerykański Kongres zezwolił kobietom na służbę w siłach podwodnych, admirał Phillips doszedł do wniosku, że byłoby niewskazane wprowadzanie tej innowacji, począwszy od marynarzy najniższego szczebla. Sądził, że mężczyźni zamknięci przez długi czas na okrętach będą molestować seksualnie kobiety i traktować je z góry. Postanowił więc zacząć od kobiet oficerów, których autorytetu nikt nie odważy się kwestionować. Osobiście wybrał dwadzieścia kilka pań pełniących służbę w charakterze pierwszych oficerów na okrętach nawodnych. Były to osoby, których kartoteki dowodziły najlepszych warunków psychicznych i fizycznych potrzebnych do sprawowania dowództwa na morzu. Petri odsłużyła swoje jako pierwszy oficer słynnego „Port Royal” i miała wkrótce zostać kapitanem krążownika o napędzie atomowym. Telefon z biura Phillipsa spowodował jednak, że trafiła na „Devilfisha”. Zaproponowano jej służbę na tym okręcie w charakterze pierwszego oficera, obiecując, że jeśli spisze się jak należy, zostanie później kapitanem okrętu podwodnego.

Zgodziła się. Przeszkolenie było niezwykle trudne. Miała zaledwie dwa lata na opanowanie tego wszystkiego, co większości mężczyzn zajmowało szesnaście. Przez całe

miesiące nie dosypiała, budzona raz po raz dla odbycia symulowanej walki. W końcu nauczyła się. Umiejętności oficera marynarki wojennej posiadała już wcześniej; potrafiła też dowodzić mężczyznami. Z początku sądziła, że brakuje jej tylko znajomości podwodnej maszynierii. W rzeczywistości chodziło o coś więcej niż elektronikę i żelastwo. Musiała poznać nowy język, nową kulturę, właściwie cały nowy świat. Bez Kelly'ego McKee nigdy by do niego nie weszła. Spędził całe godziny, szkoląc ją, przekazując dowodzenie podczas ćwiczebnych ataków, wpajając wiedzę i doświadczenie, jakie zdobył podczas piętnastu lat od ukończenia akademii w Annapolis.

Zdarzało się, że Karen myślała o Kellym nie tylko jako o swoim nauczycielu i dowódcy; była jednak niezwykle zdyscyplinowana i nie pozwalała sobie na dłuższe rozważania na ten temat.



Kelly McKee popatrzył na Karen Petri i doszedł do uspokajającego wniosku, że wszystko jest pod kontrolą. Jak zawsze, gdy znajdowała się obok. Była najbardziej kompetentnym pierwszym oficerem, jakiego kiedykolwiek spotkał. O pięć centymetrów wyższa od niego, smukła. Kombinezon morski, choć kompletnie aseksualny, nie mógł jednak ukryć wypukłości jej piersi. Petri miała szerokie niczym u Indianki kości policzkowe, kruczoczarne włosy i duże czarne oczy w kształcie migdałów. Właściwie każdą część jej twarzy oddzielnie można by uznać za ładną, jednak całość robiła raczej surowe wrażenie. Wyglądała po prostu na osobę twardą, zdecydowaną. Nie podobała się Kelly'emu jako kobieta — kobiecość kojarzyła mu się z delikatnością. Jednak odpowiadała mu pod każdym względem jako jego zastępca.

Z tyłu za nim po trapie schodzili ludzie, którzy sprowadzili go na pokład. Ostatni z nich spojrział na McKee i powiedział:

— Wszyscy na pokładzie, sir!

Nozdrza McKee wypełnił charakterystyczny zapach okrętu podwodnego, złożony z woni tłuszczu do smażenia, dymu cygar, olejów i smarów z maszynowni, ozonu wytwarzanego przez urządzenia elektryczne i chemikaliów z urządzeń do kontroli atmosfery wewnątrz okrętu. Kelly odbierał ów zapach jako przyjemny; kojarzył mu się nieodłącznie z miejscem, gdzie było mu wygodnie i dobrze; podobnie jak zapach drewnianych płonących w kominku. Pomyślawszy o tym, na moment przypomniał sobie Dianę. Szybko jednak odegnał ten obraz i powrócił do otaczającej go rzeczywistości.

Petri podeszła do dźwigni zamykającej właz i przesunęła ją. Po chwili rozległo się głucho uderzenie, a wpadający z góry snop słonecznego światła zniknął. Obrócił się hydrauliczny pierścień we włazie, uszczelniając go i uodporniając na wysokie ciśnienie. Następnie zamknął się drugi właz pod przedziałem ratunkowym, bezpośrednio nad ich głowami. Petri oznajmiła przez telefon, że oba włazy są zamknięte, po czym skłoniła głowę w stronę kapitana.

— Idziemy na mostek, XO — zarządził McKee, ruszając wyłożonym ciemnym drewnem przejściem. Minął drzwi kajuty dla ważnych pasażerów, kajuty pierwszego oficera i własnej. Dotarł na mostek. Zajmował on całą szerokość okrętu. Na środku znajdowało się stanowisko peryskopowe; po prawej burcie — projektory rzeczywistości wirtualnej, pomagające prowadzić walkę, po lewej — stanowisko sterowania najrozmaitszymi sensorami okrętu, z przodu — stanowisko sterowania samym okrętem. Przed mostkiem znajdowały się drzwi do pomieszczeń operatora sonaru, radiooperatora, obsługi komputerów. Wprawdzie mostek był duży, jednak wykorzystano każdy jego centymetr kwadratowy. Wszędzie roilo się od przewodów, zaworów, szerokich, płaskich ekranów, pulpity z przełącznikami, uchwyty do przytrzymywania się, telefonów, węży i masek przeciwgazowych, stołów nawigacyjnych. Dalej, przy stanowiskach bojowych, siedziało dwudziestu kilku pełniących wachtę marynarzy. Panująca wszędzie ciasnota groziła klaustrofobią. Jednak to normalne nawet na największych jednostkach podwodnych — i może nic w tym złego? — myślał McKee.

W żadnym innym miejscu na świecie nie czuł się tak jak na mostku okrętu podwodnego, którym dowodził. Wyobrażał sobie, że podobnie czuje się pilot w kabynie swojego samolotu, kapitan statku w sterówce, prezydent na mównicy. To właśnie na mostku komandor Kelly McKee realizował najpełniej tkwiące w nim możliwości. Pełen żalu pomyślał o tym, że będzie musiał porzucić dowodzenie okrętem.

Marszcząc brwi z wyrazem dezaprobaty, zwrócił się w stronę oficera pokładowego, człowieka, który sprawował taktyczną kontrolę nad „Devilfishem” w ciągu trwającej sześć godzin wachty. Funkcję tę pełnił właśnie pierwszy mechanik okrętu, młody komandor porucznik o nazwisku Todd Hendrickson. Ten smukły blondyn był dziwakiem tak skupionym na wewnętrznych przeżyciach, że z zewnątrz sprawiał wrażenie pozbawionego wszelkich emocji. Popatrzył na Kelly’ego, wyprężył się na baczność i rzucił wojskowym tonem:

— Dzień dobry, panie kapitanie, witamy na pokładzie!

— Niech pan melduje — polecił komandor, wyciągając rękę. Dowódca wachty, czuwający przy lewoburtowych pulpitych sterowania sensorami, podał mu cygaro marki Cohiba gestem pielęgniarce wręczającej skalpel głównemu chirurgowi. Następnie podsunął zapalniczkę, ozdobioną godłem okrętu. Z cygara uniósł się dym, podczas gdy pierwszy mechanik meldował:

— Okręt gotów do zanurzenia, panie kapitanie — potwierdził to pan Evans. Nadeszły wiadomości radiowe, w tym pilny przekaz z adnotacją „osobiście do dowódcy okrętu”. Reaktor pracuje z pełną mocą, napęd na głównych silnikach. Sieć sztucznej inteligencji w normie. System kontroli walki ma niesprawność klasy drugiej; zajmuje się nim pan Van Dyne. Jesteśmy gotowi zanurzyć się i powrócić do planu naszego ruchu — głębokość sto osiemdziesiąt metrów, kurs jeden jeden zero, prędkość czterdzieści węzłów. Dotąd płynęliśmy z maksymalną prędkością — nigdy nie słyszałem o tak szybkim planie ruchu.

„Planem ruchu” nazywano na amerykańskich okrętach podwodnych kurs, głębokość zanurzenia i prędkość, z jaką miał poruszać się okręt, aby dotrzeć na czas w określone miejsce. W tym przypadku był nim punkt na południowym Atlantyku leżący nie opodal wybrzeża Brazylii.

McKee nachylił się nad stołem z mapami usytuowanym po prawej burcie, za stanowiskiem peryskopowym.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

— Tutaj, panie kapitanie, około osiemdziesięciu trzech mil od Barbadosu. Kurs jeden jeden zero poprowadzi nas przez równik, koło brazylijskiego przylądka San Rouge. Tam zmienimy kurs na dwa zero zero, a następnie będziemy posuwać się zgodnie z obrysem szelfu kontynentalnego. Mamy dotrzeć do Punktu Zulu i tam czekać. Tak na marginesie, to część ściśle tajnego rozkazu operacyjnego, panie kapitanie. Rozkaz ogranicza się tylko do tego — płynąć według podanego przeze mnie planu i dotrzeć na miejsce jak najszybciej. Nie mam pojęcia po co. Być może ta pilna wiadomość zawiera odpowiedź. Jedno jest za to pewne — mamy opóźnienie dziesięciu mil w stosunku do planu ruchu i musimy je nadrobić. W tym celu powinniśmy przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny płynąć z maksymalną prędkością. Nie będzie czasu wynurzać się na głębokość peryskopową przynajmniej do wtorku. Co dziwniejsze, rozkaz operacyjny przewiduje właśnie takie postępowanie w wypadku opóźnienia. To niezwykła operacja, panie kapitanie.

McKee zmrużył oczy. Popatrzył na młodego oficera i pomyślał, że będzie musiał poinformować załogę o charakterze misji; nie wiedział jednak, które informacje objęte protokołem Alpha Aktu Dwunastego wolno mu było jej ujawnić.

— Bardzo dobrze — skwitował spokojnym, zdecydowanym tonem. Poczł się znowu dowódcą „Devilfisha”. — Zanurzyć okręt na sto osiemdziesiąt metrów, powrócić na kurs i płynąć z maksymalną prędkością.

— Zanurzyć się na sto osiemdziesiąt, wrócić na kurs, maksymalna prędkość! — powtórzył Hendrickson tak szybko, że słowa zlały się w jedno. — Pilot, zanurzyć okręt, głębokość sto osiemdziesiąt, cała naprzód — dwie trzecie!

Pilot — członek wachty, zastępujący obecnych na starszych typach okrętów podwodnych oficera zanurzenia, sternika i sternika głębokości — z których każdy był starszym podoficerem lub nawet oficerem — siedział z przodu mostka na stanowisku otoczonym wielkim pulpitem. Przypominało ono trochę symulator kabiny myśliwca. Oficer siedział otoczony półkolem ekranów komputerowych i przełączników. Drażek sterowy pomiędzy jego kolanami i pedały orczyka u stóp poruszały sterami okrętu w analogiczny sposób, jak poruszają zwykle sterami samolotu. Pilot powtórzył wydane mu rozkazy, po czym wcisnął umieszczony na drążku sterowym przycisk. W głośnikach okrętu rozległ się dwutonowy alarm zanurzenia, po nim generowane przez komputer słowa:



„Zanurzenie! Zanurzenie!”, wreszcie znowu ten sam dwutonowy sygnał. Była to tradycja utrzymywana jeszcze od lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Tyle że ludzie i dzwonki zastąpiły komputery i elektroniczne dźwięki. Pilot pchnął naprzód dźwignię przepustnicy. Turbiny głównego silnika osiągnęły obroty wystarczające do rozwinięcia prędkości piętnastu węzłów, czyli standardowej całej naprzód. Następnie przesunął drążek do przodu, powodując obrócenie się sterów głębokości w pozycję odpowiednią do zanurzenia okrętu.

Podczas gdy „Devilfish” powoli przyspieszał, oficer pokładowy podniósł hydraulicznie napędzany teleskopowy moduł optyczny peryskopu. Wysunął się on cicho spod podłogi i oficer, patrząc przez szkła, zaczął powoli obracać nim dookoła. Pilot wcisnął tymczasem drugi z umieszczonych na drążku sterowym klawiszy, otwierając przednie zbiorniki balastowe. Zaczęło z nich szybko ulatywać powietrze, a w jego miejsce napływała morska woda.

— Zalewam dziobowe zbiorniki — zameldował pilot.

Duży świecący ekran na suficie pokazywał widok z peryskopu. Fale zbliżały się teraz szybciej, gdyż „Devilfish” płynął naprzód. Po chwili z przedniego pokładu wystrzelił gejzer wody zmieszanej z powietrzem. Okręt przechylił się. Podłoga także zaczęła przypominać pochylnię.

— Głębokość dwadzieścia pięć metrów — zawołał pilot. — Zalewam rufowe zbiorniki.

Kąt nachylenia powiększał się. Pokład drżał, gdyż „Devilfish” ciągle przyspieszał. Powierzchnia wody zbliżała się do obiektywu peryskopu, aż wreszcie fale zalały go spienioną bielą.

— Peryskop pod wodą — oznajmił Hendrickson.

Obraz oczyścił się. Widać było teraz pofalowaną powierzchnię od spodu; połyskiwała srebrzyście.

— Opuszczam peryskop numer dwa — zameldował oficer pokładowy, po czym złożył uchwyt, pokręcił obrotową dźwignię ponad głową i cofnął się. Teleskopowy moduł optyczny zniknął w podłodze. Za nim podążyła reszta urządzenia, wykonana z nierdzewnej stali. — Pilot, standardowa cała naprzód.

— Jest cała naprzód standardowa, sir. Głębokość trzydzieści metrów, okręt nachylony w dół, kąt dziesięć stopni.

Pokład wydawał się teraz zupełnie stromy. Ponad stanowiskiem peryskopowym pojawiały się na ekranie duże cyfry, oznaczające zanurzenie okrętu. Wzrosło szybko z czterdziestu do siedemdziesięciu pięciu metrów.

— Pełna cała naprzód — rozkazał Hendrickson.

— Jest cała naprzód pełna, przyspieszam do trzydziestu pięciu węzłów — oznajmił pilot.

Stanowisko peryskopowe, z którego oficer pokładowy kontrolował ruch okrętu, było platformą uniesioną czterdzieści pięć centymetrów ponad podłogę. McKee wszedł na prowadzące na nią trzy schodki i powoli objął wzrokiem cały mostek. Z zawieszzonego pod sufitem ekranu informującego o parametrach ruchu „Devilfisha” wynikało, że osiągnęli już trzydzieści węzłów i nadal przyspieszali.

— Maksymalna prędkość — rzucił Hendrickson.

— Jest maksymalna; nastawiam czterdzieści pięć węzłów — zawołał pilot.

— Bardzo dobrze.

Pokład zadrżał znowu, a potem znieruchomiał, kiedy okręt osiągnął swoją maksymalną prędkość rozwijaną pod wodą. Nie było już wibracji, a jednak McKee odczuwał w jakiś sposób, że maszyny dają z siebie wszystko.

— Głębokość sto sześćdziesiąt pięć — brakuje jeszcze piętnastu; wyprowadzam; okręt pochylony w dół kąt pięć. Kąt dwa, głębokość sto siedemdziesiąt siedem; głębokość sto osiemdziesiąt, maksymalna prędkość, sir — meldował pilot.

— OOD, będę w swojej kabine — powiadomił komandor oficera pokładowego.

— XO, proszę się tam stawić za dwadzieścia minut.



Położona za mostkiem kabina kapitańska McKee była duża jak na okręt podwodny. Znajdowały się w niej: składane łóżko, biurko, stół konferencyjny i skórzany fotel z wysokim oparciem. Ponad drzwiami widniał ciąg szerokich ekranów, na których można było pokazać niemal wszystko — widoki z kamer umieszczonych przy najważniejszych stanowiskach okrętu, mapy, obraz z kapitańskiego komputera, rozmówców podczas przeprowadzanych telekonferencji. Kelly ściągnął z siebie przepony kombinezon lotniczy z nomeksu i wszedł do łazienki, którą dzielił z Petri. Ściany i sufit pomieszczenia wykonane były z nierdzewnej stali, podłoga z chropowatej terakoty. Komandor wziął prysznic i założył, jak zwykle na pokładzie, kombinezon morski i tenisówki. Teraz narzeczcie był sobą, w przeciwieństwie do minionego tygodnia. Przez chwilę znowu pomyślał o Dianie. Zastanawiał się, czy może przesłać do UsubCom — jak nazywano w skrócie dowództwo Zjednoczonych Sił Podwodnych — prośbę o skontaktowanie się w jego imieniu z Dianą. Czy powiedzą jej, że wysłali go w morze? Prawdopodobnie nie. A w takim razie, co jej powiedzą i czy to poprawi jego sytuację rodzinną? Pomysł był raczej zły, a mimo to miał ochotę go zrealizować.

Podrapał się w szyję, zasiadł w kapitańskim fotelu i wyciągnął szufladę z klawiaturą swojego komputera. Oficer pokładowy powiedział, że nadeszła jakaś pilna wiadomość. W normalnych warunkach przeczytałby natychmiast. Pilne wiadomości należało czy-

tać w ciągu trzydziestu sekund od ich nadejścia. Jednak podczas zanurzenia nie było możliwości przesłania odpowiedzi, więc pośpiech był zbyteczny. McKee uruchomił komputer i wywołał tajny przekaz.

Objęty był on protokołem Alpha Aktu Dwunastego, toteż pojawiło się żądanie hasła. Kelly wprowadził swój podoficerski numer kadeta i na ekranie ukazał się czarny tekst na białym tle, bez żadnych ramek. Przeczytawszy krótką, wiadomość, McKee skrzywił się. Załodze nie mógł powiedzieć absolutnie nic. Mapy, sprzęt nawigacyjny i cały mostek muszą zostać zamknięte dla wszystkich poza oficerami. Ale i oni mogą z nich korzystać tylko w ograniczonym zakresie. Kiedy „Devilfish” znajdzie się w Punkcie Zulu, otrzyma tak zwaną „wiadomość o akcji nadzwyczajnej”, czyli rozkaz otwarcia ognia do grupy bojowej ukraińskiej Floty Czarnomorskiej.

Rozkaz nadejdzie w formie zakodowanej. Aby go rozszyfrować, oficerowie będą musieli wyjąć kod z podwójnego sejfu. Żadna z osób znających kombinację otwierającą wewnętrzny sejf nie znała tej, która otwierała sejf zewnętrzny, i odwrotnie. W wewnętrznym sejfie znajdowało się sześć pakietów wielkości srebrnego dolara. Każdy składał się z folii owijającej kawałek plastiku, na którym wypisane było sześć liter lub cyfr. Całą procedurę musiały przeprowadzać dwie osoby, kontrolujące ją przez cały czas od powstania kodu aż do jego zniszczenia. Dzięki zawartości pakietów nic nie znaczący z pozoru ciąg symboli mógł się okazać rozkazem odpalenia broni jądrowej. W części tytułowej wiadomości będzie nazwa konkretnego pakietu, którym należało się posłużyć. Jeśli przesłany komunikat zostanie uznany za ważny, załoga otrzyma tym samym oficjalny rozkaz otwarcia ognia.

Do tego momentu McKee nie mógł wyjawić, ani dlaczego „Devilfish” sunie na maksymalnej prędkości na południe, ani z jakiego powodu chowa przed marynarzami mapy, ani jakie są cele. Nie wolno mu było przedstawić im floty, z którą mieli się zmierzyć — liczby ani typu fregat, ilości ani wyglądu krążowników czy też odgłosów, jakie dawały na sonarze. I wreszcie, jakie śmigłowce znajdują się na pokładzie lotniskowca ani nawet — co najistotniejsze — tego, czy do grupy bojowej dołączył okręt klasy Siewierodwińsk, szukający pod wodą potencjalnych przeciwników.

Kelly zamknął plik i odepchnął klawiaturę. Popatrzył przed siebie, przesunął dłońmi po włosach. Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Karen Petri.

Słucham, XO? — zagadnął.

— Miałam się zameldować, sir.

Dopiero wtedy przypomniał sobie wydany rozkaz. Najwyraźniej był zupełnie zdekoncentrowany.

— Proszę wezwać tu oficerów poszczególnych sekcji — polecił. Chociaż i tak nie mam już nic konkretnego do powiedzenia — pomyślał.

Czekając na szefów sekcji, napisał na komputerze prośbę do UsubCom o przekazanie jakiejś informacji Dianie. Poinformował, że należy jej szukać zarówno w domku w Wyoming, jak i w Wirginia Beach. Następnie wezwał radiooperatora, każąc mu przynieść boję antenową — urządzenie wielkości kija baseballowego, wyrzucane z małej wyrzutni, przypominającej torpedową. Boja wypływała na powierzchnię i nadawała komunikat do satelity. Załadowawszy zakodowany przekaz do boi, Kelly wezwał głównego mechanika, polecił mu odpalić nadajnik i wyznaczyć zastępcę na stanowisku oficera pokładowego na czas odprawy w kapitańskiej kabinie.

Odprawa nie była dla oficerów „Devilfisha” zbyt interesująca. Kapitan przekazał im tylko tyle, że otrzymali polecenie przepłynięcia z maksymalną prędkością do podanego punktu niedaleko wybrzeża Brazylii, gdzie nadejdą kolejne rozkazy. Podwładni McKee przyjęli jego wypowiedź ze stoickim spokojem. Kelly zebrał od nich przy okazji meldunki na temat stanu okrętu. W ten sposób poczuł się lepiej wprowadzony w otaczającą go od niedawna rzeczywistość. Zwolnił oficerów już po pięciu minutach.

Następną godzinę dowódca amerykańskiego okrętu spędził przy stole, przeglądając na komputerze charakterystykę grupy bojowej Floty Czarnomorskiej. Szczególną uwagę zwracał na to, jak wygląda każdy z okrętów wroga, obserwowany za pośrednictwem peryskopu. Wreszcie, położył się do łóżka, próbując zasnąć. Inny świat, w którym przebywał jeszcze nad ranem, zanim wyciągnięto go z chaty w Wyoming, znajdował się bardzo daleko stąd.

### 3

Trzeci dzień misji rozpoczął się zwykłymi rytuałami — tak samo jak wszystkie inne dni spędzone przez Kelly'ego na morzu.

Pobudka nastąpiła dokładnie o szóstej rano. McKee otworzył oczy, nalał sobie parującej kawy do kubka z godłem okrętu. Zasiadł za stołem w kapitańskim fotelu i odczytał z ekranu komputera wiadomości, jakie nadeszły podczas ostatniego wynurzenia na głębokość peryskopową. W ciągu długiej podróży, jaką przebył od Morza Karaibskiego, gdzie zabrał na pokład swojego dowódcę, „Devilfish” wynurzył się tylko raz — zeszłego wieczoru, około północy. W komputerze była jedna wiadomość dla Kelly'ego, wysłana przez admirała Phillipsa. Dowódca Zjednoczonych Sił Podwodnych potwierdzał fazę drugą rozkazu operacyjnego przesłanego poprzednio do komputera McKee. Za parę godzin miała się rozpocząć realizacja fazy trzeciej.

Ponieważ nie było żadnej innej korespondencji, komandor miał tego ranka trochę wolnego czasu. Dopił kawę i ruszył do łazienki łączącej jego kabinę z kabiną pierwszego oficera. Gdy zamknął za sobą nierdzewne, stalowe drzwi, zorientował się, że pomieszczenie jest dziwnie zaparowane. Podniósł wzrok i zobaczył nagie ciało Karen Petri. To bynajmniej nie było częścią codziennej, porannej rutyny. W głowie Kelly'ego kłębiło się tyle myśli, że zupełnie zapomniał zapukać. Podobny przypadek miał już jednak kilkakrotnie miejsce. Jej także zdarzyło się ze dwa razy wejść niespodziewanie do łazienki i zastać go nagiego. Takie sytuacje były właściwie nieuniknione ze względu na ciasnotę panującą na okręcie i napięty rozkład zajęć załogi. McKee i Petri ustalili już nawet milcząco sposób zachowania w zaistniałych właśnie okolicznościach. Nie używali wtedy regulaminowych zwrotów „XO”, gdyż sytuacja była ściśle prywatna.

— Przepraszam, Karen — powiedział Kelly, odwracając wzrok. Kątem oka zobaczył w lustrze uśmiech kobiety.

— Nie szkodzi, Kelly — odparła. — Dzień dobry. Kończę za pięć minut.

Komandor, odwrócony plecami, machnął ręką i wyszedł. Kiedy znalazł się z powrotem w swojej kabinie, obraz nagiej Petri ponownie stanął mu na chwilę przed oczami — jej długie nogi o ciemnej karnacji, sprężyste, pełne piersi, puszyste futerko pomiędzy udami, duże, czarne, nieodgadnione oczy...

Kiedy już wziął prysznic i założył świeżo uprany kombinezon, poszedł na mostek. Wachtę oficera pokładowego pełnił tym razem oficer sztucznej inteligencji Bryan Dietz. Trzydziestoczteroletni komandor porucznik Dietz miał już łysinę i nosił grube okulary. Był jednak znakomitym komputerowcem — typowym przedstawicielem tego gatunku — łatwiej radził sobie ze swoimi maszynami i kolegami po fachu niż z marynarzami i w ogóle resztą ludzi. To profesjonalista — myślał McKee — jednak, jeśli chce kiedyś zostać dowódcą okrętu, musi nauczyć się postępować z załogą.

Dietz złożył zwięzły meldunek, tak jak nauczył go Kelly. Podał zanurzenie „Devilfisha”, jego kurs, prędkość; następnie pozycję bezwzględną, oraz pozycję w odniesieniu do planu ruchu — to znaczy przesuwającego się na mapie punktu, w którym oczekiwało ich dowództwo. Podał także status misji, stan głównego komputera typu Cyclops, reaktora, pokładów i załogi. Komandor słuchał, pochylony nad mapą służącą do tradycyjnej, nie skomputeryzowanej nawigacji. Popatrzył na wyrysowany ołówkiem przebyty szlak z oznaczonymi punktami, w których go uzupełniano.

Punkt Zulu leżał tuż przed aktualną pozycją okrętu, odległy o dwadzieścia minut rejsu. W nocy „Devilfish” wyprzedził Flotę Czarnomorską i znajdował się teraz na południe od niej. Jednocześnie wroga grupa bojowa płynęła daleko na wschód od amerykańskiego okrętu, poza zasięgiem jego sonarów. W Punkcie Zulu „Devilfish” zwolnił do pięciu węzłów, wynurzył się na głębokość peryskopową i będzie czekał w zasadzce. McKee strzelił palcami, zamawiając w ten niewyszukany sposób kolejną kawę. Pijąc ją, pomyślał o swojej żonie.

Niechętnie przyznał przed sobą, że myślenie o Dianie wydawało mu się obowiązkiem. Uwielbiał natomiast życie, jakie otaczało go w tej chwili. Mostek, dobrze wyszkolona załoga, sprawnie prowadzony okręt, misja bojowa o ogromnym znaczeniu dla bezpieczeństwa jego państwa... Miałby to wszystko rzucić? Pomysł wydawał się wręcz śmieszny. Jednak skoro Diana wymagała od niego dokonania wyboru, czy miał ją zostawić? Z poczuciem winy uświadomił sobie, że rozwód kojarzy mu się z wolnością.

— Punkt Zulu, panie kapitanie — zameldował spokojnie Dietz, przywołując go z powrotem do rzeczywistości. McKee wypił ostatni łyk kawy i podniósł wzrok na oficera pokładowego.

— Wynurzyć okręt, wysunąć antenę i odebrać sygnał o siódmej piętnaście — rozkazał. Satelita będzie powtarzał co piętnaście minut skondensowany sygnał zawierający wiadomości z dowództwa. Na przykład ewentualne zmiany rozkazów oraz najświeższe dane wywiadowcze na temat nieprzyjacielskiej floty.

Dietz zwrócił się do oficera siedzącego za sterami:

— Pilot — maszyny stop. Wynurzyć okręt na głębokość czterdziestu pięciu metrów pod kątem dziesięciu stopni.

Pilot, oficer w stopniu porucznika, cofnął dźwignię regulującą obroty śruby i pociągnął za drążek. Na umieszczonym przed nim ekranie komputerowa animacja zobrazowała wychylenie płaszczyzn sterów głębokości „Devilfisha”. Dietz sięgnął po zwisający nad jego głową mikrofon i rozkazał:

— Sekcja manewrów i kontroli okrętu — przestawić reaktor na bieg jałowy. Sonar — zwalniamy i wynurzamy się.

— Mostek, tu manewry — odezwał się głośnik. — Reaktor przestawiony na bieg jałowy.

— Mostek, tu sonar. Potwierdzam.

Pokład zaczął podnosić się ku górze. McKee usłyszał brzęk talerzy spadających ze stołu w kambuzie. Zirykowało go, że nie były właściwie zabezpieczone. Przeważała jednak cisza. Liczba na wskaźniku głębokości zanurzenia zmalała ze stu osiemdziesięciu do czterdziestu pięciu.

— Przekroczyliśmy termoklinę, sir — zameldował Dietz. „Devilfish” wyłonił się z zimnej głębiny, mijając granicę, powyżej której woda ogrzewana była przez promienie słońca. W cieplej, górnej warstwie oceanu anteny sonaru były w stanie odbierać odgłosy z powierzchni. — Sonar, tu mostek; głębokość czterdzieści pięć metrów, bariera przekroczona. Pilot — ster piętnaście stopni w prawo, kurs na południe, jedna trzecia naprzód.

Pilot potwierdził rozkazy, po czym okręt wykonał powolny łuk, aby operatorzy sonaru mogli upewnić się, że w pobliżu nikogo nie ma.

— Mostek, tu sonar, przeszukiwanie zakończone, żadnych kontaktów.

— Pilot, ster piętnaście stopni w prawo, kurs na północ, jedna trzecia naprzód.

Okręt wykonał pełny krąg. Operator sonaru znowu zameldował o braku kontaktów. Akwen był pusty.

— Oficer pokładowy, głębokość peryskopowa — polecił McKee. Pokład znów przechylił się, tyle że łagodniej, Dietz stanął za prawoburtowym stanowiskiem peryskopu i oznajmił:

— Peryskop numer dwa.

— Głębokość czterdzieści dwa, prędkość cztery węzły — poinformował w odpowiedzi pilot.

— Peryskop w górę. — Dietz sięgnął ponad głowę i przekręcił znajdujące się tam pokrętło. Usłyszeli głuchy odgłos uruchomionego układu hydraulicznego i z podłogi wysunął się długi peryskop, a na końcu jego moduł optyczny wraz ze sterowaniem. Oficer opuścił uchwyty, co uaktywniło silniczki poruszające ciężkie urządzenie. Przyłożył oczy do osłoniętego gumą wizjera i zaczął szybko obracać peryskopem. Na suficie zapłonął ekran wyświetlający widok z peryskopu wraz z krzyżującymi się liniami celowniczymi.

ka. Obiektów zanurzony był jeszcze w wodzie; wysoko w górze zobaczył fale. Były duże. Stan morza wynosi co najmniej cztery w skali Beauforta — pomyślał McKee. Tym lepiej, gdyż po wynurzeniu peryskopu fale będą go zasłaniać.

— Żadnych kształtów ani cieni — zameldował Dietz. Na mostku panowała cisza. Oficerowie czekali, aż peryskop się wynurzy. Oficer pokładowy mógł za chwilę oznajmić: „uwaga, niebezpieczeństwo”, co oznaczało dostrzeżenie jednostki nawodnej.

— Dwadzieścia siedem metrów — meldował pilot. — Dwadzieścia sześć. Dwadzieścia pięć...

— Peryskop się wynurza — oznajmił oficer, widząc eksplozję białej piany.

— Dwadzieścia cztery metry, sir.

— Peryskop wynurzony. Dietz wykonał cztery szybkie okrążenia peryskopem. Na ekranie nie mignęły żadne kadłuby. — Brak bliskich kontaktów — zameldował. Zwolnił, obserwując teraz morze starannie, tak że kolejny obrót peryskopu zajął całą minutę. Nie wykrył niczego. — Przeszukuję na dużym powiększeniu powiedział. Tym razem wykonał pełne koło w ciągu czterech minut. Na ekranie ciągle było widać jedynie zachmurzone niebo i ciemnogrnatowy ocean.

— Mostek, tu radio — usłyszeli z głośnika. — Proszę o bigmoutha.

— Pilot, podnieść antenę bigmouth — polecił Dietz głosem stłumionym przez gumową osłonę okularu. Znowu rozległ się dźwięk pracującej hydrauliki i z kiosku „Devilfisha” wyrosła wysoka, wieloczęstotliwościowa antena. Uniosła się ku niebu, aby odebrać krótką transmisję z należącego do marynarki satelity. Kelly spojrzął na zegarek. Minęła siódma czternaście. Akurat zdążył się skiepnąć woda z anteny.

Chwilę po siódmej piętnaście radiooperator zameldował:

— Mostek, tu radio, wiadomość odebrana, opuszczamy antenę. — Sekcja łączności sama uruchomiła opuszczanie bigmoutha. — Panie kapitanie, pilne wiadomości w komputerze.

Młody radiooperator przybiegł z przenośnym komputerem. McKee wyciągnął rękę, myśląc: to jest to. Albo Biały Dom zdecydował odwołać operację, albo nadszedł rozkaz przeprowadzenia ataku.

Spojrzał na listę komunikatów. Były trzy — wiadomość o akcji nadzwyczajnej, rozkaz operacyjny — sklasyfikowany po prostu jako ściśle tajny, czyli komandor mógł podzielić się nim ze swoimi oficerami oraz dane wywiadowcze określone jako tajne. Niestety, najważniejszym dla McKee komunikatem był ten, który przeczyta na końcu. Zgodnie z procedurą odebranie wiadomości o akcji nadzwyczajnej wymagało obudzenia oficerów i marynarzy, którzy właśnie położyli się spać po nocnej wachcie, oraz odebrania pozostałych od stołów, na których stały jajka, owoce i kawa.

McKee podniósł wzrok na oficera pokładowego i oznajmił:

— OOD, wiadomość o akcji nadzwyczajnej.



— Tak jest, sir. Dietz sięgnął po kolejny mikrofon i zawołał przez radiowęzeł:

Wiadomość nadzwyczajna! Oficer łączności, nawigator, pierwszy radiotechnik — zgłoście się na mostek! Wiadomość nadzwyczajna!

McKee spojrział na zegarek, mierząc czas przybycia trzech członków załogi. Ostatni z wezwanych zjawił się po trzydziestu sekundach. Najpierw przybiegł nawigator Kiethan Judison, potężnie zbudowany Teksańczyk o wiecznie zmierzwiionych włosach opadających mu na oczy. Donośny głos i charakterystyczny akcent z daleka sygnalizowały jego nadejście. Był człowiekiem o ogromnej inteligencji, a jego błyskotliwe, cięte odpowiedzi zaskakiwały każdego, kto był na tyle głupi, że zlekceważył go z powodu wyglądu. Jako drugi na mostek wpadł David Dayne, oficer łączności — niezdarny chłopak, nad którym Kelly usilnie pracował, jak na razie bez wielkich sukcesów. Ostatni przybiegł najstarszy stopniem podoficer spośród radiotechników — bosman Morgan Henry, syn rybaka z odludnego stanu Maine, mężczyzna o potężnej klatce piersiowej, ogolonej głowie i bladej cerze. Komandor porucznik Judison wskoczył na podwyższenie stanowiska peryskopowego, gdzie stał McKee.

— Grupa wiadomości nadzwyczajnych obecna! — zameldował donośnie z widocznym podnieceniem, niepotrzebnie zakłócając panującą na mostku ciszę. — Co przyszło, panie kapitanie? Wiadomość o akcji nadzwyczajnej? — spytał.

— Tak, nawigatorze — odparł Kelly, podając Judisonowi komputer. Nawigatorowi rzędnęła mina. Odebrana wiadomość oznaczała dla załogi okrętu stan wojny. Zadaniem wezwanej grupy było potwierdzenie autentyczności rozkazu za pomocą jednego z zamkniętych w podwójnym sejfie pakietów. Judison podał urządzenie z widniejącym na ekranie komunikatem Dayne'owi, ten — Henry'emu. Po chwili cała trójka wypadła z mostka tylnymi drzwiami i podążyła do znajdującego się w kabinie pierwszego oficera sejfu. Wrócili już po minucie; Judison trzymał w górze małe pakietki.

— Kod potwierdzenia: Juliet Papa Delta Hotel Osiem Mikę — oznajmił, kładąc pakietek przed dowódcą okrętu. McKee odczytał kod i porównał go z fragmentem nagłówka rozkazu. JPDH8M. Wszystko się zgadzało.

— Otworzyć kod — rozkazał.

— Jest otworzyć kod, sir — odparł oficjalnie Judison. Widać było, że jest wstrząśnięty. Akurat po nim Kelly nie spodziewałby się tego nigdy. Palce nawigatora drżały lekko, gdy rozdzierał folię. W środku znajdowała się kartka z kolejnym kodem. — Kod potwierdzenia: November Whiskey Pięć Cztery Zero Tango — odczytał Judison. Henry patrzył mu przez ramię.

— NW540T — powtórzył. — Potwierdzam.

— Panie Dayne, proszę odczytać kod potwierdzenia wiadomości — polecił McKee. Wydawało się to bez sensu, gdyż wszyscy widzieli krótką sekwencję liter i cyfr, jednak w sytuacjach tego rodzaju niezbędne było staranne przestrzeganie procedur. „Devilfish” otrzymał rozkaz prawdziwego, śmiertelnośnego ataku i trzeba mieć pewność, że jest on autentyczny.

— NW540T, sir — powiedział posłusznie Dayne.

— Dobrze. Nawigatorze, proszę zapoznać się z rozkazem operacyjnym — polecił Kelly, znowu podając komputer Judisonowi. Nawigator czytał, otwierając szeroko oczy. Podniósł wzrok.

— Mamy strzelać. Mamy strzelać — powtórzył; zabrzmiało to idiotycznie.

Komandor zauważył, że Petri patrzy na niego. Pomyślał, że Karen właściwie wygląda całkiem całkiem; jest na swój specyficzny sposób atrakcyjna. Przed ostatnią kłótnią z Dianą w ogóle nie przyszłoby mu na myśl, że kobieta ubrana w morski kombinezon marynarki może być pociągająca seksualnie. Widocznie w jego psychice coś się zmieniło, powolusieńku, ale jednak.

— XQ, proszę zebrać oficerów w mesie — rozkazał. — Wachtę na mostku przejmie pan Dayne, wachtę na rufie — pan Homer. Po chwili rozejrzał się po niemal pustym pomieszczeniu. Ogarnęło go dziwne uczucie. Wkrótce pojawi się tu wachta bitewna, a on będzie odpalał przeciwko ludziom śmiercionośne torpedy.

★ ★ ★

Odprawa znowu będzie uboga w słowa, pomyślał McKee. Nie miał zbyt wiele do powiedzenia załodze. Nie można jednak było przystąpić do walki bez odprawy oficerów.

— Dzień dobry panom, panie kapitanie, XO — zaczął swoim donośnym głosem Judison, przeciągając po kowbojsku sylaby. Stał przed dużym, płaskim ekranem, na razie wyłączonym. W mesie znajdowało się szesnaścioro oficerów „Devilfisha”. Szefowie poszczególnych sekcji siedzieli za stołem najbliższym McKee. Tuż przy nim po prawej zasiadła Petri, po lewej Hendrickson — pierwszy mechanik. Judison założył wąskie okulary do czytania. — Prawdopodobnie wszyscy zastanawialiście się państwo, dlaczego tak pośpiesznie opuściliśmy Norfolk, wysilając maksymalnie maszyny i nie mając nawet czasu na zabranie kapitana, że tak powiem. I czemu, gdy już przywieziono go nam drogą powietrzną, gnamy dalej na południe, do jakiegoś pustego miejsca na oceanie, niedaleko Brazylii, nazwanego Punktem Zulu... — Nawigator przerwał, będąc najwyraźniej pod wrażeniem własnej przemowy. Streszczaj się — pomyślał McKee; pozwolił jednak Judisonowi kontynuować.

Teraz za plecami nawigatora zaświeciła się mapa południowego Atlantyku z zaznaczoną trasą, jaką przebyli od równika aż do Punktu Zulu.

— Okazuje się, że nadeszła właśnie WAN — ciągnął. — Co to jest WAN, panie O’Neal?

Młody oficer urządzeń elektrycznych podniósł wzrok. Niecały rok pływał na pokładzie „Devilfisha” i nie został jeszcze ostatecznie zakwalifikowany jako zdatny do służby na okrętach podwodnych. O’Neal nosił imię Ryan, jednak wszyscy nazywali go Toasty.

- Wiadomość o akcji nadzwyczajnej? — upewnił się.
- Prawidłowa odpowiedź. Co ta nazwa oznacza?
- Rozkaz przeprowadzenia akcji bojowej.
- Przez kogo wydany?
- Eee, przez Zjednoczone Dowództwo Sił Podwodnych?
- Nie. Zna pan termin „NCDW”?
- NCDW... — powtórzył Toasty. — Naczelne... Centrum... Danych...  
Wojskowych...?

Doświadczeni oficerowie wybuchnęli śmiechem. Judison zmarszczył brwi ponad okularami, także rozbawiony.

— Narodowe Centrum Dowodzenia Wojskowego — wyjaśnił łagodnym tonem. — Mieści się w Pentagonie — przypomniał na wszelki wypadek. — Należy rozumieć, że rozkaz wydała osobiście pani prezydent. — Odwrócił się ku ekranowi. — Za linią horyzontu płynie prosto na nas ukraińska grupa bojowa z lotniskowcem, która wyruszyła aż z Morza Czarnego — oznajmił. — Dlatego właśnie, panie O’Neal, nazywają ją Flotą Czarnomorską — dodał. Młody oficer zamachał rękaw obronnym geście i uśmiechnął się na tę drobną złośliwość. — Nasze rozkazy są proste — ciągnął nawigator. — Zatopić Flotę Czarnomorską. Mamy zatopić wszystkie okręty ukraińskiej grupy bojowej, ale tak żeby nas nie wykryto. — Zdjął okulary. Jego twarz wyrażała teraz śmiertelną powagę.

McKee popatrzył na twarze zebranych. Oficerowie byli spięci, jednak nie z powodu oburzenia, lecz w wyniku koncentracji. Petri otworzyła na chwilę usta, po czym natychmiast zacisnęła je z powrotem, a jej ciemne oczy zapłonęły. Popatrzyła na swojego dowódcę. Kelly zorientował się, że jest zaniepokojona. Spojrzenie oznaczało szukanie oparcia w nim, kapitanie okrętu.

Jednak najwyraźniej nie zamierzała uzewnętrzniać swoich obaw. I za to McKee ją cenił. Nikt inny nie zauważył jej lęku. Pomyślał, że ma wyjątkowe szczęście, dysponując właśnie tymi, a nie innymi ludźmi. Okręt był najnowocześniejszą jednostką podwodną na świecie, załoga najlepsza w całej amerykańskiej marynarce. No i zadanie — jednoznaczne i nadzwyczaj ważne.

— Skład flotylli wroga — podjął na nowo Judison, stając obok ekranu, na którym zaczęły się pojawiać obrazy kolejnych jednostek. — Najważniejszym jej okrętem jest ogromny lotniskowiec „Admirał Kuzniecowa”, odpowiednik naszej klasy Nimitz. — Na ekranie pojawił się prujący morze lotniskowiec, sfilmowany z powietrza. To nasz cel numer jeden. Następne co do ważności są cztery krążowniki — kontynuował nawigator, opisując w skrócie wszystkie jednostki zbliżającej się flotylli. McKee zagryzł wargi. Zdał sobie sprawę, że chce zatopić jeden lotniskowiec, cztery krążowniki, osiem fregat, sześć niszczycieli, dwa tankowce i cztery okręty desantowe — nie miał zbyt wielu torped do zmarnowania. Zwłaszcza jeśli w kierunku lotniskowca odpali kilka.

— A teraz kluczowa informacja — oznajmił Judison. — W skład Floty Czarnomorskiej wchodzi między innymi cztery atomowe okręty podwodne klasy Siewierodwińsk, czwartej generacji. Nasz wywiad jest zdania, że jeden z nich wypłynął z Morza Śródziemnego razem z resztą flotylli. Jeśli tak, to możemy mieć towarzystwo.

Bez osłony okrętu podwodnego łatwo byłoby zniszczyć całą armadę. Jednak obecność wrogiej jednostki podwodnej groziła unicestwieniem „Devilfisha” i całego ataku. Jedynym wyjściem dla załogi amerykańskiego okrętu była nieustanna czujność.

— To wszystko, proszę państwa. Czas spotkania — jedenasta zero zero. Macie więc około godziny na przestudiowanie planu bitewnego. O dziesiątej czterdzieści pięć obsadzamy stanowiska. Są pytania?

Było tylko jedno i rękę podniósł „pasażer”. Nazywano tak oficerów spoza załogi, za zwyczaj przedstawiciele dowództwa, którzy zaokrętowywali się czasem na daną operację w celu zdobycia doświadczenia lub oceny okrętu. Tym razem „pasażerem” był komandor porucznik Mike Kurkowicz — naczelny lekarz Zjednoczonych Sił Podwodnych. Jego zadaniem była ocena pomysłu dołączenia do załóg okrętów podwodnych lekarzy. Jak dotąd pływali na nich tylko sanitariusze o stopniach podoficerskich. Kurkowicz był wysokim młodzieńcem o jasnych włosach i zdecydowanym wyrazie twarzy w typie słowiańskim. Nosił okrągłe okulary w cienkiej, drucianej oprawce. Miał oficjalny dostęp do wszystkich ściśle tajnych informacji omawianych na pokładzie „Devilfisha”. Mimo to zadanie przez niego pytania po odprawie wojennej wydawało się McKee nie na miejscu. Komandor uniósł brwi i popatrzył na młodego lekarza.

— Omówiliście państwo szczegółowo, jak przeprowadzić atak — odezwał się Kurkowicz — ale nikt nie wspomniał o tym, dlaczego mamy to zrobić. Tymczasem, jeśli ten lotniskowiec przypomina naszą starą klasę Nimitz, na jego pokładzie znajduje się około trzech tysięcy ludzi. Gdy dodamy do tego pozostałe okręty flotylli, wyjdzie nam siedem czy osiem tysięcy marynarzy. A Bóg jeden wie, ilu żołnierzy wiozą okręty desantowe. Powiedzmy jednak, że jeszcze dziesięć do dwudziestu tysięcy. Panie kapitanie, pod względem liczebnym mamy unicestwić ludność sporego miasteczka. Dlaczego? Co robią ci Ukraińcy? Jakie mają dla nas znaczenie?

McKee zmarszczył brwi pod intensywnymi spojrzeniami swoich ludzi. Pomyślał, że to jego próba jako dowódcy okrętu. Gdyby nie lekarz z Usub-Com oficerowie zapewne udaliby się na stanowiska bojowe i zaczęli odpalać torpedy. Tymczasem teraz z pewnością każdy z nich miał wątpliwości, Dlaczego właściwie mieli pozabijać tylu ludzi i zatopić całą armadę na podstawie jakiegoś e-maila, zawierającego parę liter i cyfr?

Komandor wstał.

— Proszę państwa, chciałbym powiedzieć kilka słów — oznajmił. Zebrani nie spuszczały z niego oczu. — Wszyscy jesteśmy oficerami amerykańskiej marynarki. Czy Stany Zjednoczone byłyby w stanie zaatakować zniemacka obcą flotę, z dwudziestoma tysią-

cami dusz na pokładzie, bez absolutnie uzasadnionego powodu? Czy ktokolwiek z siedzących w tym pomieszczeniu — ktokolwiek — przypuszcza, że ta operacja została obmyślona i uruchomiona bez wcześniejszych wysiłków naszych dyplomatów wywarcia maksymalnej presji na rząd Ukrainy? — Urwał. Nikt nie podnosił ręki. — Czy my jesteśmy dyplomatami? — ciągnął. Nie. I nie wtajemniczają nas w treść i wyniki rozmów dyplomatycznych. Za to jesteśmy żołnierzami Ameryki. I jako żołnierze zostaliśmy wezwani do zrobienia tego, w czym od lat nas szkolono. Wydano nam rozkaz. — Podniósł wysoko wydruk wiadomości o akcji nadzwyczajnej. — Ten prosty, bezpośredni rozkaz. Zadam wam wszystkim pytanie. Proszę, niech podniosą ręce wszyscy, którzy są żonaci. — Uniosły się dłonie dziesięciu oficerów. — Czy ktokolwiek z was sądzi, że wasze małżeństwo to jedynie świstek papieru zwany aktem ślubu? — Nikt się nie odzywał. — A przysięgi małżeńskie, które złożyliście — czy ktoś uważa je tylko za puste słowa? — Cisza. — Podobnie każdy z obecnych w tej mesie, także i pan, doktorze, złożył przysięgę wojskową. Czy ktoś pamięta jej treść? Pozwolę sobie zacytować. — McKee uniósł prawą dłoń i z wyrazem powagi na twarzy powiedział:

— „Przysięgam uroczyście, że będę wspierał i bronił Konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wszystkimi nieprzyjaciółmi, w kraju i za granicą; że będę pokładał w niej prawdziwą wiarę i będę jej posłuszny; że będę wypełniał rozkazy moich przełożonych. Zobowiązanie to składam z własnej, nieprzymuszonej woli, bez żadnych zastrzeżeń bądź zamiarów uchylania się. Przysięgam, że będę dobrze i wiernie wypełniał obowiązki na powierzonym mi stanowisku. Tak mi dopomóż Bóg”. — Komandor obrzucił swoich podwładnych twardym wzrokiem. — Czy ktoś odczuł, że były to tylko puste słowa? Nie? Proszę państwa, ten rozkaz ataku wydała nam pani prezydent Stanów Zjednoczonych. Tak, doktorze, pani prezydent rozkazuje nam zabić z ukrycia dwadzieścia tysięcy ludzi. Mogę mówić tylko za siebie, ale uważam, że przysięga wojskowa to nie są tylko słowa, a dyplom oficera marynarki to nie zwykły świstek papieru. To dowód powziętego postanowienia. Informacja dla zwierzchnika sił zbrojnych, że kiedy powie „zrób to i to”, wykonam rozkaz. Nie pytam po co. Nie rozmyślam nad tym, jakie będą skutki jego wykonania dla świata. Po prostu wykonuję. Po to właśnie tu jesteśmy, doktorze. To coś więcej niż zawód. To nasz obowiązek. Wczoraj oznaczał on mknięcie z prędkością niemal pięćdziesięciu węzłów, sto osiemdziesiąt metrów pod powierzchnią Atlantyku, aby dotrzeć w to akurat miejsce. Dziś — wystrzelenie zawartości przedziału torpedowego „Devilfisha” naprzeciw zbliżającej się floty. To właśnie wieźliśmy z takim pośpiechem z portu w Norfolku. Rozkazano nam posadzić flotę obcego państwa — flotę wojenną, przypominam — na dnie oceanu. Za niecałą godzinę będę stał na mostku i celował w ukraińskie okręty. Sugeruję wam, żebyście do mnie dołączyli. Odmaszerować.

## 4

Na całym okręcie rozbrzmiał głos z radiowęzła: — Zająć stanowiska bojowe! — Następnie rozległ się sygnał alarmu — trzykrotny dźwięk przypominający bicie dzwonu — a później znowu wzmocniony głos:

— Zająć stanowiska bojowe!

McKee stał na platformie peryskopowej mostka, jak zwykle kontrolując czas przybycia swoich ludzi. Po niecałych trzydziestu sekundach kierujący stanowiskami bojowymi oficer pokładowy, komandor porucznik Dietz, zameldował:

— Stanowiska bojowe obsadzone, panie kapitanie.

Kelly założył zestaw składający się z pojedynczej słuchawki, mikrofonu i bezprzewodowego nadajnika. Drugie ucho miał wolne, aby słyszeć dźwięki na mostku.

— Uwaga grupa ogniowa, uwaga sonar — odezwał się. Do tej właśnie chwili przygotowałem się przez całe lata nauki i ćwiczeń, pomyślał. Oczy pełniących wachtę spoczywały na nim. Panowała cisza. — Oto nasz plan działania — ciągnął. — Wykorzystujemy zwiad satelitarny. Satelity serii Key-hole prześlą naszemu Cyclopsowi potrzebne dane. Użyjemy dwóch Sharkeye'ów Mark 5. — Sharkeye'e, „Oczy rekina”, były to czujniki sonarowe ładowane do głowic torped Alert/Acute Mark 58. Torpedy odpalano ze zwykłych wyrzutni, a gdy dotarły w odpowiednie miejsce, sensory oddzielały się od nich, zanurzały na głębokość, gdzie panowała najlepsza słyszalność, i wypuszczały połączone z nimi za pomocą cienkich przewodów małe nadajniki. Wychwytywane odgłosy były przekazywane za ich pośrednictwem do satelity marynarki o nazwie Combatstar, „Gwiazda Bojowa”. Ten wysyłał sygnały z powrotem ku oceanowi; okręt odbierał je i tak trafiały do głównego komputera marki Cyclops. — Jeden z Sharkeye'ów popłynie na prawo od nieprzyjacielskiej floty, drugi na lewo — tłumaczył Kelly. — Prawy zatrzyma się w odległości dwudziestu mil od nas, a lewy — czterdziestu. Kiedy Flota Czarnomorska znajdzie się pomiędzy nimi, w odległości trzydziestu mil od nas, odpalimy torpedy Alert/Acute.

Alert/Acute była ultracichą torpedą skrajnie dużego zasięgu; nosiła oznaczenie ELRT/UQT Mark 58. Była to torpeda najnowszej generacji, z klasy aktywnie wycisza-

nych. A więc wydawała celowo dźwięki o widmie stanowiącym przeciwfazę widma odgłosów jej napędu. W ten sposób dźwięki znosiły się i potężna torpeda mogła dotrzeć do celu niewykryta. Mark 58 przenosiła dwutonową głowicę konwencjonalną plasticpac lub małą głowicę plazmową. Na tę operację „Devilfisha” wyposażono w torpedy Alert/Acute Mark 58 mod alpha, czyli te konwencjonalne.

— Wystrzelimy filtrowaną salwę dwudziestu trzech torped — oznajmił Kelly. Filtrowaną salwą nazywano taki sposób odpalenia torped, przy którym opuszczały okręt niemal jednocześnie, a jednak każda była nastrojona na nasłuchiwanie odgłosów konkretnej jednostki nieprzyjaciela. W ten sposób nie mogło się zdarzyć, że wszystkie popłyną przeciwko temu samemu celowi. — Sekwencja strzału będzie następująca — ciągnął komandor — nawigator, oficer torpedowy, uwaga. Pierwsza torpeda ma trafić w cel jeden — lotniskowiec. Druga w cel dwa — jeden z krążowników. Trzecia, czwarta i piąta — w pozostałe trzy krążowniki. Zatem tylko pięć torped przeciwko pięciu najważniejszym celom. Następnie wystrzelimy po jednej torpedzie przeciw każdej z ośmiu fregat; to już trzynastcie. I po jednej przeciwko każdemu z sześciu niszczycieli i czterech okrętów desantowych. Pozostaną nam trzy torpedy. Mam zamiar odpalić także dziesięć Vorteksów Mod Delta z wyrzutni pionowych przeciwko dwóm tankowcom oraz ewentualnym ocalałym jednostkom.

Vorteksy, „wiry”, były to torpedy o napędzie raketowym na paliwo stałe, przemieszczające się pod wodą z prędkością trzystu węzłów, czyli ponad pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Odmiana delta była najnowszą, odpalaną z pionowych wyrzutni, które zainstalowano na „Devilfishu” w dziobowej części kadłuba, w obrębie zbiornika balastowego. Można było je wystrzeliwać tylko z głębiny wodnej. Podpływały tuż pod powierzchnię, obracały się w położenie poziome, odpalały silniki raketowe i mknęły do celu nawodnego. Kiedy były już blisko, zanurzały się na głębokość kilometra, po czym atakowały pionowo od spodu, znowu osiągając prędkość trzystu węzłów. Laserowy układ naprowadzania odnajdywał kadłub celu. Połączenie siły wybuchu materiału plasticpac oraz energii ruchu rozpędzonej torpedo-rakiety powodowało, że większość trafionych okrętów dosłownie rozpadała się na kilka płonących części. Wystarczał tylko jeden Vortex Delta, aby zatopić lotniskowiec.

— Pozostaną nam zatem trzy torpedy oraz dwie torpedo-rakiety — podsumował komandor — na wypadek, gdyby flotylli towarzyszył okręt klasy Siewierodwińsk. A także gdyby któreś z torped filtrowanej salwy uderzyły w ten sam cel, omijając zaprogramowany. Nasze pociski powinny zacząć trafiać w nieprzyjaciela, kiedy jego armada będzie znajdować się w odległości około dziesięciu mil od nas, a więc w zasięgu wzroku. Musimy uważać na samoloty i śmigłowce do zwalczania okrętów podwodnych z lotniskowca, niszczycieli czy fregat i na okręt podwodny. Atak rozpoczniemy z głębokości peryskopowej. Później możemy zanurzyć się w głębinę, odcinając się od napływu danych sponad powierzchni. Czy wszystko jasne? Wykonać. — Komandor spojrzął na Dietza i polecił:

— Wynurzyć się na głębokość peryskopową, pod ostrym kątem, nie przecinając bariery akustycznej.

Rozległy się komendy i okręt podpłynął w górę. Kelly, nie zwracając specjalnej uwagi na poszczególne słowa wypowiedane przez ludzi, sprawował pełną kontrolę nad całością.

Dietz wysunął peryskop i przyłożył oczy do okularu. Okręt kołysał się z powodu silnych fal.

— Na zewnątrz pada, panie kapitanie — zameldował. — To gęsta ulewa. Niebo jest ciemne.

— Cholera — zaklął McKee, zerkając na Petri. — Chmury przesłonią widok satelity.

— Pozostanie nam podcierwień, sir.

— Lepsze niż nic.

— Poza tym fale osłonią nasz peryskop.

Kelly zastanawiał się, gdzie może być nieprzyjacielska flotylla.

— Sonar, tu kapitan. Meldować o wszystkich kontaktach — rozkazał przez mikrofon.

— Żadnych kontaktów, sir — odpowiedział szef operatorów sonaru, bosman Cook. Cook wydawał się żywcem przeniesiony z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Miał krótką grzywkę; nosił okulary w grubej, czarnej oprawce i białe skarpetki. Był także znakomitym operatorem sonaru. Wiedział o tym i był z tego dumny.

McKee wyciągnął cygaro Cohiba i obciął końcówkę przyrządem, który dostał kiedyś od żony, z wygrawerowanym napisem: „Mojemu najukochańszemu Kelly’emu”. Nie bardzo pasował on do znajdującego się wokół wojskowego sprzętu. Komandor był jednak w tej chwili tak pochłonięty rozwojem sytuacji, że nawet nie stanął mu przed oczami obraz Diany. Zapalił cygaro, wypełniając mostek chmurą dymu. Było to jego pierwsze cygaro tego dnia i podziałało na niego uspokajająco. Chciał, żeby załoga widziała go właśnie takiego, zaciskającego w zębach cygaro, podczas gdy prowadzi ich do walki.

— Pozostaje nam teraz czekać, XO — powiedział do Petri. Spojrzał na nią, żeby ocenić jej stan psychiczny. Wydawała się dostatecznie spokojna. Skinęła głową w odpowiedzi.

McKee popatrzył na zegarek. Jedenasta. Satelita zwiadowczy Keyhole powinien przekazać już swoje dane CombatStarowi, a ten łączył się pewnie z „Devilfishem”. Ulokowana w peryskopie antena odbierze je i wyposaży główny komputer okrętu we wszystkie dostępne dane na temat zbliżającej się flotylli. Nawigator, który za nie odpowiadał, zajął przednie stanowisko rzeczywistości wirtualnej. Z sufitu osunęło się na niego coś w rodzaju jajowatej klatki o średnicy poziomej półtora metra. Wnętrze wspartego na podłodze jaja stanowił ekran komputerowy, na którym Cyclops obrazował swoje dane.



— Panie kapitanie, tu nawigator. Otrzymaliśmy transmisję — zameldował Judison.  
— Jest flotyła.

McKee wszedł do ostatniego z czterech projektorów, oznaczonego VR4. Oparł się o barierkę dla zachowania równowagi i założył jeszcze specjalne, szerokokątne okulary, umożliwiając komputerowi trójwymiarową projekcję zbliżającej się Floty Czarnomorskiej.

— Uruchomić ekran bojowy — rozkazał komputerowi. Natychmiast znalazł się w innym świecie. Zamiast mostka okrętu podwodnego zobaczył wokół siebie coś w rodzaju olbrzymiej kotliny o płaskim dnie. W pozornej odległości boiska piłkarskiego dno to zaginało się ku górze, najpierw łagodnie, dalej coraz bardziej stromo. Człowiek czuł się trochę jak na wielkim stadionie bez miejsc siedzących, o jednolitej, oliwkowej powierzchni. Nałożona była na nią siatka linii, przypominająca do złudzenia siatkę geograficzną mapy. Linie obrazowały kierunki i odległość. Płaska część kotliny czy stadionu oznaczała obszar oceanu najbliższy „Devilfisha”, znajdujący się w zasięgu peryskopu. Wszystko to, co nie kryło się za horyzontem, komputer pokazywał na tej właśnie części misy.

Wykryte jednostki leżące poza zasięgiem wzroku komputer przedstawiał na bardziej odległej, pochylonej części kotliny. W połowie wysokości stoku kolor podłoża zmieniał się z oliwkowego na różowy. Sygnalizowało to granicą zasięgu torped okrętu. Do korzystania z wirtualnej rzeczywistości trzeba było się przyzwyczaić. Jednak po paru tygodniach treningu oficerowie nie potrafili się bez niej obejść.

— Panie kapitanie, tu nawigator. Informacje o grupie bojowej zostały przetworzone — usłyszał McKee. — Kierunek zero jeden zero, odległość osiemdziesiąt siedem mil.

— Bardzo dobrze — odparł komandor. Obrócił się w stronę rzeczywistej pomocy. Dziesięć stopni po prawej, daleko, w górze misy, zobaczył kropki oznaczające nieprzyjacielskie jednostki.

— Nadchodzą liczne nowe dane dla komputera — poinformował Judison. Punkty przybrały różne kształty. Jeden miał formę trójwymiarowego rombu wielkości piłki plażowej i czerwoną barwę. Oznaczał lotniskowiec. Drugi stał się niebieskim sześcianiem wielkości pudełka na kapelusze. Fregata. Kiedy wszystkie punkty zmieniły się w kolorowe kształty, obraz flotyli świecił się jak choinka. Barwne figury geometryczne przesunęły się powolutku w dół gładkiej ściany wirtualnej areny. Poza tym nie było na niej niczego. Kelly zamrugał oczami i pojawił się przed nim kursor. Przesunął wzrok i kursor przesunął się również. Spojrzał na czerwony romb i znowu mrugnął. Po prawej stronie symbolu lotniskowca pojawiło się mnóstwo danych.

— Czas — polecił McKee. Zobaczył przed sobą cyfry zegara. — Proszę o zalecenie Cyclopsa użycia Sharkeye'ów. Numer dwa — w lewo, odległość osiemdziesiąt tysięcy metrów od „Devilfisha”; numer jeden — w prawo, odległość czterdzieści tysięcy metrów. Prędkość ruchu — powoli. Obliczyć.

Spod stóp komandora wystrzeliły dwa pomarańczowe promienie. Jeden z nich po-  
dążył w prawo od nieprzyjacielskiej armady, drugi — w lewo. Pojawiły się także zegary  
odliczające czas do zalecanego przez komputer momentu odpalenia. Numer dwa miał  
być odpalony już za dwie minuty, numer jeden za siedem. Dziesięć minut później wy-  
posażone w specjalne głowice torpedy posuwały się w stronę ścian misy. McKee palił  
cygaro; system wentylacyjny komory odciągał dym i nawiewał od spodu świeże powie-  
trze. Komandor odczekał kolejne dziesięć minut. Torpedy dotarły na miejsca przezna-  
czenia; sensory Sharkeye'ów oddzieliły się od nich i wypuściły połączone kablami małe  
boje — nadajniki. Miały porozumiewać się z „Devilfishem” za pośrednictwem satelity  
Combatstar.

Panie kapitanie, tu nawigator. Oba Sharkeye'e nadają — zameldował Judison. Teraz  
obraz flotylli pochodził już z dwóch sonarów Sharkeye, a nie z satelity, który mógł zo-  
stać zasłonięty. Zanim Flotę Czarnomorską będzie słychać w sonarach „Devilfisha”, po-  
łowa torped zostanie odpalona. Barwy zniżających się wciąż po ścianie misy figur po-  
jaśniały. Znaczyło to, że przekazywane dane są teraz bardziej wiarygodne. Wrogie jed-  
nostki zaczęły przeinaczać linię oznaczającą odległość sześćdziesięciu mil morskich. Po  
kilkunastu kolejnych milach flotylla zacznie przechodzić z obszaru różowego w oliwkowy,  
a więc znajdzie się w zasięgu torped okrętu.

— Nawigator, podać status wyrzutni torpedowych — zażądał McKee.

— Sir, wszystkie cztery załadowane torpedami Mark 58, nastawionymi na średnią  
prędkość — odparł Judison.

— Świetnie. Oficer pokładowy, uruchomić komputerową kontrolę wyrzutni. — Teraz  
torpedami i ich wyrzutniami miał sterować Cyclops, główny komputer „Devilfisha”. To  
on będzie ładował do wyrzutni nowe torpedy, wyrównywał ciśnienie wyrzutni, zale-  
wał je, otwierał zewnętrzne wrota, wystrzeliwał pociski, zamykał wrota, osuszał wyrzut-  
nie, otwierał wewnętrzne wrota, ładował kolejne torpedy. Alert/Acute będą opuszczają  
okręt co piętnaście sekund. W ten sposób dwadzieścia trzy torpedy zostaną wystrzelone  
w niecałe siedem minut.

— Wyrzutnie podłączone pod Cyclopsa, panie kapitanie — zameldował Dietz.

Na oczach komandora dwadzieścia parę wrogich okrętów wpłynęło w oliwkowy,  
środkowy obszar misy, a później minęło okrąg oznaczający czterdzieści mil morskich,  
przy którym tkwił jeden z sonarów Sharkeye.

— Mostek, tu sonar — odezwał się basem bosman Cook. — Mamy nieprzyjacielską  
flotyllę. Widzimy na ekranie wszystkie dwadzieścia pięć celów. I położenie, i kurs zga-  
dzają się z danymi z Sharkeye'ów.

— Tak sonar, tu mostek — odpowiedział Dietz. — Panie kapitanie, pierwsza torpeda  
poleci za dziesięć sekund.

— Tu kapitan, rozumiem.

Spod podłogi rozległ się głośny trzask. To torpeda opuściła wyrzutnię.

Od stóp McKee oderwała się struga błękitnego światła, sunąc w stronę nieprzyjacielskiej armady. Po piętnastu sekundach dołączył drugi, podobny promień, później kolejny i jeszcze jeden. Promienie przemieszczały się z początku szybko, potem wolniej, gdyż kręgi oznaczające odległość były położone coraz bliżej siebie. Po sześciu minutach została wystrzelona ostatnia z torped. Gdy kolorowe figury zbliżyły się do kręgu dwudziestu mil, pierwszy z promieni osiągnął cel. Wielki romb zaczął powoli pulsować. Wtedy trafiła go druga struga światła i pulsowanie przyspieszyło.

— Mostek, tu sonar; wykrywamy detonacje z kierunku celu jeden.

W ciągu następnych kilku minut zaczynały pulsować kolejne figury, w miarę jak docierały do nich niebieskie linie. Jeśli sensory się nie myliły, w odległości dwudziestu mil morskich na północny wschód od „Devilfisha” torpedy osiągnęły cel.

— Mostek, tu sonar, system oceny kąta sygnału wskazuje na to, że nieprzyjacielskie okręty toną.

— Tu kapitan, ile?

— Odbieramy dziesięć tonących okrętów.

— Co z celem numer jeden?

— Ciągłe na powierzchni.

McKee zamrugał, żeby pojawiły się dane tekstowe. Okulary przekazały sygnał komputerowi okrętu. Przy kilku figurach pojawiły się różne dane; przy dwunastu widniał napis „Jednostka tonie”. Przyszła kolej na odpalenie Vorteksów.

— Oficer pokładowy, zanurzyć się na głębokość dwustu czterdziestu metrów; prędkość — piętnaście węzłów polecił komandor.

Pokład przybrał pozycję ukośną i „Devilfish” zaczął zsuwać się w głębinę. Wirtualny obraz wokół Kelly’ego uległ zmianie. Wyglądało to tak, jakby stopy komandora przebiły dno misy. Teraz okręgi oznaczające odległość znalazły się nad nim, pod nim i na jego wysokości. Trójwymiarowy obraz przeszedł w tryb przeciwpodwodny, umożliwiając prezentację zanurzonego nieprzyjacielskiego okrętu.

— Nawigator; wycelować dziesięć Vorteksów w pozostałe na powierzchni ważne cele.

— Celujemy kolejno według ważności poszczególnych jednostek, panie kapitanie — meldował Judison.

— Uruchomić komputerową kontrolę wyrzutni pionowych — polecił McKee.

Po chwili „Devilfish” zaczął wystrzeliwać torpedo-rakiety — w odstępach jednej minuty. Ich ślady na ekranie miały barwę czerwoną. Czerwone promienie posuwały się ku celom znacznie szybciej niż błękitne — Vorteksy pokonywały dzielące ich od celu osiemnaście mil w cztery minuty.

— Mostek, tu sonar detonacje od strony pozostałych celów — zameldował Cook.

McKee zamrugał, żądając danych. Przy niektórych okrętach Floty Czarnomorskiej zapaliły się napisy „Jednostka tonie”; były jednak i takie odporne, które pozostawały ciągle na powierzchni. Wreszcie komputer zakończył atak. Kelly zdecydował się podpłynąć blisko i obejrzeć jego rezultaty. Ściągnął szerokokątne okulary i podciągnął jajoratą komorę. Poczul się, jakby wyszedł z pomieszczenia na światło słoneczne. Rzucił zimny i przeżuty niedopałek cygara do kosza na śmiecie.

— Przejmuję mostek — oznajmił.

— Kapitan przejął mostek — powtórzył Dietz.

— Pilot, ster pięć stopni w prawo; ustabilizować kurs jeden zero zero, pełna cała naprzód. Sonar, tu kapitan; przyspieszamy i kierujemy się na południowy wschód.  
— McKee wszedł na stanowisko peryskopowe. — Grupa ogniowa — uwaga. Zamierzam zbliżyć się do nieprzyjacielskiej flotylli i zobaczyć skutki ataku. Najpierw zejdziemy z kursu, którym popłynęły nasze torpedy i rakiety. Skręcamy w tym celu na południowy wschód. Po przepłynięciu dziesięciu mil skręcimy na północ. Kiedy znajdziemy się na wysokości Floty Czarnomorskiej, podpłyniemy ku niej powoli od wschodu. Wykonać.

Upływały kolejne minuty, podczas gdy okręt manewrował. Zanim skręcił na północ, komputer zameldował o trafieniach ostatnich celów z torpedo-rakiet. Sonar nie był w stanie potwierdzić, że trafione jednostki toną. Prawdopodobnie zostały rozerwane na tak małe części, że dla systemu sonaru wydawały się one tylko zakłóceniami tła.

McKee spróbował przeanalizować swoje wrażenia i reakcje po dokonanym ataku. Stwierdził, że właściwie nic nie czuje. Ani żalu, ani radości. Nie miał też poczucia straty ani zwycięstwa. Było tak, jakby zagrał właśnie w grę komputerową. W sensie wykonanych przez niego czynności nic więcej zresztą nie zrobił. Ale i nieprzyjaciela postrzegał podczas ataku tylko jako kolorowe, świecące figury na wirtualnej arenie.

— Pilot — głębokość dwadzieścia trzy metry; kąt dwadzieścia stopni, pełna cała naprzód. — Komandor zamierzał wynurzyć okręt rozpędem, z głębokości dwustu czterdziestu metrów na dwadzieścia trzy. — Podaj prędkość dwunastu węzłów.

— Tu, pilot; cała naprzód, dwadzieścia trzy metry, kąt dwadzieścia w górę. Obecny kąt dziesięć w górę, piętnaście...

Pokład ustawił się tak stromo, że Kelly z trudem utrzymał się przy barierce.

— Sto pięćdziesiąt metrów, sir.

McKee czekał. Zerknął na wskaźnik wyrzutni. „Devilfishowi” pozostały trzy torpedy; wszystkie załadowane były do wyrzutni, już zalanych, o otwartych wrotach. W dwóch pionowych pozostały Vorteksy. Pokrywy były zamknięte, ale otwierały się szybko.

— Sześćdziesiąt metrów, sir, dwanaście węzłów.

— Cała w tył jedna trzecia — rozkazał komandor. — Zmniejszyć kąt do pięciu stopni, podaj prędkość pięciu.

— W tył jedna trzecia, sir; kąć pięć w górę, czterdzieści pięć metrów. Pięć węzłów.

— Cała naprzód jedna trzecia. W górę.

— Czterdzieści dwa metry, panie kapitanie.

— Peryskop numer dwa.

— Prędkość pięć, głębokość trzydzieści trzy metry.

— Peryskop w górę. — Komandor pokręcił kółkiem i z podłogi wysunął się słup peryskopu. Kiedy osłona okularu znalazła się na wysokości pasa Kelly'ego, nachylił się i przyłożył twarz do gumowego fartucha. Uniósł za pomocą lewego uchwytu pole widzenia, spoglądając na fale ponad „Devilfishem”.

— Dwadzieścia siedem metrów, sir.

Obiekt w peryskopu znajdował się trzy metry pod wodą, McKee wykonał nim szybki obrót, po czym znów popatrzył w kierunku ruchu okrętu. Płynęli w stronę storpedowanej flotyli, odległej teraz o niecałe pięć mil, czyli mniej niż dziesięć kilometrów. Gdy peryskop się wynurzy, powinni zobaczyć pozostałe na powierzchni jednostki.

— Dwadzieścia sześć metrów, dwadzieścia pięć.

— W górę!

— Dwadzieścia cztery...

— Peryskop się wynurza! — Kelly zobaczył pianę. Zaklął pod nosem, wiedząc, że przy minimalnej prędkości ważący siedem tysięcy siedemset ton okręt potrafił wynurzać się w tempie półtora metra na minutę.

— Dwadzieścia trzy metry, sir.

— Wynurzaj szybciej. Na razie nic nie widać.

Zapanowała martwa cisza. Okular peryskopu wystawał już odrobinę ponad powierzchnię wody, jednak niewysokie fale wciąż zasłaniały widok.

— Dwadzieścia dwa metry, panie kapitanie.

Na to, co zobaczył McKee, nie przygotowało go nawet szesnaście lat służby na okrętach podwodnych. Petri, Judison i inni dostrzegli na ekranach to samo. Rozległ się zbiorowy, stłumiony okrzyk.

Na zalewanym deszczem morzu kołysał się olbrzymi lotniskowiec. Był przechylony żałośnie na prawą burtę; potężny pokład startowy sterczał w górę skosem, prawą stroną dotykając niemal fal. Na okręcie szalał pożar. Nie widzieli śladu życia, ale właściwie cały pokład ogarniały straszliwe płomienie. Po lewej znajdowało się coś, co jeszcze kilka minut temu było dumnym krążownikiem. Teraz dziób i nadbudowę zalała już woda; wystawała z niej tylko część rufowa z widocznym lądowiskiem dla śmigłowca i śrubami. Amerykanie nie zobaczyli żadnych szalup, unoszących się statków powietrznych, pływających mężczyzn w kamizelkach ratunkowych. Po prawej znajdował się okręt desantowy, przerobiony ze starego krążownika. Na oczach Kelly'ego zaczął wsuwać się pod wodę wraz z uczepionymi do górnych pokładów szalupami. Następnie powoli przewró-

cił się do góry dnem, wzbijając potężne fontanny. Jako ostatnie zanurzyły się jego dwa duże kominy; aż w końcu na wodzie widniał tylko obły, zardzewiały spód kadłuba wraz z mosiężnymi śrubami, sterczącymi rozpaczliwie ku płaczącemu niebu.

McKee przełączył peryskop na duże powiększenie, chcąc poszukać rozbitków. Obraz zmienił się skokowo. Nikogo nie było widać. Ani pływających ludzi, ani nawet ciał. Tylko parę pustych, zerwanych kamizelek ratunkowych i trochę innych przedmiotów. Na okręcie desantowym były z pewnością tysiące ludzi; jednak wszystkie jego szalupy zostały zatopione, kiedy się przewracał. Tak, widać było sporo pływających szczątków, lecz ani jednego człowieka.

Komandor popatrzył znowu na lotniskowiec. Ogień pożerał cały pokład. Okręt był teraz nachylony pod większym kątem niż przed chwilą; dziób chował się w wodę. Z górnych pokładów buchały pomarańczowe płomienie i kłęby gęstego, czarnego dymu. Iluminatory dolnych pokładów były wybite, lecz nie widzieli w nich ludzi. Wodę wokół umierającego giganta pokrywały szczątki i płonące plamy paliwa. I tam nie było śladu życia.

Krażownik po lewej zniknął właśnie pod wodą, jego śruby zasłoniła fala, powierzchnię wzburzały jeszcze tylko bąble powietrza. Rozległ się żaloszny, przeciągły, metaliczny jęk, słyszalny wyraźnie aż na mostku „Devilfisha”.

— Mostek, tu sonar, wyginają się przegrody krążownika — zameldowano.

Tknięty nagłym przeczuciem McKee skierował peryskop z powrotem na lotniskowiec. Zza pływającej wyspy wyłonił się śmigłowiec do zwalczania okrętów podwodnych.

— Śmigłowiec! Celuj rakietą! — krzyknął komandor.

— Wyrzutnia uzbrojona, automat, drzwi otwierają się, wyrzutnia gotowa, kapitanie! — Dietz natychmiast uzbroił znajdującą się w rufie okrętu wyrzutnię małych rakiet przeciwlotniczych Mark 80.

— Strzelam osiemdziesiątką! — rzucił Kelly, trochę za głośno, wciskając czerwony przycisk na lewym uchwycie peryskopu. Z małej, pionowej wyrzutni wystrzeliła rakietka, długa na dwa i pół metra i gruba na dwadzieścia centymetrów. Komandor prowadził celownik peryskopu na zakręcający ku niemu śmigłowiec. Płomienna strzała przebiła powietrzny statek, który eksplodował w ognistej kuli.

— Przeszukuję powietrze — zawołał McKee, rozglądając się szybko za kolejnym śmigłowcem czy samolotem. Niebo było już jednak puste. Poczł, że tempo bicia jego serca wraca do normy. Puścił prawy uchwyt i otarł dłonią pot z czoła, miał wrażenie, że przebiegł dobry kilometr.

Teraz przez peryskop można było zobaczyć już tylko jeden okręt. Lotniskowiec, który uparcie pozostawał wciąż na powierzchni. Dziób zbliżył się do wody, płomienie na pokładzie startowym dogasały, z nadbudowy wydobywał się jedynie czarny dym.

— Grupa ogniowa, uwaga. Zamierzam podejść do lotniskowca, aby dokładniej mu się przyjrzeć — oznajmił Kelly. — Wszystkie pozostałe okręty zatoniły. Pilot, ster piętnaście stopni w lewo, ustabilizować kurs dwa sześć zero, prędkość osiem węzłów.

Po dwudziestu minutach „Devilfish” zbliżył się na milę morską, czyli niecałe dwa kilometry, do lotniskowca. Teraz jego dziób zniknął już pod wodą; przednia krawędź pokładu startowego zanurzyła się właśnie przed chwilą. Pożary pogasły. Szary dawniej okręt pokryły plamy czerni. Tkwił wciąż na wodzie, nieruchomy i milczący. Rozkaz operacyjny admirała Phillipsa wyklucza taką możliwość — pomyślał McKee. Jeśli lotniskowiec nie zatonie, będzie fizycznym dowodem na to, że flota została storpedowana. Wskaże miejsce jej zatopienia i statki poszukiwawcze z łatwością odnajdą na dnie oceanu podziurawione kadłuby. Jeśli natomiast zniknie z powierzchni, niewielu ludzi na świecie dowie się, że flotylla dotarła akurat w to miejsce.

— Grupa ogniowa, uwaga. Zamierzam wystrzelić Alert/Acute w stronę lotniskowca — celu numer jeden. Tryb bezpośredniego kontaktu, tor płytki, odbezpieczenie natychmiastowe.

Cztery minuty później z kadłuba lotniskowca wystrzeliły kolejne płomienne eksplozje. Na ostatnie dziesięć minut życia wielki okręt znowu ogarnięty został przez ogień i dym. W końcu zanurzył się pod wodę, stopniowo, od dziobu do rufy. Pozostały po nim jeszcze bąble powietrza, piana i płonące plamy paliwa. Po dwustu pięćdziesięciu metrach donośny łoskot dał znać, że pokład startowy i główne przegrody załamały się pod ciśnieniem wody. Sonary „Devilfisha” śledziły zatopiony okręt do chwili, gdy na głębokości pięciu kilometrów uderzył w dno oceanu, przełamując się na dwie części. Gdy znieruchomiały, ich słabiotkie echa rozmyły się w szumach tła.

Flota została zatopiona. Wraz z nią zniknął cały entuzjazm, jaki Kelly McKee żywił do powierzonej mu misji. Tak jak powiedział dobry doktor — zabili właśnie co najmniej dwadzieścia tysięcy ludzi. Komandor poczuł ból w żołądku. Zamrugnął oczami, jak gdyby chciał w ten sposób odegnać obrazy tonących okrętów.

— Oficer pokładowy, zabezpieczyć stanowiska bojowe. Zdję panu mostek — powiedział. Złożył uchwyty peryskopu i opuścił go. — Zanurzyć okręt i krążyć wokół Punktu Zulu z prędkością pięciu węzłów. Napiszę raport sytuacyjny. Śledzić uważnie akwen w poszukiwaniu okrętu klasy Siewierodwińsk. Być przygotowanym na ewentualne natychmiastowe odpalenie naprzeciw niemu Alert/Acute’a.

Nie mówiąc ani słowa więcej, komandor zszedł z mostka i zamyślony ruszył do swojej kabiny. Zamknął drzwi i opadł na fotel. Prześladowała go myśl, że nie zobaczył żadnego człowieka ani nawet ciała. Jak to możliwe? Widocznie torpedy Mark 58 miały aż tak potężną siłę wybuchu. Zabijały marynarzy lub ogłuszały ich, po czym wszyscy tonęli wraz z okrętem. A co z okrętami desantowymi? Przecież na wypełnionej tysiącami komandosów jednostce co najmniej kilkudziesięciu żołnierzy powinno stać na zewnętrznych pokładach, oddychając świeżym powietrzem czy paląc; nawet podczas deszczu...

Dalsze rozmyślenia McKee przerwał dobiegający z głośnika niespodziewany, podniesiony głos Bryana Dietza:

— Przygotować wyrzutnię numer jeden! — Oficer pokładowy rozkazał przygotować się na odpalenie torpedy w stronę nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego.

Komandor siedzący przed chwilą z twarzą ukrytą w dłoniach popędził z powrotem na jasno oświetlony mostek. Założył szybko słuchawkę z mikrofonem i skoczył na stanowisko czwarte. Projektor rzeczywistości wirtualnej zjechał na niego z góry. Zaświecił się ekran.

Kelly krzyknął na komputer, żeby pokazał oficera pokładowego. Na tle ekranu pojawiła się poblada twarz Dietza, z oczami wielkości spodków. Od razu zaczął meldować łamiącym się głosem:

— Siewierodwińsk, panie kapitanie; kierunek dwa siedem pięć. Zbliżył się od północy, zza tonącej flotyli. Sonar nie wykrył go, ponieważ ten kierunek zagłuszały bąble z zatopionych okrętów.

— Status stanowisk bojowych? — warknął McKee, starając się powstrzymać ogarniającą oficera pokładowego panikę. Jego komenda „przygotować wyrzutnię numer jeden” automatycznie przywołała z powrotem obsadę stanowisk bojowych.

— Chwileczkę, sir. Dowódca wachty?

— Stanowiska bojowe obsadzone, sir — odparł inny głos.

— XO? — zawołał komandor. Nakazał komputerowi pokazać twarz Petri obok Dietza.

— Jestem, panie kapitanie. — Karen wyglądała ponuro, brwi miała zmarszczone.

— Numer celu? — spytał Kelly.

— Cel dwadzieścia sześć — odparła szybko.

McKee popatrzył na wyświetlany obraz. Otaczały go linie oznaczające odległość, kierunek i głębokość. W oddali, nieco powyżej komandora, pulsował obiekt. Wydawało się, że jest oddalony o jakieś dwanaście metrów. Miał kształt cygara metrowej długości. Zdawał się dziwnie przesuwać, to zbliżać, to znów oddalać. W ten sposób komputer informował, że dokładna odległość celu nie jest znana. Faktyczny dystans wynosił od dwudziestu do około trzydziestu pięciu mil. Dla komandora było to stanowczo za dużo. Oba okręty znajdowały się w zasięgu swoich torped. Wystrzelenie Alert/Acute'a spowoduje mimo wszystko hałas, który może zdradzić wrogowi pozycję „Devilfisha”.

Gdyby Kelly postępował jak bezmyślny automat, zgodnie z zaleceniami podręczników, odpaliłby torpedę w trybie maksymalnego wyciszenia, związanego z minimalną prędkością pocisku. Nie dotarłaby ona wtedy do nieprzyjacielskiego okrętu przed upływem godziny. W tym czasie Siewierodwińsk mógł wystrzelić dwadzieścia pięć swoich torped. McKee zdecydował, że to nie najlepsza taktyka. Zdawał sobie sprawę, że później może zostać oskarżony o brak cierpliwości lub nawet poddanie się lękowi, jednak sytuacja naprawdę wymagała, aby zadziałał szybko.



— Nawigatorze, zaprogramować Vorteksy jedenastcie i dwanaście na tryb celu zanurzonego.

— Vorteksy jedenasty i dwunasty ustawione na tryb celu zanurzonego — posłusznie odparł Judison po dwudziestu długich sekundach, choć jego głos zdradzał zaskoczenie.

— Grupa ogniowa, uwaga.

McKee stwierdził z zadowoleniem, że zabrzmiało to spokojnie, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że spokojny bynajmniej nie jest. Czuł ucisk w gardle i nieprzyjemny smak w ustach. Gdyby jednak zauważyła to załoga, sytuacja wymknęłaby się natychmiast spod kontroli. — Wystrzelę dwa Vorteksy w stronę Siewierodwińska — oznajmił komandor. — Przy prędkości trzystu węzłów pocisk dotrze do celu za pięć do ośmiu minut. Jednak prawdopodobnie hałas napędu raketowego spowoduje, że ukraiński kapitan odpowie ogniem. Sądzę, że na razie nas nie słyszą, ale nasze rakiety z pewnością sprowokują ich atak. Zatem odpalimy Vorteksy i odpłyniemy w bok, żeby zejść ze wskazywanego przez nie położenia. Pozostaniemy w okolicy na tyle długo, by sprawdzić, czy Siewierodwińsk zatonął. — Kelly wziął oddech i dokończył:

— Uruchomić procedurę celowania, wyrzutnie pionowe jedenasta i dwunasta rakiet Vortex Delta, tryb przeciwpodwodny, cel numer dwadzieścia sześć.

— Jedenastka i dwunastka pod kontrolą Cyclopsa, autoodpalanie, sir — zameldował Judison.

— Dobrze — potwierdził McKee i czekał z bijącym mocno sercem. Kilka sekund później odezwały się z przodu dwie wyrzutnie. Dwa niebieskie promienie zaczęły sunąć powoli w stronę symbolu wrogiego okrętu. Po niecałej minucie uruchomiły się silniki raketowe. Było je doskonale słychać nawet na mostku. Promienie na trójwymiarowym obrazie pomknęły do celu. Komandor obserwował go, czekając na oznaki wskazujące, że nieprzyjaciel wykrył hałas Vorteksów. W końcu pociski znalazły się pół mili od Siewierodwińska, a ten ciągle nie odpowiadał ogniem. McKee uśmiechnął się pod nosem. Być może bitwa wkrótce się skończy. Zobaczył, że pierwszy, a potem drugi promień dosięgają symbolu celu, który znikł w jasnej, pulsującej chmurze.

— Mostek, tu sonar, cel dwadzieścia sześć tonie — zameldowano.

— Sonar, tu mostek, rozumiem — odparł Dietz. Rozległy się radosne okrzyki.

— Załoga, spokój! — rzuciła Petri. Kelly nie zwrócił nawet uwagi na ten incydent, tak bardzo skoncentrowany był na obrazie celu. Patrzył, czy nieprzyjaciel nie zdążył odpalić jakiejś torpedy.

— Mostek, tu sonar, torpeda płynie z kierunku Siewierodwińska! Cholera — zaklął w myśli komandor. A jednak wrogowi udało się wystrzelić.

— Sonar, tu kapitan, sklasyfikować torpedę! — rozkazał McKee celowo gniewnym głosem, chcąc zmobilizować załogę. — Jestem na mostku. — Zastanawiał się,

czy nie opuścić komory projekcyjnej, tak jak było w czasie ataku na flotyllę nawodną. Trójwymiarowy obraz był mu jednak potrzebny. Zamiast podnosić ekran, Kelly kazał naświetlić twarze swoich najważniejszych oficerów. Oni także widzieli go za pośrednictwem małej kamery, umieszczonej wewnątrz projektora. — Pilot, maksymalna prędkość, kawitacja śruby, ster dziesięć stopni w prawo, ustabilizować kurs na wschód!

— Kawitacja, maksymalna prędkość, ster dziesięć w prawo, kurs wschód — odparł oficer.

— Uwaga torpeda, uwaga torpeda! — rozległo się w głośnikach radiowęzła wołanie Dietza.

— Skręca w naszą stronę, sir! — zameldował pilot.

— Zanurzyć okręt na głębokość testową, czterysta pięćdziesiąt metrów! — rozkazał McKee. Być może „Devilfish” był odrobinę szybszy od nieprzyjacielskiej torpedy. W głębinie, gdzie woda jest o jeden stopień zimniejsza, będzie mniej intensywnie gotować się za łopatkami śruby, co zwiększy siłę napędową. Poza tym torpeda mogła nie wytrzymać ciśnienia panującego na głębokości czterystu pięćdziesięciu metrów. — Pilot, prędkość ratunkowa, moc dwieście procent! — wydawał kolejne rozkazy Kelly. Przy tak radykalnie zwiększonej mocy reaktora okręt mógł zyskać jeszcze jakieś pięć węzłów. Oznaczało to jednak z pewnością konieczność spędzenia trzech miesięcy w suchym doku w celu wymiany zniszczonych prętów paliwowych. Poza tym w całej środkowej i rufowej części „Devilfisha” wystąpi wysoki poziom promieniowania radioaktywnego. Ale to i tak lepsze niż trafienie torpedą...

— Sonar, tu kapitan; sklasyfikować torpedę, do cholery! — warknął McKee. Ciągłe nie wiedział, co ich ścigało. Siewieromorsk o średnicy pięćdziesięciu dwóch centymetrów? Rewolucja kulturalna — produkcji chińskiej, o tej samej średnicy? A może — oby nie! — Rosyjska Magnum; torpeda metrowej średnicy, wyposażona w głowicę plazmową?

— Panie kapitanie, tu sonar; widmo częstotliwości torpedy przypomina Rosyjską Magnum — zabrzmiał głos bosmana Henry'ego.

Zginiemy...! — pomyślał McKee.

— Jednak niskie częstotliwości śruby odpowiadają naszej amerykańskiej Mark 48 Adcap, sir — dodał bosman.

McKee przełknął. Albo operatorzy sonaru potracili głowy ze strachu, albo Rosjanie skonstruowali jakąś nową wersję Magnum. A może to Ukraińcy zdobyli starą amerykańską Mark 48 Adcap sprzed dwudziestu lat i włożyli do niej inny silnik. Jeśli był to ulepszony Adcap, sytuacja przedstawiała się mamie. Torpeda ta, nawet w wersji oryginalnej, osiągała pięćdziesiąt pięć węzłów; czyli na pewno więcej niż ratunkowa prędkość „Devilfisha”, która wyniosła... — McKee uniósł głowę ku prędkościomierzowi — ...pięćdziesiąt dwa węzły; no właśnie! Torpeda ich dopadnie. Nawet jeśli zajmie to godzinę, Adcap dogoni ich i wybuchnie.

Z drugiej jednak strony Adcap wytrzymał w próbach ciśnienie panujące na głębokości pięciuset sześćdziesięciu pięciu metrów, a poniżej ulegał zgnieceniowi. Zostało to potwierdzone wielokrotnie. Tyle że teoretycznie woda powinna zmiążdżyć „Devilfisha” już na głębokości pięciuset pięćdziesięciu metrów...

— Torpeda się zbliża, panie kapitanie — meldował główny operator sonaru. McKee popatrzył pod nogi. Ujrzał tam kształt okrętu podwodnego swego własnego okrętu. W oddali widać było zamazaną chmurę — szczątki rozerwanego eksplozjami dwóch torpedo-rakiet Siewierodwińska. Pomiędzy jednym a drugim widniał krwistoczerwony obiekt rozmiarów banana, odległy na trójwymiarowym obrazie o jakieś trzy metry. Pełzł ku Kelly’emu.

— Mostek, tu sonar; odległość torpedy — trzy tysiące metrów; uaktywniła układ naprowadzania.

— Sonar, tu kapitan; czy jesteście w stanie lepiej sklasyfikować torpedę?

— Panie kapitanie, tu sonar... wydaje się... to znaczy... Cisza.

— Sonar, tu kapitan, meldować! — wrzasnął z furią McKee, przewyciężając własny strach.

— Sir, to z całą pewnością Mark 48 Adcap.

— Pilot, zanurzyć powoli okręt na głębokość pięciuset osiemdziesięciu metrów, pod bardzo płytkim kątem; nie szybciej niż trzy metry na sekundę.

— Czy mogę prosić o powtórzenie, sir...? odpowiedział pilot. Rozkaz, który otrzymał, mógł doprowadzić do zmiążdżenia okrętu.

— Cholera! Rozkazałem zanurzać okręt! Płaski kąt, trzy metry na sekundę, 580 metrów — odparł Kelly.

— Słyszał pan kapitana, panie Phelps! Zanurzać, do kurwy nędzy! — zawtórowała ostro Petri.

Pilot ponaglony zdecydowaniem kapitana czy też przekleństwem, jakie niespodziewanie padło z ust XO, zaczął pogrążyć „Devilfisha” w głębinę.

Pokład pochylił się; kadłub jęczał pod wpływem ciśnienia napierającej wody. McKee zazwyczaj nie zwracał uwagi na tego rodzaju dźwięki okręt był wykonany z najlepszej stali HY-120 o znakomitych własnościach wytrzymałościowych. Cały „Devilfish” stanowił właściwie wielki zbiornik ciśnieniowy, o ścianach grubych na pięć centymetrów. Jednak w tej chwili kapitan wprowadzał go wraz ze stu trzydziestoma trzema ludźmi załogi, którymi miał obowiązek się opiekować, w obszar ciśnienia, na które producent nie dawał gwarancji. W dokumentach okrętu, sporządzonych przez dział Electric Boat Division firmy DynaCorp, mieszczący się w Groton, w stanie Connecticut, zapisano, że okręt wytrzyma głębokość czterysta sześćdziesiąt metrów i że udowodniono to testem. Projektanci szacowali, że rzeczywista głębokość, o współczynniku bezpieczeństwa równym 1,00, gdy woda zmiążdży okręt, powinna wynieść pięćset pięćdziesiąt

metrów. Nie można było jednak tego jednoznacznie stwierdzić bez niszczącego testu. W rzeczywistości mogło się okazać, że „Devilfish” zostanie zgnieciony dopiero na pięciuset osiemdziesięciu, a może nawet sześciuset metrach. Nie było też jednak wykluczone, że katastrofa nastąpi już na głębokości pięciuset trzydziestu metrów, na przykład z powodu rozerwania głównego rurociągu chłodzącej wody morskiej, o czynnej średnicy sześćdziesięciu centymetrów. Woda z niego wypełniłaby kadłub w ciągu minuty. Poza tym okręt płynął szybciej, niż zakładali inżynierowie DynaCorp prowadzący szacunkowe obliczenia głębokości zgniecenia „Devilfisha”. Odrobinę za duży nacisk pilota na drążek sterowy mógł błyskawicznie zamienić okręt w zbiorowy grobowiec.

Co z tego! — zbeształ się w duchu McKee. Albo zginą, albo ujdą z życiem, jeśli pierwsza ulegnie zgnieceniu torpeda.

W tym momencie przez kadłub usłyszeli przeszywający pisk sonaru wrogiego pocisku. Po plecach komandora przeszedł dreszcz.

— Głębokość pięćset dwadzieścia metrów, sir — zameldował pilot niepewnie. — Zanurzamy się dalej... — Zupełnie jakby miał nadzieję na odwołanie rozkazu.

— Niech pan zanurza! potwierdził Kelly głosem ze stali. Serce kołatało mu jednak niemiłosiernie.

Znowu rozległ się przypominający gwizd dźwięk sonaru torpedy. Trwał pięć długich sekund.

— Pięćset trzydzieści pięć metrów, sir...

McKee czekał. Postanowił nagle podnieść otaczający go ekran. Jeśli miał zginąć wraz z załogą w miażdżonym przez wodę okręcie, nie chciał być zamknięty wewnątrz gry komputerowej. Będzie stał na mostku pośród swoich ludzi i dowodził do samego końca. Wciągnąwszy ekran, zobaczył, że Petri i Dietz opuścili już projektory rzeczywistości wirtualnej i stali przy znajdującym się przy prawej burcie ekranie. Komputer wyświetlał obraz bitwy w dwóch wymiarach. Żadne z nich nie podniosło wzroku na kapitana.

— Głębokość pięćset pięćdziesiąt metrów, sir...! — zameldował pilot.

— Bardzo dobrze. Zanurzać okręt dalej, aż do pięciuset osiemdziesięciu metrów — odpowiedział Kelly. Mógł być to ostatni rozkaz, jaki wydał w życiu.

— Pięćset pięćdziesiąt pięć metrów.

McKee skinął głową. W pomieszczeniu mostka znajdowało się oprócz niego dwanaście osób. I dwanaście par oczu wpatrywało się w tej chwili w Kelly'ego, szukając oparcia. Nie mógł im zapewnić bezpieczeństwa. Jednak pomyślał, że jego zachowanie się ma kluczowe znaczenie dla ich stanu ducha. Wyciągnął więc z kieszonki ostatnie cygaro, obciął końcówkę...

— Pięćset sześćdziesiąt metrów.

...Zapalił. Poczuł się, jakby stał na szubienicy. Popatrzył na wygrawerowane na przyrządzie do obcinania cygar słowa Diany. Powinien był jej posłuchać dawno temu. Teraz było jednak już za późno. — Pięćset sześćdziesiąt pięć metrów, sir.

— Bardzo dobrze.

Osiągnęli głębokość, na której woda powinna zgnieść torpedę, jeśli był nią Adcap. Dlaczego właściwie na ukraińskim okręcie podwodnym miała znajdować się nie używana już amerykańska torpeda? Było to co najmniej dziwne. McKee nie miał przedtem czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Teraz za to nie mógł robić nic innego.

— Mostek, tu sonar. Torpeda mija odległość tysiąca metrów — zameldował Cook.

Niedaleko pomyślał Kelly. Jeśli jest szybsza od „Devilfisha” tylko o cztery węzły, i tak dopadnie ich za sześć minut.

— Pięćset siedemdziesiąt metrów, sir.

Pokład jęczał i skrzypiał. Dowódcy okrętu kojarzyło się to z trzeszczeniem lichego, drewnianego domku podczas potężnej burzy.

— Pięćset siedemdziesiąt pięć metrów.

— Sir, okręt osiągnął głębokość pięciuset osiemdziesięciu metrów — zameldował pilot.

McKee wstrzymał oddech. Znajdowali się całe trzydzieści metrów poniżej szacunkowej głębokości, na której powinni zostać zmiążdżeni, gnając na reaktorze wytwarzającym dwieście procent mocy nominalnej. Komandor zdawał sobie sprawę, że dotąd żyje wraz całą załogą tylko dzięki znakomitemu zaprojektowaniu i wykonaniu okrętu przez ludzi z DynaCorp. Boże, dopomóż nam! — myślał. Jeśli nam się uda, ucałuję naczelnego projektanta!

— Mostek, tu sonar; torpeda wydaje dziwne dźwięki.

— Sonar, tu mostek, melduj. — Konkretniej, człowieku! — myślał Kelly.

— Torpeda wydaje odgłosy jakby strzelania, panie kapitanie.

— Odgłosy strzelania...?! — zdumiał się McKee. Nie rozumiał, co się dzieje.

— Tak to brzmi, sir — usłyszał.

A więc mimo doskonałej wytrzymałości okrętu jego taktyka okazywała się nieskuteczna. Torpeda także przetrwała ciśnienie, które powinno było ją zmiążdżyć. W końcu, dlaczego nie, skoro im się udało...?

— Pilot, zwiększyć zanurzenie do pięciuset dziewięćdziesięciu pięciu metrów — rozkazał.

— Jest, kapitanie, pięćset dziewięćdziesiąt pięć. Zanurzam okręt. Rozległ się głośny jęk metalu. Jeśli ściany puszczą, woda zmieni „Devilfisha” w płaską blachę.

— Mostek, tu sonar...

Eksplozja rzuciła Kelly’ego na peryskop. Zgasło światło. Rozległ się alarm i zapaliło czerwone światło awaryjne. McKee wydusił dwa słowa:

— Wynurzenie ratunkowe!

— Pilot, opróżnić główne zbiorniki balastowe! — krzyknęła Petri. Jej głos wydał się komandorowi stłumiony, podobnie jak głośno wyjący alarm. Patrzył na pokład pod sobą.

— Opróżniam dziobowy i rufowy. Głębokość pięćset osiemdziesiąt metrów, sir.  
Serce McKeego łomotało tak, że nie był w stanie odpowiedzieć; poza tym poczuł krew w ustach.

— Mostek, tu manewry; odłączamy reaktor! — zameldowano.

— Mostek, tu sonar, torpeda eksplodowała! W odległości ośmiuset metrów od nas.

— Głębokość czterysta pięćdziesiąt metrów i maleje! — powiadomił pilot

— Oficer pokładowy, podać uszkodzenia! — rzuciła Petri.

Kelly spróbował sięgnąć do najbliższego uchwytu. Wstał. Kręciło mu się w głowie. Z jego ust kapała krew.

— Jest pan ranny, panie kapitanie? — spytała Karen, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Nic mi nie jest — mruknął zdecydowanie, odganiając ją ruchem ręki. Pokład był w tym momencie pochylony pod kątem około dwudziestu stopni, tak że trudno było ustać.

— Panie kapitanie, w żadnym przedziale nie ma widocznych uszkodzeń — zameldował Dietz.

— Głębokość trzysta metrów, sir.

Kelly pomyślał, że musi przerwać ratunkowe wynurzenie, zanim okręt znajdzie się na powierzchni. Niebezpieczeństwo najwyraźniej minęło, a nie można było pozwolić, żeby ktoś ich zauważył.

— Pilot, zalać zbiorniki balastowe, zmniejszyć kąt, zachować głębokość poniżej pięćdziesięciu metrów! — rozkazał.

Pilot zaczął zmagać się ze sterami. Prędkość powodowała, że na ich płaszczyzny działała duża siła, spowalniająca wynurzenie się okrętu. Z drugiej jednak strony „Devilfish” zwalniał z powodu braku napędu.

— Głębokość dwieście czterdzieści metrów, kąt dziesięć w górę, sir! — meldował pilot.

— Utrzymaj nas pod wodą!

— Głębokość sto osiemdziesiąt, kąt dwa stopnie w dół.

— Manewry, tu kapitan, podaj status ponownego uruchamiania reaktora — rzucił McKee do mikrofonu, który ściągnął z sufitu.

— Mostek, tu manewry, uruchamiamy reaktor, szacunkowy czas pełnego odzyskania napędu dwie minuty.

— Głębokość sto czterdzieści metrów, sir, kontroluję ją — zameldował pilot.

— Zachowaj sto czterdzieści metrów — odpowiedział Kelly.

Po krótkim czasie reaktor zaczął znowu normalnie pracować. Komandor wydał kolejne polecenia, zmierzające do szybkiego opuszczenia akwenu. Nie zamierzał pozostać w rejonie, w którym zatopił Flotę Czarnomorską. W końcu poszedł do swojej kabiny i napisał suchy raport z wykonania zadania. Zaniósł go radiooperatorom, wrócił

na mostek i polecił wynurzyć się na chwilę na głębokość peryskopową w celu nadania meldunku i otrzymania dalszych rozkazów. Ku zdziwieniu oficerów rozkazy nadeszły natychmiast. „Devilfish” miał płynąć jak najszybciej z powrotem do Norfolku. W tej sytuacji McKee kazał Dietzowi zanurzyć okręt głębiej, rozwinąć maksymalną prędkość i poszedł z powrotem do kabiny.

Wziął prysznic i zmył z siebie pot wywołany strachem. Założył czysty kombinezon, ale nie poczuł się lepiej. Usiadł w fotelu. W pewnym momencie rozległo się pukanie i do kabiny weszła Petri.

Podniósł ku niej szklany wzrok. Sięgnął po cygaro. Jego ręce dygotały.

— Słucham, XO?

— Sir, chciałam panu powiedzieć, że wykonał pan wspaniałą robotę — oznajmiła Karen.

McKee skinął głową, nie wiedząc, jak ma zareagować na tę pochwałę. Uniósł zapalniczkę, ale dłonie tak mu się trzęsły, że nie był w stanie wydobyć z niej ognia. Petri delikatnie wyjęła mu zapalniczkę z rąk i zapaliła jego cygaro. Pociągnął. Kobieta odłożyła zapalniczkę. Poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Popatrzył znowu na swojego pierwszego oficera, zastanawiając się, czy w jego spojrzeniu widać wdzięczność.

— Dziękuję, XO — powiedział.

— Nie, to ja dziękuję, sir — odparła Petri. — Gdyby nie pan kapitan, już jadłyby nas ryby.

McKee poczuł nagle, że powieki mu ciążyą.

— Jeśli się pani zgodzi, XO, chyba trochę się prześpię — oznajmił. Był kompletnie odrętwiały. Schował ręce pod stół, żeby nie zobaczyła, jak się trzęsą.

— Dobranoc, panie kapitanie — powiedziała Karen.

Wyszła i zamknęła drzwi za sobą. Kelly położył się na koi i natychmiast zasnął jak kamień.

## 5

Zadzwoił telefon, chociaż jakoś inaczej niż zwykle. Widocznie Diana musiała kupić nowy aparat. Właściwie to dziwne, ale Kelly z jakiegoś powodu był pewien, że to ona dzwoni.

— Halo... — wymamrotał sennym głosem, sięgnąwszy po słuchawkę. Pamiętał, że jest wściekły na żonę, tylko nie przypominał sobie dlaczego. — Czego chcesz? — spytał. Słuchawka wypadła mu z ręki. Sięgnął pod łóżko, żeby ją podnieść. — Diana? — rzucił.

— Ee, nie, sir. Oficer pokładowy, sir. — To był głos Judisona. McKee próbował się naprawdę obudzić, ale był tak potwornie zmęczony, że szło mu ciężko.

— Oczywiście — mruknął niewyraźnie. — Słucham pana.

— Sir, jest dwudziesta druga. Jesteśmy wywoływani na głębokość peryskopową na skrajnie niskiej częstotliwości — powiadomił Judison.

Fale skrajnie niskiej częstotliwości są w stanie dotrzeć w wodną głębinę, jednakże przekazanie przy ich pomocy jednego znaku trwa dziesięć do dwudziestu minut. „Devilfish” miał dwuznakowy kod wywoławczy, którego odbiór trwał dłuższy czas.

— Proszę o pozwolenie na wynurzenie się na małą głębokość w celu dalszego wynurzenia się na głębokość peryskopową — ciągnął nawigator.

— Niech pan wynurzy okręt na głębokość peryskopową — odparł McKee, łamiąc własny ogólnie obowiązujący rozkaz, że OOD ma najpierw wynurzać „Devilfisha” na czterdzieści pięć metrów i meldować o ewentualnych wykrytych jednostkach, a dopiero potem może podnosić okręt wyżej. — I proszę nie dzwonić do mnie po raz drugi — zakończył, rzucając słuchawkę na dywan i kładąc się 7. powrotem. Czuł, że koja unosi się wraz z okrętem, a potem kołysze łagodnie pod wpływem fal na głębokości peryskopowej. Czekał, aż nachylił się przy ponownym zanurzeniu „Devilfisha”, jednak kołysała się dalej. W końcu telefon odezwał się ponownie. Kelly odnalazł słuchawkę w ciemności na podłodze i rzucił:

— Kapitan. Co znowu?

— Sir, nadeszła pilna wiadomość, oznaczona „osobiście do dowódcy okrętu”.



Zapukano do drzwi. To radiooperator przyniósł laptopa z wiadomością. McKee odłożył telefon i usiadł. Przez otwarte drzwi wpadło ostre, białe światło, w którym zarysowała się sylwetka przybysza.

Kelly wziął komputer i machnął na podoficera, żeby sobie poszedł. Zaczął czytać. Właściwie tego się spodziewał. Jego krótki, suchy raport o zatopieniu nieprzyjacielskiej floty nie wystarczył admirałom. Domagali się szczegółów. Poza tym kazano mu założyć mundur galowy. Było to dziwne i złowróżbne. Posterowano tak, kiedy pozbawiano kapitana okrętu dowództwa Ale przecież McKee nie zrobił nic, co uzasadniałoby taki krok. Założył morski kombinezon i poszedł z komputerem do kabiny Petri. Zapukał i usłyszał, że może wejść.

Otworzywszy drzwi, zobaczył Karen siedzącą za składanym biurkiem w kombinezonie i skarpetkach. Rozpuściła włosy na ramiona. Pracowała nad jakimiś dokumentami.

— Słucham, panie kapitanie?

— XO, zostaliśmy wezwani na telekonferencję — oznajmił. — Mam nadzieję, że wzięła pani w rejs mundur galowy.

Petri przeczytała wiadomość i uśmiechnęła się.

— Dowództwo pragnie usłyszeć sugestywny opis akcji — skomentowała — Chcą poczuć, jak to jest, kiedy zatopi się armadę.

Dziesięć minut później oboje siedzieli za kapitańskim stołem konferencyjnym, przykrytym zielonym sukniem McKee ubrany był w wykrochmaloną bluzę o czarnych pagonach, z trzema paskami oznaczającymi komandora Nad lewą kieszonką znajdowała się złota odznaka z delfinami i baretki odznaczeń. Pod spodem miał koszulę i czarny krawat. Petri założyła podobny mundur, wybierając wersję ze spodniami, a nie ze spódnicą.

Naprzeciw nich umieszczona była kamera z ekranem Kiedy się uruchomił, kamera wycelowała w ich twarze. Zobaczyli admirała Bruce'a Philipsa siedzącego w swoim gabinecie w Norfolk. Głównemu obrazowi towarzyszyło kilka mniejszych, na których widać było innych, nieznanych McKee oficerów.

— Dobry wieczór panom — zaczął Phillips, mrugając przez chwilę oczami w kierunku Petri, której płęć nie pasowała do zwyczajowego w takich sytuacjach zagajenia. — Wysłuchamy raportu z zatopienia floty. — Admirał przedstawił wszystkich Jeden z oficerów służył w siódmej drużynie jednostki SEALs, drugi w Dowództwie Sztucznej Inteligencji, trzeci w Wywiadzie Marynarki.

McKee popatrzył na Phillipsa siedzącego w skórzanym fotelu za dębowym stołem i na jego białą oficerską czapkę. Tradycja amerykańskiej marynarki zabraniała odkładania czapki na stół, chyba że jej właściciel był na biegunie północnym. Niegdyś chodziło o to, żeby po prostu nie trzymać na stole czapek, jednak w ostatnich dziesięcioleciach pojawiło się trochę oficerów okrętów podwodnych o napędzie atomowym, którzy speł-

nili niezbędny warunek i zgodnie z obyczajem mogli spokojnie rzucać czapki na stół. Admirał zaczesywał krótko strzyżone włosy do przodu, żeby zamaskować początki łysienia. W jego okrągłej twarzy nie było niczego szczególnego.

Gdyby pokazał się na ulicy bez munduru, nikt nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi. Między innymi dlatego stał się amatorem siłowni. Teraz rękawy jego oficerskiej bluzy napinały się od potężnych mięśni ramion, bicepsów. Kilka lat wcześniej McKee pływał pod zwierzchnictwem Phillipsa. Dzisiejszy admirał dowodził wówczas okrętem „Piranha” klasy Seawolf, a Kelly był jego nawigatorem. Przyjaźnili się do dziś, na tyle, na ile pozwalała im na to różnica stopnia wojskowego i stanowiska.

— Panowie, proszę wstać. Podłączę dowódcę operacji morskich — oznajmił Phillips.

McKee aż wstrzymał oddech. To było coś bezprecedensowego — jego raportu będzie słuchał sam admirał Pacino, głównodowodzący całej marynarki, który miał bezpośrednio do czynienia z sekretarzem obrony i z panią prezydent. Najmniejszy wyraz niezadowolenia z jego strony mógł oznaczać koniec kariery danego oficera. Kelly poczuł, że się poci. Fragment ekranu mignął i ukazała się na nim postać admirała Michaela Pacino. Był to chudy, surowy z wyglądu człowiek o siwych włosach i ciemnych brwiach. Miał ciemną cerę i szmaragdowozielone oczy, wokół których widniały wyraźne kurze łapki. Admirał był w istocie niewiele starszy od McKee, choć miał w sobie coś, co sprawiało, że robił wrażenie starca. Patrzył zawsze silnym, skoncentrowanym wzrokiem, marszcząc brwi. Miał w tej chwili na sobie białą, tropikalną wersję munduru. Na złocistych pagonach widniały po cztery gwiazdki oraz kotwice. Nad kieszonką osiem rzędów baretek odznaczeń. Obok nich słabo widoczna odznaka z delfinami i druga, oznaczająca dowódcę floty.

— Dobry wieczór państwu — odezwał się Pacino swoim niskim, chropawym głosem — Poprosiłem admirała Phillipsa, żeby pozwolił mi posłuchać raportu. Jutro rano będę mógł dokładniej opisać operację pani prezydent. Proszę składać i odbierać raport tak, jakby mnie tu nie było.

No jasne! — pomyślał Kelly, krzywiąc się w duchu. Zachował jednak obojętny wyraz twarzy.

— Komandorze McKee, czy mógłby pan opisać szczegółowo przebieg operacji, od początku do końca, w ciągu dziesięciu-piętnastu minut? — odezwał się Phillips.

Kelly wykonał polecenie, mówiąc zwięzłymi, lecz pełnymi zdaniami. Opowiedział wszystko od czasu rejsu na maksymalnej prędkości na południe aż do uratowania okrętu przed torpedą wystrzeloną przez wroga.

Kiedy zakończył, Phillips popatrzył na niego uważnie

— Komandorze McKee — powiedział. — Otrzymał pan ściśle tajne rozkazy płynięcia na maksymalnej prędkości przez południowy Atlantyk, a następnie wiadomość o akcji nadzwyczajnej, będącą rozkazem zatopienia armady Floty Czarnomorskiej. Zgadza się?

— Tak jest, panie admirale. — Kelly czuł, że coś jest nie tak, ale nie wiedział, o co chodzi.

— Zatopił pan nieprzyjacielską flotyllę, zestrzelił śmigłowiec przeciwpodwodny i zniszczył osłaniający armadę okręt podwodny. Prawda? — ciągnął admirał.

— Tak jest, sir.

— I ten okręt wystrzelił przeciwko „Devilfishowi” torpedę? Mark 48 Adcap.

Tak, sir.

— Czy widział pan w wodzie rozbitków?

Ani jednego. McKee poinformował już szczegółowo o tym wszystkim.

— Czy brak rozbitków oraz typ torpedy uznał pan za, nazwijmy to, anomalię?

— Tak jest, sir. Jednak byliśmy zbyt zajęci ucieczką przed torpedą, żeby się nad tym zastanawiać. — Coś było wyraźnie nie tak. Phillips uniósł kącik ust. Pacino wyraźnie się uśmiechał.

— Cóż, panie admirale — skomentował Phillips, najwyraźniej zwracając się do Pacino. — Wygląda na to, że scenariusz został napisany lepiej, niż sądziliśmy.

Scenariusz?! — pomyślał McKee, zerkając na Petri. Karen także wytrzeszczyła oczy.

— Komandorze McKee, wasza operacja to były ćwiczenia — oznajmił Phillips. — Protokół Alpha Kodu Dwunastego dotyczy testowania systemu. Operacja miała na celu sprawdzenie, jak prędko jesteśmy w stanie wysłać okręt podwodny, aby zatrzymał i zniszczył szybko przemieszczającą się armadę, jak skutecznie możemy zaatakować pojedynczym okrętem podwodnym, jak dobrze funkcjonuje nasz system dowodzenia i łączności oraz jak zachowa się załoga pod wpływem stresu związanego z charakterem i przebiegiem operacji. Był to nawet test sprawności administracji marynarki — celowo wysłaliśmy pana na urlop, nie wiedząc, dokąd pan wyjedzie, po czym nagle wypuściliśmy „Devilfisha” w morze. Sprawdziliśmy, co potrafimy w takiej sytuacji zrobić. Pozwoliliśmy oddać tymczasowe dowództwo pierwszemu oficerowi i przerzucić kapitana na okręt przy pomocy śmigłowca. Cała operacja zakończyła się wielkim sukcesem, mimo że obawialiśmy się, iż przekazanie panu całego scenariusza wyłącznie przez komputer pozbawi go w znacznym stopniu realizmu. Zwłaszcza, że brak faktycznego kontekstu geopolitycznego.

McKee poczuł straszliwy gniew, choć nie pokazywał po sobie niczego

— W pewnym momencie obawialiśmy, że wszystko się wyda. Nie sądziliśmy bowiem, że podpłynie pan w pobliże tonących okrętów. Nie mieliśmy żadnych manekinów, które udawałyby ciała. Mogło nas to zdemaskować. Rzekomy Siewierodwińsk był w rzeczywistości okrętem klasy Los Angeles demobilu; zamontowaliśmy mu generator widma akustycznego charakterystycznego dla Siewierodwińska. Torpedą był Mark 48 Adcap z generatorem widma Magnum. Założyliśmy, że w pewnym momencie to odkryjecie. McKee czuł się jak idiota.

— Panie admirale — powiedział — może wychodzę na głupca, ale oświadczam, że nie mieliśmy o tym bladego pojęcia. Zmusiłem okręt do maksymalnego wysiłku. Zniszczyłem pręty paliwowe reaktora. Zanurzyłem „Devilfisha” na głębokość pięćset dziewięćdziesiąt pięć metrów, a więc poniżej poziomu, na którym teoretycznie powinniśmy zostać zmiażdżeni!

— Wiemy, że się pan starał, Kelly. Odebraliśmy transmisję telemetryczną, kiedy pierwszy raz wynurzyliście się na głębokość peryskopową.

— Jaką transmisję? Nie poleciłem nadania niczego takiego. — Kelly zagryzł wargi. Phillips popatrzył na niego łagodnie, niemal ze smutkiem w oczach.

— Przygotowaliśmy z góry pański okręt, komandorze — wyjaśnił. — Obrazy z kamer podłączonych pod Cyclopsa i wszystkie dane o przebiegu bitwy zostały zachowane na twardym dysku, a następnie automatycznie przekazane w trybie błyskawicznym do nas, kiedy tylko się wynurzyliście.

— No dobrze, ale jednak przekroczyłem dopuszczalne obciążenie okrętu...! — McKee zdawał sobie sprawę, że jego słowa brzmią śmiesznie, musiał jednak znać prawdę. Czuł, że coś w nim pęka. Nagle przestało go obchodzić, w jakim świetle się prezentuje.

— Dołączyliśmy do komputera okrętu specjalny moduł bezpieczeństwa — tłumaczył admirał. — Kiedy starał się pan przekroczyć znamionową moc reaktora czy też głębokość testową, komputer symulował odpowiednie wskazania przyrządów, jednocześnie przez cały czas utrzymując okręt w granicach bezpieczeństwa. W rzeczywistości reaktor „Devilfisha” wcale nie wyzwolił podwójnej mocy ani też nie zanurzyliście się głębiej niż na czterysta sześćdziesiąt metrów. To Cyclops nadawał z dołączonego przez nas generatora dźwięków jęki kadłuba. Poza tym wprowadziliśmy na pokład okrętu człowieka, którego zadaniem było pilnowanie waszego bezpieczeństwa — Porucznika Kurkowicza, lekarza. Pracuje w dowództwie Sił Podwodnych i jest nie tylko lekarzem, ale i wyszkolonym oficerem okrętu podwodnego, otrzymał rozkaz wyjawienia wam prawdy w przypadku, gdyby dołączony do Cyclopsa moduł bezpieczeństwa zawiódł.

— A cała nieprzyjacielska flota? Ten śmigłowiec? — wypytywał McKee.

— Na to pytanie kompetentnie odpowie kapitan z Dowództwa Sztucznej Inteligencji. — Teraz odezwał się jeden z milczących uczestników konferencji, kapitan marynarki. Zaczął opowiadać o tym, jak zaprogramowano całą bezzałogową flotyllę. Wszystkie jednostki były amerykańskimi okrętami wojennymi z demobilu. Przemalowano je, zmodyfikowano i wyposażono w automatykę potrzebną do odbycia rejsu na południowy Atlantyk i zachowywania formacji. Wystąpił tylko jeden problem techniczny — mechaniczna awaria na rzekomym okręcie klasy Siewierodwińsk. W jej wyniku przybył on na miejsce znacznie później, niż zaplanowano w scenariuszu, i McKee zaatakował go już po zatopieniu całej armady.

Komandor słuchał tego wszystkiego z kamiennym wyrazem twarzy. W końcu Phillips zakończył telekonferencję. W kabinie zapadła głucha cisza. Kelly gapił się w ścianę. Odezwał się telefon, ale dowódca okrętu nie zwracał na niego uwagi.

— Sir? — odezwała się w końcu Petri, podnosząc wzrok.

— Niech pani go odbierze — rzucił McKee z odrazą.

— Tu pierwszy oficer. — Wysłuchała rozmówcy, po czym odsunęła słuchawkę i wyjaśniła:

— OOD chce zanurzyć okręt w głębinę i wrócić do planu ruchu. Kapitan „Devilfisha” spojrział na nią i wycedził z ironią:

— Proszę bardzo. Niech zanurza. Maksymalna prędkość. Wykonujemy plan ruchu...

Petri wpatrywała się chwilę w swego dowódcę, po czym oznajmiła do telefonu:

— Kapitan rozkazuje zanurzyć okręt w głębinę, osiągnąć maksymalną prędkość i powrócić do planu ruchu. — Odłożyła słuchawkę. — Sir?

— Niech pani zostawi mnie samego.

Karen wyszła. Komandor Kelly McKee siedział wciąż bez ruchu ze wzrokiem wbitym w ścianę kapitańskiej kabiny.

## 6

— Maszyny stop — rozkazał przez mikrofon Dietz. Uniósł do ust megafon i zawołał:

— Rzucić linę numer jeden!

Jeden z podoficerów cisnął rzutką na molo; uwiązana była do niej lekka lina, do której z kolei przymocowano końcówkę cumy. McKee obserwował to z latającego mostka. Po chwili podano pozostałe liny i okręt został przycumowany do molo. Opuszczono trap, a później pomost z grubymi kablami elektrycznymi, które podłączono do znajdujących się na molo gniazd. Komandor zszedł po stromym trapie do kabiny kapitańskiej. Złapał swoją torbę i ruszył do wyjścia. Na mostku przystanął i rozkazał oficerowi pokładowemu:

— Wyłączyć reaktor i przełączyć urządzenia na zasilanie z przewodów zewnętrznych. Zwolnić załogę i pozostawić na okręcie wachtę portową. W razie jakichś problemów proszę szukać Petri.

Następnie Kelly wspiał się przez przedni przedział ratunkowy na pokład i zszedł po trapie na molo. Za nim przez cały okręt przeszło wołanie:

— Kapitan opuszcza pokład!

Betonowe molo numer siedem Bazy Marynarki w Norfolku — proste i szerokie jak pas startowy — miało prawie kilometr długości. Po obu jego stronach widniały czarne cielska cumujących okrętów podwodnych. McKee dotarł do parkingu dla wyższych oficerów. Rzucił torbę do swojego starego porsche, uruchomił silnik i ruszył. Nawet nie zauważył, kiedy dojechał do domu, piętrowej willi, stojącej pośród tysięcy innych, w dzielnicy znajdującej się za hotelem turystycznym kompleksu Wirginia Beach.

Podszedł do drzwi i oznajmił do mikrofonu:

— Wróciłem do domu. — Komputer otworzył drzwi i zapalił światło. McKee wszedł do holu. Coś tu pachnie — pomyślał. Zdał sobie sprawę, że to zapach Diany — przyjemna mieszanka woni jej perfum, szamponu, włosów i ciała. Tu, w jej świetle, „Devilfish” i marynarka nie były ważne. Istniała tylko Diana. Kelly poszedł do frontowego pokoju, w którym urządził sobie gabinet. Przejrzał pocztę elektroniczną. W większości nada-

wala się do śmieci. Nadzorowany przez bank system komputerowy zadbał o zapłacie nie wszystkich rachunków. Komandor popatrzył na ścianę, gdzie wisiało ich ślubne zdjęcie. Oboje uwielbiali je. McKee stał w białym mundurze galowym i koszuli z wykrochmaloną stójką i muchą, na jego ramionach widniały naszywki porucznika. Diana, w długiej sukni, wyglądała wprost zachwycająco. Fotografia ukazywała obfite wypukłości jej piersi, smukłe biodra, długie, proste blond włosy, duże, niebieskie oczy. Wszystko to było dla niego bardzo pociągające, jednak najważniejsze zalety żony nie miały nic wspólnego z jej wyglądem — inteligencja, poczucie humoru, szacunek dla własnej rodziny, radosna akceptacja jego bliskich. Podobały mu się również jej plany dotyczące dziecka, a nawet wybuchowy charakter. Nagle poczuł, że za nią tęskni. Marynarka wojenna nie miała mu już nic do zaoferowania. Po tym, co się stało...! Spojrzał na zdjęcie wiszące obok ślubnego. Była to słynna w rodzinie fotografia. Jego ojciec, dziadek i pradziadek oraz sam Kelly, ośmioletni, stali na pokładzie kutra rybackiego przed złowionym rekinem. Wszyscy trzej jego przodkowie widoczni na zdjęciu byli oficerami marynarki. Dlatego i on wybrał taką służbę. Zirytowany Kelly odwrócił wzrok. Dianie nigdy nie podobał się jego zawód, a teraz, po raz pierwszy w życiu, Pomyślał, że może miała rację. Wstał i poszedł na piętro.

Rzucił marynarską torbę na nie posłane łóżko. W sypialni zapach Diany był mocniejszy niż gdziekolwiek indziej. McKee ściągnął z siebie przesiąknięty wonią okrętu podwodnego mundur i zamierzał wziąć prysznic. Wtedy uzmysłowił sobie, że w komputerze nie było żadnej poczty od Diany. Nie martwił się tym jednak — powie jej, że skończył z marynarką. Potem ułożą na nowo wspólne życie, będą mieli dziecko. Sprzedadzą dom i przeprowadzą się gdzieś, gdzie będzie mógł dostać inną pracę. Postara się o nią sam, nie pójdzie na łatwiznę. Wiedział, że nie potrafiłby pracować u ojca Diany.

Wszedł pod prysznic i puścił bardzo gorącą wodę. Skończył kąpiel dopiero wtedy, gdy zbiornik był pusty. W końcu wytarł się, ubrał w koszulkę i dżinsy i wrócił do sypialni. Usiadł na tapczanie, zastanawiając się, czy żona mogła pozostać w chacie w Wyoming. Wstał i zaczął przechadzać się po domu. Zerknął na zegarek. Był sobotni wieczór; pomału zaczynało robić się ciemno. Siadał właśnie za biurkiem, żeby odnaleźć telefonicznie Dianę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Szybko wymyślił jakąś wymówkę, którą będzie mógł zbyć sąsiadów; zobaczył jednak w gasnącym świetle dnia czarne, terenowego lincolna, używanego jako samochód sztabowy.

Otworzył drzwi i stanął oko w oko z admirałem Phillipsem. Admirał miał na sobie zwykły, roboczy kombinezon marynarski oraz firażerkę. Zdjął ją i spytał:

— Czy mogę wejść? — Kruche łapki w kąciakach jego oczu zmarszczyły się. Miał poważną twarz.

McKee wykonał zapraszający gest. Przesunął machinalnie dłonią po szyi. Zawsze tak robił, kiedy był zdenerwowany albo niepewny.

— W lodówce jest chyba jakieś piwo — zagadnął, ruszając do kuchni.

— Przywiozłem ze sobą — odparł z uśmiechem Phillips. Skinął na kierowcę, który wkroczył z izotermicznym pojemnikiem. — Byłeś na morzu tak długo, że pomyślałem, że możesz mieć pusto w lodówce. W każdym razie, kiedy ja wracałem do domu, nigdy nie było nic do jedzenia.

— Ano — mruknął McKee, siadając w fotelu. — Nawet nie jestem pewien, czy przez cały ten czas Diana w ogóle tu była. A już chyba na pewno nie zrobiła zakupów. Jeszcze się z nią nie porozumiałem. Kiedy wpadli do nas twoi komandosi, mieliśmy akurat poważną kłótnię małżeńską. — Komandor podniósł wzrok. — A ci chłopcy nie przynieśli nam piwa — dodał.

— Przepraszam cię za tamto, Kelly — odpowiedział admirał. — Dlatego właśnie przyszedłem. Żeby przeprosić cię za te ćwiczenia. Wiesz, że nie mamy zwyczaju okłamywać naszych dowódców okrętów...

— Ale właśnie to zrobiliście — przerwał zimno McKee.

— To była część... scenariusza — zająknął się Phillips. Nie brzmiało to przekonująco. — Po prostu tak zostało z góry... ustalone.

Kelly zrozumiał, że w ten niezdarny sposób Bruce usiłował wyjaśnić, że to ktoś inny, ponad nim, zaplanował ćwiczenia, a następnie rozkazał mu przeprowadzić je pomimo jego sprzeciwów. Biedny Bruce, jako admirał dowodzący Siłami Podwodnymi musiał zachowywać się tak, jak gdyby to on był autorem rozkazów, a w każdym razie w stu procentach je popierał. Była to tradycja bezwzględnie obowiązująca w marynarce. Dowódca nie mógł sprawiać wrażenia, że nie zgadza się z obowiązującymi rozkazami.

— To już nie ma znaczenia — powiedział McKee. — Cieszę się, że przyszedłeś. Nie doznasz takiego szoku, kiedy przekażę ci list.

Phillips z trudem przełknął piwo i opuścił butelkę.

— Coś ty? Składasz rezygnację? Z powodu jakichś tam ćwiczeń...?!

— Panie admirale. Bruce. Posłuchaj. — Kelly nachylił się, świdrując przyjaciela i dowódcę oczami. Wykonałem tę operację najlepiej jak umiałem. Wygłosiłem przemówienie do swoich ludzi, cholera jasna! Mówiłem o obowiązku, honorze, ojczyźnie, prezydencie, który nas potrzebuje. Tymczasem wszystko to okazało się oszustwem. Wyglądam teraz jak idiota w oczach całej załogi. Po ataku na tę całą flotyllę XO, twoja protegowana Karen Petri, weszła do mojej kapitańskiej kabiny i zobaczyła, że nie jestem w stanie zapalić cygara, bo tak mi się ręce trzęsły! Byłem zlany potem. Jedyne, o czym mogłem myśleć, to to, ilu ludzi zabiłem, zatapiając te okręty... Chodzi o coś więcej niż utrata czegoś ważnego w oczach podległych mi ludzi, a także i we własnych oczach. Kiedy sunęła ku nam ta torpeda, byłem tak przerażony, że omal nie zmoczyłem spodni. Pomyślałem jednak potem — w porządku, ocaliłem załogę, okręt i wypełniłem powierzoną mi misję. Tymczasem słyszę coś w rodzaju „dobry piesek, dobry” i na oczach



szeffa Operacji Morskich dowiaduję się, że to były tylko ćwiczenia! — Podniesiony głos McKee przeszedł w krzyk. Kelly strącił ze stołu butelkę z piwem, która rozbiła się o twardą kamienną podłogę. Popatrzył na nią przez chwilę, zaskoczony, po czym kontynuował, już znacznie ciszej. — Diana miała rację. Czas porzucić zabawki i zrobić ze swoim życiem coś poważnego.

— Nie uważasz tego, co robimy, za poważne...?! Phillips poczerwieniał.

— Nie, panie admirale, już nie. Uważałem, ale dzięki wam to się właśnie skończyło. Diana kazała mi wybrać pomiędzy okrętem i nią. I właśnie miałem jej oznajmić, że okręt jest dla mnie ważniejszy niż małżeństwo. — McKee parsknął. — Dzięki Bogu, że bawiąc się dalej „Devilfishem” straciłem tylko tydzień życia, nie więcej...!

Bruce zmarszczył brwi i odparł surowo:

— Cholera jasna, to nie były tylko ćwiczenia. Naprawdę istnieje kryzys argentyńsko-urugwajski i z każdym dniem się pogłębia. Ostatnie, najprawdziwsze pertraktacje, jakie toczą między sobą Argentyna i Ukraina, dotyczą ceny wynajęcia Floty Czarnomorskiej jako najemnych sił. Moi dowódcy nie zastanawiają się już nad tym czy, tylko kiedy Argentyna użyje Floty Czarnomorskiej przeciw Urugwajowi. Wprawdzie nie wyszła ona jeszcze w morze, ale CIA jest zdania, że zgoda Ukrainy jest tylko kwestią czasu...A poza tym, Kelly, ostatnia operacja dała nam więcej danych, niż mogliśmy sobie kiedykolwiek przedtem wymarzyć. Zainstalowane na mostku kamery nagrały wszystko. Przejrzałem pobieżnie dyski. Montujemy z tych nagrań film instruktażowy, który będzie obowiązkowy dla przyszłych dowódców okrętów. Nie znam się na tym, ale musisz mi uwierzyć. Spisałeś się tam na morzu po prostu wspaniale. Pokazałeś całej załodze i nam wszystkim, jak należy wypełniać takie misje; jak dowodzić. Jesteś najlepszym kapitanem okrętu podwodnego w całej marynarce. I przecież dowodzisz najlepszą jednostką, jaką mamy. — Admirał rozłożył ręce. — Co jeszcze mam ci powiedzieć? Nie możemy sobie pozwolić na twoje odejście.

— Bruce, posłuchaj mnie — odparł Kelly. — Wierzę, że człowiek ma w sobie potencjał do stoczenia jednej wielkiej bitwy, w której przekroczy własne możliwości; da z siebie absolutnie wszystko, do końca. — Podniósł wzrok. — Już stoczyłem dla ciebie swoją bitwę — i na twoje szczęście, została w całości nagrana. — Wstał. — To wszystko, co mam do powiedzenia. Muszę poprosić cię, żebyś sobie poszedł. Ponieważ chcę odnaleźć żonę i powiedzieć jej, że rezygnuję ze służby. Jeszcze dzisiaj wieczorem przekażę ci pocztą elektroniczną oficjalny list.

Twarz Phillipsa zmarszczyła się.

— Nie przyjmuję tej rezygnacji. Wysyłam cię na urlop, żebyś mógł wszystko prześmyśleć — oświadczył. Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Nim zniknął w ciemnościach, odwrócił się, żeby powiedzieć komandorowi coś jeszcze. Wtedy na podjazd zajechał czarny, terenowy lincoln, identyczny jak wóz Phillipsa. Różnił się tylko ozna-

czeniami jednostki. Wsiadł z niego umundurowany oficer marynarki i podszedł pozwoli do dwóch stojących na werandzie mężczyzn. Przybysz miał stopień komandora porucznika. Siwizna i zmarszczki wskazywały na zaawansowany wiek jak na tę, średniego szczebla, rangę. Nosił złote skrzydełka, oznaczające wojska powietrzno-desantowe. Zamiast gwiazdek miał na rękawach polowego munduru krzyżyki.

— Co tu robi kapelan? — mruknął ze zdziwieniem Phillips. Ksiądz zbliżył się i zasalutował.

— Pan komandor Kyle L. E. McKee? — zapytał.

— Ja jestem McKee — wyjaśnił Kelly. — Co się stało?

— Kapelan Glenn Morris, panie komandorze — przedstawił się przybysz. — Dowódca jednostki polecił mi odnaleźć pana żonę, po tym jak wysłał pan swoją prośbę. Nie widzieli jej ani jej znajomi, ani też członkowie rodziny na wschodzie. Poleciałem więc do waszej chaty w górach. Niestety, muszę panu przekazać bardzo złą wiadomość. Znalazłem tam ciało pańskiej żony. Poroniła, miała silne krwawienie. Straciła mnóstwo krwi... Próbowwała doczołgać się do drzwi, żeby szukać pomocy... Nie mogłem nic zrobić. Kiedy tam przyleciałem, nie żyła już od kilku godzin. Tak bardzo panu współczuję, sir... Zorganizowaliśmy przewiezienie ciała do pańskiego domu.

Kapelan położył dłoń na ramieniu McKee. Kelly pobladł i stał, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Phillips przejął inicjatywę.

— Zajmę się komandorem — powiedział. — Proszę wracać do jednostki.

— Tak jest! — Kapelan odszedł i wsiadł do swojego samochodu. Lincoln wycofał się cicho na ulicę i odjechał.

McKee popatrzył za nim, po czym przeniósł wzrok na Bruce'a.

— Nie mogę w to uwierzyć — wyjąkał. — Diana nie żyje. O Boże! Powinienem tam być! Byłbym tam, gdyby...! Jezu, Jezu...! — Głos mu się załamał. Wydawało się, że nie będzie w stanie utrzymać się na nogach.

Phillips zaprowadził go szybko do mieszkania i posadził na kuchennym stołku. Napełnił whisky jedną z wysokich szklanek. Kelly nie protestował. Alkohol palił go w przetyk. Następnie, pokonując słaby opór przyjaciela, Phillips zaciągnął go na górę i delikatnie ułożył na łóżku. Po długim czasie Kelly McKee zapadł w niespokojny sen.



W stojącym nad wodą domu admirała Michaela Pacino w Annapolis zadzwonił telefon.

— Halo — odezwał się Pacino, włączając wiszący nad kuchenką monitor. Jeśli dzwoniła pani prezydent, to zobaczy go w roboczych spodniach i poplamionej smarem koszulce. Admirał bowiem przez cały dzień pracował przy swojej żaglówce.

Michael Pacino pełnił funkcję dowódcy Operacji Morskich — czyli naczelnego dowódcy marynarki Stanów Zjednoczonych — od roku. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ważył tyle samo, ile w dniu, kiedy kończył akademię w Annapolis. Liczył sobie czterdzieści dziewięć lat i był najmłodszym dowódcą Operacji Morskich w historii. Jednak mimo szczupłej budowy i braku zmarszczek nie wyglądał na młodego człowieka. Jego twarz zawsze wydawała się opalona od czasu misji arktycznej, podczas której doznał poważnego odmrożenia. Miał także bardzo wyraźne kurze łapki, wystające kości policzkowe, zapadłe policzki i prosty, wąski nos nad pełnymi ustami. Jednak najbardziej zwracającym uwagę szczegółem jego twarzy były oczy, w głębokim, intensywnym kolorze szmaragdowej zieleni; zupełnie, jakby admirał nosił staromodne barwne szkła kontaktowe.

Rozmówcą nie była pani prezydent. Na ekranie pojawiła się twarz dowódcy Zjednoczonych Sił Podwodnych, admirała Phillipsa.

— Straciliśmy McKee — rzucił natychmiast bezbarwnym tonem. — Złożył rezygnację. Uznał, że potraktowaliśmy go jak bezduszny automat.

— Cholera jasna, wiedziałem! — warknął Pacino. — Mówiłem Warner, że tak będzie!

— Stało się jeszcze coś więcej, sir. — Bruce powiedział swojemu dowódcy o śmierci pani McKee, pozbawionej pomocy na skutek nieobecności męża.

— Gdzie w tej chwili jesteś? — spytał Pacino.

— W domu McKee. Położyłem go do łóżka. Zostanę tu; przypilnuję, żeby nie stało się coś złego. Może zrobię mu rano śniadanie i pomogę w organizacji pogrzebu. Jutro o tej porze powinniśmy być bardzo pijani, więc nie dzwoń do mnie.

— Bruce, czy mogę coś dla was zrobić?

— Tak jest. Właściwie bardziej chodzi o zaniechanie czegoś.

— Czego mam zatem nie robić?

— Nie wykonywać bezsensownych, pierdolonych ćwiczeń zleconych przez panią prezydent, która nie zna się na marynarce, jej ludziach i jej okrętach.

— Następnym razem sam złożę rezygnację — oświadczył Pacino. — Zatelefonuj do mnie jutro i powiadom, jak trzyma się komandor. Bez względu na to, jak będziecie w tym momencie pijani.

Dowódca Operacji Morskich odłożył słuchawkę i długi czas siedział przy kuchennym stole, patrząc przed siebie.

**Część druga**

**Rafael**

*Mam sześćdziesiąt dwa lata. Od ostatnich trzynastu jestem więźniem. Nie znam nazwy więzienia, w którym przebywam. Trzymają mnie w odosobnieniu, odkąd tylko przewieziono mnie tu drogą powietrzną. Przez cały ten czas jestem przekonany, że znajduję się gdzieś na Syberii.*

*Mój kontakt ze strażnikami jest minimalny. Mówię im „dzień dobry” albo „dobry wieczór”, kiedy przynoszą posiłki albo wyprowadzają mnie na spacer na więzienne podwórze. Czasami pytam ich o wieści ze świata zewnętrznego. Przez pierwsze dziesięć lat mojej odsiadki starali się być dla mnie uprzejmi. Później coś się zmieniło. Przybyli nowi strażnicy, w innych mundurach. Przeniesiono mnie do większej celi. Nowi strażnicy nie chcieli powiedzieć, co stało się z poprzednimi, ale mieli ciekawe wieści. Wyjaśnili, że nastąpiła zmiana władzy. Według ich słów wypuszczono na wolność wielu więźniów.*

*Pewnego dnia jeden ze strażników — drobny, pryszczaty chłopiec — przyniósł mi wraz ze śniadaniem grubą kopertę. Wewnątrz znajdowały się papiery, które wyglądały bardzo urzędowo. Miały ze czterdzieści czy pięćdziesiąt stron, ale wszystko sprowadzało się do propozycji wypuszczenia mnie pod pewnym warunkiem. Pod warunkiem sporządzenia przeze mnie pisemnego przyznania się do winy.*

*Pięć lat temu użyłbym tego rodzaju oferty zamiast papieru toaletowego. Teraz jednak jest inaczej. W tym roku miałem kłopoty z oddychaniem podczas więziennych spacerów. Zimą przez dwa dni czułem ból w piersiach. Zabrano mnie z celi do oddziału szpitalnego. Lekarz powiedział, że to nie był atak serca, tylko angina. Jednak do tej pory biorę tabletki.*

*W bieżącym roku zaszła we mnie zmiana. W końcu zrozumiałem, że jestem stary i zmęczony, i że niedługo umrę. Tak. Aż do tego roku myślałem, że jedną z rzeczy, którymi różnię się od przytłaczającej większości ludzi, jest to, że nie boję się śmierci. Czyż nie zanurkowałem w wodę, która zalała mostek tonącego pod lodem „Kalininogradu”. Nawet wtedy moje serce biło tylko trochę szybciej niż normalnie. Teraz jednak mam sześćdziesiąt dwa lata i widzę, że przez całe życie lękałem się śmierci bardziej niż cegokolwiek innego. Kiedy tonął „Kalininograd”, nie bałem się, ponieważ nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogę zginąć. Przez sześćdziesiąt dwa lata zaprzeczałem własnej śmiertelności. Teraz, w końcu, po tym*

*kiedy siedziałem już nagi na zimnym metalowym stole, z dziwnym urządzeniem podłączonym do mojej piersi, zdaję sobie sprawę z tego, że od zawsze boję się śmierci. Przemownie się jej boję. Lęk przed śmiercią wypełnia moje nocne koszmary, czai się tuż pod powłoką mojej świadomości i paraliżuje mnie.*

*W porze obiadu, zobaczywszy strażnika, poprosiłem go o długopis i zeszyt. Mówią, że wypuszczą mnie, jeśli pisemnie przyznam się do winy. Aż do tej chwili sądziłem, że to podstęp. Uważałem, że kiedy będą mieli w ręku moje zeznanie, natychmiast wydadzą i wykonają na mnie wyrok śmierci.*

*Namawiają mnie jednak, żebym się przyznał, i zapewniają, że zostanę zwolniony. Nadal sądzę, że to podstęp. Ten dokument trafi na półkę z teczkami, a na podwórzu rozlegnie się echo wystrzałów. Ale teraz wszystko mi jedno. Jestem nie tylko stary. Jestem także zmęczony. Nie chcę przedłużać końca. A zatem, wierząc że niniejsza spowiedź przypieczętuje mój los, rozpoczynam ją w tym miejscu.*

*Siwowłosa mężczyzna o zniszczonej twarzy, którego potężna niegdyś klatka piersiowa zapadła się dawno, popatrzył na zapisane linijki. Nie wyglądało to dokładnie tak, jak zamierzał, ale co z tego? Potarł szyję i pomyślał, jak przyjemnie byłoby w tej chwili golnąć sobie wódki. Odrzucił jednak tę myśl. Być może, zanim „wypuszczą” go na więzienne podwórze, aby dokonać egzekucji, pozwolą mu wyrazić ostatnie życzenie. Wziął długopis i zaczął pisać dalej.*

*Oto moje przyznanie się do winy.*

*Nazywam się Aleksiej Nowskoj. Kiedy miałem czterdzieści osiem lat, mianowano mnie naczelnym dowódcą Floty Północnej Republiki Rosji. W owym czasie Flota Północna była demontowana. Rozbrajano Rosję, moją Ojczyznę. Naszą broń atomową, która chroniła nas przed amerykańskim imperializmem niszczone na oczach komisji ONZ — grupki obcokrajowców.*

*Wtedy doszedłem do przekonania, że rozbrajanie Rosji to przestępstwo. Zacząłem temu przeciwdziałać. Szczegóły moich działań, które zakwalifikowano jako zbrodnię wojenną, zostały potwierdzone przez wielu ludzi — w wielu wypadkach świadków z pierwszej ręki — i dobrze udokumentowane. Niniejszy dokument jest przyznaniem się do winy. Musi więc zawierać — to chyba oczywiste — moje oświadczenie, że jestem winny. Będę się streszczał.*

*Po pierwsze, głowice, które miały zostać zniszczone przed komisją ONZ, zastąpiłem fałszywymi. Rzekome ćwiczebne rakiety kazałem załadować na sto dwadzieścia okrętów podwodnych Floty Północnej. W rzeczywistości nie były to rakiety ćwiczebne, lecz w pełni uzbrojone atomowe rakiety samosterujące typu SSN-X-27. Wyprowadziłem flotę z naszych baz na Północy, wydając dowódcom okrętów rozkazy osiągnięcia punktów wzdłuż wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Tam mieli pozostawać na głębokości peryskopo-*

*wej i czekać na dalsze instrukcje. Było to coś w rodzaju naładowanego pistoletu, przyłożonego Ameryce do skroni. Sam popłynąłem pod lodem na pokładzie najnowocześniejszego okrętu podwodnego, jaki kiedykolwiek zbudowano — „Kaliningu”, zwanego przez kraje Zachodu „Omegą”. To ja zaprojektowałem ten okręt. Przepełniliśmy pod czapą biegunową i wynurzyliśmy się w miejscu, gdzie lód był cienki. Nawiązałem kontakt radiowy z pozostałymi okrętami podwodnymi Floty Północnej. Moim pierwotnym zamiarem było zastraszanie polityków i dowódców wojskowych Stanów Zjednoczonych za pomocą rakiet samosterujących z głowicami jądrowymi i zmuszenie Amerykanów, aby na własnej ziemi zniszczyli własne rakietki na oczach komisji ONZ. Jednak podczas rejsu pod lodem coś się we mnie zmieniło.*

*Do dziś dnia nie jestem pewien, jak to się stało ani w którym momencie. Być może zawsze nosiłem się z tym zamiarem, tylko ukrywałem to przed sobą samym. A może był to skutek uświadomienia sobie faktu, że trzymam w ręku naładowany pistolet. Czulem wprost jego wagę, twardość, zimno metalu. Może uzmysłowienie sobie, że zwykle pociągnięcie za spust wyzwoli potężną siłę, tak na mnie podziało. W każdym razie zamiast nadać przez radio ostrzeżenie do zbrodniczych władz z Waszyngtonu, postanowiłem wysłać okrętom Floty Północnej rozkaz odpalenia rakiet na strategiczne ośrodki na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Mimo użycia broni jądrowej moje pierwotne zamiary zostałyby osiągnięte. Gdyby amerykański kompleks wojskowo-przemysłowy został zniszczony — wybiórczym, chirurgicznym uderzeniem — Rosja mogłaby wyciągnąć rękę ku Amerykanom i pomóc im odbudować kraj. Wtedy obydwa państwa pomaszerowałyby dalej w przyszłość ramię w ramię, w pokoju.*

*Jednak dowódcy amerykańskiej marynarki nie podzielali mojej wizji. Wysłali okręt podwodny, który miał za zadanie zniszczyć, zamordować mój „Kaliningu”. Być może to właśnie zdecydowało, że zmieniłem plan i zamiast grozić, postanowiłem atakować „Kaliningu” został jednak storpedowany, a jego systemy pokładowe uszkodzone. Odpaliłem w kierunku intruza jądrową torpedę, aby zatopić go pod lodem i wydać Flocie Północnej rozkaz wystrzelenia rakiet. Jednak nasza torpeda chybiła celu, a jej wybuch spowodował dalsze zniszczenia na pokładzie „Kaliningu”. Mój okręt zaląła woda. Zatonął. Zdołaliśmy wydostać się na lód. Ironia losu sprawiła, że naszymi towarzyszami stali się Amerykanie, którzy nas zatopili. Okazało się, że jądrowa torpeda z „Kaliningu” raniła śmiertelnie także i ich okręt. Schroniliśmy się wszyscy w lodowej grocie, ale kiedy przestał pracować jedyny generator, zaczęliśmy umierać z zimna i wyczerpania. Ze wszystkich członków załogi „Kaliningu” jacy wypłynęli w rejs, ocalałem tylko ja i jeszcze jeden człowiek. Słyszałem, że później i on umarł od poniesionych ran. Przeżyli dwaj Amerykanie, wśród nich kapitan wrogiemu nam okrętu.*

*Mimo burzy śnieżnej udało się nas uratować Amerykańskie służby przekazały nas obu przedstawicielom władz rosyjskich. Zostałem przewieziony z powrotem do Rosji na pokła-*

*dzie samolotu transportowego, który wylądował na jakimś pasie odległym o pięć minut jazdy samochodem od miejsca, w którym przebywam już trzynaście lat. Nie było żadnego procesu, od razu zacząłem odbywać karę. Od tamtej chwili nie słyszałem i nie widziałem niczego z wyjątkiem sosen, na które wychodzi okno mojej celi.*

*Nowskoj przerwał pisanie; zdrętwiała mu ręka. Odczytał ostatni akapit i skrzywił się, niezadowolony z melancholijnego tonu, jaki przybrał. Popatrzył chwilę przed siebie i zaczął pisać dalej.*

*Żadna spowiedź nie jest kompletna bez żalu za grzechy. Czy żałuję tego co zrobiłem? Czy szkoda mi tego, że po obu stronach konfliktu, który spowodowałem, zginęli ludzie?*

*Od tamtego dnia minęło już wiele lat, jestem starszy i miałem dość czasu aby przemyśleć to, co zakwalifikowano jako zbrodnię wojenną. Z początku byłem pewien, że miałem rację. Nikt nie potrafił zrozumieć, jakie znaczenie dla historii świata miało rozbrajanie Rosji. Zrealizowanie go oznaczałoby zniszczenie naszego stylu życia, naszej rosyjskiej mentalności.*

*Jednak tam, na polu lodowym, popatrzyłem w oczy Amerykanom — byłem bowiem przytomny przez dwadzieścia minut — i muszę ze wstydem przyznać że ci ludzie wydali mi się bardzo podobni do nas. Byli marynarzami. Ludźmi z okrętu podwodnego. Żołnierzami marynarki wojennej. Ze wstydem oznajmiam, że byłbym dumny, gdybym mógł napić się z nimi wódki. I zdając sobie z tego sprawę, rozumiem teraz, że to, co zrobiłem, było złe. W istocie celem, do jakiego chciałem strzelać, była niebieska mapa z powypisywanymi dziwnymi nazwami, takimi jak „Norfolk”, „Boston”, „Nowy Jork”, czy „Jacksonville” Nie zdawałem sobie sprawy, że będę strzelał do ludzi. Gdybym spotkał tych amerykańskich marynarzy wcześniej, zanim obmyśliłem cały swój plan, być może wypadki potoczyłyby się inaczej.*

*Nie wiem, czy to dość jak na okazanie skruchy. Ale tak naprawdę myślę.*

*Moje przyznanie się do winy, moja „spowiedź”, jest niniejszym zakończone. Jeśli zostanie wykorzystane jako uzasadnienie wykonania na mnie wyroku śmierci, niech i tak będzie. Spodziewam się, że po podpisaniu tego papieru i oddaniu go strażnikowi nie spędzę tu już ani jednej nocy. Zamiast tego zostanę zapewne przywiązany do słupa na podwórzu i poczuję przeszywające mnie kule. Niech i tak będzie Jestem gotów umrzeć. Może przyszedł już na to czas... może to właśnie będzie sprawiedliwe.*

Aleksiej Andriejewicz Nowskoj  
więzień

*Nowskoj położył notatnik na innych leżących na biurku papierach i podszedł do okna, żeby popatrzeć na sosny. Czas mijał powoli, aż wreszcie słońce zaszło i drzewa*



poczerniały pośród zapadającego mroku. Przyszedł strażnik z kolacją. Nowskoj oddał mu notatnik z napisanym tekstem, odstawił jedzenie, nie tknąwszy go, usiadł na pryczy i czekał na to, co było nieuniknione.



Sądził, że spędzi ciężką, bezsenłą noc; tymczasem od razu po podpisaniu i oddaniu swego zeznania poczuł się lepiej. Pomyślał, że opowieści o tym, jak to spowiedź oczyszcza duszę, są prawdziwe. O jedenastej wieczorem położył się i spał jak dziecko aż do wschodu słońca.

Zazwyczaj, kiedy się budził, przechodził przez tę samą poranną rutynę. Najpierw załatwiał się, potem golił, wreszcie, rozebrany do naga, uprawiał gimnastykę. Później biegał od ściany do ściany najszybciej, jak mógł, odbijając się rękami. Ściany od lat nosiły ślady jego dłoni. Biegał tak co rano przez czterdzieści minut. Wreszcie kończył ćwiczenia serią przysiadów i pompek. Podnosił się i rozciągał tak długo, aż przestawał się pocić. Wtedy mył się przy zlewie, a następnie zakładał swój więzienny drelich. W końcu siadał i czytał. Odkąd siedział w więzieniu, pochłaniał od czterech do ośmiu książek tygodniowo. Kończył każdą, niezależnie od tego, czy podobała mu się, czy nie. W ten sposób wciąż się kształcił.

Ten poranek był inny niż zwykle. Nowskoj jakoś nie miał ochoty ćwiczyć. Pomyślał, że absurdalnie byłoby biegać nago od ściany do ściany w chwili, kiedy przyjdzie po niego pluton egzekucyjny. W końcu przyniesiono mu śniadanie. Nic specjalnego się dotąd nie działo, jednak więzień wciąż oczekiwał katów. Przyniesiono obiad. Aleksiej nie był głodny. Próbował czytać, jednak nie mógł się skupić na książce. Zasiadł więc na krześle naprzeciw drzwi i czekał. Kroki rozległy się po południu. Słyszał trzech ludzi. Oparł się wygodnie, podczas gdy przy drzwiach zabrzączało, jak zwykle, i system elektroniczny otworzył je. Za drzwiami stało dwóch strażników oraz człowiek, którego Nowskoj nigdy przedtem nie widział.

Przybysz nie wyglądał na strażnika ani na kogoś w rodzaju naczelnika więzienia. Wydawał się podekscytowany, niespokojny, jak gdyby nie potrafił powstrzymać kipiącej w nim energii. Wysoki, dobrze zbudowany i tęgi, miał na sobie ciemnoszary garnitur o dziwnym kroju z jakiegoś drogiego materiału. Rozstawiał szeroko ręce, jak gdyby chciał objąć nimi całą celę. Nosił brodę, niemal całkiem siwą, podczas gdy jego rzędzące włosy były rudawe. Miał wyraziste rysy i mocne, bystre spojrzenie. Wyglądał na czterdziestoparolatka; był z tych, co to zdążyli już zbrzydnąć i robią wrażenie starszych.

Brodacz wyciągnął mięsistą dłoń i powiedział po angielsku:

— Miło mi pana poznać, Aleksieju Nowskoj. Jestem Rafael. Mam oczywiście nazwisko, ale nigdy go nie używani. „Rafael” wystarczy. Czy mogę zwracać się do pana per „Al”? Ma pan piekielnie małą celę, jeśli interesuje pana moja opinia... Chciałem spytać, dlaczego przyznanie się do winy zajęło panu aż tyle czasu? Od trzech lat próbuję pana stąd wyciągnąć. I kosztowało mnie to grubo ponad dwa miliony dolarów. Władze Federacji przyjęły ode mnie elektroniczny przekaz na konto jeszcze w 2015 roku — a potem powiedzieli mi, że odmawia pan napisania potrzebnego dokumentu. Nie przekazywali panu moich listów. Wiedzieli, że wyjdzie pan stąd, jak tylko dostaną od pana zeznanie... Boże, nareszcie wziął pan do ręki długopis!

Amerykanin — pomyślał Nowskoj. Chociaż akcentuje trochę po brytyjsku, tak jak mówią w Europie. Trudno stwierdzić, skąd pochodzi. Wstał i popatrzył podejrzliwie na „Rafała”. Przybysz wyrzucał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Nowskoj nigdy nie cenił gadatliwości u podległych sobie oficerów.

— Aleksiej Nowskoj — przedstawił się zimno i uściśnął dłoń, którą wymachiwał Amerykanin. — O co chodzi?

Rafael mówił dalej, niestrudzony:

— W końcu zawiadomili mnie, że podpisał pan przyznanie się do winy. Przeczytałem je przed chwilą, zanim przyprowadzili mnie tutaj. „Zdaję sobie sprawę, że nieustannie bałem się śmierci; że lęk przed nią wypełnia moje koszmary; czai się tuż pod powłoką mojej świadomości i paraliżuje mnie” — zacytował niemal dokładnie z pamięci. — Jezu, gdzie uczył się pan pisać? Ależ ma pan wyczucie dramatu, Al! Gdzie można się tego nauczyć...? W każdym razie będę musiał pamiętać, żeby trzymać pana z dala od systemów analizy mowy! Chodźmy. — Ruszył w stronę wyjścia. — Uwaga, panowie! — rzucił strażnikom podniesionym głosem.

Nowskoj gapił się za nim przez otwarte drzwi. Rafael zrobił już trzy zamaszyste kroki korytarzem, nim zorientował się, że więzień pozostał w celi i stoi ciągle jak wryty, ze zdumieniem w oczach.

— No, chodź pan — rzucił niecierpliwie Amerykanin. — O ile się nie mylę, nie chce pan tu zostać? Na litość boską, wątpię, żeby władze Federacji Rosyjskiej zwróciły mi te dwa miliony. Za mną! Niedaleko czeka na nas śmigłowiec, a na lotnisku — jeśli to coś tak tu nazywają — mój samolot.

— Zaraz! — rzucił zdecydowanie Nowskoj, w jednej chwili odzyskując ton, którym posługiwał się niegdyś jako dowódca. — Najpierw powie mi pan, o co tu chodzi, do cholery. Dokąd mamy lecieć?

— Chodzi o to, Al, że obaj wydostajemy się stąd. Za dziesięć godzin będziemy w Afryce — wyjaśnił Rafael — Opowiem panu wszystko po drodze. Niech się pan pospieszy; klienci czekają.

— Klienci...??? — Nowskoj ruszył za nim z wahaniem. Potężny Amerykanin zajmował na środku wąskiego przejścia tyle przestrzeni, że Aleksiej był zmuszony podążać dwa kroki za nim. Mimo że minęło już ponad dziesięć lat, odkąd pełnił funkcję admirała rosyjskiej marynarki wojennej, irytowało go, że przybysz nie ustępuje mu miejsca tak, by mógł iść obok niego. Nowskoj czuł się z tego powodu jak jakiś podwładny i właśnie zamierzał zwrócić Rafaelowi uwagę, kiedy ten podał mu coś przez swoje grube ramię.

— Proszę. Oto pańska nowa fucha.

Zdziwiony Aleksiej wziął do ręki sztywną, białą karteczkę, która wyglądała jak pusta wizytówka. Kiedy ją chwycił, karteczka zaświeciła się nagle i w mgnieniu oka pojawiła się ponad nią kolorowa grafika. Nowskoj upuścił przedmiot, zaskoczony.

Rafael zatrzymał się i spojrzał na niego dziwnie.

— Co z panem? Nigdy w życiu nie widział pan wizytówki? O Jezu! Niech pan podniesie; nie ugryzie.

Nowskoj popatrzył na leżącą na podłodze karteczkę, która znów wyglądała jak czysty kawałek białej tektury. Kiedy się po nią schylił i złapał ją w palce, kolory zaświeciły się. Patrzył na pojawiające się i znikające trójwymiarowe obrazy. Najpierw przesunął się jak gdyby starodawny szkic czegoś, co przypominało z koncepcji śmigłowiec; później znany rysunek nagiego mężczyzny z wyciągniętymi na boki rękami, wpisanego w okrąg i kwadrat; potem szkic muszli, wreszcie prymitywnego batyskafu. Rysunki Leonarda da Vinci. Ustały, po czym nad wizytówką pojawiło się błękitne niebo i przepływające obłoki. Pośród nich zabłysnęły malutkie literki, które stopniowo urosły. Angielskie napisy głosiły: „Grupa konsultingowa Da Vinci. Alexi Novskoy, wiceprezes. Oddział Systemów Podmorskich”. Na dole było napisane mniejszymi literami: „Firma wchodzi w skład Da Vinci Systems Limited, Rzym, Mediolan, Florencja, Paryż, Nowy Jork, Berlin, Kijów, Seul, Dżakarta, Bangkok, Kuala Lumpur, Pekin”. Wreszcie pojawiło się coś, co wyglądało na numer telefonu oraz adres internetowy. Nowskoj przystanął i popatrzył na Rafaela tępym wzrokiem. Byli właśnie przed drzwiami budynku więzienia.

Widząc oszołomienie malujące się na twarzy dawnego admirała, Rafael złagodniał i podał mu drugą wizytówkę. Na tej pokazało się dokładnie to samo, co na poprzedniej, z tym że dotyczyło Rafaela. Nie było nazwiska, tylko: „Rafael, prezes. Grupa konsultingowa Da Vinci, partner zarządzający Da Vinci Systems Limited, Florencja, Włochy”. Obok imienia świeciła się jeszcze radosna, uśmiechnięta twarz Rafaela, Aleksiej ponownie podniósł wzrok. Jego mina nadal zdradzała nieopisane zdumienie. Amerykanin oparł mu dłoń na ramieniu.

— Niech pan słucha, AI — zaczął wyjaśniać cicho ojcowskim tonem. — Podpisawszy zeznanie, stał się pan wolnym człowiekiem, ale tylko do pewnego stopnia. Może pan stać wyjść, jednak znajduje się pan trzy tysiące kilometrów od najbliższej cywiliza-

cji. Nie jest to sympatyczne miejsce na rozpoczęcie nowego życia wolnego obywatela Rosyjskiej Republiki Federacyjnej. Poza tym, jest mi pan winien prawie trzy miliony dolarów — bo doliczam odsetki do zainwestowanej przeze mnie sumy — i ściągnę od pana te trzy miliony w ciągu pierwszego roku pracy, odliczając je od pańskich zarobków. I tak pozostanie panu jeszcze kilka milionów. Niech się pan nie martwi, następny rok będzie jeszcze lepszy niż ten. Po odliczeniu koniecznych wydatków oraz podatku każdy z nas powinien zarobić na czysto po dziesięć-piętnaście milionów dolarów.

— Rafaelu, być może mój umysł nie pracuje już tak szybko jak kiedyś, ale mimo wszystko jeszcze dzisiaj rano obudziłem się jako więzień — odpowiedział Nowskoj. — Czy może mi pan wytłumaczyć, kim w rzeczywistości jestem w tej chwili?

Amerikanin uśmiechnął się.

— Dopóki nie przejdzie pan przez te drzwi, jest pan więźniem — skwitował. — Za to kiedy tylko wylecimy znad obszaru powietrznego Federacji Rosyjskiej, stanie się pan biznesmenem i moim partnerem.

— W jaki sposób dowiedział się pan o mnie? — wypytywał Aleksiej. Rafael uśmiechnął się znowu.

— Trzy lata temu Rosyjska Federacja ujawniła informacje na temat stoczonej przez pana przed trzynastoma laty bitwy podmorskiej. Przestudiowałem wszystko i postanowiłem pana zatrudnić. Im więcej o panu czytałem, tym lepiej zdawałem sobie sprawę, że wprost doskonale nadaje się pan do tego, co próbujemy ostatnio robić.

— Ciągłe mówi pan o „Federacji Rosyjskiej” — zauważył Nowskoj. — Znowu zmieniono nazwę kraju? Co się stało?

— Trzy lata temu Rosja rozpadła się na dwie części — wyjaśnił Rafael. — Część europejska, na zachód od Uralu, pozostała Republiką Rosji. Natomiast od Uralu po Kamczatkę rozciąga się Rosyjska Republika Federacyjna, na której terenie obecnie się znajdujemy. Syberia. Cholernie zimny kraj. Czy możemy już iść dalej?

— Ale... Co pan chce, żebym konkretnie robił?

— To nie jest dobre miejsce na rozmowę. Powiedzmy na razie, że będzie pan między innymi robił to, co dawniej.

— Dawniej dowodziłem flotą wojenną i tysiącami marynarzy — zauważył Aleksiej.

— Nie tylko. Proszę pomyśleć o tym, co wniósł pan do historii.

— Omal nie rozpocząłem trzeciej wojny światowej — stwierdził Nowskoj.

— Nie rozpoczął pan — zapewnił Rafael. — Amerykanie zatroszczyli się o to, żeby nic złego się nie stało. Mówiąc o pańskim wkładzie do historii, mam na myśli okręt, który pan zaprojektował. „Omegę”.

— Rzeczywiście. Mój okręt nazywano na Zachodzie „Omegą”. W rzeczywistości nazywał się „Kaliningrad”.

— To był największy i najgroźniejszy okręt podwodny, o jakim świat słyszał, prawda, Al? — skwitował Amerykanin. — Cóż, w firmie Da Vinci pracują konsultanci i inżynierowie od budowy okrętów. Klienci potrzebują naszych umiejętności, zdolności, projektów oraz, nazwijmy to, planów strategicznych.

Rafael skinął na strażników w przeszklonej kabinie. Rozległo się brzęczenie i drzwi więzienia stanęły otworem. Do ciemnego hallu wpadło jaskrawe światło dnia. Nowskoj ruszył za Rafaelem, mrużąc oczy, odwykłe od słońca. Powietrze było zimne, ale świeże i przyjemne. Aleksiej odbywał wprawdzie więziennne spacerunki na podwórzu, jednak po tej stronie budynku wszystko zdawało się pachnieć inaczej. Wolnością. Obaj mężczyźni podeszli do otaczającego więzienie muru. Wysoka brama napędzana elektrycznie otworzyła się powoli. Stał przed nią czarny, błyszczący mercedes. Cichutko zamruczał uruchomiony silnik. Nowskoj popatrzył chciwie na piękną, supernowoczesną maszynę. Wyglądała inaczej niż znane mu samochody — była niezwykle opływowa; całym obłędem; miała malutkie reflektory. Nie widać było w ogóle drzwi; pewnie tak dokładnie były dopasowane.

— Otwórz lewe tylne — powiedział Rafael. — Drzwi pojawiły się i otworzyły. Nowskoj wsiadł. Amerykanin obszedł samochód i znowu wydał polecenie, po czym wsiadł z drugiej strony.

Aleksiej zapadł się w niezwykle wygodne, skórzane siedzenie. Przed sobą miał ekran komputerowy.

— Przepraszam pana za ten stary wóz — powiedział Rafael — ale w tej okolicy nie mieli nic lepszego. — Dotknął znajdującej się przed nim konsoli. Zaświeciła się. — Proszę na lotnisko — rzucił. — Uruchomić silniki falcona.

Samochód ruszył. Panowała niezwykle cisza; do wnętrza nie dochodził najmniejszy odgłos. Dopiero po minucie jazdy Nowskoj zorientował się, że nie ma kierowcy. Popatrzył na Rafaela z rozdziawionymi ustami i pokazał na pusty przedni lewy fotel.

— Co się stało? — spytał Amerykanin. Zwrócił uwagę na więzienny drelich swojego towarzysza. — W tej torbie jest ubranie dla pana — oznajmił.

— Musi pan nosić garnitur. Po drodze do Rzymu zatrzymamy się, ponieważ zaplanowałem małe spotkanie z klientem. Nie możemy tutaj o tym rozmawiać — prawdopodobnie wszystko, co mówimy na terenie tego kraju, jest podsłuchiwane. Kiedy tylko wylecimy z Federacji Rosyjskiej, uzupełnię luki w pańskiej wiedzy. Tak z innej beczki, mam nadzieję, że nie przeszkadzają panu długie godziny pracy. Przed weekendem mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia. Spotykam się z kolejnymi dwoma klientami; jest też dużo zajęć dla pana — będzie pan miał okazję nam pomóc. Proszę strzelić sobie drinka. Nie będzie pan już pił wódki. Lepiej się przyzwyczaić do czerwonego wina i pojedynczych szklaneczek whisky. Ach, byłbym zapomniał — czy ma pan rodzinę w Republice Rosji lub Rosyjskiej Republice Federacyjnej?

— Nie. Miałem tylko matkę, ale już nie żyje.

— W takim razie możemy zająć się dzisiejszym spotkaniem.

Rafael zamilkł. Dojechali do polanki, gdzie czekał olbrzymi śmigłowiec z pracującymi na jałowych obrotach wirnikami. Nowskoj doszedł do wniosku, że świat będzie go teraz co chwila zaskakiwał, musi więc się do tego przyzwyczaić i nie otwierać za każdym razem szeroko ust ze zdumienia niczym małe dziecko. A jednak kiedy helikopter wylądował na świeżo wyasfaltowanym pasie koło gigantycznego transportowca z otwartym dziobem, w głębi którego widać było przestronną ładownię, Aleksiej nie był w stanie oderwać od niego wzroku. Złożono wirnik śmigłowca i maszyna została załadowana do wielkiego samolotu. Rafael zaprowadził Nowskoją do stojącego obok smukłego, małego odrzutowca o usterzeniu systemu delta. Kiedy zajęli miejsca i pilot uruchomił silniki, okazało się, że we wnętrzu kabiny w ogóle ich nie słycać. Wkrótce Aleksiej znajdował się już w powietrzu ponad olbrzymim terytorium wschodniego państwa rosyjskiego. Zastanawiał się, co czeka go dalej.

## 8

Admirał Michael Pacino aż krzywił się na samą myśl o stracie czasu, jaką musi spowodować urządzenie jego nowego biura. Jednak w gabinecie pozostawionym mu przez Dicka O'Shaugnessy'ego po prostu nie dało się pracować. Kiedy siedzibę dowódcy Operacji Morskich zajmował stary przyjaciel Pacino, Dick Donchez, ściany wyłożono mahoniową boazerią, w rogach ustawiono wykonane z wiśniowego drewna gabloty z modelami okrętów podwodnych, a całą jedną stronę zajęły regały z książkami, które Donchez uwielbiał. Następnym lokatorem pokoju był O'Shaugnessy i ten kazał zerwać boazerię oraz wymalować ogromny fresk, przedstawiający krwawy atak na Iran podczas minionej wojny islamskiej, nazywanej przez niektóre środki masowego przekazu trzecią wojną światową. O'Shaugnessy brał w niej udział jako kapitan jednostki SEALs. Poprowadził specjalny oddział złożony z żołnierzy SEALs, Zielonych Beretów oraz Rangersów na Cha Bahar. Został ciężko ranny w dolną część tułowia podczas bombardowania miasta przez niewykrywalne bombowce; omal nie zginął. Niektórzy z oglądających pokrywające ściany gabinetu admirała malowidło zwracali uwagę na fragment z wijącym się z bólu komandosem, za którym wybuchał fragment bomby paliwowo-powietrznej. Ludzi dziwiło, że tak wrażliwy na ludzkie cierpienie człowiek jak O'Shaugnessy polecił wymalować swoją siedzibę w okrutne sceny wojenne. Dick, słysząc uwagi na ten temat, niecierpliwił się zawsze i wyjaśniał, że zajęciem jego i wszystkich oficerów jest wojna i powinni dobrze zdawać sobie z tego sprawę.

Fresk zbyt mocno raził Pacino. Kiedy O'Shaugnessy skakał na spadochronie w Iraku, Michael był dowódcą okrętu podwodnego „Seawolf”, który tkwił w suchym doku jak ryba wyjęta z wody. Wydawało się, że marynarka i tak nie będzie miała w tamtej wojnie wiele do roboty. Okazało się jednak inaczej i ostateczna bitwa rozegrała się właśnie na morzu, a „Seawolf” strzelał w niej torpedami i odegrał ważną rolę. Taka scena wyglądałaby jednak, zdaniem Pacino, głupio, gdyby namalować ją na ścianie. Przede wszystkim freski gloryfikujące jego własne zasługi bojowe nie były w jego stylu. Kazał zamalować wojenne sceny czterema warstwami białej farby lateksowej.

Przez kilka miesięcy pracował w gabinecie o zwyczajnych białych ścianach. W końcu zdecydował się na zmianę i kazał swojemu szefowi sztabu, wiceadmirałowi Paully'emu White'owi, znaleźć firmę, która wybiję zewnętrzną ścianę i wstawi wielkie okno, sięgające od podłogi do sufitu. Pacino zawsze powtarzał, że marynarzowi z okrętu podwodnego najbardziej brakuje nieba i świeżego powietrza — nawet gdy jest pochmurno i pada deszcz. Dlatego z biura chciał mieć widok na otwartą przestrzeń. Architekt zaprojektował na wewnętrznej ścianie kominek. Michaelowi pomysł wydał się z początku absurdalny, jednak po namyśle wyraził zgodę. Wmurowano więc naprzeciw okna kominek z rzecznych kamieni. Miesiąc później przywieziono skórzane kanapy i fotele — prezent od Dicka O'Shaugnessy'ego. Żona Michaela, Colleen — córka O'Shaugnessy'ego — zleciła malarzowi odtworzenie na płótnie wszystkich okrętów, na których pływał jej mąż. Artysta zrobił to pięknie. Na ścianach widniały więc zarówno sylwetki starych okrętów „Hawkbill” oraz „Devilfish” klasy „Piranha”, jak i najnowszy SSNX „Devilfish”, skonstruowany przez samego Pacino. Michael sprowadził ze swojego poprzedniego gabinetu dowódcy Zjednoczonych Sił Podwodnych Pacyfiku biurko z drewnianych bali oraz masywny, dębowy stół biblioteczny. Teraz stał pomiędzy szerokim, wychodzącym na Potomac oknem a kanapami i myślał, że odwiedzający jego biuro goście nie znajdą tu najmniejszego śladu bytności Doncheza ani O'Shaugnessy'ego. Martwiło go to, gdyż obaj poprzednicy odegrali kluczową rolę w jego życiu i karierze zawodowej.

Richard Donchez zmarł nieco ponad rok temu. Od niepamiętnych czasów był mentorem Michaela i Pacino czuł, że z dnia na dzień coraz bardziej mu brakuje starego admirała. Ojciec zginął, jeszcze kiedy Michael studiował na pierwszym roku w Annapolis. Był jedną z ofiar incydentu z rosyjskim okrętem podwodnym pod lodową czapą biegunową. Żał za zmarłym Pacino odczuwał trochę jak odnawiający się wciąż ból dawno odniesionej rany wojennej.

Na jednej ze ścian znajdowały się jeszcze dwa inne obrazy — prezenty od Colleen. Jeden był olejną kopią starej fotografii, przedstawiającej dwóch oficerów marynarki w galowych mundurach z szablami na tle kiosku okrętu podwodnego klasy „Piranha”. Jeden z oficerów był starszy i łysy — to Donchez — a drugi zaskakująco młody, o kruczoczarnych włosach — Michael Pacino. Na kiosku okrętu można było odczytać: DEVILFISH SSN-666. Później Pacino zdążył kompletnie posiwieć i stracić dziesięć kilogramów na wadze. Pierwszy „Devilfish” zatonął przed trzynastu laty pod lodem — zaledwie niecałe trzysta mil morskich od miejsca, gdzie storpedowano okręt ojca Michaela. „Devilfish” został zatopiony przez rosyjski okręt klasy Omega w ostatnich dniach istnienia Rosji jako jednego państwa, rozciągającego się na dwóch kontynentach. Pacino przeżył, jednak na twarzy i ramionach ciągle nosił ślady odmrożeń. Były ciemne; wyglądało to trochę tak, jakby był już na zawsze mocno opalony.



Drugi z obrazów także był kopią zdjęcia. Przedstawiał mniej więcej ośmioletniego chłopca, stojącego obok wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny na tle jeszcze jednego okrętu podwodnego. Mężczyzna był bardzo podobny z twarzy do admirała Pacino, lecz nie tak chudy jak on. To był jego ojciec, komandor Anthony Pacino. Michael położył dłoń na płótnie i pomyślał: odpoczywaj w pokoju, tato.

Centralne miejsce na ścianie zajmowało powiększone do dużych rozmiarów zdjęcie admirała Pacino w galowym mundurze z kioskiem nowego „Devilfisha” w tle, z wysokim chłopakiem w mundurze kadeta, stojącym obok. Chłopak był szatynem o delikatnej, pięknej twarzy, która mogłaby być twarzą bardzo ładnej kobiety. Minę miał surową, jak gdyby próbował sobie nadać groźniejszy wygląd. Były jednak w jego urodzie i cechy odziedziczone po ojcu. Kiedy robiono zdjęcie, kadet Anthony Michael Pacino był na pierwszym roku studiów w Akademii Marynarki w Annapolis, Admirał wpatrywał się w fotografię, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Opanował silne emocje wywołane wspomnieniami i zawołał:

— Wejść.

W drzwiach pojawiła się jego sekretarka Joanna Stoddard. Nosiła włosy upięte w kok i okulary w metalowych oprawkach, zniekształcające jej oczy.

— Admirał Phillips, dowódca Zjednoczonych Sił Podwodnych, jest na pokładzie, sir.

— Proszę go wprowadzić — polecił Michael, rozbawiony słowami Joanny, która starała się wyrażać po wojskowemu. Była niemłodą już kobietą i pomagała mu w pracy od wielu lat — od czasu, kiedy został pierwszym dowódcą Zjednoczonych Sił Podwodnych.

Do gabinetu wszedł Bruce Phillips z teczką w ręku i czapką pod pachą.

— Cieszę się, że może mnie pan przyjąć, sir. — Odezwał się jeszcze zza progu. — Och, widzę, że urządził pan na nowo gabinet! Podoba mi się. — Phillips przyjrzał się kolejno obrazom, aż doszedł do zdjęcia, na którym widać było młodego Anthony’ego. — Chłopak naprawdę dorasta, prawda? — spytał.

— Rzeczywiście — przyznał Pacino, starając się, żeby w jego głosie nie zabrzmiała zbyt wielka duma. — Być może dorośnie jeszcze szybciej, jeśli wywałą go z Akademii.

Phillips popatrzył na swojego dowódcę i przyjaciela.

— Wątpię, żeby go wyrzucili — zauważył. — Z takimi plecami? Przecież tatuś jest najwyższym dowódcą.

— Akademią dowodzi Sean Murphy; mieszkaliśmy w internacie w jednym pokoju — zaczął Pacino. — Kilka lat temu wpłynął okrętem „Tampa” klasy 688 na chińskie wody terytorialne i został złapany w pułapkę. Musiałem mu pomóc moim „Seawolfem”. Jest mi więc dłużny, zresztą nie tylko z powodu incydentu z Chinami. Dlatego też oświadczyłem Murphy’emu surowo, że zwolnię go ze służby, jeśli okaże Anthony’emu jakiegokolwiek specjalne względy.

— Hmm, w takim razie to rzeczywiście słabe plecy... Michael roześmiał się.

— Właśnie. Siadaj. Mogę postawić ci drinka? Pora dnia już na to pozwala. — Jego porysowany rolex, odporny na wodę i wysokie ciśnienie, pokazywał siedemnastą trzydzieści.

— Dzięki. Bardzo chętnie, biorąc pod uwagę to, z czym przychodzę.

Michael otworzył barek po lewej stronie kominka, wyjął dwie szklaneczki i lód, po czym nalał duże porcje czystej szkockiej z butelki, którą dostał od O'Shaugnessy'ego w ramach prezentu ślubnego.

— Ja tam wolę Jacka Danielsa, szefie — mruknął Phillips, powąchawszy zawartość szklanki.

— Pij, to polubisz. To rozkaz — odparł Pacino.

Bruce usiadł w jednym z miękkich, skórzanych foteli, Michael spoczął w sąsiednim. Poczęstował gościa cygarem, choć sam nie zapalił.

— Czuję się jak w klubie dla dżentelmenów w starym Londynie — oświadczył Phillips.

— Zdziwiłbyś się, Bruce, o ile lepiej idzie mi z ludźmi, kiedy stwarzam im takie warunki — odpowiedział Pacino. — Ludzie działają zupełnie inaczej, kiedy mogą się zrelaksować, zamiast prężyć na bacność w roli podwładnych. Powinieneś być tu zajrzeć za czasów O'Shaugnessy'ego.

— Właśnie w związku z czymś takim tu jestem, szefie. Pamięta pan swój pomysł z wyjazdem wakacyjnym dla wyższych oficerów? Mieliśmy zaprosić młodych, wybijających się, w nagrodę za dobre wyniki w pracy. Wspomniał pan o tygodniu na Hawajach albo Bahamach.

— Pamiętam — potwierdził Pacino. — Odbyłoby się to w okolicach czerwca. — Skrzywił się niechętnie. Przytłaczało go brzemień rozlicznych codziennych problemów związanych z administrowaniem marynarką, a także towarzysząca jego pracy polityka.

— Ktoś powiedział, że pana pomysł przypomina to, co robią rokrocznie lotnicy w Las Vegas. Ten ich „Tailhook”. Bawią się, a jednocześnie załatwiają przy okazji ważne sprawy.

— Widzę, że przyszedłeś z jakąś koncepcją, Bruce — zauważył Michael. — Nie musisz mi jej w tak misterny sposób sprzedawać. Wał prosto z mostu.

— Zróbmy coś w rodzaju Tailhook dla całej marynarki. Dla oficerów okrętów podwodnych, leszczy z marynarki nawodnej, Marines, lotników. Zorganizujemy spotkania, na których będą mogli wzajemnie poznać swoje problemy. Będziemy mieli okazję nawiązać bliższy kontakt z naszymi wyróżniającymi się oficerami z dala od codziennej służby i kłopotów, jakie zwykle sprawiają im admirałowie z dowództwa, tacy jak my. Wyjedźmy wszyscy, będzie czas na przemyślenie wielu spraw. Jeden dzień mógłby

pan na przykład przeznaczyć na dyskusje o sprzęcie, dowiedzieć się od ludzi, jakie problemy stwarzają okręty. Stwierdzić, czego potrzebujemy do marynarki jutra. Drugiego dnia można by rozmawiać na temat personelu. Dowiemy się, czy marynarka dba o swoich ludzi. Trzeci dzień poświęcilibyśmy stworzeniu strategicznej wizji walki w realiach obecnego stulecia, zastanowieniu się nad tym, kim mogą być nasi potencjalni nieprzyjaciele. Wreszcie jeden czy dwa dni powinien wypełnić czysty relaks. Wyjdzie nam to wszystkim na dobre.

— Wszystko, co powiedziałeś, Bruce, znajduje się już w moim piśmie do dowódców wszystkich rodzajów sił — odpowiedział Pacino. „Wszystkie rodzaje sił” Marynarki Stanów Zjednoczonych to: siły podwodne — podległe Phillipsowi, lotnictwo morskie, siły nawodne oraz Marines.

— Potwierdzam, sir — przyznał Bruce. — Jednak moim zdaniem hotel na Hawajach czy Bahamach nie jest w naszym stylu. To zbyt podobne do tego, co robią Siły Powietrzne. My powinniśmy zorganizować się trochę inaczej.

— Jak?

— Zróbmy tak. Wycarterujmy statek pasażerski. Zabierzemy go w morze, żeby tam dyskutować i relaksować się. W międzyczasie będziemy mogli przechadzać się po mostku, a nawet przejmować wachtę. Niektórzy z naszych kumpli pewnie zleżą do maszynowni i sprawdzą zęzy. Będą się świetnie bawić i krytykować kapitana za sposób prowadzenia statku już podczas manewrów przy nabrzeżu, pierwszego dnia. Potem zmieszają go z błotem za nawigację. Mówię panu, chłopcy będą mieli świetną rozrywkę.

Pacino popatrzył na przyjaciela i podwładnego z rozbawieniem.

— Musiałeś wymyślić to wszystko już dawno — skwitował.

— Wcale nie. Zacząłem w zeszłym tygodniu — odparł Phillips. Zaczerwienił się trochę. — Moja firma kupiła właśnie statek pasażerski. Za trzy tygodnie „Princess Dragon” będzie gotowa do drogi. Proponują, żebyśmy wynajęli go na jego dziewiczą podróż.

Pacino wiedział oczywiście, że Phillips pochodzi z bogatego rodu, o wiekowych tradycjach, właścicieli linii pasażerskich Main Line, w jego rodzinie skandalem był sam pomysł podjęcia jakiegokolwiek pracy poza działalnością charytatywną. Krewni odcięli Bruce’a od wszelkich pieniędzy, do czasu aż jego nazwisko wypłynęło w wyniku incydentu na Morzu Południowochińskim, kiedy to dowodzony przez niego okręt „Piranha” odwrócił los przegranej już, zdawało się, bitwy. Wówczas Bruce stał się rodzinnym bohaterem i otrzymał posiadłość oraz firmę przynoszącą dochody niezbędne do płacenia przez rodzinę należnych podatków. Kupienie czegoś takiego jak statek pasażerski wydałoby się niektórym oficerom marynarki pomysłem zbyt frywolnym. Jednak melancholijnemu z natury Pacino podobała się w Phillipsie zdolność popełniania tego rodzaju szaleństw. Michael uśmiechnął się.

— Kiedy najlepiej wyruszyć? — spytał. Bruce wyszczerzył zęby.

— Spodobał się panu pomysł, prawda, sir? — zauważył.

— Chcę tylko wiedzieć, kiedy mam się spakować.

— Wypłyniemy z Norfolku dwudziestego trzeciego lipca, w poniedziałek. Chłopcy z Pacyfiku będą musieli przylecieć w niedzielny wieczór.

Zapukano do drzwi i pojawiła się Joanna.

— Sir, przyjechała pana żona. Powiedziałam, że odbywa pan ważną rozmowę.

— Nie. Proszę ją wpuścić — polecił admirał.

Do gabinetu weszła Colleen Pacino w eleganckim kostiumie. Uśmiechnęła się do Phillipsa, który zerwał się z fotela na jej widok. Podeszła do niego i ucałowała go w policzek.

— Cześć, Bruce — rzuciła. Podeszła do męża i pocałowała go krótko w usta.

Colleen kierowała firmą zbrojeniową, która skonstruowała system kontroli walki do okrętów klasy SSNX. Pacino poznał przyszłą żonę w stoczni. Zakochał się w niej, jeszcze zanim jej ojciec został dowódcą Operacji Morskich. Pani Pacino miała piękne, kruczoczarne włosy opadające łagodnie na ramiona i łagodną twarz o dużych, czarnych, odrobinię skośnych oczach i pełnych ustach.

— Napijesz się czegoś, Colleen? — spytał Michael. — Mamy tu najlepszego caber-neta w całym Pentagonie.

— Z przyjemnością — odpowiedziała z uśmiechem i usadowiła się na kanapie. — Wiesz co, Bruce, zastanawiam się, dlaczego do tej pory się nie ożeniłeś. — Wzięła kieliszek z winem. — Wiceprezes Cyclops Systems wprost wychodzi ze skóry, żeby cię poznać.

Phillips zaczerwienił się, zgasił cygaro i popatrzył na swojego dowódcę. Ten ponownie napełnił puste szklaneczki.

— Bruce i ja obmyślamy projekt wyjazdu wypoczynkowego dla całej marynarki — zagał. — Tej burzy mózgów, o której kiedyś mówiliśmy. Bruce kupił właśnie statek pasażerski. Chce, żeby ta impreza odbyła się na jego pokładzie. Wypłyniemy w rejs, popalamy się, podokuczamy cywilnym oficerom.

— Mam nadzieję, że żony także są zaproszone — powiedziała Colleen. — Ostatnio dowodzisz także kobietami, a niektóre są niewątpliwie bardzo ładne...

— Co o tym myślisz, Bruce? — spytał Pacino. — Czy żony i dziewczyny oficerów także będą zaproszone?

Phillips wstał.

— To dobry pomysł, sir.

Michael także się podniósł i odprowadził Bruce'a na korytarz. Kiedy Colleen nie mogła ich już słyszeć, spytał:

— Co z Kellym McKee? Młodszy admirał posmutniał.

— Coraz gorzej, sir — odpowiedział. — Jego teść przekazał mu należący do Diany fundusz powierniczy. McKee siedzi więc teraz w domu i wpatruje się w jej zdjęcia, wiszące na ścianach.

Pacino przypomniał sobie, jak to on sam niecałą godzinę temu spoglądał melancholijnie na obrazy w gabinecie.

— Odwiedziłeś go? — rzucił.

— Dwukrotnie. Nie zgadza się nawet na poruszanie tematu jego powrotu na morze. Znalazłem się w sytuacji, w której muszę podjąć decyzję. Nie mogę bez końca pozostawiać sprawy dowództwa „Devilfisha” otwartej. Trzeba postawić kogoś na miejscu Kelly’ego. Załoga zaczyna już się niecierpliwić.

— Może pierwszego oficera? — zaproponował Michael.

— Karen Petri? Ona nie jest jeszcze gotowa na dowodzenie okrętem podwodnym.

— Bruce, widziałem wszystkie nagrania. Spisała się świetnie, kiedy kazaliście nagle wypłynąć „Devilfishowi” z Norfolku.

— Zastanowię się nad tym, sir — stwierdził Phillips. — W tej chwili jeszcze nie mogę nic powiedzieć. To by była pierwsza kobieta na takim stanowisku, wie pan. Powinna przejść przez szkołę dla przyszłych dowódców i próbę symulatora ataku — tak jak wszyscy inni, ze mną włącznie.

— Może i masz rację, Bruce. Może i masz rację. Nie zamierzam wydawać ci w tej sprawie rozkazów. Powinieneś jednak rozważyć, czy nie zaufać jej ze względu na to, czego dokonała na południowym Atlantyku. Zachowała zimną krew. Mógłbyś tymczasowo przydzielić „Devilfishowi” nowego XO, a jej zlecić pełnienie obowiązków dowódcy do czasu powrotu Kelly’ego. — Pacino uniósł rękę. — Wiem, że to należy do twoich kompetencji. Pomyśl o tym. — Michael uściskał rękę Phillipsowi i pożegnał się z nim. Pomyślał, że czuje do Bruce’a to samo, co Donchez i O’Shaughnessy musieli czuć do niego samego — mieszaninę fascynacji, chęci ochrony kariery zdolnego, młodego człowieka, pragnienie awansowania go, zachęcania do dalszych sukcesów. Życie zatoczyło pełne koło.

Michael wrócił do Colleen.

— Kiedy ma się odbyć ta wielka impreza na statku Phillipsa? — spytała.

— Zaczyna się dwudziestego trzeciego lipca — poinformował Pacino. — A co, masz randkę?

Żona posmutniała.

— Niestety, mam. Akurat przez ten cały tydzień będę zeznawać przed Kongresem. Mam opowiadać im o Cyclops Systems i naszych planach budżetowych na rok 2020.

— Cholera — zaklął admirał.

— Hej, nie martw się tym aż tak. Tydzień na pełnym morzu, w tropiku, z tymi wszystkimi hostessami nalewającymi drinki, z których wystają parasolki. Będzie nieźle, mówię ci.

— Oj, zamknij się, kobieto! — powiedział Pacino, uśmiechając się do żony.

★ ★ ★

W sekretariacie biura dowódcy Operacji Morskich Bruce Phillips skinął na Joannę Stoddard i spytał:

— Czy mogę skorzystać z telefonu? Zrobiła zapraszający gest ręką.

Phillips połączył się z dowódcą personelu marynarki, admirałem Davidem Meeksem.

— To ja, Dave — powiedział. — Potrzebny mi pierwszy oficer na „Devilfisha”. Nie mam czasu na wyjaśnienia.

— Co się stało z Petri? — spytał Meeks.

— Robimy z niej pełniąca obowiązki kapitana. Potrzebuję pierwszego oficera

— A co z McKee?

— Zobaczymy, co będzie dalej — zaczął wyjaśniać Phillips. — Jeżeli wróci do służby, dostanie „Devilfisha” z powrotem. Jeśli nie pojawi się w ciągu roku, kapitanem mianuję Petri.

— Rok? Dziewczyna będzie przez bardzo długi czas żyła w niepewności.

— Petri to twarda bestia. Da sobie z tym radę. Nie sądzę, żeby zgodziła się objąć dowództwo w inny sposób. Była bardzo zżyta z McKee.

— W takim razie może to ona powinna z nim porozmawiać. — Bruce zamilkł na moment.

— Wiesz co, to niezły pomysł — odparł. — To na razie. — Rozłączył się, machnął Stoddard na pożegnanie i pobiegł do swojego sztabowego samochodu czekającego przed wejściem dla VIP-ów.

## 9

*Przyznanie się do winy, które napisałem, nadało mojemu życiu nowy kierunek. Oto odnalazłem wolność; nie tylko dosłownie, dzięki opuszczeniu krępujących mnie murów więzienia, ale także przez pisanie, możliwość wyrażania swoich myśli. Żałuję, że dowiedziałem się o tym tak późno. Przelewanie na papier tego, co kryje się w moim wnętrzu, daje silne poczucie wyzwolenia. Nieokreślone, nie mające znaczenia refleksje nabierają kształtu, kiedy biorę długopis do ręki. Albo, jak teraz, komputer.*

*Rafael dał mi przenośny komputer zbliżony rozmiarami i wagą do kolorowego czasopisma. Ma duży ekran, po którym mogę pisać plastikowym piórem. Litery rozpoznawane są przez maszynę i zapamiętywane. Można przywołać je znów w dowolnej postaci, drukowane lub takie, jak zostały wpisane. Jedno wciśnięcie przycisku powoduje nie tylko lokalizację błędów ortograficznych, ale i gramatycznych, a nawet sugestie, gdzie powinienem zrobić akapit. Nigdy nie używam tego przycisku. Ten tekst to pamiętnik, a co to za pamiętnik redagowany przez komputer? Postanowiłem rozpocząć go dzisiaj. Jest dwudziesty czwarty czerwca, środa. Będę pisał, aż zdrętwieje mi ręka. Wtedy być może zacznę dyktować komputerowi i patrzeć, jak zamienia dźwięki w pisane moim własnym charakterem słowa. To doprawdy zdumiewające!*

*Dzisiejszy dzień obfituje w największą ilość wydarzeń od czasu, gdy trzy tygodnie temu Rafael zawitał do mojej więziennej celi. Muszę powiedzieć, że nabrałem stopniowo ogromnego szacunku dla tego człowieka — za jego niepohamowaną żądzę wiedzy, za mądrość, którą już posiada. Myślę zarówno o ilości informacji jaką przyswoił, jak i znajomości ludzi i ich zachowań, daleko przekraczającej moją własną. Do chwili, kiedy poznałem Rafaela, sądziłem, że jako admirał znam ludzkie dusze lepiej niż ktokolwiek. Rafael udowodnił mi już wielokrotnie, że jest inaczej. W dodatku zna maszyny równie znakomicie, jak ludzi, a kiedy wyjaśnia arkana polityki międzynarodowej, przypomina szachowego arcymistrza tłumaczącego jeden z podstawowych ruchów. Wszystko to jest dla Rafaela bardzo proste, ale on jest prawdziwym geniuszem.*

*Rafael posiada jeszcze jedną niezwykłą cechę. Cechę, której u innych nigdy nie lubiłem. Dopiero on pokazał, co można przy jej pomocy osiągać. Sam nazywa to „umiejętnością*

sprzedawania”. W jego wydaniu chodzi o coś, co nazywałem kiedyś umiejętnością sprawowania dowództwa jednak niezupełnie. To coś więcej. Zdolność przekonywania, przyciąganie swoją osobowością, okazywanie rzetelnego zainteresowania rozmówcą i troska o przedmiot transakcji. Rezultaty, jakie przy pomocy tej cechy osiąga Rafael, są zadziwiające. Jest tak, jak gdyby potrafił czuć podobnie jak jego klienci, jakby zaglądał do ich serc i widział nie tylko, czego chcą, ale także to, czego potrzebują. I to właśnie im sprzedaje. Po drodze z więzienia zatrzymaliśmy się w Libii, gdzie mieliśmy spotkanie z przywódcą państwa. Sądziłem, że chodzi głównie o podtrzymanie stosunków, jednak Rafael zapoczątkował serię kolejnych spotkań, których celem ma być sprzedaż nowego pomysłu, czegoś dość egzotycznego i obecnie niemożliwego do zrealizowania ze względów ekonomicznych. Przed odlotem libijski prezydent uścisnął ciepło Rafaela i zaprosił go do ponownych odwiedzin. Nie potrafię opisać, w jaki sposób Rafael to robi, ale to, czego chce — na przykład sprzedanie danej usługi konsultingowej — wkrótce staje się tym, czego chce jego klient. W dodatku jest on zupełnie przekonany, że doszedł do swoich wniosków samodzielnie, bez pomocy Rafaela.

Starłem się dowiedzieć o nim czegoś więcej. To chodzący kłębek sprzeczności. Potrafi być ciepły w stosunku do klientów, ale dla mnie jest jak zawinięta książka. Nie wiem nic o jego dzieciństwie, skąd pochodzi, kim byli jego rodzice, dlaczego mieszka we Florencji. Co sprawiło, że stał się tym, kim jest; jak zarobił tyle pieniędzy, żeby rozwinąć tego rodzaju przedsiębiorstwo.

Wiem tylko tyle, że odnosi sukcesy w interesach i zawieraniu transakcji.

Pozwolono mi zrozumieć odrobinę z nowego przedsięwzięcia, jakie rozpoczął Rafael. Kosztowało go ono już dziesiątki milionów dolarów w ciągu ostatnich czterech lat. Zaczął je wcześniej niż starania o wyciągnięcie mnie z więzienia. Wiem, że ma ono coś wspólnego ze sprzętem, a ten z podwodnym sabotażem. Rafael nazywa to „przesunięciem siły w korzystnym kierunku”.

Poza tym, co napisałem powyżej, nie wiem nic. Rafael kazał mi po prostu czekać. W tej chwili nie jestem jeszcze pewien, jaką wartość przedstawiam dla jego firmy. Jak na razie nie przysłużyłem się niczym. Rafael wie tylko, że zaprojektowałem okręt podwodny klasy Omega. Boli mnie używanie nazwy „Kalininograd”, więc będę posługiwał się tą, którą stosuje Rafael. Przesiaduję na spotkaniach, słucham, uczę się i na razie Rafaelowi zdaje się to wystarczać. Jednocześnie ze zdobywaniem wiedzy staję się bogatym człowiekiem. To nieporównanie przyjemniejsze niż tkwienie w więziennej celi. Przypomniało mi się coś jeszcze. Przylecieliśmy dziś rano falconem do Hinduskiej Republiki Indii. Wylądowaliśmy w bazie lotniczej tuż koło pałacu prezydenckiego. Ludzie premiera Nipuna Patela wprowadzili nas do środka. Pokazali nam nasze pokoje i oznajmili, że żona Patela jest ciężko chora i dlatego premier spotka się z nami dopiero później.





— Kończmy już — powiedział Patel. Wstał i garbiąc się, podążył za swoim podwładnym — generałem Prahvinem. Wyszli na schody. W dole, za trzema łukami, podtrzymywanymi przez drewniane kolumny, jarzyło się światło świec z jadalni. Środek pomieszczenia zajmował długi stół zastawiony jedzeniem i pucharami; wokół jednego z jego końców ustawiono cztery krzesła. Na podłodze leżało mnóstwo poduszek, a na każdej z nich spoczywała kobieta; jedna piękniejsza od drugiej. Patel stanął u szczytu stołu. Dwie z kobiet wprowadziły konsultantów. Rosjanin wydawał się trochę niepewny. Rafael natomiast uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Panie premierze, dziękuję bardzo, że poświęcił nam pan czas — odezwał się, po czym zrobił zatroskaną minę. — Słyszałem o chorobie pańskiej żony. Bardzo panu współczuję. Jeśli pan sobie życzy, możemy oczywiście przełożyć nasze spotkanie na kiedy indziej.

Patel skłonił głowę i potrząsnął dłonią przybysza.

— Nie ma potrzeby — odparł cicho.

— Zjemy i zobaczymy, jak pan będzie się czuł, panie premierze — ciągnął Rafael. — Wiem, że to dla pana trudne chwile. Chcę pana przeprosić. Nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji. — Przybrał zawstydzoną minę. — Znaleźliśmy sposób na doprowadzenie do ekonomicznej ruiny Zjednoczonych Republiki Arabii Saudyjskiej i możemy pomóc panu w opanowaniu światowego rynku ropy naftowej. Jednak może powinniśmy odłożyć te sprawy na później, gdyż będzie pan musiał podjąć pewne kluczowe decyzje. Patel spochmurniał, jednak w końcu uśmiechnął się.

— Rafaelu, magia pańskich słów potrafi urzec wszystkich. Poza mną — oświadczył. — Ja po prostu widzę, jak kształtują się one w pana głowie.

Rafael także się uśmiechnął.

— Być może rok temu miałby pan rację — nie ustępował. — Jednak dziś — rozłożył szeroko ręce, unosząc dłonie — mamy do zaoferowania więcej niż tylko sprzedaż kolejnego pomysłu i przekonanie pana do podpisania umowy. Przylecieliśmy z czymś ważnym, czymś, co rozwiąże pana problemy. Wpadliśmy na ten pomysł już trzy lata temu, ale wtedy była to teoretyczna koncepcja bez odpowiedniego klienta. Dziś świat jest inny.

Obaj mężczyźni wiedzieli, o czym mowa. Nipun Patel przejął władzę w Indiach przed piętnastu laty, po krwawej rewolucji. Dokonał egzekucji tysięcy przeciwników politycznych i powołał podległy sobie, marionetkowy parlament.

Trzy lata po rewolucji uderzył na komunistyczne Chiny, zajęte pierwszą wojną domową. Jego siły zostały jednak zepchnięte z powrotem do przedwojennej granicy. Dwa lata temu, podczas drugiej wojny domowej pomiędzy Czerwonymi a Białymi Chinami,

zaatakował znowu. Uderzył na Czerwone Chiny zajęte walką z Białymi na wschodzie. Tym razem zwyciężył i zdobył rozległe terytoria, wcinające się głębokim półksiężycem na północ od właściwych Indii.

Szesnaście miesięcy temu hinduscy inżynierowie odkryli na nowych terytoriach potężne złoża ropy naftowej. Indie natychmiast ściągnęły brytyjskich specjalistów i błyskawicznie zaczęły budować olbrzymią rafinerię, tysiącdwustukilometrowy rurowciąg oraz port przeładunkowy na swoim wschodnim wybrzeżu. Osiem miesięcy temu zamówiono w Japonii dwadzieścia supertankowców. Miały zostać dostarczone za trzy miesiące od chwili obecnej. Rafineria miała rozpocząć pracę za dwa miesiące. Jeśli rozruch przebiegnie zgodnie z planem, za trzy miesiące rurowciągiem popłynie ropa.

Patel oparł się wygodnie i pozwolił nalać sobie wina. Usługująca dziewczyna miała jedwabną bluzkę tak obficie skrojoną, że materiał dotykał obrusu.

— Jaka jest wasza propozycja? — zapytał Patel.

— Jeżeli rozpocznie się produkcja ropy, Indie w ciągu kilku lat mogą stać się gospodarczą potęgą — zaczął Rafael. — Oczywiście do tego niezbędne jest utrzymanie nowych terytoriów i, jak rozumiem, podjął pan niezbędne kroki, aby Czerwone Chiny nie były w stanie ich odebrać. Jednak drugie niezbędne założenie jest takie, że Saudyjczycy nie zrobią żadnego psikusa.

A mogą zwyczajnie obniżyć cenę ropy. Albo na przykład zbombardować waszą budowaną rafinerię, rurowciąg lub port. Lub wszystko to razem. Jeśli uda się powstrzymać Saudyjczyków, Indie będą bogatsze niż Argentyna i bogatsze niż Arabia Saudyjska. Może pan zapewnić swojemu krajowi wymarzony sukces gospodarczy. Jednak przyjechaliśmy tu nie po to, aby beczynnienie śledzić wasz ekonomiczny rozwój, tylko żeby pokazać plan przyspieszenia go. Indie nie będą miały najmniejszych kłopotów z wyżywieniem, a przy okazji Arabia Saudyjska zostanie zgnieciona. Oczywiście, sam pan rozumie, że to, co panu pokażę, jest ściśle poufne, przeznaczone tylko dla pana i generała Prahvina. Wiem, że pańskie służące są piękne i przeszły staranną lustrację, jednak, jak mawiają w Ameryce, nie mają potrzeby poznania naszej propozycji...

Patel klasnął dwukrotnie w ręce i jadalnia opustoszała. Pozostało tylko czterech mężczyzn siedzących za stołem.

— Na razie wspomniął pan o zrujnowaniu Saudyjczyków, opanowaniu rynku naftowego i koncepcji bez klienta — zauważył Prahvin.

— Przepraszam — odparł Rafael. — Mój umysł poddaje się wpływowi tego znakomitego wina. Jest doprawdy wyśmienite. — Pociągnął łyk, po czym spojrzał w oczy premierowi i oznajmił:

— Oto, z czym przylecieliśmy. — Wyciągnął z kieszeni płaszcz swój płaski komputer i po chwili nad stołem pojawił się trójwymiarowy obraz — niebiesko-brazowo-zielono-biała kula, obracająca się powoli w powietrzu, jak gdyby podświetlona od we-

wnętrz. Miała z pół metra średnicy. Patel gapił się na nią w zdumieniu. Pierwszy raz w życiu widział projekcję trójwymiarową, jednak robił dobrą minę do złej gry, nie chcąc okazać się zacofany. Zauważył, że Prahwinowi zrzęda mina. Drugi z konsultantów także wydawał się przez chwilę zdumiony, po czym przybrał poprzednią niewzruszoną postawę. Na oczach hinduskiego premiera biały kolor rozwiął się i można było zobaczyć, że niebieski obrazuje oceany, a brąz i zielen — kontynenty. Kula stopniowo przestała się obracać, tak że na wprost twarzy Patela znalazł się Półwysep Arabski. Półwysep urósł, reszta globu zniknęła. Pomiędzy Rafaelem a Patelem wisiała teraz w powietrzu wypukła mapa. Generał wstał i stanął za plecami swojego przywódcy, żeby lepiej widzieć.

— Produkowana w Arabii Saudyjskiej ropa jest eksportowana drogą morską, głównie szlakami wokół południowego wybrzeża kraju. Pięćdziesiąt procent przepływa przez Zatokę Adeńską, dwadzieścia pięć procent — Omańską, dwadzieścia — przez Morze Śródziemne, i pięć — rurociągiem do Iranu, na drodze wiodącej przez Morze Czerwone i Zatokę Adeńską znajduje się miejsce, gdzie szlak się zwęża. To cieśnina Bab al-Mandab, gdzie zbliżają się do siebie wysunięte cyple Półwyspu Arabskiego i Afryki. Ma osiemnaście kilometrów szerokości. A kanał żeglugowy o głębokości wystarczającej dla supertankowców jest szeroki zaledwie na pięć kilometrów. Nie da się przeczyć żadnego statku i żaden nie może ominąć tego punktu. Jeden z opatentowanych przez nas podmorskich systemów umieszczony w cieśninie może zniszczyć każdy przepływający tamtą trasą tankowiec. Proszę teraz przypatrzeć się wschodniemu szlakowi. Zatoka Perska przechodzi w Zatokę Omańską przez kolejne wąskie gardło — cieśninę Ormuz. Tu jest szerzej, ale i tak kanał żeglugowy dla wielkich tankowców ogranicza się do około piętnastu kilometrów szerokości. Również i tutaj jeden z naszych systemów jest w stanie zatopić wszystkie przepływające statki. Ruch przez Morze Śródziemne zaczyna się natomiast głównie z portu w Bejrucie. Tu poszczególne drogi morskie rozchodzą się lekko, jednak kolejny z naszych systemów umieszczony w niewielkiej odległości od Libanu będzie mógł zniszczyć większość tankowców. Nasz plan jest zatem prosty. Zatopimy każdy załadowany tankowiec przepływający przez Zatokę Perską lub Zatokę Omańską. Kiedy już na dnie spocznie kilkadziesiąt, z pewnością nikt nie będzie miał więcej ochoty posyłać tam swoich statków po ropę. Zamiast tego wyśle je do pańskiego portu i wkrótce opanuje pan rynek.

Rafał oparł się teraz wygodnie i pociągnął kolejny łyk wina, po czym popatrzył spokojnie na Patela, oczekując odpowiedzi. Oczy premiera nie zdradzały niczego. Nie padło żadne pytanie. Rafał kontynuował więc:

— Zastanawia się pan, czy nie oszalałem. Sądzi pan, że jeśli statki w cieśninach zaczną wybuchać, przyplynie potężna flota z zagranicy i rozwiąże kłopot siłą? A zatem przechodzi pan od myślenia, czy należy zrobić to, o czym mówię, do myślenia o tym, jak to zrobić. Jednak nie porzucajmy zbyt szybko pytania „czy”. Zgodzi się pan ze mną, panie premierze, że gdybyśmy mogli zatapiać tankowce wypływające z Półwyspu Arabskiego, byłoby to dla pana kraju niezwykle korzystne?

— Oczywiście.

— A czy ma pan jakieś wątpliwości w sprawie tego, czy warto zablokować Arabię Saudyjską?

— Zakładam, przyjacielu, że ma pan plan, pańskim zdaniem, wykonalny — przerwał Patel — zatapiania tankowców we wskazanych przez pana „wąskich gardłach”. Rzeczywiście, na krótką metę mogłoby to nam pomóc. Ale jak słusznie pan powiedział, następnego dnia po zatopieniu pierwszego tankowca w zagrożony rejon wpłynie brytyjska lub amerykańska marynarka i zniszczy to, co pan tam zainstaluje. Czy to będą lasery, czy inne nowe technologie.

— Żadne obce mocarstwo nie będzie w stanie zorientować się, co się dzieje — zaproponował Rafael. — Widzi pan, wszystkie tankowce będą przepływały spokojnie przez cieśniny, po czym będą tonąć daleko na pełnym morzu. Wymyśliliśmy metodę na zatapianie statków w taki sposób, że nie da się wykryć sprawcy. Nikt na pokładzie tankowców nie przeżyje. Właściciele linii handlowych i kraje kupujące ropę będą pana błagać o napełnienie ich zbiorników. Powtórzy się rok 1974, tyle że zamiast grupy Saudyjczyków tym razem na kryzysie skorzysta pan! — Rafael uniósł kieliszek i rozejrzał się po twarzach zebranych. — Za Indie i za nową dynastią naftową! — opróżnił teatralnie kieliszek.

Patel i Prahvin gapili się na niego ze zdumieniem, podobnie zresztą jak i Nowskoj. Unosząca się w powietrzu mapa przygasła i znikła. Patel założył ręce.

— Lepiej niech pan przejdzie do tego „jak”, przyjacielu, bo inaczej to spotkanie natychmiast się zakończy — oznajmił. — Nigdy nie byłem zwolennikiem science fiction. Ani fantasy.

— Rzeczywiście tego rodzaju przedsięwzięcie zostanie podjęte po raz pierwszy — przyznał Rafael. — Oto propozycja. Moje warunki pan zna. Plan płatności jest prosty. Osiemdziesiąt procent gotówką z góry, dwadzieścia po zakończeniu inwestycji, jeśli będzie pan usatysfakcjonowany. Potrzebujemy stu pięćdziesięciu milionów dolarów — jeżeli dokona pan zamówienia w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Numer mojego konta w banku Credit Suisse znajduje się na wizytówce — jest identyczny jak mój numer telefonu. Za sto pięćdziesiąt milionów wszystkie tankowce wypływające z Półwyspu Arabskiego będą iść na dno przez kolejne sześć miesięcy. Jestem w stanie zorganizować pokaz, dzięki któremu nabierze pan zaufania do mojej propozycji. Pokaz ów będzie jednak kosztowny, więc cena całej usługi wzrośnie. Po udanym pokazie chcę dostać pięćset milionów dolarów. Część z tej sumy to koszty demonstracji, część bierze się stąd, że wartość produktu będzie wyższa, część stanowi po prostu mój zysk, a reszta to kara dla pana za brak wiary we mnie. — Po tych słowach Rafael uśmiechnął się i ponownie uniósł kieliszek.

— Co to za pokaz? — spytał Patel. — Co pan chce mi zademonstrować i dlaczego ma to rozwiązać moje wątpliwości?

Rafael znowu włączył komputer i popatrzył na hinduskiego premiera.

— Niech pan wybierze jakąś gazetę, której pan ufa. Dowolną. Patel zamrugał oczami.

— Londyńskie „Daily News”.

— Ja wybrałbym „New York Timesa”, ale oczywiście może być i „Daily News”.

— Rafael obrócił komputer tak, żeby dyktator mógł dobrze widzieć ekran. Wywołał internetową wersję londyńskiej gazety.

— No i co ma być w tej gazecie? — dopytywał się Patel.

— Proszę poszukać czegoś związanego z amerykańskim wojskiem.

— Jest. „Marynarka Stanów Zjednoczonych planuje romantyczny rejs statkiem”.

— O to chodzi.

Patel wybrał artykuł i zaczął go czytać. Autor opisywał plany wypoczynkowego rejsu dowódców amerykańskiej marynarki statkiem po Morzu Karaibskim.

— Czyżby zamierzał pan użyć jednego ze swoich systemów do zatopienia tego statku? — domyślił się premier.

— Właśnie.

— Też mi demonstracja. To zwykły statek pasażerski. Co to za trudność zatopić coś takiego? — skomentował Patel.

— Proszę uważnie przeczytać. Jeśli piszą to samo co w „New York Timesie”, powinni informować, że zostaną powzięte nadzwyczajne środki bezpieczeństwa.

Dyktator odczytał na głos:

— „Biuro Spraw Publicznych Pentagonu wydało oświadczenie, w którym informuje, że bezpieczeństwo rejsu zapewni mała flotylla krążowników, niszczycieli i fregat, a także okręt podwodny”.

— I to będzie nasz pokaz — zapewnił Rafael. — Być może w gazecie tego nie ma, ale statek wypłynie z Norfolku, czyli jednej z najsilniej strzeżonych baz marynarki wojennej na wschodnim wybrzeżu USA. Zatopimy nie tylko statek z admirałami, ale także i okręty eskorty. Czy ma pan jakieś życzenia w kwestii tego, co mamy zatopić najpierw? Okręty wojenne czy statek pasażerski?

— Najpierw statek z dowódcami — zażądał Patel. — A potem, kiedy już na okrętach eskorty zostanie podniesiony alarm, niech zaczną iść na dno, jeden po drugim.

Rafael pokiwał poważnie głową.

— Jeden po drugim, w odstępach. Doskonale — skwitował. — Kiedy przeczyta pan o tym w „Daily News”, będzie nam pan winien osiemdziesiąt procent z pięćset milionów dolarów.

— Nie — oznajmił krótko dyktator spokojnym, jak zwykle, głosem. Oparł się wygodnie i ciągnął:

— Będzie tak. — Ziewnął. — Nie zapłacę wam pół miliarda dolarów. Sto pięćdziesiąt milionów to i tak zdzierstwo. Pan zrobi swój pokaz, zapłacę dwadzieścia milionów. Zacznie pan w ciągu sześciu tygodni atak na saudyjskie tankowce. Po zatopieniu pięćdziesięciu tankowców zapłacimy sto milionów dolarów. Po zatopieniu kolejnych pięćdziesięciu — jeszcze sto milionów. Wątpię, żeby potem cokolwiek tamtędy pływało, ale w razie potrzeby będę płacił po dwa miliony za każdy kolejny tankowiec.

Twarz Rafaela zmarszczyła się.

— Rozumiem, o co panu chodzi, panie premierze — odparł. — Chce pan osiągnąć pożądane wyniki przy minimalnym ryzyku. Sam na pańskim miejscu zaproponowałbym to samo. Jeśli jednak wolno spytać, czy mogę zrealizować pańskie żądania w sposób, który pozwoli mi przetrwać finansowo? — Wychylił się w stronę Patela i spojrzał mu głęboko w oczy spod przymkniętych powiek. — Zainkasujemy dwadzieścia milionów teraz, drogą elektronicznego przelewu — zaproponował. — Następnie polecimy z panem Nowskojem, żeby przygotować demonstrację. Gdy się uda, przekażecie nam pięćdziesiąt milionów. Po ich otrzymaniu rozpoczniemy operację saudyjską w wymaganym przez pana czasie. Dyktator pokiwał głową, ziewając.

— Akceptuję te warunki. Jednak chciałbym dowiedzieć się jednego. Jak to zrobicie? Niech pan nie mówi. Chcę, żeby na to pytanie odpowiedział pan Nowskoj.

Rafaël spojrział na Rosjanina, uśmiechając się łagodnie. Ten odkaslnął i powiedział:

— Panie premierze, plan wygląda tak.

Patel stwierdził, że Nowskoj mówi zdecydowanym głosem osoby przyzwyczajonej do rozkazywania. Postanowił poprosić Rafaela o życiorys tego człowieka.

— Mamy kilka nowych systemów, które ostatnio osiągnęły stadium użytkowe. Zainstalujemy je w cieśninach, skąd będą mogły razić tankowce.

— Rozumiem, ale co to za systemy? — zapytał Patel. — Okręty podwodne? Nurkowie? Jakiś podmorski schron?

— Poproszono mnie o niezagłębianie się w szczegóły sprawy na tym etapie, jeśli nie będę się znajdował w absolutnie bezpiecznym miejscu, panie premierze — odparł Rosjanin. — A nawet wówczas musielibyśmy uznać każdego, kto uzyska dostęp do pewnych danych, jako potencjalne zagrożenie bezpieczeństwa systemu. Obawiam się, że mimo że to pan płaci nasze rachunki — z czego oczywiście bardzo się cieszymy — i tak musiałby pan zostać przez nas oceniony pod względem bezpieczeństwa. I nie przeszedłby pan obowiązującego u nas wewnętrznego protokołu, gdyż niezbędnym warunkiem uzyskania dostępu do danych jest bezwzględna potrzeba ich poznania. A pan...

— Rzeczywiście — przerwał Hindus, unosząc rękę — nie muszę wiedzieć. Niech tak będzie. Może jednak po udanym pokazie będziecie mogli zaznajomić mnie z waszą techniką.

Rafael uśmiechnął się znowu.

— Po zatopieniu tych wszystkich tankowców, zgodnie z pana żądaniem, i wstrzymaniu dalszych dostaw saudyjskiej ropy osobiście pokażę panu, dzięki czemu odnieśliśmy sukces. Rzecz jasna, po zapłaceniu przez pana ostatecznej sumy — oznajmił.

Patel wstał, znów ziewając.

— Generale Prahvin, proszę przekazać drogą komputerową dwadzieścia milionów dolarów na konto pana Rafaela — polecił. — Rafael poda panu numer. Dziękuję za poświęcony nam czas, także i panu, panie Nowskoj.

— Gdy dokonamy przelewu, możecie panowie pozostać tu tak długo, jak zechcecie, i zasmakować naszej gościnności.

— Dziękuję, ale nie możemy skorzystać z zaproszenia — odpowiedział Rafael.

— Mamy mnóstwo pracy. Pokaz odbędzie się już za parę tygodni.

— Generał was odprowadzi — zakończył Patel. — Proszę wybaczyć, ale udam się na spoczynek. Miałem dzisiaj ciężki dzień.

Rafael skłonił głowę, przekazał życzenia powrotu do zdrowia dla Soni Patel i ruszył za hinduskim generałem do biura. Nowskoj podążył za nimi.

## 10

Rafael nie chciał powiedzieć ani słowa do czasu, aż falcon znalazł się nad oceanem; Nowskoją także powstrzymywał gestami. W końcu, gdy znaleźli się poza indyjską przestrzenią powietrzną, Aleksiej popatrzył na Rafaela. Ten potarł brwi i uśmiechnął się.

— Ledwie się udało — powiedział.

— O który moment panu chodzi? — spytał Nowskoj.

Rafael wybuchnął śmiechem, aż się zakrztusił. Wypił parę łyków francuskiej wody mineralnej i wyjaśnił:

— To niewiarygodne, że dał pan sobie radę z jego pytaniem. „Mamy kilka nowych systemów, które ostatnio osiągnęły fazę użytkową” — zacytował z pamięci. „Zainstalujemy je w cieśninach, skąd będą mogły atakować tankowce”. I miał pan odwagę powiedzieć mu, że nie ma potrzeby wiedzieć więcej i zagraża naszemu bezpieczeństwu! Nie wiem, czy mam pana uściskać, czy pobić, ale — ty ruski sukinsynu — mamy zamówienie! — Po tych słowach Rafael wyciągnął ze srebrnego wiaderka z lodem butelkę szampana i odkorkował ją z hukiem.

Tydzień wcześniej Nowskoj, słysząc coś takiego, rzuciłby mu piorunujące spojrzenie. Teraz jednak, po wszystkim, co dotąd zaszło, tylko się uśmiechnął. Nie pamiętał, kiedy to mu się ostatnio zdarzyło. Wziął kieliszek z szampanem i zaczął go saczyć. Do tego musującego napoju z bąbelkami też nie był przyzwyczajony. Pijąc go, poczuł się jednak szczęśliwszy.

— Dziękuję ci, Rafaelu — powiedział.

— Popełniłem ogromny błąd, nie zaznajamiając pana ze szczegółami — stwierdził Rafael. Ale, przyjacielu, dokonałem trafnego wyboru, decydując się na zatrudnienie pana. Jest pan geniuszem. Nie rozumiem, jakim cudem nie powiodł się pana plan przed trzynastu laty. Pański przeciwnik musiał być wybitną osobowością. Świetnie pan sobie poradził, maskując niewiedzę swoją bajeczką. Sam nie zrobiłbym tego lepiej. Doskonale! A, czy możemy przejść na „ty”?

— Oczywiście. Czy teraz zaznajomisz mnie ze szczegółami systemu? — zainteresował się Nowskoj.



— Tak naprawdę nie ma żadnego systemu, który mógłbym ci opisać — stwierdził Rafael.

— Jak to?

Brodacz ponownie napełnił kieliszki szampanem.

— Nie ma okrętu podwodnego, podmorskiego schronu ani żadnych min — wyjaśnił. — Niczego.

— Co? To znaczy, że cała ta rozmowa służyła tylko wyłudzeniu od hinduskiego dyktatora dwudziestu milionów dolarów???

— Nie. Patel ma długie ręce. Jego tajne służby zamordowały niejednego człowieka w Afryce, Azji, a nawet w śródmieściu Londynu. Oszukiwanie Patela oznaczałoby samobójstwo. A poza tym po zakończeniu całej sprawy chcę móc znowu go odwiedzać. Ma najlepsze prostytutki pod słońcem. Jest taka jedna, którą chętnie bym mu wykradł. Pracowałyby dla mnie jako ktoś w rodzaju osobistej asystentki.

— W moim kraju taką osobę nazywało się żoną — stwierdził Nowskoj. Przypomnił sobie z rozmarzeniem kobietę, która przychodziła niegdyś do jego pokoju i całowała go swoimi bajecznymi ustami. — Jednak, skoro nie mamy żadnego systemu lub sposobu zatopienia saudyjskich tankowców, to co właściwie przed chwilą robiliśmy?

— Dokonaliśmy sprzedaży.

— Czego?

— Tego, co sprzedaliśmy, oczywiście. Zorientowaliśmy się, ile Patel jest w stanie zapłacić za zatopienie amerykańskiego statku z admirałami i za likwidację saudyjskiego handlu ropą. Musimy teraz znaleźć sposób na dokonanie tego. A konkretniej, to ty musisz znaleźć sposób. Po to cię tu przywiozłem. Jesteś technicznym mózgiem całego przedsięwzięcia. Ja — tylko przedstawicielem handlowym.

Serce Nowskojego zatrzymało się na moment.

— Jak to, chcesz powiedzieć, że nie mamy nic? Że przez trzy tygodnie musimy stworzyć system, przy pomocy którego zneutralizujemy amerykańskie okręty wojenne pilnujące statku z dowództwem floty? I zatopimy je? Przecież to dwadzieścia jeden dni! — Rosjanin poczerwieniał. — A potem mamy jeszcze zatopić wszystkie tankowce wypływające z Arabii Saudyjskiej!

— Uspokój się, Al. Jesteś geniuszem w tych sprawach. Dasz sobie radę. — Aleksiej patrzył zimno na Rafaela, odstawiając kieliszek. — Cóż, nie spodziewałeś się, że te wszystkie spotkania dotyczyły tylko sprzedaży i odnosiły się do samego liczenia pieniędzy? — zagadnął Amerykanin.

— Nie spodziewałem się. Skąd mogłem się spodziewać? Nigdy mi nic nie mówisz. Jeśli naprawdę mam być twoim partnerem, zacznij od tej chwili dzielić się ze mną swoimi planami. Nie opowiadaj bzdur o mózgu technicznym i przedstawicielu handlowym. I przestań traktować mnie jak zwierchnik! Gdybym nadal dowodził Flotą Północną, kazałbym cię zastrzelić! Ty sukinsynu!

— Masz rację, masz rację — uspokajał Rafael. — Robiłem to wszystko dokładnie z tych powodów, o których mówiłeś Patelowi. Bezpieczeństwa. Skąd miałem wiedzieć, czy nie stanowisz dla mnie zagrożenia?

— Więc teraz wiesz, do cholery! — warknął Aleksiej i wyjrzał przez okno rozświetlony.

— Nareszcie wyprowadziłem cię z równowagi — skwitował Rafael, uśmiechając się nieznacznie. — Bo do tej pory zastanawiałem się, czy w ogóle jesteś człowiekiem. Już wiem, że tak.

— I co z tego?! Dałeś mi dwadzieścia jeden dni na stworzenie systemu uzbrojenia, który zneutralizuje saudyjski handel ropą naftową! Człowieku, chyba nie masz bladego pojęcia, ile czasu zajmują takie rzeczy! Wiesz, jak długo konstruowałem „Kalinograd”? Dziesięć lat! Poświęciłem na to całutką dekadę mojego życia, dzień po dniu, ciężko pracując! A ty się spodziewasz, że w niecałe trzy tygodnie zbuduję system zdolny zatopić flotyllę okrętów wojennych?! — Nowskoj dyszał ciężko ze złości. — Niech pan każe zawrócić ten samolot. Wracamy do Rosji!

— Słucham?

— Niech pan odwiezie mnie z powrotem do więzienia. Wycofuję się z tego interesu.

Rafael przez moment patrzył na Nowskoja zaszokowany, jednak stopniowo zaczynał coś niecoś rozumieć.

— Nie oczekuję, że zrobisz wszystko sam — powiedział. — Czytałeś w komputerze najnowszą historię?

— Czytałem — warknął Aleksiej.

— To zapewne wiesz już, że dwa lata temu zniknęło nagle podczas prób morskich sześć supernowoczesnych japońskich okrętów podwodnych klasy Wschodzące Słońce. Później nagle pojawiły się w składzie floty Czerwonych Chin. Czy to cię zdziwiło?

— Zdziwiło — odpowiedział Nowskoj.

— Więc słuchaj, sprzedaliśmy Chińczykom skonstruowany przez moich inżynierów batyskaf. Wcześniej przy jego pomocy dokonaliśmy demonstracji, porywając płynący w zanurzeniu, z prędkością dwudziestu węzłów, koreański okręt podwodny o napędzie atomowym.

— Naprawdę? — spytał w zdumieniu Rosjanin.

— Tak. A wiesz, ile czasu zajęło zbudowanie batyskafu?

— Ile?

— Dziesięć dni. Dwadzieścia cztery godziny na dobę pięciuset ludzi pracowało non stop, pijąc kawę i biorąc amfetaminę. Ale się udało. Czerwone Chiny zamówiły dziesięć następnych batyskafów. Zarobiliśmy na całym przedsięwzięciu pół miliarda dolarów. A teraz zamierzamy zrobić to samo, tylko współpracujemy z innymi krajami. Nie sprzedajemy miraży, możemy poszczycić się konkretnymi osiągnięciami.

— Chwileczkę. Zbudowaliście batyskaf, który jest w stanie porwać pływającego w zanurzeniu atomowy okręt podwodny?

— Tak. Okazał się bardzo skuteczny. Ale nie myśl, że możemy wykorzystać go i porwać jakiś ultranowoczesny okręt, który wykona nasze zadanie. W tej chwili standardową procedurą we wszystkich flotach podwodnych świata jest zamykanie włazów w taki sposób, żeby uniemożliwić ich otwarcie z zewnątrz zastosowaną przez nas metodą. Staliśmy się ofiarami własnego sukcesu.

— Ale jakim sposobem go osiągnęliście? Kto jest naczelnym projektantem? Głównym konstruktorem? Co to za inżynierowie?

— Wkrótce się dowiesz. Najważniejszym mózgiem jest dyrektor Da Vinci Maritime — naszej siostrzanej firmy. Pochodzi z Chin; nazywa się Suhkhula. Słyszałem, że pod kierunkiem Suhkhuli powstał już jakiś projekt, chociaż jeszcze nie przedstawiono mi go. Nie wiem, co to jest, ale podobno znajduje się w takim stadium, że można zacząć próby prototypu. Kilka miesięcy temu dałem znać Da Vinci Maritime, że będzie potrzebny system o odpowiednich możliwościach. Przedsiębiorstwo pracuje nad nim. To oni stworzyli batyskaf dla Chińczyków. Chciałbym osobiście im cię przedstawić, jednak muszę lecieć na kolejne spotkanie z klientem.

— Dokąd? Co to znowu za pomysł?

Do Libii. Potem do Korei. I znów do Czerwonych Chin. Będę tam rozmawiał z przywódcami państw, żeby zorientować się, czy są zainteresowani pokazem systemu, który stworzysz. Zobaczymy — może i im uda się go sprzedać. Za sprzedaż samej demonstracji dwóm czy trzem klientom możemy zarobić dodatkowo dwadzieścia-trzydzieści milionów dolarów. Jeśli otrzymasz pięćdziesiąt milionów na sfinansowanie systemu, to myślę, że razem z Suhkhulą będziecie w stanie skonstruować prototyp. Kiedy tylko opuści on zakład produkcyjny, będzie można zacząć budowę drugiego i trzeciego egzemplarza.

— Wieź mnie do tego Sukuli czy jak mu tam. Musimy wziąć się do roboty natychmiast! — powiedział Nowskoj. Opuścił głowę. Rafael popatrzył na niego uważnie.

— Myślisz, że ci się uda? — spytał.

— Chyba musi mi się udać.

— Chcę powiedzieć ci coś jeszcze.

— Jeszcze? Nie mogę w tej chwili czekać.

— Spokojnie, Al. Kiedy powiedziałem, że nie ma żadnego systemu, chciałem tylko sprawdzić twoją reakcję. W rzeczywistości Suhkhulą i inni inżynierowie stworzyli już system do zatopienia saudyjskich tankowców. Jest gotowy od miesiąca.

— I jak mamy to zrobić?

— Suhkhula pokaże ci dokładnie. To system biologiczny.

— Biologiczny? Coś takiego. — W głosie Rosjanina słysząc było wyraźne obrzydzenie.

— Jednak tego statku z amerykańskimi admirałami nie jesteśmy w stanie w tej chwili zatopić — dodał Rafael. — I chciałbym, żebyś na tym skoncentrował swoją pracę.

— Jeśli ten biologiczny system potrafi unicestwić tankowce, to może i admirałów? — spytał Nowskoj.

— Może. Spytaj o to Suikhulę — odparł Rafael. — Komputer — nowy cel podróży. Mediolan — polecił.

Syntetyczny głos potwierdził przyjęcie komendy i automatyczny pilot wykonał zakręt na północny zachód.



Wielki mercedes zatrzymał się przed osiemdziesięcioletnim wieżowcem ze stali i szkła, górującym nad centrum miasta niczym olbrzymimi paluch. Część budynku wydłużała się w ostrą płaszczyznę, skierowaną prosto na południe. Na wieżowcu świecił się na czerwono wysoki na dwa piętra napis: DA VINCI MARITIME.

Nowskoj wysiadł z limuzyny i stanął na marmurowym chodniku. Zadarł głowę i obejrzał strzelającą w niebo czarną, szklaną ścianę. Potem popatrzył na inne wysokie budynki dzielnicy biurowców. Obok bezszelestnie przejeżdżały samochody, nie zostawiając za sobą żadnych spalin. Żaden z pojazdów nie miał kierowcy ani nawet kierownicy. Wokół roilo się od ludzi — wysokie, piękne kobiety w dziwnych strojach, mężczyźni w garniturach podobnych do garniturów Rafaela. Aleksiej poczuł zapach potraw z pobliskiej restauracji i zdał sobie sprawę, że jest głodny. Mercedes odjechał bezgłośnie, pozostawiając swego pasażera samego, po raz pierwszy od chwili, kiedy opuścił on więzienie.

Chwilę potem Nowskoj poczuł na przedramieniu delikatne dotknięcie. Zobaczył długie palce o wypolerowanych paznokciach ozdobione złotym Pierścieniem. Powiódł dłonią wzdłuż smukłego ramienia kobiety o ciemnej oliwkowej cerze, ubranej w elegancki żakiet. Uniósł wzrok. Jego oczom ukazała się oszałamiająco piękna Chinka. Miała szlachetny typ urody, skośne oczy, silnie zarysowane kości policzkowe, okrągłe, pełne usta. Przycięte tuż powyżej ramion włosy błyszczały czernią. Jej żakiet i krótka spódnica również były czarne. Pod spodem nosiła kremową bluzkę, na szyi misternej roboty naszyjnik z czarnych pereł. Choć niższa o głowę od Aleksieja, kobieta miała długie, smukłe i smagłe nogi, o ładnie zarysowanych mięśniach, jak u człowieka, który dużo chodzi po górach. Wyciągnęła dłoń. Rosjanin uściśnął ją. Poczuł miękkość jej skóry i to szczególne, elektryczne ciepło dotyku atrakcyjnej kobiety. Z wrażenia wstrzy-

mał oddech, a gdy sobie to uświadomił, zaczerwienił się. Ta kobieta była żywym wciele-  
niem jego marzeń o idealnej urodzie. Odrzucił szybko tę myśl, pamiętając o swoim za-  
daniu.

— Witam pana, panie admirale — powiedziała nieznajoma melodyjną angielszczy-  
zną ze śladami chińskiego akcentu. — To zaszczyt poznać pana. Jestem Suhkhula, dy-  
rektor, główny projektant i konstruktor Da Vinci Maritime.

Nowskoj wpatrywał się w rozmówczynię, oniemiały ze zdumienia.

— To pani jest Suhkhula? — wybąkał wreszcie. Zaklął w duchu. Rafael znowu wpu-  
ścił go w maliny, nie informując zawczasu, że główny konstruktor z Chin to kobieta.  
Aleksiej próbował uspokoić się i zapanować nad sobą. Musi przestać wpatrywać się  
w Suhkhulę. Skłonił się lekko.

— Jestem Aleksiej Nowskoj. Cieszę się, że mogę panią poznać. Przepraszam, czy do-  
brze wymawiam pani imię, Suhkhula?

— Tak. — Chinka uśmiechnęła się. — Akcent pada na ostatnią sylabę: Suhkhula. Mój  
ojciec twierdził, że sam je wymyślił, ale naprawdę jest to starożytne imię towarzyski  
życia jednego z cesarzy sprzed trzech tysięcy lat. Proszę do środka. Czeka nas mnóstwo  
pracy.

Weszli po marmurowych schodach do ogromnego hallu, a potem do windy, która  
szybko pomknęła na siedemdziesiąte ósme piętro.

Gabinet Suhkhuli zajmował wystający róg budynku. Jego dwie trzymetrowej wyso-  
kości ściany były szklane. Nowskoj nie czuł się na tyle swobodnie, żeby usiąść przy jed-  
nym z okien na miękkiej, skórzaney kanapie. Miał jednak do wyboru tylko tę kanapę  
albo podobne do niej fotele. Wybrał więc ostatecznie kanapę i zgodził się na filiżankę  
włoskiej kawy espresso. Chinka wyglądała naprawdę elegancko, poruszała się z wdzię-  
kiem, jej ciało było smukłe i po prostu piękne. Nowskoj pociągnął łyk mocnej kawy,  
która oparzyła go w język.

— Zastanawiałem się — powiedział. — Spędziłem trochę czasu nad komputer-  
owymi zapisami tego, co Da Vinci Maritime skonstruowało dla ukraińskiej marynarki.  
Okręty klasy Siewierodwińsk z ostatnich trzech lat są po prostu niesamowite. Ta jed-  
nostka jest wyposażona dokładnie w to wszystko, czego potrzebujemy do przeprowa-  
dzenia naszej operacji przeciw amerykańskiemu statkowi i jego eskorcie. — Suhkhula  
skrzywiła się, lecz Nowskoj mówił dalej. — Siewierodwińsk dysponuje systemami za-  
kłócania, pozwalającymi mu udawać ławicę krewetek; nawet widmo sygnału aktyw-  
nego sonaru to odgłos wieloryba lub krewetek. Jest sonar nawigacyjny o ultrawysokiej  
rozdzielczości, do wód przybrzeżnych, który umożliwia wślizgnięcie się do płytkiego  
portu. A przede wszystkim, mamy samobieżne miny barrakuda. Czepiają się okrętu-  
celu i zamiast eksplodować, płyną razem z nim. Mogą wybuchnąć tam, gdzie się zapro-  
gramuje, daleko od miejsca ataku. Zatem wszystko gotowe; wystarczy tylko rozmieścić  
okręty — zakończył.

— Panie admirale — powiedziała Sukhula, unosząc smukły palec. — Powinien pan wiedzieć jedną rzecz.

— Hmm... — Nowskoj zawahał się. — Czy mogłaby pani nie tytułować mnie „panem admirałem”? Wolę skrót „Al”. To brzmi tak... bardziej naturalnie.

— Dobrze, Al. Otóż musi pan przestać mówić i zacząć słuchać — oznajmiła zdecydowanym tonem Sukhula.

Nowskoj zamrugnął oczami, zdezorientowany. Sądził, że Sukhula będzie mu podlegać jako naczelnemu projektantowi. Poczzerwieniał nieco bardziej, tym razem nie z powodu pogłębiającego się z każdą chwilą zainteresowania rozmówczynią jako kobietą, lecz ze złości.

— Niech pan zapomni o wszelkich mechanicznych systemach, okrętach podwodnych, metalowych minach ze stałymi materiałami wybuchowymi — powiedziała Chinka. — O wszystkim, co jest metalowe i zawiera w środku powietrze.

— Dlaczego?

— Najnowsze systemy przeciwpodwodne, czyli takie, jakich używają w tej chwili Anglicy i Amerykanie, są w stanie wykryć wykonane przez człowieka przedmioty z odległości stu kilometrów.

— To niemożliwe — skontrował Nowskoj, który przez lata czytał czasopisma fizyczne.

— Słyszał pan o systemie obrazowania pola akustycznego?

— Nie.

— To system, który w najnowocześniejszych flotach świata wyparł sonary. Polega na płaskich sensorach, które wykrywają pole dźwiękowe na podobnej zasadzie jak siatkówka pańskiego oka postrzega światło. Mamy szum oceanu i odgłosy statków. Nawet nie wydający dźwięku, zbudowany przez człowieka obiekt, blokuje lub załamuje otaczające fale dźwiękowe, Podobnie jak każdy przedmiot załamuje czy zasłania dzieńne światło. Siatkówka ludzkiego oka postrzega zaburzenie pola świetlnego jako obiekt; podobnie płaskie sensory widzą jako obiekty zaburzenia pola akustycznego.

Na tej zasadzie fizycznej opiera się system i umożliwia nie tyle słyszenie dźwięków, co jakby widzenie przy pomocy dźwięków. Wszystko, co ma gęstość różniącą się od gęstości wody, widać na ekranie jak plamę z atramentu na białej koszuli. W szczególności metalowy okręt podwodny z ruchomymi minami.

Aleksiejowi opadła szczeka.

— Coś takiego! Sonary, które wszystko widzą! Jest pani pewna?

— Wszyscy jesteśmy tego pewni. Czy może mi pan podać swój komputer?

Podał go. Sukhula znalazła w Internecie dwudziestostronicowy opis systemu obrazowania pola akustycznego. Nowskoj przejrzał go pobieżnie i przekonał się, że Chinka mówi prawdę. Posmutniał. Zaczął czytać dokładnie. Na dwadzieścia minut w pokoju zapadła cisza.

— To zmienia całą sytuację — stwierdził w końcu. — Jeśli Anglicy i Amerykanie mają taki system, to z łatwością zobaczą nas z daleka.

— Właśnie. Próbowaliśmy nawet zaprojektować do kolejnych wersji Siewierodwińska odpowiednie środki zaradcze. I faktycznie udało nam się stworzyć system, dzięki któremu nasz okręt wygląda jak ławica ryb. Jednak jest to ogromna ławica ryb, co może łatwo wzbudzić podejrzenia. Taki jest oto stan współczesnej techniki podwodnej.

— To co mamy robić? — spytał Rosjanin.

— Proszę za mną.



Aby winda zatrzymała się na czterdziestym trzecim piętrze, trzeba było użyć elektronicznej karty jako klucza. Drzwi rozsunęły się i Nowskoj zobaczył wysoką przestrzeń pełną kolorowych tuneli czy rurociągów, przypominających te, jakie widuje się na placach zabaw dla dzieci. Sukhula stanęła obok niego, ale po raz pierwszy, odkąd ją zobaczył, zapomniał o niej. Nie czuł już jej bliskości ani zapachu perfum i nie wyobrażał sobie jej nagiego ciała. Zobaczył natomiast przed sobą szympansa w chirurgicznym czepku.

Zwierzę skłoniło się nisko, czyniąc tę scenę jeszcze bardziej surrealistyczną. Wtedy Nowskoj zauważył wychodzący z jego czaszki kabel; w miejscu, gdzie się zaczynał, widać było bandaż. Małpa wyprostowała się i wy ciągnęła rękę do admirała. Aleksiej gapił się ze zdumieniem, podczas gdy szympans sięgnął po jego dłoń i uściśnął ją. Następnie ruszył do małego stolika, podniósł leżącą na nim paczkę papierosów, wyciągnął jednego i zapalił, wypuszczając w górę kłęby dymu.

Nowskoj popatrzył na swoją towarzyszkę, unosząc brwi.

Zwierzę zgasiło papierosa i skinęło na przybyłych, żeby poszli za nim. Ruszyli więc pomiędzy różnymi obiektami służącymi do małpich zabaw, zastępującymi dżunglę. Znaleźli się w słabo oświetlonym pomieszczeniu i dużym, poziomym zbiornikiem ze szkła lub przezroczystego plastiku, wypełnionym niebieską cieczą. Otaczał go sprzęt pomiarowy czy też sterowniczy. W zbiorniku pływał człowiek w kombinezonie ciśnieniowym; jego kończyny poruszały się bezwładnie. Głowę otaczało pękate pudło, od którego odchodziło mnóstwo przewodów elektrycznych i hydraulicznych.

— Szympans jest sterowany przez człowieka w zbiorniku — wyjaśniła Sukhula. — Ten kabel, który wchodzi do czaszki małpy, dostarcza sygnały do jej mózgu. Podłączony jest do tych urządzeń. Komputer przetwarza na odpowiednie impulsy ruchy kontrolera. Kontroler — zasłużony projektant, inżynier Emil Toricelli — także przeszedł operację chirurgiczną w celu zaszczepienia w mózgu komputerowego interfejsu. Toricelli jest w stanie sprawić za pośrednictwem komputera, że małpa zrobi wszystko, co jest dla niej fizycznie możliwe. Niech pan wyda szympansowi jakiś rozkaz.

Nowskoj był tym wszystkim zafascynowany. Czytał o postępach w chirurgii mózgu, ale nie o czymś takim.

— Biegaj w miejscu — rzucił. Małpa zaczęła biec w miejscu. — Uśmiechnij się. — Zwierzę wyszczerzyło kły. — Podskakuj. — I tym razem szympans posłuchał. Nowskoj uśmiechnął się. — Przestań — powiedział. — A teraz podejdź i pocałuj panią Suhkhulę.

Ku jego zdumieniu Chinka przyklękła i pozwoliła sterowanej małpie pocałować się w usta. Dotknęła jej pyska, po czym wstała ze smutnym wyrazem twarzy.

— Proszę za mną — powiedziała. Wrócili do windy, a potem do dyrektorskiego biura. Aleksiej poczuł, że stało się coś złego. Jego myśli zaprzętała jednak kwestia sterowania zwierzęciem przez człowieka. Kiedy wrócili do gabinetu Suhkhuli, Rosjanin zaczął krążyć po pokoju. Próbował domyślić się, na czym ma polegać system, który zastosują. W końcu zwrócił uwagę na stan psychiczny Chinki.

— Co się stało? — spytał, ciągle pochłonięty myślami o sterowaniu zwierzętami.

— To przez ten eksperyment — odparła. — Kocham zwierzęta. Wszystkie.

— Ale chyba temu szympansowi nie dzieje się nic złego?

— Dzieje się. Kiedy ten kabel jest podłączony, osobowość zwierzęcia zanika; spycha ją świadomość kontrolera. Ale kiedy rozłącza się przewód, po zakończeniu eksperymentu czy misji, zwierzę umiera. I to w straszliwych męczarniach, jak gdyby jego mózg płonął żywym ogniem. Ledwie jestem w stanie o tym mówić.

Kobieta opuściła głowę. Nowskoj patrzył na nią, nie mogąc się powstrzymać od myśli, jak bardzo jest pociągająca.

— Nic pani nie jest? — upewnił się.

— W porządku — odparła. — Czuję się wprawdzie jak idiotka, ale zawsze tak było. Nie mogę znieść, kiedy widzę, jak zwierzęta cierpią. Jednak te badania są niezbędną podstawą do tego, czym pan się zajmie.

— Co to ma być?

— Jedynym sposobem przezwyciężenia systemu obrazowania pola akustycznego jest użycie rozwiązania biologicznego.

— Chce pani powiedzieć, że ta małpa ma zatapiać tankowce wypływające z Arabii Saudyjskiej?

Suhkhula podniosła wzrok i spojrzała na Rosjanina. W końcu uśmiechnęła się.

— Nie małpa. Delfiny — wyjaśniła.

— O Boże, tylko nie to! — jęknął z obrzydzeniem Nowskoj. — Dowodząc Flotą Północną, straciłem niezliczone godziny na bezowocnych odprawach na temat bojowych zastosowań delfinów. To po prostu śmieszne.

— Faktycznie było śmieszne, zanim uzyskaliśmy możliwość kontrolowania ich ruchów, sterując z zewnątrz systemem nerwowym zwierzęcia — zgodziła się Suhkhula.



— To nic nie da — skwitował zimno Aleksiej. — Nawet najlepiej wyćwiczony delfin czy nawet całkowicie sterowany, tak jak ta mała, nie nadaje się do zastosowań bojowych. Dlatego że nie ma rąk; żadnych manipulatorów. Co z tego, że nie widzi go system obrazowania akustycznego...

— Widzi go świetnie, tylko że jako delfina, i nikt nie zwraca na niego uwagi.

— W porządku. W każdym razie przenoszone przez niego miny będzie widać jako miny.

— Nie, Al — próbowała wytłumaczyć Suikhula. — Posłużymy się materiałem wybuchowym SG-1.

— Co to jest SG-1?

— System obrazowania akustycznego widzi wyraźnie wszystkie przedmioty metalowe i wypełnione powietrzem, ze względu na różnicę gęstości ich i wody. To powoduje odbicia czy załamywanie się fal dźwiękowych. Jednak obiekt o tym samym ciężarze właściwym, co woda, jest dla systemu niewidzialny. Materiał SG-1 ma właśnie gęstość wody i dlatego możemy wysadzać nim statki. Płynny SG-1 zamknięty w plastikowej torbie zostanie umieszczony na kadłubie celu. Specjalny polimer, z którego zrobione są torby, także ma ciężar właściwy wody i jest wodoodporny, choć przez stosunkowo krótki czas. Wystarcza do tego, aby ładunek mógł wybuchnąć, kiedy powinien.

— Z jakich substancji składa się SG-1? Ile tego trzeba, żeby wysadzić okręt? — pytywał Nowskoj.

— Wie pan, co się dzieje, kiedy sól zetknie się z wodą?

— Wiem, niestety, wiem aż za dobrze — westchnął Nowskoj. — Z początku reaktory radzieckich okrętów podwodnych były chłodzone sodem. Sód to metal i znakomicie przewodzi ciepło, a ponieważ jest płynny, świetnie nadaje się do chłodzenia reaktora atomowego. Ale w zetknięciu z wodą wybucha. Mieliśmy katastrofę z tego powodu. Na jednym z okrętów nastąpił wyciek sodu, który przedostał się do zęz. W zęcie była akurat ponad tona wody. To niedopuszczalne zaniedbanie, ale właśnie zepsuły się zarówno czujniki, jak i pompa odwadniająca. Kiedy sól wlał się do wody, eksplodował i powstała wyrwa w kadłubie. Okręt zatonął wraz z całą załogą. Od tego czasu wyeliminowaliśmy sól z reaktorów okrętowych. Tyle o nim wiem. Ale sól ma w porównaniu z wodą bardzo duży ciężar właściwy.

— Udało nam się osiągnąć mieszaninę soli sodu i chemicznego prekursora nadtlenu — wyjaśniała Chinka. — Wpuszcza się do niej zamknięty w drugiej torebce binarny katalizator, również o gęstości zbliżonej do wody. Wtedy związek sodu wchodzi w reakcję i wyzwala czysty sól, a jednocześnie z prekursora nadtlenu powstaje woda utleniona. Inny katalizator powoduje rozpuszczenie się polimeru tworzącego torbę. Do środka przedostaje się morska woda; reaguje ona gwałtownie z sodem — to właśnie wybuch. Powstaje wodorotlenek sodu. Dodatkowo, eksplodujący sól działa jako zapalnik do nadtlenu wodoru, który wybucha kilka milisekund później.

Aleksiej uśmiechnął się.

— Mam tylko jedno zasadnicze zastrzeżenie — powiedział. Suhkhula słuchała z uwagą. — SG-1 ma ciężar właściwy wody, to znaczy jego metr sześcienny waży tonę. Żeby wysadzić duży statek, potrzeba by w przybliżeniu z pięćdziesiąt metrów sześciennych tego materiału. A pojedynczy delfin nie przeniesie nawet tony, nie mówiąc już o pięćdziesięciu tonach.

— Może będzie prościej, jeśli to panu pokażę, zamiast opowiadać — stwierdziła kobieta. — Jednak jestem zmęczona, a projektor wirtualnej rzeczywistości znajduje się u mnie w domu. Pracuję z nim po godzinach. Wie pan, mam taką dziwną cechę. Jestem w stanie pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, jednak kiedy w końcu się zmęcę, dosłownie padam z wyczerpania i muszę natychmiast położyć się do łóżka. Dlatego zazwyczaj wychodzę z biura o zachodzie słońca i kontynuuję pracę w domu. — Popatrzyła na zegarek. — Jest ósma. Jeśli teraz zamówię jedzenie, będzie na miejscu, zanim dojedziemy. Zjemy sobie razem obiad, napijemy się wina, a potem pokażę panu symulację na projektorze wirtualnej rzeczywistości.

— Włożyła pani tyle pracy i koncepcyjnego myślenia w ten system... — odezwał się Rosjanin łagodnie. — Przepraszam, że byłem tak sceptyczny. W rzeczywistości jestem pod wielkim wrażeniem pani geniuszu. — Spuścił na moment oczy, a kiedy znów je podniósł, zobaczył na twarzy rozmówczynie wyraz bezbronności.

— Wiedzieliśmy, że musimy stworzyć coś w tym rodzaju, kiedy nasz poprzedni produkt przestał się sprzedawać — powiedziała, ignorując komplement. Wydawała się jednak zawstydzona. — System obrazowania pola akustycznego nieźle nam dokuczył. Biolodzy, chirurdzy i specjaliści od zachowania się zwierząt są nie tylko drodzy, ale z reguły również mają swoje zasady. Gniewa ich, że wykorzystuje się zwierzęta do konstrukcji nowych broni.

— Panią także — zauważył Nowskoj. Byli już na korytarzu. Szli do windy, tak blisko siebie, że ramię Chinki ocierało się o jego rękę. Kiedy weszli do kabiny, Aleksiej zerknął na profil swojej towarzyszki. Twarz kontrastowała z kruczoczarnymi włosami. Widział piękne kości policzkowe; azjatyckie oblicze Suhkhuli było z punktu widzenia Nowskojego trochę płaskie, jednak bardzo pociągające. Kobieta miała smukłe, choć jednocześnie silne ramiona; piersi drobne, lecz wspaniale sprężyste; biodra tak idealne, że Aleksiej miał ochotę dotknąć jej pośladków. Usiłując zapanować nad narastającym podnieceniem, zorientował się, że Suhkhula patrzy na niego. Powiedziała coś o jedzeniu, usłyszał tylko:

— ...bułki z jajkiem?

— Przepraszam, może pani powtórzyć? — spytał.

— Nagle się pan zamyślił, AL.

— Prawdę powiedziawszy, chodzi o to, że nigdy do tej pory nie pracowałem z kobietą — przyznał. — Ani z nikim tak inteligentnym i tak błyskotliwym jak pani. Ani tak pięknym. No i... — trudno mi się przyzwyczaić.

Suhkhula uśmiechnęła się promiennie.

— Dodajmy, że siedział pan w więzieniu przez dwanaście lat — zauważyła — Zawsze miałam takie erotyczne marzenie, żeby przespać się z mężczyzną, który świeżo wyszedł z więzienia. Wyluzuj się, Al. Zajmę się tobą, jak należy.

Aleksiej Nowskoj omal nie udusił się z wrażenia.

## 11

Kiedy dotarli do domu Suhkhuli, Rosjanin pomyślał, że trudno mu się będzie skoncentrować na czymkolwiek innym, tak mocno szalały w nim hormony. Czegoś takiego nie czuł od dziesięcioleci. Mieszkanie okazało się jednak równie romantyczne, co zwykły magazyn. Apartament Chinki urządzone był pod dachem dawnej fabryki. Na ogromnej przestrzeni zgromadzono tyle przedmiotów, że Nowskoja rozbolała głowa. W pobliżu wejścia znajdowało się wielkie, półkoliste biurko z kilkoma końcówkami komputerowymi. W dalszej części pomieszczenia widać było duży, czarny, jajowaty przedmiot; odchodziły od niego przewody, łączące go z komputerami. Za nim stał niewielki stół i kuchenka. Na końcu, w pobliżu okien, znajdowało się szerokie łóżko, z niechlujnie rozrzuconą i niezbyt czystą pościelą. Po podłodze walały się ubrania.

— Wiem, że bałagan to łagodne słowo na opisanie tego miejsca — zauważyła Suhkhula, podając gościowi kieliszek caberneta. — Chociaż jest tu czysiej, niż się wydaje. — Spoważniała. — Niech pan wejdzie do projektora rzeczywistości wirtualnej, Al — powiedziała, pokazując wielkie jajo. — W środku są okulary, które trzeba założyć.

Aleksiej wszedł do dziwnej kabiny przez niskie wejście. W środku było ciemno; zamknął się za nim właz i zapanowała kompletna czerń. Wtedy rozległ się z góry głos Suhkhuli, wzmocniony i pogłębiony tak, jak gdyby do Nowskoja przemawiała jakaś bogini.

— Niech pan założy okulary, Al. Wtedy będzie pan widział. Wyciągnął przed siebie rękę i dotknął miękkiej, obitej skórą poręczy, na której wisiały okulary z odchodzącym od nich skręconym kablem. Założył je. Natychmiast stwierdził, że jest jakby zawieszony kilometr ponad jakimś akwenem, po którego dwóch stronach znajdowały się piaszczyste plaże. Aż sapnął z przerażenia, tak realistyczna była trójwymiarowa projekcja. Usłyszał z głośników chichot Suhkhuli.

— Niezłe wrażenie, prawda? — spytała. Człowiekowi się wydaje, jakby tam był. To, co pan widzi, to najwęższe miejsce cieśniny Ormuz. — Aleksiej zaczął jak gdyby zniżać się nad wodę, aż zawisł z pięćdziesiąt metrów nad wirtualną cieśniną. Płynął nią gigantyczny statek, zostawiając za sobą kilwater. Wszystko wyglądało tak realistycznie jak film na DVD. Można było dostrzec nawet plamki rdzy na relingach.

— Po prawej ma pan supertankowiec — odezwała się znowu Suhkhula. — To będzie nasz cel. Po lewej stoi na kotwicy mały, pomocniczy masowiec. Ten czerwony. Należy do firmy Da Vinci. — Teraz Aleksiej miał wrażenie, że zanurzył się pod wodę i zbliżył do dna czerwonego statku. Znajdował się w nim prostokątny otwór; widać było od spodu fale i oświetlające je z góry silne reflektory, w otworze poruszał się jakiś ciemny kształt.

— W wodzie jest sterowany przez nas delfin. Widzi go pan? — pytała Chinka.

— Widzę. Z pyska wystaje mu kabel czy lina.

— W ładowni statku jest szpula z długim odcinkiem liny — wyjaśniła kobieta. — Kończy się ona plastikową przyssawką z amortyzatorem.

Nowskoj patrzył zafascynowany jak delfin wypłynął spod czerwonego kadłuba i ciągnąc za sobą linę, podążył do głęboko zanurzonego, najwyraźniej pełnego ropy, supertankowca. Widać było, jak obracają się potężne, mosiężne śruby u jego rufy; słychać było nawet ich pracę. Delfin znalazł się pod śródkręciem olbrzyma i posługując się pyskiem, umocował przyssawkę do spodu kadłuba. Pociągnął, sprawdzając, czy lina dobrze się trzyma, a następnie wrócił wzdłuż niego do czerwonego masowca. Rosjanin miał wrażenie, że podąża tuż za nim. Delfin złapał końcówkę drugiej liny i powtórzył poprzednie czynności. Wróciwszy ponownie, zniknął w otworze.

Następnie z czerwonego statku wypadł duży, kulisty worek; plusnął w wodę i zaczął powolutku się zanurzać.

— To jest torba z płynnym SG-1 — tłumaczyła nienaturalnie brzmiącym głosem Suhkhula. — Jest przemieszczana w stronę tankowca za pomocą wózka linowego. — Aleksiej zobaczył kolejne torby; sunęły po kolei do celu.

— Jak pan widzi, teraz wszystkie torby zostały przytwierdzone do spodu kadłuba tankowca — oznajmiła po pewnym czasie Chinka. — Katalizator znajduje się w zbiorniczkach przymocowanych do każdego z wózków. Podobnie detonatory. Miny mają zapalniki czasowe.

Nowskoj widział tuż nad sobą szeroki kadłub supertankowca.

— Teraz pokażę w zwolnionym tempie przebieg detonacji; uruchamiam tryb, w którym poszczególne substancje są podkolorowane dla umożliwienia obserwacji reakcji chemicznych — oznajmiła Suhkhula.

W jednej z toreb, blisko Nowskoja, otworzył się zbiorniczek z katalizatorem. Popłynęła z niego brązowa ciecz, niczym barwnik, przemieszczając się wewnątrz substancji wybuchowej. Wokół katalizatora przezroczysta dotąd substancja zaczęła robić się czerwona. Nie tyle zmieniała kolor w całej objętości, co raczej wypełniała się czerwonymi drobinkami. Brąz powoli znikł, a ciecz wokół jego resztek stała się z kolei niebieska. W końcu cała torba wypełniona była niebieską cieczą zmieszaną z malutkimi, czerwonymi kuleczkami.

— Stop-klatka — powiedziała kobieta. — Te czerwone drobinki to kuleczki metalicznego sodu. Niebieski oznacza nadtlenek wodoru. Znowu uruchamiam zwolnione tempo.

Teraz torba zaczęła się rozpuszczać i wtedy w środku błysnęło jaskrawo i rozszerzyła się z niej ognista kula, wielka na jakieś dziesięć metrów. Wokół rozlegały się dźwięki naśladujące ściszone odgłosy zwolnionego wybuchu. Kiedy białopomarańczowa kula rozproszyła się, w kadłubie tankowca widniała poszarpana dziura, sięgająca głęboko, aż do ładowni z ropą.

— W tej symulacji ropa została wymazana, ponieważ inaczej czerni wycieku zasłoniłaby panu wyrwę w kadłubie — wyjaśniła Suikhula. — Zatrzymuję symulację. W rzeczywistości jest możliwe, że dodatkowo ropa się zapali, jeśli ładownia nie będzie wypełniona do końca, zawierając częściowo powietrze. Poza tym, jeśli eksplozja wyrwie otwór sięgający aż na górne pokłady i powietrze dostanie się z góry, ropa i powietrze stykające się z ognistą kulą wybuchu wzmocnią dodatkowo jego siłę.

— To piękne...! — wyrwało się Nowskojowi. W jego głosie brzmiał lęk.

— Ciężko nad tym pracowaliśmy — przypomniała Suikhula.

— Wykonała pani znakomitą pracę — ocenił. — Jestem oszołomiony, i pani dziełem, i panią, Tobą. — Wstrzymał oddech. Zapanowała cisza. Aleksiej poczuł ból w żołądku, jak gdyby ktoś go uderzył. Milczenie kobiety musiało oznaczać, że nie chce pozytywnie zareagować na jego wyznanie, jednak kiedy obraz zgasł i drzwiczki podniosły się, Rosjanin zamrugał z niedowierzaniem.

W otworze widać było Suikhulę. Nagą. Podeszedł bliżej i zobaczył jej oczy zamglone pożądaniem. Uśmiechnęła się powoli. Odpowiedział uśmiechem. Otoczył ją ramionami, podniósł z ziemi i zaniósł do łóżka.

## 12

*Kiedy się obudziłem, nie było jej.*

*Słońce wpadało przez otwarte żaluzje okna znajdującego się obok łóżka. Pościel była zmięta, ubrania piętrzyły się na podłodze, na stole stały brudne talerze po chińszczyźnie, którą wczoraj jedliśmy. Jednak najgorsza ze wszystkiego była pustka. Sukhuli nie było. Poszukałem w pościeli jakiejś kartki, ale nie zostawiła wiadomości.*

*Usiadłem na wymiętym, satynowym prześcieradle; w głowie czułem pulsowanie. Oparłem stopy na zimnej, drewnianej podłodze i przesunąłem dłońią po włosach. Przede mną leżała walizka, którą dał mi Rafael. Wczoraj, kiedy Sukhula przywiozła mnie do domu, zapomniałem zupełnie o swoich rzeczach. Wstałem i odnalazłem łazienkę. Była ogromna i pięknie wykończona — w marmurach i złocie. Założyłem włoski garnitur, który kupiliśmy z Rafaelem, poszedłem do windy i zjechałem na dół. Poranek był gorący, jak zwykle tutaj. Przy krawężniku stał wielki, czarny mercedes. Rozejrzałem się za taksówką, ale drzwi limuzyny otworzyły się i głos z komputera powiedział:*

*— Dzień dobry panu, panie Nowskoj. — Zdumiałem się; potem rozejrzałem się ze wstydem, czy nikt nic nie widział, i szybko wsiałem. Drzwi zamknęły się i wóz ruszył do kierowca firmy Da Vinci. Tak przynajmniej przypuszczałem. Kiedy oparłem się wygodnie, odsunęła się kłapa, za którą stała filiżanka świeżej espresso, Wziąłem ją i odruchowo mruknąłem „spasiba”. zapominając, że mam do czynienia z zagranicznym komputerem. Akurat, kiedy skończyłem kawę, mercedes zatrzymał się przed eleganckim wejściem budynku Da Vinci Maritime.*

*Na schodach czekał młody człowiek, który pozdrowił mnie tak samo uprzejmie jak inni poprzedniego dnia. Tyle że ten wydawał się ponury. Jego twarz przypomniła mi oblicza ludzi, przez których kiedyś zostałem aresztowany. Chłopak zaprowadził mnie do windy, a później na salę konferencyjną.*

*Gdy otworzyły się drzwi, ze środka usłyszałem krzyki po włosku i angielsku. Rozbrzmiewał i głos Sukhuli, ale nie byłem w stanie zrozumieć słów, Stwierdziłem, że inżynierowie i dyrektorzy wrzeszczą na siebie nawzajem, Uchyliłem się odruchowo, gdy w moją stronę poleciała filiżanka. Rozbiła się na zdobiącej ścianę wiśniowej boazerii.*

Wtedy usłyszałem znów histeryczny głos Suhhuli, krzyczącej coś z furią. Zapanowała cisza. Popatrzyłem na nią, ale nie zareagowała radością na moje pojawienie się. Tak jakby wczorajszego wieczoru nie było.

— Witaj, Al — powiedziała obcym głosem. — Powinien pan wiedzieć, co się stało. Toricelli nie żyje. — Spojrzała na mnie, jak gdybym dobrze wiedział, kto to był.

— Toricelli? — powtórzyłem, nie rozpoznawszy nazwiska.

— Szef programu badawczego; ten człowiek, którego wczoraj widział pan w laboratorium, jak sterował szympansem.

— Co się stało? — spytałem.

— Wczoraj wieczorem przeszedł operację polegającą na usunięciu z mózgu interfejsu komputerowego. Doszło do obrzęku. Funkcje mózgu zanikły. Nastąpiła jego śmierć. Odłączyli inżyniera od respiratora. Przez chwilę oddychał samodzielnie, ale potem przestał. Po kilku minutach praca serca ustała. — Do oczu Suhhuli napłynęły łzy. Nie odwracała jednak głowy ani nie zasłaniała oczu, jak robi większość płaczących kobiet; a przynajmniej te, które znałem.

Stałem tam i patrzyłem na nią. Nie chciałem myśleć o obecności innych ani nawet jej; zastanawiałem się tylko, czy wczorajsza noc była dla niej jednorazową przygodą? Czy nic dla tej kobiety nie znaczyłem? Wiedziałem, że muszę współpracować z nią przynajmniej przez parę najbliższych miesięcy.

— Współczuję pani i wszystkim państwu — powiedziałem w końcu. — Chciałbym złożyć swoje kondolencje. To nie powinno było się stać. Natychmiast rozpoczniemy śledztwo w sprawie przyczyny zgonu inżyniera. Czy Rafael wie?

— Zawiadomiłam go rano — odparła Chinka. — Leci tu. Powiedział, że chce się z panem natychmiast spotkać. Tymczasem pokażę panu pańskie nowe biuro.

Nie mówiąc ani słowa, zaprowadziła mnie do windy; milczała i w trakcie jazdy z czterdziestego piętra na siedemdziesiąte ósme. Poszliśmy na koniec korytarza, w róg budynku naprzeciw jej biura. Otworzyły się dwuskrzydłowe mahoniowe drzwi. Sekretariat był nadzwyczaj wygodny. Przy wiśniowym stół pracował sekretarz, mężczyzna. Robił coś na przenośnym, płaskim komputerze. Gdy rozsunęły się drugie drzwi, zobaczyłem pomieszczenie o dwóch szklanych ścianach, zajmujące róg budynku. Rozciągał się z niego równie efektowny widok, jak z gabinetu Suhhuli. Mój gabinet został umeblowany surowo i funkcjonalnie. Stoi w nim duży stół konferencyjny, biurko wielkości limuzyny, rząd ekranów komputerowych. Jedyłą oznaką komfortu są dwa luksusowe fotele przy oknach i wiśniowy stół pomiędzy nimi.

Suqhula podeszła do ukrytego z boku barku i otworzyła go; w środku było kilka kafelek i szkło. Wybrała butelkę z brązowym alkoholem, nalała sobie szklaneczkę i wypila; potem drugą. Skinęła na mnie, ale pokręciłem głową; nigdy nie piłem przed ósmą rano. Popatrzyłem na kobietę. Płakała teraz całkiem otwarcie, zalewając się rzewnymi łzami; jej



ramiona drżały konwulsyjnie. Podszedłem i objąłem ją. Przytuliła się do mnie jak małe dziecko. Próbowałem złagodzić jakoś jej ból słowami, ale ona milczała. W końcu pociągnęła nosem i wytarła twarz chusteczką.

— Nic mi nie jest — oznajmiła. — Ale program został właśnie przerwany.

— Na to wygląda... — mruknąłem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. — Toricelli był chyba dla ciebie bliską osobą...

Pokiwała głową.

— To ja go zatrudniłam, potem szkoliłam, wreszcie przepracowałam z nim kilka lat. Był dla mnie jak brat. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

Przytuliłem ją więc znowu i trzymałem tak, aż wszedł sekretarz.

— Sir, przyjechał pan Rafael — poinformował. — Czeka na pana w sali konferencyjnej.

Puściłem Suhkhulę, a potem pocałowałem ją w policzek, na którym poczułem świeżą łzę.

— Bardzo ci współczuję — powiedziałem jeszcze i wyszedłem.



Na widok Nowskojego Rafael uśmiechnął się szczerze i wyciągnął rękę, swoim typowym gestem sprzedawcy. Przyciągnął jednak Rosjanina do siebie, objął drugą ręką i „zrobił niedźwiedzia”.

— Witaj. Siadaj — powiedział ciepło. Na stole stała taca z ciastami i serwis z kawą. Przy fotelach czekały już dwie napełnione filiżanki parującej espresso.

Aleksiej spojrzał na Rafaela, który zaczął spokojnie zajadać ciasto. — Słyszałeś o Toricellim? — upewnił się. Rafael wzruszył tylko ramionami.

— Słyszałem.

— Jeśli dobrze rozumiem Suhkhulę, to bardzo zła wiadomość. Toricelli był głównym twórcą systemów sterowania zwierzętami — wyjaśnił Rosjanin. — Poza tym, jeśli to ma się zdarzać za każdym razem, kiedy będziemy odłączać człowieka od komputera, nie znajdziemy zbyt wielu ochotników.

Rafael machnął ręką, wpychając do ust resztę ciasta.

— Wiem — mruknął. Wytarł dłonie i usta serwetką, po czym wziął kawałek z innej tacy. — Powinienesz spróbować tego — oznajmił z pełnymi ustami. — To najlepsze ciasto w tym mieście. Może nawet w ogóle w Europie, Przynajmniej poza Paryżem — na pewno. Mmm...

— No, to co myślisz? — spytał Nowskoj. — Wygląda na to, że nasz program się zawalił.

Rafael najwyraźniej nie martwił się zupełnie ani śmiercią Toricellego, ani nagłym przerwaniem pracy nad systemem bojowym. Rosjanin zrozumiał, że musiało zdarzyć się coś bardzo pomyślnego.

— Powiem ci coś, czego do tej pory nie wiedziałeś — poinformował, jak gdyby nigdy nic, szef Da Vinci Consulting. — Po pierwsze, Toricelli sprawiał nam kłopot. Dowiedzieliśmy się, że prowadził rozmowy z jednym z naszych potencjalnych konkurentów. Wprawdzie nic z nich nie wyszło, jednak później wykryliśmy, że zakłada własną firmę konsultingową, sprzedając informacje za pośrednictwem Internetu. Musieliśmy się go pozbyć. Wydawało się najprostsze zrobić to podczas delikatnej procedury odłączania interfejsu od mózgu. W końcu to poważna operacja. Mózg. To nie znaczy od razu, że niebezpieczna. Ale wiesz, co mówią lekarze. Podczas operacji wszystko może się zdarzyć. I w ten właśnie sposób zwolniliśmy nielojalnego pracownika.

Nowskoj nie był zaszokowany słowami Rafaela. W jego kraju likwidacja niewygodnego pracownika nie należała do rzadkości. Dziwiło go tylko trochę, że na Zachodzie też to się zdarza. Zresztą on sam, jako wysoki rangą dowódca rosyjskiej marynarki, był nieraz zmuszony poświęcić życie pojedynczego oficera dla utrzymania w ryzach organizacji. Jak gdyby na przekór wymowie całego zajścia postępek Rafaela umocnił w Aleksieju specyficzne uczucie zaufania. Zrozumiał on bowiem, że Rafaelowi na tyle zależy na kierowanym przez niego przedsięwzięciu, że gotów jest nawet usuwać potencjalnie szkodliwych ludzi. Dla rosyjskiego oficera oznaczało to, że szef Da Vinci Consulting jest człowiekiem oddanym i odpowiedzialnym... Nowskoj oparł się wygodnie i stwierdził:

— Rozumiem. Czy Sukhula wie o tym? — spytał.

— Nie, absolutnie nie wie. Toricelli był dla niej bliską osobą. To ona go wypromowała; opiekowała się jego karierą. Chciała, żeby w końcu zajął jej miejsce. Wtedy mogłaby pójść jeszcze wyżej. Nie winie jej za to, ale nie przyjęłaby dobrze wiadomości o tym, co zaszło. Trzeba ukrywać przed nią informacje o przykrych aspektach kierowania taką organizacją jak nasza. — Rafael pociągnął łyk espresso. — Teraz kontynuowanie prób z technologii sterowania zwierzętami stanie się twoim zadaniem. Czy sądzisz, że to może być skuteczna broń?

Nowskoj wstał i zaczął chodzić po sali.

— Sukhula przekonała mnie — oznajmił. — Uważam, że do wysadzania tankowców wystarczy. Natomiast jeśli chodzi o szybko płynące okręty wojenne, mam wątpliwości. Poza tym jest problem, o którym nie wspomniałaś jej jeszcze — przyssawka kończąca linę nie zadziała przy okręcie podwodnym pokrytym antysonarowymi płytkami pochłaniającymi dźwięki. Delfin nie da rady zniszczyć płytek, a potem wrócić z liną i umocować ją w tym samym miejscu w związku z dużą prędkością okrętu.

— I co masz zamiar zrobić?

— Przed śmiercią Toricelliego planowaliśmy przetestować system na naszym starym parowcu, który płynie do Port Lauderdale na Florydzie. Pierwszego lipca, w niedzielę, sterowany delfin miał przymocować SG-1 do parowca i wysadzić go, a następnie wypróbować, jak trzyma się przysawka liny na kadłubie odwiedzającego tamten port brytyjskiego okrętu podwodnego klasy Astute.

— Zrealizujcie ten plan — polecił Rafael. — Pamiętaj jednak, że jeśli system okaże się niezbyt skuteczny, mamy czas tylko do dwudziestego trzeciego. Wtedy amerykański statek z dowództwem marynarki opuszcza Norfolk. To niedługo.

Nowskoj przystanął, spojrzął na swojego rozmówcę i powiedział:

— Nie wiem, czy się uda. Sukhula wierzy mocno w swoje rozwiązania biologiczne, ale ja mam wątpliwości. Dlatego też zdecydowałem się osobiście sterować delfinem pierwszego lipca.

— Nie — zaprotestował Rafael. — To niebezpieczne. Wyniki twoich badań medycznych nie są zbyt zachęcające. Miałeś ostatnio anginę, a operacja będzie dla twojego organizmu obciążeniem. Zostaw to innym.

— Trudno będzie znaleźć ochotników po tym, co się stało z Toricellim — zauważył Rosjanin. — Poza tym, jeśli mamy zmierzyć się z flotyllą amerykańskich okrętów wojennych, chcę mieć pewność, że ta broń działa.

— Dobrze, W takim razie niech Sukhula steruje delfinem.

— Nie możemy tak zrobić — zaprotestował Aleksiej. — To ona jest mózgiem tego projektu. Ja na razie ciągle się tylko uczę. Jeżeli umrę, Sukhula będzie mogła kontynuować badania.

— Jesteś zbyt ważny dla całego przedsięwzięcia — protestował Rafael — a poza tym...

— Zdecydowałem się — przerwał Rosjanin. — Będę sterował delfinem. — Rafael westchnął.

— No, dobra. Ale, skoro masz wątpliwości, jaki jest twój plan rezerwowy? — Nowskoj usiadł koło szefa Da Vinci Consulting, oparł się o stół i spojrzął mu w oczy.

— Przeglądałem plany naszych modyfikacji ukraińskich okrętów klasy Siewierodwińsk — powiedział. — Może to stary typ, ale i tak ma niewiarygodne możliwości; jest bardziej zaawansowany niż to, co projektowałem, kiedy po oceanie pływały okręty klasy Omega. Siewierodwińsk przenosi ciche torpedy o niespotykanym dotąd zasięgu. Ma ruchome miny, samomocujące się do kadłuba celu i eksplodujące z opóźnieniem. Peryskop, który nie wychodzi z ciśnieniowego kadłuba — jego moduł optyczny znajduje się w gondoli na sterze i widać przez niego powierzchnię nawet, kiedy okręt jest zanurzony na głębokości pięciuset metrów. Zawory ssące chłodzącą wodę morską na górnej części kadłuba, dzięki którym okręt może spoczywać na dnie, nie zanieczyszczając sobie kondensatorów pary. Trójwymiarowy sonar wysokiej częstotliwości

i rozdzielczości do analizy otaczającego środowiska na wodach przybrzeżnych — okręt może wpłynąć do portu niewykryty i nie wpadnie na skały. Wreszcie szerokopasmowy aktywny sonar, który zaprojektowali twoi ludzie, o sygnale brzmiącym jak ławica krewetek nawet dla uszu biologa morskiego. Rafaelu! Do tego okręt ma środki przeciwdziałające wykryciu przez system obrazowania pola akustycznego — generatory biologiczne, dzięki którym również wygląda jak ławica krewetek. Wreszcie, możemy łatwo wyprowadzić Siewierodwińsk w morze, skoro sprzedaliście Ukrainie makietę kadłuba. Zwiad satelitarny i szpiedzy będą przekonani, że okręt spoczywa w suchym doku, podczas gdy on będzie czekał w swojej grocie. Nowe wejście do przystani okrętów podwodnych znajduje się pod powierzchnią. Można wyprowadzić okręt tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Pod warunkiem, oczywiście, że przetrzymamy załogę w odosobnieniu przez odpowiedni czas. Gdybyśmy wpłynęli Siewierodwińskiem do portu Norfolk, moglibyśmy storpedować statek z admiralicją i eskortujące go okręty i uciec niewykryci. Ten okręt jest do tego zdolny.

Rafael przyglądał się przez chwilę Nowskojowi.

— Wygląda na to, że opracowałeś kompletny plan — stwierdził.

— Oczywiście, nie chcę, żeby świat wiedział, iż korzystamy z ukraińskiego okrętu — ciągnął Aleksiej. — Dlatego trzeba wyprowadzić go w morze po cichu, makietę zainstalować w suchym doku i rozpocząć pracę nad nią. Amerykanie będą przekonani, że budujemy nowy okręt, więc uspimy ich czujność. Tymczasem porwiemy załogę prawdziwego Siewierodwińska wraz z kapitanem i przetrzymamy ją może po prostu na pokładzie okrętu. Kiedy będziemy gotowi, wejdę na pokład i wypłyniemy pod wodą z portu. Możemy przepłynąć Atlantyk w dwanaście dni i trzynastego powoli wpłynąć do Norfolk. Zaskoczmy Amerykanów.

— Przemyślałeś to bardzo dobrze, Al. Podoba mi się to — pochwalił Rafael.

— Nie zatrudniłeś mnie bez powodu. Sukhula jest błyskotliwa, jednak to naukowiec niezdolny zaplanować operację wojenną. Za to ja specjalizuję się właśnie w tym — przypomniał Nowskoj.

Rafael uśmiechnął się i odparł:

— Sam nie ująłbym tego lepiej. Powodzenia, przyjacielu. Zawiadom mnie natychmiast po teście w Port Lauderdale.

Po tych słowach szef Da Vinci Consulting wyszedł, zostawiając Aleksieja sam na sam z myślami o Sukhuli i o okrętach klasy Siewierodwińsk.

## 13

Świat zredukował się do dwóch rzeczy. Do głośnego dzwonienia w głowie i niesmaku w miejscu, gdzie powinny być usta. Podobny czuje się zwykle przy dotknięciu językiem metalowych blaszek płaskiej baterii.

Wkrótce Nowskoj poczuł jeszcze mdłości, następnie ból pleców i silny ból głowy — najwyraźniej miał teraz głowę. Później doszło do tego wszystkiego uczucie utraty równowagi, jak gdyby zanurzony w wodzie obracał się do góry nogami.

Po chwili usłyszał dźwięk przypominający szum rwącej rzeki. Zrozumiał jednak, że to odgłos odrzutowca. Najwyraźniej znajdował się na pokładzie samolotu. Powoli odzyskiwał panowanie nad swoim ciałem. Wyczuł delikatny dotyk miękkiego materaca, w końcu powróciło mu krążenie w kończynach, w których doświadczał teraz przykrego mrowienia. Spróbował usiąść, ale natychmiast doznał silnych zawrotów głowy. Świat zakręcił się wokół niego i zrobiło mu się niedobrze. Z jego głową coś było nie tak. Wydawała się obca. Powoli przesunął dłoń do czoła. Napotkał gruby bandaż owijający mu oczy i potylicę. Kiedy go dotknął, poczuł ostry ból czaszki i szyi.

Ktoś odezwał się do niego przedziwnie brzmiącym głosem. Niskim. Potem pojawił się drugi głos, wyższy i melodyjny. Aleksiej jak gdyby zatrzymał w sobie dźwięki, po czym powoli zrozumiał słowa.

— Witaj, Al. W końcu zdecydowałeś się obudzić z tej długiej drzemki, — To powiedział Rafael.

— Nie próbuj się poruszać, Al. Wkrótce poczujesz się znacznie lepiej. Czy mnie słyszysz? — To była Sukhula.

— Słyszę... — z trudem wydobył z siebie Nowskoj. Język zdrętwiał mu; był trochę jak obce ciało.

— Pamiętasz coś? — spytał Rafael.

— Założyli mi hełm. Potem zaczęła się lista kolejnych przewidzianych czynności. Dostałem narkotyki. To wszystko, co pamiętam — odparł Rosjanin. — Czy jestem ranny?

— Nie, Al. — Głos Suhkhuli brzmiał delikatnie. Objęła palcami dłoń Aleksieja; poczuł silny przypływ emocji. — Nic ci nie jest.

— A ten bandaż? — zapytał.

— Przeszedłeś operację usunięcia modemu komputerowego — wyjaśniła.  
— Wieczorem zmienimy ci bandaż na niniejszy.

— Co się stało?

Suhkhula pierwsza pospieszyła z odpowiedzią:

— Wybuch zabił delfina. Baliśmy się, co z tobą będzie, kiedy się obudzisz, ale lekarze obiecali, że odzyskasz pełną świadomość. Tyle że pamięć o tym, co zaszło w czasie, gdy byłeś podłączony do delfina, pozostanie w jego mózgu. Jak się czujesz? Czy pamiętasz coś z przebiegu akcji?

Nowskoj zrobił tylko nieprzyjemny grymas.

— Jak przebiegła? — zapytał.

— Świetnie się spisałeś, Al — oznajmił Rafael. — Wysadziłeś nasz tankowiec. Jednak z okrętem podwodnym się nie udało. W dodatku, nie wiadomo dlaczego, sterowany przez ciebie delfin uległ dezorientacji i nie powrócił do naszego statku. Nie mieliśmy czasu w zapasie. Wybuch zamienił go w parę.

Teraz czucie zaczęło powracać do ust i kończyn Rosjanina. Zawroty głowy zmniejszały się.

— Chcę usiąść i popatrzeć na was — powiedział. — Czy możecie zdjąć bandaż?

Po kilku minutach siedział i patrzył na Rafaela i Suhkhulę. Oboje byli jak zwykle elegancko ubrani, ale mieli silnie podkrążone oczy i napuchnięte, pobrużdżone twarze, jak gdyby nie spali od kilku dni. Nowskoj spuścił wzrok i zorientował się, że ma na sobie szpitalny szlafrok. Niebo za oknami samolotu było czarne.

— Nie udało się z tym brytyjskim okrętem podwodnym — zaskrzeczał Aleksiej, wysuwając brodę w stronę Rafaela.

— Rzeczywiście — przyznał szef Da Vinci Consulting. — Przysawki nie chciały złać. Te dźwiękochłonne płytki mają zbyt gąbczastą strukturę. To poważna sprawa. Test prowadzi do wniosku, że przy pomocy naszego systemu nie da się zniszczyć okrętu podwodnego osłaniającego amerykańską flotyllę. Gdyby to był jedyny problem, moglibyśmy zostawić go w spokoju i wysadzić wszystko inne. Demonstracja byłaby dokonana, dostalibyśmy pieniądze i moglibyśmy przystąpić do realizacji planu saudyjskiego. Jednak to nie takie proste. — Rafael potarł zmęczone oczy. Po raz pierwszy od chwili poznania tego człowieka Nowskoj widział go niepewnym.

— Dlaczego? — spytał. — Zatopimy statek z dowództwem, okręt podwodny zostawimy. Nipun będzie miał swoją demonstrację. Zabierzemy sprzęt do Zatoki Perskiej i zarobimy mnóstwo pieniędzy.

— To nie wyjdzie — zaproponował Rafael. — Słuchaj, w Mediolanie przepuścili ten scenariusz przez program analizujący warianty wydarzeń politycznych na naszym dużym komputerze DynaCorp Frame 180. Wyszło, że amerykański rząd uzna wydarzenie raczej za atak terrorystyczny niż wojskowy. To przez ten statek z admiralicją. Fakt, że pozostanie w akwenie okręt podwodny, oznacza, iż nagrania z jego systemu obrazowania pola akustycznego będą starannie przeanalizowane. W końcu połączą ze sobą delfina, ciekłe miny i pobliski statek handlowy jako bazę. Po dziesięciu minutach od chwili rozpoczęcia operacji saudyjskiej zaatakują nas amerykańska marynarka.

Nowskojowi powracał ból głowy.

— Pozwól, że ocenię to po swojemu — odparł. — Nie możemy wykorzystać do ataku na Amerykanów delfinów i SG-1, ponieważ twoja gra komputerowa mówi, że amerykańskie władze rozwiążą łamigłówkę. Połączą wszystko z operacją saudyjską, zapobiegną jej i posadzą nas za kratkami. Zgadza się?

— Zgadza. A co, nie przejmujesz się tym?

Rosjanin zamilkł na chwilę. Zdał sobie sprawę, że cokolwiek powie, nie ma większego znaczenia. Rafael nie zmieni swojej opinii, a to on był właścicielem całego interesu. Aleksiej musiał jednak kontynuować rozmowę, mimo że nie zgadzał się z argumentami szefa Da Vinci Consulting.

— Załóżmy dla potrzeb naszej dyskusji, że twoja gra komputerowa mnie przekonała — powiedział. — Co w takim razie chcesz zrobić?

— Wykonać plan B, to znaczy ten, który sugerowałeś, zanim w ogóle przedstawiono ci program biologiczny.

— Czyli?

— Użyć ukraińskiego okrętu klasy Siewierodwińsk, projekt 885. Wy płynąć nim po tajemnie z portu, z ruchomymi minami z głowicami plazmowymi na pokładzie, i dotrzeć do Norfolku. Kiedy „Princess Dragon”, czyli ten statek z amerykańskimi admirałami, ruszy, zaatakować go minami. Kiedy będzie wylatywał w powietrze razem ze swoją eskortą, Siewierodwińsk znajdzie się już z powrotem na zachodnim Atlantyku. Tam zacznie się druga część jego misji.

— A nie obawiasz się systemu obrazowania akustycznego? — zapytał Aleksiej.

— Akurat w porcie ten system na niewiele się zdaje, Al — poinformowała Suikhula. Nowskoj poczuł delikatną woń jej perfum. Zapach przypominał mu noc, którą spędzili razem. Teraz miał wrażenie, że zdarzyło się to w jakimś poprzednim życiu. — Powinnaś być posłuchać cię od razu — przyznała.

— No dobrze, tylko czy ruchome miny nie zostaną wykryte?

— Ich trasa będzie bardzo krótka — odpowiedział Rafael.

— Ale mocowane są na zasadzie magnetycznej — zauważył Nowskoj, — Z kadłubem okrętu podwodnego będą miały te same problemy co delfin z przyssawką w pysku.

— Okręt podwodny storpedujesz torpedami plazmowymi. Zatonięcia tej flotyli nikt nie powiąże z tym, co będzie się działo z saudyjskimi tankowcami. To będą dwie różne techniki.

— Nie pomyślałem dotąd o jednym — dodał Aleksiej. — Dlaczego właściwie mamy posłużyć się okrętem ukraińskim, a nie rosyjskim? Albo takim, który moglibyśmy pożyczyć bez uciekania się do rozmów z rządem danego państwa?

— Wszystko pięknie łączy się w całość — zapewnił Rafael. — Wypełnimy obietnicę daną Nipunowi w Indiach i zgarniemy wypłatę za pokaz. System z delfinami zainstalujemy na wodach Arabii Saudyjskiej i zablokujemy wywóz ropy, zbierając dalsze duże sumy od Nipuna. Sukhula będzie nadzorować operację w Zatoce Perskiej; pod warunkiem że uda nam się dokonać następnej sprzedaży.

— Jakiej sprzedaży? — zainteresował się Nowskoj.

— Lecimy właśnie na Ukrainę na spotkanie z prezydentem Władimirem Dołowcem. Sprzedamy mu plan zatopienia statku z amerykańską admiralacją, przekonując o korzyściach, jakie odniesie. Dołowiec przeprowadza właśnie operację na południowym Atlantyku i nie chce, żeby mieszała się do tego amerykańska marynarka. Dwa południowoamerykańskie kraje szykują się do wojny i Dołowiec sprzedaje jednemu z nich usługi swojej floty.

— Zaczynam mieć wątpliwości, Rafaelu — powiedział Aleksiej. — Co mówi wasza symulacja na temat użycia ruchomych min plazmowych przez spoczywający na dnie zatoki ukraiński okręt, jeśli wykryje go system obrazowania pola akustycznego?

— Według programu uda się, jeśli amerykański okręt klasy SSNX nie wykryje Siewierodwińska przy pomocy systemu obrazowania pola. Ale gdyby go wykrył, zniszczy was. Dlatego właśnie trzeba go zaskoczyć. Nie mogą pozostać żadne dyski z danymi na pokładzie amerykańskiego SSNX. Pozostałe okręty eskorty na pewno zatopimy, więc z całej flotyli nie pozostanie nic poza wrakami na dnie.

Nowskoj zamknął oczy, przytakując.

— Zatem jeśli da się zaskoczyć Amerykanów przy pomocy Siewierodwińska, wszyscy zarobimy dużo pieniędzy — zakończył Rafael. — Powiedzie się i pokaz, i sprawa ukraińska na południowym Atlantyku, i plan saudyjski. Da Vinci Enterprises zamknie rok wyjątkowym bilansem.

— Dlaczego powiedziałeś, że to ważne, żebyśmy był na pokładzie Siewierodwińska? — chciał się upewnić Aleksiej.

— Jesteś nieocenionym ekspertem od okrętów podwodnych — zapewnił Rafael. — Będziesz tam, żeby amerykański SSNX na pewno nam nie przeszkodził. I żeby dopilnować ukraińskiego kapitana z Koziej Wólki, żeby nie zepsuł operacji.



**Część trzecia**

**„Wiepr”**

## 14

Odgłos telefonu był tak głośny i niespodziewany, że wyrwany nagle z głębokiego snu mężczyzna uderzył w niego pięścią, wystraszony. Telefon poleciał z trzaskiem na podłogę. Mężczyzna wyskoczył z łóżka z bijącym mocno sercem i poszukał aparatu. W końcu jego palce zacisnęły się wokół dużej, plastikowej słuchawki. Panowała w niej jednak zupełna cisza. Kabel musiał wyskoczyć ze ściany. Sprawca całego zamieszania przykucnął na środku pokoju, rozglądając się w półmroku, z głupią miną.

Podrapał się w głowę i wstał. Zaniósł telefon z powrotem na stolik. Włączył lampę, po czym włożył nieuszkodzoną wtyczkę do gniazdka. Usiadł na łóżku. Stary ścienny zegar, należący jeszcze do jego pradziadka, tykał miarowo. Było piętnaście po trzeciej w nocy. Zaczynała się niedziela. Obok niego, pomiędzy poduszkami, leżała młoda kobieta. Mężczyzna obrzucił ją długim spojrzeniem. Uśmiechnął się. Od trzech lat był żonaty z Martinique, córką starego przyjaciela rodziny. Znał ją od niemowlęcia. Świadomość zbliżającej się rozłąki sprawiała mu przykrość. Za chwilę telefon odezwie się znowu. Najpewniej znaczyło to, że opuści domowe pielesze bardzo niedługo.

Telefon rzeczywiście zadzwonił jak na zawołanie. Tym razem odebrał go.

— Graczow — rzucił schrypniętym głosem. Zeszłego wieczoru sporo wypił. Obchodzili z żoną jej trzydzieste urodziny.

— Przed domem czeka samochód — oznajmił znajomy mu, władczy głos. Rozmówca był całkowicie rozbudzony, jakby była co najmniej dziewiąta rano. — za cztery minuty masz w nim siedzieć. — Dzwoniący rozłączył się.

Paweł Graczow zamrugał oczami. Podszedł do okna i odsłonił zasłony. Miał przed sobą jedną z wielu ulic nadmorskiego miasteczka Bałakława, odległego o piętnaście kilometrów od Sewastopolu. Za rosnącymi przed domem drzewami widać było czekające volvo.

— Niech się wypcha z czterema minutami! — mruknął Graczow i ruszył do łazienki. Zobaczył w lustrze skacowanego mężczyznę w wieku trzydziestu sześciu lat. Wyjątkowo wysokiego, chudego niemal jak kościotrup, z nieproporcjonalnie długimi nogami. Rzedniejące jasne włosy miał zmierzwiłone od snu. Szarawa szczecina porastała

jego twarz, kanciastą brodę, podbródek i klatkę piersiową. Skóra Graczowa była biała niemal jak papier. Twarz miał pociągłą, o wystających kościach policzkowych. Brwi tak jasne, że prawie niewidoczne, podobnie jak i rzęsy. Przekrwione w tej chwili oczy były ciemnoniebieskie. Twarz w lustrze sprawiała wrażenie mizernej i jakby zniszczonej. Kolor włosów i skóry przywodził na myśl człowieka żyjącego w jakiejś jaskini pozabawionej światła. Nie było to zresztą zbyt dalekie od prawdy. Tylko na zęby Paweł nie mógł się uskarżać. Były równiutkie i bielusińkie jak u ludzi z reklam pasty do zębów. Kiedy Graczow ogoli się i umyje, będzie wyglądał starzej, jednak na pewno zdrowiej niż w tej chwili.

Odkręcił gorącą wodę i wszedł pod prysznic. Zakończył mycie zimną wodą. Wyskoczył z kabiny, ogolił się szybko i próbował pozbyć się śladów kaca. Bezskutecznie. Ubrał się więc po ciemku, zostawił kartkę Martinique i ucałował ją. Popatrzył na jej rozsypane włosy zasłaniające oczy, część długich, kasztanowych loków schowana była pod kapturem dresowej bluzy. Kobieta jęknęła przez sen. Pocałował ją znowu i zamknął cicho drzwi. Przeszedł do pokoju dziecinnego, gdzie spał mały Paweł. Kiedy ojciec wszedł, chłopczyk, pogodnie uśmiechnięty, stał w swoim łóżeczku, trzymając się malutkimi paluszkami drewnianych prętów.

— Tata — powiedział radośnie. — Dwa lata!

— Witaj, mój marynarzu — odparł ojciec, tarmosząc włosy synka. Podniósł go. Mały był lekki i ciepły. Graczow zaniósł go na blat do przewijania i zmienił mu pieluchę.

— Tata, bawic? — spytało dziecko cieniutkim głosikiem.

— Nie, syneczku. Tatuś musi pojechać do miasta.

— Teś jechać. — Graczow roześmiał się.

— Nie, młody wojowniku. Nie dzisiaj. Może następnym razem.

— Tata, bawic — powtórzył chłopczyk.

— Połóż się jeszcze i śpij — poradził ojciec.

Mały ziewnął i posłusznie ułożył się w łóżeczku, zamykając oczy. Graczow nachylił się nad nim i ucałował go. W drzwiach przystanął — nie miał ochoty wychodzić z pokoju. W końcu ruszył po schodach ku drzwiom wyjściowym, zabrawszy ze sobą teczkę i oficerską czapkę. Wsiadł do volvo. Po dwudziestu minutach znalazł się na placu Admiralicji w centrum Sewastopola.

Wsiadł powoli z limuzyny i założył czapkę. Przeszedł pomiędzy czterema granitowymi kolumnami budynku, minął po kolei cztery strażę, użył komputerowej karty dla przejścia przez bramkę bezpieczeństwa i w końcu znalazł się w windzie, obitej od wewnątrz nierdzewną stalą. W kabinie nie było żadnych przycisków — sterowali nią tylko wartownicy. Ruszyła w dół, w głąb skały znajdującej się pod warstwą gleby. Kiedy drzwi otworzyły się znowu, Graczow wyszedł do sali reprezentacyjnej wyłożonej marmurami i wiśniowym drewnem. Za biurkiem siedziała cud blondynka w obwisłym sweterku, równie żwawa mimo nocnej pory, co jej szef.

— Cześć, Karina — powitał ją Paweł. — Admirał jest, prawda? — upewnił się.

— Sala konferencyjna jeden, panie kapitanie — odpowiedziała blondynka, uśmiechając się pełnymi, czerwonymi ustami. Odsłoniła przy tym duże, białe zęby. — Zaparzyć panu kolumbijskiej kawy, panie kapitanie? — spytała.

— Tak — zgodził się Graczow. — I przynieś bardzo dużą butelkę wody.

— Może ze dwie aspiryny? — dodała. — Wygląda pan na trochę... zmęczonego.

— Świetny pomysł — zgodził się. — Będiesz kiedyś dobrą żoną.

— Wiem — odparła dziewczyna, przyglądając się oficerowi odrobinę przydługo. Uśmiechnął się do niej protekcjonalnie i minął jej biurko.

Wyłożony wiśniową boazerią korytarz prowadził przez duże, ciężkie drzwi na salę konferencyjną. W jednym ze skórzanych foteli o wysokich oparciach siedział admirał Jurij Kołow. Patrzył na ekran płaskiego, przenośnego komputera. Na widok Graczowa wstał i uśmiechnął się.

Paweł zasalutował łysiejącemu admirałowi w średnim wieku i potrząsnął jego wyciągniętą ręką. Kołow ścisnął zawsze człowiekowi dłoń jak imadło. Przyciągnął do siebie Graczowa i zaczął go ścisnąć, klepiąc go otwartą dłonią po plecach. Mężczyźni znali się już od dwudziestu lat. Na początku Kołow był zaledwie porucznikiem ukraińskiej Floty Czarnomorskiej. Było to kilka lat po zakończeniu sporu Ukrainy z Rosją o tę flotę. Kołow, wbrew własnej woli, został wyznaczony „na ochotnika” do wygłoszenia w szkołach średnich serii pogadarek na temat rozpoczynającego się na Ukrainie programu rozbudowy sił podwodnych. Graczowa, wówczas niespokojnego, słabo uczącego się szesnastolatka, zafascynowały opowieści Kołowa o służbie na morzu. Niebezpieczeństwo, koleżeństwo, bitwy podmorskie — to wszystko brzmiało dla niego podniecająco. Po wystąpieniu oficera marynarki chłopak podszedł do niego i zaczął z nim rozmawiać. Ta rozmowa rozpoczęła przyjaźń trwającą całe życie.

Podczas następnych spotkań z Graczowem Kołow wytłumaczył mu, jak to marynarka ukraińska odziedziczyła po Rosjanach dużą flotę nawodną. Nie bardzo było wiadomo, co z nią zrobić. Brakowało dobrze wyszkolonych ludzi, a przede wszystkim funduszy. W posiadaniu Ukrainy znalazło się zaledwie osiem atomowych okrętów podwodnych, jednak tworzący sztab floty admirałowie chcieli powiększyć znacznie tę liczbę. Kiedy Graczow podjął decyzję o wstąpieniu do marynarki, Kołow wziął udział w urządzonym z tej okazji przyjęciu. Gdy Paweł ukończył akademię w Sewastopolu, to Kołow odbierał od niego oficerską przysięgę.

Później stopnie wojskowe Graczowa rosły, równolegle zresztą do awansów Kołowa. W końcu starszy z nich został dowódcą ukraińskich sił podwodnych, a Paweł przez rok nie awansował. Spodziewał się, że wkrótce zostanie dowódcą okrętu podwodnego pomimo młodego wieku. Jednak chociaż miał wymagane umiejętności, nic takiego nie następowało. Wreszcie, w dniu trzydziestych trzecich urodzin, w tydzień po tym, jak

Kołow był świadkiem na jego ślubie, Paweł został wezwany do biura admirała. Czekala tam na niego koperta z pieczęcią ukraińskiej floty, przedstawiającą tarczę, na której widniała wystrzelająca spod wody rakietą, skaczący obok delfin oraz dwie reprezentacyjne szable. Na kopercie było napisane: „Oficjalny rozkaz. Do rąk własnych adresata. Kapitan drugiej klasy Paweł I. Graczow. Flota Ukrainy. Flota Czarnomorska”.

Paweł spojrzał niepewnie.

— Śmiało — zachęcił Kołow. — Otwieraj. — Graczow domyślił się, co jest w środku. Otrzymał dowództwo najnowszego okrętu klasy Siewierodwińsk, projekt 885, oznaczonego K-898, o nazwie „Wiepr”, „Dzik”.

Tydzień później Paweł zameldował się na Półwyspie Kolskim, w Siewieromorsku. Tam przeszedł szkolenie, ucząc się obsługi systemów zbudowanego przez Rosjan Siewierodwińska projekt 885. Razem z dowódcą szkoliła się przyszła załoga okrętu. Wrócili do domów po pół roku. Okazało się, że Martinique jest w ciąży i ma się kiero. Następnie Graczow praktycznie przejął dowodzenie na K-898 oraz został ojcem — Martinique urodziła małego Pawła, Teraz, o wpół do czwartej nad ranem w niedzielę, potrząsając dłonią Kołowa, Graczow uświadomił sobie, że jest szczęśliwy. Zawsze miał nadzieję, że właśnie tak będzie wyglądało jego dorosłe życie.

— Dobrze pana znów widzieć, panie admirale — powiedział szczerze na powitanie. — Nawet o tej porze, w niedzielę. Zapewne ma pan zamiar powiedzieć mi, co się dzieje?

Uśmiech Kołowa znikł jednak. Admirał wskazał młodemu przyjacielowi i podwładnemu fotel i powiadomił:

— Za kilka minut będziemy mieli towarzystwo. Mniej więcej wtedy, kiedy do ciebie dzwoniłem, z Kijowa wyruszyło dwóch gości prezydenta Dołowca.

— Przecież to trzy godziny jazdy — zauważył Graczow.

— Mają prywatny odrzutowiec.

— Jasne. Co to za goście?

— Konsultanci z firmy o nazwie Da Vinci — wyjaśnił Kołow. — To oni przebudowywali naszą przystań; zaprojektowali podwodny tunel. Także oni robili makietę kadłuba 885 do suchego doku, projekt i instalację sensora Antaj i systemu Szczuka.

Graczow uniósł z szacunkiem brwi. Parę miesięcy temu „Wiepr” został umieszczony w suchym doku; usunięto z rufy konsolę sonaru i zastąpiono sensorem Antaj. Optoelektroniczne urządzenie w pewnym stopniu przypominało sonar, jednak mogło podpływać na opancerzonym kablu aż na powierzchnię wody i wykorzystywało światło widzialne, a nie dźwięki. Można powiedzieć, że to specjalny rodzaj umieszczonego na wypuszczanej boi peryskopu. System Szczuka był natomiast zestawem dużych anten sonaru, wystrzeliwanym z wyrzutni torpedowej. Anteny wykonane z nadmuchiwanej folii wykorzystywały fizykę obrazowania pola akustycznego. Był to wprost rewolucyjny dla

okrętów podwodnych system. Pomimo tego Graczow obydwie nowe systemy uważał za niepotrzebny wydatek — ponieważ można je było zastosować tylko wtedy, kiedy okręt był nieruchomy — czy to na powierzchni, czy w zanurzeniu. A przecież okręty zazwyczaj pływają! Poza tym instalacja systemu Szczuka oznaczała jedną wyrzutnię torpedową mniej, co było wprost niewybaczalne. Paweł planował potajemnie celowe zgubienie go w wodzie, kiedy tylko w następnym rejsie znajdą się na pełnym morzu. Uważał jednak, żeby nie zdradzić się z tym przed Kołowem.

— Gdzie jest teraz makieta do suchego doku? — spytał kapitan.

— W starej przystani podwodnej. Tam, gdzie stał „Wiepr”, zanim w tym miesiącu zakończono budowę nowej. Mamy na makiecie nawet otwarte włazy, marynarzy i oficerów wchodzących i wychodzących ze środka. Z zewnątrz praktycznie nie można jej odróżnić od prawdziwego „Wiepria”.

Graczow roześmiał się.

— A czy dokerzy wiedzą, że to makieta? Ja nie dałbym się oszukać.

— Powiadają, że jedynie matki potrafią odróżnić identyczne bliźniaki jednojajowe — skomentował admirał. — Dopóki żaden doker nie spróbuje wejść na pokład, makieta po prostu jest okrętem projekt 885.

— Zachowanie tajemnicy musi kosztować sporo wysiłku — zauważył Paweł.

— Dobrze, za chwilę mogą przybyć tu konsultanci — zmienił temat Kołow. — Myślę, że najpierw powinienem ci coś powiedzieć. Rejs na południowy Atlantyk, w który miałeś popłynąć razem z resztą floty, został odwołany. Popłyniesz ku Hampton Roads.

— Do wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, koło Wirginii? — upewnił się Graczow.

— Zgadza się.

— Co to oznacza dla misji na południowy Atlantyk? — chciał się dowiedzieć kapitan. — Kto płynie zamiast nas? Mam nadzieję, że nie ten skurwysyn Dimitrij i jego „Tigr”. Może to i 885, ale zaniedbany jak jasna cholera. A sam Dimitrij jeszcze bardziej.

— Nie twoja sprawa — skarcił admirał. Paweł, wszystko, o czym będą z tobą rozmawiać konsultanci, pozostanie ściśle tajne. Powinieneś także od razu wiedzieć, że jeden z nich popłynie z tobą w rejs.

— Pasażer? Z firmy konsultingowej? — zdziwił się Graczow. Tymczasem rozdzwonił się telefon. Kołow odebrał, posłuchał chwilkę i odłożył słuchawkę.

— Są już — oznajmił. Wstał. Kapitan także.

Karina wprowadziła dwóch mężczyzn i kobietę. Jeden z przybyszów był potężnej budowy i miał szpakowatą brodę. Zwracały uwagę jego oczy, ożywione i inteligentne. Miał na sobie drogi, ciemnopopielaty garnitur. Drugi mężczyzna był o wiele drobniejszej postury, choć wyglądał na wysportowanego. Jego twarz była surowa, kanciasta, włosy si-

wiejące, oczy o przeszywającym spojrzeniu. Nosił się sztywno — niemal po wojskowemu. I miał garnitur od Armaniego. Kobieta była oszałamiająco piękną Azjatką w czarnym kostiumie o obcisłej spódnicy. Wszyscy zostali sobie przedstawieni.

Pierwszy odezwał się przybysz o nieco dziwnym imieniu Rafael:

— Cieszę się, że nareszcie pana poznaję, panie kapitanie. Mam to szczęście, że wiem, kim pan jest. Niestety, amerykański wywiad także wie. I właśnie dlatego pan tu jest.

— Doprawdy?

— Panie kapitanie, Da Vinci Consulting macza palce w wielu przedsięwzięciach... Jedno z nich to elektroniczny wywiad. Realizowaliśmy pewien kontrakt z waszym rządem i przy okazji słyszeliśmy sporo o dowodzonym przez pana okręcie. Nas i waszego prezydenta martwi fakt, że każdym razem gdy „Wiepr” wyjdzie w morze, Anglicy i Amerykanie natychmiast się o tym dowiedzą. Nie tylko będą znać czas rozpoczęcia rejsu, ale także jego docelowe miejsce, rodzaj zadania, zabrane uzbrojenie i jeszcze więcej.

Graczow wyglądał na sfrustrowanego.

— Jak to możliwe? — spytał.

— Udowodnię panu — oznajmił przybysz i podał Kołowowi dysk wideo. Po chwili zaszokowany kapitan oglądał film pornograficzny, w którym kilku mężczyzn zabawiało się z dwiema kobietami. Najgorsze jednak było to, że jednym z tematów ich rozmów był jego okręt. Gawędzili o tym, kiedy „Wiepr” wypłynie na ćwiczenia w strzelaniu torpedowym. Paweł rozpoznał wśród mężczyzn swojego oficera łącznikowego sekcji maszyn pomocniczych.

Zagryzł wargi, zastanawiając się, jak teraz będzie mógł spojrzeć temu człowiekowi w oczy. Faktycznie, to, co słyszał i widział na filmie, zdawało się potwierdzać słowa Rafaela. W końcu brodacz wyłączył nagranie. Zanim to zrobił, jedna z kobiet spytała innego mężczyznę — operatora sonaru, który już nie pływał na „Wieprze” — na jakiej zasadzie działa sonar. Indagowany zaczął opowiadać jej rzeczy sklasyfikowane jako ściśle tajne. Graczow poczuł, że czerwienieje z gniewu.

— To skandal! — warknął. — Będę miał bardzo bolesną rozmowę z załogą!

Rafael zamachał tylko ręką.

— Niech się pan nie przejmuje, kapitanie — rzucił. — Te kobiety pracują dla nas. Jak już powiedziałem, maczamy palce w wielu rzeczach. Sprzedajemy także usługi wywiadowcze. Realizujemy na Ukrainie kilka przedsięwzięć; jednym z nich było sprawdzenie, czy jesteśmy w stanie dowiedzieć się czegoś o najbliższym rejsie „Wiepria”. Zanim jednak zacznie pan masakrować swoją załogę, powinien pan wiedzieć, że my oraz służby wywiadowcze obcych państw najwięcej informacji uzyskujemy od dowódcy „Wiepria”. A propos, najlepsze życzenia dla pańskiej pięknej żony z okazji jej trzydziestych urodzin.

— Słucham...?!

— Właśnie stąd pochodzą najlepsze informacje — zapewnił ponownie Rafael. Włożył drugi dysk. Graczow zobaczył siebie samego, jak wchodzi do własnego domu, wita się czule z żoną, jak rozpoczynają rozmowę o zwykłych małżeńskich sprawach. W pewnym momencie Paweł powiedział Martinique, że za tydzień okręt ma wypłynąć i dołączyć do reszty floty, a następnie udać się z nią na południowy Atlantyk. Powiedział żonie nawet i to, jak bardzo nie podoba mu się plan militarnego wsparcia przez Ukrainę inwazji Argentyny na Urugwaj. Rafael zatrzymał film.

Graczow z wściekłością zerwał się na równe nogi. Kołow zamachał jednak na niego i powiedział:

— Uspokój się, Paweł. Jeśli mają na ciebie coś takiego, wyobraź sobie, co muszą mieć na mnie.

— Panie admirale, te skurwysyny włamały się do mojego domu, wdarły się w moje...!

— Oto oryginalne nagranie — przerwał Rafael, wyciągając dysk z odtwarzacza i podając go Graczowowi. — Nie ma żadnej kopii. Oglądał to jak dotąd jedynie nasz komputer, który zidentyfikował zadane słowa kluczowe i zaznaczył odpowiednie fragmenty do odtworzenia. Inaczej musielibyśmy trawić bezsensowne godziny na oglądaniu wszystkich nagrań. Przesłuchałem już, tylko raz, wskazane przez komputer fragmenty ścieżki dźwiękowej — Nie zamierzałem pana szpiegować. Jedynym celem tych nagrań była niniejsza demonstracja. Jeśli to pana interesuje, sprzęt nagrywający został zainstalowany w pana domu tylko na dwa dni, bezpośrednio po tym, jak odebrał pan rozkazy i wysłuchał odprawy dotyczącej rejsu na południowy Atlantyk.

— Po prostu doskonale! — sapnął Graczow. Na czole wystąpiły mu kropelki potu. — Po to tu przyjechaliście, żeby pokazać mi przecieki dotyczące mojego okrętu i narobić mi wstydu...?!

— Czekaj — uspokajał Kołow, opierając dłoń na ramieniu kapitana. — Masz jeszcze dużo do wysłuchania.

— Jeszcze dużo...?

Teraz odezwała się po raz pierwszy Azjatka. Trochę dziwnie mówiła po rosyjsku, z melodyjnym, chińskim akcentem:

— Pięć lat zajęło nam stworzenie systemu elektronicznego przechwytywania danych. Śledzimy teraz telefony komórkowe, mikrofalowe połączenia komputerowe, wojskowe nadajniki radiowe. Mamy w najważniejszych miejscach stacje nasłuchowe, które dostarczają nam olbrzymie ilości danych. Nasze komputery przeszukują je i wyłuskują ważne informacje wywiadowcze.

Musiła wyćwiczyć tę przemowę — pomyślał Graczow, ponieważ Chinka wymawiała rosyjskie wyrazy z wyraźnym trudem.



— To wspaniale, ale dla was — skomentował, choć już nie tak surowym tonem jak poprzednio. Kołow uniósł palec, więc kapitan zamilkł.

— Dla was także — zapewniła Suikhula. — Dowiedzieliśmy się drogą wywiadu elektronicznego, że amerykańskie agencje wywiadowcze wiedzą wszystko o planowanym rejsie „Wiepria” na południowy Atlantyk. Wiedzą, że wypłyniecie w poniedziałek trzydziestego lipca o czwartej nad ranem czasu wschodnioeuropejskiego, udacie się w stronę Gibraltaru i spotkacie z nawodną flotyllą trzysta kilometrów od francuskiego portu Brest, w piątek, trzeciego sierpnia, o czternastej zero zero GMT, czyli trzynastej czasu miejscowego.

Graczow próbował zachować obojętny wyraz twarzy, choć oczy wyłaziły mu ze zdumienia. Tak szczegółowe informacje były ujawniane tylko na jego poziomie dowodzenia i wyżej. Nigdy nie mówił o nich Martinique.

— Jak wy to robicie? Czy powiedział wam o tym prezydent Dołowiec? — spytał z ciekawością. Chinka zamilkła jednak.

— Widzę, że będę musiał i to panu pokazać — oznajmił z uśmiechem Rafael. — Proszę popatrzeć. — Podał Graczowowi swój przenośny, płaski komputer z dużym ekranem. — Proszę wyszukać dane z piątku.

Paweł odnalazł dane z minionego piątku, czyli z dwudziestego dziewiątego czerwca 2018 roku. Wśród plików znajdował się tekst wiadomości przesłanej mu przez Kołowa — szczegółowy rozkaz wypłynięcia trzydziestego lipca.

Plik wyglądał na identyczny z tym, który otrzymał wcześniej od Jurija. A jednak, mimo wszystko, mógł to przekazać przybyszom prezydent Dołowiec.

— Nie jest pan przekonany. W takim razie niech pan uruchomi następny plik — poradził Rafael.

Graczow posłuchał go. Plik okazał się filmem; pojawiły się dwa obrazy równocześnie. Lewy pokazywał znanego mu z wyglądu admirała dowodzącego amerykańską marynarką — Paweł zapomniał jego nazwiska. Po prawej widać było opalonego, umundurowanego oficera amerykańskiej marynarki. Admirał miał na sobie zwykłą koszulkę z napisem NAVY 90. Znajdował się w kuchni, urządzonej w cedrowym drewnie. Na dole ekranu widniała data nagrania: 06/30/18 SOBOTA 15:34 GMT 10:34 EDT. Dokonano go więc następnego dnia po wydaniu przez Kołowa rozkazu wypłynięcia „Wiepria”.

— Witaj, Paully — powiedział admirał z komputera. — Właśnie wychodziłem popracować przy żagłowie.

— Znowu ma pan kłopoty z silnikiem? — zagadnął jego rozmówca.

— Dzisiaj będę zdejmował prawą głowicę.

— Może potrzebuje pan pomocy?

— Niee. To dla mnie coś w rodzaju terapii.

— I ja chyba powinienem znaleźć coś, co by mnie uspokajało. Zwłaszcza po tym, czego dowiedział się Numer Cztery.

— Dobra. Przejdźmy na bezpieczną linię; za pięć minut.

— Zadzwoń znowu.

Ekran zgasł, zamigało, po czym znów pojawiły się dwa obrazy. Oficer w mundurze znajdował się na tym samym tle, co poprzednio, natomiast admirał siedział teraz w gabinecie.

Słowa były dziwnie zniekształcone i niedokładnie dopasowane do ruchów warg mówiących. Przypominało to film kręcony starą techniką, z oddzielną ścieżką dźwiękową i złą synchronizacją. Takie były efekty szyfrazu i deszyfrazu. Pierwszy odezwał się admirał:

— I co masz ciekawego? Zamieniam się w słuch.

— Puszczam to na pana ekran.

Na komputerze pojawił się trzeci obraz. Pokazał znów wydany przez Kołowa rozkaz, tym razem jako część dłuższego tekstu przesłanego wiceadmirałowi Paulowi White'owi przez niejakiego Masona Daniela IV. Plik był zatytułowany „nagranie Ukraina 062918”.

— Znowu zadziałała Agencja Bezpieczeństwa Narodowego — skomentował umundurowany oficer. Najpewniej to on był wiceadmirałem Paulem White'em.

— Daniels trzyma rękę na pulsie — dodał dowódca marynarki. — A więc Siewierodwińsk wyrusza trzydziestego lipca, w poniedziałek, i dołącza do reszty Floty Czarnomorskiej. Zaczyna się.

— Zaraz po tym, jak wrócimy z naszego wypoczynku. Będziemy musieli posiedzieć nad tym po godzinach. To poważna sprawa.

— Wiesz co, Paully, myślę, że nie musi być aż tak źle — mówił naczelny dowódca. — Posadzę nad tym nasze najtęższe mózgi. Możemy spokojnie spotykać się na naradach sztabu i planować strategię.

— Myśli pan admirał, że to może być tylko zmyłka ze strony Ukrainy? Żebyśmy się przejęli i zareagowali?

— Takich rzeczy nigdy nie można wykluczać, Paully. Ale gdyby tak było, Numer Cztery zasugerowałby nam to w jakiś sposób. Musimy chyba założyć, że to prawda. W końcu dowódca sił podwodnych Floty Czarnomorskiej nie ma powodów do przypuszczeń, że czytamy jego pocztę.

— Kołow — rzucił White. — To bystry zawodnik.

— Wiemy coś o kapitanie tego Siewierodwińska? — spytał naczelny dowódca.

— Tylko to, co przekazała prostytutka, którą Numer Cztery prowadził na wieczór kawalerski pierwszego oficera okrętu. Dowódca ma stopień kapitana, nazywa się Paweł Graczow. Wygląda na heteroseksualnego mężczyznę, któremu nie w głowie zabawy z damami lekkich obyczajów. Ma młodą żonę i dwuletnie dziecko; nie brał udziału w erotycznych igraszkach, tylko pił i rozmawiał ze swoimi ludźmi w innym pokoju. Potrafi wlać w siebie sporo wódki, ale u nich to normalne. Ma trzydzieści kilka lat. To bardzo młody wiek jak na dowódcę najnowocześniejszego okrętu podwodnego. Może mieć jakieś powiązania — jest jednym z osobistych wybrańców Kołowa.

— Czy Numer Cztery zorganizował śledzenie go? — wypytywał dowódca amerykańskiej floty.

— Obserwujemy go przez całą dobę na okrągło. Będziemy wiedzieć, kiedy Siewierodwińsk rzeczywiście wypłynie w rejs; kapitan wyjdzie z domu ze swoją marynarską torbą, i pożegna się czule z żoną. A propos, gdzie podziewa się Colleen?

— Przygotowuje się do składania zeznań przed Kongresem.

— Reszta to pogawędka na tematy osobiste — przerwał Rafael. — Jak panowie widzicie, Amerykanie wiedzą nawet, kiedy kapitan Graczow chodzi do toalety.

— I dlatego wyciągnąłem cię tutaj w środku nocy — wyjaśnił Kołow Pawłowi. — Przygotuj się, przyjacielu. Mam dla ciebie niełatwe do przyjęcia wiadomości. — Graczow nadstawił uszu. — Nie wrócisz teraz do domu. Pojedziesz do przystani podwodnej. Za mniej więcej dwie godziny wypłyniesz stamtąd K-898, na akumulatorach, z zimnym reaktorem. Zaczniecie uruchamiać go dopiero, zanurzysz się poniżej stu metrów. Otrzymasz przed rejsem plan trasy. Przepłyniesz przez Bosfor i Dardanele, potem przez Gibraltarię i podążysz z prędkością bojową, nieokreślonym kursem wzdłuż wybrzeża Nowej Fundlandii, do Hampton Roads w stanie Wirginia, w USA. Tam wykonasz tajną misję. Jej szczegóły otrzymasz już na morzu. Masz jakieś pytania?

— Pytania? Mam setki pytań, ale szczegółów dowiem się dopiero po wypłynięciu — skwitował Paweł.

— Prawda. Poza tym: na pokładzie „Wiepria” popłynie z wami pan Nowskoj. Będzie twoim doradcą w kwestii obsługi systemów okrętu oraz przechwytywania danych od amerykańskiego wywiadu. Masz robić wszystko, o co tylko poprosi, traktując go z najwyższym szacunkiem.

Graczow spochmurniał. Będzie musiał porozmawiać o tym z Kołowem na osobności. Nie potrzebuje żadnych konsultantów, którzy będą mu mówić, jak ma prowadzić swój okręt i jak walczyć.

— Oczywiście, panie admirale — odrzekł jednak. Dlaczego powiedział pan, że to niełatwe do przyjęcia wiadomości?

Kołów popatrzył na brodacza z zażenowaniem.

— Może na to pytanie powinien odpowiedzieć pan Rafael — odparł.

— Panie kapitanie, w poniedziałek rano, drugiego lipca, na środku Morza Czarnego, umrze pan wraz z całą załogą — oznajmił rudzielec.

Ta odprawa ma coraz gorszy przebieg! — pomyślał Paweł. Znowu poczuł ból głowy, skutek kaca. Pociągnął długi łyk wody mineralnej z butelki i popatrzył niespokojnie na mówiącego.

— Oczywiście, na niby — ciągnął Rafael. Rozumie pan, w poniedziałek będziecie się znajdować już znacznie dalej, ale tego dnia rano wypłynie w morze makieta „Wiepria”. Wyposażyliśmy ją w silnik diesla i stery. Jest w stanie osiągnąć prędkość dziesięciu węzłów, a nawet zanurzyć się, zasilana z akumulatora, pod kontrolą komputera. Wkrótce po zanurzeniu makieta zatoni z wielkim hałasem; na powierzchnię wypłynie boja, czarna skrzynka i nada rzekome ostatnie zdjęcia z wnętrza tonącego okrętu. Wieczorem rozpocznie się operacja ratunkowa, kierowana przez pana admirała. W telewizyjnych wiadomościach podadzą, że marynarka Ukrainy uznała zatonięcie „Wiepria” za wypadek oraz że zginęła cała załoga. W piątek, szóstego lipca zostanie odprawiona msza żałobna za wasze dusze.

— Rodziny będą oczywiście znać prawdę...? — upewnił się Graczow. Czuł skurcz w żołądku na myśl o cierpiącej Martinique na jego sfigowanym pogrzebie, podczas gdy on będzie dalej dowodził swoim okrętem. Jak przeżyje to jego synek?

— Nie — zaprzeczył Rafael. — Żony i dzieci będą przekonane, że naprawdę są wdowami i sierotami. Kamery wszystkich stacji telewizyjnych świata sfilmują ich Izy. Nie ma lepszego sposobu ukrycia rejsu „Wiepria”. To kluczowy element tajemnicy...

Rafael nie spodziewał się, że wysoki i chudy jak upiór oficer rzuci się na niego przez stół; Kołow zaś nie był dość szybki, aby powstrzymać Pawła. Graczow pociągnął za jedwabny krawat brodacza tak mocno, że omal go nie udusił. Drugą ręką przycisnął mu głowę do stołu, aż usłyszeli stuknięcie. Wielkie dłonie Rafaela bezradnie były powietrze. Zaskoczony nie był w stanie się uwolnić.

— Moja żona i dziecko będą znać prawdę — warknął Graczow — albo „Wiepr” nigdzie nie popłynie!

Kołów szarpnął kapitana, odciągając go. Rafael z trudem łapał oddech. Nowskoj patrzył z gniewem, a Suikhula z przerażeniem.

— Proszę przyjąć moje przeprosiny, panie Rafaelu...! — rzucił ukraiński admirał, czerwony z wściekłości, ściskając młodego podwładnego z tyłu za ramiona, — Jeśli państwo pozwolą, chciałbym zostać na moment sam na sam z kapitanem Graczowem. — Mówił głosem twardym jak stal.

Rafael, oddychając ciężko, z wybałuszonymi na wierzch oczami, pokiwał głową i wyszedł wraz z dwojgiem swoich towarzyszy. Trzasnęli drzwiami.

— Co ty, do jasnej cholery, sobie wyobrażasz?! — ryknął Kołow. — Nie zdajesz sobie sprawy, że ci ludzie są w bezpośrednich kontaktach z prezydentem?! Co zrobisz, jeśli Dołowiec zadzwoni i każe mi cię aresztować? Nic nie rozumiesz?! Paweł, powierzono ci misję stulecia. Jeśli dobrze się spiszesz, wrócisz. Twój okręt będzie osłaniał naszą operację na południowym Atlantyku. Nie damy rady jej przeprowadzić bez ciebie. Jeśli wypłyniesz w rejs „Wieprium” i wykonasz zadanie, wrócisz do swojej Martinique i posypią się na ciebie medale i awanse. A jeżeli pójdziesz do więzienia, nie będziesz miał nic, tylko wstyd. Czy ja cię niczego nie nauczyłem przez ostatnich dwadzieścia lat?!

Paweł patrzył w podłogę.

— Bardzo przepraszam, panie admirale — wybąkał. — To rzeczywiście trudne do przyjęcia wieści...

— Nie przepraszaj mnie, idioto, tylko konsultantów! I, cholera jasna, masz zrobić wszystko, żeby Nowskoj czuł się na pokładzie „Wiepria” osobą mile widzianą!

— Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać, panie admirale — odezwał się Graczow. — Dlaczego zabieram konsultanta? Potrafię walczyć tym okrętem lepiej niż ktokolwiek na ziemi...!

— I właśnie z tego powodu jesteś jego dowódcą, Paweł — zapewnił Kołow. — A Nowskoj płynie dlatego, że to on wyda ci ostateczne rozkazy w trakcie rejsu i on będzie odpowiadał za całość operacji.

— Jakiej operacji?

— Na razie to nie twoje zmartwienie. W tej chwili jedyne, o czym powinieneś myśleć, to to, żeby szybko wyprowadzić „Wiepria” w morze. Taki otrzymałeś rozkaz i wydał go bezpośrednio sam prezydent Dołowiec. Rozkaz czeka na ciebie na piśmie w twoim komputerze. Jeśli kariera zawodowa coś dla ciebie znaczy, zrobisz to, co ci teraz powiem: kiedy konsultanci wejdą tu i powrotem, będziesz się im podlizywał tak jak jeszcze nigdy nikomu!

Graczow wyprostował wymięty krawat munduru.

— Jestem w tym najlepszy, panie admirale — zameldował. Kołow powstrzymał wybuch śmiechu i otworzył drzwi.

Kapitan Paweł Graczow zsunął do tyłu oficerską czapkę. Jasne włosy opadły mu na czoło; wtedy opuścił czapkę z powrotem tak nisko, że daszek niemal zasłaniał oczy. Zerknął na zegarek i ziewnął. Było wpół do piątej rano.

— Dzień dobry, panie kapitanie — odezwał się na swój flegmatyczny sposób pierwszy oficer K-898, kapitan Michajło Swiatosłow. Był w tym samym wieku, co Graczow, ale zewnętrznie różnił się od niego wprost diametralnie. Miał ciemną cerę i włosy, był wysoki — choć nie aż tak, jak jego dowódca — i obdarzony potężnym brzuchem. Może wyglądem nie budził takich skojarzeń, jednak pochodził w prostej linii od księcia, który w 967 roku wygrał wojnę na Bałkanach. Sam był jednym z inicjatorów powstania organizującej się wciąż marynarki wojennej Ukrainy, w Akademii Marynarki w Sewastopolu wisiał jego wielki portret. Michajło dopiero co się ożenił z drobniutką blondynką, przyjaciółką Martinique.

Na pokładzie „Wiepria” Swiatosłow zachowywał się zupełnie inaczej niż na lądzie, gdzie miał zwyczaj dużo pić i hulać. Na morzu był najdoskonalszym profesjonalistą, z jakim Graczow kiedykolwiek miał okazję służyć. Nieubłagane ćwiczył niższych stopniem oficerów, czasem cierpliwie wyłuszczał zagadnienie, a czasem surowo wydając rozkazy. O Siewieromorsku 885 wiedział więcej nawet niż jego projektanci, gdyż od dnia, kiedy na bocznicy kolejowej stoczni wjechały wagony z pierwszymi arkuszami stalowej blachy, do pierwszej dziewiczej podróży „Wiepria” i próbnego zanurzenia na maksymalną głębokość Swiatosłow przebywał w Stoczni 402, w Państwowym Ośrodku Budowy Atomowych Okrętów Podwodnych Siewmasz, w Siewierodwińsku, na północy Rosji. Początkowo okręt był budowany dla rosyjskiej Floty Północnej i miał otrzymać nazwę „Admirał Czabanenko”. Jeszcze sześć lat temu Swiatosłow był porucznikiem marynarki rosyjskiej. Od tego czasu jednak wiele się zmieniło. „Admirała Czabanenkę”, w rok po rozpoczęciu budowy, odsprzedano Ukrainie. Nazwę okrętu natychmiast zmieniono na „Wiepr”. Wymyślił ją Swiatosłow, który uznał, że „Dzik” to odpowiednie imię dla okrętu, który rosyjscy stoczniowcy zaczęli nazywać pogardliwie „eksportową świnia”, gdy tylko rozeszła się plotka, że ma zostać sprzedany.

Michajło był nie tylko skarbnicą wiedzy o okręcie, ale i niewyczerpanym źródłem energii. Podczas rejsów pracował nocami, przygotowując ćwiczenia i taktykę na następny dzień. Wyczuwał bijące serce K-898 jak nikt inny, nawet sam Graczow. I z tym wiązał się jedyny problem. Był tak niezbędny jako pierwszy oficer „Wiepria”, że z pewnością nieprędko doczeka się dowództwa własnego okrętu.

— Dzień dobry, panie Pierwszy — odpowiedział Graczow. — Czy Służba Bezpieczeństwa Floty wyrwała pana z głębokiego snu, czy też wyciągnęła z jednego z nadbrzeżnych barów? — Paweł często pozwalał sobie na podobne docinki w stosunku do swego pulchnego pierwszego oficera; ten odcina się zwykle w podobnym tonie. Nie było to typowe dla relacji dowódca — zastępca dowódcy, ale najwyraźniej odpowiadało im obu.

— Oczywiście, że z baru, panie kapitanie — odparł Swiatosłow. — Piłem właśnie z gośćmi z brytyjskiej marynarki. Jeszcze trochę i znaleźliby się pod stołem.

Graczow, wspomniawszy to, co mówił i pokazywał mu Rafael, pomyślał, że wyciągnięcie informacji o dacie wypłynięcia okrętu od takiego Swiatosłowa musi być nader łatwe. To wprawdzie niezrównany oficer marynarki, jednak niewątpliwie stwarzał sobą ryzyko przecieku tajnych informacji. Chociaż, jak wykazał Rafael, ja także je stwarzam — zreflektował się Paweł

— Czy powiedzieli panu, po co pana tu sprowadzają? — spytał.

— Nie, panie kapitanie. Mam nadzieję, że nie zameldowali na mnie. Zachowałem się trochę zbyt gwałtownie.

— Uderzył pan żandarma? spytał kapitan.

— Nie. Może ze dwóch popchnąłem trochę.

Graczow stłumił uśmiech. Pierwszy oficer jego okrętu nie był potulną sierotką, ale komu zależałoby na potulnym oficerze marynarki?

Mężczyźni zamilkli. Stali, trzymając się aluminiowej barierej, w zimnej przystani okrętów podwodnych, wyłobionej w nadmorskiej górze kilka kilometrów na północ od Sewastopola, na Krymie. Od lustra wody do sufitu ze zbrojonego betonu było około pięćdziesięciu metrów. Wykonana ludzką ręką grota nie wydawała się jednak wysoka, gdyż roilo się w niej od pomostów i barierek, przewodów elektrycznych, suwnic, żurawików, olbrzymich spawarek i niezliczonej ilości grubych przewodów hydraulicznych. Przewodami płynęła woda chłodząca, świeża woda do turbin, woda pitna, woda destylowana, oleje smarujące, aminy, ciekły azot, ciekły tlen, ciekły hel do chłodzenia nadprzewodnikowych zwojów superwydajnych silników elektrycznych. Przystań i jej urządzenie było cudem inżynierii; powstawała przez pięć lat ciężkiej pracy starannie sprawdzonych i wyposażonych w specjalne przepustki ludzi.

Pomost, na którym w tej chwili stali Swiatosłow i Graczow, był zawieszony nad jedną wnęką podziemnej groty, gdzie nic nie zasłaniało widoku. Znajdował się na wy-

sokości czterdziestu metrów. Jaskrawe lampy sodowe i halogenowe powodowały tak duży kontrast pomiędzy miejscami oświetlonymi i znajdującymi się w cieniu, że niewiele było widać z tego, co działo się na samym dole. W oddali po lewej rozległ się głuchoy stuk dwuskrzydłowych, rozsuwanych, stalowych wrót, które zaczęły powolutku się otwierać. Pośrodku ziała ciemność.

— Proszę o podanie statusu załogi — odezwał się Graczow, nie patrząc na Swiatosłowa.

— Kiedy przyprowadzili mnie tu sympatyczni żandarmi z Bezpieczeństwa, powiedzieli, że pozwolą załodze spać jeszcze przez parę godzin, a potem sprowadzą ich także. Prawdopodobnie kiedy tylko okręt zanurzy się do linii wodnej, będą siedzieć w pomieszczeniu odpraw i czekać, aż powie im pan, co się dzieje.

— Rzadko się zdarza, żeby wyciągać z domu całą załogę okrętu podwodnego o piątej rano w niedzielę — zauważył Graczow.

— Raczej nigdy, panie kapitanie. Czy wypływamy wcześniej na południowy Atlantyk? — Michajło wyciągnął srebrną cygarniczkę i wyjął z niej cygaro oraz srebrną zapalniczkę. Zapalił drżącymi rękami. Paweł chciał zwrócić mu uwagę, że obowiązuje zakaz palenia, ale wiedział, że Swiatosłow zwyczajnie to zignoruje.

Postanowił natomiast nie odpowiadać na razie na pytanie pierwszego oficera. Przeprowadzi odprawę załogi dopiero po zanurzeniu okrętu. Kołow i tak będzie miał niełatwe zadanie z utrzymaniem w tajemnicy rejsu „Wiepria” i nie powinno się ryzykować, że któryś z pracowników bazy usłyszy, dokąd wypływają.

— Odpowiem panu później — stwierdził krótko.

Wrota pobliskiej odnogi otwierały się dalej; zajęło im to jeszcze dziesięć minut. Paweł przyglądał się, wymieniając czasem krótkie uwagi z pierwszym oficerem. W końcu w otworze ukazał się potężny dziób „Wiepria”, a Później cały okręt.

Dowódca popatrzył na niego wzrokiem zakochanego mężczyzny. Projekt 885 miał sto jedenaście metrów długości i dwanaście maksymalnej szerokości, wyporność osiem tysięcy dwieście ton. Jego dziób przypominał kształtem idealną eliptyczną karabinową kulę, a w dalszej części przybierał formę cylindryczną. Zwężający się ku górze kiosk nie miał ani jednej płaszczyzny czy ostrej krawędzi. Z tyłu obniżał się łagodnie; dalej wydłużał w stronę rufy. Większa część kadłuba była regularnym cylindrem. Sekcja rufowa zwężała się ostrym stożkiem aż do śruby. Widać było wznoszący się tam ster. Górna płyta steru była większa od dolnej. Na szczycie steru znajdowała się gondola optoelektronicznego systemu Antaj, służącego do obserwacji powierzchni z głębin wodnej. Na boki wystawały z burt stery głębokości. „Wiepr” miał matowy, czarny kolor — barwę dźwiękochłonnych płytek, utrudniających wykrycie przez sonar przeciwnika. Kiedy stery okrętu minęły wrota, zaczęły się one zamykać. K-898 zatrzymał się przed swoim



kapitanem. Jednostka spoczywała na olbrzymich, stalowych siodłach, przymocowanych do platformy gigantycznego wózka. Ten wkrótce zniży się do poziomu wody i okręt będzie mógł wypłynąć tunelem z przystani.

Kadłub „Wiepria” był wykonany z niskomagnetycznej stali; jego ścianki miały pięć centymetrów grubości. Napędzał go reaktor wodny ciśnieniowy KPM-II, wytwarzający moc cieplną ponad czterysta megawatów. Pochodząca z turbin parowych moc wynosiła przy śrubie sześćdziesiąt pięć tysięcy koni mechanicznych. Śruba była jedna, nowoczesnego kształtu — przypominała turbinę wodną; szereg łopatek zamknięty był w hydrodynamicznej osłonie. Projekt 885 miał cztery wyrzutnie torped kalibru 650 mm i dwie — 533 mm. Można było z nich odpalać kierujące się na kilwater torpedy przeciw celom nawodnym Berkut, akustyczne torpedy przeciwpodwodne Bora oraz ruchome miny Barrakuda z głowicami plazmowymi, K-898 mieścił trzydzieści torped większego kalibru i osiem mniejszego. W przednim zbiorniku balastowym znajdowało się osiem wyrzutni odpalania pionowego do rakiet samosterujących. Używano plazmowych SS-NX-28 oraz konwencjonalnych SS-N-26. W wyrzutni można było także umieścić bezzałogowy samolot zwiadowczy Azow.

„Wiepr” był ultranowoczesną, groźną bronią. Potrafił wpływać do obcych portów i podsłuchiwać telefony komórkowe i przekazy radiowe. Był podwodnym odpowiednikiem krążownika, najnowocześniejszą machiną wojenną, jaką kiedykolwiek zbudowano.

Okręt zaczął opuszczać się ku wodzie. Ruszyły cztery gigantyczne mechanizmy śrubowe w rogach platformy, napędzane silnikami o mocy dwudziestu tysięcy koni mechanicznych każdy. Stalowa płyta pod siodłami znikła już w czarnej toni. Po minucie spód kadłuba K-898 dotknął wody.

Nadszedł Michajło. Graczow był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył jego nieobecności. Swiatosłow podał dowódcy kubek kawy.

— Dziękuję — odezwał się Paweł. — Czy wie pan, co z załogą?

— Tak jest. Właśnie ich przywieziono. Są w świetlicy. Graczow popatrzył na Swiatosłowa, który tarł zmęczone oczy.

— Może powinien pan coś połknąć na ten ból głowy — zaproponował. Jemu samemu kac już prawie minął.

— Już połknąłem, panie kapitanie. Przypuszczam, że nie wie pan, na jak długo wpływamy?

— A o co chodzi, Michajło? — zainteresował się Paweł.

— Nic takiego, panie kapitanie — odparł Swiatosłow. — Myślałem tylko, że może czas, żebym osiadł gdzieś na stałe, zachowywał się poważnie, szanował nasze małżeństwo z Iriną. Ona chce, bym więcej bywał w domu, przestał pić z chłopakami, może nawet, żebyśmy mieli dziecko. A najbardziej niepokoi mnie to, że chyba ja sam jestem gotowy to zrobić.

Graczow aż się obejrzał ze zdumienia.

— Pan? Kto jak kto, ale pan?

Swiatosłow zaczerwienił się i spuścił wzrok.

— Patrzę na pana i Martinique. Wyglądacie na takich szczęśliwych. To tak, jakby ona sprawiła, że... pan kapitan osiągnął pełnię człowieczeństwa.

Paweł klepnął swojego zastępcę po ramieniu i rzucił:

— Dam panu parę dobrych rad, kiedy tylko wypłyniemy na morze. Chodźmy. Okręt zanurzył się już niemal do linii wodnej. Czas się zaokrętować.



Graczow i Swiatosłow obeszli „Wiepria” pomostami i znaleźli się po jego drugiej stronie. Od stalowej konstrukcji odchodził do wierzchu kadłuba poziomy trap. Jego początek zamocowany był do mechanizmu, który opuszczał go równoległe z powolnym obniżaniem się okrętu, utrzymując go w pozycji poziomej. Po chwili Paweł ruszył po pokrywających kadłub płytkach do przedniego wjazdu o średnicy jednego metra. Chłodna, lekko zaolejona stalowa powierzchnia błyszczała. Graczow zszedł do słabo oświetlonej dziobowej śluzy powietrznej. Poniżej dolnego wjazdu znajdowała się drabinka o wypolerowanych poręczach z nierdzewnej stali, prowadząca do tunelu przechodniego wyłożonego jasnoszarym laminatem. Wnętrze przypominało trochę korytarz wagonu kolejowego. Troje drzwi wokół trapu prowadziło do pomieszczeń dowódców sekcji; tunel wiódł natomiast do tyłu, ku stromym schodkom trapu prowadzącego do przedziału sterowania.

— Panie Pierwszy, idę na inspekcję okrętu — oznajmił Graczow. — Skoro już znalazł się pan na pokładzie, muszę pana o czymś poinformować. Mam te wiadomości dla Tenuki i Sacharowa. Chodziło o nawigatora i pierwszego mechanika. — Oddadzą swoją kabinę i będą spali w dwóch pustych kojach w kabine bosmańskiej. Ich kabina przypadnie natomiast pasażerowi, którego zabieramy w rejs.

— Kto to?

— Konsultant. Przedstawiciel firmy, która zbudowała nasz podwodny tunel i najnowsze systemy „Wiepria”.

— Oczywiście, panie kapitanie. Zajmę się nim, jeśli niedługo się zjawi. Jeżeli wcześniej będzie już na pokładzie, Tenuka może oprowadzić gościa.

— Przeprowadzę inspekcję. W tym czasie proszę uprzątnąć kabinę dla pasażera — polecił Graczow.

— Jeśli wolno zapytać, panie kapitanie, po co konsultant z nami płynie?

— W sumie można powiedzieć, że dla rozrywki. Później dowie się pan więcej na ten temat.

Paweł popatrzył na trap do przedziału sterowania. Było to jajowate pomieszczenie z tytanu, wsparte na stalowych fundamentach, wpasowane w górny pokład. Można było z niego przejść do przedziału dziobowego i górą, przez inny właz i króciutki trap. Przedział sterowania wchodził częściowo w przestrzeń kiosku. Jego kształt umożliwiał samodzielną odporność na ciśnienie panujące na maksymalnej dopuszczalnej głębokości zanurzenia. W przypadku niebezpieczeństwa można było odciąć wszystkie przewody łączące go z kadłubem — zasilania, sterowania, światłowody, przewody wentylacyjne, wody chłodzącej urządzenia elektroniczne, helu chłodzącego. W fundamentach przedziału sterowania, a także w kiosku były sworznie ścinane wybuchowo oraz ładunki rakietowe, dzięki którym cały przedział mógł oddzielić się od reszty okrętu i stać się kapsułą ratunkową. Graczowowi wcale się to nie podobało, gdyż urządzenia do ratunkowego odłączania przedziału zajmowały miejsce i zmniejszały go. Poza tym taki projekt robił wrażenie, że kapitanowi nie zależy na zadaniu, załodze i okręcie i on może uciec, pozostawiając resztę własnemu losowi. Nieraz kusiło Pawła, żeby odmówić podpisania rozkazów dokonania obsługi technicznej sworzni i ładunków wybuchowych. Decydował jednak zawsze, że podda się woli projektanta okrętu, niezależnie od tego, czy sam wymyśliłby go tak samo, czy też inaczej.

Wszedł po trapie po dwa schodki naraz i znalazł się w przedziale sterowania. Oświetlenie było skąpe, panowała cisza; nie dolatywał nawet odgłos tłoczonego powietrza. Maszyny okrętu nie pracowały. Reaktor zostanie uruchomiony dopiero, kiedy „Wiepr” znajdzie się w głębinie. Rozkazy Kołowa stanowczo podkreślały, że nie wolno dopuścić, aby detektory podczerwieni satelitów zwiadowczych wykryły ciepło reaktora.

W przedziale dowodzenia mieściło się sporo niewielkich pomieszczeń, biegnących wzdłuż burt. W czterech kabinach po prawej znajdowały się stanowiska oficerów obsługujących komputery do prowadzenia walki, wyświetlające obraz w trzech wymiarach. Cztery pomieszczenia po lewej mieściły komputery kierowania ogniem. Na środku znajdowało się stanowisko peryskopu. Po lewej był konwencjonalny, optyczny peryskop, połączony z częścią wysuwaną z kiosku za pośrednictwem światłowodu. Po prawej można było oglądać obraz z boi systemu Antaj bądź z optoelektronicznego peryskopu pracującego poza zakresem światła widzialnego.

Przy przedniej przegrodzie było stanowisko sterowania okrętem, komputerowe stanowisko sterowania zbiornikami balastowymi i zanurzeniem, końcówka komputera nawigacyjnego i komputerowe stanowisko łączności. Z tyłu znajdowało się pomieszczenie analizy i wyświetlania danych z sonarów, sensora Antaj i systemu Szczuka. Przy peryskopie było stanowisko komputerowe z wygodnym, skórzanym fotelem dla oficera pokładowego czy kapitana pełniącego wachtę lub prowadzącego walkę. Tu wyświetlały się najważniejsze dane z innych miejsc przedziału sterowania — dotyczące analizy celu,

stanu okrętu, obrazów z sensorów, kierowania ogniem, nawigacji, łączności. W lewy tylny róg przedziału wciśnięto kajutę Graczowa — klitkę niewiele większą od wąskiej koi wewnątrz. Służyła ona kapitanowi, gdy podczas odpoczynku nie chciał opuszczać przedziału sterowania i udawać się do swojej oficjalnej kabiny.

Usatysfakcjonowany krótką inspekcją Paweł wrócił do przedziału dziobowego i zszedł po stromym trapie na środkowy pokład, na którym w oddzielnym, szczelnym podprzedziale znajdowały się główne komputery okrętu. Można tu było wchodzić tylko przez dziobową śluzę powietrzną i tylko w kombinezonie chroniącym delikatne urządzenia przed wpływem człowieka. Prawo znalezienia się, pojedynczo, w pomieszczeniu komputerów mieli tylko oficerowie i podoficerowie specjalizujący się w ich obsłudze. Obok mieścił się inny zamknięty podprzedział, gdzie znajdowały się akumulatory. Wielkie i ciężkie baterie dawały dziesięciokrotnie większą moc niż tej samej wielkości akumulatory kwasowo-ołowiowe pierwszej generacji, które początkowo zainstalowano na okręcie. Wymieniono je wraz z komputerami podczas pobytu „Wiepria” w suchym doku. Za pomieszczeniami komputerów oraz akumulatorów znajdował się magazyn torped. Leżało tam w sumie trzydzieści sześć torped, większego i mniejszego kalibru. Ledwie znalazło się między nimi miejsce na pomost, idący do trapu na dolny pokład. Tam mieściły się kabiny załogi — kapitana i pierwszego oficera, dalej ku dziobowi — dowódców sekcji, później młodszych oficerów, bosmańska i kajuty podoficerskie. Pomędzy dwiema ostatnimi znajdowała się ciasna łazienka, gdzie był rząd pryszniców, toalety i zlewy. Przed kajutami załogi, w poprzek, umieszczona była mesa i kambuz. Mesa służyła także jako kino, świetlica i sala narad oficerów.

Graczow przeszedł teraz do krótkiego przedziału drugiego, gdzie miały się urządzenia elektroniczne sterujące reaktorem oraz maszyny pomocnicze, parowe i inne, a także kilka zbiorników. Kolejny, pojedynczy właz na wysokości środkowego pokładu prowadził do tunelu przechodzącego przez przedział trzeci — reaktora. Do przedziału trzeciego nikt nigdy nie wchodził, ponieważ panował tam wysoki poziom promieniowania. Przedział czwarty mieścił turbiny, awaryjny spalinowy generator prądu. Wyżej, na górnym pokładzie, była najczystsza maszynownia, jaką Paweł w życiu widział. Wiodły przez nią grube przewody pary napędzającej turbogeneratory elektryczne do napędu urządzeń statku, a także turbogeneratory napędowe — masywne, wysokie na trzy pokłady urządzenia. Ich wielkie turbiny wykorzystywały niemal każdy kilowat energii podawanej pod wysokim ciśnieniem pary, napędzając dwa nadprzewodnikowe, chłodzone ciekłym helem generatory prądu stałego. Ten płynął grubymi przewodami do pojedynczego głównego silnika napędowego, ulokowanego już za ciśnieniową, cylindryczną częścią kadłuba, tuż przed sterami. Wokół silnika znajdowały się rufowe zbiorniki balastowe. Na samym końcu maszynowni był trap, którym Graczow zszedł na środkowy pokład. Tam usytuowano wymienniki ciepła z wodą morską, stanowisko sterowania re-

aktorem oraz centrum sterowania silnikiem. W końcu trap prowadził dalej na dolny pokład, gdzie były skraplacze i pompy, a także systemy hydrauliczne i kontroli atmosfery — generator tlenu, pochłaniacz dwutlenku węgla, spalacz węglowodorów. Nieco z przodu zainstalowano wytwornicę ciekłego helu. Kapitan sprawdził szybko stan obwodów z helem i wrócił na górę, do tunelu przechodniego. Minął przedział reaktora i znowu znalazł się w przedziale sterowania.

Na stanowisku dowodzenia okrętem stał Swiatosłow. Wywoływał właśnie na płaskim, środkowym ekranie obraz z kamery umieszczonej na pomoście przystani, który jakiś czas temu opuścili. Widać było, że okręt osiągnął już zanurzenie do linii wodnej. Teraz mogli wypłynąć, kiedy tylko Graczow zamelduje, że „Wiepr” jest gotów do pełnego zanurzenia.



Aleksiej Nowskoj stanął na pokrytym płytkami o gąbczastej strukturze kadłubie okrętu. Zerknął na dziwaczną powierzchnię, schodzącą niebezpiecznie łukiem ku czarnej wodzie, połyskującej daleko w dole. Z wnętrza jednostki dobiegał charakterystyczny, ostry zapach. Wywoływał w byłym admirale wspomnienia z przeszłości. Aleksiej postawił stopy na pierwszym szczebelku trapu służy powietrznej, rozstawił nogi i zjechał bezpiecznie po gładkich poręczach drabinki na dół. Zbyt długo mnie tu nie było — pomyślał, przypominając sobie uczucia towarzyszące pobytowi na morzu. To będzie udana misja.

Ruszył do kabiny, w której miał mieszkać podczas rejsu. Jej ściany wyłożono jasnoszarymi płytkami, podobnie jak korytarz. Listwy wokół drzwi i szafek wykonane były z nierdzewnej stali. Kabina miała zaledwie trzy na trzy metry; za to wysoka była również na niemal trzy. Drzwi wychodziły na korytarz idący środkiem dolnego pokładu. Koło drzwi znajdowała się mała umywalka, lustro i haki do wieszania mundurów oraz worki na pranie. Na przedniej przegrodzie były dwa składane biurka i stalowe krzesła. Nie wyglądały na wygodne. W tylnej ścianie znajdowały się natomiast szafki i półki. Naprzeciw drzwi umieszczono dwie koje, przypominające łóżka w wagonach sypialnych. Każda była osłonięta grubą zasłoną, za którą mieścił się jeszcze schowek oraz lampa do czytania. Przy kojach był ekranik z wyświetlanym kursem, prędkością i zanurzeniem statku. Obecnie wskazywał kurs dwieście dwadzieścia stopni, prędkość i zanurzenie — zero.

Rozległo się nagłe pukanie do drzwi. Nowskoj otworzył. Przyszedł porucznik Tenuka.

— Dzień dobry panu — powitał gościa. — Kapitan pozdrawia i zaprasza do przedziału sterowania, jeśli pan chce obejrzeć procedurę zanurzania okrętu. Zaprowadzę, jeśli pan sobie życzy.

Nowskiej uśmiechnął się do uprzejmego chłopaka.

— Dziękuję, najpierw się rozpakuję, poruczniku. Proszę podziękować ode mnie kapitanowi i powiedzieć, że jeśli zaproszenie pozostaje aktualne, sam znajdę drogę i przyjdę.

Tenuka podał Aleksiejowi dysk komputerowy.

— Jest tu plik dla gości — powiedział. — Zawiera plany okrętu. Będzie pan musiał nosić na sobie to. — Wyciągnął niewielki, czarny przedmiot. — Dozymetr do mierzenia napromieniowania; przypina się do paska — wytłumaczył. — I proszę postępować zgodnie z napisami i sygnałami ostrzegawczymi. Gościom nie wolno wchodzić do pomieszczenia 107, przedziału trzeciego. To przedział reaktora. Niedostępne jest także pomieszczenie o zamkniętym obiegu powietrza z głównymi komputerami oraz pomieszczenie akumulatorów. Kapitan woli, żeby do przedziału torpedowego wchodził pan tylko z osobą towarzyszącą. Poza tym „Wiepr” należy do pana. Mamy nadzieję, że będzie pan zadowolony z rejsu. — Po tych słowach młody oficer poszedł.

— Czuję się, jakbym wypływał na wycieczkowy rejs po Morzu Czarnym...! — mruknął sam do siebie Nowskiej. — Zobaczmy, co jest w tych schowkach.



Graczow wcisnął słuchawkę pod ramię. Rozmawiał przez wewnętrzną sieć łączności przystani. W tej chwili okręt był z nią połączony wiązką przewodów. Wychodziła z burty w pobliżu jednego ze stalowych siodeł platformy, na której spoczywał „Wiepr”. Kiedy K-898 znajdzie się na zewnątrz tunelu wejściowego przystani, przewody zostaną rozłączone i okręt opuści platformę. Do tego czasu trwać będzie przewodowa transmisja danych, głosu i obrazu z mostka do przystani i w drugą stronę.

— „Wiepr” gotów do wypłynięcia w morze — zameldował kapitan. — Zbiorniki balastowe otwarte, wszystkie włązy zamknięte, rozłączanie od zasilania z zewnątrz zakończone, wszystkie systemy zasilane z akumulatorów.

Rozmówca potwierdził odebranie meldunku i rozłączył się. Paweł powiesił słuchawkę na konsoli ponad głowę i wstał, trzymając się poręczy peryskopu.

Na ekranie widać było, że okręt znika w czarnej, oleistej wodzie przystani. Na oczach Graczowa kadłub schował się pod powierzchnię. Widać było jeszcze bąble resztek powietrza uciekającego ze zbiorników balastowych. W końcu zanurzył się i kiosk. Zabrzęczał interkom. Kapitan podniósł słuchawkę.

— Wszystkie systemy pracują normalnie — oznajmił. Nie zalewała ich woda. Można było kontynuować wyprowadzanie „Wiepria” przez tunel.

Okręt zanurzał się coraz głębiej. Gdy wierzchołek kiosku zniknął pod wodą, pozostał tylko krąg małych, spienionych fal. Swiatosłow przełączył ekran na widok z kamery

umieszczonej na kiosku. Działała i na maksymalnej dopuszczalnej głębokości, jednak używano jej właściwie wyłącznie przy minimalnym zanurzeniu. Widać było przemieszczające się ściany tunelu, gdyż był on oświetlony podwodnymi reflektorami.

Graczow czekał. Jego uszu dobiegały basowe odgłosy platformy, opuszczającej okręt coraz głębiej. Maksymalna głębokość tunelu wynosiła bowiem dwieście metrów. Po jakimś kwadransie okręt dotarł wreszcie do najniższego poziomu tunelu. Kiedy to się stało, pokład zadrżał leciutko, a później został znów pociągnięty — platforma wywoziła okręt tunelem z zatoki pół kilometra w morze. Prędkość w poziomej części tunelu była znacznie większa niż w pionowej i „Wiepr” osiągnie jego koniec po niecałych dziesięciu minutach. Na końcu torów platforma zatrzyma się, o czym zasygnalizuje szarpnięcie. Graczow czekał na ten moment, podczas gdy Swiatosłow rozkazał uruchomić systemy bojowe okrętu. Następnie zadzwonił do sterowni reaktora i polecił przygotować się do uruchomienia go. Dziesięć minut zdawało się ciągnąć w godzinę. Paweł co chwila spoglądał na zegarek. Wiedział, że rozruch reaktora wymagający ogromnej mocy wy-czerpie szybko akumulatory.

W końcu platforma zatrzymała się.

— Panie kapitanie, nadeszła kablem pilna wiadomość do rąk własnych dowódcy — powiadomił Swiatosłow, stojący teraz za pulpitem łączności, na prawo od stanowiska dowodzenia. Wciąż byli podłączeni do platformy i, za jej pośrednictwem, do przystani.

— Odbiorę ją u siebie — odparł Graczow, uruchamiając system. Przejrzał tekst i zmartwił. Nadawcą był admirał Kołow; pisał, że każde polecenie konsultanta ma być traktowane tak, jak gdyby wyszło z jego własnych ust.

— Coś złego? — zagadnął Swiatosłow.

— Chyba tak — przyznał kapitan. — Kołow pisze, że konsultant ma wolną ręką. Mamy obowiązek wypełniać jego rozkazy.

— A ten gość wie w ogóle coś o okrętach podwodnych? — zdziwił się Michajło.

Graczow podniósł wzrok, ponieważ usłyszał na trapie stukot ciężkich butów.

— Czy mogę prosić o pozwolenie wejścia na mostek? — spytał ktoś głębokim głosem. Konsultant Nowskoj.

— Proszę wejść na mostek — odparł Paweł, podnosząc wzrok na przybysza.

— Dzień dobry, panie kapitanie — powitał go konsultant. — Dziękuję za zabranie mnie na pokład pańskiego pięknego okrętu — Graczow pomyślał, że to wyćwiczone słowa. — Jednostka wygląda na dobrze utrzymaną i czystą. Gratuluję.

Paweł nie wiedział, jak ma postępować. Nie pozwoli, by ten cywil wyobrażał sobie, że sprawuje władzę na okręcie; z drugiej jednak strony każda oznaka niegościnnosci zostanie źle przyjęta przez Kołowa lub samego prezydenta Ukrainy.

— Dziękuję — odparł więc. — To pierwszy oficer okrętu, kapitan Michajło Swiatosłow. Poznał pan już nawigatora Tenukę, który wkrótce zajmie miejsce na stanowisku sterowania.

— Jaki jest status odłączania się od platformy? — spytał konsultant.

— Jesteśmy dwie minuty drogi do końca tunelu. Odłączymy się od przewodów łączności, wypuścimy część balastu i uniesiemy się ponad platformę. Następnie uruchomimy reaktor z akumulatorów — poinformował grzecznie Graczow.

— Nie — sprzeciwił się Nowskoj. — Najpierw użyjemy systemu Szczuka, żeby zobaczyć, czy nikogo tu nie ma. Nie chcemy, żeby ktoś nas zobaczył i od razu popłynął za nami.

— Skoro tak ma być, to użyjemy Szczuki już po uruchomieniu reaktora — odpowiedział Paweł.

— Nie. Szczuka musi nasłuchiwać w czasie, kiedy nie będziemy wydawać żadnego dźwięku. Zanim reaktor zacznie pracę, Szczuka musi nas zapewnić, że jesteśmy tu sami.

— To obciąży dodatkowo akumulatory okrętu, proszę pana — wyjaśnił Graczow. — Czy ma pan jakieś uzasadnienie swojego wniosku? — Paweł Wymówił te słowa wypracowanym stanowczym tonem i specjalnie nazwał rozkaz Nowskojja „wnioskiem”. Wiedział, że ślepe posłuszeństwo temu człowiekowi będzie oznaczało poważne kłopoty. Ciekawe, że jest w nim coś swojskiego, pomyślał, jego angielszczyzna brzmi tak, jakby większość życia spędził w Moskwie.

Cywil nie wydawał się zaskoczony usłyszaną informacją.

— Zewnętrzny obserwator zapewne nie odróżnia nas od platformy — powiedział. — To może być tylko zwykły test tunelu. Ale zanim pan ją opuści musi pan upewnić się, że nikt nie podsłuchuje. To ma kluczowe znaczenie. Jest możliwe, że na dnie spoczywa z wygaszonym reaktorem okręt brytyjski, amerykański czy francuski i obserwuje wylot tunelu. Jeżeli zaczniemy od uruchomienia pomp i turbin parowych, zrobimy tyle hałasu, że z pewnością nas usłyszą.

— Dziesięć minut pracy Szczuki na częstotliwościach obrazowania pola akustycznego będzie kosztowało mnie pół godziny czasu — zaprotestował surowo Graczow. Przywołał na ekran komputera kolejny program. — Przy nieuniknionym tempie rozładowywania się przez ten czas akumulatorów uruchomienie reaktora stanie się niemożliwe. Czy ma pan może na to jakiś pomysł, panie Nowskoj?

Konsultant skrzywił się.

— Niech pan rozłoży anteny Szczuki na pięć, a nie dziesięć minut — polecił. — A potem odrzuci je.

Graczow poczuł gorąco na twarzy. Zastanawiał się, czy poczerwieniał.

— Mamy tylko cztery zestawy Szczuka — odparł, powstrzymując gniew. — Jeśli pozbędziemy się jednego, pozostaną nam tylko trzy.

— Będzie pan potrzebował tylko trzech podczas całego rejsu — odpowiedział spokojnie konsultant. — Jednego teraz, drugiego w Cieśninie Gibraltarskiej i trzeciego w porcie Norfolk. Pozostanie panu jeszcze jeden w rezerwie — dodał.



A zatem ten Nowskoj rzeczywiście zna przebieg rejsu. I, prawdę mówiąc, to, co powiedział, nie było pozbawione sensu. Jednak Graczow zdawał sobie sprawę, że to jest walka o władzę nad okrętem i nie może pozwolić jakiemuś konsultantowi odebrać sobie „Wiepria”.

— To wyjątkowa sytuacja. Naradzę się z moim dowódcą floty — powiedział w końcu, wstając. — Panie Pierwszy, proszę połączyć mnie z Kołowem, do kabiny kapitańskiej. — Obojętnie minął Nowskoją, jakby go w ogóle nie zauważał. Zszedł do swojej kabiny.

Oficjalna kabina kapitańska pełniła funkcje i kajuty, i gabinetu. Było w niej sporo miejsca. Zajmował je głównie długi, dębowy stół konferencyjny, idący ukośnie przez pomieszczenie; na jego końcu znajdowało się duże również dębowe, biurko. Wokół stołu stało sześć eleganckich, a zarazem ergonomicznych obrotowych, skórzanych foteli szwedzkiej produkcji. Ściany wyłożono boazerią z orzecha. Zdjęto ją ze ścian kabiny kapitańskiej zabytkowego ukraińskiego trójmasztowego szkunera. Na przedniej przegrodzie wisiała kotara, za którą znajdowała się część sypialna. Było tam proste łóżko, lampa do czytania, końcówka komputera pokazująca obraz z dowolnej kamery na okręcie lub najróżniejsze dane na temat położenia, prędkości, zanurzenia i kursu K-898. Graczow włączył komputer stojący na małym biurku i połączył się wideotelefontycznie z gabinetem Kołowa.

Karina nie kazała mu czekać. Admirał uśmiechnął się ciepło na widok młodego dowódcy „Wiepria”.

— Witaj, Pawle — pozdrowił go. — Powinieneś być już prawie gotowy do odłączenia się od platformy i opuszczenia tunelu. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Wysłałem ci wiadomość na temat konsultanta.

— Dlatego właśnie się odzywam — przyznał Graczow. — Ten cywil próbuje wydawać mi bezpośrednio rozkazy do steru! Właśnie kazał mi rozłożyć anteny Szczuki, w czasie gdy pobieramy moc z akumulatorów, a priorytetem jest uruchomienie reaktora. Zanim skończę bawić się z tą cholerną Szczuką, którą zaprojektowały te sukinsyny, wyczerpie mi się energia i pozostaniemy nieruchomi na dnie Morza Czarnego, blokując nasz tunel podwodny za dziesięć miliardów rubli. Proszę o pozwolenie powiedzenia mu, żeby spierdalał.

Kołow roześmiał się.

— Zezwalam ci, Pawle — tylko że jak już to zrobisz, będziesz musiał przeprosić pana Nowskoją i zrobić to, co ci kazał. Słuchaj, to sprzedawca informacji wywiadowczych. Nie wszystkimi z nich możemy dysponować.

— Jak to możliwe? — zżymał się Graczow. — Skoro zawarł z Dołowcem umowę na dostarczanie informacji, to powiem mu, żeby je do jasnej cholery dostarczył.

— Pawle, mamy powód, dla którego przeprowadzamy operację w taki sposób. Po pierwsze, nikt w całej flocie, nawet ja, nie wie, jaki jest szczegółowy plan Nowskojaja. Tak jest bezpieczniej. Musisz ufać Nowskojowi, do pewnej granicy. Rób to, co każe. Jeśli narażesz na szwank bezpieczeństwo okrętu lub wykonanie zadania — ty jesteś kapitanem. To twoje powołanie i obowiązek. Jednak jeżeli tylko da się być posłusznym Nowskojowi i nie zginąć przy tym — to także twój obowiązek. Wiem, że to trudne, kapitanie — zakończył Kołow, patrząc poważnie na młodego przyjaciela — ale gdyby było łatwe, nie potrzebowalibyśmy do jego wykonania tak utalentowanego człowieka jak ty.

Graczow westchnął w duchu.

— Rozumiem, panie admirale. Przepraszam, że zawracałem panu głowę.

— Powodzenia, Pawle. Wracaj do domu cały i zdrow! — pożegnał go Kołow.

Obraz zgasł. Natychmiast pojawił się nowy, przedstawiający Swiatosłowa.

— Panie kapitanie, okręt zatrzymał się na końcu systemu tunelu.

— Już wracam — rzucił Graczow.

Kapitan Paweł Graczow odczekał, aż minie pół godziny od zachodu słońca, żeby wynurzyć się na głębokość peryskopową. Był drugi lipca, poniedziałek — drugi dzień rejsu. Podniósł znajdujący się po prawej maszcie peryskopu optoelektronicznego. Okręt płynął powolutku, przy dwunastu obrotach wału na minutę. Stępka zanurzona była na siedemdziesiąt metrów; pokład nachylony pod kątem trzech stopni w górę. Maszt peryskopu wystawał z kiosku na mniej więcej cztery metry, sięgając ku powierzchni morza. Kiedy „Wiepr” wpływał w powierzchniową warstwę cieplejszej wody, zaczynając się na głębokości około sześćdziesięciu pięciu metrów, układ automatycznego przeszukiwania przeszedł na maksymalnej czułości cały obszar ponad okrętem w pasmach podczerwieni, światła widzialnego i nadfioletu, aby kapitan nie doprowadził przypadkowo do zderzenia z jakimś obiektem.

Za kilka godzin K-898 znajdzie się tak blisko szlaków żeglugowych wychodzących z cieśniny Bosfor, że wynurzenie się na głębokość peryskopową doprowadziłoby do wykrycia kilkudziesięciu statków płynących z Morza Śródziemnego na Czarne lub w przeciwną stronę. W większości były to jednostki handlowe. W tej chwili jednak peryskop nie pokazał samoczynnie niczego. Wszystkie statki znajdowały się wciąż za linią horyzontu.

Zadowolony, że nad „Wiepriem” jest pusto, Graczow rozkazał wynurzyć okręt jeszcze bardziej. Kąt nachylenia w górę wzrósł do piętnastu stopni; maszt przebił powierzchnię wody i na ekranie pojawiły się fale płynące w kierunku horyzontu. Wzmacniacz słabego światła uwidoczniał powierzchnię, zalaną blaskiem księżyca. Było jasno jak w południe. Obraz pokazywany był w okularze przypominającym do złudzenia klasyczny, tak że z peryskopu optoelektronicznego korzystało się prawie identycznie jak ze zwykłego. Ekran z konieczności pokazywał tylko część zbieranych przez urządzenie danych, jednak „drugi kapitan” — czyli zarządzający całym okrętem system komputerowy — miał jednoczesny dostęp do wszystkich informacji. Gdyby peryskop wykrył jakiś statek, który dyżurny oficer przeoczył, „drugi kapitan” uruchomi alarm.

— Sacharow — proszę przejąć peryskop oraz podłączyć do kabiny kapitańskiej sygnały z satelitów telewizyjnych polecił Graczow. — Niech jednak nie będzie ich widać w mesie załogi.

Sacharow pomyślał, że rozkaz jest trochę dziwny, ale nie dał tego po sobie poznać.

— Tak jest, panie kapitanie — rzucił.

— Niska moc na horyzont, moduł optyczny nakierowany na dziób — poinformował Paweł.

— Przejmuję peryskop, panie kapitanie — zameldował oficer. Graczow zerknął na Swiatosłowa i pokazał na trap wiodący w dół, do przedziału dziobowego, Michajło mrugnął porozumiewawczo i skinął niemal niepostrzeżenie głową, po czym poszedł za kapitanem. Nie zamienili ani słowa, póki nie weszli do kabiny. Paweł zarygłował drzwi.

— Proszę włączyć BBC — polecił Graczow.

Pierwszy oficer odnalazł blok kanałów informacyjnych, ominął SNN i przełączył się na BBC One. Pokazywano właśnie Sewastopol. Z budynku admiralicji wychodzili ludzie; większość z nich płakała lub zasłaniała twarze. Kilka ważnych osób umknęło przed kamerami i dziennikarskimi mikrofonami. Niesamowicie było oglądać budynek, w którym pracuje się dwa razy w tygodniu, w znanym kanale telewizyjnym o ogólnoświatowym zasięgu. Kanale, który pokazuje tylko najbardziej sensacyjne wiadomości.

Komentator mówił:...zatoniecie ukraińskiego atomowego okrętu podwodnego „Wiepr” jest największą katastrofą morską, jaka zdarzyła się we współczesnych flotach wojennych świata — jak przyznali oficjalni przedstawiciele ukraińskiej admiralicji. Admirał Jurij Kołow poproszony o skomentowanie tragedii obiecał wydać w ciągu dzisiejszego dnia specjalne oświadczenie. Pokażemy teraz państwu na żywo obraz z sali konferencji prasowych budynku admiralicji ukraińskiej floty...

— Coś takiego; jesteśmy martwi...! — zauważył Swiatosłow, kręcąc głową i uśmiechając się nerwowo.

Pokazano salę konferencji prasowych, z jej kremowymi zasłonami i emblematem ukraińskiej marynarki wojennej — tarczą ze startującą rakieta, skaczącym delfinem i szablami. Na mównicę wstąpił Jurij Kołow. Miał podkrążone, nabiegłe krwią oczy, taką minę, jakby doznał poważnego szoku.

Patrzyli, jak rozkłada drżącymi rękami notatki, gdy rozległo się pukanie do drzwi kapitańskiej kabiny.

Swiatosłow uchylił je odrobinę. Stał za nimi Nowskoj.

— Czy mogę wejść? — spytał. — Słyszałem, że zaczął się przekaz z Sewastopola.

Graczow popatrzył na niego z gniewem. Na odprawie załogi Nowskoj nie odezwał się ani słowem. Kapitan musiał sam zdecydować, co powiedzieć swoim ludziom i czy ma zaznajomić ich z planem zatopienia makiety „Wiepria” w celu zmylenia obcych wywiadów. Uznał, że załoga powinna wiedzieć tak mało, jak to tylko możliwe. Nie dlate-

go, że oficerowie zdradziliby komuś usłyszane informacje, ale dlatego, że poznawszy je, pracowaliby gorzej. W rezultacie, patrząc z powagą na swoich ludzi, oznajmił tylko, że wystąpiła nagła sytuacja i rozkazy nadejdą później, kiedy okręt znajdzie się na wyznaczonej pozycji.

— Kiedy dowiemy się o co chodzi w naszej misji? — spytał teraz Paweł

— Polecono mi przekazać wam współrzędne punktów nawigacyjnych po przepłynięciu Gibraltaru i wpłynięciu na otwarty obszar Atlantyku — odpowiedział konsultant. — Nawet wówczas nie będą one wyznaczać bezpośredniej drogi do celu. Postępuję zgodnie z pańską filozofią, kapitanie, im więcej się wie, tym więcej ma się powodów do niepokoju. Kiedy przyjdzie na to czas — powiem wszystko. Aż do tej pory proszę spokojnie płynąć przed siebie.

Graczow skrzywił się. Denerwowało go, że nie zna szczegółów operacji, którą sam ma dowodzić. Zdołał jednak zachować spokój. Popatrzył znowu w monitor.

— Dzisiejszego popołudnia w głębinie Morza Czarnego... — rozpoczął Kołow grobowym głosem. Mówił tak cicho, że Michajło musiał wzmocnić fonię — ...zatonął okręt podwodny ukraińskiej floty wojennej „Wiepr”. Tuż przed zmiążdżeniem kadłuba jednostki przez wodę oddzieliła się od niej boja, zwana „czarną skrzynką”. Zawiera ona dane i nagrania z wnętrza okrętu w ostatniej godzinie rejsu. Wieczorem okręt ratunkowy „Tucza” wyłowił boję. Odtworzono jej zawartość. Nie została jeszcze w pełni zanalizowana, jednak w ciągu ostatnich kilku godzin określiliśmy wstępnie...

— Szybciej, wujku Juriju, przechodź do rzeczy — mruknął Swiatosław.

— Zamknij się! — warknął kapitan, zdenerwowany.

— ...nastąpiło rozerwanie monelowego rurociągu z wodą morską, idącego do prawego skraplacza okrętu. Rurociąg ów jest poddany od wewnątrz ciśnieniu panującemu na danej głębokości i ma średnicę sześćdziesięciu centymetrów. Pęknięcie go powoduje zalanie okrętu i katastrofę w ciągu kilkudziesięciu sekund. Nasze okręty są wyposażone w zawór odcinający na kadłubie, który zamyka rurociąg w przypadku wystąpienia pęknięcia. Prawdopodobnie zawór się zamknął, ale później otworzył z powrotem. Woda zalała obwody elektryczne sterujące hydraulicznymi zaworami, powodując zwarcie i wadliwe działanie urządzenia. Jednocześnie zalegająca w rufowej części „Wiepria” woda spowodowała opuszczenie się rury. Gwałtowne zalanie jej wodą z rurociągu skraplacza i brak kilku kluczowych systemów elektrycznych spowodowały przerwanie pracy reaktora, a w związku z tym — nieodwracalne pozbawienie okrętu napędu. Gdy następnie, po otwarciu się zaworu odcinającego, woda zaczęła zalewać „Wiepria” dalej, załoga odpała ładunki wybuchowe umieszczone w zbiornikach balastowych, służące do awaryjnego, natychmiastowego ich opróżnienia. Miało to na celu...

— Boże, wujek Jurij nudzi, nawet opisując naszą przedwczesną śmierć! — jęknął Michajło.

— Milczeć, Pierwszy! To poważne! — skarcił go szybko Graczow.

— ...jak największej masy, aby okręt wypłynął na powierzchnię pomimo zwiększonej wagi z powodu zalania w przedziale czwartym — ciągnął Kofow. — Sądzymy, że w przebiegu katastrofy nastąpiła jeszcze i trzecia awaria oprócz pęknięcia rurociągu oraz ponownego otwarcia się zaworu odcinającego. Detonacje ładunków w rufowych zbiornikach balastowych, zamiast wypchnąć z nich wodę dzięki wysokiemu ciśnieniu powstałych gazów, spowodowały uszkodzenia struktury zbiorników i gaz wydostał się bezużytecznie przez powstałe wyrwy. Zalewany dalej i ciężący coraz mocniej na rufę „Wiepr” utracił ostatecznie rozpęd i zaczął opadać tyłem ku maksymalnej dopuszczalnej głębokości. W końcu minął poziom, na którym następuje zgniecenie kadłuba, przekraczając go z dużą prędkością. Przedział czwarty, maszynowni, był już całkowicie zalany i w związku z tym wewnątrz panowało ciśnienie równe zewnętrznemu. Przedziały pierwszy, drugi i trzeci uległy natomiast zmiążdżeniu. Zniszczony kadłub okrętu uderzył następnie w skaliste dno morza i rozpadł się na kilka części...

Przy ostatnich słowach głos admirała załamał się. Widać było, że Kołow usiłuje odzyskać panowanie nad sobą. W końcu otarł oczy, podniósł wzrok znad kartki i dokończył:

— Proszę państwa o wybaczenie. Załogę „Wiepria” stanowili moi osobiści przyjaciele, wybrani przeze mnie i przez długie lata szkoleni. Za chwilę będę kontynuował wyśpienie...

— Proszę, kończ...! — poganiał Swiatosłow. Graczow popatrzył na niego z gniewem. Nowskoj zachowywał całkowity spokój.

— Okręty podwodne klasy Siewierodwińsk, współczesnej, zmodyfikowanej generacji, są wyposażone w oddzielany przedział sterowania, który może służyć jako duża kapsuła ratunkowa. W tym systemie nastąpiła czwarta, ostatnia awaria na pokładzie „Wiepria”. Sworznie ścinane wybuchowo, mocujące kioski okrętu i przedział sterowania, zadziałały prawidłowo i odpowiednie połączenia zostały zgodnie z założeniem zniszczone lub rozłączone. Jednakże nie oddzielił się jeden pęk przewodów elektrycznych łączących przedział sterowania z resztą okrętu. Dwanaście przewodów o średnicy trzech centymetrów spowodowało zatrzymanie przedziału na tak długi czas, że nastąpiła jego implozja, czyli zgniecenie przez wodę. To wydarzenie kończy zapis danych „czarnej skrzynki”.

Kołow pociągnął nosem. Dziennikarze milczeli. Słyszał tylko pstrykanie aparatów fotograficznych.

— Dysponujemy nagraniem przez „czarną skrzynkę” filmem z ostatnich chwil istnienia „Wiepria” — ciągnął admirał. — Zażądałem opieczętowania go, przez wzgląd na rodziny ofiar. Odbyłem spotkanie z przedstawicielką najbliższych rodzin poległych marynarzy, żoną dowódcy okrętu, Martinique Graczow. Zażądała, aby nagranie z przedziału sterowania zostało odtworzone, by rodziny mogły poznać całą prawdę, choćby najgor-

szą. Pani Graczow postawiła dodatkowy warunek, aby film został odtworzony w obecności przedstawicieli mediów. Mam na to zezwolenie pana prezydenta Dołowca. Proszę państwa o wybaczenie, ale na czas emisji opuszczę salę. Już raz widziałem to nagranie. To mi wystarczy.

Po tych słowach dowódca ukraińskiej floty wojennej zszedł z mównicy. Jego miejsce zajęła Karina, w długiej, czarnej sukni, bez zwykłego ostrego makijażu, z podpuchniętymi oczami. Uruchomiła płaski ekran wideo.

— To powinno być ciekawe — zauważył cierpko Swiatosłow. — Trudno mi sobie wyobrazić, jak mogliby to sfałszować. Martinique i Irina będą wiedzieć, co się dzieje. Żadni aktorzy nie oszukają naszych żon ani nawet dalszych rodzin czy kolegów.

— Doprawdy? — odezwał się Nowskoj. — A pamięta pan ćwiczenie przeprowadzone w symulatorze Siewierodwińska, w kwietniu? Kiedy to załoga miała stawić czoła zalaniu przedziału sterowania? Sfilmowaliśmy je.

Graczow odwracał się już do konsultanta, kiedy zobaczył siebie i Swiatosłowa w makiecie przedziału sterowania, w kwietniu. Wraz z dziesięcioma towarzyszami walczyli desperacko z zalewającą pomieszczenie wodą. Pozorna walka o życie wydawała im się momentami śmieszna, stąd dziwne miny na ich twarzach. Patrzącym z boku mogły wydawać się grymasami przerażenia. Żadnej ze szkolących się załóg nie udało się pokonać komputera wpuszczającego wodę; chodziło jednak o ćwiczenie umiejętności myślenia i działania w warunkach ekstremalnych. Trening miał w sobie coś z atmosfery zabawy w Disneylandzie. Pokazany jednak teraz na filmie robił wrażenie prawdziwej katastrofy.

Po pewnym czasie obiektyw został zalany wodą i dały się słyszeć tylko stłumione krzyki. Najbardziej wstrząsający był głośny jęk samego Graczowa: „O, Boże!”. Zaczerwienił się. Po pokazie dokonanym przez ludzi z Da Vinci wiedział, że wydał z siebie ów okrzyk podczas miłosnego uniesienia, gdy kochali się z żoną w nocy. Ich dom był wtedy pod obserwacją. Konsultanci musieli skłamać, mówiąc, że przesłuchali nagrania tylko pod kątem rozmów na temat misji „Wiepria”. Okrzyki innych oficerów zapewne nagrano podczas podobnych sytuacji. Swiatosłow zaklął, zdaje się, tuż przed „śmiercią”, „cholerny »Wiepr«!”. Musiał zrobić to podczas jakiejś dyskusji z żoną, sfrustrowany jakimś problemem związanym z okrętem.

Na końcu rozległ się jeszcze szum wody, a później tylko elektryczne zakłócenia.

— Wyłącz to! — warknął Paweł. Miał dosyć.

Michajło posłusznie wyłączył monitor. Kapitan sięgnął do słuchawki interkomu i rozkazał:

— Oficer pokładowy, proszę opuścić głębokość peryskopową. Zanurzyć okręt na sto metrów, prędkość — dwadzieścia węzłów. Proszę uważać na ruch statków w okolicy cieśniny. — Odczekał na potwierdzenie Sacharow, a potem, odłożywszy słuchawkę, zamrugał gwałtownie. Czuł pieczenie pod powiekami.

— Miał pan rację, nie pokazując tego załodze — stwierdził Nowskoj, także pod widocznym wrażeniem telewizyjnego przekazu, — Proszę o wybaczenie, panie kapitanie — dodał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— W porządku, Michajło? — spytał Graczow.

— Chyba nie za bardzo, panie kapitanie — przyznał Swiatosłow. Pociągnął nosem, wpatrując się w pokład. — Po co Kołow to robi? Czy ta misja jest aż tak ważna, żeby torturować nasze rodziny? I nas samych?

— Nie wiem, Michajło, nie wiem — odpowiedział Paweł. — I nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć. To mogłoby tylko pogorszyć sprawę. Niech się pan trzyma, Pierwszy. Proszę wziąć prysznic. Długi i gorący, jak w hotelu. A potem zebrać się w garść. Zanim wypłyniemy z cieśniny, musimy ominąć około pięciuset statków. Załoga nie może zobaczyć zwątpienia na naszych twarzach.

Swiatosłow, zgarbiony i skulony, jakby zmalął o połowę, pokiwał w milczeniu głową i opuścił kabinę. Graczow popatrzył na zgaszony monitor, przypominając sobie, co na nim zobaczył. Usiadł za biurkiem i zaczął dyktować do przenośnego komputera list do Martinique. Zanim dopłyną na miejsce akcji, załaduje list do „czarnej skrzynki” i wyśle boję, aby żona wiedziała, co się stało, a zwłaszcza, co do niej czuje. Na wypadek, gdyby życie zechciało naśladować obejrzany przez niego film.



O dziesiątej wieczorem czasu wschodnioeuropejskiego w Alexandrii, w stanie Wirginia, była trzecia po południu. Admirał Michael Pacino siedział na skraju skórzaney kanapy naprzeciw monitora, na którym pokazano właśnie film z zalania mostka ukraińskiego Siewierodwińska.

— Ścisz dźwięk, Paully — polecił Pacino siedzącemu obok na fotelu Pau'owi White'owi.

— Trudno w to uwierzyć — skomentował White. — Mają odłączany przedział sterowania, cały okręt pod kontrolą komputerów, stały monitoring wizyjny i w końcu toną i giną z powodu pęknięcia rurociągu...

— Nawet najlepiej zaprojektowana maszyna staje się gratem, jeśli ją zaniedbać — odpowiedział Michael w zamyśleniu. — Nie zginęli z powodu rozerwania rurociągu, kłopotów z systemem awaryjnego wyrzucania balastu czy też nieoddzielenia się przewodów. Umarli, bo obsługa techniczna ich okrętu była do niczego. Gdyby wystąpiło tylko jedno, a nawet dwa uszkodzenia, „Wiepr” nadal by pływał.

White umilkł na chwilę, obserwując opłakujące utratę najbliższych rodziny.

— Czy jest możliwe, żeby to było sfabrykowane? — odezwał się. — By odwrócić naszą uwagę, podczas gdy „Wiepr” wymyka się na Atlantyk?



— Trudno mi sobie wyobrazić, po co wyprawialiby takie rzeczy — odparł Pacino.  
— Dla mnie wyglądało to realnie.

— Aż zbyt przekonujące — ocenił White.

— Pully, bez przesady. Jeżeli chcesz, poproś Numer Cztery z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, żeby przeanalizowali film. Niech poszukają mapy z innym oceanem, chronometru pokazującego niewłaściwy czas, zegarka niesynchronizowanego z zegarem ściennym albo nieciągłości w ścieżce dźwiękowej. Jeśli Ukraińcy zmajstrowali ten film, musieli pozostawić ślady.

— Zajmę się tym, sir — zadeklarował Paul White.

— Jednak nie uważam, żebyśmy musieli dłużej zawracać głowę chłopcom z „Piranhy” — dodał dowódca Operacji Morskich. — Możesz powiedzieć Bruce’owi Phillipsowi, żeby zawrócił okręt do domu.

White skłonił głową i wyszedł. Ostatni nie wycofany ze służby okręt klasy Seawolf, „Piranha”, czaił się na Atlantyku w pobliżu Gibraltaru, czekając, aż „Wiepr” opuści Morze Śródziemne, żeby dołączyć do nawodnej części Floty Czarnomorskiej. „Piranha” czuwała już od miesięcy, załoga była wyczerpana, okręt powinien zgodnie z procedurą spocząć w suchym doku na remont, a dalsze przetrzymywanie go na patrolu wydawało się nie mieć sensu.

**Część czwarta**

**Spocznij**

*Kochana Martinique!*

*Dzisiaj mija dwudziesty drugi dzień naszego rejsu. Jestem tak daleko od Ciebie! I od naszego Pawełka. Tęsknię za Tobą i za nim. Brak mi Twoich spojrzeń, Twoich włosów, wyrazu Twoich oczu, kiedy patrzysz na małego, kształtu Twoich piersi, kiedy pochylasz się nad umywalką, żeby umyć głowę. Brakuje mi Twojego oddechu, kiedy śpisz, i ciepła Twojego ciała tuż obok mnie. Twojego głosu, śmiechu i miłości, którą mi dajesz.*

*Może najbardziej ze wszystkiego tęsknię za Twoim rozumnym spojrzeniem na świat, Kochanie. Za szybkim i celnym pojmowaniem rzeczy, do którego sam nie jestem zdolny. Chciałbym, żebyś tu ze mną była. Bardzo jestem ciekaw, jakie wrażenie wywarłby na Tobie nasz pasażer, konsultant Nowskoj.*

*Odkąd tylko wypłynęliśmy, Nowskoj chodzi za mną jak cień. Nie było go tylko na odprawie, którą przeprowadziłem. Jedyne raz, kiedy był mi potrzebny, kiedy mógł wyjaśnić domagającej się tego załodze, dlaczego porwano ją w środku nocy, wtedy właśnie się nie pojawił. Ale mimo że z początku budził mój sprzeciw, teraz łączy mnie z nim pewna zażyłość. To Rosjanin z Moskwy, co słyhać po jego akcencie. Jest wysoki, żylasty, starszawy — około sześćdziesiątki — ma niski, głęboki głos i szybki, zdecydowany sposób bycia. Odnosi się do ludzi jak zwierzchnik. Właściwie nie wydaje rozkazów tonem dowódcy — ale polecenia, z którymi wszyscy muszą się zgodzić. To dla niego oczywiste. Jest także ekspertem w sprawach technicznych — takim, że znał szczegóły dotyczące okrętu, o których nie wiedziałem ja ani nawet Michajło. Na przykład o aktywnym układzie wyciszania okrętu. Oczywiście, szybko się ich nauczyliśmy. Nowskoj wydaje się być projektantem Siewierodwińska, który wybrał się w rejs, żeby sprawdzić działanie wielu nowych systemów. Jednak nie zachowuje się jak inżynier czy naukowiec, ale typowy oficer. Pytałem go czy służył przedtem w marynarce wojennej, jednak nigdy nie odpowiada — zachowuje się tak, jakby nie usłyszał pytania. Zależy mu na utrzymaniu tajemnicy, A mimo to większość czasu spędza ze mną i Michajłą. Z ledwością zdołałem oderwać się od niego, by napisać te słowa. Stopniowo stał się też bardziej życzliwy w porównaniu z dniem, kiedy wszedł na pokład. A może to my zaczę-*

liśmy lepiej go rozumieć. W każdym razie nawiązujemy kontakt — gramy razem w szachy, dyskutujemy o okręcie i jego możliwościach, pochylamy się wspólnie nad ekranem systemu nawigacyjnego i obserwujemy przepłyniętą trasę. Nowskoj chce, żeby mówić na niego Al. Nie zdradza nam naszych rozkazów ani nawet punktów nawigacyjnych poza najbliższym. Dopływamy do punktu oznaczonego na mapie literą „M” i wtedy konsultant wręcza mi na kartce współrzędne punktu „N” oraz prędkość, z jaką chce, abyśmy płynęli. Nalega, abyśmy tylko my trzej mogli oglądać mapę nawigacyjną. Jak dotąd jestem mu posłuszny.

Nie wiem, jaka część tego nagrania przejdzie przez cenzurę, co zdoła do ciebie do-  
trzeć. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanie ono skasowane i nigdy nikt go nie przeczyta ani nie usłyszy. Ale jeśli cenzor to przepuści i odnajdziesz w komputerze mapę z miejscami o tych dziwnych nazwach, to podawany przez Nowskoj kurs zaprowadził nas ku północy, do wybrzeży kanadyjskiego półwyspu Labrador. Następnie na południe, wzdłuż granicy szelfu kontynentalnego Nowej Szkocji, wzdłuż wybrzeży amerykańskich stanów Maine i Massachusetts, wyspy Long Island, w poprzek linii żeglugowych, prowadzących do Nowego Jorku, dalej wzdłuż wybrzeży New Jersey i półwyspu, gdzie znajduje się brzeg Delaware, Maryland i Wirginii. W końcu do wejścia do wielkiej zatoki Chesapeake Bay. Nazywa się ono Hampton Roads. Na południe od niego leży miasto Wirginia Beach, przechodzące wewnątrz zatoki w miasto Norfolk. Słyszałaś już ode mnie nieraz o Norfolku, Kochanie, bo tam znajduje się siedziba najpotężniejszej marynarki wojennej świata. Mimo że Amerykanie stracili ponad połowę stanu floty w wojnie na Morzu Wschodniochińskim i z powodu japońskiej blokady, to, co im pozostało, ma przerażającą siłę — mam na myśli zarówno ilość okrętów, jak i możliwości każdego z nich.

Ostatniej nocy, w niedzielę, Nowskoj polecił mi wpłynąć w obszar rozdzielania się linii żeglugowych w Hampton Roads, około stu pięćdziesięciu kilometrów w kierunku zachodnim. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak wielkie ma to znaczenie. Po pierwsze, rozkazał mi tym samym wpłynąć na wody terytorialne obcego, suwerennego państwa, wewnątrz pasa leżącego do dwunastu mil morskich od wybrzeża. Po drugie, w wejściu do Hampton Roads dosłownie roi się od statków. Jest gęściej niż koło Gibraltaru, jeśli to w ogóle możliwe. Być może o to właśnie chodziło Nowskojowi — żeby znaleźć się między dziesiątkami statków handlowych jak między ciężarówkami na szosie, aby zamaskować nasze odgłosy. Choć po uruchomieniu przez system komputerowy aktywnego systemu wyciszania, każdy dźwięk, jaki wydają w wodzie maszyny „Wiepria”, jest likwidowany przez umieszczone na kadłubie hydrofony — w ten sposób, że wydają one identyczny odgłos, ale w przeciwfazie. W ten sposób dźwięki kasują się wzajemnie całkowicie. Bylibyśmy absolutnie cisi, gdyby nie nieznaczne odgłosy przepływu wody wokół kadłuba — ściszone, gdyż płyniemy wolno — i krótkotrwałe hałasy, na przykład kiedy na podłogę kambuza upadnie garnek. Załoga jest zdyscyplinowana i stara się ich nie wywoływać; kiedy komputer wykryje jakikolwiek głośniejszy dźwięk, jego sprawca tego dnia szoruje za karę ubikacje. Zdaje się, że to dzia-

ła. Jednak zastanawiam się. Wejście do portu w Norfolk, gdzie głębokość niekiedy nie przekracza piętnastu metrów, jest niebezpieczne. To tak, jakby włamywać się komuś do domu. Jeżeli Amerykanie, ze swoimi wszystkimi systemami obserwacji, wykryją nas, będą mieli pełne prawo strzelić do nas i nas pozabijać. A mają czym. Dlatego też, między innymi, piszę do Ciebie ten list. Jeszcze nigdy nie wystawiałem tego okrętu ani jego załogi na takie niebezpieczeństwo.

Nasz trójwymiarowy bezpieczny sonar wysokiej częstotliwości do śledzenia dna na płytkich wodach pokazał nam dokładną, plastyczną mapę podejścia do kanału pod mostem Chesapeake Bay Bridge. To miejsce, gdzie głębokość wody ledwie wystarcza, żeby nas zakryć. Dno zatoki jest tam częściowo piaszczyste, częściowo skaliste. Osiadłem na nim, wykorzystując dysze wodne do manewrowania i zawory pobierające z morza wodę chłodzącą, umieszczone na szczycie kadłuba. To chroni przed zassaniem osadów z dna. Wyłączyłem turbiny parowe, aby wyciszyć okręt jeszcze bardziej. Wyłączyłem też prawy turbogenerator elektryczny. Zarządziłem maksymalne wyciszenie. Teraz tkwimy na dnie jak duchy, niedaleko kanału pod mostem. Nasza sonda Antaj pływa koło paru spróchniałych pali, wystających z wody. Nikt się nie spodziewa, że w takim miejscu może się ukryć obcy okręt podwodny. Jeżeli jednak zaczną nas szukać i znajdą, wszystko będzie skończone.

Bóg wie, a spośród nas tylko Nowskoj — co my tutaj robimy. Co kilka minut odczuwam potrzebę sprawdzenia wskazań sensora Antaj i upewnienia się, że nikt nas nie wykrył. W kapitańskiej kajucie mam ekran ciągle nastawiony na obraz z Antaja. Prawda jest taka, że gdyby nas odkryto, nie będziemy mieli możliwości wydostania się stąd ani po kryjomu, ani szybko. Mam nadzieję, że wkrótce, być może dzisiaj przed wschodem słońca, czyli dwudziestego trzeciego, w poniedziałek — Nowskoj powie mi, co robi tu mój okręt.

Z niecierpliwością czekam na wykonanie zadania, jakie by ono nie było, i odpłynięcie stąd. Wszystko jedno, czy mam coś wyszpiegować, pobrać próbki gleby, a może wypuścić Nowskoją przednią śluzą powietrzną, żeby mógł wykonać jakąś niezwykłą misję sabotażu. Zanim to nastąpi, jedyne, co mogę teraz robić, to czekać. Pisząc do Ciebie, czuję się tak, jakbyś była tu razem ze mną. Życzę Tobie i małemu wszystkiego, co najlepsze. Ucałuj go ode mnie i powiedz, że tatuś go kocha.

*Kocham Ciebie, Najdroższa Martinique!*

*Proszę Cię, nie zapomnij nigdy o mnie. Nie zapomnij o nas.*

Paweł



Michael Pacino położył rękę w poprzek łóżka; poczuł ciepło ciała Colleen. Było ciemno; jeszcze daleko do świtu. Przyciągnął żonę do piersi. Odnalazł ustami jej usta i pocałował ją. Zaczął całować coraz mocniej; wpił się w jej szorstki język... bardziej szorstki niż zwykle; jej usta były porośnięte włosami... Otworzył oko i zobaczył swojego czarnego labradora, Jacksona, uśmiechającego się od ucha do ucha.

— Tfu! — Pacino splunął i usiadł na szerokim tapczanie. Znajdował się na poddaszu swojego drewnianego domu w Annapolis. Dom stał nad rzeką Severn. Rozciągał się z niego wspaniały widok na Akademię Marynarki. Teren Michaela był z trzech stron otoczony przez wodę. Admirałowie i generałowie z Pentagonu nazywali go więc „półwyspem Pacino”. Odwiedzali właściciela „półwyspu” co drugi weekend, spędzając czas na picciu piwa, oglądaniu meczów futbolu amerykańskiego i grillowaniu. Teraz Michael zerknął na łóżko i przypomniał sobie, że został w domu sam z Jacksonem. Colleen była niestety w Waszyngtonie, gdzie składała zeznania przed senacką komisją Sił Zbrojnych na temat systemu kontroli walki Cyclops. Admirał ziewnął i spojrzał na cyfrowy zegar. Było piętnaście po trzeciej. Wstał. Jackson zeskoczył radośnie z łóżka i zamierzał ogonem, spodziewając się jak co dzień dziesięciokilometrowego biegu przez Annapolis i tereny Akademii.

— Dzisiaj nie pobiegamy, stary — mruknął Pacino do psa. — Zostajesz z Lucille. Wypływam na tydzień, — Potar mosił łeb Jacksona. — Tak, piesiu, pan będzie pływał przez tydzień po morzu...!

Dowódca Operacji Morskich wziął prysznic, założył tropikalny, biały mundur i wziął torbę oraz teczkę. Jego kierowca, Maria, pił w kuchni kawę, w towarzystwie zaspanej Lucille, młodej służącej, często opiekującej się ich domem. Admirał powitał kobiety, wypił swoją kawę i poszedł z Marią do terenowego lincolna. Względy bezpieczeństwa nakazywały mu używać samochodu wyposażonego w tradycyjne przyrządy sterowania i prowadzonego przez kierowcę zamiast jednej z powszechnych w ostatnich latach limuzyn sterowanych komputerowo z wykorzystaniem nawigacji satelitarnej. Wóz, który prowadziła Maria, był czarny; na zderzakach umieszczono niebieskie chorągiewki z czterema złotymi gwiazdkami; na drzwiach widniał nowy emblemat Departamentu Marynarki. Admirał spojrzał przelotnie. Jeszcze wczoraj na drzwiach jego wozu napisane było: „Dowództwo Zjednoczonych Sił Podwodnych”. Wzruszył ramionami, myśląc o tym, jak szybko pędzi czas.

Wyjechali na drogę numer 50 i ciągnęli w stronę Beltway z umiarkowaną prędkością dwustu dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Pacino włączył swój przenośny komputer. Nie widział wyraźnie, założył więc okulary do czytania, zaczął przeglądać pocztę elektroniczną. Pierwsze było krótkie nagranie wideo od Colleen, wysłane z jej hotelowego pokoju. Michael zobaczył swoją piękną żonę, ciemnowłosą Irlandkę, podobną jak dwie krople wody do ojca, admirała O'Shaughnessy'ego. Uśmiechnęła się z ekranu komputera i wyraziła żal, że nie może nocować w domu i dojeżdżać co rano do Waszyngtonu. Jej ludzie siedzieli jednak w Watergate, a poza tym pracowali do późna. Colleen stwierdziła też, że nie ma szans na wcześniejsze zakończenie przesłuchań. Miała jednak nadzieję, że się nie przedłużą i będzie mogła przylecieć na Morze Karaibskie i dołączyć do Michaela. Ostrzegła go, żeby trzymał się z dala od hostess. Posłała jeszcze pocałunek w stronę kamery i wyłączyła się.

Pozostałe listy dotyczyły spraw zawodowych. Pacino wszedł w sekcję tajnych wiadomości. Czekają na niego kilka e-maili objętych Aktem Dwunastym. Jeden z raportów wywiadowczych informował o nadzwyczaj niepokojącym rozwoju wydarzeń w Sewastopolu. W nocy uruchomiono maszyny dwóch kolejnych niszczycieli Floty Czarnomorskiej, Dwa inne, których silniki zaczęto grzać przed dwoma dniami, wyglądały na gotowe do wyjścia w morze. Najwyraźniej utrata najnowocześniejszego okrętu podwodnego nie powstrzymała Ukraińców od wysyłania do akcji swojej floty.

Od wczoraj ładownie lotniskowca „Admirał Kuzniecowa” zapełniane były przez dziesięć dźwigów. Przenosiły na jego wysoki pokład dziesiątki palet z zapasami. Zdjęcia satelitarne dowodziły, i był to groźny sygnał, że na lotniskowiec dostarczano nie tylko części zapasowe, ale przede wszystkim dużo żywności na długi rejs. Zatem nie chodziło o zwykłe zwiększenie gotowości bojowej. „Admirał Kuzniecowa” miał w najbliższym czasie wypłynąć w morze. Spodziewano się, że jego reaktor zostanie uruchomiony już za kilka godzin.

Wywiad marynarki obserwował także uważnie okręty podwodne, choć wyglądało na to, że w ich przystani niewiele się dzieje. Pacino doszedł do wniosku, że po katastrofie „Wiepria” cała flotylla została uziemiona w celu dokonania gruntownych przeglądów technicznych. Znaczyło to, że nikt nie będzie pilnował płynących na południowy Atlantyk okrętów nawodnych. Admirał postanowił zlecić Agencji Bezpieczeństwa Narodowego śledzenie wiadomości, które potwierdzałyby techniczną przerwę w działalności ukraińskiej floty podwodnej.

Jednak było oczywiste, że pozostała część Floty Czarnomorskiej najdalej w ciągu tygodnia wyruszy w misję bojową.

Michael zdjął okulary i popatrzył w noc. Zbliżali się do południowego łuku trasy Beltway; wkrótce przejadą przez rzekę Potomac. Nadchodzi poważna próba — pomyślał. Zastanawiał się, czy za jego urzędowania na stanowisku dowódcy Operacji Morskich zostanie rozpętany kryzys o światowym zasięgu, Czy on, Michael Pacino, rozpęta taki kryzys? Czy wojna to właśnie to, czego chce...? Czy nie wolałby odejść spokojnie na emeryturę? Prawdę powiedziawszy, spędzenie czteroletniej kadencji głównodowodzącego amerykańskiej marynarki na przekładaniu papierków i prowadzeniu politycznych sporów nie było jego marzeniem. Czy, tak jak jego poprzednikom, przyjdzie mu dowodzić marynarką podczas wojny? Nadchodziła jego kolej? Zbliżał się do pięćdziesiątki. Pół wieku chodził po tym świecie i teraz los miałby postawić go przed walką na śmierć i życie, kazać zabijać bliźnich? I dlaczego właśnie teraz, kiedy został najwyższym dowódcą, jakim może zostać oficer marynarki, zaczął mieć wątpliwości?

Pomimo mroźnego tonu otrzymanych informacji wywiadowczych trudno było Michaelowi przedstawić sobie Ukraińców jako wrogów. Ukraina nie miała w sobie nic z dawnego złowieszczonego imperium, jakim był Związek Radziecki, władający niemal

połową kuli ziemskiej, wtedy gdy młody Pacino służył jako pierwszy oficer na okręcie „Cheyenne”. Ukraina nie była tak gniewna, agresywna jak późniejszy od ZSRR Zjednoczony Islamski Front Boga, który postanowił wymordować pół świata. Nie była tak odważna jak Czerwone Chiny, kiedy to zaatakowały Białe, spychając przeciwnika w Morze Południowochińskie i bombardowaniem zamieniając w popiół trzydzieści pięć miast. Obecni nieprzyjaciele byli po prostu Ukraińcami. Spadkobiercami potężnej floty wojennej, która nie miała się czym zająć. Ich państwem kierował świeżo wybrany, młody prezydent, który popełnił wielki błąd. Wystawił flotę swojego kraju do wynajęcia, każąc marynarzom popłynąć w najemną misję w służbie tego, kto najwięcej zapłaci. Nie zawahał się posłać na śmierć synów i córki swej ziemi jedynie dla sfinalizowania dużego, dolarowego kontraktu. Jak to możliwe, że na świecie doszło do czegoś takiego? To wręcz surrealistyczne. I jeśli on, Michael Pacino, szkolił się całe życie po to, aby stoczyć walkę właśnie z tym nieprzyjacielem, z flotą do wynajęcia, to scenarzysta jego losów wyznaczył mu rolę groteskową. Czy mógł zmusić siebie samego i dowodzone przez siebie siły do zażartej walki z kimś w rodzaju płatnych od godziny ochroniarzy? Westchnął i wyłączył komputer.

Pomyślał, że w atmosferze tej nocy jest coś złowieszczonego. Nie czuł wcale radosnego podniecenia, jakiego oczekiwał, zabierając podległych sobie wysokich oficerów w rejs luksusowym liniowcem po Morzu Karaibskim.

Zamiast tego dręczył go nieokreślony niepokój. Coś było nie tak. Coś bardzo ważne. Czuł, że to coś się zbliża i że przyjdzie niedługo. Po niego. Nie potrafił powiedzieć, co to jest. Miał jednak wrażenie, że nie ma to nic wspólnego z Ukrainą ani też zmagającymi się ze sobą Argentyną i Urugwajem. Przez chwilę cieszył się, że Colleen z nim nie płynie.

To go przeraziło. Co za chore rozważania! — skarcił się. Musi nad sobą zapanować. Zrelaksować się. To niedopuszczalne, wyobrażać sobie, że czyha na niego jakaś ciemna siła, jakieś nieokreślone zło. Przecież marynarka i jego własna kariera miały się wprost wysmienicie. Jedyne zagrożenie na całym świecie stanowiła najemna flota, którą mógł posłać na dno pojedynczy amerykański okręt podwodny — jak zademonstrował to z powodzeniem Kelly McKee. Trzeba uczciwie przyznać, że trwa najlepszy okres w jego, Michaela, dotychczasowym życiu. Pół wieku ciężkiej pracy, szarpaniny, a teraz nareszcie zbierał jej owoce. Widocznie zbyt długo trwały najróżniejsze zmagania. Kiedy wreszcie nadszedł czas niepokoju, nie był w stanie tego zaakceptować. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — tłumaczył sobie. Po prostu człowiekowi przyzwyczajonemu do przeciwności i zagrożeń ich brak wydaje się złowieszczy. Na tej samej zasadzie, jak operatorowi radaru patrzącemu na pusty ekran po zakończonej bitwie co chwila wydaje się, że coś na nim mignęło.



Nic złego nam nie grozi — powtórzył Pacino w myśli. Nie ma się czym martwić. Wyrzwał znowu przez okno — słońce wyszło właśnie zza horyzontu. Samochód dojechał do bramy Bazy Marynarki w Norfolk. Po obu jej stronach stali wyprężeni na baczność wartownicy. Warta honorowa. Dowódca bazy wiedział, że nadjeżdża dowódca Operacji Morskich. Lincoln zatrzymał się koło przystani. Otworzyły się drzwi. Przystań była niemal pusta. Przyjazd Pacino przewidziano tak wcześnie, żeby znalazł się na pokładzie pasażerskiego liniowca na długo przed przybyciem pierwszego z podległych oficerów. Dzięki temu będzie mógł ich witać jako gospodarz rejsu.

Następną godzinę admirał spędził na ściskaniu dłoni i poklepywaniu ramion oficerów okrętów, które będą eskortować „Princess Dragon”. W końcu Michael znalazł się na liniowcu. Poszedł do swojej oficjalnej kabiny. Była olbrzymia; prawdziwy apartament, okazały nawet jak na standardy luksusowych statków pasażerskich. Pacino rozpakował się, a następnie przywitał swoją adiutant, komandor porucznik Evę Cavalla. Zszedł pięć pokładów w dół, do obszernej recepcji, gdzie przyjmowano pasażerów. Prowadził z niej na molo szeroki trap. Eve zorganizowała cocktail party dla mających przybyć oficerów. Pozostawało teraz czekać na nich.

W końcu, pijąc kawę z panią adiutant, Michael zobaczył idącego przez molo Bruce’a Phillipsa. Razem z nim maszerował cały tłumek oficerów z okrętów podwodnych. Mężczyźni byli ubrani w galowe, białe mundury z galonami, złotymi guzikami, poprzipinanymi do piersi odznaczeniami.

Pacino musiał powstrzymać śmiech. Właściwie wybierali się na wakacje tymczasem Bruce maszerował na czele swoich ludzi krokiem brygadiera z Akademii. Brakowało mu tylko paradnej szabli. Zaraz... Michael przyjrzał się dokładniej. Ależ Phillips i jego świta mieli przy bokach szable! Maszerowali, uniósłszy je do ramion... Dowódca Operacji Morskich pokręcił głową, podczas gdy Bruce skręcił wraz ze swoimi oficerami w prawo, nie łamiąc szyku, po czym wmaszerował po trapie. Wydał komendę „na lewo patrz”, zaszalutował szablą powiewającą na rufie amerykańskiej fladze, następnie „na prawo patrz”, ku Pacino, i znowu zaszalutował szablą ze srogą miną bohatera wojennego. Michael odpowiedział na salut.

— Proszę o pozwolenie wejścia na pokład, sir! — zakrzyknął formalnie dowódca Zjednoczonych Sił Podwodnych.

— Pozwalam, admirale — odparł rozbawiony Pacino. Wejście ludzi Phillipsa na pokład „Princess Dragon” zajęło kilka minut ze względu na saluty. W końcu jednak oficerowie pochowali białą broń i wzięli się do drinków w barze, dołączając do ubranych w codzienne mundury oficerów nawodnej eskorty oraz pilotów portowych, przy odzianych w hawajskie koszule.



Kelly McKee kroczył powoli rybackim molo. Wiatr nawiewał mu na twarz przydługie włosy. Policzki miał zaczerwienione od upalnego, lipcowego słońca, wiatru i słonej wody. Molo prowadziło w stronę portu, prostopadle do kanału żeglugowego pod mostem przecinającym zatokę Chesapeake. Znajdowało się niedaleko pierwszego kanara dla okrętów podwodnych. Tego, który szedł poniżej kanału Thimble Shoals — drogi żeglugowej wiodącej z portu wojennego oraz międzynarodowego portu pasażerskiego Norfolk na otwarte wody Atlantyku. Kanał był prosty, jakby narysowany przy linijce, wyznaczony ciągnącymi się po obu stronach świetlnymi bojami. Kiedy patrzyło się na nie w nocy z mostka okrętu podwodnego, sprawiał wrażenie pasa startowego.

McKee nie spodziewał się, że tu zajdzie. Nie wiedział, po co przyszedł. Przez ostatni miesiąc — czy to naprawdę już tyle czasu minęło od chwili śmierci Diany?! — wałęsał się po domu, tęskniąc za zmarłą żoną. Czekał, aż może otworzą się drzwi i Diana wbiegnie znów radośnie. Wpatrywał się w jej fotografie. Sięgał do zakurzonych od dawna albumów, siadał w fotelu na biegunach i wspominał. Puszczął sobie stare nagrania wideo z ich miodowego miesiąca. Wtulał twarz w poduszkę żony i wciągał w nozdrza jej zapach. Jednak przez miesiąc zapach zdążył się ulotnić, pozostała pustka. Kelly mógł najwyżej rozpylać w powietrzu jej perfumy. I te się szybko skończyły.

Odwiedzał jej grób. Diana chciała być pochowana na cmentarzu przy kościele, w którym się pobrali. I grób zmienił się w ciągu miesiąca. Najpierw był ziemnym pagórkiem, pokrytym osłoniętą brezentową płachtą sztuczną darnią. Parę dni później matę usunęto, a ziemię ubito na płasko; zniknęła też mata z darnią. Po kilku następnym dniach ułożono świeżą darni. Parę tygodni później wyrosła z niej piękna trawa. Przy każdej wizycie McKee kupował zmarłej żonie jej ulubione róże. Kiedy nachylał się, żeby położyć bukiet u wezgłowia grobu, przypominał sobie, jak kiedyś pierwszy raz dał jej kwiaty. I jak zrobił to po raz ostatni. I wszystkie razy pomiędzy pierwszym a ostatnim.

W tydzień po śmierci żony Kelly zamówił granitowy kamień nagrobny. Kamieniarz powiedział, że zrobi go za rok. McKee odwiedził go osobiście i zaoferował podwójną cenę. Wtedy wykonawca obiecał, że nagrobek będzie gotowy w przyszłym miesiącu.

W chwilach, kiedy nie krążył po domu, szukając śladów Diany, i nie odwiedzał cmentarza, gdzie spoczęło jej ciało, Kelly przerzucał kanały telewizyjne przy wyciszonym dźwięku. Po kolei, wszystkie dwa tysiące kanałów. Prawie nie jadał. Wyprawy do sklepu spożywczego sprowadzały się głównie do kupowania dokładnie tego, co najbardziej lubiła Diana.

Na początku McKee odwiedzali goście. Był jego teść George Marchese. Zajechał swoim lexusem, ubrany w garnitur kupiony za równowartość trzykrotnej pensji komandora. Klepnął Kelly'ego w ramię, powiedział, że przepisał na niego fundusz powier-

niczy zmarłej córki, a potem usiadł i obejrzał z gospodarzem albumy. Był i drugi raz; wybrali się we dwóch na cmentarz. Zamienili kilka słów. McKee widział, że Marchese źle się czuje w jego towarzystwie. Trzeciej wizyty już nie było.

Wpadali także dawni koledzy komandora z Akademii. Wyglądało to tak, jakby odwiedzali więźnia, siadającego za każdym razem po drugiej stronie pancерnej szyby. Przyjeżdżali też oficerowie z „Devilfisha” — najpierw Karen Petri, później pierwszy mechanik, nawigator, oficer sztucznej inteligencji, uzbrojenia, napędu, kontroli poziomu promieniowania. Wydawało się dziwne, że ci ludzie wciąż związani byli z pełnionymi przez siebie funkcjami na okręcie. Karen odwiedziła Kelly’ego przede wszystkim jako pierwszy oficer okrętu, którym dowodził, a dopiero potem jako jego przyjaciółka. Podczas wizyt panowała napięta atmosfera. W ubiegłym tygodniu zadzwonił telefon i głos w słuchawce powiedział tylko: „alarm zielony”. To był oficer sensorów okrętu, a hasło „alarm zielony” było dawnym kodem załogi „Devilfisha”. Znaczyło, że oficerowie mają ochotę za chwilę przyjechać do Kelly’ego, wypić piwo oraz zjeść zapasy z lodówki. Tym razem jednak przybysze przywieźli trzy skrzynki własnego piwa, a także mięso na grilla, pieczywo i węgiel drzewny. Po kilku minutach w domu komandora trwało głośne przyjęcie. Żony i dziewczyny jego oficerów spędziły z nim więcej czasu niż oni sami. Rozmawiały z nim, wyrażając współczucie i pytając, co zamierza dalej. I milczały z nim razem, kiedy odpowiadał, że nie ma żadnych planów. Jedna z kobiet spytała w końcu, czy zamierza wrócić na okręt. Kelly odpowiedział, że przed miesiącem wystąpił z marynarki.

Co tydzień przyjeżdżał Bruce Phillips z butelką Jacka Danielsa. Siadali co tydzień z admirałem przy whisky i pili, niewiele mówiąc. Bruce przypominał, że miejsce kapitana „Devilfisha” pozostaje zarezerwowane dla Kelly’ego, ale ten milczał zawsze i patrzył tylko w podłogę.

Zeszłego wieczoru, o zachodzie słońca, ktoś zapukał do drzwi. McKee otworzył, ubrany w dzinsy i bluzę z golfem. Zerknął przedtem w lustro wiszące w hallu. Twarz miał jeszcze bardziej zapadłą niż wtedy, kiedy wrócił z południowego Atlantyku. Włosy urosły mu ponad miarę, przykrywając uszy i opadając na oczy. Z początku zapuścił też brodę, ale swędziała go, a przede wszystkim przypominała morze; w czasie rejsu nosi się brodę. Zgolił ją więc i odtąd golił się regularnie... Kiedy otworzył drzwi, zobaczył w nich Karen Petri patrzącą z głębokim współczuciem swoimi ciemnymi oczami. Trzymała w ręku butelkę merlota. Nie mówiła wiele. Nalewała tylko komandorowi i sobie. W pewnym momencie zaznaczyła, że stanowisko kapitana „Devilfisha” wciąż na niego czeka. Jednak i tym razem McKee nic nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową.

Kiedy skończyło się wino, Kelly zaczął zasypiać ze zmęczenia. Petri odprowadziła go do sypialni. Stała przy łóżku, po czym rozebrała McKee do naga. Ułożyła go, a sama usiadła na pościeli i patrząc mu głęboko w oczy, głaskała go po twarzy. Ledwie zwracała na to uwagę; wino wzmogło jego senność.

— Zamknij oczy, Kelly — szepnęła. Zamknął i poczuł na czole jej pocałunek. Światło zgasło i gość ulotnił się.

Rano jak co dzień wstawało słońce, a z nim wstawał i McKee, niezależnie od tego, czy był zmęczony, czy nie, czy miał kaca, czy nie. Biegał teraz co dzień po plaży. Wysilek, do jakiego się zmuszał, pozwalał osłabić na krótko ból po stracie Diany. Któregoś dnia, wróciwszy do domu, Kelly wziął prysznic, po czym usiadł naprzeciw telewizora z kubkiem kawy w ręku i zaczął przełączać kanały. Ku swemu zaskoczeniu natrafił na program, w którym pokazywano „Devilfisha”. Później oczom McKee ukazała się Karen. Robiła wprost olśniewające wrażenie w świeżo wykrochmalonym codziennym mundurze. Odpowiadała na pytania reportera. Kelly podgłośnił. Obraz zdążył się jednak zmienić, pokazywano okręty stojące w bazie Norfolk, widziane z helikoptera. Usłyszał głos komentatora:

...dziś po południu wypływa stąd flotyła okrętów, których zadaniem jest ochrona pasażerskiego liniowca „Princess Dragon”. Na jego pokładzie wyruszają w tygodniowy rejs dowódcy naszej marynarki, aby — jak powiedział nam admirał Michael Pacino — połączyć wypoczynek z wymianą doświadczeń i dyskusjami. Dalej nastąpił opis zbliżającego się rejsu.

McKee próbował zapomnieć o obejrzanym reportażu. Na wpół świadomie uruchomił samochód i pojechał w stronę mostu nad zatoką. Skręcił ku molo rybackiemu. Na szyi miał lornetkę, którą dostał na trzydzieste ósme godziny od swojego kolegi z pokoju, z czasów studiów. Stał teraz na molo, opierając się o stalową barierkę, i spoglądał przez lornetkę w stronę lądu, na zatokę. Szukał wzrokiem zbliżających się od horyzontu okrętów.

Powierzchnia zatoki Chesapeake była gładka jak lustro. Słońce świeciło wysoko na niebie. Był późny poranek, dwudziesty trzeci lipca. Kapitan Paweł Graczow przycisnął twarz do fartucha okularu peryskopu numer dwa. Użył zwykłego modułu optycznego, a nie czujnika Antaj. Chciał zobaczyć prawdziwy, normalny obraz tego, co znajdowało się nad jego głową. Na zatoce panował spokój; nie było widać żadnych jednostek pływających poza samotną, odległą barką. Umieszczony na niej dźwig budował na szeregu betonowych filarów przeszło nowego mostu. Robotnicy koncentrowali się na swojej pracy i nikt nie zauważył samotnego słupa wystającego z wody o trzy kilometry na wschód od nich.

— Panie kapitanie? — odezwał się głos oficera pokładowego Sacharowa.

— Słucham — odparł Graczow, nie odrywając wzroku od peryskopu.

— Pierwszy oficer pozdrawia pana kapitana i prosi, by zechciał pan zaszczyścić swoją obecnością jego i pana Nowskoją na śniadaniu w pańskiej kabinie reprezentacyjnej.

— Doskonale — powiedział Paweł. — Proszę przejąć peryskop. Małe wzmocnienie, widok na horyzont, kierunek dwa dwa zero stopni.

— Przejmuję peryskop — zameldował Sacharow.

Graczow otarł twarz spoconą pod fartuchem peryskopu i ruszył jak najszybciej po stromym trapie do przedziału pierwszego. Po chwili znajdował się już na korytarzu wiodącym środkiem dolnego pokładu. Zapachy przygotowywanego w kambuzie śniadania sprawiły, że poczuł się głodny pomimo Wczesnej pory. Po osiągnięciu Hampton Roads Paweł zmienił ustawienie chronometru okrętu na czas lokalny. Teraz załoga nie będzie mieć wątpliwości, kiedy na powierzchni jest ciemno, a kiedy panuje dzień. Nastąpiło przesunięcie o siedem godzin w porównaniu z czasem wschodnioeuropejskim i przez dwie doby Graczow czuł charakterystyczne objawy tej zmiany.

Otworzył drzwi swojej kapitańskiej kabiny i zapach jedzenia stał się jeszcze mocniejszy. Gulasz. Nowskoj i Swiatosłow podnieśli wzrok.

Paweł zajął miejsce u szczytu stołu i napełnił sobie miskę gulaszem z królika w gęstym sosie. Michajło podał kapitanowi kosz chrupkiego pieczywa i masło. Graczow roz-

łożył na kolanach lnianą serwetkę i posmarował sobie chleb. Wziął się za gulasz. Był pyszny, gorący i dobrze przyprawiony — taki, jaki robiła Martinique. Znajomy smak wywołał w Pawle tęsknotę za żoną.

— Jest coś nowego na górze? — zagadnął Swiatosłow.

— Nic — odparł Graczow. — Piękny, słoneczny, letni dzień. Powinniśmy łowić sobie ryby.

— Ten gulasz dopiero byłby dobry na składanym stoliku, na trawie, prawda? — dodał Michajło.

Nowskoj odsunął swoją miskę i w milczeniu otarł usta. Kiedy kapitan i pierwszy oficer także skończyli jeść, Graczow wezwał stewarda. Zabrano naczynia. Dowódca okrętu nalał sobie kawy z dzbanka, którą kok zaparzył specjalnie dla niego.

— Nadszedł czas, żebyśmy powiedział wam, na czym polega wasze zadanie — oznajmił Nowskoj.

Paweł odstawił kubek i zerknął na Swiatosłowa.

— W takim razie sądzę, że powinniśmy je poznać natychmiast — odpowiedział.

— Sytuacja nie jest przyjemna — zaczął konsultant. — Dzisiaj po południu z Norfolku, macierzystego portu amerykańskiej marynarki wojennej, wypływa kilka okrętów. Niewielka grupa uderzeniowa. Będzie się składać z dwóch niszczycieli — „Tom Clancy” i „Christie Whitman”, krążownika klasy Aegis II — „Admirał Hyman Rickover”, a także okrętu podwodnego „Devilfish”. To atomowy, szybki okręt uderzeniowy klasy SSNX, wyposażony w system obrazowania pola akustycznego. Wreszcie, w skład flotylli wejdzie statek pasażerski „Princess Dragon”. Zadaniem okrętów wojennych jest eskortowanie go i zapewnienie mu pełnego bezpieczeństwa. Wypływa bowiem w morze z niezwykłym ładunkiem — kompletem admirałów i najwyższych rangą oficerów amerykańskiej marynarki. Płyną na Morze Karaibskie na tygodniowy wypoczynek oraz szeroką dyskusję na temat przyszłości ich floty.

Graczow patrzył Nowskojowi prosto w oczy.

— To dla nas istotne, ponieważ... — odezwał się, mając nadzieję, że konsultant wyjawii resztę.

— „Wiepr” storpeduje amerykański okręt podwodny, a następnie wypuści po dwie ruchome miny Barrakuda przeciwko każdemu z trzech okrętów nawodnych. Wreszcie wysła cztery miny Barrakuda przeciw statkowi „Princess Dragon”.

Paweł spokojnie wypił łyk kawy, spoglądając na Nowskoja znad kubka.

— Pozwoli pan, że się upewnię — odparł. — Chce pan, żebyśmy zaatakowali zniebaczka nie tylko okręty wojenne, ale także bezbronne, cywilny statek pasażerski, który według pana będzie pełen najwyższych dowódców marynarki Stanów Zjednoczonych?

— Amerykanie planują atak na naszą flotę zmierzającą do Argentyny. Przeprowadzamy uderzenie prewencyjne — wyjaśnił konsultant. Wyciągnął dysk wideo. — Wasz admirał zostawił ten film — oznajmił. — Może zechce pan go obejrzeć. — Położył nagranie na stole i poszedł.

Graczow podniósł wzrok na Swiatosłowa i mruknął:

— Co za cholera...? Sprawdźmy dysk.

Paweł włączył magnetowid. Oczom oficerów ukazał się admirał Kołow w swoim gabinecie. Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy Graczow rozmawiał z nim ostatni raz. Kołow zaczął mówić:

— Pawle, przepraszam cię, że nie mogę rozmawiać na żywo, ale nadawanie z miejsca, w którym w tej chwili się znajdujesz, nie byłoby rozsądne. Przekazałem niniejszy dysk Nowskojowi, na wypadek gdyby nie spodobało ci się otrzymane zadanie. Powiedziałem mu, że prawie na pewno tak będzie. Dowódcy moich okrętów podwodnych to ludzie, a nie potwory. Nie przyjmują z ochotą, a zwłaszcza ciebie, Pawle, to dotyczy, rozkazów popełnienia zbrodni wojennych, jak na przykład zatopienia statku szpitalnego, albo nieuzbrojonego statku pasażerskiego. Szczególnie, jeśli taki rozkaz pada z ust kogoś innego, a nie właściwego przełożonego. Spróbuję więc teraz wytłumaczyć ci rozkazy. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, wyjaśnić twoje zadanie, Pawle. Wykonać go za ciebie nie mogę. Jak ci wiadomo, prezydent Dołowiec zatrudnił najlepszych konsultantów w Europie czy nawet na świecie — firmę Da Vinci. Do zakresu ich kompetencji należy przechwytywanie danych łączności: poczty elektronicznej, sygnałów wizyjnych, rozmów telefonicznych. Widziałeś nagranie z własnego domu. Da Vinci nie ogranicza się do monitorowania stanu bezpieczeństwa Ukrainy. Włożyło ogromne środki, aby podsłuchiwać na potrzeby naszego kraju wojsko i władze Stanów Zjednoczonych. Możesz dowiedzieć się, co odkryli. Za chwilę puszcze ci nagranie przechwycone przez Da Vinci, Jest trochę zbyt szczegółowe, aby mogło być fałszerstwem. Obejrzyj te fragmenty; po ich zakończeniu będę kontynuował swoją przemowę.

Obraz zmienił się. Oczom Graczowa ukazał się amerykański okręt klasy SSNX „Devilfish”. Po trapie przeszła ciemnowłosa kobieta w marynarskim kombinezonie. Pokazano wnętrze okrętu. Ta sama kobieta — najwyraźniej kapitan jednostki — mówiła do oficerów na mostku. Na dole ekranu pojawiały się napisy z tekstem tłumaczenia. Chronometr pokazujący datę i czas wyjaśniał, że nagrania dokonano przed sześcioma tygodniami. Po chwili pokazano jeszcze inną scenę. Kamera była zainstalowana na płetwie steru „Devilfisha”. Widać było śmigłowiec, z którego opuszczano ciemnowłosego mężczyznę. Został on wprowadzony do środka okrętu. Następne fragmenty były urywkami odprawy taktycznej, jaką przeprowadził z oficerami, dalej relacjonowały rejs na południe, na spotkanie z rzekomą flotą Ukrainy, W końcu pokazywały spotkanie z nią i atak, który przeprowadził dowódca „Devilfisha”. Później pojawienie się fałszywego Siewierodwińska, zatopienie go i ucieczkę amerykańskiego okrętu przed torpedą. Końcowa scena przedstawiała wideokonferencję pomiędzy amerykańskim kapitanem a jego przełożonymi — admirałami.

Graczow i Swiatosłow wymienili spojrzenia. Pierwszy oficer poblądł. Tymczasem na filmie pojawił się znów Kołow.

— Jak przed chwilą widziałeś, Pawle, Amerykanie mają plany zaatakowania naszej Floty Czarnomorskiej, zmierzającej na południowy Atlantyk. Uwzględniają w nich walkę z eskortującym ją okrętem klasy Siewierodwińsk, czyli w konkretnym przypadku — z tobą. Twoim dzisiejszym zadaniem jest więc zatopienie statku wiozącego admiralicję kierującą marynarką USA, aby nie mogła pokierować atakiem na naszą flotę. Następnie masz się wycofać na Atlantyk i zatopić każdą jednostkę, która będzie usiłowała cię odnaleźć i zniszczyć. Wrócisz do domu dopiero, kiedy będzie bezpiecznie. Wszystko to ma na celu osłonięcie operacji naszej floty na południowym Atlantyku. Oczywiście świadomość, że ma się zatopić nieuzbrojony statek pasażerski, nie jest miła. Sam miałbym wątpliwości. Jednak musisz wiedzieć — pasażerowie tego statku to ludzie, którzy zamierzają zabijać Ukraińców, dziesiątki tysięcy spośród nas, bez mrugnięcia okiem. Jak to powiedział dowódca amerykańskiego okrętu podwodnego? „Te rozkazy wydała sama pani prezydent Stanów Zjednoczonych”. I mówił, że przysięgał posłuszeństwo. Pawle — ty także przysięgałeś. I ja. Żądam, abys wypełnił otrzymane rozkazy. A teraz, czas na najtrudniejszą część mojej przemowy. Otóż, jeśli zdecydujesz się złamać przysięgę, nie powrócisz z tego rejsu. I tak już oficjalnie nie żyjesz, więc nikt nie będzie zdawać sobie sprawy ze zniknięcia prawdziwego „Wiepria”. Coś ci teraz pokażę.

Kołow podniósł do kamery przenośny komputer. Na ekranie widniał tekst, opatrzone datą pierwszego sierpnia 2018 — a więc rzekomo napisany za półtora tygodnia. Tytuł głosił: ZAŁOGA „WIEPRIA” ZOSTAŁA URATOWANA. Pod spodem widniał podtytuł: „Niezidentyfikowani członkowie załogi wyłowieni przez parowy tramp. Otoczeni opieką lekarską w szpitalu w Grecji. Dowódca okrętu budzi się ze śpiączki i opowiada swoją historię”.

— Oto sposób, w jaki zamierzaliśmy przywrócić was do życia — poinformował admirał — żeby wasze żony nie podostawały ataków serca, kiedy staniecie przed drzwiami domów. Powiemy, że w końcu udało wam się wydostać z przedziału sterowania, ale długo pływaliście w wodzie. Wyłowił was stary, zardzewiały grecki frachtowiec. Bariera językowa i stan waszego zdrowia uniemożliwiły prostym Grekom trafne rozpoznanie sytuacji i zamiast zawieźć was na Ukrainę, popłynęli do siebie. I tak znaleźliście się w szpitalu w Atenach. Na końcu wrócicie samolotem do domu i zostaniecie powitani jak bohaterowie. — Kołow zrobił pauzę, dając czas Graczowowi na przyjęcie do wiadomości przedstawionej wersji. Później skrzywił się i kontynuował. — Jeśli jednak nie zaakceptujesz tego zadania, Nowskoj ma rozkaz zatopienia „Wiepria”. Ładunki samoniszczące umieszczone w zbiornikach balastowych zostały zmienione z konwencjonalnych na plazmowe. Kiedy eksplodują, z okrętu nie pozostanie nic większego niż twój mały palec. Misja jest tak tajna, a jakkolwiek przeciek tak poważnie zaszkodziłby Ukrainie, że inaczej nie można było postąpić. — Admirał przełknął. Widać było, że posmutniał. — Znam cię, Pawle, i wiem, co sobie myślisz — ciągnął. — Właśnie skonfron-



towano cię z realiami tego świata. Świata, w którym moralność nie zawsze jest obowiązującą regułą. Czasami robimy rzeczy, z których nie jesteśmy dumni. Trwamy w świecie nieprawości. Wiem, że gdybyś tu był, wpadłbyś do mojego gabinetu i rzucił mi na biurko list z rezygnacją. Szkoda, że to nie jest takie proste. Winien ci jestem przeprosiny za postawienie cię w tej godnej pożałowania sytuacji. Wolałbym, żeby to się nie stało. Początkowo mieliśmy zlecić zadanie „Tigrowi”, ale otrzymałeś je ty, ponieważ jesteś najlepszy. Tylko ty posiadasz odwagę i umiejętności potrzebne do wykonania go. A więc spełnij swój obowiązek i wracaj do domu, Pawle. — Kołow uniósł rękę w pożegnalnym geście. — Pierwsze strony gazet czekają na wiadomości o tobie — zakończył.

Nagranie skończyło się. Paweł patrzył w ekran. Wiedział, że Michajło wpatruje się w niego. Skrzywił się, spojrział na Swiatosłowa i oznajmił:

— Nie jestem głupi. Zdaję sobie sprawę, kiedy muszę się poddać.

Dwadzieścia mil morskich od kanału żeglugowego pod mostem nad zatoką Chesapeake wystawały na zachód długie palce przystani Bazy Marynarki Norfolk. Port wojenny osłonięty był przez występ lądu. Podobnie zresztą jak i port cywilny, gdzie cumowało kilka masowców i parę olbrzymich supertankowców. Karen Petri chyba jeszcze nigdy nie widziała w przystani wojennej tylu okrętów naraz. Przy najdalej na północ wysuniętym molo cumował lotniskowiec „John Paul Jones”. Mola dla okrętów podwodnych także były wypełnione. Niedaleko „Devilfisha” stały starsze okręty klasy Los Angeles. Tylko jedno miejsce było puste — należało do ostatniego pozostającego w służbie okrętu klasy Seawolf, zasłużonej „Piranha”, która odbywała właśnie patrol gdzieś na Atlantyku. Kiedy admirałowie wypływali w rejs wypoczynkowy, cała flota miała więcej czasu wolnego. Pilne zadanie otrzymały tylko dwa niszczyciele klasy Bush — „Christie Whitman” i „Tom Clancy”, oraz atomowy krążownik klasy Aegis II „Admirał Hyman Rickover”. Miały osłaniać statek z dowódcami marynarki.

Komandor Karen Petri patrzyła, jak okręty wypływają z przystani. Niszczyciele wycofały się energicznie i równocześnie, po czym ruszyły całą naprzód. Manewr ten był godny podziwu. Dopiero co stały spokojnie przy nabrzeżu i nagle, zakłóciwszy ciszę długimi sygnałami syren, popędziły do akcji. Nawet anteny radarów obu okrętów kręciły się w pełnej synchronizacji. Niszczyciele posuwały się naprzód i razem skręciły. Malowały, szarząc w lekkiej mgiełce, aż w końcu wypłynęły z wiodącego przez port Norfolk kanału rzeki Elizabeth i wpłynęły do kanału Thimble Shoals, Prowadził on daleko, aż do mostu zamykającego zatokę Chesapeake.

Kiedy niszczyciele zniknęły z oczu, odsunął się od molo krążownik „Rickover”. Wypłynięcie krążownika robiło ogromne wrażenie, jeszcze większe niż niszczycieli. Po wodzie rozszedł się rozdzierający uszy ryk syreny okrętu. Potężny kadłub, z symetryczną, wysoką nadbudową, wycofał się do kanału żeglugowego ze zdumiewającym przyspieszeniem; tak dużym, że wszystkie flagi na okręcie załopotały w stronę dziobu. W przystani zadudnił wibrujący odgłos maszyn „Rickovera”. Okręt wytracił prędkość równie gwałtownie, jak przedtem ruszył. Zatrzymał się na wodzie dosłownie na mgnie-

nie oka, po czym pognał naprzód. Jego dziób był teraz nakierowany prosto na betonowe nabrzeże, które przed chwilą opuścił. Zbliżył się szybko do molo i kiedy już wydawało się pewne, że zaraz nastąpi straszliwa katastrofa, kadłub zareagował na wychylenie steru. Dziób krążownika odsunął się od nabrzeża, śródokręcie minęło je w niewielkiej odległości, a potem na miejscu pozostał już tylko biały, spieniony kilwater. Flagi łopotały na masztach prosto ku rufie okrętu. Oddalał się. Wreszcie skręcił, ukazując swój majestatyczny profil, i zniknął z oczu.

Petri westchnęła, wiedząc, że wypłynięcie jej „Devilfisha” nie będzie ani w połowie tak efektowne. Zobaczyła dwa holowniki cumujące przy jej okręcie. Jeden przed dziobem, drugi za rufą. Odciągną spokojnie SSNX od nabrzeża. Okręt podwodny nie miał dużych możliwości manewru w pobliżu molo. Zbyt duże było ryzyko roztrzaskania obłego dziobu z włókna szklanego. Petri była kiedyś pierwszym oficerem okrętu o klasie równej krążownikowi „Admirał Hyman Rickover” i brakowało jej możliwości efektownego wyjścia z portu. Poza tym, gdyby pozostała w siłach nawodnych, byłaby teraz prawdziwym kapitanem jakiegoś okrętu, a nie tylko „pełniącą obowiązki” kapitana.

Popatrzyła na pękaty kadłub „Devilfisha”, myśląc z nostalgią o znikającym pięknym krążowniku. Mimo to okręt podwodny, na którym obecnie służyła, budził w niej uczucia naprawdę głębokie. Była do niego bardziej przywiązana niż do którejkolwiek z poprzednich jednostek. Kochała po prostu „Devilfisha”, choć funkcję jego kapitana pełniła jedynie tymczasowo. Kadłub SSNX-a był czarny, połyskujący od przypominającej skórę rekina pianki okrywającej z wierzchu stal. Zewnętrzne pokrycie kadłuba było dźwiękochłonne; tłumiło nadchodzące z zewnątrz piski aktywnych sonarów oraz wyciszało hałasy z wnętrza okrętu. Dzięki czarnej powłoce okręt był niemożliwy do wykrycia przez klasyczne sonary, przeważające ciągle w większości flot wojennych świata. Obły kiosk „Devilfisha”, w kształcie łzy, różnił się zdecydowanie od pionowych kiosków innych jednostek. Za to Rosjanie, już od dawna, budowali okręty z podobnymi, opływowymi nadbudówkami. Kadłub NNSX-a miał formę regularnego, pękatego cygara. Rufa była wydłużona bardziej niż dziób. Schodziła łagodnie pod wodę, z której na dalszym odcinku wystawała w postaci wysokiej płetwy, z pozoru oddzielonej od reszty jednostki. Na czubku steru znajdowała się gondola w kształcie wydrążonej kropli, podobna do zbiornika paliwa na końcu skrzydła samolotu. Mieściła czujniki kilku różnych systemów sonarowych. Załedwie niecałe dziesięć procent okrętu wystawało ponad wodę. Stery głębokości i końcówka rufy kryły się pod nią całkowicie.

Przed mostkiem widniał otwarty duży właz. Za mostkiem — dwa włazy. Do rozków pokładowych przymocowane były cumy. Ponad częścią rufową wisiała szeroka suwnica, podtrzymująca kable dostarczające zasilanie z brzegu. W tej chwili właśnie je rozłączano. Suwnica wycofała się. Petri poszła na koniec molo, żeby zobaczyć, jaki jest prąd i poziom wody. Z jednego z włazów wyszło dwóch oficerów ubranych tak samo jak

ona w kombinezony z krótkimi rękawami. Przeszli trapem na molo. Jednym z nich był pełniący obowiązki pierwszego oficera Paul Manderson. Zachowywał się sztywno. Był typem silnego, milczącego mężczyzny. Być może nie podobało mu się, że służy na okręcie pod rozkazami kapitana kobiety, a właściwie kobiety pełniącej obowiązki kapitana. Jednak nawet jeśli tak było, nie sprawiał żadnych kłopotów swoim zachowaniem czy sposobem wypełniania obowiązków. Drugim z nadchodzących był Dietz. Rozmawiali po cichu. Podeszli do Karen i zasalutowali. Odsalutowała im. Pierwszy odezwał się Manderson:

— Dzień dobry, pani kapitan. Okręt jest gotów do wypłynięcia. Dowódcy sekcji podpisali listy wykonanych czynności przygotowawczych. Wszystko funkcjonuje bez zarzutu.

Brakuje tylko naszego kapitana — pomyślała Petri.

— Doskonale, XO — odparła stanowczym głosem, po czym zwróciła się do pełniącego wachtę na mostku oficera sztucznej inteligencji Bryana Dietza. — Oficer pokładowy, proszę o pański raport.

— Reaktor osiągnął pełną moc; pracują dwie wolnoobrotowe pompy obiegu reaktora prawoburtowe i dwie lewoburtowe — zaczął cicho Dietz. — Napęd ustawiony na silnik główny; turbogeneratory napędowe obracają się; moc idzie na rezystory biegu jałowego; silnik gotów do natychmiastowego ruszenia. System kontroli walki Cyclops pracuje w trybie pełnym wraz z siecią neuronową i ciągłym samosprawdzaniem. Przedział torpedowy zabezpieczony; wszystkie torpedy zabezpieczone; wyrzutnie w stanie gotowości DEFCON 3. Pracuje nawigacja satelitarna GPS NavSat; jej wskazania potwierdzają dane z kanałów cywilnych. System nawigacji bezwładnościowej uruchomiony; działa bez zarzutu. Oględziny zewnętrzne przez nurków zakończone, raport podpisany. Na kadłubie nie wykryto żadnych podejrzanych ani niecodziennych obiektów. Wachta manewrowa na stanowiskach. Pełne przygotowanie do zwinięcia cum. Nadeszła wiadomość z Dowództwa Zjednoczonych Sił Podwodnych potwierdzająca zezwolenie na wypłynięcie. — Dietz podał Petri swój przenośny komputer, aby podpisała na ekranie odbiór przekazu. — Przed dziobem i za rufą czekają holowniki; przedni ustawiony wzdłuż nas, tylny w poprzek. Tor wodny gotowy. Plan ruchu ładowany w tej chwili do Cyclopsa. — Dietz wziął oddech. — Pani kapitan, proszę o rozkazy podniesienia i opuszczenia potrzebnych masztów, uruchomienia radaru, usunięcia trapu oraz wypłynięcia.

Petri podpisała się w odpowiednim miejscu i oznajmiła mocnym, niskim, zdecydowanym głosem:

— Oficer pokładowy, podnieść i opuścić potrzebne maszty. Uruchomić radar. — Uniosła brwi. — Zaczekać z usunięciem trapu i wypłynięciem do czasu, aż będziemy na pokładzie, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

— Tak jest; podnieść i opuścić maszty, uruchomić radar — potwierdził Bryan Dietz. Stał na baczność, zaszalutował szybko, odwrócił się na pięcie i ruszył na okręt wraz z Mandersonem.

Karen rozejrzała się po raz ostatni wokół molo, po czym także weszła na trap, a po nim na czarny pokład okrętu. Jej marynarskie buty zagłębiały się cicho w dźwiękochłonną powłokę.

— Kapitan na pokładzie! — zabrzmiała w głośnikach informacja dla załogi. Petri poczuła przez chwilę żal z powodu braku McKee, jednak zdecydowanym krokiem podeszła do kiosku. Z kabiny mostka zwisała zwijana drabinka z łańcuchów.

— Kapitan na mostku! — zawołała, wspinając się ostrożnie po drabince. Ponad zrębnicą widać było Dietza w kurtce i z lornetką. Za nim stało dwóch podoficerów — obserwator oraz telefonista, Petri zauważyła, że trzej mężczyźni celowo podwracali głowy, kiedy przekładała swoje długie nogi ponad krawędzią zrębny. Stała koło trapu prowadzącego w dół, na górny pokład przedziału dziobowego, i weszła cztery stopnie w górę, na latający mostek. Składały się na niego tylko trzy stalowe poręcze przykręcone do szczytu kiosku. Komandor znajdowała się teraz na wysokości dwunastu metrów ponad wodą. Mogła stąd dogodnie obserwować port niczym ptak z wysokiego gniazda. Po prawej, za krążownikami, widać było przygotowujący się do wypłynięcia liniowiec pasażerski. Gdy „Princess Dragon” podąży kanałem, „Devilfish” będzie płynął bezpośrednio jej śladem.

— Oficer pokładowy, usunąć trap — rozkazała Petri. Obserwator podał jej lornetkę i krótkofalówkę. Popatrzyła przez lornetkę na północ, w kierunku molo dla lotniskowców. Holowniki roily się wokół olbrzymiego „John Paul Jonesa”. Kilka godzin po wypłynięciu „Devilfisha” w morze wyjdzie lotniskowiec. Samoloty F/A18s, F-22s i F-45s znajdujące się na jego pokładzie dopełnią osłony statku z admiralicją.

Na molo odezwał się spalinowy silnik dźwigu, który szybko podniósł trap. Petri miała wrażenie, że czuje przez stopy zew morza.

— Oficer pokładowy — odezwała się — ruszamy.

— Tak jest, pani kapitan, ruszamy — odparł Dietz monotonnym głosem, zupełnie, jakby poproszono go o podanie solniczki. Uniósł do ust megafon i zawołał:

— Wybierać cumę numer jeden! Wybierać cumę numer trzy! Wybierać cumy numer cztery, pięć i sześć!

Marynarze rzucili się do pracy. Zwijali grube, konopne liny, podawane przez ludzi ze specjalnego stateczku, pracującego przy masywnych pachółkach molo. Liny po zwinięciu pozamykano w skrzyniach — specjalnych zagłębieniach w pokładzie, przykrywanych klapami. W końcu pozostała jedynie cuma numer dwa. Rozbrzmiały silniki obu holowników; ryczały tak, że nie można było normalnie rozmawiać. Dietz spojrział na zegarek, na mapę wyświetlaną na ekranie jego komputera i znowu uniósł megafon.

— Wybierać cumę numer dwa! — zakomenderował. Kiedy tylko lina została zdjęta z pachołka, odwrócił się do obserwatora i krzyknął:

— Podnieść bandery! — Od tej chwili „Devilfish” oficjalnie rozpoczynał rejs. Obserwator, który dołączył do Petri na latającym mostku, wciągnął amerykańską flagę na trzymetrowej wysokości maszt. Następnie podniósł banderę Zjednoczonych Sił Podwodnych — flagę piracką z mottem służby, wypisanym gotyckimi literami. Pół sekundy po wydaniu komendy dotyczącej bander Bryan pociągnął za umieszczony przed nim drążek i ryknęła syrena okrętu, tak głośno, że aż zabolaty uszy. Sygnał trwał całe osiem sekund. Tymczasem „Devilfish” odsunął się odrobinię od molo. Kiedy syrena Umilkła, Dietz rozkazał przez krótkofalówkę:

— Holownik przy dziobie — jedna trzecia w tył. Holownik przy rufie — jedna trzecia w tył.

Ważący osiem tysięcy ton okręt podwodny zaczął powolutku oddalać się od nabrzeża. Rozdzielający je pas czarnej wody szybko poszerzał się.

— Oba holowniki stop — polecił oficer pokładowy. — Ster, jedna trzecia naprzód, ster prawo na burt — rozkazał do mikrofonu systemu łączności wewnętrznej. Rozległa się donośna odpowiedź:

— Jedna trzecia naprzód, ster prawo na burt, tak jest. Przepustnica na jedną trzecią naprzód, obroty wzrosły do trzydziestu. Jest jedna trzecia naprzód i ster prawo na burt.

— Dobrze — mruknął niedbale Dietz. Silniki holowników znowu przycichły. „Devilfish” płynął przed siebie. Woda obmywała pękaty, czarny kształt z obu stron.

— Mostek, tu ster, ster jest prawo na burt, nie podano kursu — odezwało się z głośnika.

— Proszę ustabilizować kurs zero zero pięć — polecił Bryan. Wyrzął ponad zrębnicą, aby sprawdzić, czy ster rzeczywiście przekręci się w prawo. Następnie spojrzął na mapę i rozejrzał się dookoła. Molo zaczęło ustawiać się do „Devilfisha” pod kątem. Okręt obrócił się ku północy. Pokład zawibrował pod stopami Karen. Czuło się tkwiącą pod spodem moc.

★ ★ ★

— Czy kogoś jeszcze brakuje? — spytał Pacino Paula White’a. Spieszyli z kabiny dowódcy Operacji Morskich do recepcji, gdzie trwało powitalne party dla przybywających oficerów.

— Niestety tak, panie admirale — odpowiedział White. — Właśnie rozmawiałem ze sztabem NavSea. W stoczni Electric Boat, w New Construction Facility firmy DynaCorp, był śmiertelny wypadek. Zdaje się, że jeden z robotników spawających kadłub „Wirginii” zapomniał, że stoi na rusztowaniu, i spadł z piętnastu metrów.

Pacino aż przystanął.

— O, Boże! — jęknął. — Gdzie kontradmirał Patton?

Kontradmirał Jonathan George S. Patton IV dowodził „Devilfishem” w jego dziewiczym rejsie. Było to podczas konfliktu na Morzu Wschodniochińskim. „Devilfish” zatopił wtedy sześć porwanych japońskich okrętów podwodnych klasy Wschodzące Słońce oraz doświadczył fatalnego w skutkach pożaru przedziału torpedowego. Po naprawieniu SSNX-a Pattonowi zlecono kierowanie budową okrętów klasy NSSN. Teraz wysłała ona już oficjalnie poza stadium prototypowe i Patton nadzorował budowę pierwszego okrętu serii o planowanej nazwie „Wirginia”. Będzie to ulepszona młodsza siostra „Devilfisha”. Pacino rozmawiał niedawno z Pattonem. Kontradmirał był niezadowolony z tego, co robi. Wprawdzie nigdy tego nie powiedział, ale dla Pacino jasne było, o co chodzi. Jonathan uważał, że to on, a nie Bruce Phillips powinien być zostać dowódcą Zjednoczonych Sił Podwodnych. Michael wybrał Bruce’a, którego znał dłużej, jeszcze od czasów japońskiej blokady. Patton liczył się jako drugi w kolejce, zaraz za Phillipsem. Kontradmirał był prawdziwym bohaterem, odznaczonym Krzyżem Marynarki za zasługi bojowe podczas Operacji Biała Nadzieja. Jego doświadczenie było jednak odrobinę mniejsze niż Bruce’a. Niestety, Jonathan Patton tak się tym wszystkim przejmował, że Pacino poważnie obawiał się jego rezygnacji.

Teraz był pewien, że Patton szczególnie ciężko przeżywa śmierć robotnika na kierowanej przez siebie budowie.

— Gdzie znajdował się Jonathan podczas wypadku? — inaczej sformułował pytanie.

— W swojej limuzynie, jechał tu — odparł White. — Odebrał telefon i zawrócił do stoczni. Powiedział, że chce się spotkać z rodziną zabitego.

— Uznał, że byłoby nie w porządku, gdyby po tym, co się stało, pojechał na nasze małe wakacje?

— Dokładnie, panie admirale.

— Czy są wszyscy inni? — dopytywał się Pacino.

— Brak jeszcze pańskiego kolegi z pokoju z Annapolis, Seana Murphy’ego.

— Sean uprzedził mnie telefonicznie. Nie będzie go.

— A co się stało? — spytał niedyskretnie wiceadmirał.

— Powiedzmy, że to sprawa osobista — odparł Michael. — W tej chwili nie może wypłynąć z nami. — W rzeczywistości Murphy miał raka płuc. Cierpiał już na to kilka lat temu; później nastąpiła remisja choroby, która właśnie się skończyła. Żona i dzieci Seana chciały, żeby poddał się chemioterapii, ale jeszcze się nie zdecydował. Właściwie jedyne, czego był teraz pewien, to to, że nie ma siły wypłynąć w rejs na „Princess Dragon”.

Pacino zagryzł wargi. Po tym wszystkim, przez co w życiu przeszedł Sean Murphy, zaczął umierać na raka w wieku pięćdziesięciu lat. Michaelowi wydawało się to niesprawiedliwe. Gdyby mógł oddać swojemu dawnemu koledze z pokoju wojskowego akademika dziesięć lat własnego życia, nie zawahałby się. Zrobiłby to z ochotą.

Dowódca Operacji Morskich spróbował oderwać się od tych smutnych rozmyślań i zmusił się do uśmiechu. Doszli bowiem z Paulem do recepcji statku. Pacino zaczął witać nowo przybyłych. Wkrótce entuzjazm, jaki przy tym okazywał, zaczął odczuwać naprawdę. Towarzystwo tych wspaniałych ludzi cieszyło go i podnosiło na duchu. Przyjął od Phillipsa butelkę zachwalanego przez niego piwa o marynarskiej nazwie Anchor Steam. Zastanawiał się, czy podczas rejsu będzie ładna pogoda. Na razie słońce świeciło pięknie, wysoko ponad „Princess Dragon”. Zbliżało się popołudnie. Kiedy nadeszła pora wypłynięcia, oficerowie marynarki poszli na mostek, żeby zobaczyć, jak radzi sobie cywilna załoga wielkiego statku.



Paweł Graczow ponownie usiadł na stanowisku dowodzenia okrętem i zapiął pasy. Założył słuchawki i oznajmił do mikrofonu:

— Uwaga na rozkazy. — Na ekranie numer siedem widać było w dwunastu okienkach twarze taktycznych oficerów pełniących w tym momencie wachtę. Wszyscy wpatrywali się z uwagą w swoje ekrany, gdzie widzieli twarz Graczowa. — Rozkazano nam zaatakować zespół nawodny wypływający z Norfolku na Atlantyk, kierujący się na południe — oznajmił kapitan. — Składa się on z trzech okrętów wojennych i pomalowanego na biało statku pasażerskiego o nazwie „Princess Dragon”, który jest celem o najwyższym znaczeniu. W skład grupy wchodzi również okręt podwodny. Wszystkie cztery okręty wojenne eskortują biały liniowiec. Otrzymaliśmy dzisiaj potwierdzony przez nas rozkaz zatopienia amerykańskiego zespołu. — Paweł odczekał, aż oficerowie pojmą to, co usłyszeli, po czym kontynuował. — Nasz główny cel, statek pasażerski, wiezie na pokładzie całe dowództwo marynarki USA i wszystkich najwyższych jej oficerów. Zamierzają popłynąć na spokojne, tropikalne wody i tam zaplanować drugocący atak na naszą Flotę Czarnomorską. Wszyscy dowiedzieliście się na odprawie o misji ukraińskiej floty na południowym Atlantyku, Najwyraźniej Amerykanie poznali te plany. Dowódca naszej floty rozkazał nam zawczasu pozbawić ich marynarkę dowództwa. Założenie operacji jest takie, że jeśli amerykańscy admirałowie zginą, Flota Czarnomorska zdąży zwyciężyć na południowym Atlantyku. — Graczow odwrócił się do Swiatosłowa i polecił:

— Panie Pierwszy, przygotować zestaw numer cztery systemu Szczuka do natychmiastowego wyrzucenia za burtę.

— Tak jest.

Po niecałych dziesięciu minutach zestaw Szczuka wyleciał z wyrzutni torpedowej, ciągnąc za sobą kabel do transmisji danych. Zestaw opadł na dno i zakotwiczył w szlamie. Balon z folii, stanowiący antenę akustyczną, wypełnił się gazem. Kilka sekund później do układu kontroli walki Drugiego Kapitana — jak nazywano główny komputer okrętu — zaczęły napływać dane.

— Panie kapitanie, zestaw czwarty Szczuki spoczywa na dnie zatoki i nadaje — zameldował Michajło. — Drugi Kapitan ma trójwymiarowy wirtualny obraz pola walki.

— Świetnie. Proszę przygotować wyrzutnie większego kalibru od pierwszej do czwartej do wypuszczenia ruchomych min Barrakuda, z podłączonymi przewodami kontrolno-sterującymi.

— Tak jest. Ładuję miny Barrakuda do wyrzutni jeden do cztery.

Ładowanie wyrzutni i podłączanie przewodów min trwa kilka minut. Następnym kilka zajmuje zamknięcie otworów wyrzutni, wypełnienie ich wodą i jednoczesne rozgrzanie zespołów napędowych min oraz ustabilizowanie się pracy ich pokładowych pierścieniowych układów laserowych nawigacji bezwładnościowej. W tym czasie Graczow mógł odpiąć pasy i pójść do znajdującej się po prawej burcie kabiny projektora rzeczywistości wirtualnej. Postanowił jednak pozostać na stanowisku dowodzenia i pozwolić pierwszemu oficerowi naprowadzać miny.

Wkrótce w słuchawkach Graczowa odezwał się głos Swiatosłowa:

— Panie kapitanie, Barrakuda jeden do cztery gotowe do wypuszczenia.

— Doskonale, panie Pierwszy — pochwalił Paweł. — Proszę zająć stanowisko rzeczywistości wirtualnej zero. Jeśli przestrzeń bitewna na to pozwoli, wtedy — ale tylko na mój rozkaz — wypuści pan miny jeden do cztery przeciw amerykańskiemu okrętom nawodnym. Po jednej przeciw niszczycielowi i dwie przeciw krążownikowi. Następnie przygotuje pan wyrzutnie jeden i dwa do wyrzucenia min pięć i sześć przeciw statkowi „Princess Dragon”, a wyrzutnie trzy i cztery załaduje torpedami przeciwpodwodnymi Bora II.

Z wydanymi rozkazami wiązał się problem techniczny, którego Graczow był świadom. Podczas przewodowego sterowania minami Barrakuda wyrzutnie musiały pozostać zajęte przez ich kable. Dopiero potem będzie można załadować następną salwę. Paweł instynktownie postanowił uderzyć najpierw na okręty wojenne, uznając, że zanim „Princess Dragon” opuści przechodzący pod mostem kanał żeglugowy, wszystko może się zdarzyć.

— Tak jest, panie kapitanie. Zajmuję stanowisko rzeczywistości wirtualnej zero — oznajmił Swiatosłow.

Teraz pozostawało czekać na zbliżających się wodami zatoki Amerykanów, Graczow kontrolował obraz nadawany przez zestaw Szczuka. Założył umieszczone z boku okulary wirtualne i ujrzał wokół siebie zatokę Chesapeake, tak jakby był zanurzony w kombiniezonie nurka na głębokości trzydziestu metrów pod spokojną powierzchnią wody. A przecież obraz na stanowisku dowodzenia był marny w porównaniu z widokiem w kabinach projektorów rzeczywistości wirtualnej. Tam dopiero miało się wrażenie realności oglądanego otoczenia. Kapitan wołał jednak czuwać tu, gdzie był.

To potrwa jeszcze kilka godzin — tłumaczył sobie. Potem będzie po wszystkim.



Kapitan „Princess Dragon” był rozbawiony, ale zmęczony. Wyprowadzał swój olbrzymi statek z portu, wykorzystując do manewrowania przy samym moście dysze wodno-odrzutowe. Wycofał się, samodzielnie, nie korzystając z usług holowników, pomimo siły prądu skręcił zdecydowanie na rzece, niemal w miejscu, i popłynął naprzód. Sześć potężnych turbin gazowych statku rozkręciło się; dwie ogromne śruby wzbijały biały kilwáter za rufą.

Pacino czuł lekki przechył podczas zakrętu, jednak poza tym pokład „Princess Dragon” zachowywał się równie spokojnie, jak podłoga w hotelu sieci Hyatt. Pozorny wiatr, związany z prędkością liniowca, wzmógł się na tyle, że zagroził oficerskiej czapce admirała. Michael chłonał wszystkimi zmysłami zapachy i odgłosy morza. Jego dotychczasowe kłopoty zniknęły. Nie było dla nich miejsca na pokładzie statku, gdzie będzie spędzał czas ze swoimi najlepszymi oficerami i przyjaciółmi oraz zimną jak lód butelką Anchor Steam. Nie było tu żadnych wrogów, żadnych Ukraińców, żadnych ciemnych sił.

Pomyślał, że zapamięta ten dzień do końca życia.



Znalazłszy się za szeroką, lśniącą białą rufą wielkiego liniowca, „Devilfish” nabierał prędkości. Petri uśmiechnęła się do siebie, widząc, że macha do niej kilku spośród podróżujących na „Princess Dragon” wysokich oficerów. Liniowiec skręcił na wschód w zatokę Chesapeake; okręt podwodny przedzierał się przez jego silny kilwáter. Po prawej stronie sosny zasłaniały widok na pasy startowe znajdującej się za nimi Bazy Lotniczej Marynarki Norfolk.

— Mostek, tu nawigator — odezwał się głośnik. — Proszę o podanie momentu skrętu na kurs zero trzy pięć.

— Ster, tu mostek, ster prawo na burt, ustabilizować kurs zero trzy pięć — rozkazał Dietz obojętnie jak zwykle. Wystawił głowę ponad zrębnicę mostka, żeby zaobserwować wychylenie wystającej płetwy steru.

Świat obrócił się wokół „Devilfisha” i przed okrętem pojawił się w oddali most, którym biegła autostrada numer 64.

— Mostek, tu ster, jest ster prawo na burt, mijamy kurs zero dwa pięć, dziesięć stopni od zaleconego — zameldowano z głośnika.

Bryan potwierdził odebranie meldunku, po czym podniósł do oczu lornetkę i zaczął obserwować kanał. Obejrzał się na Petri, która zeszła do ciasnego pomieszczenia mostka.

— Przygotować latający mostek do zanurzenia okrętu — poleciała Karen, — Zwiększyć prędkość do piętnastu węzłów.

— Obserwator, przygotować latający mostek do zanurzenia — powiedział Dietz.  
— Ster, tu mostek, standardowa cała naprzód.

Rozcinana obłym dziobem woda podniosła się stopniowo, aż zalała cały przedni pokład, od dziobu do przedniej krawędzi kiosku. Jej szum stał się głośniejszy, wtórując odgłosom wiatru. Zbliżał się most drogowy. W odległości kilku mil widać było wysoką, kanciastą, białą rufę „Princess Dragon”. Za plecami Petri i Dietza obracały się szybko dwa peryskopy — ludzie Judisona kontrolowali optycznie nawigację.

— Mostek, tu nawigator, płyniemy pięćdziesiąt metrów w prawo od środka kanału — odezwał się Judison. — Zalecany kurs zero trzy cztery. Proszę o pozwolenie na podniesienie masztu radarowego i uruchomienie radaru.

Dietz odpowiedział do mikrofonu tak cicho, że Petri musiała wyteńczyć słuch:

— Ster, tu mostek, kurs zero trzy cztery, podnieść maszt radarowy.

W głośniku odezwał się szybki, zdecydowany odzew, a z tyłu rozległ się odgłos podnoszącego się wysoko ponad inne masztu radarowego.

„Devilfish” zbliżał się do wspaniałego mostu autostrady numer 64. Przed dziobem rozciągała się gładka jak lustro tafla wody, w której połyskiwało odbicie południowego słońca. Nawigator nakierował ich na nowy kurs ku mostowi zamykającemu zatokę Chesapeake i kanałowi Thimble Shoals. Od strony oceanu nadpływały trzy olbrzymie supertankowce, pełne saudyjskiej ropy.

„Princess Dragon” przyspieszył i teraz odległość pomiędzy obiema jednostkami wzrosła do czterech mil. Petri rozkazała więc zwiększyć prędkość do dwudziestu pięciu węzłów. Woda huczała, a wiatr gwizdał w uszach. Dla Karen odgłosy te były jak muzyka. W spienionej fali dziobowej zaczęło skakać kilka delfinów. Wyskakiwały naprzód, wpadały z pluskiem do wody i znikaly. Petri uśmiechnęła się do nich — to była szczególnie wróżba dla okrętu. Podniosła lornetkę i popatrzyła na wodę przed „Devilfishem”.

W poprzek pola widzenia rozciągały się przęsła mostu autostrady. Była w nim optyczna przerwa — tunel pomiędzy dwoma odcinkami mostu. Okręt przepłynął pod mostem i podążał dalej. Teraz Karen dostrzegła już na horyzoncie łuk mostu zamykającego zatokę Chesapeake. Tam zaczynał się Atlantyk. Komandor zażądała kawy. Po chwili rozkoszowała się mocnym napojem oraz pięknem ogromnej zatoki.

★ ★ ★

Głos sprzedawcy hot dogów rozbudził z zamyślenia Kelly’ego McKee, stojącego na molo rybackim koło mostu na końcu zatoki Chesapeake. Kelly opuścił lornetkę, wyciągnął z kieszeni plik zmiętych banknotów i kupił hot doga. Po niedługiej chwili po-

wrócił do obserwacji akwenu. Widać już było dobrze pierwsze dwa okręty — smukłe, szare niszczyciele. Następnie można było dostrzec krążownik klasy Aegis. Na wysokich masztach niszczycieli obracały się anteny radarów i łopotały bandery. Przez lornetkę McKee widział też stojących na pokładach marynarzy i oficerów na skrzydłach i wewnątrz mostków. Płynący dalej krążownik był jeszcze szary i niewyraźny; posuwał się powoli kanałem żeglugowym. Dwie mile za nim pojawił się jakiś jaskrawobiały kadłub. To musi być ten pasażerski liniowiec — pomyślał McKee.

Patrzył, jak pomalutku się zbliża. Kiedy urósł, Kelly stwierdził, że to największy statek pasażerski, jaki widział w życiu. Olbrzymia, kanciasta nadbudowa zajmowała całą długość kadłuba; zwężała się tylko u dziobu i rufy. McKee popatrzył wyżej. Na pokładzie spacerowym stali mężczyźni, wyróżniający się spośród pozostałych. Podczas gdy wszyscy mieli na sobie hawajskie koszule i szorty, ci ubrani byli w świeżo wykrochmalone bielutkie tropikalne mundury galowe ze złotymi naramiennikami. Admirałowie. Kelly nie był w stanie ich rozpoznać. Jakoś nie miał ochoty przyglądać im się przez lornetkę. Odwrócił się plecami do białego liniowca i poszedł do samochodu.

Nie zobaczył już, jak admirałowie posyłają jednego z młodszych stopniem oficerów biegiem na mostek ani jak chwilę potem obniża się na moment powiewająca amerykańska bandera w prastarym marynarskim geście szacunku.



Kiedy „Princess Dragon” zbliżyła się do mostu zamykającego zatokę, Pacino wydało się, że widzi stojącego na molo rybackim McKee. Natychmiast posłał więc adiutanta na mostek, żeby polecił kapitanowi opuścić banderę do połowy masztu. Zniżyła się akurat, kiedy statek przepływał pod mostem, Kelly odwrócił się już jednak i wracał do swojego samochodu.

Dowódca Operacji Morskich patrzył za nim bezradnie, zastanawiając się, czy istnieje sposób, dzięki któremu mógłby przywrócić tego człowieka do życia. Przypomniał sobie, jak sam doznał szoku i popadł w żałobę, kiedy zatonął na Oceanie Lodowatym stary „Devilfish” — pierwszy dowodzony przez niego okręt. Pacino wystąpił wtedy z marynarki, uczył na Akademii i starał się zapomnieć. Bez powodzenia. Dla człowieka, który raz zostanie dowódcą okrętu podwodnego, nie ma odwrotu. Tak jak pierwszy lot astronauty już na zawsze definiuje jego życie. Jest odtąd człowiekiem, który doświadczył lotu w kosmos. Podobnie kapitan okrętu podwodnego nie zapomni aż do śmierci okresu, kiedy był na morzu pierwszy po Bogu.

W tym momencie Michael Pacino zdał sobie sprawę, że Kelly McKee powróci do służby, tak jak i on wrócił. Ale trzeba uzbroid się w cierpliwość, nie można przyspieszyć tej chwili; objawi się sama. Do tego momentu Pacino będzie musiał czekać na McKee i robić swoje. Dziś jego zadaniem było picie piwa i opalanie się na tym, do przesady, luksusowym statku w otoczeniu przyjaciół.

— Podoba się panu rejs, panie admirale? — usłyszał głos Bruce'a Phillipsa.

— Mało powiedziane — odparł Pacino. — Jest po prostu wspaniale — stwierdził, po czym stuknął się z Bruce'em butelką. — Ale pan, admirale, nieźle się wpakował, wypływając ze mną w ten rejs. Powinien był pan to przemyśleć wiele lat temu. — Dowódca Operacji Morskich uśmiechnął się.

— Przyjmę ten cholerny cios, panie admirale — odparł Phillips. Była to tradycyjna odpowiedź dowódców okrętów podwodnych na niezastuzoną krytykę ze strony komisji przeprowadzającej inspekcję.

Pacino popatrzył w morze. Mijali stojące na kotwicy statki. Na fali dziobowej skoczyły dwa delfiny. Admirałowie wygrzewali się na słońcu i ciepłym wietrze.



— Panie kapitanie, sensory Szczuka dwa i trzy widzą amerykański zespół — zameldował oficer systemów komputerowych porucznik Gezlew Katmonow, stojący w kabinie projekcyjnej rzeczywistości wirtualnej, sąsiadującej z kabiną Swiatosłowa. Katmonow był utalentowanym młodzieńcem. Wyglądał, jak gdyby ktoś przez pomyłkę wyciągnął go przed chwilą ze szkoły średniej.

— Doskonale. Pierwszy, czy widzi pan cele? — zapytał Graczow.

— W tej chwili niszczyciele zbliżają się do mostu — oznajmił Michajło. — Zestaw numer jeden jest już w pobliżu mostu, zestaw numer dwa około pięciuset metrów za pierwszym, na zachód od nas; zbliża się do niego.

— Wypuścić Barrakudę jeden.

— Mina numer jeden za burtą — zameldował Swiatosłow.

Paweł założył okulary do rzeczywistości wirtualnej i rozparł się w fotelu dowódcy. Zobaczył kółko, a w nim wodę, jakby patrzył na iluminator. Okulary były w tej chwili nastawione na odbiór obrazu z pracującej w paśmie nadfioletu kamery miny numer jeden. Otoczenie kółka błyskawicznie znikło — to Barrakuda opuściła wyrzutnię torpedową. Uruchomił się turbinowy silnik miny na paliwo ciekłe z utleniaczem. Graczow zobaczył przesuające się wody zatoki. W pewnej odległości widać było pierwszy z niszczycieli. Swiatosłow kierował miną.

— Barrakuda numer dwa gotowa do wypuszczenia, panie kapitanie — zameldował Michajło. — Pokieruje nią Lynskij.

— Wypuszczać — rozkazał Paweł. Druga Barrakuda opuściła okręt i stojący w kabinie numer dwa bosmanmat Lynskij skierował ją w stronę celu, Graczow mógł przełączać sobie widok z miny jeden na dwa i z powrotem. Stwierdził, że obie zbliżają się ku niszczycielom, ponieważ ich kadłuby stały się ogromne. W momencie, gdy Barrakuda jeden znalazła się bezpośrednio pod pierwszym okrętem, Graczow miał wrażenie, że niszczy-

ciel płynie tuż nad „Wieprietem”. Barrakuda jeden podpłynęła w górę i uczepiła się kadłuba amerykańskiej jednostki. Najpierw za pomocą elektromagnesu, a kiedy zgasł jej silnik, z wnętrza miny wysunęły się dwie końcówki spawarki i Barrakuda przyspawała się punktowo. Dodatkowy system chemiczny wypuścił komponenty dwuskładnikowego kleju epoksydowego, nierozdzielnie łącząc ze sobą oba obiekty. Elektromagnes przestał pracować — prąd będzie potrzebny do zasilania komputera miny oraz obwodu detonatora. — Barrakuda jeden przymocowała się, panie kapitanie.

— Świetnie. Proszę ustawić detonator na współrzędne alfa plus ustalone opóźnienie czasowe — polecił Graczow. — Następnie odłączyć przewód.

Pozycja o współrzędnych alfa leżała około osiemdziesięciu kilometrów od amerykańskiego wybrzeża. Pierścieniowy, laserowy układ nawigacji bezwładnościowej określił, kiedy minie podane współrzędne, i uruchomił mechanizm zegarowy. Eksplozje zostały zaplanowane tak, żeby statek z admirałami został zniszczony jako pierwszy.

— Odłączyłem Barrakudę jeden. Ładuję Barrakudę pięć — zameldował pierwszy oficer.

Tymczasem druga z min przymocowała się do kadłuba drugiego niszczyciela. Wkrótce ludzie Swiatosłowa doprowadzili trzecią i czwartą Barrakudę do krążownika, a później piątą i szóstą do statku pasażerskiego. Wreszcie wszystkie kable zostały odłączone, a wszystkie wyrzutnie załadowane torpedami Bora II w celu przeprowadzenia ataku na amerykański okręt podwodny.

Graczow przestawił odbiór na widok z czujnika Antaj, którego gondola wystawała ponad gładką powierzchnię wody na wysokość zaledwie pół metra. Zobaczył, jak potężny liniowiec pasażerski przepływa pod mostem. Na chwilę opuścił banderę, a potem podniósł ją znowu. Dziwne — pomyślał Paweł. Wzruszył ramionami i oparł się wygodnie. Umocowawszy miny, nie mieli już nic do roboty poza czekaniem na ich detonacje.

— Panie kapitanie — odezwał się Swiatosłow. — Okręt podwodny.

Graczow przełączył okulary na obrazowanie pola akustycznego. Zobaczył piękny okręt podwodny, o opływowym, podobnie jak w rosyjskich jednostkach, kiosku i gondoli na górnej części steru.

— Rzeczywiście, jest — zgodził się Paweł.

— Atakujemy go? niecierpliwił się Michajło.

— Później. Zawiadomię pana.

— Co pan taki zamyślony, panie admirale?

Pacino opierał się o reling prawej burty na pokładzie spacerowym. Wiał wiatr i świeciło słońce, odbijające się jaskrawo od niewielkich fal, tak że Michael musiał mrużyć oczy. Znajdowali się na Atlantyku, trzydzieści mil morskich od portu Norfolk. Hotele i inne wysokie budynki Wirginia Beach znikwały powoli w oddali. Do admirała podeszła młoda komandor porucznik Eve Cavalla. Przebrała się już z białego munduru galowego w spódnicę i jedwabną bluzkę. Rozczesała swoje długie, kasztanowe włosy, które na służbie zawsze nosiła spięte w koński ogon. Opadały jej teraz na ramiona i twarz, rozwiewane przez wiatr. Eve zdjęła też okulary optyczne, zmieniając je na szkła kontaktowe i drogie okulary przeciwsłoneczne firmy Ray-Ban. Pacino spojrział na swoją adiu-tant i uśmiechnął się.

— Zastanawiałem się, kiedy oglądałem ten widok — odpowiedział Michael na pytanie młodej kobiety. — To było wtedy, gdy ostatni raz wypłynąłem w morze „Seawolfem”, jako jego kapitan.

— Co się wtedy zdarzyło? — spytała śmiało Cavalla, spoglądając na swojego dowódcę.

— To było podczas wojny — zaczął. — Tej dużej, trzeciej wojny światowej. Praktycznie cały czas przesiedzieliśmy w domach, ponieważ „Seawolf” był akurat w suchym doku; zmieniano mu wyrzutnie torped. Toczyła się bitwa o Iran, a ja mogłem tylko spacerować po stoczni w kasku i przyglądać się, jak rozbierają mi okręt. — Przerwał, widząc kelnera. Wziął sobie piwo. Eve — kieliszek wina.

— Jednak wysłali pana admirała w morze? — spytała.

— Cały czas staram się o tym zapomnieć — odpowiedział tylko Michael. — Była to tak tajna misja, że do tej pory nie opisano jej w gazetach. Ani w podręcznikach historii. — Roześmiał się i, niby kpiąc sam z siebie, rzucił prawdopodobny tytuł prasowy:

— „»Seawolf« wygrywa trzecią wojnę światową. Kapitan okrętu — bohaterem”.

— Jak to wyglądało? — wypytywała Cavalla z zainteresowaniem. Zsunęła okulary i popatrzyła na admirała swoimi zielonymi oczami.



— Daj mi spokój, Eve, to było tak dawno, a poza tym to i tak nie ma znaczenia. Muszę się przebrać.

Adiutant została sama przy relingu, na wpół poirytowana, a na wpół zdumiona. Pacino wrócił do swojej kabiny, zdjął mundur i popatrzył chwilę na Krzyż Marynarki, którym udekorował go kiedyś dawny dowódca Operacji Morskich, admirał Donchez, za rejs, w którym zatonął „Seawolf”. Michael uznał, że to odznaczenie miało wynagrodzić mu utratę okrętu.

Musiał szybko pozbyć się uczucia melancholii, które nagle go ogarnęło. Powiesił mundur i ubrał się w wakacyjny strój, mając nadzieję, że krótkie spodnie i koszula z krótkim rękawem przywrócą mu dobry humor. Nic z tego. Bez Colleen był jakby pozbawiony swojej drugiej połowy. Popatrzył w lustro i zagryzł wargi. Poprawił zmierzwione przez wiatr siwe włosy i wyszedł z kabiny. Kiedy wrócił na pokład spacerowy, zobaczył, że Eve oddaliła się, znajdując towarzystwo w osobie jednego z pilotów. Dwoje młodych ludzi rozmawiało teraz z ożywieniem. Pacino stanął więc przy relingu i patrzył w morze; chociaż Cavalla zobaczyła go i obejrzała się ku niemu z uśmiechem.

— Niech pan lepiej uważa, panie admirale — zawołał ktoś śpiewnie, prosto w ucho Michaelowi. Pacino obejrzał się i ujrzał wiceadmirała Paula White’a, zwanego zdrobniale Pullym, z którym przyjaźnił się od czasu wojny japońskiej i chińskiej. White pełnił obecnie funkcję zastępcy dowódcy Operacji Morskich. Był o kilka lat starszy od Pacino, o kilka centymetrów niższy i kilka kilogramów cięższy. Za to na głowie ciągle miał gęstwinę czarnych włosów, które nie zmieniły się od lat jego wczesnej młodości. Przytył, kiedy rzucił palenie. Od roku jednak White stał się prawdziwym fanatykiem ćwiczeń fizycznych. Tak się do nich przywiązał, jak niegdyś do papierosów. Musiał jakoś poradzić sobie z faktem, że jedzenie znowu zaczęło mu smakować. Pully pochodził z Filadelfii, z dzielnicy Kensington, i mówił z charakterystycznym dla tamtych okolic śpiewnym akcentem. Z początku akcent ten irytował niezmiernie Michaela, jednak obaj mężczyźni szybko stali się przyjaciółmi i dziś Pacino odbierał mowę White’a jak muzykę.

— Na co mam uważać? — zainteresował się dowódca Operacji Morskich.

— Cavalla ma na pana oko.

— Co za absurd! Przecież jestem żonaty! — skwitował Michael z irytacją. — Ta dziewczyna jest ode mnie o dwadzieścia pięć lat młodsza. I... jestem żonaty — powtórzył.

— A ona jest wolna. Patrzy na pana jak tygrys na świeże mięso.

— Pully...!

— Piękny dzisiaj dzień, nieprawdaż, sir? — zmienił natychmiast temat White.

— Rzeczywiście piękny — odparł Pacino.

— Poproszę Absolut z sokiem pomarańczowym, a dla naszego szefa kolejne piwo — zamówił Pully. — Czy nie chciałoby się w taki dzień pozostawić na brzegu wszystkich telefonów, radiodbiorników i komputerów?

— Pewnie. Ale czy przypadkiem nie wspomina pan o nich z jakiegoś konkretnego powodu? — zapytał Michael.

White nachmurzył się. Był zaniepokojony. Rozejrzał się, czy nikt nie słyszy, i wyjaśnił:

— Faktycznie, Lepiej niech pan założy na chwilę z powrotem swoją admiralską czapkę, sir. Pół godziny temu wypłynął w morze „Admirał Kuzniecowa”. Ukraińcy robią to, czego się obawialiśmy. Naprawdę i teraz. Sytuacja rozwija się dokładnie tak, jak przewidzieliśmy w naszej symulacji.

Pacino pokiwał głową, zastanawiając się nad sytuacją.

— Czy mamy jakieś informacje na temat ukraińskich sił podwodnych? — spytał.

— Nic, sir. Od czasu katastrofy „Wiepria” wszystkie ich okręty tkwią w porcie z wyłączonymi maszynami.

— Pewnie musieli wstrzymać ich rejsy.

— Dobrze byłoby to wiedzieć, zamiast zgadywać, panie admirale — zauważył White.

— Musimy pogadać z Numerem Cztery z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego — stwierdził Michael. Numerem Cztery nazywali dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, swojego dobrego znajomego, nazwiskiem Mason Daniels IV. Zwano go również Jackiem Danielsem. — Daniels powinien dokładniej przechwytywać rozmowy prowadzone z baz marynarki wojennej. Musimy wiedzieć, co knują Ukraińcy.

— Spróbuję zorganizować rozmowę wideo z Numerem Cztery na dziś wieczór — zaofiarował się White.

Pacino zastanowił się znów. Tego dnia nie mieli w planie nic szczególnego poza odpoczynkiem. Pierwsze dyskusje miały rozpocząć się dopiero we wtorek, czyli nazajutrz rano.

— Dobra, zobacz, co się da zrobić — zgodził się.

Pully poszedł, a Michael znowu popatrzył w morze. Norfolk pozostał daleko w tyle. Teraz wokół statku widać było tylko niebo i ocean oraz trzy okręty nawodne z eskorty. Ulokowały się w różnych odległościach i z różnych stron „Princess Dragon”, niczym wokół lotniskowca. Kilka mil za rufą można było także dostrzec „Devilfisha”, okręt podwodny klasy SSNX — choć wystawał z wody tylko tyle, że lepiej było widać jego kilwater niż samą jednostkę. Przeleciała mewa. Koło dziobu wyskoczył z wody samotny delfin. Pacino uśmiechnął się. Nie sposób było się niepokoić w takim otoczeniu. Na chwilę ogarnęło go uczucie zadowolenia ze świata, z życia, z sytuacji. Michael nie dociekał, czy źródła tego uczucia należy szukać w piwie, czy w pięknie oceanu, tylko zwyczajnie cieszył się nim.



— Czy chce pani komentować scenę na bieżąco, z helikoptera?! — zawołał operator do swojego mikrofonu. W wielkich słuchawkach Victorii Cronkite, w których wyglądała trochę jak Myszka Miki, głos kamerzysty zabrzmiał trochę zniekształcony pośród licznych trzasków.

— Nie! — krzyknęła w odpowiedzi Victoria. — Podłożę spokojnie głos w studiu! Przez ten łoskot prawie się sama nie słyszę, a nie znoszą wrzeszczeń na antenie jak kretyńka!

Cronkite potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu swoje długie, kruczoczarne włosy. Była reporterką i producentką programu telewizyjnego kanału informacyjnego Satellite News Network. Przyleciała z Waszyngtonu do Norfolku, żeby zrobić reportaż z wypłynięcia admirałów marynarki w rejs na Karaiby luksusowym statkiem pasażerskim. W życiu nie była świadkiem tak ostentacyjnego tracenia pieniędzy podatników. Nie będzie przedstawiać swoich reportaży codziennie. Rejs nie był aż tak wielką sensacją, żeby bez przerwy mówić o nim w wieczornych wiadomościach. Szef kazał Cronkite zrobić jeden reportaż z całego wydarzenia. Zostanie puszczony pod etykietką „korespondencje — poufne”, co nada mu od razu odpowiedni charakter. Oczywiście, w tej sytuacji komentarz można było dograć w studiu.

Victoria zobaczyła, że Doug coś krzyczy.

— Co?! — zapytała.

— Komentuj lepiej na gorąco, Vicky! — powtórzył kamerzysta. — Głos z helikoptera będzie brzmiał bardziej dramatycznie! Wiesz, coś w rodzaju: „Jesteśmy ponad pół kilometra nad konwojem marynarki Stanów Zjednoczonych, który zamiast strzec naszej polityki zagranicznej, pilnuje wielkiej walizy z kostiumami kąpielowymi!”. To robi większe wrażenie niż sterylna wersja studyjna!

— Dobra! — zgodziła się Cronkite. — Ale wiesz, że tu nie jestem w stanie panować nad głosem! Jeśli okaże się, że to brzmi jak wołanie wariatki, skasujemy głos i nagramy go na nowo! Możemy dodać w tle łoskot helikoptera!

Kamerzysta roześmiał się.

— Gotów, trzy, dwa, jeden, zero, start! — krzyknął.

Victoria natychmiast zmieniła ton na „telewizyjny”, jak go nazywała.

— Mówi Victoria Cronkite z wiadomości SNN! Jak państwo widzą, znajduję się nad wodami Hampton Roads oraz pięcioma okrętami naszej marynarki, które wypływają z Norfolku w tajnej misji! Wśród okrętów są dwa niszczyciele, „Tom Clancy” i „Christie Whitman”, oraz wielki krążownik rakietowy o napędzie atomowym „Hyman Rickover”! Jest także najnowszy okręt podwodny SSNX „Devilfish”! Ciekawi są państwo, co to za misja?! Na czym polega zadanie tych groźnych okrętów najwyższej klasy?!

Cronkite kontynuowała w podobnym tonie. „Princess Dragon” przepływał właśnie pod mostem na końcu zatoki Chesapeake.



Pierwsza Barrakuda umocowała się do pasażerskiego liniowca mniej więcej w jednej trzeciej odległości od dziobu, jakieś pięć metrów za mostkiem, na wysokości centrum łączności nawigacyjnej. Spawy oraz epoksydowy klej pewnie trzymały minę na miejscu.

Ładunek trwał w uśpieniu — jedynymi pracującymi wciąż systemami był pierścieniowy, laserowy układ nawigacji bezwładnościowej oraz komputer. Odmierzały czas i śledziły pozycję statku. Kiedy „Princess Dragon” znalazła się w odległości osiemdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Norfolku, zaprogramowane opóźnienie czasowe wyniosło zero. Nadszedł moment aktywacji układu zapalnika.

Na rozkaz procesora układ uruchomił się. Po szybkiej samokontroli urządzenia komputer przesłał mu sygnał odpalenia małych ładunków wybuchowych na przeciwnych końcach miny. Do ładunków, o rozmiarach palca, dopłynął w odstępie dziesięciu mikrosekund silny prąd. Oporność materiału wybuchowego sprawiła, że błyskawicznie rozgrzały się do temperatury spalania. Nastąpiły eksplozje, skierowane przez obudowy ładunków w kierunku środka miny. Fronty płomieni przeszły przez otwory o średnicy dwóch centymetrów, mijając zasłaniające je normalnie grube, metalowe płytki, chroniące przed przypadkowym wybuchem miny. Teraz, po uzbrojeniu miny, płytki były otwarte i płomienie dotarły do kolejnych ładunków, o pięciokrotnie większej sile wybuchu, których nie można było odpalić zwykłym sygnałem elektrycznym.

Ładunki, wielkości puszki napoju każdy, także były osłonięte grubą warstwą metalu z każdej strony — tylko nie od środka miny. W tym kierunku rozwinęły się więc ich eksplozje. Czekają na nie ładunki główne.

Dwa główne ładunki były ułożone w kształcie litery V, tak, aby i ich siła wybuchu skoncentrowała się w jednym kierunku. Ekspłodowały jednocześnie, ku samemu środkowi Barrakudy.

Napotkały po drodze dwa stożki plutonu, popychając je gwałtownie ku nieregularnej, plutonowej kuli, umieszczonej w centrum miny. Cały pluton ścisnął się w zagęszczoną kulę. Eksplozja jądrowa, która miała teraz nastąpić, była tylko zapalnikiem głowicy plazmowej. Pluton wyglądał na razie podobnie jak przedtem, tyle że trzy oddzielne jego elementy zostały położone w jeden. Miało to zasadnicze znaczenie, ponieważ stosunek jego powierzchni do masy zmalał nagle i swobodne neutrony powstałe z samorzutnego rozpadania się jąder atomów plutonu rzadziej uciekały w przestrzeń, a w większości uderzały w jądra innych atomów, powodując z kolei ich rozpad.

Powstawało przez to coraz więcej swobodnych neutronów, które powodowały rozpad coraz większej ilości atomów i tak dalej. Tempo reakcji gwałtownie narastało — innymi słowy, nastąpiła reakcja łańcuchowa. Rozpad plutonu wiązał się z wydzielaniem energii i wkrótce jego temperatura wzrosła z dwudziestu stopni Celsjusza do dwustu stopni, potem dwóch tysięcy, dwudziestu tysięcy i dalej. Energia wybuchającej bomby atomowej zadziałała na pojemniki z ciężką wodą, zawierające ciężki wodór — deuter. Jądra deuteru zaczęły łączyć się. Powstawał hel. Masa tworzącego się w fuzji jądrowej helu była nieco mniejsza niż deuteru, z którego powstawał. Różnica owych mas zamieniała się w energię. W końcu cały zasób plutonu rozpadł się, a cały deuter przemienił w hel. Temperatura w centrum głowicy wzrosła w międzyczasie do dwóch milionów stopni, a później do dwudziestu milionów.

Jak na razie nastąpił wybuch zwykłej bomby, ten spowodował eksplozję, bomby atomowej, a ta z kolei — wodorowej. Gdyby głowica miny Barrakuda nie zawierała więcej żadnych urządzeń, jej eksplozja wywołałaby powstanie radioaktywnego grzyba o średnicy dwóch kilometrów i późniejszy opad promieniotwórczy — koszmar minionego, dwudziestego stulecia.

Jednak potężniejsza od atomowej bomba wodorowa była również tylko zapalnikiem — bomby plazmowej. Pomiędzy zasobnikami z deuterem znajdowała się mieszanina substancji, która dodała jeszcze całej eksplozji mocy, Średnica wybuchu wodorowego osiągnęła zaledwie pół metra i wtedy potworne temperatury zaktywizowały coś, co fizycy nazwali „gwiazdnym pyłem”. Efekt „gwiazdnego pyłu” został osiągnięty i zbadany w akceleratorach przeciwbieżnych wysokiej energii na początku dwudziestego pierwszego stulecia. Przed końcem jego pierwszej dekady wykorzystywano już ów efekt praktycznie. Powodował zamknięcie całej, straszliwej energii wybuchu atomowego czy wodorowego w małej objętości. Termiczna energia eksplozji była powstrzymywana przed błyskawicznym rozprzestrzenieniem się przez gwałtownie powstałe pole magnetyczne niewiarygodnie wysokiej mocy. Zamknięta wewnątrz sfery o niewielkich rozmiarach eksplodująca masa rozgrzewała się jeszcze bardziej, aż do dwustu milionów stopni. Przy takiej temperaturze elektrony odrywały się od jąder atomów i uciekały w przestrzeń; za nimi podążała potężna fala promieni gamma. W tej chwili w miejscu, gdzie przed chwilą był fragment spodu kadłuba wspaniałego statku pasażerskiego, znajdował się metr sześcienny niewiarygodnie rozgrzanej plazmy, niczym wykrajany kawałek piekła.

W ciągu pierwszych dwóch dekad dwudziestego pierwszego wieku zdążono zawrzeć i zrealizować międzynarodowe porozumienia zakazujące posiadania broni atomowej i wodorowej. Całe jej zapasy udało się zniszczyć. W którymś jednak momencie odbył się test pierwszej na świecie bomby plazmowej. Zademonstrowali go fizycy jądrowi ze słynnych laboratoriów firmy DynaCorp z Los Alamos, w stanie Nowy Meksyk, w USA. Był to pokaz triumfu techniki nad potęgą atomu. Zbudowano makietę całego miasta,

a w nim budynek, w którym umieszczono bombę plazmową. Eksplozja nie zniszczyła miasta. Cała energia wybuchu skupiła się w jednym pokoju budynku, gdzie ją podłożono. W betonowych ścianach wyparowała idealna kula, po czym budynek rozsypał się tylko i wyłącznie z powodu niewiarygodnej temperatury. Nie było przerażającego promieniowania radioaktywnego rozprzestrzenionego na wielkim obszarze ani fali uderzeniowej, która zmiotłaby z powierzchni ziemi wszystko w otoczeniu kilku kilometrów. Te dwa czynniki właśnie spowodowały zakaz posiadania i używania broni atomowej. Bomba plazmowa, w odróżnieniu od swoich poprzedniczek, nie była bronią masowego rażenia. Była czymś w rodzaju bomby zapalającej, przy pomocy której można było niszczyć z chirurgiczną precyzją. W ciągu kilku miesięcy amerykańskie siły zbrojne pozamieniały głowice kierowanych laserem bomb i raket samosterujących z konwencjonalnych na plazmowe.

Pierwszy test broni plazmowej w rzeczywistych warunkach został przeprowadzony na poligonie podwodnym na Bahamach. Ówczesny kapitan Michael Pacino obserwował detonację głowicy torpedo-rakiety Vortex. Było to w pierwszych dniach trzeciej wojny światowej, jak nazwano wojnę ze Zjednoczonym Islamskim Frontem Boga.

Kilka tygodni później po raz pierwszy użyto broni plazmowej w walce. Michael Pacino zniszczył przy pomocy Vorteksa wielki, ultranowoczesny okręt podwodny Frontu, w którym znajdował się jego dyktator. Wprawdzie dowodzony przez Michaela „Seawolf” rozpadł się od wybuchów torped Nagasaki, jednak śmierć przywódcy Frontu przyczyniła się do szybkiego zakończenia trzeciej wojny światowej i zawarcia pokoju. Incydent pod powierzchnią Morza Labradorskiego pozostawał dotąd nieznanym opinii publicznej, objęty klauzulą najwyższej tajności.

Drugi raz użyto broni plazmowej podczas operacji Oświełona Kurtyna, kiedy wiceadmirał Michael Pacino ostrzelał japońskie okręty podwodne klasy Przeznaczenie II torpedo-rakietami Vortex Mod Bravo. Niemal wszystkie japońskie jednostki spoczęły na dnie Pacyfiku.

Trzeci raz posłużono się bronią plazmową podczas drugiej chińskiej Wojny domowej. Gdy Czerwone Chiny zaatakowały Białe Chiny, użyły głowic plazmowych podczas bombardowania Szanghaju i Hongkongu, a później przeciwko amerykańskim Siłom Szybkiego Reagowania, prowadzącym operację Biała Nadzieja. Chińczycy użyli technologii wykradzonej Japończykom. Z porwanych japońskich okrętów podwodnych wystrzelono plazmowe torpedy przeciw amerykańskim siłom nawodnym. Bitwę wygrali jednak Amerykanie, a konkretnie wiceadmirał Pacino i jego Vorteksy Mod Bravo i Charlie.

Później niektórzy będą mówić, że to przeznaczenie sprawiło, iż statek wiozący admirała Michaela Pacino — pierwszego człowieka na świecie, który strzelał do nieprzyjaciela bronią plazmową, został zaatakowany przy użyciu ruchomej miny z plazmową głowicą, której wybuch można porównać do zapalenia się na chwilę małego słońca.

Czy był to wyrok losu, jego ironia, czy tylko zwykły przypadek, kula plazmy wgrzyła się w kadłub „Princess Dragon” i zapaliła go, zmieniając wspaniały statek we fragment dantejskiego piekła. Wkrótce na wodzie pozostaną tylko płonące i dymiące szczątki.



Admirał Michael Pacino patrzył w przesuającą się wzdłuż kadłuba wodę. Działo to odrobinę hipnotyzujące. Wtedy to się stało.

Na początku zobaczył błysk. Morze wokół śródkręca zmieniło nagle kolor na ognistą czerwień. Oczy Pacino rozszerzyły się ze zdumienia, podczas gdy czerwony blask rozprzestrzenił się na boki, tworząc wokół statku gigantyczne koło. Następnie Michael zwrócił uwagę, że wszystko inne jakby zatrzymało się. Fale, wiatr, sam upływ czasu. Przelatująca jakieś trzy metry od niego mewa też trwała w miejscu. Wtedy Pacino zorientował się z przerażeniem, że to tylko jego subiektywne wrażenie, spowodowane potężną dawką adrenaliny.

Czerwone światło miało średnicę około połowy długości „Princess Dragon”, Zmieniło odcień z jaskrawej czerwieni na blednący, połyskujący pomarańcz. Kolory wprawdzie gasły, jednak powierzchnia wody zbieła, zmieniając się w pianę, a potem wystrzeliły w górę fontanny gotującej się kipieli. Zupełnie jakby ktoś uruchomił silnik rakiety, ustawionej do góry nogami. Pacino uświadomił sobie, że całe to przerażające zjawisko przebiega w absolutnej ciszy. Chyba że coś go kompletnie ogłuszyło. Nie było jednak czasu na rozważania. Mewa została powoli uniesiona podnosząc się wokół chmurą, której energia połamała ptakowi skrzydła.

Michael poczuł, że pokład przechyla się na lewą stronę, o pięć stopni, dziesięć i więcej. Miał dość czasu, aby spojrzeć za burtę, i poczuł się, jakby zaglądał do piekła. Zamiast oceanu zobaczył tylko ogień; morze pomarańczowych płomieni podnosiło się powoli wzdłuż kadłuba. Zdążył się w porę cofnąć i ściana ognia minęła miejsce, gdzie przed chwilą trzymał głowę.

Zorientował się, że pada na pokład, prawdopodobnie podcięty podmuchem dziwacznej eksplozji. Lecąc, zwrócony twarzą do rufy, zobaczył, że z kadłubem statku dzieje się coś niezwykłego. Na jego oczach wielki liniowiec pękł na pół; rozpadlina pomiędzy obiema częściami powiększała się aż w końcu ta rufowa pochyliła się na prawą burtę, a dziobowa, na której się znajdował, na lewą. Widać było jakby przekrój statku i niższy pokład w części rufowej oraz ludzi, toczących się po nim powoli.

Wokół Pacino także przewracali się ludzie, uderzając w pokład. Miał wrażenie, że wszystko to dzieje się w zwolnionym tempie. Kobieta w krótkiej spódnicy trzasnęła w ścianę, w dziwnej pozycji, z nogami powyżej głowy, z której bryzgnęła krew i jeszcze coś szarego. Mózg, Ciało opadło na plecy, przygniatając nienaturalnie wykręconą

rękę. Jedna z nóg złamała się, na białej ścianie pozostał krwawy ślad. Ściana znajdowała się już poniżej Michaela, zamieniwszy się w podłogę; połówka statku musiała bardzo mocno się przechylić.

Do tej pory nie było żadnego dźwięku. Dopiero w tym momencie admirał usłyszał straszliwy łoskot eksplozji. Jakby ktoś odkręcił nagle wycelowane w jego uszy węże przeciwpożarowe.

Tylna połowa statku zdążyła już tak się obrócić w stosunku do przedniej, że Pacino spostrzegł kątem oka niebieski kolor spodu kadłuba, później jego szerniałą część i wreszcie pozbawiony resztek farby metal stępki. Potem, wszystkie te niesamowite obrazy zostały przysłonięte przez dym. Wokół pojawiły się płomienie i czarne opary. Pole widzenia Michaela ograniczyło się do trzech-czterech metrów.

Chwilę później uderzył w końcu w pokład. Kontakt z twardymi, wypolerowanymi deskami jakby przywrócił admirała do rzeczywistości. Dopiero teraz odczuł przerażenie. Przeleciały nad nim dwa ciała i uderzyły w tę samą ścianę co przedtem kobieta; one także się połamały. Pacino jechał ku nim po nachylonym pokładzie, aż trafił głową w czyjąś klatkę piersiową. Zamroczyło go nieco i poczuł mdłości. Nie tylko z powodu kwaśnego smrodu pożaru i świadomości kontaktu z trzema zmasakrowanymi ludzkimi ciałami, ale i z powodu ruchu kadłuba statku. Pokład stanął całkiem pionowo, a ściana była teraz równą podłogą. Trwało to tylko moment, gdyż deski pokładu zaczęły przechylać się nad głową admirała; połówka statku przewracała się do góry dnem. Pacino popatrzył w stronę relingu, przy którym jeszcze niedawno stał. Zobaczył niebo pomiędzy kłębami dymu. Pokład powoli stawał się sufitem. Dym przesłonił fragmenty nieba całkowicie, a potem rozległ się plusk — reling uderzył w morze.

Znaczyło to, że przednia połowa kadłuba obróciła się do góry dnem. Dlaczego nie jestem pod wodą? — zastanawiał się admirał. Instynktownie wciągał w płuca przepętnione dymem powietrze i, jak na zawołanie, uderzyła w niego czarna fala wody, twarda niczym pięść. Łoskot fal i wybuchów brzmiał pod wodą głębiej i bardziej basowo. Miał wrażenie, że ktoś wciska mu w głowę bębenki uszu. To wysokie ciśnienie. Został zagarnięty przez statek głęboko pod wodę. Muszę się stąd wydostać! — pomyślał z przerażeniem.

Wstrzymując oddech, zaczął pracować rękami jak szalony, kopać nogami, byle tylko oderwać się od tonącego statku. Zaczynał już wpadać w panikę, kiedy poczuł dłońmi reling, a głową deski pokładu. Machinalnie przywarł do relingu, pracując nogami, aby znaleźć się po jego drugiej stronie. Wiedział, że jeśli to się nie uda, nadburcie zabierze go ze sobą w głębinę. Udało się i po chwili był po prostu zanurzony w czarnej toni.

Zorientował się, że ma zamknięte oczy, i zmusił się do ich otwarcia. Jeżeli popłynie w złym kierunku, utonie. W uszach strzelało mu tak, że musiał być co najmniej z pięćnaście metrów pod wodą, a równie dobrze mogło to być trzydzieści albo nawet pięćdziesiąt. Jedyne, co mogło go ocalić, to szaleńcza ucieczka ku powierzchni.



Mimo otwartych oczu Michael nic nie zobaczył. Ciemność i straszliwe dźwięki następujących w głębinie wybuchów działały paraliżująco. Pacino usiłował zapanować nad lękiem, bojąc się, że utraci zdolność logicznego myślenia.

Wtedy nastąpiły kolejne eksplozje, rozświetlające świat wokół niego przerażającym blaskiem. Po lewej zobaczył na moment gigantyczny, tonący kadłub statku. Był przewrócony do góry dnem. Poszarpany fragment od strony śródokręcia tonął pierwszy; dziób sterczał żałośnie ku górze. Michaelowi wydało się, że zobaczył też fale ponad sobą. Statek był tak wielki, że końcówka dziobu była odległa i niewyraźna. Komin wyraźnie celował w dół. Pacino stwierdził, że musi znajdować się na głębokości około sześćdziesięciu metrów. Opadający kadłub wciągał go ze sobą coraz niżej. Admirał sam nie wiedział, co było gorsze — czy możliwość zobaczenia, jak olbrzymi, rozerwany kadłub tonie w złowrogim świetle plazmowej eksplozji, i uświadamianie sobie, jak głęboko go wciągnęło, czy pozostawanie w nieświadomości, Światło zgaśło szybko, jak błyskawica.

Michael popadł nagle w przerażenie. Jak małe dziecko, które nawiedził senny koszmar. Miał ochotę krzyczeć ze strachu. Piekły go oczy. Nie wiedział, czy od łez, czy od kontaktu ze słoną wodą. Zrozumiał, że wkrótce umrze, że tak właśnie będzie wyglądał koniec jego ziemskiego życia. Często o tym myślał. O ostatnim momencie swojego pobytu na Ziemi. Mimo że kiedyś przebił się uszkodzonym „Devilfishem” przez warstwę lodu, przeprowadzając awaryjne wynurzenie, wydostał się z rozerwanego kadłuba „Seawolfa” i wyciągnięto go z wraku „Ronalda Reagana” w tydzień po tym, jak spadł na niego w płomieniach myśliwiec — Pacino nigdy nie miał takiego jak teraz poczucia ostatecznego końca. Nagle stanęły mu przed oczami wszystkie poprzednie spotkania ze śmiercią i zobaczył je jako wydarzenia, które uczyniły go kolejno coraz mocniejszym. To, co się działo wokół niego teraz, widział jako koniec ziemskiej wędrówki. Uświadomiwszy to sobie, Michael popadł jednak w straszliwy gniew i zdecydował, że wbrew wszystkiemu będzie żył dalej. Zagryzł wargi do krwi i zaczął, ile sił w rękach i nogach, płynąć ku powierzchni.

Posuwał się w kierunku, w którym zobaczył fale. Czuł ogromny nacisk na klatkę piersiową; ciśnienie wody było na tej głębokości wysokie. W uszach czuł taki ból, jakby bębni pękły mu od łoskotu eksplozji lub potężnego naporu wody. Płynął i płynął, zdało mu się, że kilka minut. Wreszcie skończyło mu się powietrze. Zastanawiał się, czy przez cały czas ściągał go w dół wir wywołany przez tonący statek i czy nie obrał niewłaściwego kierunku pod wpływem zawrotów głowy wywołanych eksplozją. Ciśnienie powinno już było do tej pory zmaleć. Wkrótce okaże się, że jest za późno, żeby coś z tym zrobić — pomyślał. Wytrzyma może jeszcze z minutę.

Płynął dalej, licząc ruchy. Przykazał sobie dojść do sześćdziesięciu. Udało mu się osiągnąć czterdzieści, potem pięćdziesiąt i sześćdziesiąt. Niestety nic nie wskazywało na to, żeby znalazł się w pobliżu powierzchni. Płynął jednak dalej. Zaczął odczuwać wy-

czerpanie. Ledwie mógł poruszać kończynami. Nie był w stanie trzymać głowy uniesionej do góry. I skończyło mu się powietrze. Starał się mieć przez cały czas otwarte oczy, żeby dojrzeć ślad powierzchni oceanu; wokół niego wciąż jednak była tylko czern. Nie potrafił już zwalczyć odruchów oddechowych, choć wiedział, że gdy wciągnie wodę do płuc, wpadnie w panikę i wkrótce utonie. Nie mógł jednak już nic na to poradzić.

Złość i determinacja minęły. Pacino czuł się, jak gdyby miał co najmniej dziewięćdziesiąt osiem lat. Wraz z wyczerpaniem fizycznym przyszła rezygnacja. Nie był w stanie zrobić niczego, co mogłoby przybliżyć go do ocalenia. Być może tak właśnie miało być. Miał zginąć tu i teraz.

Próbował jeszcze powstrzymać oddychanie, jednak siły skończyły się. Utracił kontrolę nad swoim ciałem. Otworzyły mu się usta, a płuca rozciągnęły się i wypełniły piekącą wodą. Nadeszła panika, gorsza niż wszystko, czego do tej pory doświadczył. Szarpał kończynami, już bez udziału woli, Czern, którą widział, stawała się jeszcze czarniejsza. Czuł okropny ból w piersiach, jak gdyby nadział się na jakiś ogromny haczyk. Na szczęście ta część świadomości, która rejestrowała ból, przestawała stopniowo funkcjonować. Czern ogarniała teraz umysł Michaela. Czarny tunel zastąpił wszelkie światło. Pacinowi przypomniało to gasnący obraz wyłączzonego telewizora. To był ostatni przeblysk racjonalnego myślenia. Mała iskierka w morzu czerni. Potem to małe światełko wyblakło i zgasło. Jakimś nadprzyrodzonym sposobem Michael usłyszał głosy, najpierw niewyraźnie, potem głośniejsze i bardziej selektywnie. To nie były głosy z tego świata. Należały do jego ojca, Dicka Doncheza, członków załogi jego starego „Devilfisha” i tych, którzy zginęli w „Seawolfie”. Wszyscy oni teraz żyli. Michael widział swojego ojca, widział go, jak gdyby stał przed nim. Ojciec był młody, jak wtedy, gdy Pacino był małym chłopczykiem. Wydawał się wielki, wysoki — jak w czasach dzieciństwa Michaela. Ubrany był w białą szatę, od której bił taki blask, że niemal raził oczy.

Michael poczuł, że ojciec go obejmuje i przemawia do niego łagodnym głosem. Wraz z dotykem ojca przyszedł spokój. Potem po drugiej stronie Michaela znalazł się młody i pełen życia Dick Donchez. Obaj szli obok Michaela, unosząc go, a Pacino usłyszał sam siebie, jak wymawia imię ojca. Usłyszał śmiech ojca. Zawołał wtedy imię Doncheza i Dick także się roześmiał. W tym momencie Michael Pacino zrozumiał nagle, że gdzieś doszedł. Osiągnął cel wędrówki, miejsce lepsze niż poprzednie. Cały smutek, cały ciężar, który spoczywał na barkach Michaela od tylu lat, od chwili zatonięcia starego „Devilfisha”, został z niego nagle zdjęty.

Victoria Cronkite, która patrząc na piękny, biały statek, mówiła, co jej przychodziło do głowy — wiedziała, że w studiu będzie musiała wprowadzić wiele poprawek do tego komentarza — urwała nagle w pół zdania, ponieważ zobaczyła, że woda wokół „Princess Dragon” stała się nagle krwistoczerwona. W mgnieniu oka czerwień rozprzestrzeniła się na odległość równą mniej więcej długości statku. Cronkite patrzyła na to oniemiała, próbując zrozumieć, co się dzieje. Czerwień znikła równie szybko, jak się pojawiła i zaraz potem woda wokół statku wytrysnęła w górę białymi fontannami, jak gdyby pod liniowcem wybuchła bomba atomowa. Gigantyczna, poszarpana kipiela uniosła się dookoła „Princess Dragon”, na ułamek sekundy zasłaniając piękny kadłub. Później ukazał się on znowu, ale już objęty ze wszystkich stron pomarańczowymi płomieniami. Ognista kula rosła w górę, przechodząc w grzyb. Jego wierzchołek był czarny od dymu i zbliżał się powoli do helikoptera.

Wtedy Victoria usłyszała odgłos, jakby ktoś wystrzelił z działa prosto w jej ucho. Najpierw myślała, że całkiem ogłuchła. Jednak po chwili usłyszała szum przypominający odgłos górskiego potoku, lecz o wiele gwałtowniejszy i tak potężny, że zagłuszył łoskot śmigłowca.

Helikopter poderwał się dwanaście metrów w górę, a potem opadł trzydzieści metrów, silnie szarpiąc. Cronkite zdarła z głowy słuchawki i wyjrzała za burtę, wybałuszając oczy. Próbowwała patrzeć ponad kamerą Douga „Princess Dragon” ledwie była widoczna pośród dymu i płomieni. Victoria zobaczyła jednak, że wielki kadłub statku rozdziera się na pół. Po krótkiej chwili dziób pochylił się na lewo, a rufa na prawo, aż przewróciła się do góry dnem, które na przeważającej części powierzchni zamiast niebieskie, było czarne i osmalone. Wkrótce rufa zniknęła pod wodą. Płomienie widniały teraz i na powierzchni — musiało płonąć rozlane paliwo albo jakieś szczątki. Dziób zatonął po trochę dłuższej chwili, wybuchł komin, nadbudowa kładła się, aż wyłonił się z wody czarny spód statku.

— Czy ty to sfilnowałeś...?! — zawołała Victoria. Ledwie było ją słychać pośród hałasu śmigłowca i cichnących odgłosów eksplozji. Sama miała wrażenie, że w połowie przynajmniej utraciła słuch.

— Mam wszystko! — krzyknął Doug. — Mów komentarz na gorąco! Pozostawie włączoną kamerę! Daj mi piętnaście sekund!

Victoria popatrzyła na kotłujący się ocean, w miejscu gdzie przed chwilą pękł, spłonął i zatonął w ciągu niecałej minuty statek pasażerski większy niż każdy z bliźniaczych wieżowców World Trade Center. Zaczęła zastanawiać się, co można powiedzieć, ale w tym momencie z trzema okrętami wojennymi — które skręciły szybko ku miejscu katastrofy — zaczęło dziać się dokładnie to samo, co z liniowcem. Kamera Douga nagrała wszystko.



Kilka sekund po tym, jak z miejsca, gdzie znajdowała się „Princess Dragon” zaświecił oślepiający blask, mostkiem „Devilfisha” wstrząsnęła potężna eksplozja.

Karen Petri patrzyła akurat ku rufie, gdyż chciała sprawdzić, czy lotniskowiec wypływa już z Hampton Roads. Niebo rozświetliło się nagle za jej plecami, blask odbił się od masztów i anten kiosku. Oficer pokładowy i obserwatorzy krzyknęli, ale ich głosy natychmiast zagłuszył ciężki, pulsujący ryk wybuchu — tak potężny, że czuło się go głęboko w piersi. Karen odwróciła się i oszołomiona zobaczyła, że statek z admiralicją znikł we wznoszącej się ku niebu ognistej kuli. Kiedy po niedługim czasie chmura dymu w kształcie grzyba rozwiała się, Petri stwierdziła z przerażeniem, że gigantyczny liniowiec pękł na pół, a jego oderwane od siebie części przewróciły się i tonęły tak szybko, jak gdyby wciągała je pod wodę jakaś niewidzialna ręka. Patrzyła na to z otwartymi ustami.

Miała właśnie wydać rozkaz jak najszybszego zbliżenia się do ginącego statku w celu wyłowienia jakichś rozbitków, kiedy jeden po drugim eksplodowały niszczyciele. Takie same jak poprzednio ryczące eksplozje rzuciły oficerów o zrębnicę mostka i w miejscu dwóch okrętów wojennych powstały grzyby rozwiewającego się dymu. Jedynym rozpoznawalnym przedmiotem w lornetce komandor Petri był fragment rufy drugiego z kolei niszczyciela z wypisaną dużymi literami nazwą — USS TOM CLANCY. Widać ją było tylko przez ułamek sekundy, zanim zniknęła w dymie. Gdy się rozwiął, na powierzchni oceanu nie pozostawało już nic.

— Trzymam mostek! Maksymalna cała naprzód! — rozkazała instynktownie Karen, wyrwawszy Dietzowi z ręki mikrofon. — Podać kurs na „Princess Dragon”!

— Kurs jeden zero pięć...! — odpowiedział łamiącym się głosem nawigator.

— Ster, tu kapitan, kurs jeden zero pięć! — poleciła Petit Niknący pomału dym w miejscu, gdzie płynął liniowiec z dowództwem marynarki, znajdował się w odległości około jednej mili morskiej. Przy prędkości trzydziestu węzłów znajdą się tam za dwie minuty.

Nieco z boku widać było profil krążownika „Hyman Rickover”, który także zbliżał się z pomocą ku miejscu tragedii. Jednak po chwili Karen oślepił błysk. Krążownik eksplodował w ognistej kuli i zaczął tonąć.

Dietz wpatrywał się w ponurą scenę z otwartymi ustami. Petri nie wiedziała, skąd czerpie siłę, która pozwoliła zachować jej chłodny umysł, podczas gdy otaczający ją mężczyźni stali bezradni i osłupiali. Dziękowała tylko Bogu za dotychczasowe ocalenie i prowadziła swój okręt tam, gdzie zatoneła „Princess Dragon”.



Przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, admirał Dick O’Shaughnessy, spojrział w górę na stojący nad jego głową naddźwiękowy bombowiec. Samolot przyleciał do Bazy Sił Powietrznych Andrews, aby on, głównodowodzący amerykańskich sił zbrojnych, mógł przeprowadzić jego inspekcję. Znajdujący się obok O’Shaughnessy’ego szef Sztabu Sił Powietrznych Paul Gugliamo oraz szef sztabu Armii Nick Nickers tłumaczyli mu z dumą, jakie znaczenie ma zbudowanie tego bombowca. Mieli właśnie odprowadzić swojego szefa na pokład, kiedy pasem startowym nadszedły cztery czarne, terenowe, sztabowe lincolny z migającymi światłami na dachach.

Nickers popatrzył na nie, zaciekawiony, Gugliamo zrobił parę kroków naprzód, jakby chciał szybciej dowiedzieć się, co się dzieje. Samochody jechały z prędkością około stu kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Zaczęły hamować dopiero w ostatniej chwili i zatrzymały się tuż przed bombowcem. Jeszcze zanim stanęły, wszystkie ich drzwi otworzyły się i wypadli z nich komandosi z wyciągniętymi karabinami maszynowymi. Na ich polowych mundurach widać było granaty. Dowódca trzymał w rękach dwa pistolety maszynowe — w jednej MAC-12, w drugiej Uzi. Po jednej sekundzie od zatrzymania się samochodów trzech najwyżsi dowódcy byli już otoczeni.

— Kod siedem! — rzucił krótko dowódca plutonu, jednocześnie chwytając O’Shaughnessy’ego za ramię i ciągnąc go do jednego z pojazdów. Wrzucił go niemal do środka, tak że starszawy admirał zderzył się ramieniem z komandosem wskazującym z drugiej strony. Wszystkie drzwiczki zatrzasnęły się i wóz gwałtownie ruszył. Obaj generałowie także znaleźli się w lincolnach, każdy w innym, i wszystkie samochody rozjechały się w różnych kierunkach. O’Shaughnessy zdjął przekrzywioną czapkę, popatrzył chmurnie na siedzącego przed nim komandosa i spytał:

— Co się dzieje?

— Wolno mi zameldować tylko, że chodzi o kod bezpieczeństwa siedem, panie admirałe — odparł indagowany — do chwili, kiedy znajdzie się pan w bunkrze Narodowego Centrum Dowodzenia Wojskowego.

Głównodowodzący nie pamiętał dokładnie, co znaczy „kod siedem”. Wiedział tylko, że jest to coś związanego z alarmowym postępowaniem dotyczącym najwyższych dowódców wojskowych. Przypominał sobie, że chodzi o starannie ćwiczony przez wojskowe jednostki ochrony plan związany z fizycznym bezpieczeństwem najwyższych dowódców. Generałowie jednak wywodzą się spośród najodważniejszych weteranów wojennych i nie obawiali się kul terrorystów. O’Shaughnessy czekał więc teraz z irytacją i wyrazem wściekłości na twarzy, aż lincoln dotrze do śmigłowca dowodzenia Sea Serpent CH-88D. Odziani na czarno komandosi wepchnęli go znowu do środka, wirniki zaczęły pracować i maszyna uniosła się, jeszcze zanim zasunęły się jej drzwi.

— Co się dzieje?! — spytał znów O’Shaughnessy jednego z nowych „porywaczy”. Tym razem dowódca jednostki, w stopniu komandora marynarki, podał mu przenośny komputer. Wywołał stronę internetową kanału telewizyjnego SNN. W jednym oknie wyświetlał się obraz z przesuwającym się tekstem wiadomości, w drugim widać było reporterkę. Mówiła coś o tragedii na morzu. Dick O’Shaughnessy zamarł, zobaczywszy, co dzieje się na telewizyjnym obrazie.

— A więc dlatego mnie zabraliście...!

— W tej chwili nie mamy jeszcze pewności, na jaką skalę zakrojony jest atak, sir — powiedział komandor. — Jednak zakładamy, że wszyscy powyżej stopnia generała brygady mogą być celem, i przerzucamy was do punktu bezpiecznego jeden. Zabieramy pana admirała do bunkra w Crystal City, poza obszarem Dystryktu Kolumbia.

— Nie lecę do żadnego bunkra! — zawołał O’Shaughnessy zirytowany. — Zawieźcie mnie do Pentagonu.

— Przepraszam, panie admirale, ale to niemożliwe. W tej chwili nie jest dobrze być w Waszyngtonie. Pentagon uznajemy za niebezpieczny, sir. Skoro nastąpił tego rodzaju atak na najwyższych dowódców marynarki, musimy założyć, że Pentagon jest kolejnym celem. Jest w tej chwili ewakuowany z wyjątkiem Narodowego Centrum Dowodzenia Wojskowego oraz Połączonej Jednostki Ochrony Broni Specjalnej. Flaga zostaje przeniesiona do bunkra NorVa, czyli Narodowego Centrum Dowodzenia Wojskowego w Crystal City.

— Cholera jasna, przecież powiedziałem: nie! — warknął Dick. — Skoro Pentagon nie jest dobry, zawieźcie mnie do Białego Domu i niech pan przestanie opowiadać mi bzdury, komandorze, bo sam siądę za sterami tego śmigłowca. Słyszał pan?! — O’Shaughnessy od czasu bitwy o Iran nie musiał odwoływać się do swojej rangi najwyższego dowódcy i czuł, że wyszedł z wprawy. Jednak akcja okazała się udana.

— Majorze! Słyszał pan pana admirała! Biały Dom, południowy trawnik! Natychmiast!

Maszyna zakręciła, kładąc się ostro na burtę. Pilot marines poprowadził ją teraz na północ, w stronę opasującej Waszyngton trasy Beltway. Przez parę chwil w śmigłowcu panowała cisza. Przerwał ją znowu O’Shaughnessy.

— Czy prezydent została już poinformowana o wszystkim? — spytał komandora z jednostki specjalnej SEALS.

— Kiedy to się stało, u pani prezydent był akurat sekretarz obrony Masters — wyjaśnił oficer. — Sekretarz prasowy poinformował ich oboje.

Admirał umilkł znowu, oglądając okropne zatonięcie „Princess Dragon”, odtwarzane powtórnie w telewizji. Patrzył na śmierć ludzi Dicka, swoich przyjaciół. Jednym z nich był jego zięć. O’Shaughnessy pomyślał o córce, Colleen.

— Jak też ona sobie z tym radzi... — wyrwało mu się bezwiednie. Komandor pokręcił głową. Sądził, że admirał ma na myśli prezydent Warner.



Sala przesłuchań była wielka i działała onieśmielająco. Naprzeciw stołu dla świadków znajdował się długi, wyższy stół w kształcie podkowy. W stojących za nim skórzanych fotelach z wysokimi oparciami siedzieli senatorowie i członkowie Izby Reprezentantów z Komisji Sił Zbrojnych. Słuchali, podczas gdy Colleen Pacino odczytywała czterdziestą stronę swojego wystąpienia na temat Systemu Kontroli Walki Cyclops.

Zrobiła pauzę na łyk wody, kiedy przewodniczący komisji, senator Arlen Ridge z Pensylwanii, uniósł rękę. Właśnie powiedział mu coś na ucho porucznik marynarki, który przed chwilą wbiegł na salę. Colleen przechyliła głowę, wpatrując się w obu mężczyzn. Ich miny wskazywały na to, że stało się coś poważnego. Ridge patrzył to na nią, to na blat stołu, przy którym siedział. Młody porucznik położył przed nim przenośny komputer. Senator spojrzął w ekran i zbladł.

— Hm, musimy na dzisiaj skończyć — powiedział. — Pani Pacino, czy mogę zamienić z panią słówko?

Sala pustoszała, Colleen podeszła do przewodniczącego Komisji.

— Proszę pani — odezwał się cicho Ridge — chodzi o pani męża... — Odwrócił komputer ekranem do stołu.

Colleen O’Shaughnessy Pacino, wychowana przez oficera jednostki specjalnej SEALS i równie twarda, jak jej ojciec — co sam przyznawał — rzuciła senatorowi stalowe spojrzenie.

— Niech pan pokaże mi ekran — zażądała zrównoważonym, groźnym tonem. Takiego samego tonu użyłby jej ojciec, zwracając się do podwładnego, który okazałby nieposłuszeństwo.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli pani...

— Oddaj mi ten komputer, człowieku — rozkazała Pacino.

Ridge popchnął urządzenie w jej stronę. Patrzył na nią. Ze swoją pomarszczoną twarzą przypominał w tym momencie dobrodusznego dziadka. Widział, jak oblicze kobiety zmienia się, łzy napływają jej do oczu i spływają po policzkach, jak przyciska pięść do ust.

— O mój Boże! — To było jedyne, co mogła powiedzieć. Jej głos drżał.



Kadet trzeciej klasy Anthony Pacino siedział zgarbiony w jednym z krzeseł wielkiej sali wykładowej Michelson Hali, nazywanej ze względu na kształt i wymiary „Stadionem Jankesów”. Salę wypełniali jego koledzy. Właśnie dostali promocję — dopiero co byli na pierwszym roku. Przed kilkoma tygodniami kadeci pierwszej klasy ukończyli naukę i odebrali oficerskie szlify. W sali odbywała się odprawa na temat nadchodzącego rejsu dla kadetów trzeciej klasy. Ci, którzy ukończą Akademię Marynarki w 2021 roku, mieli wkrótce znaleźć się na Morzu Śródziemnym na pokładach okrętów podległych Zjednoczonemu Dowództwu Sił Nawodnych. Grupa Pacino będzie pływać na atomowym lotniskowcu „George Washington” należącym do Piątej Nawodnej Grupy Bojowej.

Prowadzący odprawę komandor podporucznik ciągnął swój wywód na temat logistyki planowanego rejsu. Pacino zgarbił się jeszcze bardziej, oczy miał na pół przyknięte. Był tak niewyspany, a odprawa była tak nudna, że z trudnością to wytrzymywał. Zeszłego wieczoru Anthony mógł nareszcie udać się do miasta — przez poprzednich sześć tygodni miał zawieszony wyjazd ze względu na złe oceny z dyscypliny. Nie zrobił nic wyjątkowego — oprócz całej masy wyjątkowo źle widzianych rzeczy. „Zerwał się” razem z grupą swoich kolegów z roku podczas tak zwanego „martwego tygodnia” Poprzedzającego uroczystość ukończenia Akademii przez najstarszy roczek. Często zdarzało się, że nie mający w tym okresie wiele do roboty kadeci młodszych roczników łamali regulamin i uciekali do miasta. Młody Pacino i jego koledzy udali się do restauracji o nazwie Chick’s, Lokal był otwarty przez całą noc, specjalnie dla żądnych przygód studentów Akademii. Jednak mimo iż ucieczki za mury uczelni zdarzały się często, należały do przewinień klasy A, czyli najpoważniejszych. Za jeden tego rodzaju wyskok słuchacz mógł być nawet usunięty ze studiów. Zebrawszy swoich kumpli, Anthony zacytował Johna Paula Jonesa: „Panowie, ten, kto nie zaryzykuje, nie może zwyciężyć”. Chłopcy poprzebierali się w dzinsy i wydostali przez okno szatni znajdującej się w piwnicy.

W restauracji, o trzeciej nad ranem, uraczyli się okazałym śniadaniem, smakując uczucie zakazanej wolności, po czym udali się z powrotem do Akademii. Niestety tym razem nie udało im się przekraść po cichu. Anthony został dostrzeżony przez samego admirała Murphy’ego, rektora uczelni. Cierpiący tej nocy na bezsenność Murphy spacerował właśnie ze swoim dalmatyńczykiem. Nie mając innego wyjścia, Pacino starał się zachować zimną krew. Zwolnił i powitał admirała słowami „dzień dobry, sir”, zupełnie jakby przechadzanie się po podwórzu o trzeciej w nocy było czymś normalnym.



Niestety, wykładowcy łatwo rozpoznawali Anthony'ego, po pierwsze — ze względu na pewne podobieństwo do ojca, którego każdy tu znał, po drugie — dzięki temu, że często łamał dyscyplinę. Nie mówiąc już o tym, że admirał Murphy i jego ojciec przyjaźnili się od czasów, gdy sami studiowali w Akademii. Mimo że Murphy był kimś w rodzaju przyszywanego wujka Anthony'ego, młody Pacino doskonale zdawał sobie sprawę, że ojciec polecił rektorowi traktować go na równi z innymi. Przez chwilę niesforny kadet miał nadzieję, że Murphy pozwoli mu przejść, ale usłyszał rozkaz zatrzymania się. Jednak zamiast surowej reprimendy nastąpiła przyjacielska pogawędka. Tematem rozmowy stał się młody dalmatyńczyk. Pacino przyklęknął nawet i zaczął pieścić szczeniaka, a ten polizał go po policzku. Następnie powiedział wujkowi rektorowi grzeczne „do widzenia”, potrząsnął jego wyciągniętą dłonią i podążył pospiesznie dalej ku Bancroft Hali. Sądził, że Murphy okazała łaskę i udzielił mu tym razem amnestii. Lecz kiedy wrócił do swojego pokoju, zastał w nim trzech kadetów ostatniego roku, wszyscy byli ubrani w szlafroki i mieli gniewne oblicza.

— Popełniłeś przewinienie klasy A, Pacino! — warknął dowódca kompanii. I Pacino znów został zawieszony. Kara skończyła się minionego dnia, w południe. Anthony legalnie wyszedł do miasta, udał się do baru Riordan, zamówił piwo i gawędził z kolegami. W pewnym momencie przysiadła się do niego atrakcyjna blondynka. Miała na imię Helen i wydawała się nim zainteresowana, pocałowała go nawet na pożegnanie, kiedy wychodzili w porze zamykania lokalu. Teraz wspomnienie twarzy dziewczyny i pocałunku nawiedzało sennego Pacino, podczas gdy na sali ciągnęła się powoli nudna odprawa, wprost prowokując go do drzemki.

Anthony Michael Pacino miał delikatną, niemal kobiecą urodę — piękne, pełne usta, odziedziczone po ojcu wydatne kości policzkowe, mały, zgrabny nos i niebieskie oczy, które dostał w spadku po matce. Po niej także miał włosy, jaśniejsze niż ojciec i proste. Anthony nosił je dłuższe, niż zezwalał regulamin. Wzrostem przekraczał przeciętną, był jednak dużo niższy od bardzo wysokiego ojca.

Przysypiał już na dobre, kiedy poczuł na ramieniu dłoń oficera. Wyprostował się natychmiast z przerażeniem i poczuciem winy. Żałował, że nie zachował odpowiedniej czujności. Spanie podczas odprawy wojskowej podlegało karze w postaci kilku tygodni zawieszenia. W czasie rejsu byłoby to szczególnie przykre. Pacino musiałby tkwić na okręcie, kiedy jego koledzy będą cieszyć się pobytami w zagranicznych portach. Nie mógł uwierzyć, że tak szybko znowu popadł w kłopoty. Pomyślał z prawdziwym lękiem, że być może była to przysłowiowa ostatnia kropla.

Kadecie Pacino — powiedział porucznik. Anthony przełknął niespokojnie. W Akademii kadet pierwszej klasy, czyli z ostatniego roku, był niemal półbogiem. Zaś oficera, takiego jak ten porucznik, uważano za istotę Boską. — Rektor wzywa pana do siebie. Natychmiast.

Jednak! Nędzne stopnie i częste łamanie regulaminu musiał tak się skończyć. Nawet ojciec nie będzie mógł mu pomóc. A co powie, kiedy usłyszy, że jego syna wyrzucono z Akademii? Anthony podążył za porucznikiem, odprowadzany przez wszystkich wzrokiem. Tymczasem do oficera prowadzącego odprawę zbliżył się podporucznik marines i szepnął mu coś do ucha. Pacino nie zwrócił na to większej uwagi. Droga do Leahy Hali wydawała się ciągnąć bez końca. Ubrany w tropikalny, biały mundur porucznik miał grobową minę, Anthony czuł się, jakby prowadzono go na szubienicę.

Biuro rektora zajmowało większą część parteru. W sekretariacie ozdobionym boazerią z wiśniowego drewna roiło się od adiutantów i sekretarek. Pacino był zbyt przerażony, by zwracać na nich uwagę. Wielkie, drewniane drzwi otworzyły się. Za chwilę miał znaleźć się sam na sam z wiceadmirałem Seanem Murphym. Wszedł do gabinetu powoli, zgarbiony, z bijącym szybko sercem. Zastanawiał się, jak wytłumaczy wszystko ojcu. Podniósł wzrok na twarz Murphy'ego, spojrzął mu w oczy, których kąciaki marszczyły się w „kurze łapki”. Rektor miał jednak łagodny wyraz twarzy. I trochę smutny. Czyżby zamiast wyrzucać Anthony'ego, ma zamiar poprosić o dobrowolne wystąpienie z Akademii? Chłopak poczuł skurcz w żołądku. Sean Murphy podniósł się zza biurka o rozmiarach łodzi i klepnął go w ramię, po czym uściśnął swoją suchą dłonią Jego dłoń. Pacino patrzył zdumiony w niebieskie oczy wiceadmirała.

— Usiądź, synu... — odezwał się rektor ochryplym głosem.

— Tak jest! — wypalił Anthony. Kolana same się pod nim ugięły i usiadł na brzeżku fotela. Murphy oparł się o biurko.

— Muszę ci przekazać bardzo smutną wiadomość, Anthony — powiedział. — Zaatakowano statek pasażerski, którym wypłynął w rejs twój ojciec. To chyba terroryści, tak nam się wydaje. W wiadomościach telewizyjnych mówią, że nikt nie przeżył. Być może będziemy musieli stawić czoła faktowi, że twój tata nie żyje. Tak ci współczuję, synu... Tak ci współczuję...

Anthony Michael Pacino nie słyszał już ostatnich słów wiceadmirała. Łzy płynęły mu po policzkach. Gdy tak siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, dotarł do niego odgłos czyjegoś płaczu. Po chwili zdał sobie sprawę, że to on sam płacze.

— Cała stop! — rozkazała Petri. Okręt powoli zwolnił i zatrzymał się. Woda wokół zdawała się płonąć. Dym utrudniał oddychanie.

— Wyjąć aparaty oddechowe! — poleciła oficerowi pokładowemu. Stosowane przez strażaków aparaty oddechowe składały się z czegoś w rodzaju elastycznego, gumowego płuca oraz generatora tlenu. Zastąpiły dawniejsze, ciężkie butle.

— Wynieść sprzęt na pokład, otworzyć wszystkie włazy. Drużyna ratunkowa na pokład. Zarządzam „człowiek za burtą” do czasu, aż wyłowimy wszystkie pływające tu ciała.

— Tak jest... mruknął pod nosem Dietz.

— I wyciągniemy na okręt wszystkie ofiary, które uda nam się znaleźć, zrozumiano?

— Tak jest, pani kapitan.

— Dietz?

— Słucham?

— Niech pan się opanuje, do kurwy nędzy! Obudzić się — mamy robotę do wykonania!

Przez następną godzinę członkowie załogi „Devilfisha”, wyposażeni w kamizelki ratunkowe, aparaty oddechowe oraz zapewniające im bezpieczeństwo uprząże, wyciągali z wody ciała ofiar ataku. Niektóre z nich znajdowały się w okropnym stanie; inni wyglądali, jakby tylko spali. Kiedy na pokładzie układano kolejne ciało, oglądał je pokładowy sanitariusz Richard Keiths. Sprawdzał, kto żyje, a kto nie. Nasłuchiwał oddechu, zaglądał w oczy i od czasu do czasu unosił głowę w stronę mostka, kręcąc głową. Nadleciał śmigłowiec któregoś ze stacji telewizyjnych; filmował wszystko. Poza jego terkotem i okrzykami uwijających się przy upiornej pracy marynarzy panowała zupełna cisza. Przyleciały dwa następne helikoptery, a potem pojawiły się dwa kutry oraz trzy ratunkowe samoloto-śmigłowce o przestawianych wirnikach V-55 Sea Witch w barwach Straży Przybrzeżnej. Straż Przybrzeżna skoncentrowała się na miejscach, gdzie zatonął krążownik i niszczyciele, a „Devilfish” kontynuował zbieranie ofiar z „Princess Dragon”.

Petri prowadziła okręt po kręgach o zmniejszającym się stopniowo promieniu. Czuła narastający skurcz w gardle, widząc, jak żałośnie mało byłych pasażerów liniowca znajduje się na powierzchni. Na pokładzie zatopionego statku było ponad tysiąc trzystu oficerów najwyższych i średnich stopni. Ponad czterdziestu admirałów! Tymczasem spośród płonących na wodzie szczątków wyłowiono niecałe sto ofiar. I tylko dziewiętnaście dawało oznaki życia. Samoloto-śmigłowce zabrały ich do Szpitala Marynarki w Portsmouth. Martwych znoszono pod pokład. W końcu zerwał się wiatr i pogasił dopalające się płomienie, rozwiął dym. Nad wodą pozostał tylko ostry, kwaskowaty zapach. Widać było teraz hektary pływających szczątków. Więcej ciał jednak nie było. Karen rozkazała przygotować okręt do zanurzenia i zawróciła do Norfolku, wioząc kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych.

Zeszła z mostka, mając wrażenie, że przeżywa koszmary sen. Przeszła górnym pokładem do mesy. Poodkręcano i usunięto z niej stoły; tu właśnie ułożono ciała, przykrywając je kocami. Kiedy weszła do zaimprovizowanej kostnicy, w nozdrza uderzył ohydny smród spalenizny, od którego omal się nie udławiła. Zaczęła jednak przyklekać przy każdym ciele i odkrywać je, żeby zobaczyć, czy uda jej się kogoś zidentyfikować. Już przy trzecim z kolei sapnęła, zaskoczona. Zobaczyła szczątki swojego szefa — admirała Phillipsa. Twarz była szara, a przez gardło przechodziła tak głęboka rana, że głowa ledwo trzymała się korpusu. Czwarte ciało także należało do admirała — nie zdjął przed atakiem munduru. Widniała na nim tabliczka z nazwiskiem: PAUL WHITE. I piąta z ofiar wydawała się znajoma, mężczyzna stracił całą dolną połowę ciała. To był wiceadmirał David Kane, zwany „Sugar”, dawny kapitan „Phoeniksa”. Admirałowie musieli stać w chwili eksplozji na pokładzie spacerowym — pomyślała Petri. Dlatego wyłowili aż tyłu spośród najwyższych stopniem pasażerów statku.

Karen powoli zakryła twarz Kane’a i zsunęła koc z głowy kolejnej ofiary. Zobaczyła zawsze opaloną twarz samego dowódcy Operacji Morskich. Admirał Michael Pacino... Właściwie — były dowódca Operacji Morskich — pomyślała. Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie czoła zmarłego, zupełnie jakby chciała zmierzyć temperaturę swojego ukochanego dziecka. Zastanawiała się, kto mógł dokonać tej okrutnej zbrodni.



Michael był zewsząd otoczony światłem. Bielią tak jasną, że powinna razić go w oczy, jednak nie raziła. Cudowna światłość wyglądała pięknie Pacino ogarnęło niezwykle, ale dobrze mu znane uczucie ciepła i radości. Patrzył na swojego ojca i na Richarda Doncheza, Nagle przestali jednak uśmiechać się do niego, jak gdyby obaj zrozumieli w tym samym momencie coś ważnego. Nie otwierając ust, ojciec powiedział:

„Synu, musisz wracać”.

— Nie! — odparł admirał. — Nie mogę! Nigdy tam nie wrócę. Chcę być tutaj! Z tobą i z Dickiem. Chcę zostać w tym miejscu.

„Jeszcze nie nadszedł twój czas, synku. Są rzeczy, które musisz jeszcze zrobić na ziemi”.

— Nie, tato, nie mam tam już nic do zrobienia. Zrobiłem wszystko, co mogłem — próbowałem wytłumaczyć Michael.

„Nie, synku”.

I nowy, świetlisty, radosny świat zniknął w mgnieniu oka.

To musiał być tylko długi sen.

★ ★ ★

Karen Petri odkryła, że czoło admirała Pacino jest ciepłe. Zaskoczona zobaczyła, że drgnęła powieka admirała.

— Sanitariusz! — zawołała. — Bosmanie Keiths! Jeden z wyłowionych żyje! Niech pan przyniesie szybko zestaw pierwszej pomocy!

Do pomieszczenia wpadł Keiths z torbą w ręku. Petri pędziła już na mostek.

Po niecałych pięciu minutach nad „Devilfishem” wisiał już samoloto-śmigłowiec V-55 Straży Przybrzeżnej, podnosząc w sieci ostatniego ocalonego. Po chwili odleciał, nabierając prędkości i obracając stopniowo skrzydła wraz z wirnikami o pełen kąt prosty. Pomknął w stronę Bazy Lotnictwa Marynarki Norfolk.

★ ★ ★

Katrina Murphy miała czterdzieści sześć lat, wyglądała jednak o piętnaście lat młodziej. Miała falujące, długie blond włosy, niebieskie jak niebo oczy i utrzymane w świetnej kondycji ciało dzięki regularnie przeprowadzanym ćwiczeniom fizycznym. Popatrzyła na hol. Drzwi otworzyły się i wszedł Sean, powłócząc nogami. Wyglądał, jakby miał się za chwilę przewrócić. Katrina zerwała się i podtrzymała męża. Pokazał na swój gabinet, sąsiadujący z holem. Zaprowadziła go do jego ulubionego skórzanego fotela i pomogła usiąść. Pobiegła, żeby przynieść wodę do picia. Wróciwszy, stwierdziła, że Sean jest spocony. Ściągnęła z niego bluzę munduru i rozluźniła krawat.

— Dzięki — mruknął.

— Co z Tonym? — spytała.

— Ciężko to przyjął — stwierdził rektor Akademii. — Cholera jasna, wszyscy ciężko to przyjęliśmy...! Patch był najwybitniejszym człowiekiem w marynarce. Nie wiem, gdzie bym teraz był, gdyby nie on. Gniłbym w jakimś chińskim więzieniu, a raczej leżałbym tam w bezimiennym grobie. Nie mogę uwierzyć, że nie ma go wśród nas...

Katrina pomasowała chwilę zgarbione plecy męża, po czym zorientowała się, że zasnął. Obudziła go i pomogła mu położyć się do łóżka. Potem poszła oglądać wiadomości. We wszystkich kanałach relacjonowano tragedię „Princess Dragon” i jej eskorty. Dziękowała Bogu, że Sean nie wypłynął na tym statku razem z innymi. Rozległ się dzwonek do drzwi. Poleciała otworzyć jednemu z wojskowych stewardów. Pewnie coś przynieśli — pomyślała. Steward wprowadził jednak gościa — rosnącego mężczyznę o cieniutkim, francuskim wąsiku. Miał na sobie mundur armii z pięcioma generalskimi gwiazdkami na pagonach. Naszywka z nazwiskiem głosiła: NICKERS. Zdjął czapkę, wsadził ją pod pachę, przedstawił się i powiedział powoli:

— Proszę pani, przyszedłem, żeby zabrać pana admirała Murphy’ego do Białego Domu. Jest w tej chwili pełniącym obowiązki dowódcy Operacji Morskich i prezydent wzywa go do siebie.

— Mąż nigdzie nie pojedzie. Znajdźcie kogoś innego — odparła Katrina. Nickers popatrzył na nią ze zdumieniem.

— Widzi pani, następny z kolei najwyższy rangą oficer marynarki w służbie czynnej to zaledwie kapitan... — powiedział.

— Świetnie. Proszę powiedzieć pani prezydent, że może go awansować — odpowiedziała Murphy. — Sean zostaje w domu. Bardzo źle się czuje i nie nadaje się do tego, żeby...

Rektor Akademii Marynarki pojawił się za plecami żony. Miał na sobie codzienny, morski mundur. Chwiał się lekko na nogach i opierał na lasce.

— Idziemy, panie generale — oznajmił.

— Sean! — zawołała Katrina.

— Warner mnie potrzebuje — wyjaśnił Murphy. — Wrócę za kilka godzin. Generał Nickers chwycił teczkę ciężko chorego wiceadmirała i zaprowadził go do sztabowego samochodu, oglądając się przez ramię.

— To, co powiedział pan żonie, jest niezupełnie zgodnie z prawdą — zauważył w końcu.

— O co panu chodzi, panie generale?

— Jestem Nick. Proszę tak mnie nazywać. Powiedział pan przed chwilą, że wróci za kilka godzin. To niemożliwe. Admirale, toczymy w tej chwili wojnę z tym, kto przeprowadził ten straszliwy akt terroryzmu na oceanie. Pan jest dowódcą Operacji Morskich i to pan wszystkim dowodzi.

Murphy pokiwał głową. Usadowił się powoli na tylnym siedzeniu limuzyny. Kiedy ruszyła, popatrzył na swój dom. Widział Katrinę wyglądającą przez okno.



— Proszę powiedzieć mi jeszcze raz, dlaczego nie zdołał pan oddać strzału do amerykańskiego SSNX-a — domagał się surowo Nowskoj. Ale jego oczy wyrażały spokój.

— A niech pana cholera weźmie! — odparł Graczow, uśmiechając się jednak przyjaźnie. — Dobrze pan wie — rzecz nie w tym, że „nie zdołałem”. Kiedy ostami raz zadał mi pan to pytanie, pokazałem panu to. — Po tych słowach Paweł popchnął w stronę konsultanta swój przenośny komputer. Nowskoj nie patrzył jednak na ekran, tylko spoglądał wciąż groźnie na kapitana. Graczow podniósł się i ustawił komputer dokładnie pod nosem konsultanta, nie zrażony jego uporem. — Jak pan widzi, to klatka obrazu z zestawu Szczuka numer cztery — ciągnął. — Pamięta pan, że wystrzeliliśmy Szczukę cztery, prawda?

— Do czego pan zmierza, kapitanie? — spytał Nowskoj.

— Widzi pan, ten duży, podłużny obiekt na dole ekranu, po prawej, to my Wyglądamy bardzo fotogenicznie, nie uważa pan? Tylko że dokładnie nas widać. Kontrast jest taki, że naprawdę nie można nas nie zauważyć, nawet bez komputerowej korekty obrazu. Gdyby przyglądał nam się okręt wyposażony w system obrazowania pola akustycznego, bylibyśmy ugotowani!

Nowskoj spuścił wzrok.

— Aha! — Graczow uśmiechnął się. — Słucha pan, co mówię. Skoro potrafi pan słuchać, to może i myśleć, nawet jeśli jest pan konsultantem. A jeśli pan pomyśli, może zgodzi się pan ze mną w sprawie tego, co by się stało, gdyby posiadający system obrazowania pola SSNX znajdował się w pobliżu, szukając z wściekłością sprawcy ataku na admirałów? Czy nie sądzi pan, że mądrze było wydostać się chyłkiem z zatoki, kiedy SSNX zajęty był poszukiwaniem rozbitków?

— Kapitanie, miał pan znakomitą okazję przeprowadzenia ataku podczas eksplozji min plazmowych, kiedy systemy SSNX-a były na wpół ogłuszone. Należało wystrzelić cztery, pięć kierujących się na kilwater torped Berkut albo ze dwie Bora II i amerykański okręt podwodny poszedłby w drzazgi. A pan tymczasem uciekał jak złodziej. — Słysząc było, że konsultant jest zmęczony sytuacją, mówił tonem pełnym rezygnacji.

Graczow klepnął starszawego mężczyznę w ramię i oznajmił:

— Cieszę się, że nareszcie zgadza się pan ze mną. Zaczaimy się i zaatakujemy SSNX-a, kiedy tylko wypłynie z Norfolku. A to nastąpi bardzo niedługo.

— Skąd ta pewność, panie kapitanie? — spytał Swiatosłow.

— Stąd, panie Pierwszy, że resztki dowództwa amerykańskiej marynarki, jacyś emerytowani admirałowie, powołani na nowo do służby, albo ktoś kto został w domu ze względu na pogrzeb matki czy świeżo przebytą operację woreczka żółciowego, podejrzewają już, że ataku dokonał okręt podwodny. Wyślą szybko SSNX-a, żeby nas znalazł.

— Może — zgodził się bez przekonania Michajło. — Być może oprócz najnowocześniejszego SSNX-a pošlą trochę ulepszonych 688 i grupę niszczycieli do zwalczania okrętów podwodnych i śmigłowców — zauważył.

— Może i całą armadę — zgodził się dowódca „Wiepria”. — Chciałbym się trochę przespać, panowie — oznajmił. — Wybaczcie.

Dwaj pozostali mężczyźni wyszli z kapitańskiej kabiny. Paweł rozebrał się i położył. Właśnie minęła północ, zaczął się wtorek, dwudziesty czwarty lipca. Graczow popatrzył w górę, w ciemność. Nazajutrz, a może nawet za parę godzin, nadejdzie zemsta Amerykanów — pomyślał. Uzasadniona, straszliwa i śmiertelnie groźna.

Będzie musiał dowodzić okrętem po mistrzowsku, i wykorzystać wszelkie jego możliwości. Przekraczać znamionową prędkość i łamać standardowe procedury. Albowiem SSNX z całą pewnością upomni się o jego skórę. W ciągu kilku najbliższych dni jeden z dwóch okrętów — SSNX albo „Wiepr” — spocznie na dnie morza.

Kapitan ziewnął, przeciągnął się i zamknął oczy. Po chwili jego oddech stał się wolniejszy. Paweł zapadł w głęboki sen.



**Część piąta**

# **Przylądki Wirginii**

Jonathan George S. Patton IV nie spał już od czterdziestu sześciu godzin. W tej chwili przed jego domem lądował turbośmigłowy samoloto-śmigłowiec V-44 Bullfrog, budząc i strasząc sąsiadów. Kontradmirał przerwał połączenie wideotelefoniczne na swoim przenośnym komputerze, złapał marynarską torbę i wstał. Statek powietrzny osiadł na ziemi, ale jego wirniki nie zatrzymywały się. Wzniecany przez nie wicher tarosił gałęzie drzew; nawet terenowy samochód Pattona kiwał się na resorach. Marcy patrzyła na męża z mieszaniną gniewu i lęku.

— Wiem, że musisz lecieć...! — zawołała, przekrzykując łoskot maszyny. Wiatr zawiewał włosy na twarz. — Ale błagam cię, uważaj! Mam na świecie tylko ciebie, nikogo więcej...!

Jonathan popatrzył na żonę z zaciętym wyrazem twarzy, ścisnęło go jednak w gardle. Wiedział, że będzie przypominał sobie co chwila słowa Marcy do czasu, aż ponownie ją zobaczy. Jego kamienne oblicze stało się jeszcze bardziej surowe. Założył czapkę na potargane przez wiatr czarne włosy. Nasunął sobie daszek niemal na oczy.

— Do zobaczenia, kochanie — powiedział. Dusiło go w gardle tak, że nie był zdolny mówić więcej, — Zadzwoń do ciebie — dodał.

Zdawał sobie sprawę, że to niezbyt wylewne pożegnanie, ale wiedział też, że żona zrozumie, czemu na nim poprzestał. Ruszył biegiem do samolotu, przytrzymując czapkę dłonią.

W środku siedziało trzech mężczyzn w lotniczych hełmach. Zasalutowali mu i wciągnęli go do maszyny.

— Dzień dobry, panie admirale! — zawołał jeden.

Zabrzmiało to dziwnie. Była druga w nocy. Patton skinął jednak głową i zajął miejsce w wolnym fotelu. Statek powietrzny wzniósł się pionowo, po czym ruszył przed siebie, szarpiąc i dygocząc, gdy skrzydła wraz z wirnikami przekręcały się o dziewięćdziesiąt stopni. W końcu zaczął się wznosić i przyspieszać, podążając na południowy zachód. Za nim zniknęła linia brzegowa stanu Connecticut. Wtedy odezwał się sygnał przenośnego komputera kapitana. Patton uruchomił urządzenie. Przesłano mu następującą wiadomość:

240658ZLIP2018

PILNE

OD DOW MAR PERS, WASZYNGTON

DLA J.G.S. PATTON IV, KONTRADMIRAŁ

TREŚĆ OFICJALNE ROZKAZY

JAWNE

1. NATYCHMIAST ZGŁOSIĆ SIĘ DO SŁUŻBY DOW SIŁ PODW NORFOLK VIRG I OBJĄĆ NA STAŁE DOWÓDZTWO ZJEDNOCZONYCH SIŁ PODWODNYCH.

2. ZOSTAJE PAN NINIEJSZYM AWANSOWANY TYMCZASOWO NA WICEADMIRAŁA. STAŁY AWANS PO POTWIERDZENIU PRZEZ KONGRES.

3. GRATULACJE. POMYŚLNYCH WIATRÓW I SPOKOJNYCH MÓRZ.

4. C.B. MCDONNE, KONTRADMIRAŁ W STANIE SPOCZYNKU

— Sir, to dla pana od admirała Murphy'ego — odezwał się pilot, podając brązową kopertę.

Jonathan otworzył ją i wysypał zawartość. W środku znajdowała się mniejsza, biała koperta oraz dwa pagony ze złotymi kotwicami i dwiema gwiazdkami. W białej kopercie znajdowały się natomiast odznaki do noszenia na kołnierzyku — po dwie srebrne gwiazdki — a także karteczka z napisem:

*Jon, przepraszam, że został pan wiceadmirałem bez wielkiego przyjęcia, fotografa i orkiestry, ale nasz kraj jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebował pańskich zdolności, a zwłaszcza pańskiej odwagi, To dla mnie wielki zaszczyt, że jest pan podległym mi dowódcą Zjednoczonych Sił Podwodnych. Obaj mamy ogromne zadania do wykonania. Spotkam się z panem w pańskiej nowej siedzibie. Sean Murphy, dowódca Operacji Morskich.*

Że też doszło do tego w taki sposób...! — pomyślał ponuro Patton. Osiągnął cel swojego życia, stanowisko, którego pragnął, odkąd był kadetem w Akademii Marynarki. Lecz z jakiego powodu je otrzymał? Zginęli dosłownie wszyscy, którzy przewyższali go rangą...! Co za okropna ironia losu!

Ale nie to było najgorsze. Myśli Jonathana krążyły nieustannie wokół tych, którzy odeszli tragicznie we wczorajszej katastrofie. Zginęli wszyscy admirałowie, dowódcy. Wśród nich także jego wielki mentor Michael Pacino i świetny rywal Bruce Phillips — prawdziwi przyjaciele i towarzysze walk toczonych w ciągu ostatnich pięciu lat.

Patton zasłynął podczas blokady Japonii. Był wówczas kapitanem okrętu podwodnego „Tucson”. Przeprowadził nim kontratak na skupisko japońskich okrętów, które właśnie storpedowały amerykańską grupę bojową lotniskowca „Lincoln”. Zatopił dwa

nieprzyjacielskie okręty podwodne i wyeliminował z walki trzeci, który był zmuszony wypłynąć na powierzchnię i stracił napęd. Jonathan wpadł wówczas na bezprecedensowy pomysł przeprowadzenia abordażu. Tym właśnie zaskarbił sobie sławę. Jego oficer pokładowy sfilmował go umieszczoną w peryskopie kamerą, jak wpada na pokład wrogiego okrętu, z gniewną twarzą, trzymając w jednym ręku pistolet maszynowy, a w drugim palnik acetylenowy, którym zaczął dobierać się do zamkniętego włazu. Pokazywano tę scenę wielokrotnie na całym świecie. Stała się czymś w rodzaju nowego logo amerykańskiej marynarki. Jedna z klitek trafiła na witrynę internetowego wydania magazynu „Time” z podpisem: Z NOŻEM W ZĘBACH NA OKRĘT ATOMOWY. KMDR JON PATTON — STUDIUM ODWAGI.

Następnie Patton objął dowodzenie okrętu „Annapolis” — jednej z najnowszych, świeżo zmodernizowanych jednostek klasy 6881. Ochraniał nim armadę inwazyjną, zdążającą ku Białym Chinom, w dzień po nagłej, zmasowanej agresji Czerwonych Chin. „Annapolis” został nieomal trafiony torpedą plazmową i Jonathan byłby poszedł na dno wraz z resztą załogi. Swojego kapitana odnalazł jednak starszy bosman Byron DeMeers. Wyciągnął go z okrętu, a potem pływali we dwóch na tratwie ratunkowej. Zaraz po tej historii Patton objął dowództwo nad nowiutkim „Devilfishem” i poprowadził śmiały atak na okręty podwodne Czerwonych Chin. Prasa znowu okrzyknęła go bohaterem.

Po zwycięstwie na Morzu Wschodniochińskim Jonathanowi powierzono kierownictwo programu budowy okrętów klasy NSSN, powstającej przez udoskonalenie prototypowej SSNX. Pierwszym budowanym NSSN była „Wirginia”.

A teraz Patton leciał do budynku dowództwa, które właśnie objął. Jego Pierwszym obowiązkiem było pomszczenie śmierci towarzyszy. Widocznie tak miało być — pomyślał.

Pilot obejrzał się i zobaczył, jak świeżo mianowany wiceadmirał przypina sobie pagony.

— Dobrze panu w nich, panie admirale — pochwalił z uśmiechem. — Mamy coś dla pana na tę okazję, sir — oznajmił. — Planowaliśmy ją otworzyć na pogrzebie ofiar ataku na „Princess Dragon”, ale pomyśleliśmy, że lepiej dać ją panu z okazji awansu. To powinno przynieść nam szczęście. — Podał Pattonowi butelkę Jacka Danielsa.

A zatem załoga V-44 wiedziała o wszystkim — pomyślał Jonathan. Popatrzył chwilę na butelkę, po czym uświadomił sobie, co należy z nią zrobić.

— Podajcie mi, chłopaki, jakieś kubki; papierowe, plastikowe, może pokrywkę od termosu, cokolwiek — powiedział. Drugi pilot wyjął ze schowka stos papierowych kubków i popatrzył na nowego dowódcę Zjednoczonych Sił Podwodnych takim wzrokiem, jakby ten oszalał.

— Pijemy — zarządził Patton. Nalał cztery porcje i podał kubki lotnikom. — Panowie, wznoszę toast. Za naszą operację odnalezienia skurwysynów, którzy zatopili „Princess Dragon”. Niech smażą się w piekle całą wieczność!

Piloci wzięli posłusznie kubki, ale popatrzyli z lękiem na Jonathana.

— Hmm, sir, nie możemy tego wypić podczas lotu. Wie pan przecież — powiedział dowódca samolotu.

— Dlaczego nie?! — zapytał Patton z wielką pewnością siebie.

— Hmm, po pierwsze, zabrania tego regulamin marynarki...

— Pierdolmy regulamin marynarki! — polecił Jonathan. — Rozkaz admirała. Do dna.

— Tak jest, sir — odpowiedział drugi pilot. — Za zatopienie skurwysynów, którzy zniszczyli „Princess Dragon”.

— Na pohybel — dorzucił Patton. Drugi pilot i mechanik pokładowy wychylił kubki. Pilot pokręcił głową i zrobił to samo.

Wiceadmirał wypił whisky, po czym uniósł pusty kubek i cisnął nim w kąt. Butelkę odstawił koło swojej teczki. Następnie oparł się o okno i zamknął oczy. Wiedział, że musi się zdrzemnąć, nawet jeżeli ma na to zaledwie godzinę. Kiedy zapadał w sen, usłyszał jeszcze, jak pilot powiedział do swojego towarzysza:

— Widziałeś kiedyś coś takiego? Żeby pić whisky, prowadząc samolot?!

— Słyszałeś, co powiedział: „pierdolmy regulamin” — odparł natychmiast drugi pilot. — To właśnie cały Patton. Dlatego nazywają go „Śmierć w Oczach”. To najbardziej zuchwały i najodważniejszy oficer marynarki od czasów Nelsona. Już mi żal tych skurwysynów, którzy zaatakowali naszych dowódców. Nie wiedzą, z kim mają do czynienia. Ale wkrótce się dowiedzą.

— Chyba masz rację... — zgodził się pilot. — Centrum Waszyngton, tu Foxtrot Zero Dwa marynarki, poziom lotu trzy trzy zero — nadał.

Dowódca Zjednoczonych Sił Podwodnych Marynarki Stanów Zjednoczonych, wiceadmirał Jonathan Patton, uśmiechnął się po raz pierwszy od miesiąca i zapadł w głęboki sen.

Komandor porucznik Karen Petri szła korytarzem Dowództwa Sił Podwodnych na tyle szybko, na ile pozwalała jej chęć zachowania godnej postawy. Miała na sobie biały, wykrochmalony mundur galowy o wielkich złotych guzikach i wysokim, ciasnym kołnierzyku. Na pagonach po dwa szerokie złote paski i jednym wąskim, pomiędzy nimi. Do lewej piersi przypięła medale. Pośród odznaczeń, na które zasłużyła podczas trzeciej wojny światowej jako pierwszy oficer „Port Royal”, najwyższym był medal „za bitwę o Iran”. Jednak bardziej niż wszystkie odznaczenia Karen ceniła sobie złotą odznakę delfinów, oznaczającą oficera okrętu podwodnego. Przypięła też dziś do boku tradycyjną szablę.

Była spóźniona. Musiała się dodatkowo zatrzymać z powodu ceremonii podnoszenia flagi. Amerykański sztandar wciągano powoli, podczas gdy poranna trąbka grała długi sygnał. Gdy flaga dojechała do czubka masztu, opuszczono ją z powrotem do połowy. Był to znak żałoby narodowej po stracie dowódców marynarki i wszystkich, którzy znajdowali się na pokładach „Princess Dragon” i zatopionych okrętów jej eskorty. Po chwili do flagi amerykańskiej dołączyła bandera Zjednoczonych Sił Podwodnych, zatrzymując się poniżej, również w połowie masztu. Sztandarem Sił Podwodnych była czarna flaga piracka z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami oraz wykonanymi gotykiem napisami: „Głęboko Cicho Szybko Zabójczo” i „Zjednoczone Dowództwo Sił Podwodnych”. Chodziła plotka, że ową „groźną” chorągiew zaprojektował sam Michael Pacino — były dowódca Sił Podwodnych, a później Operacji Morskich. Tymczasem wczoraj po południu przewieziono go, w stanie bliskim śmierci, z pokładu „Devilfisha” do Szpitala Marynarki w Portsmouth.

Kiedy odtrąbiono sygnał, Petri zaszalutowała szybko. Zastanawiała się, czy to ostatni raz salutuje fladze narodowej ubrana w mundur oficera marynarki. Prawdopodobnie tego ranka odbiorą jej delfiny i szablę za fatalne w skutkach niewywiązanie się z obowiązku ochrony statku i okrętów nawodnych przed zagrożeniami spod wody. Nie wykluczone, że wyjdzie z budynku dowództwa jako cywil.

W końcu dotarła pod masywne, dębowe drzwi sali odpraw numer jeden. Spojrzała na zegarek. Było siedem po ósmej, dwudziestego czwartego lipca. Prawie trzynaście minut spóźnienia. Rozkazano jej stawić się w sali za pięć ósma, aby nowo mianowani admirałowie mogli wejść po niej. To spóźnienie denerwowało ją mimo przekonania, że jej kariera i tak jest skończona. Miała przykre poczucie, że nie potrafi wypełnić nawet tak drobnego obowiązku jak przybycie na czas. Wczorajszego wieczoru, po zacumowaniu „Devilfisha”, na pokład przybyła komisja śledcza z dowództwa i zażądała wydania nagrań komputerowych z przebiegu tragedii. Przybysze zgrali z Cyclopsa dane, a wszystkich oficerów okrętu przesłuchali oddzielnie, przed obiektywami kamer — tak jak to robią detektywi z podejrzanymi o przestępstwo.

Petri zeszła z pokładu o pierwszej w nocy. Pojechała do swojego piętrowego domu na przedmieściu. Na drzwiach zastała kartkę, napisaną charakterem McKee: „Karen, proszę cię, zadzwoń do mnie, jak tylko dotrzesz do domu. Kelly”.

Była jednak zbyt wyczerpana. Uznała, że McKee zostawił wiadomość kilka godzin wcześniej, a teraz już od dawna śpi. Usiadła przed telewizorem i z uczuciem całkowitej rezygnacji obejrzała wiadomości — tragedię „Princess Dragon” sfilmowaną z helikoptera. W końcu przestała się torturować i poszła spać. Budziła się, to drżąc z zimna, to znów zlna potem w zmiętej pościeli.

Zapukała teraz trzykrotnie w drzwi sali i usłyszała poirytowany głos:

— Wejść. Głos był znajomy. Otworzyła drzwi. Zobaczyła stół w kształcie litery T, przykryty zielonym sukniem. Wstali zza niego dwaj oficerowie. Jeden był starszym już admirałem, o schorowanym wyglądzie, blondynem. Nie znała go. Przed jego fotelem widniała jednak tabliczka: ADM. S. MURPHY DOW. OP. MOR. Drugi z mężczyzn był tym, którego głos znała. Jonathan Patton. Już nie komandor ani nawet kontradmirał, lecz wiceadmirałem. Na mosiężnej tabliczce przed jego fotelem wypisano: WICEADM. J. PATTON DOW. ZJED. SIŁ. PODW. Najwyraźniej awansowano Pattona na miejsce Bruce’a Phillipa.

Na końcu okrytego zielenią stołu stało pojedyncze krzesło dla świadka. Tak podobno przygotowuje się salę, kiedy mają złamać czyjąś oficerską szablę.

— Komisja śledcza numer dwa zero jeden osiem łamane przez zero jeden dwa rozpoczyna posiedzenie — oznajmił starszy z admirałów, stukając drewnianym młotkiem w stół. — W składzie sędziowskim są admirałowie Murphy i Patton. — Głos Murphy’ego był cichy i łagodny, jednak Karen zaniepokoiła się, że opanowanie nowego naczelnego dowódcy może jej wróżyć jeszcze gorzej niż surowość Jonathana Pattona.

— Proszę podnieść prawą rękę — rozkazał zdecydowanym tonem Patton. Petri uniosła dłoń i powtórzyła za wiceadmirałem słowa przysięgi. Czowała narastający skurcz w żołądku i dziwny smak w ustach.

— Niech pani siada, pani komandor — powiedział Murphy. — Proszę podać swoje nazwisko i funkcję.

Karen zdjęła czapkę i odpięła szablę, kładąc ją na kolanach. Popatrzyła na siedzących naprzeciw niej mężczyzn oraz znajdujący się pomiędzy nimi obiektyw kamery i przedstawiła się:

— Karen Elizabeth Petri, komandor porucznik marynarki Stanów Zjednoczonych, pełniąca obowiązki kapitana okrętu podwodnego klasy SSNX OSS „Devilfish”, numer kadłuba SSNX-1.

Była zaskoczona, że jest w stanie mówić zwykłym głosem, może tylko minimalnie drżącym.

— Co tam się stało?! — rzucił energicznie Patton. Wszelkie nadzieje Karen rozwiały się.

Mówiła przez następne dwadzieścia minut. Opowieść płynęła tak, jakby ćwiczyła ją od kilku dni, mimo że niemal nie zastanawiała się nad tym, co powie w momencie przesłuchania. Zrelacjonowała kolejno wydarzenia, opisując również odnalezienie żywego admirała Pacino, przewiezienie go do szpitala oraz powrót i zacumowanie „Devilfisha” w porcie. Kiedy skończyła, Murphy zarządził powstanie z miejsc i oznajmił:

— Posiedzenie komisji śledczej jest niniejszym zakończone. — Zastukał młotkiem w stół.

— Pani komandor, proszę poczekać za drzwiami — polecił Patton.

Karen założyła czapkę, przypięła szablę, zaszalutowała admirałom i wyszła.

Na korytarzu stała drewniana ławka, nie wyglądała na wygodną. Zamiast usiąść, Petri zaczęła przechadzać się tam i z powrotem. Z sali dobiegały ściszone głosy dowódców. Niech to się zaraz skończy — pomyślała — żebyśmy mogła wziąć się za nowy rozdział w życiu i jak najszybciej zapomnieć o tym wszystkim.

★ ★ ★

— Co pan zaleca, admirale? — spytał Murphy, opierając się wygodnie.

— Komandor nic nie mogła zrobić, sir — ocenił Patton swoim zdecydowanym, nawykłym do rozkazywania głosem. — Oglądał pan admirał nagranie wskazań ich przyrządów. Cyclops niczego nie wykrył, tak samo operatorzy. A wszyscy — aparatura i ludzie — czuwali z najwyższą uwagą. Słysząc to na nagraniu. Oficer pokładowy i Petri znakomicie wypełniali swoje obowiązki. Sir, ta kobieta jest najbardziej surowym dowódcą okrętu, jakiego w życiu spotkałem, może nawet zbyt surowym. A załoga ją uwielbia. Poszliby za nią w ogień. Ona i McKee wyszkolili swoich ludzi tak, że nikt w całej marynarce nie może się z nimi równać. To najlepszy kapitan i pierwszy oficer, o jakich słyszałem. Już kilka miesięcy temu sygnalizowano mi, że komandor Petri jest wybitnym dowódcą, i widzę, że to się potwierdza. Panie admirale — nie możemy jej wyrzucić. To nasz najlepszy dowódca okrętu obok samego Kelly’ego McKee.



— A co powie pan na temat tej anomalii koło mostu zamykającego zatokę? — chciał wiedzieć Murphy. — Tej plamy na projekcji z systemu obrazowania pola akustycznego? Mógł być to okręt podwodny czy nie?

— Widziałem ją, sir. Jednak spędziłem wiele godzin w projektorach rzeczywistości wirtualnej systemu Cyclops dowodziłem wcześniej „Devilfishem” — i muszę powiedzieć, że tego rodzaju odbicie może równie dobrze pochodzić od skały albo betonowego bloku pozostawionego przez firmę budownictwa wodnego. Nie było żadnych dźwięków pochodzących od pracujących maszyn i w zasadzie żadnego śladu termicznego. Czy jest możliwe, że to był okręt o napędzie spalinowym, który ukrył się w przesmyku? Być może. Jednak nasz zespół odpłynął wiele mil od mostu. Przypuszczam, że zaatakowano go przy pomocy ruchomych min, które mogły tam czekać od paru dni lub nawet tygodni. Widział pan obraz z Cyclopsa w chwili tonięcia „Princess Dragon”, sir.

Patton skrzywił się, przypominając sobie widziany za pośrednictwem wirtualnej projekcji pęknięty na dwie części kadłub liniowca. System obrazowania pola akustycznego pokazał dokładnie, jak toną — kiedy znikwały w głębinie, odłamał się jeszcze komin.

— Wokół nie było nikogo, panie admirale — odezwał się znowu Jonathan. — Cokolwiek zatopiło nasz zespół, „Devilfish” nie mógł tego powstrzymać — ocenił. — Petri jest w porządku, sir.

— Zgadzam się z panem — odparł Murphy. Wyrżał przez okno. — Jestem ciekaw pańskiej opinii na temat teorii zespołu antyterrorystycznego FBI.

— Nie znam jej, sir.

— Prześlę panu pocztą elektroniczną. Podejrzewają, że terroryści podłożyli bomby.

— Nie dziwię się. Zespół antyterrorystyczny wysuwa właśnie taką teorię, ponieważ może ona uzasadnić jego przydatność — skwitował Patton.

— To prawda, jednak okoliczności tragedii wskazują, że mogą mieć rację — zauważył Murphy.

— Nie, sir. Przed wypłynięciem okrętów z portu oglądamy starannie ich kadłuby od spodu, żeby wykluczyć zabranie bomby. Wszystkie cztery zatopione jednostki zostały dokładnie sprawdzone przez nurków na kilka minut przed wypłynięciem. Natomiast umieszczenie bomby pod kadłubem poruszającego się statku wymaga miniaturowego okrętu podwodnego, który z pewnością zostałby wykryty przez systemy „Devilfisha”.

— W takim razie może bomby zostały podłożone w zębach czy też pustych miejscach we wręgach statku. Od środka — wysunął przypuszczenie Murphy.

— To bzdura — nie wahał się skrytykować Patton. — Wszystkie cztery jednostki cumowały w bazie marynarki, gdzie przestrzegano surowych zasad bezpieczeństwa. „Princess Dragon” przeszukano dokładnie pod kątem bomb i broni, także tuż przed jej wypłynięciem. A musimy pamiętać, że użyto ładunków plazmowych. To niemożliwe, żeby terroryści wnieśli niepostrzeżenie na pokłady okrętów cztery czy pięć głowic plazmowych. Są zbyt duże.

— W takim razie, co się stało? — spytał były rektor Akademii Marynarki. — Atak torpedowy?

— Raczej ruchome miny — stwierdził Patton. — Są bardzo trudne do wykrycia. Nie poruszają się, tylko czekają na dnie i kiedy coś nad nimi przepływa, podpływają do góry i przymocowują się do kadłuba.

— Czyżby systemy „Devilfisha” nie były w stanie tego wykryć?

— Być może. Prawdopodobnie tak. A może i nie. Nie wiem, sir. Tak czy owak Cyclops na pewno niczego nie pokazał. I wydaje mi się, że najbardziej prawdopodobny sposób ataku to ruchome miny.

— Czemu nie zatopili „Devilfisha”?

— Widzę dwa możliwe powody. Po pierwsze, okręt jest wyposażony w antysonarową powłokę zwaną „skórą rekina”. Nic nie chce się jej trzymać, nawet przywry. Mina opadłaby z powrotem na dno, nawet elektromagnetyczna.

— Ma pan rację. A drugi powód? — wypytywał Murphy.

— Z bezpośredniej odległości „Devilfish” wykryłby minę, a także to, co ją wyrzuciło. Być może zostały podłożone, zanim SSNX skręcił w Thimble Shoals.

Sean Murphy zastanowił się nad opinią nowego dowódcy sił podwodnych.

— Kupuję to, co pan mówi — zdecydował. — Ciekawe jednak, czy pani prezydent uwierzy.

— Słuchała zawsze tylko jednego człowieka. Michaela Pacino — odparł Patton.

— Cóż, porozmawiam z nią. Co robimy w międzyczasie?

— Jeśli zgodzi się pan na moje zalecenie, sir, wyślę Petri na „Devilfishu” z powrotem w morze, na obszar operacyjny Przylądki Wirginii. Niech przeszuka go przy użyciu systemów Cyclopsa. Jeśli będzie trzeba, pozostawię ich przez miesiąc, ale stawiam swoje delfiny na to, że niczego nie wykryją.

— Czy Petri będzie dalej dowodzić „Devilfishem”, czy też zamierza pan rozmawiać z McKee o jego powrocie?

— Byłem dzisiaj u niego w domu, sir — poinformował wiceadmirał. — Dzisiaj rano, gdy wyjechaliśmy z kasyna oficerskiego.

Minionej nocy Murphy i Patton siedzieli do piątej rano w kasynie oficerskim. Zapoznawali się i dyskutowali przy kawie o tym, co muszą i mogą zrobić w ciągu najbliższych dni i tygodni.

— Naprawdę? I co powiedział? — zainteresował się Sean.

— Że już nie służy w marynarce. Stwierdził, że teraz kapitanem „Devilfisha” jest Petri i że on nigdy nie wróci na morze, nawet na pokładzie żaglówki. Jest skończony. Kiedy wychodziłem od niego, rzucił we mnie swoją szablą.

— Biedak — skwitował Murphy. — Czytał pan, co ten człowiek przeżył?

— Tak, sir, Wygląda na to, że naprawdę z nim źle. Od miesiąca chyba się nie golił ani nie strzygł, oczy miał przekrwione. Miałem wrażenie, że pił do późna i alkohol jeszcze z niego nie wyparował.

— Wstąpię do niego, kiedy będę wracał od „Patcha” Pacino — postanowił Murphy.

— To nie ma sensu, panie admirale. Ten człowiek potrzebuje jeszcze czasu.

Sean pokiwał głową na znak zgody. Powrócił do tematu przeszukiwania wód przybrzeżnych.

— Czy dysponujemy czymś, co mogłoby pomóc „Devilfishowi” w przeszukiwaniu obszaru Przylądków Wirginii? — spytał.

— Zastanawiałem się nad tym, sir. Jednak do tego potrzebne jest po prostu obrazowanie pola akustycznego. W ten system jest na razie wyposażony tylko SSNX, no i budowane okręty klasy NSSN. Jeśli dodatkowo zamontujemy na pokładzie „Devilfisha” zdalnie sterowane czujniki Yo-Yo, okręt da radę w pojedynkę przeczesać cały obszar. Potrwa to do czasu, aż jego komputer zdoła przeanalizować wszystkie dane, no i dopóki wytrzyma załoga.

— W jakim stanie jest „Wirginia”? — zainteresował się Murphy. — Kiedy będzie można ją zwodować?

Jonathan ożywił się, zupełnie jak matka, którą zapytano o ukochane dziecko.

— Wyposażenie mechaniczne jest już kompletne — oznajmił — z wyjątkiem zespołu prawej wyrzutni torpedowej, którą kończą właśnie montować. Ostatnio naprawiliśmy turbinę prawego silnika głównego. W związku z tym w kadłubie znajdują się jeszcze dwa duże otwory, które są teraz zamykane. System komputerowy także jest zainstalowany i przetestowany przy pomocy starego oprogramowania z SSNX-a. Jednak wypuszczenie w morze NSSN-a z oprogramowaniem SSNX-a to coś takiego, jakby ubrać się w rzeczy piętnastoletniego syna. Człowiek nie jest nagi, ale mu za ciasno i śmiesznie wygląda.

Murphy parsknął na to dziwne porównanie.

— System komputerowy „Wirginii” jest o niebo lepszy niż „Devilfisha” — ciągnął Patton. — Trójwymiarowa projekcja pola walki będzie nieporównanie doskonalsza. Dane wysyła bezzałogowy samolot Predator i czujniki obrazowania pola akustycznego Yo-Yo — te, które w tej chwili zrzucamy z samolotów patrolowych P-5 Pegasus. Będzie też połączenie i satelity CombatStar, z użyciem przewodowego przesyłu danych z Sharkey’ a Mark 5 i Mark 8. Oraz nowego Bloodhonda Mark 23 — bezzałogowego miniokręciku podwodnego. Oprogramowanie integruje wszystko w czasie rzeczywistym i pokazuje załozę w taki sposób, że może ona jak gdyby latać w całym obszarze pola walki. Projekcja była tak realistyczna, że większość osób podczas testu wymiotowała z powodu choroby lokomocyjnej. Sądząc, że oprogramowanie jest gotowe, załado-

waliśmy cały system. Sprawdzał się świetnie, aż doszliśmy do modułu Doberman ATT oraz połączeń z CombatStarem i Yo-Yo. Okazało się, że te dwa elementy zupełnie nie działają jak trzeba. Ściągnęliśmy je więc z powrotem i usuwamy błędy.

— Co to jest Doberman ATT? — spytał Murphy.

— ATT Mark 17, zwany Dobermanem, to system przeciwtorpedowy. Moglibyśmy zwalczać wystrzelone ku nam torpedy nieprzyjaciela. Jednak w tej chwili do sterowania Dobermanem potrzebny byłby potężny komputer; nasze najnowsze komputery pokładowe są o wiele za wolne. Proces trafienia wrogiej torpedy można by przyrównać do próby zestrzelenia jednej kuli drugą. Nawet system do zwalczania rakiet balistycznych okazał się niewystarczający — wszystko trzeba było stworzyć od początku, Cyclops SSNX-a z pewnością nie poradzi sobie z Dobermanem. Mamy zatem luki w oprogramowaniu komputerowym.

— Zatem można by zwodować „Wirginię” po załataniu dwóch otworów w kadłubie — upewnił się dowódca Operacji Morskich — tylko system bojowy byłby trochę mniej nowoczesny, niż planujemy?

— Hmm, powstaje jeszcze jeden problem — stwierdził Jonathan. — Dysponujemy tylko załogą testową i nie zostało dostarczone uzbrojenie. Ponieważ szacujemy, że udoskonalenie oprogramowania zajmie rok, jeśli nie więcej, mógłbym załatać kadłub i zwodować okręt z niedokończonym systemem bojowym w ciągu tygodnia. Ściągnęłoby się parę torpedo-rakiet Vortex Mod Delta i kilka torped Alert/Acute. Ale załoga pozostałaby ta sama — zupełnie niewyszkoleni chłopcy. Uważam, że to zbyt wielka lekkomyślność. O wiele lepiej wykorzystać stojącego w porcie „Devilfisha”, czekającego pod parą, ze znakomitą, doświadczoną załogą i sprawnym systemem bojowym poprzedniej generacji.

— Ja tylko zapytałem, Jonathan — usprawiedliwił się Murphy.

Podniósł się. Bardzo, bardzo powoli, opierając ciężar ciała na lasce. Patton skoczył, żeby pomóc dowódcy, ale ten odgonił go machnięciem ręki.

— Jadę do szpitala w Portsmouth zobaczyć co z Patchem — powiadomił. — I do Białego Domu, żeby zdać sprawę pani prezydent. Potem wrócę do Pentagonu.

— A co ostatnio mówili na temat stanu admirała Pacino, sir? — zainteresował się Patton.

Sean pokręcił głową.

— Nie wykluczają, że nastąpiła śmierć mózgu... — odparł.

— Fatalnie, sir... Admirał Pacino uratował mi życie.

— Mnie też, Jon, mnie też powiedział Murphy i klepnął Pattona w ramię. — Przekażę pańskie wyrazy szacunku i życzenia. Niech pan zadzwoni do mnie wieczorem.

Dowódca Operacji Morskich wyszedł niezdarnie z sali, podpierając się laską. Zobaczył stojącą na korytarzu Karen Petri — przyglądała mu się ze zdumieniem i niepokojem. Podeszedł do niej, pod wpływem impulsu, i ucisnął jej rękę.

— Powodzenia, pani komandor — powiedział łagodnie, ściskając jej dłoń tak mocno, jak potrafił. Odwrócił się i podążył powoli w stronę wyjścia dla VIP-ów. Petri popatrzyła za nim osłupiała.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła koło siebie Pattona.

— Sir?

— Proszę wracać na „Devilfisha” — rozkazał wiceadmirał tak samo surowym tonem jak poprzednio. — Na okręcie będzie czekał rozkaz operacyjny. Dokona pani starannego przeszukania obszaru operacyjnego Przylądki Wirginii pod kątem obecności obcych jednostek podwodnych oraz ewentualnych min czy systemów do ich wypuszczenia. Doposażymy pani okręt w czujniki Mark 12 Yo-Yo, używane przez samoloty Pegasus. Chcę, żeby obszar Przylądki Wirginii został dokładnie przeszukany, przeczyszczony, oczyszczony i zabezpieczony i żeby zrobiła to pani. Zrozumiano?

Petri wyprężyła się na baczność i odparła z zaciętą miną:

— Tak jest, sir.

Patton skłonił głowę, marszcząc brwi.

— Może pani odejść.

Karen zasalutowała i admirał skierował się do wind. Przez chwilę miała ochotę zapytać go, jaki zapadł oficjalny werdykt w jej sprawie, ale zrozumiała, że byłoby to głupie pytanie. Zdążyła zrobić zaledwie kilka kroków, gdy zatrzymał ją surowy głos Pattona.

— Komandor Petri, jeszcze jedno!

Zatrzymała się.

— Tak jest, panie admirale.

— W drodze na okręt proszę wpaść do sklepiku mundurowego i kupić sobie pagony komandora oraz znaczek dowódcy okrętu. Od tej chwili jest pani stałym kapitanem „Devilfisha”. Przepraszam, że nie urządzamy oficjalnej ceremonii, jednak teraz nie pora na okolicznościowe uroczystości. — Chociaż głos Jonathana stał się nieco łagodniejszy i brzmiał prawie normalnie, to i tak robił wrażenie surowego. Może on już taki jest? — pomyślała Karen.

— Tak jest, sir. Dziękuję, sir — odparła. Plecy wiceadmirała znikły za zakrętem korytarza.

— Załoga, uwaga! — odezwał się z okrętowego radiowęzła „Devilfisha” zdecydowany głos Karen Petri. Jednostka stała przy moło numer dwadzieścia siedem, na pojedynczych cumach. Zasilanie z brzegu było odłączone, reaktor w pełni uruchomiony. Wachta manewrowa czekała na stanowiskach, a członkowie załogi odpowiedzialni za cumy — przy ich końcach. „Devilfish” mógł wypływać w morze zgodnie z przesłanym na przenośny komputer jego dowódcy rozkazem operacyjnym numer 2018-0724-TS-001. Wyglądał on następująco:

241537LIP2018

PILNE

OD DOWSIŁPODW, NORFOLK VA

DLA USS „DEVILFISH” SSNX-1

TEMAT ROZKAZOP 2018-Q724-TS-001

KOPIE DOWOPMOR, WASZYNGTON DC

DOWSIŁNAW, NORFOLK VA

DOWSIŁPOW, NORFOLK VA

POW GRUPA BOJOWA 2018-07-02

ŚCIŚLE TAJNE

//BT//

1. (C) ZEZWOLENIE NA WYPŁYNIĘCIE USS „DEVILFISH” 1600Z, 1100 EDT.
2. (S) USS „DEVILFISH” ZANURZYĆ SIĘ JAK NAJSZYBCIEJ U WYJŚCIA Z KANAŁU THIMBLE SHOALS WEDŁUG PLANU ATAKU NA WODACH PRZYBRZEŻNYCH 2017-1202 PRZY CO NAJMNIEJ CZTERECH (4) METRACH WODY POD KILEM.
3. (TS) PIERWSZYM CELEM MISJI JEST OCZYSZCZENIE WÓD WOKÓŁ PORTU NORFOLK Z WSZELKICH WYKRYTYCH NIEPRZYJACIELSKICH OBIEKTÓW PODWODNYCH. PRZESZUKAĆ TAKŻE RZEKĘ ELIZABETH, KANAŁ THIMBLE

SHOALS, REJON ROZCHODZENIA SIĘ DRÓG ŻEGLUGOWYCH Z NORFOLKU. POSUWAĆ SIĘ NA ZEWNĄTRZ W STRONĘ OBSZARU PRZYŁĄDKA WIRGINII WEDŁUG SZCZEGÓŁOWEGO PLANU OPERACYJNEGO 2200 WER 4 Z 11/22/17.

4. (S) WYMIENIONE W PARAGR. 3 OBSZARY ZOSTANĄ OCZYSZCZONE PRZEZ NAWODNĄ GRUPĘ BOJOWĄ 2018-07-02. STATKI HANDLOWE ORAZ POZOSTAŁE OKRĘTY WOJENNE BĘDĄ ZATRZYMANE W BAZIE NORFOLK, BAZIE LITTLE CREEK ORAZ PIĘĆ (5) MIL NA ZEWNĄTRZ OD REJONU ROZCHODZENIA SIĘ DRÓG ŻEGLUGOWYCH Z NORFOLKU.

5. (TS) ZASADY PODEJMOWANIA WALKI: PO WYKRYCIU KAŻDEGO WROGIEGO OBIEKTU USS „DEVILFISH” MA ZEZWOLENIE NA KAŻDE RACJONALNE UŻYCIE PRZENOSZONEGO UZBROJENIA NA ROZKAZ DOWÓDCY OKRĘTU W CELU ZNISZCZENIA WROGIEGO OBIEKTU.

6. (TS) PO SPOTKANIU WROGIEJ JEDNOSTKI PRZED ROZPOCZĘCIEM WALKI USS „DEVILFISH” MOŻE WYPUŚCIĆ BOJĘ SYGNAŁOWĄ NUMER JEDEN (1) ZGODNIE Z OPPLANEM 2200 WW. WERSJI — PO ZAKOŃCZENIU WALKI USS „DEVILFISH” WINIEN SKONTAKTOWAĆ SIĘ JAK NAJSZYBCIEJ Z DOWSIŁPODW I ZDAĆ RAPSYT. W PRZYPADKU NIEWYKRYCIA WROGICH CELÓW USS „DEVILFISH” WINIEN MELDOWAĆ RAPSYT. ZA POMOCĄ BOI W DWUNASTOGODZINNYCH (12) Odstępach.

7. (C) POZOSTAWAĆ NIEWYKRYTYM.

8. (C) POMYŚLNYCH ŁOWÓW. POWODZENIA, KAREN.

9. (U) OD ADMIRAŁ J.G.S. PATTON

/BT/

Użycie uzbrojenia zależy od decyzji dowódcy okrętu? — zdziwiła się Petri. Rzadko pozostawiano kapitanowi wolną rękę w tej sprawie. Nie spodziewała się zobaczyć na piśmie czegoś podobnego. Stała na stanowisku peryskopowym. Nad jej głową znajdował się włączony mikrofon radiowi zła. Kontynuowała rozpoczęte wystąpienie:

— Jak wszyscy wiecie, wczoraj w okolicach Norfolku zniszczono na naszych oczach statek pasażerki „Princess Dragon”. Nie zobaczyliśmy napastnika. Wszyscy przeszliśmy wczoraj przykre przesłuchania. I dzisiaj take — pomyślała. — Jak się być może domyślcie, komisja śledcza stwierdziła, że jesteśmy w porządku. Wysyłają nas na płycizny wokół Norfolku, abyśmy je przeczესali i zlikwidowali wszelkie ewentualne zagrożenia. Mamy sprawdzić, czy ci, którzy zatopili „Princess Dragon”, jeszcze gdzieś tu czyhają. Każdy, kto pełni wachtę, musi pamiętać, że od tej chwili nasz okręt jest w stanie wojny. — Petri zrobiła pauzę, żeby ostatnie zdanie dotarło do wszystkich. — Jeśli wykryjemy wrogi obiekt, zgodnie z zasadami, mamy prawo strzelać. Oczekuję od was maksymalnej gotowości. Za pięć minut wybieramy cumy. „Devilfish” wróci do portu dopiero wtedy,

gdy zatopimy sprawcę katastrofy „Princess Dragon”. — Znów urwała. — I jeszcze jedno. Dzisiaj rano zostałam awansowana na komandora i mianowana stałym kapitanem „Devilfisha”. Żałuję tylko jednego, że Kelly McKee zdecydował się wystąpić z marynarki. Ale powinniście wiedzieć, że jestem dumna, że wypływam z wami w morze i mogę wami dowodzić. Proponuję, abyśmy zadedykowali ten rejs Kelly’emu McKee i powrócili do portu z sylwetką nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego wymalowaną na kiosku. To wszystko. Wszystkiego dobrego.

Siedzący na mostku komandor porucznik Bryan Dietz wysłuchał przemówienia Petri. Gwizdnął przeciągle. Spojrzał na młodszego oficera pokładu Toasty’ego O’Neala.

— Ja cię kręcę! — zawołał. — Mamy wojenny rozkaz operacyjny, Toasty. Możesz podczas tego rejsu przekonać się, co to znaczy prawdziwa akcja, dzieciaku!



— Status Azowa? — zawołał zza pulpitu kapitan Graczow. Znajdował się w przedziale dowodzenia „Wiepria”, około 165 kilometrów na południowy wschód od Norfolku. Okręt spoczywał na skalnej półce uskoku Nags Head Majoris Ridge, na głębokości 450 metrów. Kilka kilometrów od miejsca, gdzie szelf kontynentalny kończył się raptownie, a zaczynała głębina Atlantyku. Położenie kryjówki było wystarczająco odległe od rejonu rozchodzenia się dróg żeglugowych z Norfolku, aby sensory SSNX-a nie mogły wykryć „Wiepria”. Jednocześnie znajdowało się dość blisko, żeby wyjście z portu Norfolk znalazło się w zasięgu torped przeciwpodwodnych Bora II, kiedy wystrzeliwuje się je w trybie powolnej prędkości podróżnej na małej głębokości.

Azow to bezzałogowy samolocik zwiadowczy lub raczej zmodyfikowany rakietowy pocisk samosterujący, wypuszczany z wyrzutni torped. „Wiepr” był wyposażony w cztery Azowy, będące cylindrami o średnicy pięćdziesięciu trzech centymetrów. Przelatując nad rejonem celu, Azow mógł zbierać i nadawać dane na jego temat znad wody. Nie trzeba było uciekać się do mniej pomocnego i droższego systemu satelitarnego. Za to wykryta przez przeciwnika rakietą mogła pośrednio zdradzić położenie „Wiepria”, a bezpośrednio — jego obecność.

— Azow numer jeden gotów do odpalenia — zameldował Swiatosłow, — Autokontrola układów zakończona z wynikiem pozytywnym. Proszę o wypuszczenie sensora Antaj.

— Nawigator, wypuścić sensor Antaj — polecił Graczow.

Od wierzchołka steru oddzieliła się gondola w kształcie wydłużonej kropli i popłynęła ku powierzchni. Wkrótce wynurzyła się z wody. Wypuściła antenę nadajnika radiowego ultrawysokiej częstotliwości do kontaktów z Azowem. Nadawanie i odbiór odbywało się na oddzielnych częstotliwościach, dzięki czemu możliwe były obie te czynności jednocześnie. Dane z pocisku zwiadowczego będą przekazywane drogą radiową do pływającego sensora, a ten prześle je przewodowo do centralnego komputera okrętu zanurzonego na głębokości czterystu pięćdziesięciu metrów.



— Antaj wypłynął — zameldował nawigator Tenuka ze stanowiska znajdującego się za plecami Graczowa. — Mamy obraz. Niebo częściowo zachmurzone, żadnych statków powietrznych w zasięgu wzroku.

— Antena wysokiej częstotliwości rozłożona?

— Tak jest, panie kapitanie; nadajnik działa sprawnie.

— Jest odczyt wstępny z Azowa jeden?

— Azow jeden wyleci w początkowym kierunku zero cztery zero przy płytkim kącie wznoszenia — dziesięciu stopni. Po osiągnięciu wysokości siedmiu kilometrów skręci na zachód. Przeleci nad Norfolkem, później skręci i przeszuka zatokę Chesapeake oraz Hampton Roads.

— Panie Pierwszy, odpalić Azowa jeden, kiedy gotów — rozkazał Paweł. Wstał podkscytowany. Michajło znajdował się w projektorze numer dwa, w tylnym prawym rogu przedziału dowodzenia. Pomieszczenie projektora miało zaledwie półtora na półtora metra, jednak Swiatosłow siedział wygodnie na skórzanej kanapce, w okularach do rzeczywistości wirtualnej. W tej chwili nic nie widział, jednak Azow zaraz wystartuje i wtedy Michajło będzie miał wrażenie, że unosi się w powietrzu ponad światem.

— Pokrywa wyrzutni numer jeden otwiera się — zameldował Swiatosłow. Wyrzutnia szczelna. Uruchomione uzbrajanie generatora gazu. Drugi Kapitan odlicza, proszę o komendę wypuszczenia.

— Komenda wypuszczenia wprowadzona — odpowiedział Graczow, wstukawszy do komputera hasło.

— System przyjął komendę. Uzbrajanie tryb auto — informował Michajło.  
— Odliczanie trzy, dwa, jeden, start!

★ ★ ★

Trzydzieści metrów przed Graczowem, u podstawy wyrzutni torpedowej numer jeden, wpasowanej w strukturę nośną dziobowego zbiornika balastowego, odpalił się generator gazu numer jeden. Generator był małym ładunkiem stałego paliwa rakietowego, umieszczonym w sąsiedztwie zbiornika z wodą destylowaną. Ładunek spalił się, a gorące gazy zamieniły wodę w gorącą parę. U podstawy wyrzutni powstało nagle wysokie ciśnienie. Objętość wypełnioną parą ograniczał od góry ciężki cylinder — rakietka Azow. Para zadziałała na niego jednak siłą czterech milionów niutonów i wypchnęła gwałtownie pocisk z wyrzutni, zupełnie jak plastelinową kulkę ze spluwy ucznia podstawówki. W ciągu niecałej sekundy Azow przyspieszył do stu kilometrów na godzinę i opuścił okręt. Wznosił się, zwalniając, ciągle w wielkim bąblu pary. Bąbel dotarł w końcu do powierzchni wody. Kiedy cylinder mijał powierzchnię, odpadł jego czubek, zamocowany przy pomocy sworzni ścinanych wybuchowo. Odpalił się mały ładunek

nek raketowy, podobny do tych, które wyrzucają awaryjnie fotele z myśliwców, i z zewnętrznego zasobnika wyleciał właściwy pocisk. Po drodze przerwał dwanaście linek, co doprowadziło do odpalenia kolejnych sworzni, i wodoszczelny pojemnik rozpadł się.

W powietrzu pozostało coś, co wyglądało jak rakieta ze złożonymi skrzydłami. Na środku znajdowały się dwa duże, przy końcu zaś trzy stateczniki. Po odpadnięciu fragmentów zewnętrznego zasobnika uruchomił się silnik pocisku. Stałe paliwo raketowe nadało mu nowy impuls napędowy i Azow wzniósł się pionowo na wysokość dwudziestu metrów. Pochylił się zaraz i unosił dalej ku niebu pod płaskim kątem dziesięciu stopni. Skrzydła pozostawały na razie złożone, ale rozłożyły się stery, dające podobny efekt jak pióra strzały. Po osiągnięciu przez raketę wysokości czterdziestu metrów uruchomił się umieszczony w jej dziobie nadajnik ultrawysokiej częstotliwości, wysyłając sygnał „wszystko w porządku”. Odebrał go stalowoniebieski — nie do odróżnienia na tle wody — sensor Antaj, unoszący się nieopodal na niewielkich falach. Radio pocisku czekało na odpowiedź z Antaja.

Minęły dwie kolejne sekundy i spodziewana odpowiedź nie nadeszła. Azow wzniósł się przez ten czas o następne pięćdziesiąt metrów. Spróbował powtórnie uzyskać połączenie z Antajem. Odpowiedzi jednak nie było. Po trzeciej nieudanej próbie uruchomiona została automatycznie sekwencja samozniszczenia pocisku. Stery obróciły się i rakieta skierowała się ku wodzie. Po trzech sekundach, ciągle napędzana pracującym z pełną mocą silnikiem, uderzyła w fale z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę. Rozpadła się, jak gdyby trafiła w beton. Skrzydła i kadłub odpadły połamane na kawałki, silnik zanurkował jeszcze, gasnąc w końcu. Po trzydziestu sekundach eksplodowały znajdujące się w resztkach pocisku ładunki, rozrywając je na drobne części, z których największa miała wielkość pudełka po butach. W ten sposób zniszczony pocisk nie będzie mógł zostać wyłowiony i zbadany przez nieprzyjacielskich nurków.

★ ★ ★

— Co się, do cholery, stało?! — zawołał Graczow.

— Sprawdzam, panie kapitanie — odezwał się Swiatosłow. — Nie nadszedł żaden sygnał z Azowa. Albo nawalił jego nadajnik, albo nadajnik Antaja. Jeśli awaria miała miejsce w pocisku, to możemy wypuścić drugi, A jeżeli to radio Antaja nie działa — mamy pecha.

— Niech to szlag trafi! — zaklął kapitan. — Przygotować pocisk numer dwa. Nawigator, niech pan dobrze sprawdzi, do diabła, połączenie z Antajem i stan jego nadajnika.

— Tak jest! — rzucił Michajło. Przyzwyczał się już do wybuchów Pawła. — Drugi Kapitan uruchamia wyrzutnię numer dwa. Samokontrola Azowa dwa pozytywna. Elementy płatowca i napędu — sprawne, plan lotu — trafny. Gotów do odpalenia, panie kapitanie.

— To dobrze, do diabła. Nawigator, co z tym cholernym Antajem?

— Tak samo jak przedtem, panie kapitanie — odpowiedział Tenuka. — Pływa na powierzchni. W kamerze widać, że antena nadajnika jest w pełni wypuszczona. Wszystkie obwody działają. Teoretycznie z Antajem wszystko w porządku.

— Widzę, że tak naprawdę nie wiemy, co się stało...! — warknął Graczow, zerkając z gniewną miną na stojącego obok Nowskoję. — Niech wszyscy sprawdzą, co jest włączone, a co wyłączone, czy działa oprogramowanie. Przeprowadzić samokontrolę urządzeń, sprawdzić obwody. Po kolei. Pierwszy — meldować!

Po chwili Graczow otrzymał powtórny, identyczny raport. Nie pozostawało nic innego, jak wypuścić drugiego Azowa, wartego kolejne dziesięć milionów euro, nie znając przyczyny niepowodzenia poprzedniej próby, Mogło zdarzyć się to samo, co z pierwszym pociskiem.

— Drugi Kapitan odlicza, dziesięć sekund, proszę o komendę wypuszczenia — meldował Michajło.

— Komenda wypuszczenia wprowadzona.

— I jest; trzy, dwa, jeden, start!

Otworzyła się pokrywa wyrzutni numer dwa, odpalił generator gazu, para wypchnęła pocisk za burtę. Azow wzniósł się ku powierzchni i ponad nią, zadziałała sekwencja rozpadu zewnętrznego pojemnika, uruchomił się silnik raketowy, rozłożyło usterzenie pocisku. Azow przyspieszył, pochylił się, wzniósł na pięćdziesiąt metrów i nadał do Antaja sygnał „wszystko w porządku”.

I nie otrzymał odpowiedzi. Za pierwszym, za drugim i za trzecim razem pocisk skierował się ku wodzie.

Stojący czterysta metrów niżej Paweł Graczow zerwał z uszu słuchawki i cisnął nimi o podłogę.

★ ★ ★

Znajdujący się na szczycie kiosku mostek „Devilfisha” obmywała bryza. Okręt płynął z prędkością dziesięciu węzłów. Słońce świeciło jasno, a temperatura pomału zbliżała się do trzydziestu stopni Celsjusza. Na mostek dolatywały drobniutkie kropelki słonej wody, rozbijanej przez obły dziób jednostki. W niewielkim pomieszczeniu mostka stali Dietz i O’Neal. Za nimi, wyżej, w otwartym kokpicie siedziała Karen Petri w morskim kombinezonie, lekkiej kurtce i ciemnych okularach firmy Ray-Ban. Z szyi ko-

mandor zwiślała lornetka. W całym ciele odczuwała wibracje dochodzące z maszynowni. Dodawało to jej energii do działania, mimo że czekała ją prawdziwa misja bojowa. A może właśnie dlatego.

W słuchawkach trojga oficerów rozległ się głos Kiethana Judisona:

— Podaj zakręt na kurs zero osiem pięć!

— Ster, tu mostek, ster prawo na burt, ustabilizować kurs zero osiem pięć — polecił Toasty, obserwowany pilnie przez Dietza.

„Devilfish” zaczął skręcać w kanał Thimble Shoals. Boje po jego obu stronach robiły jak zwykle wrażenie świateł pasa startowego.

★ ★ ★

— Co się znowu stało?!

— Panie kapitanie, przyczyny niepowodzenia mogą być dwie, te same, co za pierwszym razem — odparł Swiatosłow.

— Nawigator, niech pan wyłączy Antaja i sprowadzi go z powrotem. I niech się pan upewni, że dobrze przymocował się do steru.

— Ale, panie kapitanie...

— Zamknij się, Pierwszy! Nawigator, wykonać.

— Tak jest! Antaj wyłącza się, antena się chowa. Kłapa zamknięta, sensor gotów do zanurzenia. Szpula z przewodem obraca się, Antaj zanurzył się i zbliża. Przymocuje się do „Wiepria” za dwie minuty. Czy mam podawać odległość sensora?

— Nie trzeba — mruknął Graczow, spoglądając na wskazania na swoim ekranie.

Po dłuższej chwili gondola sensora opuściła się do końca, została wychwycona i umocowała się swoim gnieździe na wierzchołku steru.

— Antaj opuszczony i umocowany, panie kapitanie — zameldował nawigator.

— Bardzo dobrze. Nawigator, wypuścić sensor Antaj.

— Co pan robi? — zdziwił się Nowskoj.

— Kiedy coś nie działa, należy to wyłączyć i spróbować uruchomić po raz drugi — wyjaśnił kapitan. — A jeżeli znów się nie uda, przejdziemy do planu B; to znaczy wpłyniemy do zatoki i będziemy strzelać.

— W obecnej sytuacji będzie to samobójstwo — ocenił cicho Nowskoj.

— Bingo — odpowiedział Paweł, również ściszym głosem. — Znów wygłosił pan oczywistą prawdę. Nawigator, meldować, do cholery! — krzyknął nagle.

Piętnaście minut później Antaj unosił się znów na powierzchni oceanu z wypuszczoną anteną nadajnika.

— Panie kapitanie, sensor Antaj pływa po powierzchni, kłapa antenowa otwarta — zameldował nawigator. — W kamerze widać, że antena wysunęła się do końca, obwody nadawania i odbioru pracują.

— Bardzo dobrze. Proszę przetestować jeszcze raz nadawanie i odbiór.

— Tak jest. Odbieramy nadawany sygnał, panie kapitanie, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

— Panie Pierwszy, jest pan gotów do wypuszczenia trzeciego Azowa? — rzucił Graczow.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Proszę trzymać kciuki i wypuścić Azowa trzy z wyrzutni trzy, kiedy gotów. Komenda wypuszczenia wprowadzona.

— Tak jest, dziesięć sekund. Trzymam kciuki. Pięć sekund, trzy, dwa, jeden, start!

Azow numer trzy wzniósł się ku powierzchni wody. Zewnętrzna skorupa odpadła, silnik uruchomił się, pocisk osiągnął wysokość pięćdziesięciu metrów i nadał sygnał do Antaja. Tym razem sensor odpowiedział. Pocisk zwiadowczy wznosił się dalej pod kątem dziesięciu stopni do poziomu.

— Udało się! — zawołał nawigator. — Azow trzy w powietrzu, odebraliśmy sygnał „wszystko w porządku”, panie kapitanie! Mamy odbiór!

Zebrani w przedziale dowodzenia mężczyźni wydali radosny okrzyk. Graczow spytał surowym tonem:

— Panie Pierwszy, jest widok z kamery?

— Tak, panie kapitanie. Latam nad oceanem.

Swiatosłow przekręcił zamocowaną obrotowo w trzech płaszczyznach skórzaną kanapkę tak, że wisiał na pasach twarzą do pokładu. Mocowanie kanapy znajdowało się dwadzieścia centymetrów od jego twarzy i nie wyglądało interesująco, jednak w okularach do rzeczywistości wirtualnej Michajło czuł się, jakby leciał Azowem. Widział pod sobą śmigającą powierzchnię oceanu. Horyzont poszerzał się z każdym kolejnym metrem wysokości, pokonywanym przez pocisk. Po lewej zaczynał majaczyć brzeg.

Zapas paliwa raketowego skończył się. Silnik odpadł po eksplozji mikroładunków szesnastu ścinanych wybuchowo sworzni. Spadł do wody wzbijając małą fontannę.

Uruchomił się kolejny silnik — odrzutowy. Wpadające z zewnątrz powietrze zaczęło obracać turbosprężarkę. Do komory spalania zostało wtrysnięte paliwo, zadziałało kilka świec zapłonowych i nastąpił zapłon. Gorące gazy spalinowe pod wysokim ciśnieniem rozkręciły turbinę połączoną wałem ze sprężarką do wysokich obrotów. Sprężarka doładowywała silnik większą ilością powietrza, ciśnienie rosło. Po upływie sekundy silnik pracował już normalnie. Gazy spalinowe wylatywały w miejscu, gdzie przed chwilą zamocowany był silnik raketowy.

Schowane do tej pory skrzydła rozłożyły się. Wydawały się zbyt delikatne, jak u szybowca. Wykonane jednak były z mocnego kompozytu węglowego i pokryte materiałem pochłaniającym fale radarowe. Stabilizacja toru lotu zajęła kilka sekund. Po ich upływie pocisk stanowiący w tej chwili bezzałogowy samolocik odrzutowy wznosił się dalej prosto, pod kątem dziesięciu stopni.

Azow podążył na północny wschód, osiągając wreszcie wysokość siedmiu kilometrów. Widać było stamtąd amerykańskie wybrzeże. Osiągnąwszy je, pocisk skręcił na zachód. Wlatywał nad zatokę Chesapeake i Hampton Roads.

Michajło Swiatosłow podziwiał oświetlone porannym słońcem plaże Karoliny Północnej oraz Wirginii, wystający cypel na horyzoncie, gdzie spotykały się granice stanów Delaware, Maryland i Wirginia, most przecinający ujście zatoki Chesapeake.

★ ★ ★

— Nadal nic nie wykrywamy, pani kapitan — zameldował Dietz. — Jesteśmy pięć mil od mostu nad ujściem zatoki.

— Oficer pokładowy — maszyny stop.

— Tak jest. Ster, tu mostek, maszyny stop. Sonar, mostek — zatrzymujemy się.

— Mostek, tu ster, tak jest — odpowiedziano.

— Mostek, tu sonar, tak jest.

Fala dziobowa opadła stopniowo i wążca siedem tysięcy siedemset ton jednostka zatrzymała się na środku kanału Thimble Shoals.

— Co robimy, pani kapitan? — spytał Dietz ze zdziwieniem.

Petri nie potrafiła udzielić konkretnej odpowiedzi. Ogarnęło ją po prostu nieokreślone przecucie. Uniosła lornetkę i rozejrzała się na wszystkie strony po horyzoncie.

— Niech sonar przeszuka wszystkie częstotliwości, szerokim i wąskim pasmem, oraz przeanalizuje dane z systemu obrazowania akustycznego. Mają na to dziesięć minut.

— Tak jest — odparł Bryan i przekazał rozkaz.

Petri zeskoczyła ze swego miejsca na szczycie kiosku i zeszła na mostek. Wzięła duży przenośny komputer, służący do wyświetlania map. Przypatrzyła się mapie i wskazała palcem punkt odległy o dziesięć mil. Następnie wywołała obraz, dotyczący sygnałów taktycznych dla nawodnej grupy bojowej. Podniosła kodujący nadajnik satelitarny Nestor, wyglądający jak słuchawka telefoniczna dawnego typu. Spytała przez mikrofon:

— Radio, tu kapitan, czy Nestor jest podłączony?

— Tak jest, Nestor podłączony — odparł starszy bosman Morgan Henry.

— Bardzo dobrze.

Karen zdjęła słuchawki i przyłożyła nadajnik do ucha.

— November uniform, tu tango sierra, odbiór — powiedziała. Usłyszała głośnie trzaski. Po chwili odezwał się przypominający beczenie głos, opóźniony i zniekształcony przez procedurę kodowania:

— Tango sierra, tu dowódca november uniform. Słyszę cię pięć na pięć, odbiór.

Był to dowódca grupy nawodnej, która powstrzymywała przed wpłynięciem do Norfolku wszystkie statki cywilne. Kierujący grupą komandor, kilka godzin wcześniej awansowany z komandora porucznika, oraz jego okręty podlegali na czas tej misji Karen. Do chwili, kiedy „Devilfish” wpłynie w obszar oznaczony jako Przylądki Wirginii.

— November uniform, tu tango sierra. Natychmiast przesunąć się do siedem jedenaście i poderwij parę towarków. Odbiór.

Komandor odpowiedział poważnie:

— Potwierdzam, mam przesunąć się do siedem jedenaście i poderwać parę towarków. November uniform, bez odbioru.

Petri wydała właśnie rozkaz odsunięcia statków handlowych dalej, do punktu oznaczonego T, jak „towarek”. Chciała zabezpieczyć je w ten sposób przed mającą nastąpić akcją.

— Oficer pokładowy, załadować Mark 5 Sharkeye do wyrzutni jeden w ciągu pięciu minut — poleciła.

Sharkeye do wyrzutni jeden, tak jest.

Komandor postanowiła zaczekać w miejscu, gdzie się znajdowali, i posłać kanałem Sharkeye’a. Zmodyfikowana torpeda wypuści w zaprogramowanym miejscu na dno zatoki sensor systemu obrazowania pola akustycznego, zwiększając zasięg przeszukiwanego przez załogę obszaru.

Dietz wykonał rozkaz i popatrzył na swojego dowódcę.

— Pani kapitan, czy nie byłoby skuteczniejsze wypuszczenie sensora Yo-Yo Mark 12? — spytał.

— Owszem, jednak wolę zaoszczędzić Yo-Yo na głębszą wodę. Do tego, co chcę w tej chwili zrobić, Mark 5 wystarczy.

Czekali. „Devilfish” stał na środku kanału żeglugowego. Obsługa sonarów przeszukiwała zatokę, bosman odpowiedzialny za torpedy załadował Sharkeye’a do wyrzutni numer jeden.

Tymczasem siedem kilometrów ponad głową komandor Petri przeleciał malutki samolocik. Był osiem razy mniejszy od niedużego, jednosilnikowego samolotu śmigłowego, a jego odbicie radarowe nie było silniejsze niż od mewy.

Systemy samolociku zarejestrowały stojący w zatoce okręt podwodny i wysłały odpowiednie sygnały do odległego, pływającego odbiornika. Ten przekazał je dalej, do znajdującego się czterysta metrów pod nim „Wiepria”. Kilkunastu oficerów zobaczyło ostre fotografie amerykańskiego SSNX-a — smakowitego kąska dla ich okrętu.

Panie kapitanie, torpedy Bora II załadowane do wyrzutni od pierwszej do czwartej — zameldował odpowiedzialny za uzbrojenie bosmanmat Lynskij, siedzący w swoim projektorze rzeczywistości wirtualnej.

— Bardzo dobrze — odparł Graczow. Znajdował się wciąż na stanowisku dowódcy okrętu zamiast w prawoburtowym projektorze zero. Nie lubił tkwić w ciasnym projektorze rzeczywistości wirtualnej; wolał stać z założonymi rękami na pokładzie przedziału dowodzenia i obserwować wskazania komputera. Albo chodzić w tę i z powrotem, jeśli czuł taką potrzebę. Być może miał w sobie geny kapitana dawnego żaglowca, który najchętniej przechadzał się po pokładzie, wystawiony na kaprysy pogody? — Podłączyć torpedy w wyrzutniach jeden do cztery do układu kierowania ogniem Drugiego Kapitana — rozkazał.

— Tak jest, panie kapitanie, podłączam do systemu torpedy jeden do cztery.

— Oficer torpedowy, zalać wyrzutnie jeden do cztery.

— Wyrzutnie zalane, panie kapitanie.

— Otworzyć pokrywy wyrzutni jeden do cztery.

— Otwieram pokrywy wyrzutni. System kontroluje wszystkie cztery torpedy. Jaki cel?

— Podać przekazywane przez Azowa położenie SSNX-a, oznaczyć go jako cel numer jeden.

— Tak jest.

— Zaprogramować torpedy na małą prędkość i płytkie zanurzenie, kurs według wskazań Drugiego Kapitana.

Przed Graczowem, na ekranie numer dwa, wyświetlała się w tej chwili mapa. Zaznaczone było na niej, w prawym dolnym rogu, położenie „Wiepria”; widać też było ujście zatoki Chesapeake i kanał Thimble Shoals, po lewej u góry. Zaznaczona była zmieniająca się głębokość wody oraz pozycja SSNX-a przesyłana w czasie rzeczywistym z Azowa.



— Wszystkie cztery torpedy zaprogramowane. Panie kapitanie, proszę o komendę odbezpieczenia głowic plazmowych.

— Odbezpieczam głowice plazmowe torped jeden do cztery — oznajmił Paweł, zerkając na Nowskoją i wpisując do komputera odpowiednie hasło.

— Torpedy jeden do cztery odbezpieczone — zameldowano.

— Bardzo dobrze. — Graczow zdjął słuchawki i potarł zmęczone oczy, — Czy jest pan teraz zadowolony? — spytał Nowskoją. — Odpalimy Bory i rozwalimy SSNX-a na kawałki, a potem wycofamy się dalej na wschód.

— Świetnie, ale otrzymał pan rozkaz niewypuszczenia ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych niczego — przypomniał Aleksiej. — Niepokoi mnie ta nawodna grupa bojowa. Nie jest bezradna, a poza tym może wykryć przepływające torpedy.

— Skoro tak się pan wszystkim niepokoi, czy nie obawia się pan również zawału serca? — spytał Graczow. Pomyślał, że konsultant nie nadaje się na ten okręt.

Nowskoj zignorował zjadliwy komentarz i kontynuował:

— Poza tym, musi pan poświęcić jedną z wyrzutni na wypuszczenie ostatniego zestawu Szczuka. Powinniśmy korzystać z systemu obrazowania pola akustycznego, na wypadek gdyby zbliżył się do nas obiekt również wyposażony w taki system.

— Mała na to szansa — mruknął Paweł. — Jedyne amerykańskie okręty z systemem obrazowania pola niedługo zatonie. — Następnie przemówił do mikrofonu:

— Uwaga na rozkazy. Będziemy odpalać cztery torpedy Bora ku zatoce Chesapeake przeciwko SSNX-owi, czyli celowi jeden. Kiedy SSNX zatonie, schowamy Antaja, zniszczymy Azowa i wycofamy się na otwarty ocean. Odstęp między torpedami — jedna minuta, żeby następne nie zostały zmyłone przez kilwater poprzedzających. Wszystkie stanowiska, podać status.

Pół minuty później cztery torpedy były gotowe do odpalenia. Graczow pokiwał głową, sam do siebie.

— Oficer torpedowy odpalić pierwszą torpedę, kiedy gotowa.

— Tak jest, panie kapitanie. Komputer odlicza. Dziesięć sekund.

Bora jeden leżała w zalanej wodą wyrzutni na śródkręciu. Układy elektryczne pocisku były zasilane z pokładowego ogniwa, a komputer — znacznie mniej zaawansowana wersja Drugiego Kapitana — czuwał, gotów na rozkaz odpalenia. Wprowadzono dane dotyczące drogi do celu. Torpeda miała najpierw wznieść się pod kątem trzydziestu stopni na głębokość dwudziestu metrów, następnie zwolnić do prędkości podróżnej, wynoszącej zaledwie czterdzieści węzłów, a potem posuwać się na północ, do punktu leżącego na wschód od obszaru rozchodzenia się dróg żeglugowych z Norfolku. W tym czasie amerykański okręt z pewnością zdąży już wypłynąć z zatoki Chesapeake, Dalsze dane wywiadowcze umożliwią torpedzie trafienie w cel.

Komputer pokładowy odbierał sygnały odliczania. Kiedy pozostała sekunda do odpalenia, procesor rozpoczął uruchamianie silnika torpedy. Zmieszane z utleniaczem paliwo wpłynęło pod ciśnieniem do zaworu prowadzącego do komory spalania. Umieszczona w niej świeca zapłonowa rozgrzała paliwo do temperatury paru tysięcy stopni, zapalając je. Szybko rozszerzające się gazy spalinowe dopłynęły do turbiny i wypłynęły przez zawór zewnętrzny do wyrzutni. Gdy Drugi Kapitan nadał „zero”, turbina napędowa torpedy obracała się już z prędkością prawie stu obrotów na minutę. Otworzył się zawór wodny i ciśnienie w wyrzutni wzrosło o sto atmosfer w stosunku do ciśnienia wody na tej głębokości. Pięciotonowa torpeda została wypchnięta z wyrzutni. Z osłony śruby rozwinął się kabel sterowniczy. Łączył on torpedę z Drugim Kapitanem, na wypadek gdyby ten otrzymał nowe dane na temat położenia celu.

Turbina przekroczyła jałową prędkość tysiąca dwustu obrotów na minutę i kręciła się coraz szybciej, podczas gdy zawór paliwowy w komorze spalania coraz bardziej się otwierał. Wzrastała temperatura i ciśnienie na wlocie turbiny. Obracała ona za pośrednictwem wału napędowego wirującą w przeciwną stronę śrubę. Torpeda przyspieszyła do dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu kilometrów na godzinę. Jednocześnie wznosiła się. Gdy osiągnęła głębokość dwudziestu metrów, wypoziomowała i z ustabilizowaną prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę popłynęła ku północy.

Przez pewien czas Bora jeden płynęła przed siebie, wykrywając tylko fale powyżej. Woda była zbyt głęboka, żeby sensory pocisku widziały dno. Z lewej i z prawej nie było nic szczególnego.

★ ★ ★

— Torpeda numer jeden za burtą, panie kapitanie — zameldował Lynskij.

— Świetnie. Proszę odpalić drugą zgodnie z podanym odstępem czasowym.

— Tak jest, wyrzutnia dwa gotowa.

Wystrzelono w minutowych odstępach torpedy drugą, trzecią i czwartą. Mknęły na północ, połączone wciąż z „Wieprietem” za pośrednictwem długich na wiele kilometrów przewodów.

— Oficer torpedowy, jaki czas do skrętu torpedy? — spytał Graczow.

— Przy prędkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę musimy czekać dziewięćdziesiąt minut, panie kapitanie. Następnie torpedy skręcą na zachód i popłyną ku ujściu zatoki Chesapeake.

— Tak to jest, kiedy okręt przyczai się daleko od celu — skwitował Paweł. — Wachta, mamy przed sobą drugie oczekiwanie. Proszę więc spocząć, ale zachować maksymalnie wyważoną uwagę.

Kapitan zdjął słuchawki i odgarnął włosy ze spoconego czoła. Wstając, zauważył, że Nowskoj wpatruje się w niego uporczywie.

— Co jest? — rzucił.

— Nic — odpowiedział starszy mężczyzna.

— Może w międzyczasie napije się pan kawy? — zaproponował Graczow. — Mam najlepszą kawę po tej stronie Ameryki Południowej.

Nowskoj uśmiechnął się swoimi równymi zębami, których nie powstydzilby się młodszy od niego człowiek.

— Chętnie — odparł.

Graczow zadzwonił do kambuza.

★ ★ ★

— Tango sierra, tu dowódca november uniform, odbiór. — Petri podniosła czerwoną słuchawkę. — Dowódca november uniform, mówi tango sierra, odbiór — nadała.

— Towarki zarwane, odbiór.

Okręty nawodne zabrały czekające statki handlowe z drogi sensora torpedowego Sharkeye.

— Rozumiem. Tango sierra wypuszcza psa, odbiór — poinformowała Karen.

— Potwierdzam, wypuszczacie psa. November uniform, bez odbioru.

— OOD, odpalić Mark 5 — rozkazała komandor.

— Odpalić Mark 5, tak jest. Operator, tu oficer pokładowy, odpalić Mark 5 z wyrzutni jeden.

— Gotów — odezwał się pierwszy oficer Paul Manderson, kierujący w tej chwili ośrodkiem ataku na środkowym pokładzie.

— Odpalać — rzucił oficer torpedowy Dick Van Dyne.

— Ognia — rozkazał Dietz.

Nawet wysoko na mostku dało się słyszeć i odczuć wyrzucenie torpedy z okrętu. Petri sprawdziła, czy na powierzchni akwenu widać, jak Mark 5 Sharkeye pruje wodę przed „Devilfishem”. Nie było widać.

— Torpeda za burtą, odpalenie elektryczne z wyrzutni jeden — zameldował Van Dyne.

— Mostek, tu sonar, widzę naszą torpedę, porusza się normalnie — zawołał starszy bosman Henry.

Zmodyfikowana torpeda wraz z zainstalowanym w niej sensorem płynęła kanałem z prędkością trzydziestu węzłów ku końcowi zatoki. Kiedy osiągnie punkt odległy o dziesięć mil na wschód od mostu, rozłoży czujniki obrazowania pola akustycznego. Do tego czasu Karen i jej okręt będą tkwić nieruchomo na środku kanału. Trudno wyobrazić sobie bardziej staranne przeszukiwanie — myślała komandor. Żadna specjalna komisja nie będzie mogła jej oskarżyć o przeoczenie czegokolwiek.



— Co robi SSNX? — spytał Graczow. Pili z Nowskojem kawę.

Siedzący w projektorze drugim Swiatosłow szybował jednocześnie siedem tysięcy metrów ponad zatoką Chesapeake, obserwując okręty wojenne odprowadzające w kierunku południowym zgromadzone statki handlowe. Amerykański okręt podwodny stał nadal nieruchomo w kanale.

Michajło przełączył okulary tak, że przeniosły go jak gdyby na wysokość pięćdziesięciu metrów ponad kioskiem SSNX-a. Zobaczył stojących na samej górze troje oficerów w morskich kombinezonach. Rozmawiali nachyleni ponad mapą i spoglądali na kanał przed sobą.

— Nic, panie kapitanie. Stoją, gdzie stali poinformował Michajło.

— To dziwne — zauważył Graczow. — Spodziewałem się, że wypadną z zatoki, szukając nas.

— Może uznali, że ich jednostki zostały zatopione przez bomby, które terroryści umieścili na pokładach wysunął przypuszczenie Swiatosłow. — Albo na SSNX-ie nastąpiła jakaś awaria.

— Nie. Gdyby mieli awarię, - zaraz podpłynęłyby holowniki, żeby im pomóc — ocenił Paweł. — A nic takiego się nie dzieje. Poza tym zabierają z okolicy statki handlowe. To podejrzane. Okręty nawodne też się usuwają. Hej, panie Pierwszy, z czego składa się zespół nawodny?

— Jeden krążownik klasy Aegis II, trzy niszczyciele przeciwpodwodne klasy Bush i trzy szybkie fregaty.

— Helikopterowca nie ma. Czy na pokładach niszczycieli są śmigłowce?

— Są, na wszystkich, ale mają poskładane wirniki.

— Hmm... SSNX nadal nic nie robi?

— Nic, panie kapitanie.

— Oficer torpedowy, proszę skrócić torpedami Bora jeden do cztery. Kurs trzy zero zero, północny zachód — polecił Graczow.

— Panie kapitanie, może zabraknąć im paliwa — odpowiedział Lynskij

— Zakręcę nimi wcześniej — wyjaśnił Paweł. — Zetną róg, zamiast płynąć prosto od zachodu.

— Dlaczego? — zainteresował się Nowskoj.

— Jeśli zostaną wykryte, lepiej, żeby Amerykanie pomyśleli, iż odpalono je ze wschodnio-południowego wschodu, a nie z południa. Prawdopodobnie odpowiedzą salwą ze stu pocisków.

Nowskoj pokiwał głową.

Sensor Sharkeye zwolnił, gdyż pokładowy laserowy, pierścieniowy układ nawigacji bezwładnościowej wskazał, że zbliża się do miejsca przeznaczenia. Śruba powoli stanęła. Teraz płynąca rozpędem torpeda nakierowała się dokładnie na wyznaczony punkt, opadając na leżące na głębokości trzydziestu siedmiu metrów dno. Jednocześnie pocisk ustawił się pionowo, wbił się w dno rufą, a dziób sterczał ku górze.

Ośłona dziobu otworzyła się i z wnętrza torpedy wypłynęło dziesięć kulistych czujników hydrofonowych wielkości piłki do koszykówki. Każda z kul miała inną wyporność i wagę. Wszystkie były połączone ze sobą i z korpusem torpedy cienkimi jak nitki przewodami. W ciągu niewielu sekund czujniki uniosły się na różne głębokości, na których się zatrzymały. Utworzyły zestaw antenowy systemu obrazowania pola akustycznego. Obserwował on otoczenie, znajdując się dziesięć mil na wschód od wrót zatoki Chesapeake. Zaraz po uruchomieniu zestaw pokazał pozycje okrętów zespołu nawodnego i statków handlowych, znajdujących się na południowy wschód od niego. Na zachodzie uwidocznił filary mostu przecinającego zatokę. Na południowym zachodzie — cztery szybko płynące torpedy.

Dane z Sharkeye'a przesyłane były długim światłowodem do przedziału torpedowego wciąż nieruchomego „Devilfisha” i do jego centralnego komputera. Ten wyświetlał je na ekranach. Manderson, Dietz, O'Neal i Petri zobaczyli jednocześnie cztery wrogie pociski.

— Torpeda! — zawołał Dietz. — To znaczy, cztery torpedy, kierunek jeden zero zero, odległość dwadzieścia mil! Pani kapitan!

— Widzę — odpowiedziała Petri. — OOD, przekazać ostrzeżenie i opuścić zatokę. Maksymalna cała naprzód!

— Trzymam mostek! — zawołał Bryan do mikrofonu. — Ster, tu mostek, maksymalna cała naprzód! Kurs zero osiem pięć. Uwaga wszyscy, tu mostek, cztery torpedy w wodzie!

— Mostek, tu ster, przyspieszam do maksymalnej całej naprzód! — zameldowano. — Obroty przekraczają sto, ustabilizowany kurs zero osiem pięć, moc reaktora — osiemdziesiąt procent.

Okręt ruszył; najpierw powoli; zaczęła narastać fala dziobowa; pokład dygotał pod naporem sześćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych mocy na wale.

— Pomiń meldunki, ster — poleciał Dietz, po czym spytał Karen:

— Pani kapitan, czy nie powinniśmy płynąć do środka zatoki? Ruszamy naprzeciw czterech torped!

— Wyjaśnię to. Sonar, tu kapitan, podaj typ zbliżających się torped.

— Mostek, tu sonar, to rosyjskie torpedy serii Bora, o napędzie wodno-odrzutowym. Zbliżają się z prędkością około czterdziestu węzłów. Odległość bardzo duża, powyżej czterdziestu kilometrów. Jednak wyraźny efekt Dopplera, wszystkie cztery zdecydowanie zbliżają się.

— Sonar, tu kapitan, czy jesteś w stanie odróżnić, czy to typ Bora I, czy II?

— Tu sonar, Bora II.

Dietz otworzył szeroko oczy. Petri popatrzyła na niego i oznajmiła:

— OOD, zmierzają ku nam cztery torpedy z głowicami plazmowymi. Jeśli zawrócimy, wpłyną za „Devilfishem” do portu w Norfolk. Gdyby wybuchły na nabrzeżu, mogłyby zamienić w popiół centrum miasta. Wypłyniemy na otwarty ocean i zaciągniemy torpedy na północ. W międzyczasie odpowiemy własnym atakiem. Niech pan przygotowuje okręt do zanurzenia. Kiedy tylko miniemy most, zanurzamy się. Jasne?

— Tak jest, pani kapitan...! — odpowiedział Dietz, zaszokowany.

— Schodzę z mostka! — zawołała komandor i zjechała po poręczach drabinki do przedziału operacyjnego.

— Sytuacja rozwija się — oznajmił Swiatosłow. — Proszę meldować. — Graczow odstawił kubek po kawie.

— Śmigłowce przeciwpodwodne na niszczycielach szykują się do startu. Zespół nawodny rozdziela się. Oddalają się od statków cywilnych.

Paweł nachylił się i popatrzył na ekran zero, czyli centralny ekran swojego pulpitu. Zrobił zbliżenie na pokład jednego z niszczycieli. Istotnie, zobaczył obsługę przygotowującą śmigłowiec. Przywołał obraz drugiego niszczyciela. Z tego śmigłowiec już startował.

— Trzy śmigłowce w powietrzu — podał Michajło. — Okręty nawodne zwiększają odległość pomiędzy sobą. Krążownik trzyma się z tyłu, za niszczycielami.

— Co z fregatami?

— Płyną przodem, oddalone od siebie, w kierunku południowo-wschodnim.

— A SSNX? i

— To dziwne. Wcale nie zawraca do portu. Przyspieszył i zdąża ku wyjściu z zatoki. Płynie bardzo szybko, panie kapitanie. Rozcina wodę z wielkim impetem.

— Może po prostu się zanurza?

— Nie, z pięć metrów pod kilem ma dno.

— To znaczy, że idzie na głębie, żeby się zanurzyć.

— Matko Boska, co oni wyprawiają? — zdziwił się Swiatosłow.

★ ★ ★

— Nic mnie to nie obchodzi, do cholery! — zaklęła Petri. — Zanurzyć okręt, powiedziałam!

— Tak jest, pani kapitan. Pilot, zalewać rufowy zbiornik balastowy. Zachować dwa metry wody pod kilem, przy użyciu znacznika dna wysokiej częstotliwości, głośnego.

— Sir, nie dam rady przy tej prędkości! Uderzę w dno!

— Postaraj się. Jeśli trzeba będzie wybrać: wystaje kiosk albo szorujemy po dnie, to niech wystaje kiosk...

— Tu pilot. Tak jest!

— Mówi kapitan! — Zdecydowany głos Karen rozległ się w głośnikach okrętowego radiowęzła. — Zbliżają się ku nam cztery torpedy Bora i wygląda na to, że są zaprogramowane na wpłynięcie do kanału i odnalezienie nas. Znajdujemy się w tej chwili w pobliżu ujścia kanału Thimble Shoals i będziemy płynąć dalej na wschód. Jeśli nam się uda, torpedy popłyną za nami i nie wpłyną do portu Norfolk. Będziemy strzelać w ich stronę naszymi Mark 58.

Komandor odwiesiła mikrofon i stanęła na stanowisku peryskopowym, spoglądając na pospiesznie przybyłą na stanowiska obsługę stanowisk bojowych.

— Grupa ogniowa, uwaga — powiedziała. — Planuję posłać trzy Mark 58 Alert/Acute w kierunku zbliżających się torped. Jeśli pozostaniemy cali, wystrzelimy po kolei dwanaście Mark 58. — Plan ten mógł wiele kosztować załogę, ale Karen musiała pozbyć się wszystkich głowic plazmowych, ulokowanych tuż przy mieszkalnej sekcji okrętu. — Trzymajcie się — dodała na zakończenie.

Po chwili odezwała się znowu.

— Sonar, tu kapitan, czy mamy przed sobą jakikolwiek cel?

— Tu sonar, nie, pani kapitan.

— OOD, podaj status boi sygnałowej.

Karen rozkazała przed chwilą wypuścić sygnałową boję radiową i przekazać prosty komunikat: „»Devilfish«, atakowany torpedami, pozycja boi”.

— Boja sygnałowa za burtą.

— Uzbrojenie, status wyrzutni?

— Wyrzutnie dwa do sześć załadowane Mark 58 — zameldował oficer torpedowy. — Zasilanie włączone, lasery pierścieniowe grzeją się, uruchamiają się żyroskopy.

— Obserwuj stan torped i melduj gotowość. Chcę je odpalić natychmiast, kiedy będą gotowe.

Pokład drżał. Silnik pchał okręt przez płytką wodę z prędkością pięćdziesięciu węzłów. Przez chwilę Petri zastanawiała się, czy nie zarządzić prędkości awaryjnej, przeciążając reaktor. Zrezygnowała jednak z tego pomysłu, gdyż nawet przy obecnej prędkości trudno było utrzymać się tuż ponad dnem. Ogranicznik zanurzenia połączony z wykrywaczem dna nie był przystosowany do prędkości awaryjnej.

Karen spojrzała na mapę i zobaczyła, że wypłynęli właśnie z zatoki.

— Pilot, ster jeden stopień w lewo, ustabilizować kurs zero cztery pięć — poleciła. Większe wychylenie steru mogło przy tej prędkości położyć „Devilfisha” na burcie; jeden stopień wystarczy, aby skręcili gwałtownie.



— Ster jeden stopień, zero cztery pięć, jest jeden stopień w lewo — zameldował pilot.

Petri popatrzyła na wskazania wykrywacza dna. W tej chwili ponad kioskiem były trzy metry wody, a pod nimi dziesięć. Musimy zostawić niezły kilwater, pomyślała. Ciekawe, czy filmuje to kolejny helikopter jakiejś stacji telewizyjnej?

— Sonar, tu kapitan, czy torpedy podążają za nami?

— Mostek, tu sonar. Tak.

— Cholera!

— Kapitan, torpedy dwa do sześć gotowe. Proszę o zalenie wyrzutni.

— Przygotować wyrzutnie dwa do sześć i meldować status — odparła natychmiast komandor.

— Tak jest. Lewe zalane, prawe zalewane; wyrównane ciśnienie w lewych. Proszę o otwarcie pokryw lewych — mówił Van Dyne.

— Otworzyć pokrywy lewych.

— Jest, pokrywy lewych wyrzutni otwierają się. Dwa, cztery i sześć gotowe do strzału.

— XO, wprowadzone trzy trajektorie ruchu?

— Tak jest — rzucił zdecydowanie Manderson.

Żeby tylko mieć coś, czym można zniszczyć nadpływające torpedy! — myślała Petri. Trafienie torpedą w torpedę było równie mało prawdopodobne, jak zestrzelenie gołębia z odległości stadionu olimpijskiego.

— Ustawienia zasięgu?

— Dwójka — przeszukiwanie w odległości dziesięciu tysięcy metrów, Czwórka — piętnastu tysięcy. Szóstka — dwudziestu. Pasywne kręgi z aktywnym próbkowaniem w zasięgu.

— Bardzo dobrze. Wyrzutnie dwa, cztery i sześć, przygotować salwę linearną.

— Okręt gotowy — zameldował Dietz.

— Torpedy gotowe — rzucił Van Dyne.

— Oprogramowanie gotowe — potwierdził Manderson.

— Strzelamy z wyrzutni dwa — rozkazała Petri. Upłynęło zaledwie dziesięć minut od momentu, gdy pierwszy raz w życiu zanurzyła okręt podwodny jako jego kapitan.

— Gotów.

— Czekam.

— Ognia!

— Ognia! — Van Dyne wcisnął przycisk.

Rozległ się króciutki gwizd, a potem donośne „bumm”. Pokład drgnął, jak gdyby rozpędzony autobus wpadł na przeszkodę. Wszyscy poczuli ucisk w uszach z powodu chwilowego skoku ciśnienia wewnątrz okrętu, gdy pneumatyczny wypychacz wyrzucił torpedę za burtę.

Alert/Acute opuściła okręt i uruchomiła silnik. Przesłała światłowodem sygnał, że wszystko w porządku.

— Mostek, tu sonar odezwał się bosman Cook. — Wrogie torpedy wciąż podążają za nami, zbliżają się, kierunek jeden sześć zero. Z szacunkowej triangulacji czujników obrazowania pola wynika, że pierwsza jest odległa o cztery tysiące metrów.

— Sonar, tu kapitan, uruchomić sonar aktywny i potwierdzić podany zasięg.

— Sonar, uruchamiam aktywny.

Rozległo się nagle „ping” klasycznego sonaru.

— Mostek, tu sonar, silny efekt Dopplera od wrogich torped. Odległość trzy tysiące czterysta metrów.

— Tu kapitan, rozumiem. — Trzeba było coś zrobić, i to już. — OOD, jest miejsce na skręt, tak żeby torpeda znalazła się dokładnie za naszą rufą, i na ucieczkę na północny zachód? — spytała Petri.

— Nie, pani kapitan. Wpadlibyśmy na ląd za... pięć minut. Karen zagryzła wargi.

— Pilot, awaryjna cała naprzód rzuciła.

— Tak jest, awaryjna cała naprzód. Manewry, tu pilot, awaryjna cała naprzód, melduj gotowość. Kapitanie, manewry meldują przygotowania do awaryjnej prędkości.

Szybciej, do cholery! — myślała Petri.

Pierwsza Bora II zbliżała się do uciekającego celu. Łatwo było go śledzić, gdyż odgłosy kilwateru i kawitującej śruby przy tak małej głębokości były bardzo donośne. Torpeda miała już niewiele paliwa, jednak dość, żeby dotrzeć, gdzie trzeba.

Przyspieszyła do prędkości ataku. Po chwili mknęła sto dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, podczas gdy cel uciekał z prędkością zaledwie dziewięćdziesięciu pięciu. Był coraz bliżej. Nadszedł moment uzbrojenia głowicy. Komputer przesłał odpowiednie sygnały do układu zapalnika.

Pozostało niewiele czasu.



— Pięćdziesiąt pięć węzłów, pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem...

— Pilot, pominąć meldunki — przerwała Petri. Myślała intensywnie. Czy ujdzie torpedzie, jeśli skręci raptownie tuż przed nią? Pięciotonowa torpeda była przecież nieporównanie bardziej zwrotna niż 7700-tonowy okręt. To tak, jakby ktoś chciał skręcić autobusem, żeby zgubić motocykl. Czy są w stanie wyprowadzić „Devilfisha” poza stożkowy obszar przeszukiwany przez czujniki torpedy?

— Prędkość ustabilizowała się; sześćdziesiąt cztery przecinek dziewięć węzła — zameldował pilot.

— Bardzo dobrze — odpowiedziała machinalnie Karen.

Przez następne trzy minuty zdążyła doprowadzić do wystrzelenia torped z wyrzutni cztery, pięć i sześć. Odcięła przewody i rozkazała przygotować wyrzutnie prawoburto-  
we. Musiało to jednak zająć dłuższą chwilę.

— OOD, jakie jest dno? — spytała Petri.

— Słucham?

— Błoto, szlam, glina, piasek, skały?

— Według mapy — piasek, pani kapitan.

— To nie wystarczy. Włącz rocznik hydrologiczny z 2017. Szybko! Chcę znać dokładne warunki na dnie, pół mili na wprost przed nami! Zanurzenie — oznacz odległość od dna i powierzchni!

— Dziewięć metrów pod kilem, siedem i pół nad kioskiem!

— Zanurzyć się do trzech i pół metra pod kilem; uwaga na efekt ssący! Torpeda się zbliża!

— Tak, ale mamy prędkość awaryjną! Jeśli napotkamy przeszkodę, nie ominiemy jej!

— Zanurzyć. Jaka pływalność?

— Neutralna z dokładnością do stu ton; nie ma czasu na równoważenie, Pani kapitan.

— Zalać równoważące jeden i dwa do pełna.

— Zalewam jeden i dwa.

Pędzący z prędkością niemal sześćdziesięciu pięciu węzłów okręt pochylił dziób w stronę dna. Na czole Dietza wystąpiły kropelki potu; pracował gorączkowo z komputerem.

— No i co jest?!

— Chwilkę, pani kapitan!

— Szybciej!

— Zaraz, jest! Ładuję siatkę geograficzną.

— Podawaj!

— Piasek aż do głębokości pięćdziesięciu metrów!

— Dobrze, pilot, zachowuj trzy i pół metra pod kilem.

— Jest trzy i pół; zanurzenie trzydzięci metrów.

— Dobrze. Grupa ogniowa — uwaga. Kiedy torpeda zbliży się na pięćset metrów, wbijemy się w dno i może całkiem schowamy w piasku. Torpeda polecą dalej. Odłączymy całkowicie reaktor, wyłączając absolutnie wszystkie maszyny i całą elektryczność. Pozostawiamy tylko zasilanie Cyclopsa, awaryjnie chłodzonego. Sprawdzić chłodzenie komputera. Manewry, wszystko zrozumiano?

— Mostek, tu manewry, tak jest.

— OOD?

— Chłodzenie Cyclopsa włączone.

— Świetnie. Sonar, odległość do najbliższej torpedy?

— Siedemset metrów, ale to bardzo szacunkowe. Teraz albo nigdy! — pomyślała Petri.

— Uwaga załoga, złapcie się czegoś! — Wzięła głęboki oddech. — Pilot, pochylić okręt jeden stopień w dół! Manewry, w chwili uderzenia odłączyć reaktor i wyłączyć bezpieczniki! Pilot, jeśli okręt się odbije, utrzymywać kąt w dół.

Teraz Karen miała ochotę zamknąć oczy, ale pomyślała, że jej twarz nie może zdradzać żadnych uczuć. Cholera, jak McKee to robił? — pomyślała i w tym momencie „Devilfish” uderzył w dno, pędząc prawie sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

★ ★ ★

— Dokąd płynie zespół nawodny? Gdzie lecą śmigłowce? — wypytywał Graczow.

— W kierunku naszych torped, na południowy wschód — odpowiedział ze śmiechem Swiatosłow. — Wyprowadziliśmy ich w pole, panie kapitanie!

Na razie — pomyślał Graczow.

— Czy są w pobliżu nas jakieś zagrożenia? Cokolwiek?

— Nic a nic.

— Jakies sygnały, że wykryli Azowa?

— Nie. Udało nam się.

— Czy może pan wskazać mi położenie SSNX-a?

— Widzi pan ten kilwater, panie kapitanie? Zakreśliłem go kółkiem. Paweł zobaczył na ekranie kółko. Widać w nim było wyraźny kilwater.

Ale nie okręt.

— Coś podobnego! — powiedział Graczow, zdumiony, że zwycięża.

★ ★ ★

Sto osiemdziesiąt kilometrów na północny wschód od pozycji „Wiepria” rozpędzony amerykański SSNX uderzył w dno. Przy prędkości sześćdziesięciu czterech węzłów okręt odbił się od twardo upakowanego piasku jak od skały; rufa wzniosła się wyżej niż dziób. Otworzyły się blokady sterowania prętami paliwowymi reaktora i potężne sprężyny schowały je w podstawie rdzenia. Natężenie zachodzącej reakcji jądrowej spadło do minimalnej wartości.

Operator urządzeń elektrycznych, przypięty pasami do fotela, z dłońmi na wyłącznikach bezpieczników, zdążył rozłączyć trzy, zanim gwałtowne szarpnięcie okrętu wgniotło go w oparcie.

„Devilfishowi” pozostało jeszcze czterdzieści osiem węzłów prędkości i kierowany sterami uderzył w dno po raz drugi. Tym razem rozbił się dziób okrętu — kopuła wykonana z włókna szklanego. Poszła w drzazgi sferyczna antena sonaru BQQ-10; przedni zbiornik balastowy wgiął się i nieznacznie pękł; cztery pierwsze wyrzutnie pionowe zostały wyrwane z zamocowań. Przerwa w zbiorniku balastowym zadziałała jak wielka łopata i do środka przedostał się piasek; cały dziób pogrążył się w podrywanej fali z dna piasku. Trący kadłubem o piach „Devilfish” hamował dalej, z opóźnieniem ponad dwóch g. Zatrzymał się w ciągu dwóch sekund, wbity dziobem w płytkie dno, pochylony lekko do przodu, pod kątem czterech stopni.

W maszynowni nieprzytomny operator urządzeń elektrycznych leżał twarzą na pulpicie. Znajdujący się za nim dyżurny mechanik oraz pierwszy mechanik Tod Hendrickson w czasie hamowania trzymali się z całych sił poręczy ponad głowami, dosłownie zwisając z nich. Teraz skoczyli do pulpitu i odciągnęli operatora, po czym wyłączyli pozostałe bezpieczniki. W tym momencie wszystkie urządzenia okrętu przestały działać. Pozostało jedynie słabe oświetlenie oraz Cyclops, który pracował na awaryjnym chłodzeniu. Starczało ono na dwadzieścia minut pracy komputera. Później system zaczął się przegrzewać i automatycznie wyłączał się.

Karen Petri puściła poręcz, której się trzymała. Pociągnęło ją tak, że wisiała przez moment niemal poziomo. Wokół niej panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu komputera.

— Sonar? — powiedziała do mikrofonu, ale był wyłączony. Ruszyła więc w stronę stanowiska bosmana Cooka i odsunęła zasłonę.

— Bosmanie?!

— Ciągle się zbliża — odparł głos z ciemności. Jedynym oświetleniem na stanowisku sonarowym była zielonkawa poświata z ekranów, znajdujących się pomiędzy projektorami rzeczywistości wirtualnej. — Jeśli przestaniemy rozmawiać, usłyszymy ją na własne uszy.

— Jaki stan sonaru?

— Poszła antena sferyczna. Obwodowe działają w połowie. Te, które wystają ponad piasek. Urwał się przewód łączący nas z Sharkey'em.

Petri poszła dalej i znalazła Dietza.

— Jest przeciek?! — spytała.

Bryan dotknął głowy i opuścił zakrwawione palce. Miał rozciętą skórę.

— Zbieram właśnie meldunki. Pilot?

— Nie ma przecieku, OOD.

W tym momencie wszyscy usłyszeli nadpływającą torpedę. Wydawała z siebie wysoki skowyt, który zaczął się obniżać w momencie, kiedy system naprowadzania pocisku stracił pewność co do położenia celu. Torpeda minęła „Devilfisha”, zwalnając na chwilę; jednak odgłos oddalił się i w końcu ucichł.

Karen popatrzyła na Dietza i zobaczyła, że oficer zaczyna się uśmiechać.

— To jeszcze nie koniec — przypomniała. — Zmyliliśmy jedną, ale nadpływają trzy pozostałe.

Bryan pokiwał głową, a potem popatrzył na sufit. Petri przypomniała sobie nagle, że powierzchnia wody znajduje się dwadzieścia pięć metrów nad jej głową.

Mamy kłopot, panie kapitanie — zameldował Lynskij. Graczow podszedł do odsuwanych drzwi jego stanowiska.

— Jestem. Słucham.

— Cel głośno hałasował, potem coś się nagle zmieniło. A teraz układ naprowadzania pierwszej torpedy nie słyszy nic.

— Bardzo dobrze — odpowiedział nie zrażony Paweł. — Nawigator, zmienić naprowadzanie torpedy na ręczne i zawrócić ją. Powoli.

— Naprowadzanie przestawione na ręczne — odpowiedział Tenuka. — przejąłem od Drugiego Kapitana kontrolę nad pociskiem. Prowadzę go na minimalnej prędkości.

— Niech pan go zawróci! — przypomniał Graczow.

— Właśnie zawracam, trzy pięć zero. Kurs na północ, zero jeden zero; skręca dalej, zero trzy zero, panie kapitanie. Alarm — minimalna ilość paliwa.

— Czy głowica jest uzbrojona? — upewnił się Paweł.

— Tak jest.

— Kurs?

Już na południe, panie kapitanie. Nie mam nic na sonarze pasywnym ani wąskopasmowym.

— Uruchomić sonar aktywny wysokiej częstotliwości.

— Uruchamiam.

— Niech pan włączy kamerę i laser. Może zobaczymy zarys SSNX-a.

— Wracam powoli. Brak efektu Dopplera z sonaru aktywnego. I z szerokopasmowego. Laser pokazuje płaskie dno. Drugi alarm — paliwo się kończy.

Na ile starczy?

— Dwadzieścia sekund, panie kapitanie.

— I co widać?

— Wciąż tylko piasek. Kilkaset metrów na południe — wystaje skała.

— Płynąć na nią.

— Dziesięć sekund; turbina zwalnia...

— Posadzić torpedę na dnie i przestawić na tryb wyczekiwania.

— Tak jest; zwalnia dalej, dno się zbliża... Grzęzną w piasku. Prędkość zero, Torpeda leży na dnie; przełączam na tryb wyczekiwania. Ciągłość kabla utrzymana.

— Co pan robi? — zainteresował się Nowskoj.

Graczow gestem nakazał im milczenie i kontynuował dialog z Tenuką.

— Przejąć od komputera torpedę numer dwa — rozkazał.

— Tak jest; przejąłem. Jestem w tej chwili około kilometra na południe od tej wystającej skały. Na północ od niej leży pierwsza torpeda, panie kapitanie.

— Ile paliwa?

— Mało; niedługo będzie alarm.

— Kieruj torpedę dwa na wystającą skałę — uruchomić laser, reflektor i kamerę.

— Laser, reflektor i kamera włączone, panie kapitanie. Powinien pan mieć obraz na ekranie.

— Mam. Sprowadzaj torpedę powoli niżej.

Graczow i Nowskoj nachylili się nad ekranem. Coraz wyraźniej widać było piasek. Dno zbliżało się z prędkością pięciu kilometrów na godzinę.

— Widzę! Widzę skałę — odezwał się Paweł, stukając palcem w ekran, Rzeczywiście, z piachu wystawało coś dużego, ukrytego w nim do połowy, Prosta i podłużna forma nieco wzniesiona z prawej strony. — Podpłynąć blisko i okrążyć to.

— Tak jest, trochę za daleko popłynąłem, mało paliwa. Zawracam na południe. Paliwo się kończy. Tracę panowanie nad torpedą.

— Jak daleko pan jest od tego dużego obiektu?

— Pięćset-sześćset metrów.

— Posadź pocisk na piasku.

— Siadam.

— Odległość?

— Czteryście pięćdziesiąt metrów. Torpeda dwa w trybie wyczekiwania.

— Przejąć trzecią. Teraz niech pan płynie z prędkością piechura i zbliży się najbardziej, jak to możliwe.

— Jestem jeszcze zbyt daleko i nic nie widzę, panie kapitanie, a paliwo już teraz się kończy. Z tej torpedy nic nie będzie. Muszę ją posadzić. Torpeda trzy na dnie, tryb wyczekiwania. Odległość tysiąc dwieście metrów, panie kapitanie.

— To za daleko. Proszę sprowadzić czwartą jak najbliżej.

— Nie mogę, panie kapitanie. Torpeda cztery już nie działa. Za późno, żeby przestawić na tryb wyczekiwania. Turbina nie pracuje, paliwa nie ma. Nie mam żadnych sygnałów od czwórki.

— Połączenie działa?

— Nie odpowiada, panie kapitanie.



— Nie odczepiaj kabla.

Graczow ściągnął słuchawki i przesunął dłonią po włosach. Był to typowy u niego gest. Oznaczał brak koncepcji.

— I co teraz, kapitanie? — spytał Nowskoj.

— Myślę. Mogę albo zdetonować te torpedy, albo odłączyć przewody i wystrzelić następne. Jednego i drugiego naraz zrobić nie mogę. To coś, co wystaje z piasku, to albo SSNX, albo jakiś stary, zatopiony okręt. Ewentualnie porzucony blok betonu czy kawał stali konstrukcyjnej. Nie jestem w stanie stwierdzić, że to SSNX. Ale jeżeli to oni chowają głowę w piasek, odpłyną, kiedy odetnę przewody. A jeśli zdetonuję torpedy, narobię tyle hałasu i zamieszania w wodzie, że następne torpedy nie będą nic widzieć.

— A może nastawić eksplozje torped z opóźnieniem, odłączyć przewody i wystrzelić cztery następne torpedy? — zaproponował Nowskoj.

— Nie da się. Nie ma opcji opóźnionej detonacji po odcięciu przewodów. Projektanci torped nie pomyśleli o tym.

— Hmm...Co było widać z Azowa?

— Panie Pierwszy! Słyszał pan pana Nowskoją! — zawołał Graczow. — Co pan widział? Jaka powinna być pozycja SSNX-a?!

— Obserwowałem zespół nawodny, panie kapitanie — odpowiedział Michajło. — Ale jeśli cofnie pan nagranie, można zobaczyć, co pokazały kamery.

— A co z zespołem nawodnym?

— Płyną z prędkością około dwudziestu węzłów. Znajdują się teraz dwanaście mil na południowy wschód od portu Norfolk. Zdążają w kierunku, z którego nadpłynęły nasze torpedy.

— Daleko są od nas?

— Osiemdziesiąt mil, kierunek trzy cztery dziewięć.

— No to oddalają się — mruknął Graczow. — I tak nie są na razie zbyt groźni, chyba że sami zdradzimy swoją obecność.

— W jaki sposób? — zdziwił się Nowskoj.

— Detonując cztery głowice plazmowe — przypomniał Paweł.

— Jeśli o to chodzi, już się zdradziliśmy, wystrzeliwując cztery torpedy. Jednak ani to, ani zdetonowanie ich głowic nie określi naszej pozycji — zauważył konsultant.

— Dajmy temu spokój. Drugi Kapitan, zbierz dane z Azowa na temat SSNX-a i pokaż jego pozycję od momentu zanurzenia się aż do chwili obecnej.

— Tak jest, panie kapitanie — odpowiedział elektroniczny głos.

— Niech pan spojrzy ze mną — polecił Graczow Nowskojowi.

Obaj mężczyźni nachylili się nad ekranem. Patrzyli na zanurzający się przy maksymalnej prędkości SSNX. Wkrótce z wody wystawał tylko kiosk, a parę minut później widać było tylko kilwater. Jakiś czas posuwał się dalej, opuścił zatokę i skręcił na północny wschód. Później znikł — woda uspokoiła się całkowicie.

— Tutaj — stwierdził Paweł. — W tym miejscu SSNX zniknął. To znaczy, że albo zwolnił i zakreślił, albo osiadł na dnie, albo zmienił nieznacznie kurs.

— Czyli może być wszędzie.

— Nie, Torpedy popłynęły za nim. Weźmy pod uwagę dane wzrokowe. Drugi Kapitan, przywołaj mapę i biorąc pod uwagę maksymalną wykrytą prędkość SSNX-a, pokażać rosnące koło, w którym mógł się znajdować. Od punktu, gdzie zniknął, aż do chwili obecnej.

Na ekranie pojawiła się mapa z zaznaczoną pozycją SSNX-a w momencie zniknięcia kilwateru. Urósł od niego szybko krąg, obejmując wkrótce wejście do zatoki Chesapeake.

— To niewiele nam dało. Drugi Kapitan, pokaż rozkład prawdopodobieństwa, biorąc pod uwagę fakt, że SSNX uciekał przed naszymi torpedami — poleciał Graczow. — Powinien wykazać, że bardziej prawdopodobne są kierunki północne — wyjaśnił Nowskojowi.

Na mapie rozjaśniło się, coś w rodzaju elipsy. Pole najwyższego prawdopodobieństwa skierowane było ku północnemu wschodowi.

— Drugi Kapitan, zintegruj teraz pokazany rozkład prawdopodobieństwa z danymi z torped Bora i pokaż, gdzie popłynął SSNX po zniknięciu z pola obserwacji — poleciał Paweł i wyjaśnił Nowskojowi:

— Torpedy śledziły Amerykanów jeszcze długo po tym, kiedy ich kilwater zniknął.

Elipsa prawdopodobieństwa zawężała się, a jej początek nie przypadła już w punkcie zniknięcia okrętu. Zwężała się coraz bardziej ku północnemu wschodowi. W końcu zmaląła do punktu, podążającego z prędkością prawie sześćdziesięciu pięciu węzłów po przedłużeniu linii, wyznaczonej wcześniej kilwaterem SSNX-a. Punkt sunął na północny wschód i zatrzymał się gwałtownie. Potem powstała nowa elipsa, ponownie skierowana ku północnemu wschodowi, ale bardziej zbliżona kształtem do koła. Jej początek znajdował się na granicy otwartego oceanu.

— A jednak mogą być wszędzie — skomentował rozczarowany Nowskoj. Nie musimy brać pod uwagę dystansu pomiędzy miejscem, gdzie zniknęli dla kamer Azowa, i punktem, gdzie straciły ich z oczu torpedy — przypomniał Graczow. — Ale rzeczywiście mogą być wszędzie na tym obszarze. Ponieważ elipsa zdąża wciąż ku północnemu wschodowi, pole prawdopodobieństwa leży dalej poza zasięgiem naszych torped. Wniosek z tego taki, że jeśli SSNX nie jest po prostu tym zanurzonym płaskim obiektem, to już dawno nam uciekł.

Czyli trzeba będzie podpłynąć i wystrzelić więcej torped — stwierdził Nowskoj.

— Nie musimy się spieszyć — uspokoił Graczow. — Mamy w powietrzu Azowa. Paliwa starczy mu jeszcze na jakieś dziesięć godzin.

— Dziesięć godzin i czterdzieści minut, panie kapitanie — wtrącił Swiatosłow.

— Zatem pierwszy oficer może cały czas oglądać zatokę. Przez dziesięć godzin i czterdzieści minut. Ile czasu do zachodu, panie Pierwszy?

— Sześć godzin. Ale jeśli wypłyną po ciemku, zobaczę ich na podczerwieni.

— Mamy jeszcze tajemniczą skałę, czy co to tam jest, otoczoną głowicami plazmowymi... — przypomniał Paweł, pochylając się nad pulpitem. Myślał intensywnie. Mógłbym wypuścić zestaw Szczuka i potwierdzić, czy to skała, czy nie, za pomocą systemu obrazowania pola akustycznego.

— Trzeba by oderwać się od podłoża i podpłynąć bliżej — ocenił Nowskoj.

— Lepiej nie — stwierdził Graczow. — Został nam tylko jeden zestaw Szczuka. Oglądanie najbliższego otoczenia tutaj nie ma sensu...Zaczekamy i pozwolimy pierwszemu oficerowi czekać na wynurzenie się SSNX-a.

— Ma pan jakieś przecucia co do tej niby-skały? — zapytał konsultant. — Czy to SSNX?

— Nie wiem. Mogę zdetonować trzy z tych czterech torped, synchronizując eksplozje z dokładnością do kilku milisekund. Dwie głowice leżą na północ, jedna na południe od obiektu. Jeśli to SSNX, powinno go rozerwać.

— Czy z tych odległości głowice plazmowe zniszczą całkiem okręt, czy tylko uszkodzą go? — spytał Nowskoj.

— Myślę, że gdyby to był nasz okręt, pękłyby pewnie co najmniej ze trzy przedziały. Może nawet kadłub złamałby się na pół. Czy to wystarczająco dokładna odpowiedź?

Nowskoj potarł oczy.

— Jak to możliwe, że SSNX nagle znikł? — spytał.

— Uderzył w dno — odpowiedział zaraz Graczow. — Prawdopodobnie to on tam leży.

— Ale pewności nie ma... Może się zdarzyć, że zdetonuje pan trzy głowice plazmowe, a zniszczy tylko rafę koralową...

Zapadło milczenie. W końcu, po jakichś pięciu minutach, Nowskoj oznajmił:

— Pójdę do swojej kabiny przespać się trochę.

— Do zobaczenia. — Paweł pochylony nad pulpitem pogrążył się znowu w swoich rozmyślaniach.

★ ★ ★

Petri wędrowała wzrokiem po słabo oświetlonym, przechylonym na bok pomieszczeniu dowodzenia.

— Bosmanie Cook, co z torpedami? — spytała.

— Dwie zatrzymały się na północ od nas, jedna na południe. Czwarta... zaraz, tak, też się wyłączyła. Jesteśmy tu sami, przynajmniej z tego, co słyszę.

— To dobrze. OOD, przekazać maszynowni, żeby uruchamiali z powrotem reaktor i elektryczność.

Komandor sięgnęła po słuchawkę telefonu zasilanego samą siłą głosu i połączyła się z sekcją łączności.

— Radio, tu kapitan.

— Tu radio, pani kapitan — odpowiedział soczysty baryton starszego bosmana Henry'ego.

— Przygotować boję sygnałową.

— Już się robi!

— Oficer pokładowy, ile czasu zajmie im rozruch? — spytała.

— Za dziesięć minut osiągną pełną moc.

— Boja sygnałowa — oznajmił dowódca sekcji łączności, kładąc na stole do map przedmiot przypominający kij baseballowy. Boję odpalało się z pojedynczej, małej wyrzutni, jak gdyby zminiaturyzowanej wyrzutni torped. Podpływała na powierzchnię i przekazywała wiadomość radiową satelicie, — Urządzenie kodujące — dodał Henry, podając coś, co wyglądało jak dawny notebook.

Petri wstukała weń: „Devilfish” uniknął torped, uderzając w dno. Pozycja...

— Nawigator, podać naszą pozycję.

Judison wykonał polecenie. Karen pisała dalej: Nadpływające torpedy wyłączyły się. Mamy zniszczoną antenę sferyczną BQQ-10. Szerokopasmowe obwodowe anteny obrazowania pola funkcjonują normalnie. W tej chwili uruchamiamy na nowo reaktor, aby kontynuować poszukiwania. Proszę o P-5 z sensorami Mark 12 Yo-Yo. Będę czekać o 17:30 Zulu.

— Bosmanie, załadować i wystrzelić — poleciła. — Oficer pokładowy, podać status reaktora.

Petri była znów sobą. Po wyłączeniu się nieprzyjacielskich torped powróciło jej zwykle opanowanie.

— Pełna moc reaktora, pani kapitan, grzeje się obieg pierwotny, za minutę turbiny będą pod parą.

— Doskonale. Radio, tu kapitan, co z boją sygnałową?

— Ładujemy.

Karen zaczęła chodzić w tę i z powrotem, chcąc jak najszybciej powrócić do poszukiwań.

★ ★ ★

— Której z torped pozostało najwięcej energii? — spytał Nowskoj.

— Trójce, ale ta jest najdalej — odpowiedział Graczow.

— Jeśli da się uruchomić sensory na dość długo, żeby przyjrzeć się celowi, zobaczymy, czy jeszcze tam siedzą — zaproponował Aleksiej.

— Jeżeli je włączymy, zużyjemy energię. Może potem nie starczyć na detonację.

— To niech pan włączy trójkę i przyjrzy się, a zdetonuje te dwie bliższe.

— Nie wiadomo, czy to coś da, a stracimy tylko głowicę plazmową — burknął Graczow.

— No to może pan zdetonować od razu wszystkie trzy. Ma pan mikrofon na drucie zaraz koło celu. Trzeba go wykorzystać.

Paweł rozkazał:

— Nawigator, proszę uruchomić torpedę trzecią w trybie pasywnego nasłuchu.

— Tak jest, panie kapitanie.

★ ★ ★

— Silnik gotowy do pracy — zameldowano.

— Grupa ogniowa, uwaga — powiedziała Petri wyższym i bardziej chropawym głosem niż normalnie. Ten nowy ton wywołał w niej niepokój, który odczuła w żołądku. Zaciśnęła zęby i postanowiła opanować strach. Odkaslnęła, mając nadzieję, że to przywróci jej głosowi zwykłą barwę. — Próbowujemy wydostać się z piasku — oznajmiła. — Nie chcę przy tym narobić za dużo hałasu, więc zaczynamy powoli. Oficer pokładowy, obserwować zmianę położenia okrętu i prędkość. Kiedy tylko drgniemy, chcę o tym wiedzieć. — To zabrzmiało już całkiem pewnie. — Pilot, trzymam mostek. Dwie trzecie wstecz.

Pokład zaczął drżeć.

— Prędkość zero — odczytał Dietz. — Nadal siedzimy.

— Niech pan chwilę poczeka.

— Pani kapitan, mamy sześćdziesiąt obrotów wstecz.

— Bardzo dobrze. Pilot — opróżnić zbiornik równoważący jeden.

— Tak jest. Opróżniam jeden.

— Pilot, ster głębokości dziesięć stopni w dół.

— Brak ruchu, pani kapitan.

Petri czekała. Pokład drżał od pracy maszyn i śruby, ale nic więcej się nie działo. Moc była za mała.

— Równoważący jeden pusty.

— Opróżnić równoważący dwa.

— Opróżniam dwa.

— Świetnie.

Znów żadnego postępu.

— OOD, ma pan jakiś ruch?  
— Nie, pani kapitan.  
— Równoważący dwa pusty.  
— Dobrze, OOD?  
— Stoimy.  
— Pilot, na moją komendę opróżnić rufowe zbiorniki balastowe systemem awaryjnym — rozkazała Karen. — Proszę jednak być gotowym do natychmiastowego zalania ich z powrotem.  
— Tak jest.  
— Pilot, awaryjne opróżnienie rufowych, cała wstecz!  
— Opróżniam rufowe! — zawołał pilot, jednocześnie przekładając dwie dźwignie.  
— Jest cała wstecz!  
— Ruszamy się! Piętnaście centymetrów na sekundę, czterdzieści pięć sześćdziesiąt!  
— wołał Dietz.  
— Przerwać awaryjne! Zalać rufowy! Zalać równoważące! — wyrzuciła z siebie jednym tchem Petri.  
— Awaryjne przerwane, zalewam główne rufowe, zalewam równoważące jeden i dwa.  
— Cała stop!  
— Jest cała stop!  
— Cofamy się jeden metr na sekundę, nachylenie dwa stopnie w dół — zameldował Dietz.  
— Ster pełny w dół! — rozkazała Petri. — Cała naprzód!  
— Pół metra na sekundę w tył — wołał Bryan. — Zero dwa w tył, Zero zero, zero dwa w przód.  
— Pilot, sterować w pionie tak, żeby ustabilizować głębokość trzydziestu metrów, dwie trzecie naprzód, ster pięć stopni w prawo, kurs na południe. Oficer pokładowy, przerwać odczyt nawigacji i przejąć mostek!

— Nawigator, włączyć torpedę trzecią, kiedy gotów — polecił Graczow, spoglądając na zegarek.  
— Tak jest, kapitanie. Komenda wprowadzona, procesor działa, kontrola hydrofonów, połączenie działa...  
— Na ile starczy energii? — przerwał kapitan.  
— Na dwie minuty. W trybie wyczekiwania — na mniej więcej dwadzieścia godzin...  
Panie kapitanie, chyba coś mamy!  
Graczow wpiął sygnał z hydrofonów do swoich słuchawek. Otworzył szeroko oczy.

— Włączyć jedynekę i dwójkę, spróbować także czwórkę! — zawołał. — Przygotować wszystkie torpedy do zsynchronizowanej detonacji na moją komendę!

— Tak jest! — rzucił nawigator, uruchamiając błyskawicznie oprogramowanie. — Procesory jedyнки i dwójki już działają, czwórka nie odpowiada!

— Szybciej! — ponaglił Graczow. Słyszał wyraźnie odgłosy obracającej się śruby, bąbli powietrza oraz tarcia metalu o piach.

— Jeden dwa i trzy gotowe!

— Zdetonować głowice; kod wprowadzony!

— Drugi Kapitan detonuje!

Odgłosy w słuchawkach Graczowa zamilkły. Wszystkie.



Różnice w odległościach między spoczywającymi na dnie torpedami a „Wieprietem” sięgały dwóch kilometrów, jednak łączące je z komputerem okrętu cienkie światłowody były identycznej długości, z dokładnością do jednej dziesiątej milimetra. Końcówki przewodów pozostawały nawinięte na szpule. Ta sama długość światłowodów była bardzo ważna, ponieważ podróżujące z prędkością światła sygnały mogły dotrzeć do trzech głowic plazmowych jednocześnie. Procesory pocisków uruchomiły zapalniki torped i trzy eksplozje plazmowe nastąpiły w odstępach rzędu milisekund.

Mimo że działające torpedy były oddalone od siebie, otaczały „Devilfisha”, stając jakby wierzchołki ostrokątnego trójkąta. Najnowocześniejszy okręt w amerykańskiej marynarce, duma konstruktora — Michaela Pacino — znalazł się w centrum obszaru ciśnienia podwyższonego tak gwałtownie, że rozrywało stal. Fale uderzeniowe trzech eksplozji naparły na SSNX-a jedna po drugiej. Już pierwsza zatrzymała go, gdyż mechaniczne bezpieczniki reaktora otwarły się od wstrząsu, uwalniając sprężyny, które chowały pręty paliwowe w podstawę rdzenia. Okręt rzuciło na bok i przechyliło, z powodu oporu, jaki stawiał kiosk; moc zaczęła gwałtownie spadać. Wtedy, niemal jednocześnie, dotarły fale uderzeniowe drugiej i trzeciej eksplozji, napierając na pochyloną górną powierzchnię kadłuba. Podwójne uderzenie spowodowało pęknięcie wysokorozciągliwej stali HY180 na odcinku jednego przedziału, biegnącym wzdłuż złącza spawanego, pomiędzy kolistymi wręgami kadłuba. Siła napierającej na oba końce okrętu wody rozrywała kadłub dalej. Rufa złamała się, „Devilfish” znalazł się z powrotem na dnie, wygięty na kształt bumeranga. Kiosk wystawał teraz na bok, w stronę właśnie powstałego piaskowego pagórka.

Pęknięcie kadłuba nastąpiło na spodzie przedziału reaktora. Został on natychmiast zalany. Atomowe serce okrętu przestało bić.



Bryan Dietz nie miał pojęcia, że jego okręt został właśnie zniszczony przez następujące po sobie w przeciągu dwóch sekund fale uderzeniowe trzech eksplozji plazmowych. Wiedział jedynie to, że przed chwilą stał przy ekranie wyświetlającym dane z układu nawigacji bezwładnościowej, po pranej stronie przedziału sterowania, i był spokojny, jeśli nawet nie całkiem bezpieczny. Natomiast następne dwie sekundy dostarczyły mu tylu wspomnień, ile całe lata życia.

Właśnie odwracał głowę, żeby przejść na stanowisko peryskopowe i przejąć mostek od komandor Petri. Miał wyprowadzić okręt z obszaru płycizn. Tymczasem pomieszczenie zaczęło gwałtownie i silnie się przechylać. W mgnieniu oka przypomniał sobie, jak to szkolono go w Norfolk w symulatorach zamocowanych na hydraulicznych siłownikach, aby potrafił radzić sobie z przechyłami. Ten przechył był jednak znacznie większy niż w symulatorze. Po niecałej ćwierci sekundy pokład obrócił się o całe dziesięćdziesiąt stopni, uderzając Bryana w głowę; oficer zobaczył jego płytki na tle wirującej reszty. Zgasło światło i pulpity, a w ciemność sypały się różne przedmioty. Dietz zderzył się z twardą powierzchnią o dziwnym kształcie. Uświadomił sobie, że to pulpit nawigacyjny, przy którym dopiero co stał. Zaraz potem oficer pokładowy znowu uderzył głową w podłogę, która stała się nagle pionową ścianą. Ktoś spadł na niego, przelatując mu przed twarzą i uderzając silnie w ramię i jeszcze boleśniej w brzuch. Wylądował mu na kolanach. Na szafki wiszące po lewej wpadł ktoś inny, a zaraz potem łupnął w nie potężnie jeden ze stołów do wyświetlania map.

Dopiero wtedy Bryan usłyszał odgłos z zewnątrz. Był to straszliwy szum, przypominający wodę bijącą pełną mocą ze strażackiej sikawki. Tak nieprawdopodobnie głośny, że miał wrażenie, jakby ktoś wsadził mu głowę, w dyszę silnika myśliwca. Trwało to ułamek sekundy. Potem pękły mu bębunki albo został ogłuszony tak, że więcej żaden dźwięk nie docierał do jego umysłu.

Miał wrażenie, że w panujących ciemnościach nadal spadają książki, linijki, ołówki, kubki z kawą, wreszcie ciało jakiegoś człowieka. W tym momencie dźwięk powrócił — dały się słyszeć dwie eksplozje, jedna po drugiej, a później kolejny ryk. Ten brzmiał odrobinę inaczej. Dobiegał jakby z mniejszej odległości i z lewej strony. Najpierw był dziwacznym gwizdem, a później ścichł, przypominając odgłos płynącej wody. Dały się słyszeć krzyki znajdujących się w pomieszczeniu osób. Jedną z nich był człowiek siedzący na kolanach Dietza.

Ręka Bryana natrafiła na twarz, głowę, długie włosy. Zdumiał się, po czym zrozumiał, że tym, kto na niego spadł, musi być dowódca „Devilfisha”.

— Pani kapitan! — krzyknął. — Pani kapitan?!



Próbował zepchnąć komandor Petri ze swoich kolan. Obawiał się, czy nie uszkodził jej niechcący kręgosłupa, jednak czuł, że musi wstać. Może właśnie wszyscy giną. Podniósł się, podciągając na czymś metalowym, co znajdowało się nad nim. Był na tyle świadomy, że uważał, by nie nadeprnąć na komandor Petri. Z trudnością przypomniał sobie, gdzie znajduje się latarka awaryjna. Musiał jeszcze obrócić pomieszczenie w wyobraźni o dziewięćdziesiąt stopni, odnaleźć śliski i mokry pulpit nawigacyjny u swoich stóp i sięgnąć ręką ku czarnej dziurze, gdzie powinna być latarka. Znalazł ją i zapalił. To, co zobaczył, było potworne. Rozejrzał się szybko, przejeżdżając snopem światła po zrzuwanym pomieszczeniu dowodzenia, i zrozumiał, jak bliski był śmierci.

Główny mechanik, pełniący wachtę dyżurnego mechanika stanowisk bojowych, komandor porucznik Todd Hendrickson instynktownie sięgnął ku poręczy. Znajdował się w maszynowni, na górnym pokładzie, w rufowej części kadłuba. Podniósł głowę i zobaczył wylatującego z fotela operatora reaktora; mężczyzna poszybował ku grubym, szklanym drzwiom pomieszczenia, rozbił je i znikł. Todd zorientował się, że pokład jest teraz ścianą.

W tym samym momencie pękł przechodzący przy prawej burcie główny przewód pary o średnicy czterdziestu centymetrów, gdyż ciśnienie w jego wnętrzu skoczyło nagle do pięciu milionów niutonów na metr kwadratowy. Gorąca, sprężysta para buchnęła do wnętrza maszynowni. W ciągu kilku sekund ciśnienia i temperatury w maszynowni i w wytwornicach pary wyrównały się na zabójczym dla ludzkiego organizmu poziomie. Całe pomieszczenie przypominało teraz piec.

Para buchnęła także do pomieszczenia manewrowego przez wybitą w szklanych drzwiach dziurę w kształcie człowieka. Hendrickson nabrał powietrza w płuca, chcąc krzyknąć, lecz głos zamarł mu w gardle. Serce Todda stanęło, a płyny w jego ciele zaczęły się gotować. Skóra przybrała odcień czerwony, a potem czarny.

Pozostali obecni w maszynowni umarli podobnie jak Hendrickson. Zanim zdążyli wydać z siebie pierwszy krzyk. Ich ciała zwęgliły się w ciągu paru sekund od momentu pęknięcia rurociągu. Przedział maszynowni stykał się z przedziałem reaktora poprzez stalową przegrodę. Rozdarła się wraz z poszyciem kadłuba wzdłuż przedziału reaktora. Z jednego pomieszczenia do drugiego przechodziły tysiące rur, kabli, światłowodów. Również niezawodnych telefonów zasilanych siłą głosu.

Trzydzieści metrów na południowy zachód od ciała Hendricksona komandor porucznik Bryan Dietz gapił się na pomieszczenie dowodzenia. Po chwili zauważył, że jedną stopą stoi na konsoli układu nawigacji bezwładnościowej, a drugą, mimo wszystkich swoich starań, na nodze komandor Petri. Przesunął się otumaniony i powoli wyciągnął rękę ku pustemu stanowisku dowodzenia. Odnalazł jeden z telefonów zasilanych siłą głosu. Podniósł go do ucha i usłyszał nikiący wrzask oraz straszliwy syk pary.

Pochylił się, wciąż powoli, ku komandor Petri. Oderwało jej kawał rękawa, w ramieniu miała głęboką ranę. Jedno oko było spuchnięte, czarne i zamknięte. Zauważył też brak zęba. Karen patrzyła jednak wyraźnie na Bryana drugim okiem. To oznaczało, że żyje. Podniósł ją z ziemi. Z ulgą stwierdził, że może stać. A więc nie uszkodził jej kręgosłupa. Zaczął natychmiast mówić, jednym tchem:

Pani kapitan, chyba straciliśmy maszynownię. O ile dobrze słyszę, nastąpił tam gwałtowny wyciek pary.

Petri popatrzyła na Dietza oszołomiona; jej lewego oka nie było już wcale widać. Przyjrzała mu się badawczo drugim i spytała:

— Tata? Tato, gdzie jesteśmy?

Dietz oparł jedną dłoń na jej ramieniu, a drugą na brzuchu i posadził ją na leżącej na boku konsoli. Co mam robić dalej, u licha?!!! — pomyślał.

Połączenie z torpedami jeden, dwa i trzy przerwane, panie kapitanie — zabrzmiał meldunek.

Dobrze — pomyślał Graczow. Wszystkie wybuchły. A przynajmniej jedna, a to z kolei spowodowało eksplozje pozostałych. „Wiepr” znajdował się zbyt daleko, żeby natychmiast usłyszeć odgłosy wybuchów. Zanim wykryją je hydrofony okrętu, musiały przebyć w wodzie prawie sto osiemdziesiąt kilometrów.

— Świetnie. Pierwszy, zobacz, co widać ponad miejscem, gdzie były torpedy — rozkazał Paweł.

Zanim usłyszał odpowiedź, sam dostrzegł to, co chciał widzieć na ekranie.

— Marny trzy wielkie kręgi z piany i wody, panie kapitanie! Zaraz podłączą dźwięk. W słuchawkach rozległ się ryk, odbierany przez czujniki Azowa.

— Niech pan dalej lata nad tym rejonem — polecił Graczow. — Ale niech pan wciąż zerka na horyzont i kontroluje, co robi zespół nawodny.

— Widzę stąd, że okręty nawodne zawróciły!

— Chwilowo mamy spokój — stwierdził kapitan, zdejmując słuchawki. — Nawigator, przejdź Azowa od pierwszego oficera. Utrzymuj go w powietrzu. Załoga stanowisk taktycznych, zabezpieczyć systemy i udać się na spoczynek. Pierwszy, pójdziemy z panem Nowskojem do mojej kabiny. Niech kucharz przygotuje załodze gorący posiłek.



Bryan Dietz nachylił się nad stołem do wyświetlania map. Leżał on na konsoli radiowej, na lewej burcie stanowiącej teraz podłogę pomieszczenia dowodzenia „Devilfisha”. Nisko położony środek ciężkości wyprostowałby normalnie okręt — pomyślał oficer. Musieli albo zakopać się w piasku, albo zostać częściowo zalani, albo przełamać się.

Koło stołu wystawała dłoń z sygnetem Akademii na palcu. Bryan ściągnął ciężki plover na bok i zobaczył przerażony wzrok nawigatora Kiethana Judisona.

— Żyje pan? — spytał.

— Żyję i nic mi nie jest... — jęknął Judison, podnosząc się z trudem. — Gdzie kapitan?

— Głupio to powiedzieć, ale... — Dietz nie dokończył, gdyż Kiethan sam zobaczył Petri siedzącą na przewróconej konsoli, opartą o rury, które dawniej służyły pod sufitem. Spoglądała spokojnie na zniszczenia jednym okiem. Drugie zniknęło pod czarną opuchlizną.

Judison zajął w zdrowe oko komandora Petri, a potem rozsunął opuchliznę tak, żeby zobaczyć lewe.

— Źrenice mają niejednakową wielkość — stwierdził, zwracając się do Bryana. — To niedobry znak.

Dietz machnął ręką i burknął:

— A widzi pan tu jakikolwiek dobry znak, cholera?

W momencie, kiedy nastąpiły eksplozje, w pomieszczeniu dowodzenia znajdowało się dziesięć osób. W tym momencie na własnych nogach stali tylko Judison i Dietz. Petri i Van Dyne byli nie całkiem przytomni. Manderson i David Dayne leżeli we krwi. Dietz i Judison podeszli najpierw do nich. Manderson miał najwyraźniej złamany kark; nie oddychał i nie miał pulsu. Z szyi Dayne'a wypłynęła masa krwi. Stwierdzili brak oddechu. Jego ciało było szare i robiło się zimne. Toasty O'Neal leżał na lewej ręce, ale wydawał się cały. Evans, Horner i Daniels oddychali, choć byli nieprzytomni. Daniels był dziwnie biały, zapewne z powodu wewnętrznego krwawienia. Mieliśmy dzisiaj bardzo zły dzień... — pomyślał Dietz.

— Zdaje pan sobie sprawę, że przy tym położeniu okrętu przedział ratunkowy na nic się nie zda! — oznajmił Bryan Judisonowi. — Układ awaryjnego opróżniania zbiorników balastowych również. Nawet jeżeli pozostał sprawny, może obrócić nas do góry nogami i będziemy w jeszcze gorszym stanie. Wygląda na to, że musimy tu czekać, aż nas uratują!

— Niech pan słucha — odparł nawigator, już swoim zwykłym, potężnym głosem. — Przedział ratunkowy bardzo się przyda. Nawet jeżeli trzeba będzie wstrzymać oddech, bo zaleje go woda. Ważne, żeby działały włązy, wewnętrzny i zewnętrzny. Musimy przenieść do niego wszystkich żywych. Wzejdę na górny pokład i ściągnę chłopaków z zaopatrzenia. Pan zacznie od pokładu środkowego i dolnego. Proszę — Judison podał Dietzowi wyjętą z szafki krótkofalówkę. — Kanał pierwszy. Niech mi pan przekaże, co pan znajdzie.

Bryan podniósł z konsoli nawigacyjnej urządzenie kodujące boi sygnałowej. Wyglądało na to, że działa.

— Zanim zaczniemy, powinniśmy odpalić boję — stwierdził. — Dobrze byłoby, żeby ktoś na nas czekał. Zwłaszcza, jeśli przedział ratunkowy nie funkcjonuje.

Judison przytaknął, opanowany jak zawsze.

— Niech pan znajdzie w łączności boję sygnałową po drodze na dolny pokład — dodał. — Czteroliterowy kod to „K-L-E-M”. Inicjały kapitana; to znaczy poprzedniego.

Dietz skinął głową, wziął drugą latarkę, zamocowaną na ścianie, schował za pazuchę urządzenie kodujące i przypiął sobie krótkofalówkę do paska oraz jej mikrofon do klapy.

— Sprawdzam radio — odezwał się.

— Słyszę. Biermy się do roboty.

★ ★ ★

— Nie ma sensu tu zostawać — powiedział Graczow do Swiatosłowa. Czekali jeszcze na Nowskoją. — Zniszczyliśmy jedyny amerykański okręt, który był wyposażony w system obrazowania pola akustycznego. Jedyny naprawdę nowoczesny i groźny okręt podwodny. Trzeba oczywiście uważać na zespół nawodny, ale jeśli wystrzelimy wszystko, co mamy, to ich także możemy zatopić.

Zanim Michajło zdążył cokolwiek odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i wszedł Nowskoj. Opadł na fotel, przysunął do siebie talerz z rybą i zaczął łapczywie jeść. Paweł w ogóle nie był głodny. Nawet kawa jakoś mu nie smakowała.

— I jak tam? — odezwał się. — Czy możemy stąd odpłynąć, czy też ma pan jeszcze jakieś złe wiadomości dla sukinsynów z Norfolku?

— Co pokazuje samolot rozpoznawczy? — spytał Nowskoj.

Swiatosłow sięgnął po pilota i uruchomił jeden z ekranów. Wybrał obraz z Azowa, pilotowanego przez oficera pokładowego. Amerykańskie okręty płynęły na północny zachód. Rozproszyły się i zwolniły. Najwyraźniej przeszukiwały otoczenie.

— Proszę wskazać kursorem miejsce eksplozji torped — polecił konsultant, unosząc do ust łyżkę z zupą.

Zobaczyli plamę ropy oraz jakieś pływające części.

— Nie widać tratw ani rozbitków — stwierdził Swiatosłow. Przerwał jedzenie i wpatrywał się w ekran jak zahipnotyzowany.

— Zniszczyliśmy go, z tego, co widzę — skwitował Graczow. — Co robimy dalej?

Nowskoj otarł usta i oparł się wygodnie.

— Skończyliśmy naszą pracę tutaj — oznajmił. — Musimy wycofać się powoli i cicho na południowy wschód. Jak najwolniej. Będziemy płynąć zygzakiem, nie przekraczając prędkości piętnastu węzłów. Nikt nie może nas wysledzić. Trzeba się spieszyć, zanim zespół nawodny zdąży się do nas zbliżyć.

Paweł odepchnął od siebie pełne talerze i zapytał:

— I co mamy robić potem?

— Popłyniemy do równika, długość geograficzna dwadzieścia pięć stopni. Tam spotkamy się z siłami nawodnymi Floty Czarnomorskiej i będziemy eskortować je do Urugwaju. Ten okręt otrzymał zadanie bezpiecznego doprowadzenia floty do plaż Ameryki Południowej. Teraz, kiedy nie ma amerykańskich admirałów ani ich SSNX-a z systemem obrazowania pola akustycznego, dalsza część misji powinna mieć rutynowy przebieg.

Graczow nawet nie odpowiedział. Skinął na pierwszego oficera i pospieszył do przedziału dowodzenia. Stał na stanowisku dowódcy okrętu i wydał oficerowi pokładowemu szereg rozkazów:

— Obsadzić stanowiska taktyczne! Wysłać Azowowi komendę samozniszczenia! Potwierdzić, że spadł, a potem ściągnąć Antaja! Wysunąć poziome stery strumieniowe i uruchomić turbiny; bieg jałowy!

Sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Graczowa bezzałogowy pocisk odrzutowy zanurkował ku wodzie i rozbił się o jej powierzchnię. Pół minuty później ładunki wybuchowe rozerwały jego resztki na drobne części.

Czteryście metrów ponad „Wieprium” złożyła się antena sensora Antaj i zamknęła jej pokrywa. Kilka sekund później gondola zniknęła w falach i zaczęła zanurzać się coraz głębiej. W końcu umocowała się do steru okrętu. Turbiny już pracowały. Stery strumieniowe zaczęły wypluwać wodę i „Wiepr” podniósł się z piasku i skał. Skręcił na południowy wschód.



Bryan wspiął się po pulpicie sterowania i otworzył drzwi kabiny obsługi systemów. Teraz mógł użyć framugi jako szczebla drabiny. Podciągnął swoje krępe ciało ku środkowemu korytarzowi, trzymając latarkę w zębach. Zaczął pełznąć po dawnej ścianie. Drzwi pomieszczenia sonaru były otwarte; zwisało z nich ciało bosmana Cooka. Dietz sprawdził, czy Cook oddycha. Owszem, oddychał. Miał posiniaczoną głowę, ale wydawał się cały. Bryan wyciągnął go więc z otworu drzwi i ułożył na tym, co pełniło obecnie funkcję podłogi. Wyprostował się i zajrzał do środka pomieszczenia sonaru. Jeden z marynarzy był przytomny. Siedział w kucki w kącie z szeroko otwartymi oczami i jęczał ze strachu. Pozostali dwaj leżeli, ale oddychali.

— Niech się pan ruszy — odezwał się Dietz. — Podam panu rękę.

Sonarzysta tkwił jednak dalej na miejscu; oczy niemal wylaziły mu z orbit. Bryan wyciągnął dłoń, ale mężczyzna wcisnął się jeszcze głębiej w kąt. Dietz lepiej radził sobie z komputerami niż z ludźmi. Wydał więc wargi i zde gustowany wycofał się na korytarz. Przeszedł dalej, do pomieszczenia łączności. Wprowadził kombinację, Drzwi opadły w dół.

Bryan zajrzał w otwór. W środku było istne rumowisko. Kilka szuflad ze sprzętem wypadło z szafek, ciężko raniąc dwóch dyżurujących marynarzy. Dietz opuścił się ostrożnie do środka i sprawdził, w jakim są stanie. Niestety, ich pokrwawione ciała zdążyły już ostygnąć. Z każdą chwilą jest coraz gorzej! — pomyślał. Przygnębiony, delikatnie odsunął ciało młodszego z mężczyzn, żeby dostać się do szafy. Poniewierały się w niej różne przedmioty, ale była i sprawna boja sygnałowa. Ogarnąwszy wnętrze ostatnim spojrzeniem, podciągnął się do korytarza. Minął pomieszczenia nasłuchu elektronicznego oraz obsługi komputera i dotarł do trapu. Dziwacznie wyglądał, idąc skosem w poziomie zamiast w pionie.

— Dietz, jest pan tam? — odezwało się nagle donośnie radio. Bryan ściszył je, pełną na dolny pokład.

— Tak, słucham.

— Gdzie pan jest?

— Otwieram wodoszczelne drzwi przedziału torpedowego. Są ciężkie. Chwileczkę...

Bryan zaświecił w znajdujący się w drzwiach iluminator. Miał nadzieję, że żadna z torped nie wypadła z zamocowania ani nie pękła. Gdyby nastąpił pożar albo skażenie, ci, którzy przetrwali katastrofę, nie pożyliby długo. A naprawdę, większy pech nie był im potrzebny. Wyglądało na to, że z torpedami wszystko w porządku. Dietz odłożył latarkę i boję i naparł na ogień — i wodoodporne drzwi. Musiał zablokować je w ten sposób, że wisiały pionowo nad jego głową. Przesunął snop światła po pomieszczeniu. Torpedy zdawały się być całe. Bryan przedostał się do wnętrza przedziału i zamknął szczelnie drzwi za sobą. Na wypadek, gdyby jednak nastąpił przeciek, kiedy będzie wewnątrz.

Wąski pomost biegł środkiem pomieszczenia pomiędzy rzędami umocowanych torped. Dietz ostrożnie pełzł ponad nimi, szukając wszędzie wycieku zmieszanego z utleniaczem paliwa. Dopiero po dziesięciu minutach dotarł do tylnej przegrody przedziału. Kolejne dziesięć minut pełzł centymetr po centymetrze wzdłuż metalowego cylindra jednej z Mark 58. Wydostawszy się z przedziału torpedowego, zamknął za sobą kolejne drzwi i znalazł się w pomieszczeniu maszyn pomocniczych. Poczł dziwny zapach. Spojrzał na włącz do pomieszczenia akumulatorów. Coś z niego kapało. Poświecił na wyciek i wcisnął guzik krótkofalówki.

— Nawigatorze — odezwał się spokojnie, choć serce miał w gardle — mamy poważny problem w przedziale maszyn pomocniczych. Z pomieszczenia akumulatorów kapie kwas. Za parę minut przeżre uszczelkę i dotrze do wody i oleju w zębach. Powstanie chlor i kwas solny. Niedobrze.

— Potwierdzam, Dietz — odparł swoim potężnym głosem Judison. — Jak pan myśli, ile zostało nam czasu?

— Niech pan lepiej znajdzie maskę przeciwgazową i spiesz się. Jeśli nie wydostaniemy się stąd w ciągu dziesięciu minut, to już się nie wydostaniemy. I...

— Tak, Dietz.

— Czy ma pan sposób na to, żeby nieprzytomnego człowieka zmusić do wstrzymania oddechu, bo ja nie mam...!

— Chyba nie wymyślę nic nadzwyczajnego...

— Wystarczyłoby cokolwiek!

Dietz załadował boję sygnałową i odpalił ją poziomo. Miał nadzieję, że zadziała awaryjny zbiornik z dwutlenkiem węgla i boja nie wbije się po prostu w wydnięcie. Odpalwszy boję, zamknął z powrotem zewnętrzną klapę wyrzutni, opróżnił ją z wody i otworzył klapę wewnętrzną. Boi nie było, więc przynajmniej opuściła okręt.

Dokonawszy dzieła, Bryan zaczął wracać do pomieszczenia dowodzenia, żeby pomóc Judisonowi sprowadzić pozostałych żywych. Tym razem droga była krótsza — wystarczyło przejść trapem, dawniej biegnącym w górę.

★ ★ ★

— Sir, nadeszła pilna wiadomość z satelity ComStar; ma ją pan w komputerze — zameldował radiooperator.

Wiceadmirał Patton skinął głową i sięgnął do nesesera po swój przenośny komputer. Jechał właśnie drogą łączącą autostradę międzystanową ze Szpitalem Marynarki w Portsmouth, gdzie leżał Michael Pacino, nazywany przez Jonathana „Patch”. Podobno okazało się, że jego mózg jednak funkcjonuje. Wezwano admirała Murphy’ego, który powiedział, że spotka się z Pattonem na sali szpitalnej. Jonathan wywołał wiadomość. Wyglądała tak:

241945ZJUL2018

PILNE PILNE PILNE PILNE PILNE

OD USS „DEVILFISH” SSNX-1

DLA DOWSIŁPODW

TEMAT SOS

ŚCIŚLE TAJNE

//BT//

1. (TS) USS „DEVILFISH” ZATOPIONY NA NINIEJSZEJ POZYCJI WSKUTEK KILKU EKSPLOZJI PLAZMOWYCH.

2. (S) POZYCJA: SZER 37ST47MIN36SEK PÓŁN/ DŁUG 75ST04MIN54SEK ZACH/ GLEB 34M DNO.

3. (S) OKRĘT POCHYLONY PONAD 95 STOPNI DZIAŁANIE PRZEDZIAŁU RATUNKOWEGO NIEPEWNE. OD PŁASZCZYZNY 110 DO DZIOBU



DWUDZIESTU SIEDMIU (27) RANNYCH I NIEPRZYTOMNYCH W TYM DOWÓDCA, CZTERDZIESTU (40) ZABITYCH, DWÓCH (2) PRZYTOMNYCH I ZDROWYCH: NAWIGATOR I OFICER SZTUCZNEJ INTELIGENCJI.

4. (S) OCENA STRAT: CAŁKOWITA UTRATA ENERGII, Z POMIESZCZENIA AKUMULATORÓW WYCIEKA KWAS, TORPEDY WYGLĄDAJĄ NA NIETKNIĘTE, GROZI SKAŻENIE ATMOSFERY. PRAWDOPODOBNIIE ZALANY PRZEDZIAŁ REAKTORA. BRAK KONTAKTU Z CZŁONKAMI ZAŁOGI OD PŁASZCZYZNY 110 DO RUFY.

5. (S) W CIĄGU DZIESIĘCIU MINUT OD NINIEJSZEJ TRANSMISJI ŻYWI SPRÓBUJĄ WYDOSTAĆ SIĘ PRZEDZIAŁEM RATUNKOWYM.

6. (S) PROSZĘ O NATYCHMIASTOWY RATUNEK NAWODNY I POWIETRZNĄ EWAKUACJĘ RANNYCH. PROSZĘ TEŻ ZESPÓŁ NAWODNY O ZBADANIE PRZEDZIAŁU RUFOWEGO I POMOC W EWAKUACJI ZNAJDUJĄCYCH SIĘ TAM RANNYCH.

//BT//

— Cholera jasna! — mruknął Patton, sięgając po słuchawkę kodującego telefonu satelitarnego.

★ ★ ★

Zaciągnięcie rannych przed właz przedziału ratunkowego zajęło czterdzieści pięć minut. Kwas kapał dalej; Bryan przyglądał mu się przez maskę przeciwgazową. Wiedział, że gdyby nawdychał się gazu, kwas solny zniszczyłby mu płuca w ciągu kilku sekund. Zostało teraz naprawdę niewiele minut na wprowadzenie rannych do środka przedziału, w dwóch rzutach. Judison i Dietz założyli półprzytomnym i nieprzytomnym maski. Nawigator miał wydostać się pierwszy, z połową ludzi i tratwą ratunkową. Dietz — drugi, z drugą połową rannych.

Obaj mężczyźni otworzyli ręcznie ciężki wewnętrzny właz, umocowany w tej chwili pionowo zamiast poziomo. Przedział ratunkowy stanowił dużą śluzę powietrzną. Był projektowany na pomieszczenie dziewięciu komandosów SEALS w pełnym rynsztunku bojowym z ich aparatami do oddychania. Jeśli natomiast miało się na głowach tylko miękkie aparaty Steinkego, w śluzie mieściło się nawet do dwudziestu osób. Bryan martwił się jednak, że trudno będzie skorzystać z przedziału w położeniu poziomym, zamiast pionowym, bez zasilania elektrycznego, hydrauliki i, być może, nawet bez sprężonego powietrza...

Zdrowi członkowie załogi „Devilfisha” przenieśli do śluzy rannych i nieprzytomnych i założyli im aparaty Steinkego. Ich zasadniczym elementem były elastyczne kap-

tury z przezroczystego plastiku, zakrywające całkowicie głowę, mocowane szczelnie do tułowia. Wypełniały się powietrzem pod wysokim ciśnieniem, takim samym jak ciśnienie otaczającej wody. Kiedy zanurzony w niej człowiek podpływał wyżej i ciśnienie na zewnątrz malało, nadmiar powietrza w kapturze uchodził dołem, zamiast rozdmuchiwać plastik na wszystkie strony.

W końcu wszyscy mieli aparaty na głowach. Bryan podał Kiethanowi plecak z podręcznym zestawem survivalowym i tratwą ratunkową. Spojrzał na nawigatora i przyszło mu do głowy, że jeśli coś pójdzie nie tak, widzą się właśnie po raz ostatni w życiu. Zmieniony wyraz twarzy starszego kolegi wskazywał, że Judisonowi przyszło do głowy to samo. Obaj oficerowie grywali ze sobą w pokera od czasu pierwszych wspólnych dni na pokładzie „Devilfisha”. Dowództwo okrętu od okrytego już wówczas legendą Jonathana Pattona przejął wtedy Kelly McKee. Dietz i Judison zorganizowali okrętową drużynę softballu, byli też obrońcami w drużynie futbolowej „Devilfisha”... Bryan pomyślał jednak, że teraz lepiej pominąć to milczeniem, żeby nie zapeszyć.

Skinął więc niedbale głową i opuścił właz.

— To na razie, Kiethan! — rzucił jeszcze. Zatrzasnął klapę, zanim nawigator mógł cokolwiek odpowiedzieć, i zakręcił kołem zamykającym właz. Zastukał dwukrotnie w metal i czekał. Przez następne dziesięć minut, które ciągnęły się w sposób niewyobrażalnie długi, Judison uruchamiał aparaty oddechowe rannych oraz zalewał komorę, otwórzwszy zawór zewnętrzny. Normalnie, gdy przedział ratunkowy znajdował się w położeniu pionowym, można było otworzyć zewnętrzny właz już przy częściowym wypełnieniu śluzą wodą, ale w obecnej sytuacji trzeba było zalać ją całkowicie. Kiethan musiał jeszcze wyciągnąć wszystkich na zewnątrz okrętu. Dalej wypłyną samoistnie z powodu powietrza zawartego w ich kapturach. Judison musiał jednak przedtem zamknąć właz zewnętrzny, upewniając się, że jest dobrze zatrzaśnięty. Jeśli to nie wyjdzie i kaptur pociągnie nawigatora ku powierzchni wcześniej, Dietz i inni pozostali w środku zginą.

Bryan stał, nasłuchując. Oddychał przez maskę. Dobiegł go odgłos zalewania przedziału ratunkowego i otwierania się drugiej klapy, ale potem nastąpiła długa cisza. Niepewność, czy Kiethanowi uda się zamknąć właz od zewnątrz, przedłużała się w nieskończoność. W tym czasie Bryan rozglądał się wokół siebie i obserwował pozostałych rannych.

Komandor Petri straciła w końcu przytomność; opierała się teraz o przewód, którym do niedawna wylatywały spaliny z silników Diesla. Pozostali leżeli za nią. Na razie byli połączeni rurami z przewodem, zasilającym ich płuca czystym powietrzem z okrętowego zbiornika. Dietz sprawdził znowu właz do pomieszczenia akumulatorów. Przeżarło uszczelkę, na tyle, że kwas lał się do zęb strumyczkiem. Wokół zaczynały podnosić się zielonkawe opary. Bryan spojrział na zegarek. Przy większym stężeniu rozpuszczony w chlorze kwas solny zniszczy uszczelki masek i przeżre im płuca w mgnieniu oka. Umrą w potwornych bólach.

Dietza zaczęła ogarniać panika, gdyż wydało mu się, że coś dziwnie pachnie. Poczł ostry ból w piersi — na pewno kwas dotarł właśnie do jego płuc. Zaczł walić latarką w drzwi przedziału ratunkowego. Nie było jednak żadnej odpowiedzi. Próbował przekonać samego siebie, że Judison na pewno zdążył już zamknąć zewnętrzny właz i odpłynąć, kiedy usłyszał dwa stuknięcia.

— Szybko! — wrzasnął chrapliwym głosem.

Stwierdził, że nie może czekać ani chwili dłużej. Otworzył zawory. Do wnętrza okrętu lunęła woda. „Devilfish” był na tyle pochylony, że nie mogła wpłynąć ze śluzy do końca, ale nie miało to decydującego znaczenia. Oczywiście jeśli Judison zdążył zamknąć zewnętrzną klapę.

Boże, spraw, żeby tamten właz był zamknięty!!! — modlił się oficer.

Woda leciała ciągle, ale trzeba było otwierać. Bryan odkręcił zasuwę i pchnął właz. Nawet nie drgnął, gdyż od zewnątrz napierało na niego kilka ton wody, głębokiej jeszcze na metr. Kłapa otworzy się dopiero po niemal całkowitym opróżnieniu się przedziału ratunkowego — albo też zalaniu pomieszczenia, w którym znajdowali się uwięzieni, do tej samej wysokości... Z rury ciągle waliła woda; sięgała już uda kapitan Petri. Ranni byli teraz zanurzeni do pasa w czymś, co stanowiło mieszaninę wody morskiej, zawartości żyz i niewielkiej na razie ilości kwasu... Dietz naparł na właz z całych sił, kilka razy, ale nie zdołał go poruszyć.

Przerażenie zaczęło ścisnąć go za gardło. Jego ruchy stały się nerwowe i gwałtowne. Jeśli w ogóle panował jeszcze nad sobą, to raczej dzięki instynktowi, a nie logicznemu rozumowaniu. Odnalazł długi na metr osiemdziesiąt klucz nasadowy do dokręcania zaworów. Spróbował wbić końcówkę w uszczelkę i otworzyć kłapę choćby na centymetr. Nic z tego.

Zaczynał właśnie krzyżeć z braku innych pomysłów na uratowanie siebie i innych, kiedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył Karen Petri. Jej lewe oko pozostawało napuchnięte, zasinione i zamknięte, jednak prawe patrzyło gniewnie. Zniekształcony nieco przez maskę, lecz jak zawsze twardy głos komandor rozkazał mu:

— Dietz! Rzuć to! Popchniemy razem!

Podala Bryanowi łom, ostro i płasko zakończony. Oficer patrzył na nią w zdumieniu. Karen odepchnęła go i wsadziła łom pod kłapę.

— Zablokuj łom tą skrzynką! — rzuciła, ciągnąc po wodzie ciężkie pudło i narzędziami. — Nie, trzymaj lepiej łom!

Dietz posłusznie wykonał polecenie, podczas gdy Petri szarpała się ze skrzynką. W końcu rzuciła ją pod właz.

— A teraz pomóż mi pchać!

Bryan złapał łom obiema rękami i zadowolony, że może zwalczyć panikę, skupiając uwagę na konkretnym zadaniu, napał na niego z siłą, o jaką się nawet nie posądzał. Widział, jak gruby łom dosłownie wygina się, choć kłapa stoi; a potem włąz drgnął i powstała szczelina. Spod uszczelki trysnęła woda, jakby wylatywała z węża strażackiego. Przewróciłaby Dietza, gdyby nie wyjątkowy stan pobudzenia, w jakim się znajdował. Napierał dalej i w końcu strumień osłabł na tyle, że kolejne pchnięcie Petri otworzyło włąz na jakieś trzy centymetry. Teraz woda lała się już spokojniej i Dietz zdołał odsunąć kłapę do końca.

— Szybko!!! — wrzasnął, sięgając po pierwszego z nieprzytomnych. Wciągali ich z Petri do przedziału ratunkowego. Po kolei, jednego za drugim, wszystkich. Poziom wody wzrósł na tyle, że sięgała włązu pomieszczenia akumulatorów. Zielonkawe opary gęstniały. W tej chwili oddychanie otaczającym powietrzem z pewnością w ciągu kilku sekund doprowadziłoby człowieka do śmierci. Bryan złapał latarkę. Chciał odłączyć swój aparat oddechowy od okrętowego przewodu i zamykać się z ludźmi w przedziale ratunkowym, kiedy zobaczył, że Petri stoi nieruchomo i wpatruje się w wodę wokół siebie.

— Chodźmy, pani kapitan! — zawołał. — Musimy się spieszyć! Za chwilę zabije nas kwas i chlor! Szybko!

Ale komandor Petri podniosła tylko powoli głowę i patrzyła na niego w milczeniu. Z jej oczu popłynęły łzy. Zaczęła dygotać. Przez moment Dietzowi przyszło do głowy, że to efekt zatrucia kwasem, potem jednak uznał, że chodzi o coś innego.

— Kapitan! Ruszajmy stąd, kurwa mać!!! — wrzasnął. Karen pokręciła jednak głową.

— Nie — odpowiedziała powoli ze smutkiem, — Niech pan idzie. Proszę ratować ludzi. Jestem kapitanem i straciłam swój okręt. Zostaję tu. Zginę razem z „Devilfishem”!

Petri powiedziała to z absolutnym przekonaniem w głosie i odwróciła się, plecami do oficera. Ogarnięty paniką, ledwo zdążył zrozumieć, o co chodzi, gdy rozległ się huk i włąz do pomieszczenia akumulatorów rozwarł się szeroko. Kwas wylał się do wnętrza okrętu, zasyczał głośno chlorowodór. Dietz przestał myśleć i zaczął działać niczym automat. Cisnął latarką prosto w głowę komandor, zupełnie jakby zdobywał punkt w meczu softballowym. Kapitan Petri upadła w wodę jak szmaciana lalka. Bryan jedną ręką wyłowił latarkę i rzucił ją do przedziału ratunkowego, a drugą podniósł za kołnierz swojego dowódcę. Sam nie wiedział, kiedy to się stało, ale po chwili byli już w środku zamkniętej i zaryglowanej śluzy.

Dietz zalał ją. Gdy poziom wody sięgnął jego twarzy, ogarnęła go klaustrofobia. Zakręcił jednak zawór i podpłynął do zewnętrznej kłapy. Pchnął jaz całych sił, spo-

dziewając się, że stawi opór, i omal nie wypadł do oceanu. Właz stanął otworem. Bryan uczeplił się go i pokonując lęk, zawrócił do zamkniętej, zatopionej przestrzeni. Wypychał ludzi jednego po drugim; kaptury ciągnęły ich w górę. Ku powierzchni.

Jako ostatnią wyrzucił komandor Petri.

— Kapitan schodzi z pokładu! — Mruknął przy tym do siebie; było to standardowe obwieszczenie, ogłaszane z okrętowego radiowęzła. Dietz zajrzał jeszcze raz do przedziału ratunkowego, żeby się upewnić, że nie zostawił nikogo. Nie zostawił. Zastukał więc dwukrotnie sygnetem Akademii w kadłub zatopionego „Devilfisha” i puścił właz.

Popatrzył w górę, widząc ponad sobą słabe, rozproszone światło. Zaczął wypuszczać powietrze z płuc, wołając przy tym:

— Ho-ho-ho! — Tak uczyli podczas szkolenia w basenie z imitacją przedziału ratunkowego okrętu w Groton, albowiem na płytszej wodzie nagromadzone w płucach powietrze zaczęłoby je rozsadzać. Teraz w górze pojawiły się promienie słońca, a wkrótce i spodnia strona fal. Ciało Dietza pędziło ku nim, ciągnięte przez balon kaptura niczym przez raketę. Przebiło powierzchnię i wyskoczyło z wody, podskakując raz i drugi na falach. Dietz ściągnął kaptur. Rozejrzał się i w tym momencie silne ręce Judisona wyciągnęły go z wody. Pośród Atlantyku unosiła się czarna tratwa ratunkowa. Dietz ledwie widział leżących w niej członków załogi, w tym znów nieprzytomną panią kapitan.

Wyczerpany, podtruty chlorem i na pół uduszony, popatrzył ku horyzontowi i zobaczył zbliżający się krążownik klasy Aegis II. Był już na tyle blisko, że dostrzegł powiewającą na nim amerykańską banderę. Nie wiadomo skąd pojawił się śmigłowiec. Zrobił półkole i zawisł nad głowami uratowanych. Bryan Dietz, komandor porucznik Marynarki Stanów Zjednoczonych, piąty po kapitanie na pokładzie okrętu podwodnego „Devilfish”, zaczął się śmiać i płakać, jednocześnie. Kapało mu z nosa, a z oczu popłynęły łzy, ale to nie miało teraz znaczenia. Żył.

**Część szósta**

**„Hammerhead”**

Admirał Sean Murphy podniósł się powoli na widok wchodzącego przez obrotowe drzwi Jonathana Pattona. Patton siedł w towarzystwie swojego szefa sztabu, komandora porucznika Byrona DeMeersa, który był obecnie jego prawą ręką. Dawniej miał stopień starszego bosmana i pełnił funkcję dowódcy sekcji sonaru na okręcie klasy 688, dowodzonym przez Jonathana. Został awansowany poprzedniego wieczoru. Patton polecił DeMeersowi zaczekać w poczekalni dla odwiedzających. Znajdowali się na oddziale intensywnej terapii Szpitala Marynarki w Portsmouth. Jonathan podszedł do Murphy'ego, zasalutował i uściśnął jego wyciągniętą, słabowitą rękę.

— Dzień dobry, panie admirale — odezwał się. — Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Słyszał pan, co się dzieje?

— Nie możemy tutaj rozmawiać, Jon! — mruknął Murphy, zerkając przez ramię. — Postawiłem wokół sali Patcha podwójną straż. Tam możemy pogadać.

— A co z panią Pacino? Nie ma jej tam?

— Jest czysta. Musieli zrobić wyjątek; nie dopuściłaby do męża nikogo, jeśli nie byłoby jej przy tym. Dowodzi lekarzami jak podoficer kadetami w Akademii.

— Zawsze ją lubiłem — skomentował Patton.

Admirałowie wsiedli do windy, a potem ruszyli długim korytarzem do właściwej części oddziału. Całe skrzydło budynku zostało na tym piętrze opróżnione. Na korytarzu stali tylko komandosi marines w sile chyba kompanii. Sprawdzono nawet identyfikatory Murphy'ego i Pattona. Następnie przepuszczono ich przez bramki do wykrywania metalu i wreszcie odprowadzono do dużej sali, pełnej medycznego sprzętu. Najpierw zobaczyli siedzącą w miękkim fotelu Colleen Pacino. Podniosła się na ich widok. Była to wprost oszałamiająco piękna brunetka średniego wzrostu. W tej chwili miała na sobie kostium, podkreślający szczupłość jej talii. Wyglądała jednak na wyczerpaną, jakby nie spała od tygodnia. I zapewne tak właśnie było. Admirałowie uściśnęli jej dłoń.

— Co z nim? — spytał Patton.

— W porządku! — odparła, siląc się na entuzjazm. — Jego mózg wykazuje znakomitą aktywność. Lekarze mówią, że w każdej chwili może obudzić się ze śpiączki.

— Zawahała się. — Może chcielibyście zostać przy nim sami?

Poszłabym na kawę.

— Idź, Colleen — powiedział Murphy tonem troskliwego ojca. — Odpocznij chwilę. Przypilnujemy ci tego starego wilka morskiego, żeby nie złapał którejś z pielęgniarek za tyłek!

— Dzięki, Sean — rzuciła kobieta bez uśmiechu i poszła. Musiała być faktycznie wyczerpana. Admirałowie odsunęli zasłonę i zobaczyli stojące na środku łóżko, otoczone ze wszystkich stron rurami i kablami, a na nim bladego, starego człowieka w szpitalnym szlafroku. Na jego siwych włosach widniały krople potu. Patton ledwie rozpoznał Michaela Pacino. Aż zaniemówił na chwilę, widząc leżącego tak bezradnie, w obliczu śmierci...

— Jak pan myśli? Czy on w ogóle się obudzi? — wydobył wreszcie głos ze ściśniętego gardła. Czuł się winny, mówiąc coś takiego w obecności nieprzytomnego przyjaciela.

— Tak mówią — potwierdził Sean. — Jakoś lepiej się czuję, kiedy jestem tu przy nim. Nawet jeżeli jeszcze nas nie słyszy.

— Panowie znają się od bardzo, bardzo dawna... — zauważył wiceadmirał.

— Mieszkałem z Patchem w pokoju przez cały okres studiów — powiedział Murphy. — Zrobił swoją karierę na ochronie mojej...

Patton pokiwał głową. Minęło pięć minut; Pacino nawet się nie poruszył. Patton zerknął na zegarek.

— A zatem, wie pan, co się dzieje? — ponowił pytanie.

— Przed chwilą rozmawiałem przez telefon z panią prezydent — oznajmił Sean. — W ciągu pół godziny powinny wylądować tu śmigłowce z ocalonymi.

— Jest ich dwadzieścia parę osób... Dzisiaj straciliśmy znowu prawie stu ludzi. Chłopaków z maszynowni upiekła żywcem para!

— Stracił pan także swój najgroźniejszy okręt — dodał Murphy. — Jedyne nasze okręty, który był wyposażony w system obrazowania pola akustycznego.

— Nie, panie admirale! — oznajmił z ożywieniem Patton. Ucisk w gardle nagle zniknął. — Wodujemy z przyspieszeniem NSSN-a. USS „Wirginię”. Słyszał pan może o takim kierowniku budowy okrętów Emmicie Stevensie?

— Patch opowiadał mi o nim — odparł Sean. — Powiedział, że Stevens doprowadził do zwodowania „Seawolfa” w ciągu czterech dni, podczas gdy planowo miało ono nastąpić za miesiąc.

— Zatrudniłem go przy „Wirginii” — oświadczył Jonathan. — W tej chwili ładują już na okręt torpedy. Dziś wieczorem NSSN zostanie zwodowany. Przed północą uruchomi reaktor, a jutro o tej porze będzie w morzu. — Patton zacisnął zęby. — Natomiast za tydzień o tej porze ci, którzy zatopili „Princess Dragon” i „Devilfisha”, będą spoczywać na dnie.

— „Devilfish”! — zacharczał Pacino. Obaj admirałowie obejrzelisię ze zdumieniem.



Oczy Michaela były otwarte, chociaż powieka lewego wyraźnie opadała. Patrzył jednak zdecydowanie przytomnym wzrokiem. Miał spękane usta. Powolutku przesunął po nich językiem. W ciągu kilku sekund na sali pojawiły się pielęgniarki i lekarze. Odepchnęli na bok wojskowych i zaczęli badać stan pacjenta. Po kilku minutach jeden z lekarzy poprosił, żeby wyszli. W tym momencie wpadła Colleen. Ją także usiłowano wyprosić, ale bez skutku.

Następną godzinę Patton spędził pośród uratowanych z „Devilfisha”, których przywiózł śmigłowiec. Jedynie dwaj z nich: nawigator, w stopniu komandora porucznika, nazwiskiem Kiethan Judison, oraz oficer sztucznej inteligencji, także komandor porucznik, Bryan Dietz, mogli poruszać się o własnych siłach. Na prośbę Jonathana czekali na rozmowę, podczas gdy admirał chodził z lekarzem dyżurnym od łóżka do łóżka. Czterej członkowie załogi byli już w sali operacyjnej.

Po półgodzinie Patton znalazł się przy łóżku komandor Petri. Wyglądała na bardzo poturbowaną. Jej lewe oko było czarnosine i spuchnięte. Twarz miała posiniaczoną, usta obrzmiałe, głowę ukrytą częściowo pod gipsem. Zabandażowana klatka piersiowa i ręka unieruchomiona w szynie dopełniały wstrząsającego widoku.

— Komandor Petri! — szepnął Patton.

Nie było żadnej odpowiedzi. Ruszył więc do poczekalni, gdzie tkwili Judison i Dietz. Zaczął od tego samego pytania, które rano zadał surowym tonem Petri:

— Co tam się stało?!

Kiethan i Bryan, spokojni i opanowani, opowiedzieli admirałowi przebieg wydarzeń. Pokiwał głową. Chciał iść z powrotem do rannych i zawołać szefa sztabu, kiedy usłyszał głos Murphy'ego:

— Jon!

— Tak jest! — Odwrócił się do admirała.

— Patch pyta o pana. Niech się pan lepiej pospieszy. Dołączę do was za parę minut. Jonathan popędził do windy.



Kyle Liam Ellison McKee, zwany Kellym, pił od chwili, kiedy opuścił rybackie moło przy moście nad wrotami zatoki Chesapeake, czyli od trzydziestu godzin. Tuż przed wschodem słońca przerwał mu na chwilę Jonathan Patton. Wszedł i zaczął mówić i mówić swoim donośnym głosem. McKee chwiały się jednak na nogach; był nieogolony, nieumyty i chciało mu się wymiotować. Przytakiwał, z trudem rozumiejąc, o co chodzi. Dotarło do niego tyle, że zdarzyła się jakaś straszna katastrofa podczas rejsu wycieczkowego. Wreszcie Patton zaprowadził gospodarza do łazienki, umył go, ubrał w piżamę, położył na łóżku i zgasił światło. Drzwi zamknęły się i McKee został z powrotem sam.

Wzeszło słońce, wypełniając pokój rozproszonym, ponurym światłem, przenikającym przez zasłony z gęstej koronki, które powiesiła kiedyś Diana. Kelly nie cierpiał kiedyś tych zasłon, ale ostatnio w dziwny sposób pokochał je, jako że przypominały mu tragicznie zmarłą żonę. Zapadł znowu w drzemkę. W którymś momencie wydało mu się, że leżący obok niego kłęb pościeli to Diana, która powróciła nagle nie wiadomo skąd. Kiedy ją przytulił i zaczął całować, zorientował się, że to jednak tylko poduszka. Znowu zasnął.

Gdy ponownie otworzył oczy, dzień kończył się właśnie pomału. McKee zszedł na parter do swojego dawnego gabinetu, zawieszonych oprawionymi, zakurzonymi obecnie fotografiami. Tam żyli jego zmarli przodkowie — ojciec, dziadek i pradziadek. Kelly minął olejny portret żony i stanął naprzeciw zdjęcia zawieszzonego na samym środku ściany, nad biurkiem. Chyba najbardziej znanego zdjęcia w jego rodzinie. Wpatrywał się w nie drugie minuty. Miał wrażenie, że widoczni na fotografii przodkowie wezwali go tu, chcąc zbesztać za to, jak zrujnował swoje życie. Cofnął się i zdjął portret Diany oraz resztę fotografii, układając je w kącie. Teraz na ścianie pozostała tylko jedna fotografia. Znowu stanął naprzeciw ojca, dziadka i pradziadka. Kiedy tak na niego patrzyli, coś zaczęło się dziać w duszy Kelly'ego.



Wiceadmirał Jonathan George S. Patton IV wybiegł z windy i po chwili z poślizgiem zahamował na wypastowanej podłodze naprzeciw sali Pacino. Złapał za klamkę i wpadł do sali, ściągając na siebie karcące spojrzenia dwóch lekarzy i salowej. Zignorował je i podszedł natychmiast do łóżka.

Oczy Michaela były zapadnięte i podkrążone. Do nosa miał podłączoną małą rurkę z tlenem. W lewą rękę wkłuto przewody kroplówek. Resztę ciała zakrywało prześcieradło. Patton zmusił się do uśmiechu.

— Świetnie pan wygląda, panie admirale — powiedział. — Jak pan się czuje?

— Nie pierdol — odparł powoli Pacino słabym, skrzeczącym głosem. Mówił niewyraźnie, jak gdyby przeszedł przed chwilą zabieg chirurgii dentystycznej. Samo brzmienie jego głosu spowodowało, że Jonathanowi znowu ścisnęło się gardło. Wargę leżącą zadrzała, gdy próbował się uśmiechnąć. — Mam nadzieję, że dowodzenie Siłami Podwodnymi idzie ci lepiej niż pocieszanie pacjentów szpitali... — wydobył z siebie.

W tym momencie uśmiech Pattona stał się szczery.

— Odpieprz się ode mnie! — powiedział bez zastanowienia.

Kąciki warg Pacino także uniosły się w uśmiechu. Najwyraźniej jednak zmęczyło go to i zamknął na chwilę oczy.

— Siadaj, Jon, i opowiadaj mi wszystko — polecił. — Co się stało od chwili, kiedy rozwalilo „Princess Dragon”, po kolei?

Jonathan zaczął opowiadać. Na sali zaczęło się robić coraz ciemniej; za oknem zachodziło słońce. Zapalono latarnie na podwórzu, zapadł wieczór. Kiedy było już całkiem ciemno, Patton skończył opowieść. W tym momencie na salę wszedł cicho Murphy. Nie chciał przeszkadzać, ale miał ochotę zostać. Jonathan usłyszał admirała, odwrócił się i zrobił zapraszający gest. Sean podszedł, uścisnął rękę Michaela i usiadł w kącie.

— No cóż... — podsumował powoli Pacino. — Petri leży w tym szpitalu, „Devilfish” na dnie. Większość naszych najwyższych oficerów, chłopcy i okręty z eskorty również. Sprawców obu ataków nie udało się zawczasu usłyszeć w sonarach. System obrazowania akustycznego wykrył dopiero wystrzelone torpedy. Twierdzisz, że nieprzyjacielski okręt znajdował się cały czas daleko za horyzontem, a w przypadku „Princess Dragon” i jego eskorty użyto min. Jak by nie było, wygląda na to, że jesteśmy w nielichych tarapatach. Cała flota jest sparaliżowana, bo boi się ataku okrętu podwodnego, któremu nie umiemy zapobiec ani nawet wykryć go. Tak przynajmniej wynika z tego, co mówisz.

— Trafił pan w sedno, sir — zgodził się Patton.

— Ale masz pomysł, jak można by się dobrać do tajemniczego nieprzyjaciela.

— NSSN, panie admirale — wyjaśnił natychmiast Jonathan z ożywieniem. — Odkąd tylko przestałem dowodzić „Devilfishem”, przez cały czas pracowałem nad „Wirginią”. Gdyby to wszystko wydarzyło się za trzy miesiące, „Wirginia” byłaby już gotowa i przy jej pomocy zniszczylibyśmy wroga.

— Albo zatonąłaby tak samo jak SSNX. Słuchaj, Jon, cały problem sprowadza się do tego, jak nie dać się wykryć. Cokolwiek zrobisz, to ty musisz wykorzystać element zaskoczenia. — Pacino zaczął kaszleć. Nadbiegła Colleen, podtrzymała mu głowę i wytarła usta.

— Jeszcze tylko kilka minut — zastrzegła. Michael machnął ręką:

— Nie wiem co ci poradzić, Jon, poza tym jednym. — Kontynuował. — Znajdź sposób na zaskoczenie wroga. I, Jon?

— Tak, panie admirale?

— Odszukaj Kelly’ego McKee, weź go za fraki i wsadź do NSSN-a. Zwoduj „Wirginię”, niech McKee wypłynie nią. I zabroń mu wracać bez miotły zwisającej z masztu.

Na dawnych okrętach wieszano miotłę, jeśli udało się zatopić wszystkich napotkanych nieprzyjaciół.

— Choćbyś miał sprowadzić go na okręt w kajdankach, to jedyny dowódca okrętu, który jest w stanie wykonać tę robotę.

Pacino znów zaczął kaszleć. Colleen nakazała Pattonowi surowym spojrzeniem, żeby już poszedł. Wiceadmirał dotknął więc ramienia chorego, drugą ręką zasalutował mu sprężyste i zakończył rozmowę słowami:

— Niech pan zdrowieje, sir.

Zszedłszy do Byrona DeMeersa, Jonathan wydał mu szereg rozkazów; między innymi polecił odnaleźć kontradmirała Kelly'ego McKee.

— Ale McKee jest komandorem... — odparł DeMeers, podnosząc wzrok znad komputera.

— Już nie — wyjaśnił Patton. — Od teraz jest kontradmirałem i dowodzi najnowszym okrętem podwodnym naszej marynarki. Tyle że jeszcze o tym nie wie.

★ ★ ★

Samotna fotografia, która pozostała na ścianie gabinetu Kelly'ego, została zrobiona na rufie kutra rybackiego podczas turystycznego rejsu. Osiemdziesięcioośmioletni pradziadek Kyle stał dumnie z wielkim bosakiem w dłoni, drugą ręką wspierając się na ramieniu syna — czyli dziadka Liama, wówczas sześćdziesięcioletniak. Ten trzymał dłoń na ramieniu trzydziestosiedmioletniego syna Ellisona — ojca Kelly'ego. Który z kolei położył rękę na ramieniu ośmioletniego Kelly'ego. Kelly przykucnął z dłonią przyciśniętą do wielkiego cielska złowionego rekina młota. Czterech mężczyzn McKee patrzyło stalowym wzrokiem w aparat. Zwyciężyli właśnie jedną z najgroźniejszych morskich bestii. Kompozycja zdjęcia była jeszcze bardziej symboliczna, bowiem pradziadek Kyle służył podczas drugiej wojny światowej na okręcie podwodnym „Hammerhead”, czyli właśnie „Rekinie młocie”. Na fotografii widać było, że wciąż miał wytatuowaną na ramieniu wojenną flagę „Hammerheada”. Ellison pływał podczas zimnej wojny na okręcie SSN-663 klasy „Piranha”, także noszącym nazwę „Hammerhead”. Tylko dziadek Liam przedkładał samoloty marynarki nad okręty podwodne. Pilotował F-4 w Wietnamie do roku 1967, kiedy to wystąpił ze służby. Kelly patrzył teraz na nieżyjących już przodków i nieomal słyszał głos Diany. Zawsze nienawidziła tej fotografii. Mówiła, że wpatrywanie się w to zdjęcie wyprało Kelly'emu mózg i postanowił zostać macho w stylu Hemingwaya, oddając się fantazjom. Jednak głos ten ucichł szybko i zastąpiły go głosy starych McKee. Kelly dobrze je pamiętał. Tak samo jak woń cygar, które palił dziadek, zapach ojca, ciepło słonecznych promieni podczas tamtego dnia, gdy przewodnik wycieczki zrobił im zdjęcie niedaleko Floryda Keys. McKee zwiesił głowę i zaniknął oczy.

★ ★ ★

Godzinę później Kelly McKee zgolił dwutygodniową brodę i wyszczotkował starannie zęby. Otworzył szafę i odnalazł codzienny, morski mundur. Wisiał w plastikowym worku od dnia, kiedy pozostawił go tam przed wyjazdem na urlop do Wyoming. Ubrał się i wpiął baretki odznaczeń oraz delfiny, które zdjął z wymiętego munduru, rzuconego w kącie po powrocie z południowego Atlantyku. Przypiął sobie pagony komandora.

Przeraził go nieoczekiwany odgłos dzwonka. Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po siódmej wieczorem. Na werandzie stało dwóch policjantów, a na podjeździe — dwa radiowozy.

— Pan kontradmirał Kelly McKee? — upewnił się jeden z przybyłych.

— Komandor — poprawił Kelly. — Komandor McKee.

— Pojedzie pan z nami, sir. Admirał Patton pana wzywa.

McKee w pierwszej chwili chciał zaprotestować, że może jechać sam, własnym samochodem. Sięgnął jednak do stojącego w holu kryształu i wyjął klucze i portfel. Wziął neseser z komputerem w środku i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Usiadł na przednim siedzeniu jednego z radiowozów i milczał aż do chwili, kiedy samochód zatrzymał się z piskiem w Bazie Lotnictwa Marynarki Oceanu, w południowo-wschodniej części Wirginia Beach. Tam Kelly przesiadł się do sztabowego samochodu terenowego. Niesympatyczny z wyglądu krzepki podoficer zawiózł go błyskawicznie do wielkiego hangaru, gdzie czekał samolot-śmigłowiec typu V-44 Bullfrog, „Ropucha”. Rozpędzał już wirniki.

McKee podszedł do maszyny i zobaczył Jonathana Pattona, z pagonami wiceadmirała. Oczy Pattona zwęziły się. Kelly zasalutował wyprostowany, Przybierając groźną, marsową minę.

— Dobry wieczór, sir! — odezwał się szorstko. — Posłał pan po mnie? Mięśnie na twarzy Pattona nieznacznie się rozluźniły.



V-44 wylądował pionowo na lądowisku stoczni Electric Boat firmy Dyna-Corp w Groton, w stanie Connecticut. Dochodziła dwudziesta druga. Wiceadmirał Patton i kontradmirał McKee wyskoczyli szybko z maszyny. Owiąło ich przesycone ciepłem i wilgocią powietrze.

Podczas lotu Jonathan wytłumaczył Kelly’emu, co stało się z Petri i jego załogą.

McKee wpadł we wściekłość. Kilkakrotnie dopytywał się o stan zdrowia Karen i kręcił głową, słysząc o śmierci swoich towarzyszy i zatopieniu „Devilfisha”. W końcu zaczął wyglądać przez okno. Po półgodzinie zapytał Pattona, dokąd lecą i co on, Kelly McKee, tu robi.

Jonathan przede wszystkim sięgnął do nesesera i podał Kelly’emu dwa nowe pagony kontradmirała. A także nową złotą spinkę dowódcy okrętu, przedstawiającą czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami. Następnie wyjął rozkaz dowódcy pionu personelu marynarki. Kelly przeczytał:

250235ZLIP2018

PILNE

OD DOW MAR PERS, WASZYNGTON

DLA K.L.E. MCKEE, KOMANDOR

TREŚĆ OFICJALNE ROZKAZY

TAJNE

//BT//

1. (S) NATYCHMIAST STAWIĆ SIĘ DO SŁUŻBY CZYNNEJ STOCZNIA ELECTRIC BOAT DYNACORP GROTON CT I OBJĄĆ STAŁE DOWÓDZTWO WODOWANEGO USS VIRGINIA SSN-780.

2. (U) NINIEJSZYM OTRZYMUJE PAN TYMCZASOWO AWANS NA STOPIEŃ KONTRADMIRAŁA (0-6). STAŁY AWANS PO POTWIERDZENIU PRZEZ KOMISJĘ.

3. (U) C.B. MCDONNE, KONTRADMIRAŁ W STANIE SPOCZYNKU

//BT//

McKee w milczeniu przypinał sobie pagony i odznakę. Patton czekał dłuższą chwilę, zdziwiony nieco brakiem jakiegokolwiek reakcji.

— No i...?

— Słucham...

— Nie ma pan nic do powiedzenia w związku z otrzymaniem dowództwa pierwszego NSSN-a? Nie chciałby pan, admirale, dowiedzieć się czegoś bliższego na temat swojej misji?

— Jeśli chodzi o misję, przypuszczam, że mam odnaleźć i zatopić nieprzyjacielski okręt. Nie mylę się?

— Ani trochę. A co pan sądzi o „Wirginii”?

— „Wirginia”! — odpowiedział z niesmakiem McKee. — Nazwaliście taktyczny okręt podwodny „Wirginia”? Co za pomysł? To jest dobra nazwa dla pancernika czy krążownika. Albo dla okrętu podwodnego z międzykontynentalnymi raketami balistycznymi. Nie wypłynę w morze taktycznym okrętem podwodnym o nazwie „Wirginia”! Będzie pan musiał zmienić jego nazwę.

Patton zirytował się.

— Zwariował pan? — rzucił. — Ten okręt nazywa się tak od czterech lat! Cały program NSSN wychodzi od tej nazwy.

— To głupia nazwa — wypalił Kelly prosto z mostu. — To nie jest nazwa dla okrętu, który toczy walkę pod wodą. Nie obejmę jego dowództwa, jeśli będzie się tak nazywał.

Jonathan zmarszczył brwi. Skrzyżował ręce na piersiach i w końcu spytał:

— A jakby pan go nazwał, McKee? Gdyby, oczywiście, zależało to od pana.

— USS „Hammerhead” — odpowiedział natychmiast Kelly. — To nazwa o wspianych tradycjach.

— „Hammerhead”, tak? — powtórzył Patton. Sprawiał wrażenie przekonanego. I to wystarczy? Nic innego nie stanowi dla pana problemu? — upewnił się.

— Tego nie powiedziałem. Jakie dostaję uzbrojenie?

Dowódca Zjednoczonych Sił Podwodnych westchnął i odpowiedział:

— NSSN przenosi dwadzieścia sześć torped lub innych pocisków. Dajemy panu dwadzieścia torped Mark 58 Alert/Acute, dwa podwodne miniokręty zwiadowcze Mark 23 Bloodhound i cztery Mark 17 Doberman ATT — zaraz powiem, co to jest. W wyrzutniach pionowych ma pan dwie sondy Mark 5 Sharkeye, dwa samolociki zwiadowcze Mark 94 Predator i osiem torpedo-rakiet Vortex Mod Delta.

— A co z załogą?

— Mamy pełną załogę testową...

— To za mało — stwierdził McKee. — Niech pan sprowadzi Kiethana Judisona — będzie pierwszym oficerem. I Bryana Dietza — zostanie nawigatorem. Chcę też starszego bosmana Cooka — właśnie go pan awansował, jeśli chce pan wiedzieć — do sonaru, i bosmana sztabowego Morgana Henry’ego na radio. Toasty O’Neal będzie dowodził sekcją elektryczności, Dick Van Dyne — uzbrojenia. Jeśli w szpitalu w Portsmouth jest jeszcze ktokolwiek przytomny z załogi „Devilfisha”, także proszę go sprowadzić.

— To wszystko? — spytał Patton. Był rozdrażniony, ale w gruncie rzeczy podobał mu się stanowczy sposób bycia prezentowany przez oficera.

— Jeszcze dwie rzeczy. Chciałbym, aby Judison wstąpił do mnie do domu i zabrał coś na okręt. Fotografię wiszącą na ścianie mego gabinetu.

— To na szczęście?

— Można tak powiedzieć, sir.

McKee po raz pierwszy od początku spotkania zatytułował Pattona „sir”.

— Dobra. Sprawa numer dwa?

— Co to jest ten Mark 17 Doberman ATT?

— Chodź no ze mną, synu — odparł protekcjonalnie Jonathan. Objął ramieniem nowego dowódcę NSSN-a i ruszył w stronę, gdzie znajdował się okręt. — Wszystko ci wytłumaczę.

— Panie admirale, zapomniałem poprosić o jeszcze jedną rzecz — stwierdził Kelly.

— O Jezu! Co znowu?!

— Potrzebna mi miotła, taka tradycyjna, słomiana. Powieszę ją na maszcie, kiedy będę wracał.

Patton spojrział na niego i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, jakiego McKee nigdy jeszcze na tej surowej twarzy nie widział.

— Dostaniesz ją, Kelly, dostaniesz.

Było kilka minut po północy. Właśnie zaczął się dwudziesty piąty lipca. W budynku New Construction Facility stoczni w Groton na potężnych siodłach platformy do transportu bocznego spoczywał budowany NSSN. Z początku miał to być zwykły następca prototypowego SSNX-a, bardzo do niego podobny. Rozważano nawet zlikwidowanie różnic w oznaczeniu obydwu typów. Kontradmiral Patton zdecydował jednak, że NSSN będzie nowocześniejszy od SSNX-a. Sam kadłub był identyczny jak u dopiero co zatopionego „Devilfisha”; tylko kiosk nie był spłaszczony w kształcie łzy, jak na okrętach rosyjskich i SSNX-ie, lecz tradycyjny, pionowy, jak w typie 688. Przedział torpedowy został rozbudowany i zwiększono jego bezpieczeństwo — pożar na SSNX-ie podczas Operacji Biała Nadzieja omal nie doprowadził do zagłady okrętu. Najbardziej rzucały się w oczy zmiany w pomieszczeniu dowodzenia. Wylimitowano w ogóle peryskopy wraz ze stanowiskiem peryskopowym. Postanowiono całkowicie zaufać optoelektronice. Sensory zamontowane na nie przenikających kadłuba masztach widziały przez cały czas pełny kąt 360 stopni. Obraz wyświetlał się na wielkich płaskich ekranach umieszczonych pod kątem w okręgu pod sufitem.

Aby łatwiej było na nie patrzeć, na wysokości pomieszczenia dowodzenia obniżono środkowy pokład o 45 centymetrów i o tyle samo podwyższono górny. Wyglądało to dziwnie dla oficerów przyzwyczajonych do poprzednich generacji okrętów. Stanowisko sterowania, które od jakiegoś czasu obsługiwał pojedynczy pilot, rozbudowano teraz na dwie osoby pilota i drugiego pilota. Przewidziano też miejsce dla trzeciego, zmieniającego któregoś ze zmęczonych towarzyszy. Stanowisko dowodzenia, które na SSNX-ie było niedużym pulpitem w rogu pomieszczenia, przeniesiono na środek i powiększono. Projektory rzeczywistości wirtualnej nie miały już jajowatego kształtu. Wyglądały jak malutkie, kanciaste kabinki o rozmiarach metr na metr, za to wysokie na trzy metry, do których wchodziło się zwyczajnie, drzwiami.

Ulepszono Cyclopsa i cały system komputerowy, chociaż aktualne oprogramowanie nie wykorzystywało jeszcze wszystkich możliwości sprzętu. Uproszczono i bardziej zautomatyzowano stanowiska obsługi. Ulepszono czujniki systemu obrazowania



pola akustycznego; teraz potrafiły dokonać identyfikacji swój/obcy bez konieczności jej optycznego potwierdzenia. System umożliwiał także użycie Mark 94 UUV — rozpoznawczych zdalnie sterowanych bezzałogowych miniokręciaków podwodnych. Można było wprowadzić taki pojazd do zatoki, na kotwiczowisko lub w określony obszar oceanu, samemu pozostając w oddali.

Wiceadmirał Patton podkreślił w rozmowie z McKee, że jako były kapitan SSNX-a powinien umieć sprawnie dowodzić NSSN-em bez konieczności specjalnego przeszkolenia. Kelly'emu miało wystarczyć kilkugodzinne zapoznanie się z komputerowymi instrukcjami.

Stał właśnie na rusztowaniu, na wysokości środkowego pokładu okrętu, naprzeciw półkolistego dziobu. Wisiał tam już ogromny transparent z napisem SSN-780 USS HAMMERHEAD. Podobne transparenty znajdowały się na obu burtach jednostki. Zasłaniały wielkie litery, wymalowane uprzednio na kadłubie: SSN-780 VIRGINIA. Obok Kelly'ego znajdował się wyposażony w mikrofony pulpit dla mówcy. W dole, w olbrzymiej hali stoczni, stali członkowie testowej załogi dawnej „Wirginii”. Miejscowa policja oraz żandarmeria powyciągały ich z domów i sprowadziły tutaj. Koło nich widać było niewielką grupkę tych, którzy wyratowali się z „Devilfisha”, a stan ich zdrowia pozwalał na przewiezienie do Groton. Przylecieli sztabowym samolotem Pattona. Judison i Dietz mieli takie miny, jak gdyby śnili.

Nastąpiła króciutka ceremonia. McKee odczytał otrzymane rozkazy i oznajmił, że od tej pory okręt nosi imię „Hammerhead”. Nie pomyślał, że informacja ta może w pierwszej chwili wzbudzić rozczarowanie. Patrząc jednak z platformy w dół, widział dziewięćdziesiąt par zdumionych oczu oficerów i poborowych, nie rozumiejących, dlaczego zmieniono nazwę NSSN-a. Chcąc rozwiać tę niewyraźną atmosferę, kontradmirał zaprezentował sztuczny uśmiech, po czym zamachnął się butelką szampana Dom Perignon rocznik 2001 i cisnął nią z całej siły w stalową płytę, przyklejoną pod transparentem z nazwą, na samym środku dziobu. Płytę zamontowano specjalnie na tę okazję, aby butelka nie uszkodziła włókna szklanego, z którego wykonano kopułę dziobu. Usłyszeli trzask tłuczonego szkła i spieniony szampan opryskał McKee i mównicę.

Załoga rozeszła się do biur budynku, pozostawiając go samego na rusztowaniu. Poczul się głupio. Nawet Patton już poszedł. McKee otrzymał od niego kilka drobnych rozkazów, dokładne informacje o załadowanym uzbrojeniu oraz dyski z danymi na temat okrętu i jego systemów. Były tam między innymi informacje o tym, czego nie zdołano dokończyć. Chodziło głównie o bloki oprogramowania związane z dowodzeniem i sterowaniem niektórymi układami. Na dyskach znajdowały się także wiadomości o załodze, plan operacji, zasady podejmowania walki i dostępne dane wywiadowcze na temat położenia nieprzyjaciela.

A może raczej tego, kim w ogóle jest nieprzyjaciel. Ludzie Pattona podejrzewali, że chodzi o Ukraińców. Być może ataków dokonał jeden z okrętów klasy Siewierodwińsk, należących do Floty Czarnomorskiej. Analitycy wywiadu podkreślali, że Ukraina to kraj, który dysponuje odpowiednimi środkami i jednocześnie odniósł korzyści z przeprowadzonych ataków.

McKee rozejrzał się jeszcze, po czym zerwał transparent z dziobu. Materiał opadł niczym spadochron. Następnie Kelly wyjął tubkę z rozpuszczalnikiem specjalnego kleju, którym przymocowano stalową płytę. Począł, aż klej z powrotem zmięknie, po czym zerwał cienką płytę i rzucił ją na ziemię. Wyrzucił również wydruk rozkazów i zszedł z rusztowania po schodkach.

Spojrzał na zegarek. Była pierwsza w nocy. Platforma do transportu bocznego została zaraz przesunięta na drugi koniec wielkiej hali i rozpocznie się powolne opuszczanie okrętu na wodę, którą wypełniona była część budynku. Kelly miał do wyboru; pozostanie na miejscu i zmaganie się z narastającym wyczerpaniem, podczas gdy nowy „Hammerhead” będzie przesuwiał się w ślimaczym tempie, lub drzemkę do szóstej rano w sypialni dla VIP-ów. O tej godzinie NSSN, którego tempo przemieszczania wynosiło dwa i pół centymetra na minutę, zacznie już opuszczać się na wodę. Właściwie, Kelly mógłby spać do siódmej czy nawet ósmej. Zanurzenie okrętu będzie wtedy bliskie wymalowanemu na kadłubie znakowi. Załoga miała wejść na pokład dopiero o dziewiątej, więc McKee powinien zachować rozsądek i przespać się.

Mimo to kontradmirał Kelly McKee stał wciąż przy okręcie, którego dowództwo właśnie mu powierzono, i przyglądał się, jak odjeżdża centymetr po centymetrze od niewielkiego rusztowania. Z początku miał zamiar popatrzeć tylko przez parę minut, jednak potem zdecydował się zostać aż do czasu wejścia na pokład. Kiedy wypełni rozpoczynające się zadanie, będzie miał dużo czasu na sen.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że uczucia, jakich doświadcza, przypominają uczucia zakochanego mężczyzny. I tak właśnie wpatrywał się w „Hammerheada”. Niczym kochanek.

Kontradmirał McKee siedział w kabinie kapitańskiej USS „Hammerheada”, dwadzieścia pięć metrów pod powierzchnią ciemno turkusowych wód cieśniny Long Island. Czytał z komputera rozkaz operacyjny.

251400ZLIP2018

PILNE

OD DOWSIŁPODW, NORFOLK, VA

DLA USS HAMMERHEAD SSN-780

TREŚĆ ROZKAZOP 2018-0725-TS-002

KOPIE DOWOPMOR, WASZYNGTON DC

ŚCIŚLE TAJNE

//BT//

1. (S) ZEZWOLENIE NA NATYCHMIASTOWE WYPŁYNIĘCIE USS HAMMERHEAD 1400, 0900 EDT.
2. (S) USS HAMMERHEAD JAK NAJSZYBCIEJ ZANURZYĆ SIĘ W CIEŚNINIE LONG ISLAND WEDŁUG PLANU ATAKU NA WODACH PRZYBRZEŻNYCH 2017-1202, PRZY CO NAJMNIJ CZTERECH (4) METRACH WODY POD KILEM.
3. (TS) PIERWSZYM CELEM MISJI JEST POSUWANIE SIĘ Z MAKSYMALNĄ BEZPIECZNĄ PRĘDKOŚCIĄ PODWODNYMI KANAŁAMI ŻEGLUGOWYMI Z PUNKTU MONTAUK DO OBSZARU PRZYŁĄDKI WIRGINII. DRUGIM CELEM JEST OCZYSZCZENIE WÓD WOKÓŁ PORTU NORFOLK ZE WSZELKICH WYKRYTYCH NIEPRZYJACIELSKICH OBIEKTÓW PODWODNYCH. PRZESZUKAĆ TAKŻE RZEKĘ ELIZABETH, KANAŁ THIMBLE SHOALS, REJON ROZCHODZENIA SIĘ DRÓG ŻEGLUGOWYCH Z NORFOLKU DO GRANIC OBSZARU PRZYŁĄDKI WIRGINII, WEDŁUG SZCZEGÓŁOWEGO PLANU OPERACYJNEGO 2200 WER 4 Z 11/22/17.

4. (TS) ZASADY PODEJMOWANIA WALKI: PO WYKRYCIU KAŻDEGO WROGIEGO OBIEKTU OSS HAMMERHEAD MA ZEZWOLENIE NA KAŻDE RACJONALNE UŻYCIĘ PRZENOSZONEGO UZBROJENIA NA ROZKAZ DOWÓDCY OKRĘTU W CELU ZNISZCZENIA WROGIEGO OBIEKTU.

5.(TS) PO OCZYSZCZENIU REJONU PRZYŁĄDKI WIRGINII USS HAMMERHEAD OPUŚCI GO, KIERUJĄC SIĘ NA POŁUDNIOWY ATLANTYK W POŚCIGU ZA GRUPĄ BOJOWĄ UKRAIŃSKIEJ FLOTY CZARNOMORSKIEJ ZBLIŻAJĄCĄ SIĘ DO URUGWAJU. JEŚLI BĘDZIE TO CELOWE, NALEŻY ZAATAKOWAĆ FLOTĘ CZARNOMORSKĄ DLA SPROWOKOWANIA I UJAWNIENIA SIĘ WROGICH OBIEKTÓW PODWODNYCH.

6. (TS) PO SPOTKANIU WROGIEJ JEDNOSTKI PRZED ROZPOCZĘCIEM WALKI USS HAMMERHEAD MA WYPUŚCIĆ BOJĘ SYGNAŁOWĄ NUMER JEDEN (1) ZGODNIE Z OPPLANEM 2200 WW. WERSJI. PO ZAKOŃCZENIU WALKI USS HAMMERHEAD WINIEN SKONTAKTOWAĆ SIĘ JAK NAJSZYBCIEJ Z DOWSIŁPODW I ZDAĆ RAPSYT. W PRZYPADKU NIEWYKRYCIA WROGICH CELÓW USS HAMMERHEAD WINIEN MELDOWAĆ RAPSYT ZA POMOCĄ BOI W DWUNASTOGODZINNYCH (12) ODSZTĘPACH.

7. (U) POZOSTAWAĆ NIEWYKRYTYM.

8. (U) POMYŚLNYCH ŁOWÓW KELLY. POWODZENIA.

9. (U) OD ADMIRAŁ J.G.S. PATTON

/BT/

McKee przeczytał rozkazy czterokrotnie. Było dla niego jasne, choć nie potrafiłby wyjaśnić tego Judisonowi ani Dietzowi, że ich misja nie sprowadzi się tylko do przeszkolenia rejonu Przylądków Wirginii. Oznaczała przede wszystkim rejs ku równikowi i zatopienie ukraińskiej Floty Czarnomorskiej. Nieprzyjacielski okręt podwodny z pewnością już dawno odpłynął. Nie miał powodu pozostawać w pobliżu, skoro SSNX spoczął na dnie. Wróg musiał uznać, że skoro Amerykanie nie dysponują już okrętem wyposażonym w system obrazowania pola akustycznego, misja została zakończona, a jej cel osiągnięty. Flota Czarnomorska może spokojnie płynąć aż do Urugwaju. Tymczasem Kelly miał odnaleźć nieprzyjacielski okręt podwodny. Skoro tak, musiał najpierw dogonić Flotę Czarnomorską.

Zadanie nie należało do łatwych. Jeszcze większym problemem była załoga „Hammerheada”. W jej skład wchodziła głównie załoga testowa — grupa ludzi o bardzo małym doświadczeniu na morzu. Budowa pierwszego NSSN-a miała w założeniu trwać trzy do sześciu lat. W obecnej sytuacji marynarze z niewielką praktyką byli nadzorowani i instruowani przez małą grupkę doświadczonych i kompetentnych, czyli tych, których sprowadził Kelly. To McKee i siedmiu oficerów i podoficerów z „Devilfisha” będzie musiało pokierować okrętem podczas walki, unikając wrogich torped.

Konradmirał zadzwonił do znajdującego się przed jego kabiną pomieszczenia dowodzenia i wezwał oficera pokładowego. Van Dyne zgłosił się.

— Pierwszy oficer i nawigator, za dziesięć minut w mojej kabinie. Proszę też z kuchni dwa dzbanki kawy i trzy kubki.

— Tak jest, sir — rzucił Van Dyne.

McKee odczuł miły dreszczyk emocji. Cieszyły go i sprawne odpowiedzi oficerów, i leciutka wibracja pokładu pod stopami, i widok mapy nawigacyjnej, z migającym punktem oznaczającym pozycję „Hammerheada”. A także zapach okrętu, basowe buczenie z przewodów wentylacyjnych, niepowtarzalny smak kawy w głębinach oceanu. Wszystko to przywracało Kelly’emu zdrowie. Zmieniało go na powrót w człowieka, jakim był przed ostatnimi tragicznymi wydarzeniami.

— Panie kapitanie? — zameldował się Judison.

— Proszę wejść, XO.

Było to dziwnie uczucie dla McKee, gdy do Judisona zwracał się tak, jak dotychczas do Karen Petri, a do Dietza tak, jak przedtem do Judisona. Pomyślał, że podczas tego rejsu nawiedzi go dużo dziwnych uczuć.



— Zająć stanowiska bojowe! — rozległo się z głośników okrętowego radiowęzła.

Konradmirał Kelly McKee stał przed pulpitem stanowiska dowodzenia „Hammerheada”. Fotel dowódcy odkręcono od podłogi i schowano do szafki ze sprzętem przeciwpożarowym. Kelly kilkakrotnie próbował na nim zasiąść, jednak czuł zbyt duże napięcie. Poza tym wcale nie chciał, żeby oficerowie pokładowi siedzieli podczas swoich wacht. O trzeciej w nocy, przy spokojnym rejsie, groziło to zaśnięciem.

„Hammerhead” znajdował się teraz osiemdziesiąt mil morskich na wschodni północny wschód od Norfolku i płynął prosto na południe. Zaczynała się pierwsza część operacji. McKee wyciągnął cygaro marki Cohiba i postukał nim w policzek. Długie, pachnące, aż prosiło się o zapalenie. Schował je jednak z powrotem do kieszonki i postanowił zaczekać na załogę. Kiedy stanowiska bojowe dowodzone przez Dietza zostały zajęte, konradmirał przemówił:

— Grupa ogniowa, uwaga.

Zapadła cisza.

— Pierwszym celem naszej misji jest sprawdzenie, czy wrogi okręt podwodny, który zatopił „Princess Dragon”, znajduje się nadal w rejonie operacyjnym Przylądki Wirginii lub w sąsiedztwie Hampton Roads. Jednak moim zdaniem to tylko formalność, gdyż nieprzyjaciel dawno odpłynął. Mimo wszystko musimy to sprawdzić i dopóki nie uzyskamy pewności, każdy członek załogi powinien przez cały czas zakładać, że wróg jest

w pobliżu. Rozkazy jasno określają, że gdy tylko go wykryjemy, mamy go zatopić przy użyciu dowolnej skutecznej broni. I zrobimy to. Po drugie, przygotowujemy dwie torpedy Mark 58 Alert/Acute w wyrzutniach jeden i dwa, zatopimy wyrzutnie i otworzymy ich zewnętrzne pokrywy. Załadujemy też i przygotowujemy przeciwtorpedową torpedę Mark 17 Doberman ATT mimo braku pełnego oprogramowania. Jeśli trzeba będzie jej użyć, pokierujemy nią ręcznie. Muszę powiedzieć, panowie, że wymaga to nieliczej precyzji, więc każdy członek załogi będzie miał obowiązek modlić się do czasu, aż Doberman trafi. Mówię poważnie.

McKee przerwał, postanawiając zapalić cygaro. Odwinął je z celofanu. Cierpki aromat i znajomy kształt, przypominający torpedę, miały dla niego nieomal magiczne znaczenie.

— Po trzecie — kontynuował — załadujemy i zaprogramujemy pojazd zwiadowczy Mark 94. Będzie mi służył jako hydrofon na smyczy. Pokierujemy nim przez cały Port Norfolk w trybie maksymalnego wyciszenia. Jeśli usłyszymy cokolwiek głośniejszego niż żaglówka, wycelujemy w to. Po czwarte, za dziesięć minut nad Hampton Roads przeleci samolot patrolowy P-5 z Bazy Lotnictwa Marynarki w Norfolkku i zrzuci dwa sensory Mark 12 Yo-Yo. Jeden na zachód, drugi na wschód od mostu nad wrotami zatoki. Dane z Mark 12 będziemy zbierać za pomocą anteny pasywnej wysokiej częstotliwości o dużej szybkości transmisji. Zobaczymy wszystko, co znajduje się w rejonie portu Norfolk. Po piąte, będziemy musieli sklasyfikować wszystko, co wykryjemy. Byłoby kiepsko, gdybyśmy wpakowali torpedę plazmową w jakiś kontenerowiec. Z pewnością wstrzymaliby mi na tydzień wypłatę...

Obecni zachichotali grzecznie. McKee obciął końcówkę cygara, uniósł zapalniczkę z emblematem „Devilfisha” i zapalił.

— Powiedzmy, że sklasyfikujemy obiekt jako wrogi. Damy mu po dupie, to po szóste, przy pomocy torped Alert/Acute Mark 58. Starannie zaprogramowanych, żeby nie rozchrzanić jakiegoś mostu albo domku na plaży. Wreszcie, panowie, po siódme, jeśli nieprzyjaciel zdoła wystrzelić do nas, natychmiast odpalamy Dobermana, którym pokieruje pan Dietz. Jeżeli torpeda będzie miała naprowadzanie pasywne, popędzimy, ile sił w reaktorze, żeby zwiększyć odległość między nią a nami. Jeśli stwierdzimy naprowadzanie aktywne — wyłączymy maszyny, żeby nie wykryła efektu Dopplera. Przy odrobinie szczęścia nasz nawigator będzie miał na koncie zniszczoną torpedę i podbije wasze serca. Jeżeli natomiast fart nas ominie, pan Dietz nie zdąży pożyć dość długo, żebyście mogli wyładować na nim gniew.

Ostatnim słowem kontradmirała towarzyszyły wielkie kłęby dymu z cygara, unoszące się nad jego głową.

— Są jakieś pytania na temat dzisiejszej operacji? — rzucił. — Świetnie. Wachtowi, kontynuować wachtę. Panie Van Dyne, czy jest pan gotów szykować wyrzutnie?



Przez następne pięć godzin „Hammerhead” śledził wody wokół portu Norfolk. Bezzałogowy miniokręcił okrążył Hampton Roads, pływał wewnątrz zatoki Chesapeake, potem podążył przez obszar Przylądki Wirginii, wykrywając jedynie swój okręt macierzysty. Zrzucone z samolotu Mark 12 Yo-Yo także wykryły tylko obecność „Hammerheada”. Kelly’emu nie wystarczyło to jednak i poprosił o kolejne Mark 12, które zrzucono we wschodniej części obszaru Przylądki Wirginii. Wkrótce było jasne, że na obszarze wielkości mniej więcej stanu Maine nie ma pod wodą żadnych wrogich okrętów.

Choć McKee spodziewał się takich rezultatów, był nimi ogromnie rozczarowany. Zaczął zdawać sobie sprawę, że budzi się w nim żądza zemsty. A przecież podczas całego kryzysu nie poniósł dotkliwych strat osobistych; w zasadzie przespał wszystko. To Dietz, Judison czy Petri cierpieli, i raczej w nich powinna zrodzić się potrzeba rewanżu. Kelly odkrył wreszcie, że jego pragnienie zemsty przybiera na sile, ilekroć myśli o Karen. Cudem uniknęła śmierci i McKee wiedział, że zrobi wszystko, aby dopaść wroga, który ją skrzywdził. W ciągu paru godzin misja stała się dla kontradmirała sprawą osobistą. Niech i tak będzie — pomyślał. Albo przeciwnik okaże się lepszy, albo zginie.



Początkowo McKee planował spotkanie z Flotą Czarnomorską w miejscu pamiętnych ćwiczeń, daleko na południowym Atlantyku. Mknął ku równikowi, przekazując — zgodnie z rozkazami — raporty sytuacyjne w dwunastogodzinnych odstępach. Wszystkie składały się teraz jedynie z trzech słów: „Sytuacja bez zmian”. Nie nadchodziły sygnały na ultraniskiej częstotliwości, wzywające ich do wynurzenia się na głębokość peryskopową. McKee unikał takiej głębokości. W zasadzie dobrze było od czasu do czasu dostroić system nawigacji bezwładnościowej i ustalić dokładnie pozycję przy pomocy satelitarnego systemu GPS, jednak NSSN był wyposażony w uniwersalny moduł grawitacyjny — system służący do nawigacji w głębinie, analizujący zmieniające się pole grawitacyjne dna, a także w zaawansowany system oparty na pasywnym śledzeniu konturu dna. Dzięki nim wycieczki na głębokość peryskopową stawały się właściwie niepotrzebne.

McKee płynął po takiej samej krzywej jak kiedyś „Devilfishem”. Przecinała ona równik na dwudziestym piątym stopniu długości geograficznej zachodniej. Biorąc pod uwagę, że okręt posuwał się z maksymalną całą naprzód, powinien przepłynąć równik przed świtem trzydziestego lipca.

Kelly przestawił zegary „Hammerheada” na czas uniwersalny Greenwich. Jeszcze trzy dni po opuszczeniu rejonu Norfolku czuł efekty zmiany godzin snu. W tej chwili położył się na koi w bokserkach i koszulce, odpoczywając po całym dniu szkolenia oficerów i reszty załogi. Ćwiczyli postępowanie przy alarmach przeciwpożarowych, przy zalewaniu okrętu, wreszcie taktykę i akcję ratunkową po napromieniowaniu przez reaktor. Ćwiczenia trwały praktycznie cały czas, wyjąwszy chwile, kiedy przeszkadzałyby w kontynuowaniu szybkiego rejsu na południe. Kelly był wyczerpany. Szkolenie załogi okazało się znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Doświadczonych weteranów z „Devilfisha” było zbyt mało, a nie mógł oczekiwać, że otaczający go młodzi chłopcy, wypłynąwszy pierwszy raz w morze, wykażą się należytych umiejętnościami. Dlatego też szkolił ich po osiemnaście godzin na dobę.

Planował jeszcze sześć dni ćwiczeń, podczas których dopłyną w miejsce oczekiwania na Flotę Czarnomorską na południowym Atlantyku. Jednak dwadzieścia po dwunastej w nocy obudził go telefon. Nie był na to przygotowany.

— Tu kapitan — rzucił.

— Tu oficer pokładowy, sir — zabrzmiał głos Dietza. — Sonar melduje wykrycie licznych okrętów, kierunek jeden sześć pięć. Wyglądają na ukraińskie. Dziesięć z nich to jednostki o dużym zanurzeniu, a więc okręty wojenne. Piętnaście ma płytsze zanurzenie. Wiozą zapewne sprzęt lub desant albo są statkami handlowymi. Na razie znajdują się w dużej odległości, daleko za horyzontem. W tej chwili przeprowadzamy analizę ruchu celu. Z tego, co widzę na komputerze, są ponad sto mil od nas.

McKee usiadł na koi i podrapał się w głowę.

— Jak daleko jesteśmy od równika? — zapytał.

— Sto dziesięć mil, sir.

— Czy jest możliwe, że wykryta flotylla przekracza właśnie równik? Albo czeka na równiku?

— Tak, bosman Cook jest zdania, że okręty stoją na równiku lub bardzo blisko niego.

— Dobrze. Niech sekcja śledzenia celów zajmie stanowiska. Zwolnijmy do piętnastu węzłów. Obserwujcie flotyllę i ustalcie, czy raczej stoją, czy też zygzakują. I, OOD?

— Tak jest, kapitanie?

— Jeśli to jest Flota Czarnomorska, być może czekają na eskortę podwodną. Kto wie, czy to nie nasz dobry znajomy z okolic Norfolku. Jeśli tak, podąża tą samą trasą co my. Przeszukiwać więc starannie ocean pod tym kątem.

— Tak jest, kapitanie. Pogadam z Cookiem.

— I jeszcze jedno. Przejdźmy na wyciszenie. Wyłączyć lewą stronę maszynowni.

— Tak jest, tryb wyciszenia i wyłączyć lewą stronę maszynowni.



— OOD, proszę także przygotować Predatora. O świcie obsadzimy stanowiska bojowe i pošleme samolocik nad wykryte okręty. Potwierdzi ich obecność i zidentyfikuje je. Pokieruje nim oczywiście Cyclops, ale nie możemy załadować do Predatora danych zwiadu satelitarnego, bo brakuje tej części oprogramowania.

— Tak jest, panie kapitanie — odpowiedział Dietz. — Przygotować samolocik zwiadowczy Predator. Zalecam, żebyśmy nie uruchamiali go do piątej rano czasu miejscowego, sir, bo się przegrzeje.

— Bardzo dobrze — zgodził się McKee. — Proszę mnie obudzić o piątej trzydzieści.

— Dobranoc, sir.

Kelly odłożył słuchawkę i zaczął się zastanawiać, czy wykorzystać najbliższe kilka godzin na cenny sen, czy też chodzić w tę i z powrotem po pomieszczeniu dowodzenia. Jeśli pozwoli Dietzowi kontrolować rozwój sytuacji i zaśnie znowu, obudzi się rześki, wtedy gdy będzie to potrzebne. Chodząc wokół stanowiska dowodzenia, wprowadzi tylko nerwową atmosferę. Decyzja była prosta. McKee położył się i zasnął kamienym snem.



Wczesnym rankiem przekazano przez telefony „Hammerheada” rozkaz zajęcia stanowisk bojowych. Nie używano radiowęzła ze względu na obowiązujący tryb wy-ciszenia. Wiadomość o wykryciu przez poprzednią wachtę konwoju wyprzedzającego „Hammerheada” o blisko sto mil została przekazana przez dyżurnego posłańca. Zelektryzowała nawet tych, którzy odsypiali właśnie wieczorną wachtę. Kiedy więc rozkazano obsadzić stanowiska bojowe, ludzie byli już ubrani i gotowi. Zjawili się w pomieszczeniu dowodzenia w ciągu zaledwie paru sekund zamiast, jak zwykle, dwóch, trzech minut. Wszyscy wydawali się zdenerwowani, może nawet wystraszeni. Wszyscy z wyjątkiem Judisona i Dietza. Ci mieli zmarszczone brwi i marsowe miny. McKee podejrzewał, że i w nich obudziła się żądza zemsty za zabitych towarzyszy.

Konradmirał spał dobrze. Ubrał się w świeży morski kombinezon, z wyszytym nad lewą kieszonką nazwiskiem MCKEE i przypiętymi złotymi delfinami oraz odznaką dowódcy okrętu. Na kołnierzu miał srebrne orzełki oznaczające stopień kontradmirała. Na lewym ramieniu — amerykańską flagę. Na prawym, w miejscu przeznaczonym na godło okrętu, nie było nic. Zabrakło czasu na jego wykonanie, tak szybko przechrzczono jednostkę.

Kelly rozejrzał się po pomieszczeniu dowodzenia. Było pełne ludzi i nieco duszne pomimo pracującej na wysokich obrotach klimatyzacji. Poczul się trochę dziwnie, gdy stwierdził, że brakuje stanowiska peryskopowego umieszczonego na otoczonym poręczami podwyższeniu, po którym miał zwyczaj się przechadzać, patrząc z góry na swoich

oficerów. Zamiast peryskopów na środek przeniesiono duży pulpit stanowiska dowodzenia i dwa stoły do wyświetlania map. Z tyłu było trochę wolnego miejsca, gdzie oficerowie mogli stać i obserwować umieszczone wokół sufitu ekrany wyświetlające obraz z sensorów optoelektronicznych. Te same ekrany mogły zamiennie wyświetlać dwuwymiarową wersję wirtualnej przestrzeni bitewnej, mapy albo obrazy z różnych kamer okrętu. McKee zagryzł wargi. Będzie oczywiście robił, co do niego należy, jednak w nowym otoczeniu odpadają pewne instynktowne zachowania. Co gorsza, zamiast dysponować projekcją wirtualną na pulpicie dowodzenia, miał teraz hełm bez szyby, w którym znajdowały się dwa otoczone gumą projektory, pozwalające widzieć w trzech wymiarach. Założywszy hełm, będzie oddzielony od swoich ludzi i od pomieszczenia dowodzenia, mimo że nie oddali się od swojej konsoli. Wprawdzie hełm posiadał funkcję projekcji na jedno oko obrazu z małej kamery na nim umieszczonej, jednak to nie było to, co zwykle patrzenie. Poza tym kontradmirał uważał, że będzie wyglądał w tym hełmie idiotycznie. Nie mówiąc już o tym, że załoga straci możliwość obserwowania twarzy kapitana okrętu podczas bitwy. To było bardzo ważne. McKee przez całe lata trenował odpowiednie miny, przy pomocy których wyrażał pewność siebie, gniew albo skupienie. Ich pozytywne oddziaływanie na oficerów mogło nawet zaważyć na wyniku starcia.

Nagle Kelly przypomniał sobie, że z początku pomieszczenie dowodzenia „Devilfisha” także mu się nie podobało. Po spędzeniu na nim roku wiedział już, że nie potrafiłby powrócić na okręt poprzedniej generacji. Położył więc hełm projektora na pulpicie, podłączył kabel i rozejrzał się po twarzach swoich ludzi.

— Grupa ogniowa, uwaga.

Postanowił zawczasu, że odprawę wojenną przeprowadzi w pomieszczeniu dowodzenia po zajęciu przez pełniących wachtę stanowisk bojowych. Kapitan zawsze przedstawia wachtowemu swoje decyzje czy zamiary, jednak to miała być prawdziwa odprawa. Ludzie na stanowiskach bojowych będą bardziej skupieni.

— Jak wiecie, sonar wykrył za horyzontem flotyllę jednostek pływających zaczął.  
— Według wszelkich danych są to okręty wojenne i należą do Ukrainy. Bosman Cook jest zdania, że odnaleźliśmy Flotę Czarnomorską. Jej okręty nawodne znajdują się w dużej odległości, w tej chwili trzydziestu ośmiu mil. Zygzakują po rombie, tak jak robili całą noc. Przypuszczamy, że będą robić to dalej. Nie mamy niestety dla potwierdzenia tego danych satelitarnych, ponieważ oprogramowanie, jakim dysponujemy, jest niepełne. Musimy więc ograniczyć się do posiadanych sensorów pokładowych i zdalnie sterowanych.

W tym momencie w jednej z wyrzutni pionowych znajdował się już samolocik zwia-  
dowczy Mark 94 Predator UAV. Przygotowano też Mark 5 Sharkeye’a — przenoszony przez torpeda-raketę sensor systemu obrazowania pola akustycznego. Można było obyć się bez satelitów.

— Wyślemy Predatora, który poleci nad wykrytą flotyllę — mówił McKee. — Jeśli nie zostanie zauważony przez nieprzyjaciela, utrzymamy samolocik w powietrzu na dalszą fazę bitwy. Odpalimy także Sharkeye'a w takim momencie, żebyśmy mieli równocześnie obraz z powietrza i spod wody. Sharkeye zostanie umieszczony z drugiej strony flotylli, mniej więcej piętnaście mil za nią, ponieważ sądzimy, że Ukraińcy czekają na okręt podwodny i po spotkaniu z nim ruszą dalej na południe. Obawiam się, że Predator i Sharkeye mogą nas zdradzić. Zwłaszcza samolocik może zostać wykryty przez radar albo po prostu obserwatorzy dostrzegą smugę na niebie. Dlatego też postanowiłem wysłać go teraz, kiedy jesteśmy prawie osiemdziesiąt kilometrów od przeciwnika i trudno im będzie zauważyć start samolociku. My sami odsuniemy się na wschód i zbliżymy się do flotylli od północnego wschodu. Dodatkowo Predator i Sharkeye zakreślą prostokąt i zbliżą się od południa, aby nie wskazywać kierunku, z którego zostały odpalone. Torpedo-rakieta z Sharkeye'em ma popłynąć pięćdziesiąt mil na wschód, potem sto mil na południe, pięćdziesiąt mil na zachód, skrócić na północ i zwolnić. Sensor będzie osadzony piętnaście mil na południe od konwoju. Predatora zaprogramujemy tak samo, z tym że na końcu ma okrążyć flotyllę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, a później przelecieć nad nią. Oprócz sensora obrazowania pola akustycznego oraz samolociku zwiadowczego zamierzam użyć Mark 23 Bloodhonda. Jak wiecie, jest to sonar wsadzony w torpedę Alert/Acute z wyjętą głowicą. Dlatego też będzie hałasować jak torpeda Alert/Acute i na początku myślałem, żeby wcale go nie używać. Jeżeli sonary flotylli albo ukraiński okręt podwodny wykryją torpedę, flotylla rozproszy się, a okręt zacznie nas intensywnie szukać. Nie możemy do tego dopuścić, jeden z naszych rozkazów brzmi: „Pozostać niewykrytym”. Ale jednocześnie nie chcę być ślepy. Postanowiłem więc wysłać Bloodhonda z minimalną prędkością po trajektorii dośrodkowej spirali. Skoro torpeda będzie okrążała flotyllę, nie wykryją jej dopplerowskim sonarem aktywnym wysokiej częstotliwości. Za to Bloodhound powinien usłyszeć wszystkie odgłosy wrogiego okrętu podwodnego, przynajmniej jeśli będzie się on znajdował poniżej granicy termicznej. Chcę, żeby Mark 23 krążył dalej podczas trwania ataku. Sterowanie Predatorem będzie komputerowe przy użyciu zadanego z góry programu. Nie wyślemy samolocikowi żadnych sygnałów. Zrezygnujemy z wszelkich transmisji radiowych, nawet najbezpieczniejszych, na wysokiej częstotliwości. Do nasłuchu użyjemy sensorów pasywnych. To znaczy, że Bloodhound także będzie miał uruchomiony tylko sonar pasywny, Predator — kamery światła widzialnego i podczerwieni oraz odbiorniki radarów. Sharkeye tak czy owak jest pasywny. Jeśli trzeba będzie mimo wszystko sterować Predatorem, ilość bezpiecznych transmisji wysokiej częstotliwości ograniczymy do minimum. Żadnych przekazów do satelity! Podczas ataku w żadnym wypadku nie możemy zostać wykryci. Słuchajcie, panowie. Być może nie będę miał możliwości powiedzieć wam tego później. Kiedy już wyślemy Predatora, Bloodhonda

i Sharkey’ a, znajdziemy się w sytuacji taktycznej i jedyną rzeczą, o której chcę wówczas myśleć, jest to, gdzie celować następną torpedą lub rakieta. Nie mam zamiaru wyjaśniać wtedy pełniącym wachtę powodów moich działań. Zrozumiano?

Poza odgłosem pracującej wentylacji panowała absolutna cisza. Wszystkie oczy zwrócone były na kontradmirała. Jedynie na twarzach Judisona i Dietza malował się spokój.

— Świetnie. W tej chwili zamierzam potwierdzić, czy wykryta flotylla to Ukraińcy. Jeśli okaże się, że tak, zaatakujemy ją, na mój rozkaz. Będzie to część naszej odpowiedzi na zatopienie „Princess Dragon”. Jednak zauważyliśmy wiele okrętów, a ilość torped mamy ograniczoną.

McKee przesunął palcami po ekranie na swojej konsoli i na dużym ekranie w rogu pomieszczenia pojawiła się lista uzbrojenia.

— Na pierwszy rzut oka wydaje się, że pocisków mamy dużo — ciągnął — Jednak część przedziału torpedowego zajmują cztery przeciwtorpedowe Dobermany, po dwa zwiadowcze Predatory, Bloodhoundy i Sharkey’ e. Pozostaje nam zaledwie dwadzieścia torped Mark 58 Alert/Acute i osiem torpedo-rakiet Mod Delta Vortex. Czyli dwadzieścia osiem pocisków przeciw dwudziestu pięciu wykrytym okrętom oraz okrętowi podwodnemu. Co najmniej cztery torpedy i cztery Vorteksy musimy przeznaczyć na pokonanie Siewierodwińska. Inaczej może się okazać, że nie zdołamy go zatopić. Jeśli będę miał wybór, chcę wszystkie przenoszone przez nas pociski wycelować w okręt podwodny. Każdy z was musi zrozumieć jedno — flotylla nawodna specjalnie nas nie interesuje. W istocie, chcemy jedynie, żeby okręty nawodne zawróciły na Ukrainę — wtedy zostanie nam więcej torped na zatopienie Siewierodwińska. Siły nawodne atakujemy po to, żeby przyciągnąć okręt podwodny. Kiedy go wykryjemy, przerwiemy atak na nawodną flotyllę i skupimy się na nim. Ponieważ jednak Siewierodwińsk może się szybko nie pokazać, jeśli wysłane przez nas sensory zwiadowcze nie wykryją go, zaatakujemy właściwe okręty wojenne wroga. W tej chwili przypuszczamy, że pośród nieprzyjacielskich sił jest dziesięć typowo wojennych okrętów — niszczyciele, krążowniki, lotniskowiec, helikopterowiec. Piętnaście to okręty desantowe, okręty do przewozu wojska lub nawet zwykłe statki handlowe z żołnierzami. Być może pośród nich znajduje się specjalny okręt dowodzenia. Zaatakujemy dziesięć okrętów wojennych. Jednocześnie spróbujemy zidentyfikować jednostkę dowodzenia i oszczędzić ją. Po co? Otóż jeśli admirał dowodzący flotyllą zobaczy, że jego okręty toną, być może zrezygnuje z dalszych wysiłków i rozkaże jednostkom desantowym zawrócić. Te dziesięć okrętów wojennych zaatakujemy torpedami Alert/Acute w taki sposób, żeby wszystkie zostały trafione dokładnie w tym samym momencie. Nie możemy pozwolić, żeby niektóre z nich, z góry ostrzeżone, zaczęły wykonywać uniki. Gdyby którykolwiek ocalał, zacząłby nas ścigać i atakować. Dlatego zamierzamy zatopić wszystkie dziesięć w tej samej chwili. Nie tylko

je uszkodzić ani też zatopić część z nich. Zrozumiano? Po wystrzeleniu dziesięciu torped, zostanie nam dziesięć Alert/Acute i osiem Vorteksów. Czyli będziemy mieli jeszcze sześć torped i cztery torpedo-rakiety do odpalenia, zanim pozostaną nam tylko pociski konieczne do pokonania Siewierodwińska. Będziemy stać w trybie wyciszenia i obserwować, jak toną okręty wojenne. Wtedy powinna rozpocząć się kolejna faza bitwy. Pojawienie się okrętu podwodnego, który będzie chciał przerwać nasz atak na flotyllę. Jeśli to rzeczywiście będzie Siewierodwińsk, ruszy na nas natychmiast, kiedy tylko usłyszy odpalenie pierwszej z naszych torped. — Przynajmniej mam nadzieję... — dodał w myśli Kelly.

— Gdyby okręt podwodny nie pokazał się, trzeba będzie podjąć decyzję. Jeżeli okręty z wojskiem nie zawrócą od rana na północ, zaczniemy zatapiać je, jeden po drugim, do czasu, aż zawrócą. Taka strategia, pojedynczego zatapiania kolejnych jednostek, da czas kapitanowi Siewierodwińska na wkurzenie się i wypłynięcie z ukrycia. Będziemy odpalać torpedy co dwadzieścia minut, zużywając maksymalnie sześć Alert/Acute. Gdyby okręt podwodny i tak się nie pokazał, wycofamy się, pozostaniemy w pobliżu resztek flotylli i odczekamy dzień, dwa. Jeśli i wtedy nie będzie śladu Siewierodwińska, a pozostałe na powierzchni okręty desantowe wciąż płynęłyby na południe, zatopimy je wszystkie. Pozostawimy tylko dwie torpedo-rakiety przeciw okrętowi podwodnemu, poprosimy o wsparcie i skierujemy się do Norfolku. Jednak szczerze wątpię, żeby doszło do takiej sytuacji. Czy plan jest dla wszystkich jasny?

McKee rozejrzał się po zebranych. Judison i Dietz pokiwali głowami, Van Dyne także wyglądał na spokojnego, jednak pozostali młodzi oficerowie byli bladzi i sztywni. Przyjdą dla nich znacznie gorsze chwile — pomyślał kontradmirał.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Do pracy, panowie. XO, można prosić pana na słówko?

Judison podszedł do Kelly'ego, który odwrócił się od reszty załogi.

— Słucham, panie kapitanie?

— Mam pytanie. Czy te Dobermany działają? Judison wzruszył ramionami.

— Według dokumentacji, którą dostaliśmy, podobno działają.

— Jednak nie mamy oprogramowania do ich sterowania — zauważył McKee.

— Nie mamy.

— Czy można podłączyć je pod projektory rzeczywistości wirtualnej i sterować nimi ręcznie?

— Tak jest. Ale szansa, że trafimy nieprzyjacielską torpedę, jest niewielka.

Kelly popatrzył na Judisona uważnie i stwierdził:

— Próbował pan, prawda? Ćwiczył pan to? Kiethan spuścił głowę.

— Tak jest, sir — odpowiedział.

— I?

Pierwszy oficer zaczerwienił się i odpowiedział wyjątkowo cichym jak na niego głosem:

— Ani razu mi się nie udało. Za każdym razem symulowana torpeda trafiała nas bez przeszkód.

McKee przybrał dziarską minę.

— W średniej szkole grałem w futbol — oświadczył. — Na pozycji quarterbacka. Szło nam słabo, a potem, kiedy byłem w maturalnej klasie, nagle zdobyliśmy mistrzostwo stanu. Po prostu uparliśmy się i wygrywaliśmy z najlepszymi, mimo że podczas treningów jakoś nigdy nam nie wychodziło. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Rumieniec na twarzy Judisona zbladł. Oficer uśmiechnął się.

— Tak jest, sir. Doskonale zrozumiałem!

— Świetnie. Grupa ogniowa, uwaga. Przygotować się do odpalenia Predatora, Bloodhouna i Sharkey'e'a.

Załoga przystąpiła do wykonywania swoich zadań. Kelly obserwował Judisona. Ciekaw był, czy pierwszy oficer domyśla się, że jego dowódca, człowiek niezbyt okazałej postury, nigdy w życiu nie grał w futbol amerykański.

Powierzchnia Atlantyku w odległości tysiąc czterystu mil morskich na wschód od ujścia Amazonki była taka jak zwykle. Głębokie, niebieskie fale łagodnie i powoli przetaczały się na wschód. Wiała lekka bryza o prędkości dziesięciu węzłów. Ocean był pusty aż po sam koniec horyzontu.

Nagle fale przebił od spodu jakiś biały przedmiot, rozpryskując morską pianę. Po chwili przedmiot pomknął ku niebu, pozostawiając za sobą wysoki słup dymu. Przez chwilę słyhać było huk, który zaraz ucichł, po czym jego sprawca zniknął w oddali. Wiaterek rozwiewał resztki dymu, sięgającego sześciuset metrów ponad falami. Wyżej nie było widać już nic szczególnego.

Dwadzieścia sekund później w podobny sposób pojawił się i zniknął drugi obiekt. Po minucie smugi dymu znikły niczym po przelocie odległego odrzutowca.

Tuż pod powierzchnią ocean był ciepły, rozgrzany tarciami wzbudzanych wiatrem fal oraz słońcem. Ciepła warstwa sięgała mniej więcej na głębokość sześćdziesięciu metrów. Tam temperatura wynosiła już zaledwie odrobinę więcej niż minus dwa stopnie Celsjusza, przy których zamarzałyby słońca, oceaniczna woda. Dźwięki z zimnej głębin rzadko są w stanie przeniknąć granicę termiczną; odbijają się od niej jak od lustra. Podobnie i odgłosy z powierzchni rzadko docierają w głąbinę, odbijając się z powrotem do góry. Dziewięćdziesiąt metrów poniżej granicy termicznej mknął przez wodę, niczym szybki rekin, sześciometrowy, wydłużony pocisk. Miał gumowatą powłokę niczym skóra delfina. Napędzał go silnik wodnoodrzutowy — woda zasysana była przez dwa otwory w kadłubie i przepływała przewodami aż do ultracichej pompy rotacyjnej, która wyrzucała ją umieszczoną z tyłu dyszą.

Pompa napędzana była turbiną gazową. Tę z kolei wprawiały w ruch gazy spalinowe przechodzące od zmieszanego z utleniaczem paliwa, które zapalała w komorze spalania iskra świecy. Turbina powodowała rytmiczny odgłos, o podstawowej częstotliwości analogicznej do jej prędkości obrotowej. Dochodziły jeszcze składowe harmoniczne dźwięku, o częstotliwościach będących wielokrotnościami podstawowej, a także drgania własne kadłuba, wymuszone wibracjami turbiny. Jednak na kadłubie znajdowały się

dwa hydrofony, to znaczy wytworniki hałasu. Wytwarzały one dźwięki dokładnie przeciwnie w fazie do odgłosów turbiny — identyczne, ale przesunięte o pół długości fali w stosunku do nich. Wskutek tego oba odgłosy znosiły się całkowicie. System ten nazywano aktywnym wyciszaniem.

Wynalazcy płynącej maszyny długo obserwowali rekiny i delfiny i zwrócili uwagę, że ich skóra ugina się podczas ruchu, wytwarzając fale podobne do tych, które powstają na powierzchni morza. Dzięki temu spada opór otaczającej wody, pozwalając delfinowi czy rekinowi płynąć szybciej. Napędzany silnikiem wodnoodrzutowym pocisk został wyposażony w podobną, uginającą się powłokę, minimalizującą opór wody.

Był to Bloodhound — Pies Gończy oznaczony symbolem Mark 23. Miał on swojego pana, gdyż ciągnął za sobą cieniutką światłowodową smycz, połączoną z wielkim metalowym obiektem, który go wysłał. Zadaniem Bloodhonda było podkradanie się do nieprzyjacielskiej floty wojennej i nasłuchiwanie za pomocą hydrofonowych anten pokrywających dziób pocisku, ukształtowany w półkulę wielkości połowy piłki do koszykówki. Wszystko, co słyszały sensory, było przesyłane między innymi do pokładowego procesora, który dokonywał niezbędnych obliczeń i wysyłał impulsy do hydrofonów aktywnego wyciszania, które wytwarzały tłumiące dźwięki.

Bloodhound płynął na południowy wschód po torze dośrodkowej spirali, zbliżając się do nawodnej flotylli, pływającej powoli na równiku po rombie. W ciągu godziny zwiadowczy pojazd znajdzie się o pięć mil morskich od flotylli, na południe od niej. Będzie znał swoje położenie dzięki zminiaturyzowanemu pierścieniowemu laserowemu modułu nawigacji bezwładnościowej. Dzięki światłowodowi łączącemu go z okrętem matką będzie znał również położenie okrętów wroga, potwierdzone zresztą przez słabiutki, niewyraźne odgłosy dochodzące z ich strony. Okręty były wprawdzie głośne, jednak pływały po powierzchni wody, podczas gdy Bloodhound krążył dziewięćdziesiąt metrów pod odbijającą dźwięki granicą termiczną. Dlatego znalazłszy się pięć mil od nich, ostrożnie podpłył w górę, ustawiony bokiem, aby jego ruch nie spowodował efektu Dopplera, na którym opierało się działanie sonarów aktywnych.

Parę metrów ponad falami, pięćdziesiąt mil na zachód od flotylli, sunął z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę pocisk o napędzie odrzutowym. Jego kadłub pokryty był materiałem pochłaniającym fale radarowe i pocisk dawał słabsze odbicie niż mewa albo wierzchołek fali. Utrzymywały go w powietrzu skrzydełka z włókien węglowych i mały silnik turboodrzutowy. Wewnątrz dziobu latającego urządzenia znajdował się zestaw sensorów obrazowania pola akustycznego Sharkeye. Za jakieś dwadzieścia minut miał się on znaleźć piętnaście mil na południe od nawodnej flotylli. Wtedy silnik zgaśnie, prędkość zmaleje do zera, a pocisk skieruje się w górę i wyrzuci z siebie Sharkeye'a. Zestaw sensorów opadnie na wodę na szarawym, jedwabnym spadochronie.



Daleko na wschód od konwoju leciał podobny pocisk, tyle że wolniej. Ze sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. I nie tuż ponad falami, a na wysokości sześciu kilometrów. Czujniki podczerwieni i stabilizowane żyroskopowo kamery ze wzmocnieniem odbieranego światła widzialnego skierowane były na zachód, ku znajdującym się na wodzie okrętom. Kiedy Sharkeye opadnie na wodę, Predator, bo o nim mowa, będzie znajdował się dokładnie ponad flotyllą.

Przekazywał swoje dane do komputera „Hammerheada” za pośrednictwem schowanej w kadłubie anteny. Także i ona była stabilizowana żyroskopowo i kierunkowa. Strumień wysyłanych przez nią fal ultrawysokiej częstotliwości nie załamywał się, tylko celował prosto w antenę odbiorczą. I nikt niepowołany nie mógł wykryć transmisji; gdyby jednak tak się stało, usłyszałyby tylko niezrozumiały szum.

Trzydzieści mil od Predatora unosił się na wodzie przedmiot wielkości piłki futbolowej. Krył we wnętrzu antenę skierowaną wprost na sygnał dochodzący z Predatora. Boja połączona była długim światłowodem z kioskiem „Hammerheada”. Kiedy tylko Mark 5 Sharkeye opadnie na fale, zanurzy się w nich, na powierzchnię wypływanie na kablu podobna boja. Sensory obrazowania pola akustycznego Sharkeye’a opadną na dno, głęboko poniżej warstwy termicznej. Nie będą zajmować się nawodną flotyllą, lecz rozpoczną poszukiwania ukraińskiego okrętu podwodnego. Dane Sharkeye’a będą przekazywane światłowodem do boi, a z niej nadawane drogą radiową do jednej z anten Predatora. Ten będzie przesyłał je „Hammerheadowi” razem z informacjami zbieranymi przez siebie samego.

Dane ze wszystkich trzech pojazdów zwiadowczych trafią ostatecznie do Cyclopsa, który będzie je przetwarzał, czyli integrował i sporządzał czterowymiarowy — z uwzględnieniem czasu — obraz pola walki. Obraz ten komputer pošle do projektów rzeczywistości wirtualnej, w kabinach i wewnątrz hełmu kapitana.

O jedenastej rano pocisk przenoszący Sharkeye’a wzniósł się raptownie, wyłączając silnik. Osiągnął wysokość stu pięćdziesięciu metrów, stanął na moment i spadając, nagle rozleciał się na kawałki. Z wnętrza wypadł zestaw elektroakustyczny w kształcie beczki, z którego wysunęło się usterzenie stabilizujące. Wkrótce rozwinął się też spadochron w kształcie materaca i zestaw po upływie dwóch minut opadł na wodę. Plusnęło nieznacznie, spadochron odłączył się, umożliwiając zanurzenie obiektu. Po przekroczeniu granicy termicznej otworzył się on i wyrzucił niewielkie kule połączone światłowodami. Tonęły, oddalając się od siebie. Jednocześnie w górę podpływała podłużna boja. Gdy osiągnęła powierzchnię, uruchomiła się jej antena, nadając do Predatora sygnał „wszystko w porządku”.

W hełmie kontradmirała McKee dwa projektory utworzyły trójwymiarowy, wirtualny obraz. Zamrugał oczami, znalazłszy się nagle w nowym, do złudzenia realnym świecie. Tym, który obserwowały pojazdy zwiadowcze.

Kelly unosił się więc w kryształowo czystych wodach oceanu bez dna. Kiedy spojrział w dół, zobaczył u swoich stóp przypominający zabawkę okręt podwodny, niespełna metrowej długości, skierowany dziobem na południowy zachód. Wysoko, ponad głowę kontradmirala, przetaczały się fale. Mógłby do nich podpłynąć, gdyby nie wyraźnie zaznaczona granica termiczna. Zupełnie, jak gdyby ocean rozwarstwił się i na wierzch wypłynęła jakaś lżejsza faza.

W górze i na południowy zachód od McKee, to znaczy w kierunku, w którym płynął okręt zabawka, widać było na powierzchni dwadzieścia pięć okrętów nawodnych. Znajdowały się jakieś dwanaście metrów ponad Kellym i daleko na przedzie. Widział jednak każdy z nich osobno. Były oddalone nieco od siebie i miały po metrze długości. Cała formacja kierowała się na południowy wschód, obrócona do kontradmirala lewymi burtami.

NSSN był wyposażony w Węzłowy System Sieci Sztucznej Inteligencji Kontroli Bitewnej Cyclops Mark 83 Mod Echo. System SSNX-a oznaczony był Mod Bravo. Zmiana oznaczała tyle, że teraz McKee będzie mógł opuścić swoje miejsce w wirtualnej przestrzeni i zamiast stać na swoim okręcie, podpłynąć ku powierzchni, wznieść się w powietrze i zobaczyć cele nawodne oczami Predatora. Kelly wątpił, żeby możliwość latania po wirtualnym polu walki była faktycznie przydatna. A słyszał, że testujący urządzenie nieraz dostawali silnych zawrotów głowy. Uniósł dłoń, zdając sobie sprawę, że wygląda pewnie jak chłopczyk, naśladujący ręką lot odrzutowca. Natychmiast jednak zapomniał o swych słowach, ponieważ poczuł, że jego ciało oderwało się od wirtualnego okrętu podwodnego i uniosło w górę. Minął warstwę termiczną, przebił powierzchnię i wleciał w niebo. Wciąż widać było pod wodą szary kształt „Hammerheada”, przypominającego delfina, po którym przelatywały migotliwe odbłyśki fal. Powierzchnia oceanu oddalała się. Kelly uniósł głowę i popatrzył na południowy zachód, na okręty. Znajdowały się w wirtualnej przestrzeni, może ze trzydzieści metrów w dół i niecały kilometr przed nim. Leciał coraz szybciej, a gdy znalazł się bezpośrednio nad nimi, zniżył się i zawisł na wysokości około dwóch i pół metra.

Na początku zwrócił uwagę na lotniskowiec klasy Kuzniecow. Wyglądał tak realistycznie, miał tak ostre kontury, jak prawdziwy model. Komputer przechowywał w pamięci jego obraz ze wszystkich kątów widzenia Predatora i montował poszczególne ujęcia w trójwymiarowy model wirtualny. Okręt był płaski, szeroki, pokład startowy unosił się na dziobie niczym skocznia narciarska. Posiadał kilka radarów, wielki komin, wysoką, cylindryczną antenę, mostek. Na pokładzie stało dwanaście samolotów przymocowanych linami. Rosyjskie myśliwce trzech typów oraz dwa najnowsze eksportowe japońskie, nazwane FireStar.

— Zidentyfikuj — mruknął McKee do mikrofonu, zwracając się do komputera. W przestrzeni pojawiła się tabliczka z napisami:

NAZWA: „ADMIRAŁ FLOTY SOJUZA KUZNIECOW”  
NUMER KADŁUBA: 113  
PEŁNA WYPORNOŚĆ: 67 500 TON  
WYMIARY: 305x70 M  
MASZYNY: 8 KOTŁÓW, 4 TURBINY, 200 000 KM/147 MW  
PRĘDKOŚĆ MAX: 30 WĘZŁÓW  
ZAŁOGA: 1 700 OSÓB (200 OFICERÓW)

— Bandera — rzucił Kelly. Na tabliczce pojawił się napis:

MARYNARKA WOJENNA UKRAINY. FLOTA CZARNOMORSKA.

— Grupa ogniowa, uwaga — powiedział kontradmirał do mikrofonu. — Wykryta flotylla to z całą pewnością grupa bojowa ukraińskiej Floty Czarnomorskiej. Sprawdzam, czy jest w jej składzie okręt flagowy lub dowodzenia. Jednak poza okrętami do przewozu wojska i statkami handlowymi widzę tylko: jeden lotniskowiec, dwa krążowniki, trzy niszczyciele przeciwpodwodne, dwa niszczyciele przeciwlotnicze i trzy szybkie fregaty. Wobec tego zaatakujemy wszystkie dziesięć okrętów wojennych salwą zaprogramowaną na jednoczesny czas trafienia, torpedami Alert/Acute. Czy są pytania?

— Ale panie kapitanie — odezwał się głos Judisona — skoro okrętem flagowym jest lotniskowiec, w jaki sposób dowodzący flotyllą admirał rozkaże zawrócić reszcie okrętów. Jeśli go zatopimy, admirał zginie lub będzie rozbitkiem i nie wyda żadnego rozkazu. Czy nie burzy to całej koncepcji ataku, którą pan kapitan przedstawił?

— Pierwszy oficer postawił bardzo dobre pytanie — stwierdził McKee. — Uważam jednak, że nie mogę pozostawić lotniskowca. Jest zbyt groźny. Na jego pokładzie znajdują się zapewne samoloty przeciwpodwodne, które po wystartowaniu mogłyby nas zatopić. Musimy liczyć na to, że okrętom z wojskiem i sprzętem każe zawrócić najstarszy rangą oficer. Jeśli jego rozkazy okażą się dla nas niekorzystne, zniechęcimy go, posyłając na dno kolejne okręty w dwudziestominutowych odstępach. I jeszcze jedno, najważniejsze: choćbyście byli nie wiem jak zajęci odpalaniem torped, macie z najwyższą uwagą obserwować, czy nie pojawia się ukraiński okręt podwodny. Są jeszcze jakieś wątpliwości? Bardzo dobrze. Do pracy, panowie.

McKee uniósł się ponad wrogimi okrętami jeszcze przez kilka minut, podczas których przygotowywano atak.

Przeleciał pomiędzy dwoma krążownikami, a potem wzniósł się i przesunął nad całą formacją tak wysoko, że widział również daleko w dole „Hammerheada”. Wtedy usłyszał głos Judisona. — Panie kapitanie, okręt gotów do odpalenia salwy. Torpedy Alert/Acute gotowe w wyrzutniach jeden, dwa i cztery, pokrywy wyrzutni otwarte. W wyrzutni trzeciej pozostaje Doberman. Czy mamy zamienić go na kolejną Alert/Acute?

— Nie odparł McKee. — Chociaż oznacza to, że torpedy będą musiały krążyć trochę dłużej, zanim ruszą w stronę floty. XO, pamięta pan naszą krótką pogawędkę o Dobermanie?

— Mistrzowie stanu w grze w pchełki, sir.

Kelly uśmiechnął się sam do siebie wewnątrz hełmu.

— Cyclops, tu kapitan — rzucił.

— Tak jest, panie kapitanie — odpowiedział głębokim basem komputer.

— Wyceluj w dziesięć okrętów wojennych Floty Czarnomorskiej. Lotniskowiec, cel numer jeden. Ten krążownik — McKee wskazał następny okręt — cel numer dwa. Drugi krążownik, cel numer trzy...

Wymieniał po kolei wszystkie niszczyciele i fregaty, po czym zażądał od komputera potwierdzenia danych.

— Rozkład celów wprowadzony, panie kapitanie — zameldował system.

— Bardzo dobrze. Cyclops, wprowadź obliczenia dla ataku torpedowego z jednakowym czasem trafień, przy użyciu wyrzutni jeden, dwa i cztery oraz torped Mark 58 Alert/Acute. Kierowanie przewodowe odcięte, atak w pełni zaprogramowany.

— Proszę podać maksymalny odstęp pomiędzy detonacjami, sir — zażądał komputer.

Chciał wiedzieć, czy mają to być na przykład odstępy półsekundowe, sześćdziesięcioszekundowe, czy też trzyminutowe.

— Maksymalny odstęp plus minus dziesięć sekund — odpowiedział McKee.

To za mało na jakiegokolwiek manewry, a jednocześnie komputer nie będzie marnował paliwa torpedowego, przygotowując niepotrzebnie superprecyzyjny atak.

W ciągu następnej sekundy komputer przeprowadził obliczenia. Wiedział już, jaki powinien być dokładny czas wszystkich czynności. Kiedy ma wystrzelić każdą z torped, zamykać pokrywy wyrzutni, wypompowywać z nich wodę, otwierać wewnętrzne pokrywy, wprowadzać nowe torpedy, ładować je, uruchamiać układy sterowania, zamykać wewnętrzne pokrywy wyrzutni, zalewać je, otwierać pokrywy zewnętrzne, potwierdzać, że układy pocisków pracują, kontrolować je, wprowadzać do pokładowych komputerów trajektorie lotu i znowu wystrzeliwać torpedy. Detonacje miały nastąpić po dłuższym czasie od wystrzelenia pierwszej z torped, gdyż cały cykl musiał zostać wielokrotnie powtórzony, a cele znajdowały się wciąż w odległości trzydziestu pięciu mil. Torpedy będą płynąć w trybie wyciszenia, czyli z niewielką prędkością trzydziestu węzłów.

— Panie kapitanie, czas od odpalenia pierwszej torpedy do zsynchronizowanych detonacji jedna godzina siedemnaście minut — oznajmił komputer.

— Grupa ogniowa, uwaga. Wprowadzić podane przez Cyclopsa procedury odpalenia torped przeciwko celom jeden do dziesięć dla ataku o jednakowym czasie trafień.

— Okręt gotowy, sir — zameldował Dietz.  
— Uzbrojenie gotowe — Van Dyne.  
— Programy gotowe — Judison.  
— Komputer gotowy — Cyclops.  
— Do strzału w zaprogramowane cele... — rozkazał McKee.  
— Gotów — rzucił Judison.  
— Gotów — zameldował Cyclops.  
— Ognia! — zawołał McKee. To był ostami moment na decyzję: wstrzymać atak czy kontynuować go.

— Ognia! — powtórzył Van Dyne, potwierdzając, że system komputerowy Cyclops uruchamia wyrzutnie.

— Cyclops trzyma przedział torpedowy — zameldował jeszcze Judison.

— Strzelam z wyrzutni trzeciej, trzy, dwa, jeden, teraz — oznajmił komputer. Przy słowie „teraz” rozległ się z dołu ryk odpalanej torpedy.

System wystrzeliwał torpedy przez piętnaście minut. W wirtualnej rzeczywistości, którą obserwował McKee, sunęły one niczym delfiny, pozostawiając za sobą pomarańczowe kreski. Kontradmiral patrzył na to z góry. Pierwsza z torped, po odpłynięciu dwie mile od „Hammerheada”, zaczęła powoli krążyć po kole o promieniu tysiąca metrów. Kolejne zachowywały się podobnie. Kręgi, jakie wykonywały, były oddalone od siebie o pół mili. Trwało to do momentu, gdy w wodzie znalazło się wszystkie dziesięć torped. Ostatnia nie zrobiła żadnego okrążenia, lecz popłynęła prosto w stronę nieprzyjacielskich okrętów. Wtedy pozostałe dziewięć przestało zataczać koła i także ruszyło do celu.

— Czterdzieści minut do detonacji plazmowych, panie kapitanie — zameldował komputer.

— Bardzo dobrze. — McKee zamknął oczy i zdjął hełm. Położył go na pulpicie. Powrócił do rzeczywistości. Znowu znajdował się w przedziale sterowania swojego okrętu. Teraz dopiero poczuł zawroty głowy. Nie od symulowanego ruchu w nieistniejącej przestrzeni, ale od jego nagłego zatrzymania. Pomieszczenie zawirowało i kontradmirałowi zrobiło się niedobrze. Zacisnął powieki i złapał się z całych sił poręczy. Mdłości nie ustępowały. Zastanawiał się, czy nie założyć hełmu z powrotem, ale nie chciał sterczeć przez najbliższe czterdzieści minut w śmiesznym pudełku na głowie.

— Pod pulpitem ma pan butelkę wody, panie kapitanie — powiedział Judison, nie patrząc na Kelly'ego. — I tabletki przeciw zawrotom głowy.

McKee sięgnął po wodę, ale tabletek nie ruszył. W końcu zmusił się do otwarcia oczu.

— Jak było, sir? — usłyszał.

— Jak w parku rozrywki — odpowiedział.

Popatrzył na ekrany na suficie. Na prawym lewym widać było schemat ataku. Cele miały postać licznych rombów; przesuwały się ku nim elipsy torped. Na środkowym przednim ekranie widać było aktualny widok z kamery Predatora, krążącego wysoko na południe od flotyli.

— Cyclops, ile czasu do trafień? — spytał w którymś momencie kontradmirał.

— Osiem minut, panie kapitanie.

— W porządku; wachta, wzmóc czujność. Niedługo eksplodują torpedy. Ich obecność w każdej chwili może zostać wykryta. Być może pojawi się także nasz podwodny przyjaciel. Do pracy, panowie.

Gdzie ten Siewierodwińsk, do cholery? — pomyślał McKee, już nieco sfrustrowany.

— Szach — powiedział Nowskoj, przesuwając czarną wieżę na skraj szachownicy do rzędu, na którym stał król Graczowa.

Kapitan patrzył na pole gry.

— Prosto w zasadzkę — zauważył, osłaniając króla skoczkiem.

— Co pan powiedział? — spytał Aleksiej.

— Nic.

Nowskoj przyjrzał się szachownicy, po czym przesunął po skosie królową, ponownie zagrażając skoczkowi. Graczow zasłonił się królową.

— Co pan robi? Przegra pan — zdziwił się Aleksiej.

— Doprawdy? To byłoby trudne, zważywszy, że jest szach-mat — odpowiedział Paweł, po czym wstał i poszedł do przedziału sterowania. Uśmiechnął się przy tym nieznacznie.

Nowskoj, który pozostał w kapitańskiej kajucie, rozegrał w myśli pięć następnych ruchów i przegrał. Spróbował więc innego rozwiązania i znów przegrał po pięciu ruchach. Trzecia próba zakończyła się matem po czterech posunięciach. Przewrócił więc swojego króla i niezadowolony odszedł od stołu.

Tymczasem Graczow wspiął się po drabince, pogładził palcami zimny metal wodoszczelnej przegrody i wszedł do przedziału dowodzenia. Usłyszał basowy odgłos przewodów wentylacyjnych, wycie żyroskopu z szafki nawigacji bezwładnościowej oraz szum chłodzenia Drugiego Kapitana.

Stanął za pulpitem dowodzenia, wsadził ręce w kieszenie i kiwnął głową w stronę oficera pokładowego. Zaczął szukać na ekranie potrzebnych informacji. Pojawił się obraz nawigacji. „Wiepr” znajdował się sześćdziesiąt sześć kilometrów na północ od równika, dokładnie na dwudziestym piątym stopniu długości geograficznej zachodniej. Wcześniej okręt przepłynął wielkie półkole wokół wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych; następnie Paweł pokierował nim bardziej na wschód, tak aby do punktu spotkania dopłynąć dokładnie od północy. Prawdopodobnie dowódcy okrętów nawodnych zapowiedziano, że jeśli wykryją jednostkę podwodną zbliżającą się właśnie od tej strony, będzie to ich eskorta, a nie wróg.

Przyniesiono dzbanek z kawą oraz kubek Graczowa, ozdobiony godłem okrętu, głową dzika. Zaprojektował je osobiście Swiatosłow. Dzik — pomyślał Paweł. Tylko Michajło mógł nazwać taktyczny okręt podwodny „Dzikiem”. Uśmiechnął się. Każda przepłynięta mila zwiększała jego zdaniem prawdopodobieństwo, że wróca cało na Ukrainę.

To był dobry dzień — uznał Graczow, parząc usta gorącą kawą. Rozejrzył się z zadowoleniem po przedziale dowodzenia.

Wszedł Swiatosłow i także się rozejrzył.

— Co słyhać, panie Pierwszy? — spytał Paweł.

— Nic takiego. Przyszedłem tylko popatrzeć na mapę. Wolę to zrobić tu niż na ekranie telewizora w mojej kajucie.

— Tak jest lepiej — zgodził się Graczow. — Jak za dawnych, dobrych lasów.

Zupełnie nieoczekiwanie rozległ się donośny alarm Drugiego Kapitana.

— Co się stało?! — zwrócił się do komputera zdziwiony Paweł, patrząc pilnie na ekran zero. — Wyłącz ten alarm.

Dzwonienie elektronicznego dzwonka urwało się.

— Panie kapitanie, system wykrył prawdopodobną torpedę w wodzie. Przybliżony kierunek jeden zero jeden, duża odległość — zameldował Drugi Kapitan swoim pozbawionym akcentu i emocji głosem.

Na głównym ekranie pojawiło się niewiele więcej informacji. Pochylny nad nim Graczow myślał intensywnie. Tymczasem rozległy się kroki nadbiegających członków załogi.

— Oficer pokładowy, obsadzić stanowiska bojowe! — rozkazał Paweł. Postukał w ekran, domagając się schematu otoczenia okrętu, uzyskiwanego z sonarów. Pomocniczy ekran pierwszy informował o aktualnym stanie „Wiepria” i jego uzbrojenia, drugi — pokazywał nieprzetworzony obraz z sonarów, trzeci — przetworzone już informacje. Pozostałe mniejsze ekrany Graczow pozostawił do dyspozycji Drugiemu Kapitanowi, żeby pokazywał mu na nich to, co uzna za konieczne.

— Uwaga! — rzucił Paweł, kontrolując brzmienie własnego głosu.

— Słuchamy, panie kapitanie! — odparł Swiatosłow.

— Uwaga, przedział dowodzenia. Drugi Kapitan wykrył daleki odgłos torpedy, od wschodu. Nie wiemy, czy torpeda zmierza do naszej flotylli. Czekam na ustalenie przez system danych na temat jej położenia. Kiedy komputer uzgodni kierunek, zamierzam płynąć przez chwilę w jej stronę, aby uzyskać wstępną ocenę odległości. Wtedy wyrzucimy się powyżej bariery termicznej i przeanalizujemy sygnały z sonarów w warstwie powierzchniowej. Jeśli torpeda ma małe zanurzenie, stosunek natężenia sygnału do szumu wzrośnie. Jeśli nie — zmaleje. Będziemy też nasłuchiwać okrętu, który ją wystrzelił. Przypuszczam, że kiedy wzniesiemy się ponad barierę termiczną, zdołamy go wykryć. — Graczow poczuł ucisk w żołądku. Zdołają czy nie, sytuacja była fatalna.



— Drugi kapitan, przygotować wyrzutnie jeden do cztery. Torpedy Bora II. Zatopić wyrzutnie i otworzyć ich zewnętrzne pokrywy. Uruchomić torpedy w celu szybkiego odpalenia ich.

Całkiem możliwe, że torpeda zmierzała w stronę „Wiepria”. Pierwszym zadaniem było sprawdzenie, dokąd pocisk płynie i czy trzeba przed nim uciekać. Jeśli nie, to w kogo celuje. Trzeba też było ostrzec siły nawodne, żeby się rozproszyły i przyjęły szyk przeciwpodwodny.

Następna myśl była oczywista. Skoro w wodzie płynęła torpeda, to ktoś musiał ją wystrzelić, a było niezwykle mało prawdopodobne, że zrobił to samolot czy śmigłowiec. W tak bliskiej odległości od wyposażonych w dziesiątki radarów okrętów nawodnych zostałby z pewnością wykryty. Torpedę wystrzelił więc okręt podwodny. Na pewno amerykański, bo kto inny mógłby do nich strzelać? Musiał to być najlepszy okręt, jakim Amerykanie w tej chwili dysponowali. Graczow przypuszczał oczywiście, że możliwości tego okrętu są znacznie mniejsze niż SSNX-a, którego zatopił. Mimo to amerykańska jednostka zdołała prześlizgnąć się niepostrzeżenie aż tak blisko i oddać strzał. Trzeba było ją zniszczyć jak najszybciej. Paweł zastanawiał się, czy widać po nim, jak bardzo jest wstrząśnięty.

— Minimalna naprzód, panie kapitanie! — zameldował Tenuka ze stanowiska sterowania, przywołując dowódcę do rzeczywistości.

Graczow popatrzył na ekran zero. Torpeda znajdowała się na wschód od „Wiepria” w kierunku sto jeden i dalej płynęła na południe. Okręt Graczowa także płynął na południe i widać było, że tory obu obiektów mogą się przeciąć. Kurs nie był bezpieczny, ale Paweł postanowił dać komputerowi jeszcze chwilę na przeanalizowanie sytuacji. Za moment skręci na północny wschód i zobaczy, co zrobi torpeda.

— Drugi kapitan, podać prawdopodobieństwo spotkania — polecił.

— Prawdopodobieństwo spotkania pięćdziesiąt cztery procent — odpowiedział swoim bezbarwnym głosem komputer.

Wystarczy. Już powyżej trzydziestu procent ryzyko było zbyt wielkie. Paweł spojrział więc na Tenukę i zawołał:

— Pół naprzód, ster lewo na burt, ustabilizować kurs zero trzy zero! — Przy takim kursie „Wiepr” niemal natychmiast znajdzie się poza możliwym polem rażenia torpedy.

— Steruję w lewo, panie kapitanie, jest zero pięć zero, zero cztery zero...

— Jedna trzecia naprzód, prędkość dwanaście i pół węzła.

— Ustabilizowałem zero cztery zero, zwalniam obroty, prędkość trzynaście węzłów, maleje do dwunastu.

— Drugi kapitan, podać odległość do torpedy — polecił Graczow. Był to zbędny rozkaz, gdyż komputer zrobiłby to automatycznie. Paweł jednak poczuł się lepiej, wydając

go. Czekał na wyniki obliczeń całą minutę. Średni błąd standardowy zmalał z dwustu do osiemdziesięciu procent, potem do pięćdziesięciu. Gdy minęła druga minuta — do trzydziestu. To był już wynik nadający się do zameldowania. Drugi kapitan ogłosił uzyskane rezultaty, które jednocześnie ukazały się na ekranie: wroga torpeda płynie w odległości jedenastu mil morskich, z prędkością dwunastu węzłów. Kurs torpedy wynosił jakoby sto sześćdziesiąt pięć stopni, co było nader dziwne.

— Załoga, przygotować się do przekroczenia warstwy termicznej — polecił kapitan.

— Oficer sterowania, zmniejszyć zanurzenie do trzydziestu metrów!

— Podnoszę do trzydziestu metrów, panie kapitanie — zameldował Tenuka.

— Bardzo dobrze. — Graczow czekał, obserwując na jednym z ekranów wynurzenie „Wiepria”. Na głębokości sześćdziesięciu dwóch metrów dziobowy sonar przeszedł przez barierę termiczną i stosunek natężenia odgłosów torpedy do szumu wyniósł zero, czyli torpeda znikła.

— Zanurzać okręt! — zawołał Graczow. — Z powrotem na trzysta merów! Stromo!

Tenuka popchnął drążek, a nachylenie pokładu zmieniło kierunek. System z powrotem wychwycił odgłosy torpedy.

— Drugi kapitan, nie ma żadnych danych na temat tego cholernego okrętu, który wystrzelił torpedę?!

— Nie, panie kapitanie.

— Prześledź morze po szlaku torpedy, za jej rufą. Jaki jest odwrotny kierunek do jeden sześć pięć? Trzy cztery pięć! Zbadaj go więc i sprawdź, co masz.

— Nadal nic, panie kapitanie.

— Są jakieś inne torpedy?

— Nie, panie kapitanie.

— Dokąd ona płynie? — spytał Graczow ciszej, sam do siebie. — Kieruje się na południowy wschód. Nasza flotylla znajduje się dwadzieścia trzy kilometry na południowy zachód od niej. Jeśli atakuje nasze okręty, to czemu płynie w złą stronę?

Swiatosłow stanął koło Pawła i patrzył na główny ekran.

— Panie kapitanie — ta torpeda nie celuje ani w nas, ani w naszą flotyllę nawodną — stwierdził.

— Niech pan poczeka. Coś mi się tu nie podoba. Drugi kapitan, obliczyć prawdopodobieństwo spotkania tej torpedy z flotyllą nawodną.

— Zero przecinek zero, panie kapitanie.

— Mniejsze już nie może być — zauważył Nowskoj.

— Obliczyć kurs i prędkość torpedy potrzebne do spotkania z najbardziej na wschód wysuniętym okrętem naszej flotylli — rozkazał Graczow.

— Kurs jeden siedem osiem, prędkość czterdzieści dziewięć węzłów, panie kapitanie.

— Dlaczego ta torpeda wlecze się na południowy wschód, zamiast grzać jak najszybciej na południe?! — irytował się Paweł.

— Ona nie płynie na południowy wschód, tylko na wschód — poprawił Swiatosłow.

— Właściwie, teraz na północny wschód.

— Słucham?!

— Torpeda zatacza koło, panie kapitanie — stwierdził Michajło.

— Cholera! Skoro nieprzyjacielski pocisk krążył, okręt, który go wystrzelił, nie znajdował się za nim, tylko nie wiadomo gdzie.

— Drugi kapitan, jesteś w stanie sklasyfikować torpedę? Czy została odpalona ze śmigłowca? — spytał Graczow.

— Nie mogę sklasyfikować, panie kapitanie.

— Zanurzenie torpedy?

— Poniżej warstwy termicznej, panie kapitanie.

— Panie kapitanie, może lepiej oddalmy się od tej torpedy — zalecił Swiatosłow.

— Jeśli krąży, to może w końcu zawrócić i usłyszeć nas.

— Czy zacieśniamy koło?

— Nie. Ale ciągle płyniemy na zero trzy zero, oddalając się od flotylli.

— Sterowanie, ster prawo na burt; ustabilizować kurs dwa jeden zero, czterdzieści procent naprzód.

— Czterdzieści procent, okręt skręca w prawo, mija zero cztery zero.

— Pomiąć meldunki.

— I co teraz robimy, panie kapitanie? — spytał cicho Michajło. Uniósł mikrofon i nachylił się do ucha dowódcy, żeby inni nie słyszeli.

— Będziemy pływać tam i z powrotem, aż usłyszymy coś więcej.

Czy nie powinniśmy ostrzec flotylli? Poza tym, nie znajdujemy się w bezpiecznym położeniu.

— Jeśli wynurzę się na głębokość peryskopową i nadam ostrzeżenie, stracimy torpedę z oczu z powodu przekroczenia warstwy termicznej. Nie mogę ryzykować.

— Ale flotylla ciągle manewruje po kwadracie. Za dziesięć minut skręca na zero cztery zero. Prosto ku sensorom torpedy. Proszę spojrzeć. W tej chwili znajdują się dwaście i pół mili od najbliższego od nich punktu kręgu, po którym porusza się torpeda. Jednak kiedy skręca na północny wschód, zbliżą się do toru torpedy na odległość siedmiu mil. To prawie dwa razy mniej. Torpeda usłyszy nagły wzrost poziomu sygnału w stosunku do szumu. Bardzo silny wzrost, panie kapitanie.

— Ma pan słuszość — zdecydował Graczow. — Załoga — uwaga! Wynurzymy się i ostrzeżemy naszą flotyllę. Wynurzenie będzie szybkie, transmisja szybka i zanurzenie szybkie. Zrozumiano? Tenuka — przygotować nadajniki. Pierwszy, proszę napisać ostrzeżenie, zakodować je i przygotować do wysłania w czterech pasmach wysokiej

częstotliwości. Niech pan napisze, że jest zagrożenie ze strony torpedy od północnego wschodu. Niech natychmiast się rozproszą i uciekają na południowy wschód, ewentualnie prostopadle do przedłużenia kierunku ruchu torpedy. Zrozumiano?

Swiatosłow wściekle stukał w klawisze, przytakując.

— Już, panie kapitanie.

Paweł przeczytał szybko wiadomość.

— Dobrze. — Gotów?! — zawołał. Zobaczył, że Nowskoj stoi obok niego, zachowując wprost lodowaty spokój. — Niech pan się przytrzyma Aleksieju, bo będzie ostra jazda — poradził. Konsultant złapał się poręczy. Graczow zerknął jeszcze raz na ekran zero, po czym zawołał:

— Drugi kapitan, wykonać awaryjne podniesienie masztu z wieloczęstotliwościową anteną!

Pokład niemal natychmiast pochylił się ku górze. W ciągu sekundy zrobił się bardziej stromy niż schody. Zadrżał, gdyż śruba zaczęła pracować z mocą nominalną. Turbiny rozkręciły się i ryknęły, a potem zaczęły wyć. Hałas w maszynowni wzrósł trzykrotnie.

Graczow, Swiatosłow i Nowskoj praktycznie wisieli na poręczy, podczas gdy „Wiepr” wznosił się o ćwierć kilometra. Dotarcie na głębokość peryskopową zajęło mu niecałą minutę. Dopiero co gwałtownie przyspieszał, teraz szybko zwalniał. Drugi Kapitan sterował opornikami, zmniejszając prąd dopływający do turbin, a potem zamienił jego bieguny. W ciągu czterech sekund śruba wyhamowała z maksymalnych obrotów i rozkręciła się do maksymalnych obrotów w przeciwną stronę. Pokład zatrzęsł się gwałtownie. Po kilku sekundach wstrząsy ustały, gdyż komputer ujął mocy, i okręt nagle powrócił do poziomu. Graczow czuł leciutkie kołysanie z powodu przetaczających się w górze fal. Drugi Kapitan utrzymywał teraz głębokość peryskopową i minimalną prędkość, aby antena nie urwała się.

W chwili ustabilizowania się okrętu od razu wysunął się maszt anteny, Po wynurzeniu z wody antena zaczęła nadawać.

— Jak długo tu zostajemy, panie kapitanie? — spytał Michajło.

— Zobaczymy — odparł Graczow. — Dobrze by było dostać od flotyli jakaś odpowiedź. Ciekaw też jestem, co słyhać ponad barierą termiczną. Drugi Status transmisji?

— Nadajemy na wszystkich częstotliwościach, panie kapitanie.

— Co wykrywa sonar?

— Nic poza szumem, panie kapitanie.

— Załoga, uwaga. Pozostaniemy tu do czasu otrzymania odpowiedzi od naszych okrętów, nie dłużej niż dziesięć minut. Jeśli okręty nawodne nie odbiorą transmisji nadawanej na wszystkich pasmach, poniosą tego konsekwencje. Następnie zanurzymy się w głębinę i zaczniemy krążyć wokół torpedy, w bezpiecznej odległości. Jednocześnie będziemy szukać okrętu, który ją wystrzelił.

Całkiem możliwe, pomyślał w duchu, że przez te dziesięć minut, kiedy „Wiepr” będzie tkwił głuchy tuż pod powierzchnią, sytuacja się rozwinie i po zejściu w głębinę stwierdzą, że wszystko wygląda inaczej, niż planowali.



Pierwszy oficer Kiethan Judison stojący w pomieszczeniu dowodzenia okrętu podwodnego znajdującego się trzydzieści dwie mile na północny wschód od „Wiepria” skontrolował wyświetlaną na stole mapę i popatrzył na McKee.

— Czas się szykować, kapitanie.

Kelly pokiwał głową i założył rękawicę sterowniczą oraz hełm.

Otworzywszy oczy, zobaczył pomieszczenie dowodzenia niemal takie samo, jak bez hełmu. Tylko kiedy odwracał głowę, obserwował dziwny efekt. Wszystko widział tak, jakby odstęp pomiędzy jego źrenicami wynosił trzydzieści centymetrów zamiast kilku. Judison zamknął się w jednej z kabin projektorów. McKee został sam w otwartej części pomieszczenia. Przełączył hełm na obraz z Cyclopsa.

Znów znalazł się na pokładzie okrętu zabawki, zanurzonego w czystej wodzie. Na południe od siebie widział pomarańczowe ślady torped. Dziewięć krążyło, dziesiąta właśnie do nich dołączyła. Po chwili wszystkie skrzyły i ruszyły w stronę grupy bojowej nieprzyjaciela.

McKee uniósł rękę i momentalnie wzniosł się ponad wodę. Zobaczył na horyzoncie ukraińskie okręty. Zamrugał i na morzu pojawił się zabarwiony na czerwono szlak, po którym przemieszczała się ostatnio flotylla. Wciąż pływała po rombie, a w tym momencie znajdowała się w środku jednego z boków. Dla Kelly’ego mila morska miała w tej chwili wymiar, mniej więcej, trzech metrów. Czuł się trochę tak, jak gdyby siedział na koszu do koszykówki i patrzył z góry na boisko, zastawione modelami.

Torpedy płynęły wachlarzem o szerokości około pięciu mil. Wszystkie kierowały się na południowy zachód, w stronę konwoju. Atak przebiegał rutynowo. Kontradmirał pomyślał, że dobrze idzie, ale zaraz rozłóścił się sam na siebie. Przecież rozgrywała się dopiero faza wstępna. Najważniejszego przeciwnika — Siewierodwińska — wciąż nie było widać ani słychać. McKee rozkazał wcześniej Bloodhoundowi co dziesięć minut podpływać ostrożnie na pół minuty ponad barierę termiczną. Była to jednak właściwie strata czasu. Okręty flotylli młóciły zawzięcie ocean swoimi kawitującymi śrubami i wytwarzały w warstwie powierzchniowej tyle hałasu, że zagłuszały wszystko w dużej części przestrzeni bitewnej.

Jednak tym razem, gdy zwiadowczy okręcik wypłynął ponad warstwę termiczną, usłyszał poprzez odgłosy ciężkich, obracających się maszyn inny jeszcze dźwięk, wydawany przez obiekt poruszający się w wodzie. Pokładowy procesor pojazdu zalały nowe

informacje, które kilka sekund później, po przetworzeniu, pojawiły się przed oczami kontradmirała. Zobaczył pulsującą z pozycji Bloodhonda czerwoną strzałkę, wskazującą na razie tylko kierunek podejrzanego odgłosu. Wykryty obiekt znajdował się na południowy zachód od „Hammerheada”, lecz na północ od płynących również na południowy zachód torped.

— Grupa ogniowa, uwaga! Bloodhound wykrył jakiś obiekt powyżej granicy termicznej! — powiedział Kelly. Na razie mam kierunek; obiekt płynie na północny zachód od Bloodhonda. Trzeba natychmiast zanalizować ruch celu, utrzymując Bloodhonda przez jakiś czas powyżej akustycznej bariery. Sami także musimy wypłynąć ponad nią. Wykonać. Pilot, ster lewo na burt, cała naprzód, ustabilizować kurs na zachód. Głębokość czterdzieści metrów, ostry kąt!

Pierwszy pilot potwierdził rozkazy, po czym pokład pochylił się w górę pod kątem dwudziestu stopni. Okręt podpłynął i wypoziomował.

— Głębokość czterdzieści, stabilny kurs zachód, cała naprzód, sir.

— Pilot, cała stop, podaj prędkość cztery węzły.

— Jest, cała stop, pilot. „Hammerhead” sunął teraz na zachód.

— Sonar, tu kapitan, jesteśmy ponad granicą termiczną. Czy widzicie w projektorze obraz Bloodhonda i wykryty obiekt na północny zachód od niego?

— Tu sonar, kapitanie, tak, mamy strzałkę, kierunek dwa sześć osiem, obiekt odległy. Zaraz powinien pojawić się w pana hełmie — odpowiedział Cook w słuchawkach Kelly’ego.

Spod jego nóg od miniaturowej „Hammerheada” wystrzelił jakby czerwony promyk lasera. Migająca strzałka przedłużyła się, a na przecięciu obu linii pojawił się pulsujący, purpurowy romb — system wyliczył metodą triangulacji pozycję wykrytego, zanurzonego obiektu.

— Sonar, tu kapitan, oznaczam zanurzony obiekt jako cel dwadzieścia sześć. Proszę wprowadzić.

— Tak jest, panie kapitanie, sonar. Dwadzieścia sześć jest napędzany osłoniętą śrubą wielołopatkową, kręcącą się z prędkością trzydziestu obrotów na minutę. To nie jest okręt amerykański ani aliancki. Możliwe, że to rosyjski kadłub czwartej generacji. Płynie na małej głębokości, powyżej bariery akustycznej. Sygnał wskazuje na możliwość, że dwadzieścia sześć znajduje się na głębokości peryskopowej...

— Kapitanie, jest maleńki kilwater w miejscu wykrycia obiektu — wtrącił Judison.

— To musi być peryskop lub masz. Na pewno głębokość peryskopowa!

— Wprowadzić dane, wyrzutnie jeden, dwa i cztery, torpedy Alert/Acute, cel dwadzieścia sześć, duża prędkość, pasywne naprowadzanie, umożliwić sterowanie przewodowe. Meldować! — rozkazał Kelly.

Przeniósł swój punkt widzenia na kamerę Predatora i nacelował ją na współrzędne wykrytego obiektu. Zobaczył pomiędzy niebieskimi, nieznacznie spienionymi falami wystający z wody słup.

Wydał komendę za pośrednictwem rękawicy i pojawiła się przed nim tabliczka ze statusem uzbrojenia i wyrzutni. W wyrzutniach znajdowały się już gotowe do strzału torpedy. Wprowadzono nawet do ich pamięci trajektorię ruchu. W międzyczasie ustalono także, że wykryty obiekt to okręt klasy Siewierodwińsk. Nie było się nad czym zastanawiać. Kontradmiral Kelly McKee miał wypełnić powierzone mu zadanie. Po to tu przyплыли.

— Okręt gotów! — zameldował Dietz.

— Wyrzutnie jeden, dwa, cztery i torpedy gotowe! — rzucił Van Dyne.

— Trajektorie wprowadzone! — Judison.

— Cyclops gotowy! — komputer.

— Strzelać w ustalonym kierunku! — rozkazał McKee.

— Odbezpieczam.

— Cyclops w pogotowiu.

— Ognia!

— Ognia!

Pokład zatrzęsł się, gdy z „Hammerheada” wyleciała ciężka torpeda.

— Torpeda jeden wystrzelona — zameldował Cyclops.

— Mostek, tu sonar, jedynka wystrzelona, wszystko w porządku. Pokładem znowu szarpnęło i ponownie rozległ się łoskot.

— Mostek, sonar, dwójka poszła, w porządku.

Trzecia torpeda także ruszyła bez przeszkód. Wkrótce wszystkie trzy zmierzały ku Siewierodwińskowi.

— Możemy niedługo wracać do domu... — mruknął McKee.

★ ★ ★

— Panie kapitanie, czy flotylla nadała jakiś sygnał? — spytał Swiatosłow.

— Nic — odpowiedział Graczow zza pulpitu dowodzenia.

— Nadajemy już osiem minut. Kapitanie, naprawdę powinniśmy zanurzyć się z powrotem i zobaczyć, co z tymi torpedami.

— Ma pan rację. Sterowanie, opuścić maszty, głębokość trzysta metrów, kąt dziesięć stopni w dół! Ster prawo na burt, ustabilizować kurs zero sześć zero, czterdzieści procent naprzód. Na trzystu metrach powrócić do trzydziestu obrotów.

Paweł czekał niecierpliwie, aż okręt przeniknie barierę akustyczną i wyrówna. Popatrzył na ekran numer dwa i oczy wyszły mu z orbit. Torpeda, którą namierzyli, nie

krażyła już i znajdowała się o parę mil dalej na południowy zachód. Co gorsza, pojawiło się chyba z dziesięć nowych i wszystkie sunęły ku ukraińskiej floty! Ale najbardziej przerażające było to, że od wschodu, daleko na północ od grupy torped atakujących okręty nawodne, nadciągała jeszcze jedna torpeda, wymierzona prosto w „Wiepria”!!!

— Torpeda!!! — krzyknął Graczow zduszonym głosem.

— Cztery torpedy w wodzie, panie kapitanie — zabrzmiał jednocześnie beznamiętny meldunek Drugiego Kapitana. — Kierunek zero osiem osiem, zero osiem siedem.

— Drugi, strzelać natychmiast Bora II z jeden i trzy, na wschód, średnia prędkość! Wyrzutnie dwa i cztery na automat! Sterowanie, naprzód, sto osiemdziesiąt procent mocy! Zanurzenie sześćset metrów, ster lewo na burt, ustabilizować trzy zero zero stopni!

Rozkazy, choć nerwowe, były szybkie, zdecydowane i trafne. „Wiepr” zakręcił na północny zachód i zanurzył się na maksymalną niemal dopuszczalną głębokość. W międzyczasie, gdy mijał kierunek północny, z wyrzutni numer jeden wyleciała torpeda Bora II. Kiedy stabilizował kurs, odpalona została torpeda z wyrzutni numer trzy. Musiała wykonać półkole, żeby obrać kierunek wschodni, w związku z tym miała do pokonania znacznie dłuższą drogę niż jedynka.

Po ustabilizowaniu kursu okrętu komputer odciął przewody łączące go z torpedami, zamknął pokrywy wyrzutni, wypompował z nich wodę, otworzył pokrywy wyrzutni drugiej i czwartej i strzelił kolejnymi dwoma torpedami. Pokład zaczął wibrować, gdyż przyspieszenie przekroczyło normalnie stosowane prędkości. Moc reaktora była wyższa od znamionowej o osiemdziesiąt procent i osiągnęła maksymalne możliwe nasilenie. Niemal dwukrotny wzrost mocy oznaczał jednak zwiększenie prędkości okrętu niewiele ponad maksymalną, wynoszącą czterdzieści dwa i pół węzła. Jeśli uzyskają jeszcze z osiem węzłów, będzie bardzo dobrze. Tak wysoka prędkość pod wodą oznaczała olbrzymie nasilenie oporów ruchu, gdyż rosną one w stosunku kwadratowym do prędkości. Znaczy to, że aby płynąć dwa razy szybciej, „Wiepr” musiałby mieć cztery razy taką moc. A nawet jeszcze większą, gdyż rosły straty energii związane z napędem wszystkich urządzeń pomocniczych — szybkich pomp cyrkulacyjnych, z których każda miała rozmiary ciężarówki, klimatyzacji i chłodzenia oraz pomp napędzanych parą. „Wiepr” przyspieszy więc o dziesięć, piętnaście procent w porównaniu do prędkości maksymalnej.

W ciągu następnych dwóch sekund wyrzutnie trzy i cztery były gotowe. Drugi Kapitan dokonał odpalenia.

W kierunku, z którego nadchodziły nieprzyjacielskie pociski, mknęły teraz cztery torpedy „Wiepria”.

Serce w piersi Graczowa tłukło się jak oszalałe. Bał się, że nie zdoła z siebie wydusić ani słowa. Posłał Swiatosłowowi spojrzenie tak twarde, na jakie potrafił się zdo-



być, ale pierwszy oficer zniknął w jednej z kabin projektorów rzeczywistości wirtualnej. Pozostawił jednak otwarte drzwi, by móc w każdej chwili zdjąć okulary i nawiązać kontakt wzrokowy ze swoim kapitanem. Właśnie odwrócił głowę w stronę Pawła i napotkał jego surowe spojrzenie. Pokiwał głową.

Kapitan „Wiepria” wsadził ręce w kieszenie. Oczywiście, jeśli nieprzyjacielskie torpedy się zbliżą, zawsze mógł się ewakuować wraz z całym przedziałem dowodzenia. Jednak w tym czasie grupa bojowa Floty Czarnomorskiej zdąży już się zamienić w kupę złomu. Zerknął na Nowskoję, który nachylał się nad stołem do wyświetlania map, na nim obserwując ruch wszystkich torped.

Kim był ten, kto wślizgnął się tu zuchwale i podstępnie i wystrzelił dziesięć torped przeciwko ukraińskiej flotyli, która na razie nie zrobiła nikomu nic złego? Kto zaatakował „Wiepria”?

Prawdopodobnie cel zygzakuje, panie kapitanie — zameldował Cyclops. Rzeczywiście, widać było w wirtualnej przestrzeni, że znajdujący się w dole Siewierodwińsk manewruje gwałtownie. — Częstotliwość sygnału celu zmalała. Zakręcił. Zwiększył prędkość. Szacunkowa prędkość celu dwadzieścia sześć — trzydzieści dwa węzły, trzydzieści pięć. Wzrasta.

— Grupa ogniowa, uwaga! Cel dwadzieścia sześć ucieka. Zamierzam przygotować salwę z Vorteksów...

— Torpeda, panie kapitanie — przerwał beznamyślnie Cyclops. — Dwie torpedy. Obie z kierunku celu dwadzieścia sześć. Obie mają wysoką prędkość ataku...

— Cyclops, milczeć! — rozkazał McKee. Komputer mówił zbyt wolno. Kelly nie zaprogramował go na szybkie wyrzucanie z siebie informacji w sytuacji zagrożenia. Sądził, że wzmogłoby to niepokój załogi, lecz teraz uznał to za błąd. Powolne raporty komputera irytowały wszystkich. Widać było wyraźnie, że Siewierodwińsk skręca na północ. System obrazowania akustycznego pokazywał również torpedy. Kelly żałował, że nie osadził Sharkey'a po tej stronie ukraińskiej flotyli. Jego anteny znajdowały się na tyle daleko, że triangulacja do celu dwadzieścia sześć była niezbyt precyzyjna i jej dokładność malała. Nie było jednak czasu na rozważania, gdyż ku „Hammerheadowi” mknęły dwie torpedy. Nieprzyjacielski kapitan musiał odpalić je w kierunku, z którego nadchodziły wystrzelone ku niemu pociski.

Kelly chciał już wydać rozkaz wykonania skrętu na wschód i ucieczki, jednak zdał sobie sprawę, że straci wtedy z oczu obraz sytuacji. Jeśli maszyny „Hammerheada” zaczęły głośno pracować, a będą się znajdować pomiędzy antenami systemu obrazowania pola akustycznego a Siewierodwińskiem, NSSN straci go z pola widzenia. Ucieczka przed wrogimi torpedami była może i mądrym posunięciem, jednak McKee po prostu musiał wiedzieć, co robi nieprzyjaciel. Jeśli Siewierodwińsk zdołałby jakimś cudem uniknąć ciosów torped „Hammerheada”, mógłby odpłynąć i zniknąć, zmuszając ich do nowych poszukiwań. A wreszcie, McKee nie po to dotarł aż tutaj śladami zabójcy ludzi z „Princess Dragon” i „Devilfisha”, żeby teraz podwinąć ogon i uciekać.

Uświadomił sobie, że „Hammerhead” ciągle płynie na jednej trzeciej naprzód, z prędkością pięciu węzłów. Należało zatrzymać okręt, żeby maksymalnie go wyciszyć i nie powodować efektu Dopplera. Kiedy aktywny sonar wysyła impulsy dźwiękowe, powracają one do niego odbite od celu z nieco zwiększoną częstotliwością, jeśli ów cel zbliża się. Jeśli natomiast namierzany okręt stoi, impulsy aktywnego sonaru dopplerowskiego odbijają się od niego z taką samą częstotliwością jak od otaczających go fal. Mogło się nawet zdarzyć, że sygnały sonarów torped Siewierodwińska, natrafiwszy na nieruchomy kadłub „Hammerheada”, ulegną takim zakłóceniom, że ich układy naprowadzania „zglupieją” i torpedy nie będą wiedziały, dokąd płynąć.

— Pilot, cała stop! — zawołał więc McKee. Cieszył się, że nie widzi twarzy swoich oficerów. Z pewnością byli przerażeni. Standardowa procedura w takich przypadkach polegała na zawróceniu i ucieczce przed torpedą na dwustu procentach mocy. Zamiast tego kapitan NSSN-a postanowił czekać z rękami w kieszeniach na zbliżające się wrogie pociski. Mogło to być odebrane jako zamiary samobójcze.

— Pilot, stać na tej głębokości, maksymalne wyciszenie, wyłączyć reaktor.

Jeśli zatrzymanie się było błędem, to wyłączenie reaktora, a co za tym idzie wszystkich pomp, było błędem nie do naprawienia. Ponowne uzyskanie pełnej mocy musiało zająć całe minuty. Minuty, które mogły kosztować życie załogi. A jednak wyłączenie reaktora było sensowne, gdyż wyciszy okręt.

— Stoimy, sir, reaktor pracuje na obiegu naturalnym.

— Panie kapitanie? — odezwał się Judison. — Powinniśmy uciekać...

— Nie, „Hammerhead” będzie stał i walczył. Van Dyne, przygotować do odpalenia Dobermana z wyrzutni trzeciej. XO, do projektora. Pokierować Dobermanem do nieprzyjacielskich torped.

— Mistrzowie stanu w grze w pchełki, wiem — odparł Judison. — Pędzę do projektora numer dwa, ale chciałbym, żeby Dietz usiadł w trójce, sir.

Może mi pomóc.

— Świetnie. Pilot?

McKee wciąż żądał raportów. Tak było zawsze, chociaż wyćwiczony operator systemu Cyclops mógł szybciej uzyskać wszystkie informacje za pośrednictwem komputera. Kelly jednak, mimo że potrafił sprawnie posługiwać się systemem, wolał dowiadywać się tego, co ważne, od załogi i jej wydawać rozkazy, nie komputerowi. To działało na ludzi mobilizująco.

— Reaktor na obiegu naturalnym, sir. Zachowujemy głębokość za pomocą zbiorników równoważących — zameldował pilot.

— Bardzo dobrze. Van Dyne?

— Ładuję Dobermany do wyrzutni jeden, dwa i cztery. Pokrywa wyrzutni trzeciej otwarta, Doberman gotów.

— Pierwszy, odpalić Dobermana, kiedy gotów. I zniszczyć te cholerne torpedy. Gdy wyrzutnie jeden, dwa i cztery będą gotowe, wystrzelić drugiego Dobermana; pan i Dietz będziecie nim kierować. Dwa pozostałe niech czekają w wyrzutniach jako rezerwa.

— Tak jest, sir.

— Van Dyne, przygotować wyrzutnie pionowe dziewięć do dwanaście do natychmiastowego odpalenia Vorteksów.

— Panie kapitanie, stoimy zbyt płytko! Musimy znajdować się co najmniej na dwustu czterdziestu metrach, żeby...

— Pilot, zwiększyć zanurzenie do dwustu siedemdziesięciu metrów!

— Zanurzam na dwieście siedemdziesiąt, sir!

— Otwieram pokrywy wyrzutni pionowych dziewięć do dwanaście!

— Grupa ogniowa, uwaga! — zawołał McKee do mikrofonu. — Będziemy strzelać do zbliżających się torped Dobermanami, a potem pošlemy w tego sukinsyna drugą salwę, tym razem z Vorteksów. Do roboty!

Zapanowała długa nieznośna cisza. Kelly'emu przemknęło przez myśl, że mogą nie wyjść z tej bitwy cało. Głębokie zanurzenie okrętu nie zwiększało bynajmniej szans przeżycia załogi. Pod nimi były jeszcze zresztą trzy mile wody w pionie. Jeśli razem z Judisonem i Dietzem nie zdołają wyprowadzić „Hammerheada” z opałów, ich doczesne szczątki spoczną niedługo tam, na skałach, w bezkresnej głębinie o nieludzkim ciśnieniu.

— Panie kapitanie, głębokość dwieście siedemdziesiąt metrów! — zameldował pilot.

— Bardzo dobrze.

— Sir, torpedo-rakiety Vortex Mod Delta załadowane do wyrzutni dziewięć do dwanaście, wyrzutnie zalane, proszę o zgodę na otwarcie ich pokryw.

— Otworzyć pokrywy, strzelać, kiedy gotów.

— Tak jest, torpedo-rakiety w wyrzutniach dziewięć do dwanaście wycelowane w cel dwadzieścia sześć, pokrywy otwierają się.

No szybciej, pomyślał Kelly, zniecierpliwiony. Pokład skoczył pod jego stopami, gdyż Judison odpalił Dobermana. Po następnej minucie ruszył drugi Doberman. Zaraz potem rozległ się trzeci gwałtowny odgłos, choć dużo cichszy i dochodzący z większej odległości.

— Dziewiątka wystrzeliła — zameldował Van Dyne.

— Bardzo dobrze.

W przestrzeni bitewnej oglądanej przez kontradmirała pojawiły się nowe pociski i ciągnące się za nimi kolorowe smugi. Pozostawało czekać. Postanowił więc sprawdzić, co z torpedami, które posłał ku flotylli nawodnej. Ku swojemu zdumieniu zobaczył, że okręty rozproszyły się, uciekając przeważnie na południe lub południowy zachód. Najwyraźniej Siewierodwińsk zdołał je ostrzec, wynurzywszy się na głębokość perysko-

pową. Kelly zamrugał i pojawiły się przed nim tabliczki z informacjami dotyczącymi torped. Będą płynęły dłużej, niż zakładali. Powinny już właśnie uderzać w nieprzyjaciela, jednak jego okręty nie wykonały przewidzianych dwóch zakrętów po obwodzie rombu. Czujniki torped nie tracą jednak celów z oczu i będą się na nie kierować.

— Dziesiątka wystrzeliła — podał Van Dyne.

Tymczasem nieprzyjacielskie pociski były coraz bliżej. Najbliższy znajdował się w odległości około siedemnastu mil i płynął z prędkością czterdziestu pięciu węzłów. Czyli miał uderzyć za dwadzieścia dwie minuty. McKee nie mógł pozwolić Siewierodwińskowi na wystrzelenie kolejnych torped.

— Jedenastka poszła, sir.

— Bardzo dobrze.

Czy powinien wystrzelić cały swój arsenał? Jeśli jednak załaduje do wyrzutni kolejne Alert/Acute, Dietz i Judison nie będą mogli sterować przewodowo Dobermanami. Nie może do tego dopuścić. Co najwyżej użyje znowu wyrzutni pionowych. Czyli Vorteksów. Posłał już właśnie cztery i cztery mu pozostały. Nagle uruchomił się silnik raketowy pierwszej z torpedo-rakiet. Ruszyła gwałtownie do przodu, a jej ślad wyświetlany był w kolorze jaskrawobiałym.

— Dwunastka wystrzeliła, sir, dziewiątka odpaliła silnik raketowy.

— Bardzo dobrze. Uzbrojenie.

— Sir, Alert/Acute numer trzy wchodzi w końcową fazę przyspieszania — zameldował komputer.

McKee spojrział na południe. Zobaczył, że jeden z jego pocisków zbliża się już do fregaty, najwolniejszego okrętu ukraińskiej flotylli. Nie miał jednak czasu obserwować rezultatów ataku na nawodną grupę bojową. Tak jak zapowiedział, nie interesowała go teraz zupełnie.

— Cyclops, milczeć — polecił Kelly. Zamknij się, do cholery! — poprawił w myśli.

— Dziesiątka odpaliła silnik raketowy — zameldował Van Dyne.

— Pominąć meldunki! — warknął kontradmirał. Sam widzę! — pomyślał.

Dwie minuty później wszystkie cztery torpedo-rakiety z głowicami plazmowymi mknęły do celu. Miało im to zająć zaledwie cztery minuty i trzydzieści sześć sekund; potem ukraiński kapitan nie będzie mógł już nic zrobić.

Od południa rozległ się ryk pierwszej detonacji plazmowej. Fregata rozpadła się na kawałki, a jej załoga znalazła śmierć w falach oceanu. Tego ranka miało zginąć jeszcze wielu marynarzy i oficerów.



— Szybciej, szykować wyrzutnie jeden do cztery! Musimy wystrzelić na cel więcej torped! — wołał Graczow. Kontratak okazał się bardzo słaby. „Wiepr” przegrywał bitwę. Wystrzelił tylko cztery torpedy, podczas gdy zgodnie ze standardami floty do tego czasu powinien był odpalić już dwanaście, po trzy razy z każdej wyrzutni. Takie wyniki osiągnano podczas ćwiczeń. Nie było jednak czasu zastanawiać się nad przyczynami opóźnienia. Z powodu korozji lub innych przyczyn przewody, którymi przepływała woda wypompowywana z wyrzutni, były zatkane. Komputer musiał dłużej czekać na ich ponowne ładowanie.

— Panie Pierwszy, co mówi Drugi Kapitan na temat odległości torped nieprzyjaciela?

— Wynik jest bardzo niepewny. Nie ma to jak system obrazowania pola akustycznego...

— Żałuje pan, że nie jesteśmy na tyle płytko, żeby wypuścić Szczukę, co?

— Ano, najbliższa torpeda jest około ośmiu mil od nas. W ciągu ostatniej minuty wystrzelili cztery nowe.

— Jeszcze cztery?!

— Tak jest, panie kapitanie!

Na ekranach dwa i trzy pojawiła się szeroka smuga. Była coraz bliżej. Graczow gapił się na nią. Zauważył, że obok stoi Nowskoj i też się przygląda.

— Drugi kapitan, meldować o nowych obiektach na zachodzie.

— Nowe obiekty to torpedy pięć do osiem, są głośniejsze, stosunek sygnał/szum przekracza czterdzieści pięć decybeli.

— Drugi, jest pan pewien, że to są torpedy?

— Panie kapitanie, analiza widma wskazuje na silniki raketowe na paliwo stałe!

— Silniki... raketowe...!!! — powtórzył z trudem Graczow.

— Obawiam się, że jesteśmy w bardzo poważnych kłopotach, panie kapitanie!

— Panie kapitanie — kontynuował tymczasem komputer — zanalizowałem prędkość zbliżania się nowych torped.

— Podaj.

— Torpedy pięć do osiem zbliżają się z prędkością trzystu węzłów.

— Ilu?!

— Trzystu węzłów — powtórzył komputer. — Pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę — przeliczył.

— Co?!!! — krzyknął Graczow, Co się dzieje z tym komputerem?! — pomyślał.

Drugi Kapitan zaczął powtarzać ostatni meldunek, uznając okrzyk Pawła za kolejne polecenie.

— To są podwodne rakiety — wyjaśnił Swiatosłow. — Płyną z prędkością trzystu węzłów. Naprowadzane na niebieski laser. Za kilka sekund wyprzedzą konwencjonalne torpedy i zaraz tu będą!

W ciągu następnych dziesięciu sekund Graczow przeżył więcej niż zwykle przez parę miesięcy. Nowskoj zachmurzył się. Paweł spojrział na główny ekran. Świeżo wystrzelone przez nieprzyjaciela podwodne rakiety wyprzedziły posłane uprzednio torpedy.

Drugi kapitan, obliczyć czas trafienia pierwszej raketowej torpedy! — zawołał.

— Panie kapitanie, czas trafienia pierwszej raketowej torpedy godzina dziewięta dwadzieścia siedem czasu miejscowego, czyli za siedemnaście sekund.

W następnej sekundzie trzydziestoczteroletni kapitan Marynarki Wojennej Ukrainy, dowódca jej najnowocześniejszego okrętu podwodnego, ojciec małego dziecka, zrozumiał, że za chwilę umrze. Że nie dożyje już trzydziestych piątych urodzin. Chociaż dla Martinique i małego Pawełka i tak już nie żył, rzeczywista śmierć wydała mu się tym okropniejsza. Nawet się z nimi nie pożegnał, kiedy Kołow i jego ludzie wyciągnęli go z domu po nocy.

Odepchnął Swiatosłowa i skoczył na stanowisko sterowania. Zerwał osłonę ręcznego katapultowania przedziału dowodzenia, gdzie znajdowała się tak zwana „dźwignia panikarza”.

Jedyna szansa na przeżycie części załogi „Wiepria”.

Paweł szarpnął za nią, otwierając kolejną osłonę. Ledwie usłyszał donośny odgłos alarmu. Kiedy pierwsza z osłon opadała jeszcze powoli na pokład, kapitan szarpnął za dźwignię numer trzy. Dziesięć ładunków wybuchowych odebrało w tym momencie elektryczny impuls. Ich eksplozje przerwały przewody łączące przedział dowodzenia z pierwszym. Zanim Graczow zdążył chwycić za najwyższą dźwignię, zapadła ciemność.

Szarpnął ją. W refleksach zapalającego się awaryjnego oświetlenia, niczym w błyskach stroboskopu, zobaczył znieruchomiałą jakby sylwetkę biegnącego Swiatosłowa.

Pociągnął za dźwignię numer jeden i podwójne włazy opadły gwałtownie niczym gilotyny, uszczelniając przedział. Zamknęły się także przewody dostarczające powietrze.

Wtedy Graczow pociągnął za środkową dźwignię, numer dwa. Wysłała impuls do sześćdziesięciu ładunków wybuchowych wbudowanych w stal i tytan szkieletu okrętu. Ich eksplozja miała oderwać przedział dowodzenia od reszty. Równocześnie prąd docierał do dwustu sworzni wybuchowych mocujących kioski, które zarazem puszczą, jak i odrzucą go na bok. Kolejny błysk światła pokazał Swiatosłowa o jakieś pół metra bliżej. Graczow sięgnął do najniższej, czwartej dźwigni. Uruchomiła silniki raketowe, które pociągnęły ze sobą przedział dowodzenia i oddały go od reszty „Wiepria”.

Szarpnąwszy za nią, kapitan zdążył jeszcze złapać się poręczy. Rozległa się potężna eksplozja. To zatrzasnęły się włazy i przegrody przewodów wentylacyjnych. Teraz nastąpiły wybuchy ładunków uruchomionych przez dźwignię numer dwa. Te przypominały raczej długi ryk niż zwykłą detonację.

Oświetlenie awaryjne mignęło znowu i pozostało zapalone. Swiatosłów był już niemal przy kapitanie, choć ten nadal nie rozumiał, o co mu chodzi. Nastąpiły teraz eksplozje sworzni wybuchowych. Rozległa się kanonada metalicznych brzęków, jak gdyby strzelano jednocześnie seriami z wielu karabinów maszynowych po metalowym korytarzu.

Następnego dźwięku Graczow nie spodziewał się. Był to straszliwy rumor, jakby waliło się naraz tysiąc budynków. Pawłowi zdawało się, że pękają mu bębunki, a z głowy tryska krew. Dopiero dziesięć sekund później uświadomił sobie, że była to eksplozja pierwszej z torped plazmowych, uderzających w okręty nawodne, które rozkazano mu chronić.

Paweł odruchowo puścił poręcz i unosił dłonie do uszu, gdy okrętem wstrząsnęła druga eksplozja plazmowa, a zaraz potem trzecia. Graczow zaczął opadać na pokład, kiedy uruchomiły się silniki raketowe wokół przedziału dowodzenia. Kapitan uśmiechnął się, czując, jak siła bezwładności przyciska go do pokładu. Ewakuacja przedziału zadziałała. A więc udało się. Triumfalny uśmiech zamarł, kiedy Paweł zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie odstrzelił przedział za późno. Zbyt długo zwlekał. Za moment pierwsza raketowa torpeda uderzy w „Wiepria”, a eksplozja jej plazmowej głowicy rozerwie również przedział dowodzenia, zabijając wszystkich.



Kiethan Judison już nie stał na pokładzie okrętu podwodnego „Hammerhead”. Wszystkie zmysły zapewniały go, że tkwi wewnątrz antytorpedy Mark 17 Doberman. Wokół niego śmigała woda, a przed Kiethanem pulsował wirtualny cel. To tylko kwestia odpowiedniego podejścia, pomyślał. Co z tego, że Dobermanowi brakuje sterowania komputerowego. Przecież skoro go dotąd nie stworzono, to znaczy, że w tej chwili sterowany komputerowo pocisk nie byłby skuteczny. Zamiast komputera sterował nim facet o nazwisku Kiethan Judison. Pierwszy oficer miał ochotę wydać kowbojski okrzyk radości, ale powstrzymał się. Mogło to zostać źle odebrane.

— Podaj status, XO — rzucił McKee.

— Zbliżam się do jedyńki, tej najbliższej — odpowiedział Judison. — Pożądany czas do wybuchu niecałe trzydzieści sekund.

— Odpal już, wcześniej! — rozkazał kontradmirał.

— Tak jest, odpalam Dobermana.

Kiethan wprowadził komendę detonacji głowicy, mimo że zbliżająca się z przeciwka torpeda była odległa jeszcze o milę. Dowódca „Hammerheada” polecił jednak rozsadzić Dobermana wcześniej.

Faktyczny Mark 17 Doberman znajdował się szesnaście mil na zachód od Judisona. Pokładowy procesor otrzymał właśnie przez światłowód sygnał aktywacji głowicy. Tymczasem daleko na południu rozległy się pierwsze eksplozje plazmowe — torpedy „Hammerheada” docierały do ukraińskiej flotyli nawodnej. Głowica antytorpedy Mark 17 zawierała gęsto upakowaną, misterną strukturę z włókna węglowego, owiniętą wokół ładunku wybuchowego. Umieszczono ją w komorze z ładunkami rozdzielającymi urządzenie na segmenty, ułożonymi wzdłuż czterech uszczelki. Na sygnał z procesora pokładowego ładunki wybuchły, rozrywając uszczelki i dzieląc tym samym głowicę na części. Natychmiast potem eksplodował wydłużony, jajowaty ładunek główny, odrzucając dalej części osłony i rozpraszając strukturę z włókna węglowego. Na koniec eksplodowały jeszcze kolejne, ukryte w niej drobne ładunki o powolnym przebiegu wybuchu. Właściwie były to raczej króciutko działające silniczki raketowe. Dzięki nim włókna

węglowe coraz bardziej rozprzestrzeniały się w wodzie. Chwilę później można było już stwierdzić, na czym polegał pomysł projektantów głowicy Dobermana. Gęsto upakowane w niej włókna zamieniły się w wielką, starannie utkaną sieć w kształcie talerza. Przypominała sieć pajęczą, rozciągniętą na drodze zbliżającej się torpedy.

Bora II nie miała aż tak czułych sensorów, żeby ją wykryć, toteż wpłynęła prosto w pułapkę. W wyniku uderzenia rozpędzonej, ciężkiej torpedy sieć ugięła się sprężyste, a następnie ugięła się coraz mocniej i mocniej, aż w końcu włókna węglowe osiągnęły granicę wytrzymałości na rozciąganie i pękły. Projektanci Dobermana najwyraźniej źle wyliczyli maksymalne siły powstające wewnątrz sieci przy wyhamowywaniu torpedy i okazała się ona za słaba.

Gdyby łopatki śruby pocisku zaplątały się w sieć, Bora II pewnie nie dopłynęłaby do „Hammerheada”. Ale nie zaplątały się. Mogłoby także wystarczyć nagłe odchylenie toru ruchu torpedy w którąkolwiek stronę o kąt przekraczający czterdzieści stopni. Wtedy żyroskopowy układ naprowadzania zostałby zbyt mocno wytrącony z równowagi i torpeda nie wiedziałaby już, którądy i dokąd ma płynąć. Tym razem sieć wychyliła Borę II tylko o dziesięć stopni, co dało się bez trudu skorygować. Po krótkim okresie utraty stabilności ruchu torpeda wyrównała, odnajdując ponownie cel, i podążyła dalej.

Judison, który znajdował się w pomieszczeniu dowodzenia „Hammerheada”, patrzył na to w osłupieniu.



Ładunki raketowe w podstawie przedziału dowodzenia „Wiepria” zaczęły się dopalać. Akurat kiedy gasły, pierwsza torpeda-rakieta uderzyła w znajdujący się jakieś dwieście metrów poniżej kadłub okrętu. Przedział dowodzenia wznosił się szybko w ciepłej warstwie powierzchniowej nie tylko dzięki silniczkom raketowym, ale również wyporności przestrzeni wypełnionych powietrzem, a także specjalnych balonów ze sprężonym azotem. Kiedy wybuchął pierwszy z Vorteksów, przedział dowodzenia zamieniony na kapsułę ratunkową znajdował się na głębokości zaledwie dwudziestu metrów. Fala uderzeniowa eksplozji dotarła do niego i obróciła o ponad czterdzieści stopni, ale wznosił się dalej, cały mimo straszliwego wstrząsu. Druga torpeda-rakieta wybuchła akurat, gdy przecinał spokojną wciąż powierzchnię wody. Kiedy eksplodował trzeci i czwarty Vortex, kapsuła podskakiwała już na falach.

Tymczasem pierwsza eksplozja zamieniła sześćdziesiąt procent kadłuba „Wiepria” w parę, rozbijając niskomagnetyczną stal węglową na pojedyncze cząsteczki żelaza i atomy węgla. Rozszerzająca się kula ognia stopiła dalsze pięćdziesiąt metrów kadłuba; wreszcie rozszarpała rufę, która pozostała w stanie stałym. Końcówka rufy zaczęła opadać na dno, ale odnalazł ją laser układu naprowadzania drugiej torpeda-rakiety, klasy-

fikując obiekt jako okręt. Vortex zamienił rufę „Wiepria” w małe słońce. Po chwili z całego okrętu podwodnego nie pozostało nic. Trzecia rakietą skierowała się już tylko na rozszerzającą się kulę gazów, którą też uznała za okręt. System naprowadzania Vorteksa miał jedną wadę — jeśli torpeda-rakiet została wprowadzona w błąd przez jakiś fałszywy cel i eksplodowała, następne również porzucały właściwy kierunek, skręcały i kierowały się na wybuch pierwszej. Jednak zmylenie Vorteksów Mod Delta było prawie niemożliwe. Po pięciu latach stosowania, podczas których zdarzały się fatalne niepowodzenia, ulepszone je tak, że trafiały bez pudła. Czwarta, ostatnia z torpedo-rakiet także skierowała się na poprzednie eksplozje i dopełniła dzieła zniszczenia. Żaden z czterech pocisków nie namierzył odłączonego przedziału dowodzenia znajdującego się zaledwie dwieście metrów wyżej.

Morze uspokoiło się w minutą po ostatniej detonacji. Właśnie nadpływały cztery torpedy wystrzelone przez „Hammerheada” wcześniej. Jednak ich pasywne sonary ogłuszone hałasem nie były w stanie wyodrębnić w wodzie niczego konkretnego. Gdy dziesięć minut później pierwsza z torped dopłynęła do obszaru eksplozji, okrążyła go. Procesor Alert/Acute miał wbudowane odpowiednie komendy, aby nie stał się bezużyteczny po ogłuszeniu. Nie można było pozwolić, żeby podczas bitwy pocisk zmarnował się lub skierował w niewiadomym kierunku. Założono, że wybuch głowicy Alert/Acute będzie dodatkową gwarancją zniszczenia okrętu nieprzyjaciela, gdyby udało mu się uniknąć bezpośredniego sąsiedztwa poprzedniej eksplozji plazmowej. Przeprowadzono szereg testów, z których wynikało, że pocisk z głowicą plazmową nie musi bezpośrednio trafić w cel. Detonacja w promieniu jednej mili morskiej wystarczała zwykle do sparaliżowania lub nawet zatopienia większości testowanych okrętów. Pierwsza Alert/Acute wybuchła więc, ponownie zamieniając w plazmę tę część oceanu, w której niedawno znajdował się „Wiepr”. Podobnie zachowała się druga, trzecia i czwarta torpeda. Osiem fal uderzeniowych szarpnęło gwałtownie pływającą powyżej kapsułą ratunkową. Każdy z fizyków z Los Alamos, wyposażony we wszystkie dane na temat sytuacji i poproszony o ocenę szans przeżycia zamkniętych w niej ludzi, pokręciłby tylko pesymistycznie głową.



Wewnątrz przedziału katastrofy następowały jedna po drugiej. Już dwie pierwsze eksplozje plazmowe pozbawiły przytomności wszystkich jego pasażerów. Trzeciej i czwartej nie zdołali więc zarejestrować. Przy piątej eksplozji nie wytrzymało serce nawigatora, porucznika Grigorija Tenuki, i przestało pracować.

Podczas wybuchów ciało Graczowa pozostawało wciśnięte pomiędzy kanapę stanowiska Tenuki a przegrodę, na której znajdowała się „dźwignia panikarza”. Oświetlenie

zgasło już przy pierwszej eksplozji. Pozostałe podrzucały pływającym na falach przedziałem dowodzenia, aż w końcu ocean uspokoił się. Jedynie powierzchnia wokół kapsuły bulgotała i kipiała jak gotująca się woda. Po dwudziestu minutach i ten odgłos przestał docierać do wnętrza przedziału. Teraz słyhać było tylko oddychanie tych, którzy przeżyli. Po jakimś czasie pojawił się jednak nowy dźwięk — szum wpływającej do środka wody.



Komandor porucznik Bryan Dietz próbował swoich możliwości, kierując Dobermana w stronę nadciągających torped.

— Nie odpalaj przedwcześnie! — usłyszał w słuchawkach polecenie kapitana. Bryan zarejestrował ze zdumieniem, że głos McKee brzmiał zdecydowanie, pewnie, spokojnie. To chyba cud! — ocenił w myśli oficer. W tej chwili potrzebny był jednak inny cud — zniszczenie zbliżających się torped. Wciąż płynęły wszystkie cztery, podczas gdy mieli już tylko trzy Dobermany. Z tego zresztą dwa — w wyrzutniach. Były gotowe, lecz Kelly zwlekał z ich wystrzeleniem.

Dietz widział przed sobą wirtualne torpedy. Na zawieszanej w przestrzeni tabliczce malały liczby oznaczające odległości od nich. Najbliższa była dwa tysiące sześćset metrów od Bryana, potem dwa tysiące dwieście, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt, bliżej, jeszcze bliżej. Gdy znalazła się w odległości czterystu metrów, oficer wysłał Dobermanowi sygnał odpalenia.

Podobnie jak w przypadku poprzedniej antytorpedy zewnętrzna powłoka głowicy rozpadła się na cztery części, a ze środka wystrzeliła kolistą sieć. Rozwinęła się, a gdy cyferki na tabliczce pokazały zero, Bora II wpadła w pułapkę.

Lecz i tym razem sieć Dobermana okazała się za słaba. Rozciągnięta do granic możliwości pękła. Torpeda nabrała z powrotem prędkości, a jej sonar z trudem odszukał cel.

— Torpedy ciągle płyną na nas, panie kapitanie! — skomentował z troską w głosie Judison.

— Dostyc tych Dobermanów! — rzucił McKee, ściągając z obrzydzeniem hełm. — Przygotujcie mi Vorteksy w wyrzutniach pionowych pięć do osiem. Uzbrojenie, zalać wyrzutnie pięć do osiem, otworzyć pokrywy i wprowadzić dane wirtualnych celów, które wskażę na ekranie!

Kelly przestawił ekran na widok z lotu ptaka, po czym dotknął kolejno palcem czterech punktów. Cyclops przekazał Van Dyne'owi współrzędne odpowiadających im torped. McKee zaprojektował w ten sposób rozkład eksplozji plazmowych w wodzie. Ich odległość od „Hammerheada” została przełożona na zaprogramowane opóźnienie czasowe eksplozji. Przed wskazaniem ostatniego z punktów McKee zawahał się. Jeśli bo-

wiem chciał mieć pewność, że zmyli nadciągające torpedy albo zniszczy je kulą plazmy czy falą uderzeniową, musiał przeprowadzić jedną z detonacji w obrębie jednej mili od okrętu. A to groziło zniszczeniem „Hammerheada”. Duża głębokość, na jakiej się znajdował, pogarszała sytuację. Wysokie ciśnienie otaczającej wody powodowało naprężenie kadłuba, co przy nadejściu gwałtownej fali uderzeniowej, musiało się skończyć jego pęknięciem. Po namyśle Kelly wskazał jednak punkt odległy o tysiąc pięćset pięćdziesiąt metrów od okrętu, a więc „Hammerhead” miał znaleźć się wewnątrz obszaru rażenia Vorteksa.

— Wprowadzić dane i strzelać, kiedy gotów! — rozkazał kontradmirał.

— Ale panie kapitanie, ostatni punkt leży w odległości...

— Strzelać we wskazanym kierunku! — przerwał McKee.

Cztery wyrzutnie pionowe odezwały się kolejno i cztery Vorteksy Mod Delta opuściły okręt. Kelly liczył je i przy czwartej zagryzł wargi. Przy prędkości trzystu węzłów i niecałej mili do miejsca wybuchu upłynie niewiele czasu od momentu odpalenia silnika raketowego czwartego Vorteksa do jego eksplozji. Ostatnia torpeda-rakieta narobi nam szkody! — pomyślał kontradmirał.

— Vortex osiem odpalił silnik raketowy — zameldował Van Dyne.

— Sir, tkwimy w strefie śmierci, nieruchomi i na głębinie! — ostrzegł Judison. McKee popatrzył na niego. Pod pachami oficera widniały ciemne plamy potu. Kelly wyciągnął z kieszeni cygaro teatralnie powolnym ruchem, mając nadzieję, że nie dygocą mu ręce.

— Wiem — odparł.

— Sir, musimy uciekać! Kontradmirał odwinął cygaro.

— Dziewiątka odpaliła silnik raketowy.

Pilot — powiedział McKee, ściskając cygaro w zębach — opróżnić awaryjnie przedni zbiornik.

— Jest, opróżniam przedni!!! — wrzasnął pilot.

Rozległ się ogłuszający łoskot wypychanej w trybie awaryjnym wody. Pokład przybrał pozycję ukośną i okręt zaczął się wynurzać z głębokości bliskiej testowej.

Kelly zapalił cygaro, patrząc jednocześnie na wskaźnik głębokości i trzymając się drugą ręką poręczy. Nachylenie wzrosło do dwudziestu stopni. W pomieszczeniu dowodzenia zaczęła skraplać się wilgoć parująca wokół zmrożonych rur systemu awaryjnego opróżniania zbiorników balastowych. Para konkurowała z dymem cygara kontradmirała.

Kyle Liam Ellison McKee patrzył na cienie swojego ojca, dziadka i pradziadka i zastanawiał się, dlaczego nie łapią za poręcz. Ale przecież to były duchy, a może raczej wytwory wyobraźni — częste zjawisko w ostatnich chwilach, tuż przed spodziewaną śmiercią. Odwrócił głowę, wypuszczając nowy kłęb dymu z cygara.

— Dziesiątka odpaliła silnik raketowy, sir!

— Głębokość sto osiemdziesiąt metrów, panie kapitanie! — zabrzmiał inny.

— Pilot, opróżnić awaryjnie tylny zbiornik — rzucił beznamiętnie Kelly.

— Opróżniam tylny!

Hałas zwiększył się jeszcze. Szum powietrza w przewodach i wypychanej przez nie wody łączył się z łoskotem silników raketowych oddalających się Vorteksów.

— Jedenastka odpaliła silnik raketowy!

— Głębokość sto dwadzieścia, kąt trzydzieści w górę!

— Zalewać przedni zbiornik — rozkazał McKee, otoczony kłębem dymu. — Awaryjna cała naprzód.

— Zalewam przedni, sir, awaryjna cała naprzód!

Pokład zadygotał, gdy maszyny zaczęły gwałtownie przyspieszać.

— Zalewać tylny — rzucił Kelly.

— Zalewam tylny zbiornik, sir!

Kontradmirał pociągnął cygaro i tym razem wypuścił dym nosem.

— Pilot, zachować głębokość czterdzieści pięć metrów, kurs na wschód — rozkazał.

Teraz dopiero nastąpiły eksplozje Vorteksów, które musiały się rozpędzić, zanim osiągnęły pełne prędkości. Fala uderzeniowa pierwszego z plazmowych wybuchów dotarła do „Hammerheada”, działając jak młot, przy czym otaczająca woda była kowadłem. Okręt przyjął to uderzenie nie tak dobrze, jak życzyłaby sobie jego załoga.

Policzek kapitana Pawła Graczowa spoczywał na winylowej płytce pokładu koło stanowiska sterowania okrętem. Jego głowa przygnieciona była pokrywą „dźwigni panikarza”. Lewą rękę, złamaną w nadgarstku, wyciągniętą miał do przodu. Kapitan leżałby tak zapewne przez dłuższy czas, gdyby nie woda, która pojawiła się na płytce, otoczyła palce jego dłoni i policzek, a potem sięgnęła nozdrzy. Zakaszła odruchowo, wciągnawszy ją wraz z powietrzem, i odzyskał przytomność. Uniósł głowę, mając wrażenie, że pomieszczenie wiruje wokół niego w absolutnej ciemności. Krzyknął z bólu wywołanego poruszeniem złamanego nadgarstka. Poczł, że palce i kolana ma zanurzone w wodzie, która wlewa się też powoli do jego butów.

Podniósł się, pomagając sobie zdrową ręką, i wymacał przegrodę, gdzie znajdowały się dźwignie uwalniające przedział dowodzenia. Dalej na prawo była tablica rozdzielcza. Awaryjne oświetlenie powinno zapalić się automatycznie, ale widocznie eksplozje spowodowały wyskoczenie bezpiecznika. Paweł odnalazł tablicę i bezpiecznik i włączył go. LAMPY zamruwały i zapaliły się, ukazując jedną z najokropniejszych scen, jakie dotąd widział.

Wyposażenie przedziału nie wytrzymało wstrząsów — porozbijały się ekrany, porzywały ścianki i rury. Powoli wzrastał poziom wody, choć nie dało się od razu ustalić źródła przecieku. Zresztą nie było to istotne — ci, którzy przeżyli, musieli wydostać się z kapsuły.

Następne kilka minut zatarło się w jego pamięci. Nie przypominał sobie, w jaki sposób znalazł składaną drabinkę do wjazdu awaryjnego, prowadzącego do zamkniętych w kiosku masztów w celu ich naprawy czy kontroli. Rozłożył ją, wszedł na pierwszy szczebel i spróbował pokręcić kołem otwierającym właz. Na moment ogarnęła go panika, gdyż wyobraził sobie, że potężne skoki ciśnienia wbiły właz w uszczelkę na amen. Został on jednak zaprojektowany z uwzględnieniem takich właśnie sytuacji. Koło dało się więc obrócić, sztaby blokujące klapę odsunęły się, a sam właz otworzył się ku górze. Była tam śluza ratunkowa — pusta, cylindryczna przestrzeń, kończąca się drugim włazem. Ten również otworzył się łatwo i do wnętrza przedziału wpadło jaskrawe świa-

tło słońca. Świeże, morskie powietrze zapachniało egzotycznie jakimś innym światem. I w pewnym sensie był to inny świat. Przez chwilę Graczow pozwolił sobie na rozkoszowanie się tym doznaniem, po czym zacisnął zęby i zszedł z powrotem do metalowego piekła.

Teraz panujący w kapsule półmrok i duszny zapach wydały mu się jeszcze gorsze do zniesienia. Podszedł do Swiatosłowa, który charczał i jęczał, leżąc twarzą do góry. Oczy zacisnięte miał z bólu. Jest pan ranny? — spytał Graczow.

— Noga! Złamana! — jęknął Michajło.

— Chodź. — Paweł wyciągnął potężnego oficera z wody, której poziom wzrósł do pięciu centymetrów. Skierował go do drabinki i pchając z całych sił, pomógł mu dojść do górnego włazu.

— Zdoła pan podciągnąć się i wydostać na zewnątrz? — spytał.

— Tak, panie kapitanie!

Teraz Graczow odnalazł Nowskoja. Leżał twarzą w wodzie. Kapitan odwrócił go nogą, a wtedy konsultant zakaszłał, mamrocząc coś nieprzytomnie. Paweł zostawił go na koniec. Zaczął wyciągać oficerów z kabin kierowania ogniem. Pomagał im dostać się na drabinkę, a Swiatosłow wciągał ich na górę. Tenuka nie żył, choć wciąż spoczywał na swojej kanapie. Jego ciało zaczęło już sztywnieć, skóra była zimna i szara. Graczow delikatnie, z szacunkiem odpiął jego pasy, zaciągnął ciało pod właz i do góry. Nie zamierzał go tak zostawić. Na końcu przetransportował Nowskoja.

Zszedł po raz ostatni do wnętrza kapsuły, która tak niedawno jeszcze była przedziałem dowodzenia jego okrętu, i rozejrzał się. Woda sięgała mu teraz poniżej kolan. Odnalazł pakunek wielkości dużej sportowej torby i przełożył ów ciężki przedmiot przez otwór włazu; akurat się mieścił. Woda wlewała się wciąż, nie wiadomo skąd. Na dole nie było już nic do roboty. Graczow rozejrzał się po raz ostatni.

— Żegnaj, „Wiepr” — powiedział.

Wszedł na górę i wydostał się na światło słońca. Wziął głęboki oddech. Zewnętrzna powierzchnia kapsuły nie była gładka, lecz pełna powykręcanych kawałków stali — resztek konstrukcji, która podtrzymywała kiosk. Obok kapitana Swiatosłow otwierał pakunek z zestawem ratunkowym. Było tam kilka nadmuchiwanych tratw, zapas żywności, flary i kilka nadajników radiowych. Pierwszy oficer uruchomił jeden z nadajników, który zaczął wysyłać sygnał „SOS”.

— Jeśli któryś z okrętów nawodnych ocalał, panie kapitanie, mogą nas wyłowić.

Jedyne, co możemy teraz robić, to zachować nadzieję — pomyślał Paweł.

— Co się pan tak spieszy, panie Pierwszy? — powiedział. — Proszę to traktować jak wakacje.

Ostatnie słowa Graczowa dotarły do Nowskoja, który odzyskał właśnie przytomność.



— Kim pan jest? — spytał kapitana. — I gdzie ja jestem, na litość boską?! Paweł zerknął na Michajłę i uśmiechnął się.

★ ★ ★

— Jaka jest sytuacja? — spytał Judisona McKee.

— Reaktor wyłączył się awaryjnie. Przeciek wody morskiej z lewego obiegu chłodzenia zlikwidowany zaworem awaryjnym. Awaria bezpieczników prawoburtowej pompy obiegu reaktora. Na monitorach widać wyciek paliwa w przedziale torpedowym. Cyclops uszczelnił go i wypełnił gazowym azotem, spryskując okresowo pomieszczenie azotem ciekłym...

Pokład zadrżał, co było sygnałem wystrzelenia torpedy.

— ...i pozbywa się uzbrojenia tak szybko, jak pozwoli cykl ogniowy — dokończył pierwszy oficer.

— To znaczy, że nie będziemy mieli torped, a Vorteksów też już nie ma — zauważył Kelly.

— Rzeczywiście. — Pokład zadrżał ponownie. Kolejna torpeda opuściła wyrzutnię.

— Ile jeszcze torped zostało?

— Trzy. Potem trzeba będzie awaryjnie zalać przedział torpedowy. Ale najpierw musimy odzyskać napęd.

— Proszę uruchomić reaktor na lewym obiegu i prawoburtową wytwornicę pary. Odplyniemy stąd, choć powoli — oznajmił McKee. — Czy są jeszcze jakieś przecieki?

— Wystarczy ten z lewego obiegu chłodzenia, panie kapitanie — zapewnił Kiethan. — W przedziale rufowym stoi ponad metr wody. Wypompowanie jej zużyje chyba cały prąd z akumulatorów, a obecny awaryjny napęd elektryczny pochłonie tyle amperogodzin, ile uruchomienie reaktora.

— W takim razie niech pan idzie na rufę i pomoże uruchomić z powrotem reaktor. I żadnych tłumaczeń — mamy odzyskać napęd! Jeśli trzeba będzie wyłączyć pompę osuszającą przedział, to proszę to zrobić, ale reaktor ma pracować. Niech pan zabierze ze sobą Dietza. Ruszajcie!

Dwaj doświadczeni oficerowie pognali na rufę. Cygaro kontradmirała zgasło. Posmakował jeszcze chwilę mokrej, przeżutej końcówki i wreszcie rzucił ją do śmieci, postanawiając, że było to jego ostatnie cygaro w życiu. Dlatego zresztą właśnie je zapalił. Przypuszczał, że za kilka minut zginie.

Jednak wystrzelenie Vorteksów w stronę nadpływających torped okazało się skuteczne. Wszystkie uległy zniszczeniu. Najwięcej szkód na „Hammerheadzie” wyrządziła eksplozja jego własnej torpedy-rakiety. Ale przeciek, wprawdzie poważny, lecz powstrzymany, oraz awaria jednego z obiegów reaktora to naprawdę niewiele w porównaniu

z tym, co mogło się wydarzyć. Przy wycieku paliwa zmieszanego z utleniaczem mniej nowoczesny okręt płonąłby już i tonął. Cyclops potrafił uszczelnić przedział i szybko wystrzelić pozostałe w nim pociski.

— Panie kapitanie, tu pierwszy oficer — odezwał się głos Judisona.

— Kapitan, słucham — odparł Kelly.

— Będziemy potrzebować czasu. Zalecam wynurzenie się na głębokość peryskopową, otwarcie chrap i użycie diesla.

— Bardzo dobrze. Proszę podać mi pełen raport po uruchomieniu diesla.

— Tak jest.

— Pilot, głębokość dwadzieścia dwa metry, przygotuj się do otwarcia chrap i uruchomienia diesla.

Okręt wzniósł się.

— Uruchomić silnik diesla! — poleciał McKee.

Natychmiast ryknął silnik wysokoprężny. Powietrze pobierał z chrap na maszcie wystającym trzy metry ponad kiosk. Sprężone gazy spalinowe wylatywały ze zbiornika z tyłu kiosku. Po rozgrzaniu się silnik będzie napędzał generatory prądu, umożliwiając ponowne uruchomienie reaktora. Pilot, ster prawo na burt, ustabilizuj kurs na zachód.

— Jest, kapitanie, ster lewo na burt.

Można było podpłynąć do ostatniej pozycji Siewierodwińska i zobaczyć, co z niego zostało. Konradmirał popatrzył na dane dochodzące z Predatora, któremu zaraz powinno skończyć się paliwo. Dane przechodziły teraz przez fotoelektroniczny maszt peryskopowy, gdyż boja przekaźnikowa została uszkodzona podczas bitwy. Na jednym z ekranów widać było pozostałą część ukraińskiej flotylli daleko na południu. Okręty zmieniały szyk; typowo wojennych niemal już nie było. Tylko jedna z torped zesłała z kursu, omyłkowo zatapiając okręt z wojskiem. Pozostał za to niszczyciel, pozostałe okręty z wojskiem i statki handlowe. W tej chwili flotyllą dowodził kapitan niszczyciela. Ukraińcy skręcali na północny zachód. Było to dziwne, ponieważ Ukraina leżała na północnym wschodzie.

McKee patrzył w górę, na ekrany, żałując, że nie ma klasycznego peryskopu. Zobaczył przepływającą ponad „Hammerheadem” wodę, z tyłu — maszt z chrapami, w oddali — coś dziwnego.

— Cyclops, co tam widać, w kierunku zachodnim?

— Powiększam, panie kapitanie.

Obraz na jednym z ekranów urósł. Na wodzie podskakiwało coś jakby kuter o bardzo płaskim kadłubie.

— Poprowadź Predatora ponad ten obiekt.

— Panie kapitanie, minimalna ilość paliwa w Predatorze.

— Poprowadź go tak blisko, na ile starczy paliwa. Potem niech szybuje w stronę obiektu.

— Tak jest, panie kapitanie — odparł komputer. — Silnik Predatora wyłączył się. Panie kapitanie, jeśli Predator będzie nadal nadawał, straci możliwość samozniszczenia.

— Zapomnij o samozniszczeniu. Niech Predator szybuje w stronę obiektu i przekazuje obraz, dopóki będzie odpowiadał na sygnały.

— Tak jest, panie kapitanie.

McKee widział, jak tajemniczy obiekt rośnie. Był okrągły.

— Mostek, tu manewry, generatory elektryczne pracują pełną mocą, zasilane z silnika diesla. Proszę o pozwolenie na uruchomienie reaktora.

— Uruchamiać reaktor.

Okrągły pływający przedmiot rósł. Dostrzegł, że stoją na nim ludzie.

Musiała to być specjalna kapsuła ratunkowa. A zatem niektórzy członkowie załogi Siewierodwińska przeżyli storpedowanie! A on nie miał broni. Po chwili przypomniał sobie, że w szafce, w jego kapitańskiej kabinie, znajdowała się broń ręczna... Ale jakby to wyglądało, gdyby zaczął strzelać z pistoletów maszynowych do rozbitków?

Choć, z drugiej strony, czy może pozwolić im żyć, po tym, co stało się z „Princess Dragon” i „Devilfishem”? I z Karen Petri?

— Mostek, tu manewry, reaktor osiągnął moc krytyczną.

— Manewry, kapitan, rozumiem. McKee wpatrywał się w ocalałych.

— Panie kapitanie, sygnał z Predatora urwał się — oznajmił komputer, gdy ekran zgasł.

— Czy mamy kontakt z Bloodhoundem albo Sharkeye’em? — spytał Kelly.

— Nie, sir, kontakt urwał się podczas bitwy.

— Sir, czy zachowywać kurs? — upewnił się pilot.

— Niech pan płynie — odparł beznamiętnie McKee, patrząc na pozostałe ekrany. Pokazywały widok z masztu peryskopowego. Widać było już wyraźnie poszczególnych mężczyzn i ich wielką kapsułę ratunkową.

— Odległość do kapsuły, Cyclops?

— Nieco ponad dwie mile. Dalej, myślał kontradmirał.

— Radio, tu kapitan.

— Tak, radio.

— Dowódca radia — na mostek.

Morgan Henry przybył po dokładnie czterech sekundach.

— Chce pan wysłać raport sytuacyjny, sir?

— Raport sytuacyjny? — zdumiał się McKee.

— Meldunek o zatopieniu okrętów nawodnych i podwodnego, sir.

Ach, raport sytuacyjny, uzmysłowił sobie kontradmirał. Prawdopodobnie pójdzie do więzienia za salwę do okrętów nawodnych. Zostanie uznana za niezgodną z otrzymanymi rozkazami.

— Nie — powiedział. — Wezwałem tu pana z innego powodu. Niech się pan połączy z siecią telefonii komórkowej ze Wschodniego Wybrzeża, zadzwoni do szpitala marynarki w Portsmouth i spyta o stan Kaien Petri.

— Tak jest!

— Proszę się pospieszyć!

Dwadzieścia minut później reaktor osiągnął pełną moc. Silnik spalinowy pracował jeszcze, chociaż właśnie odłączono od niego obciążenie. „Hammerhead” tkwił na głębokości peryskopowej dziesięć metrów od kapsuły Siewierodwińska.

— Radio, tu kapitan; dodzwonił się pan do Portsmouth?

— Ciągłe jest zajęte, sir.

— Proszę mnie zawiadomić, kiedy tylko pan się czegoś dowie. Pilot, przygotować się do pionowego wynurzenia okrętu.

Pojawił się Judison; gapił się na ekrany.

— XO — odezwał się cicho Kelly — to jest klucz do szafki z bronią ręczną. Niech pan idzie do mojej kabiny i przyniesie pięć MAC-12..

Kiethan patrzył przez chwilę z nienawiścią na widocznych na ekranach ludzi, po czym odpowiedział:

— Z przyjemnością, sir.

★ ★ ★

— Co to jest, do cholery?! — odezwał się Swiatosłow, pokazując na dziwny słup z kulą na końcu, wystający z oceanu.

— Najwyraźniej nie zniszczyliśmy nieprzyjaciela! — odparł Graczow i aż splunął za burtę. — Oto i on.

— Może będzie próbował wziąć nas do niewoli? — zauważył Michajło.

— Niech mi pan da tę dziewiątkę. — Paweł wziął od Swiatosłowa pistolet kalibru 9 mm. Załadował pełen magazynek.

Wycelował w kulę sensorów optoelektrycznych i zaczął do niej strzelać. Opróżnił magazynek całkowicie.

— Trafiłem?

— Tak, panie kapitanie — odpowiedział Swiatosłow. Siadał ostrożnie, podtrzymując złamaną nogę. — Chyba pan trafił.



- Gotów do wynurzenia pionowego — odpowiedział pilot.
- Czekaj — rzucił McKee; w tym momencie środkowy ekran zgasł. — Ej, Cyclops, co jest z tym ekranem peryskopowym?
- Maszt optoelektryczny uszkodzony, panie kapitanie — wyjaśnił komputer.
- Przerwany obwód.
- Cholera! Zdawałoby się, że wykonują te systemy na tyle porządnie, żeby nie rozlatywały się podczas bitwy! Dołączę to do mojego raportu! — Uśmiechnął się do siebie, zastanawiając się, czy raport sporządzi w więziennej celi.
- Nadszedł Judison z pistoletami maszynowymi. McKee wziął swój.
- Panie kapitanie — odezwał się ktoś zza jego pleców. To był Morgan Henry. — Szpital chce mówić z panem, sir.
- McKee podniósł słuchawkę podłączoną do wieloczęstotliwościowej anteny, a za jej pośrednictwem do sieci telefonii komórkowej.
- XO, szykuj się przy władze — rzucił. — Na moją komendę wynurzymy się pionowo. Otworzy pan mostek, a potem zacznie strzelać do tych sukinsynów.
- Tak jest!
- Halo! — warknął Kelly do słuchawki. — Mówi kontradmirał Kelly McKee. Proszę może połączyć z salą Karen Petri!
- Jest pan połączony — usłyszał w odpowiedzi. To nie był głos Petri ani lekarza czy pielęgniarki. To był stalowy głos wiceadmirała Pattona.
- Sir! Co z Petri?
- Wszystko w porządku, w tej chwili...
- Chciałbym z nią porozmawiać!
- Po krótkiej przerwie McKee usłyszał głos Karen. Słodki głos Karen Petri.
- Halo? — spytała niepewnie.
- To ja — oznajmił. — Co z panią?
- Wszystko w porządku. Być może jeszcze dzisiaj mnie wypuszczą.
- Tak się cieszę! — Kelly odetchnął z ulgą.
- McKee! — warknął znowu Patton.
- Słucham?! — odpowiedział McKee wojowniczym tonem.
- Dlaczego dzwoni pan do sali Petri, zamiast połączyć się przez Nestora?!
- Byłem tu bardzo zajęty — odparł Kelly.
- Niech pan uważa, jest pan na zwykłej linii komórkowej! Ale proszę mi teraz powiedzieć. Czy skończył pan?
- McKee westchnął.
- Skończyliśmy. Z całą pewnością skończyliśmy.

— A wasi przyjaciele?

— Mogę zapewnić, że oni także skończyli.

— Cóż, niech pan zatem wraca jak najszybciej do domu.

— Niedługo się zobaczymy — zakończył kontradmirał. Rozłączył się.

— Co robimy, panie kapitanie? — spytał Judison. — Wynurzamy się? Kelly popatrzył na pierwszego oficera, który był gotów wyleźć na kiosk i strzelać z pistoletu maszynowego do rozbitków. Co za pomysł?!

— Nie — odpowiedział. — Damy im szansę na ocalenie przez okręty ich floty. Nie mam już dla nich czasu. Zabezpieczyć chrapy, zanurzyć okręt w głębinę i skierować się do Norfolku. Wracamy do bazy.



Dziesięć minut później Kelly nachylał się nad stołem z mapami. Podszedł do niego Judison.

— Sir? — zagadnął.

— Słucham.

— Chciałbym pana o coś spytać w związku z tymi Dobermanami, które okazały się nieskuteczne...

— Niech się pan nimi nie przejmuje. I tak udało nam się ująć cało.

— Nie o to mi chodzi, panie kapitanie. Chciałem spytać o te rozgrywki futbolowe. Zdobycie mistrzostwa stanu po tym, jak pana drużynie marnie szło.

— Aha, Co chciałby pan wiedzieć?

— Sir, przecież pan nigdy w życiu nie grał w futbol amerykański! — Na twarzy Judisona pojawił się uśmiech.

— Cóż, przyłapał mnie pan, XO — odparł McKee i też się uśmiechnął. — A skąd pan wie?

— Jestem pierwszym oficerem tego okrętu, sir. Mam dostęp do kartotek całej załogi, nawet do pana danych — wyjaśnił Kiethan. — Sprawdzanie takich rzeczy należy do moich obowiązków, sir.

— To dlaczego nie powiedział mi pan od razu?

— Założyłem, że zwodził mnie pan nie bez powodu, panie kapitanie.

— Oczywiście. Chciałem, żeby był pan pewny siebie.

— A więc ma pan swoją odpowiedź.

Kelly roześmiał się.

— Wie pan co, któregoś dnia może stać się z pana całkiem przyzwoity dowódca okrętu! — oznajmił.

— Z pana także, panie kapitanie, z pana także... — odparł Judison z uśmiechem.

McKee pokręcił głową i powrócił do mapy. Rozejrzył się jeszcze wkoło i pomyślał, że dobrze mu tutaj. Rana w sercu spowodowana śmiercią Diany zaczęła się goić. Pierwszą rzeczą, jaką zrobi po powrocie do portu, będzie napicie się piwa Anchor Steam.

— Dzięki, Bruce — szepnął.

## Epilog

Prezydent Jaisal Warner nachyliła się i delikatnie położyła wieniec u podstawy marmurowego pomnika, na którego wierzchołku wyrzeźbiony był piękny transatlantyk. Na płycie wyryto nazwiska tych, którzy zginęli na pokładzie „Princess Dragon”. Stożące szeregi nagrobki Narodowego Cmentarza Arlington rzucały cienie w świetle słońca. Obok pani prezydent siedział na wózku inwalidzkim admirał Michael Pacino, ubrany w galowy mundur, z odznaczeniami sięgającymi mu od ramienia aż do pasa. Patrzył i z kącika jego oka spłynęła łza. Szybko wytarł ją chusteczką. Wokół nich tłoczyły się tysiące oficerów, podoficerów i marynarzy, a także dziennikarskie kamery i mikrofony. Ceremonia trwała godzinę. Pacino uparł się, żeby zostać dłużej. W końcu towarzyszyło mu już tylko paru fotografów.

— Zabierz mnie z powrotem do szpitala — powiedział, odwróciwszy się do Colleen.

Wciągnięto admirała do śmigłowca Sea King i powieziono znowu do szpitala marynarki Bethesda.



Kelly McKee stał na latającym mostku, na szczycie kiosku. „Hammerhead” skręcił w kanał żeglugowy rzeki Elizabeth. Minął molo dla lotniskowców, potem dla krążowników i dla niszczycieli. W końcu dotarł do przystani okrętów podwodnych. Kontradmirał odrzucił ofertę czekających holowników i samodzielnie wprowadził swój okręt na miejsce. Widział stojących na molo oficerów ze sztabu Zjednoczonego Dowództwa Sił Podwodnych. Stali na „spocznij”, ubrani w wykrochmalone, białe, galowe mundury, z przytroczonymi szablami, przypiętymi medalami, w białych rękawiczkach.

Tworzyli trójkąt, na którego wierzchołku znajdował się Patton. Dokładnie naprzeciw żurawia do opuszczania trapu.

— Miss Ameryki wraca do domu! — odezwał się zastępca Pattona Byron De Meers.



USS „Hammerhead”, pierwszy okręt klasy NSSN, dobijał powoli do molo. Członkowie jego załogi roili się po pokładzie, szykując cumy.

— Oddział baaczność!!! — zawołał wiceadmirał.

Oficerowie wyprężyli się na baczność. Dwanaście par butów stuknęło jednocześnie.

Patton i jego ludzie czekali, podczas gdy żuraw opuszczał trap ku „Hammerheadowi”, przymocowanemu już do nabrzeża za pomocą czterech grubych cum. Mocowano następne. Gdy trap został opuszczony do końca, żuraw wycofał się i na ląd zeszła powoli samotna postać w morskim kombinezonie. Kontradmirał Kelly McKee. Mrużył oczy od blasku słońca, podmuchy wiatru targały jego ubranie.

— Oddział, saalut!!! — rozkazał Patton, gdy McKee się zbliżył. Oficerowie unieśli jednocześnie do czapek odziane w białe rękawiczki dłonie. Kelly podszedł do swojego dowódcy na odległość trzydziestu centymetrów i odsalutował.

— Kapitan USS „Hammerhead” McKee melduje się na rozkaz, sir.

— Spocznij! — polecił Patton i oficerowie opuścili ręce.

Dowódca Sił Podwodnych uśmiechnął się. Ściągnął prawą rękawiczkę, chwycił rękę McKee i zaczął potrząsać nią z entuzjazmem.

— Gratuluję panu, Kelly! — powiedział. — Dobrze się pan spisał. Pomściliście straty naszej marynarki. Przyszliśmy tu, żeby wam podziękować. O trzynastej odbędzie się ceremonia odznaczenia pana i reszty załogi. Tutaj. Prezydent jest w drodze.

— Prezydent?

— I Karen Petri — dodał Patton. McKee uśmiechnął się.

— W takim razie przyjdę, panie admirale.



Michael Pacino oglądał ceremonię w telewizji, leżąc na szpitalnym łóżku. Obok niego znajdowali się Colleen, młody Anthony, wsparty na łasce Sean Murphy.

Prezydent Warner, która przybyła do Norfolku prosto z ceremonii w Arlington, stała teraz na molo koło „Hammerheada” i zakładała na szyję Kelly’ego McKee zawieszony na wstędze Krzyż Marynarki.

— Dobra robota, Kelly! — odezwał się Pacino słabym głosem. — Wiedziałem, że dasz radę.

— Cóż, McKee zrobił swoje — wtrącił Murphy — i ja też zrobiłem swoje, panie admirale. Jestem zmęczony. Składam rezygnację.

— W takim razie, Sean, kto powinien zostać nowym dowódcą Operacji Morskich? — spytał Pacino.

— Widzisz tego faceta w białym mundurze? Ma pagony wiceadmirała.

— Patton?

— Zgadłeś.

— Jest trochę za młody. Myślisz, że sobie poradzi?

— Tak, Patch. Tak myślę.

Pacino roześmiał się.

— No, dobra. A kto będzie dowódcą Zjednoczonych Sił Podwodnych, skoro już nie Patton?

— Widzisz tego kontradmirała, też na biało? — Murphy znowu pokazał palcem. Stoi koło Pattona. Ma na szyi Krzyż Marynarki.

— Kontradmirał Kelly McKee? Tak, widzę...

— To jest właśnie nowy dowódca Sił Podwodnych.

— Wiesz co, Sean, kup tym chłopcom nowe pagony, bo coś powyrastali ponad swoje rangi.

— Zrobi się, sir.

— Przypuszczam, że masz także zalecenie dla Kelly'ego McKee, kto powinien przejąć pod swoje skrzydła jego „Hammerheada”?

— Mam propozycję. Tylko nie jestem pewien, czy mnie posłucha.

— Dlaczego?

— Sam zobacz. Myślisz, że postawi ją na mostku?

Na ekranie widać było Kelly'ego McKee trzymającego kobietę w oficerskim mundurze, siedzącą na wózku inwalidzkim. Komandor Karen Petri. Pacino roześmiał się.

— Myślę, że to zależy od tego, kto będzie dowodził ich związkiem. Ja kieruję swoim małżeństwem żelazną ręką.

— Panie, zamknij się pan! — z uśmiechem ofuknęła męża Colleen.



Odrzutowiec wylądował na lotnisku w Mediolanie. Podjechał do głównego hangaru, gdzie pośród zapadającego zmierzchu czekał na niego mężczyzna w wykwintnym, włoskim garniturze.

Drzwi maszyny otworzyły się i ze środka wyszedł z niewyraźną miną Nowskoj.

Rafael podszedł do niego i uścisnął mu dłoń.

— Świetnie się spisałeś — powiedział. — Gratuluję.

— Co ty mówisz? — zdziwił się Nowskoj, idąc za Rafaelem do limuzyny. — Resztki grupy bojowej zawróciły na Ukrainę z podwiniętymi ogonami. Operacja się nie udała.

— Udała się na tyle, że nam zapłacili — wyjaśnił szef Da Vinci Consulting. — Dołowiec podpisał z nami kontrakt i musiał się z niego wywiązać. Co z tego, że nie udało się jego atak na Urugwaj. To nie należało do naszej umowy.

— Naprawdę dotrzymał warunków kontraktu i zapłacił? — zainteresował się Nowskoj, wsiadając do samochodu.

— Musiał, bo inaczej światowa prasa otrzymałaby nadzwyczaj kompromitujące nagrania wideo oznajmił Rafael. — Z tego, co wiem, Dołowiec startuje w przyszłorocznych wyborach. Słyszałem także, że nie pójdzie mu tak łatwo, bo ma silnego kontrkandydata. Niejakiego Pawła Graczowa.

— Coś takiego! Nie wiedziałem.

— Mam nadzieję, że byłeś dla niego miły, Al. Za miesiąc, dwa przedstawimy jego sztabowi wyborczemu pewną ofertę. Może nawet będziemy ważnym sponsorem jego kampanii. Któregoś dnia może nas potrzebować. A tak przy okazji, jesteś teraz bardzo bogatym człowiekiem. Sprawdź sam.

Rafael podsunął Nowskojowi pod nos komputer ze stanem konta na ekranie.

— Naprawdę tyle mam? — upewnił się Aleksiej.

— No pewnie! To wszystko twoje, przyjacielu. Mógłbyś kupić za to Moskwę. Mam tylko nadzieję, że nas z tego powodu nie porzucisz. Potrzebny nam twój talent.

— A co miałbym teraz robić?

— Co powiesz na propozycję, żebyś pomógł Suhkhuli przy operacji saudyjskiej? Już ją rozpoczęła, ale możesz do niej dołączyć, zdaje się, że dobrze wam się współpracuje.

— Polecę tam jeszcze dziś wieczorem.

— Najpierw musimy uczcić nasz sukces. Wynająłem najlepszą restaurację w mieście!

— Jedźmy! — zgodził się Nowskoj.



Paweł Graczow ostrożnie otworzył drzwi swojego mieszkania. Złamaną rękę miał w gipsie, zawieszoną na temblaku. Był wieczór. Paweł nareszcie wrócił do domu po zdaniu nie kończących się raportów w dowództwie floty.

— Kochanie?! — zawołał. — Martinique!

Martinique wpadła na niego z takim rozpędem, że o mało go nie przewróciła. Obejmowała go z całych sił i obsypywała pocałunkami. Łzy leciały jej ciurkiem po twarzy.

— Paweł! Paweł!!! Żyjesz! Powiedzieli nam dzisiaj po południu! Nie mogę w to uwierzyć! Paweł!!!

Do głosu Martinique dołączył cienki głosik:

— Tata, tata, tata!!!

Graczow uśmiechnął się, po czym odsunął żonę i synka, chcąc im się przyjrzeć.

— W porządku? — Uśmiechnął się. — Tęskniliście za mną? Martinique natychmiast przywarła do niego z powrotem, podobnie jak i mały Paweł. Ścisnął nogę ojca tak mocno, że aż zdrętwiała.

★ ★ ★

— Świetnie wyglądasz — powiedział McKee. — Czy z twoją głową już w porządku? — Siedzieli z Karen Petri przy stoliku, ponad falami wpływającymi łagodnie na piasek plaży Sandbridge Beach.

— Już prawie — odpowiedziała Petri. — Mówią, że przez jakiś czas będę miewała bóle głowy.

— Muszę pogadać poważnie z Dietzem na temat tego rzucania w ciebie latarką! Karen uśmiechnęła się. Ostrożnie, gdyż w głowie ciągle czuła bolesne pulsowanie.

— Nie, Kelly. Bryan Dietz uratował mi życie. Wydamy dla niego przyjęcie.

— My? To znaczy ty i ja?

— Przeszkadza ci to?

— Nie, ani trochę — odpowiedział z uśmiechem McKee i uniósł kieliszek z winem.

— Za nas! — oznajmił.

— Za nas! — powtórzyła z radością Petri. — I za Bryana Dietza! McKee wypił wino i patrząc w ciemne oczy Karen, zdał sobie sprawę, że pierwszy raz w tym roku czuje się naprawdę szczęśliwy. — I za Bryana Dietza — zgodził się.

★ ★ ★

— Panie admirale? — odezwał się Byron DeMeers.

Znajdował się w gabinecie Pattona w Norfolk. Pakowali się przed przeprowadzką do Waszyngtonu. Patton obejmował stanowisko dowódcy Operacji Morskich.

— Słucham, Byronie?

— Przed chwilą nadszedł dziwny raport. Dwa tankowce, które dopiero co wypłynęły z Arabii Saudyjskiej, eksplodowały na pełnym morzu i zatoneły.

— Poważnie? Kiedy to się stało?

— Dzisiaj, po południu. A rano zgłoszono już zaginięcie trzeciego supertankowca.

— Zaraz przeczytam te raporty! — oznajmił Patton.

— Panie admirale! zawołał sekretarz. — Dzwoni niejaki kontradmirał McDonne z wywiadu marynarki.

— Niech pan go podłączy do mojego wideotelefonu.

Na płaskim ekranie pojawiła się pucołowata twarz McDonne'a.

— Dzień dobry, panie admirale.

— Dzień dobry, Carl. Co zatrzymało cię w pracy aż do tej pory?

— Mamy co zrobić, sir. Właśnie podano, że zaginął kolejny saudyjski supertankowiec, a nasz satelita wykrył eksplozję na morzu i zatonięcie następnego statku. Również saudyjskiego tankowca. To coś poważnego.

Patton pokiwał głową, po czym zaczął błyskawicznie wydawać rozkazy. Zdał sobie w tym momencie sprawę, że robi teraz to, do czego został stworzony. I że uwielbia to robić.

★ ★ ★

Sto siedemdziesiąt mil na północny wschód od Sandbridge Beach w stanie Wirginia, na atlantyckim szelfie, niedaleko półwyspu należącego do trzech stanów — Delaware, Maryland i Wirginii, zakotwiczyły cztery statki. Były to duże statki ratownicze. Przygotowywały operację, która miała rozpocząć się o wschodzie słońca.

Operację podniesienia z dna wraku okrętu podwodnego USS „Devilfish”.

## Od Autora

Komentarze, recenzje i listy są zawsze mile widziane. Niezależnie od tego, czy pochodzą od krytyka z „New York Timesa”, od czytelnika lądującego właśnie na lotnisku w Los Angeles, gospodyni domowej, która oderwała się na chwilę od dzieci, czy piątklasisty, piszącego wypracowanie.

Jeśli masz dostęp do Internetu, możesz kontaktować się ze mną za pośrednictwem poczty elektronicznej. Mój adres:

readermail@ussdevilfish.com. Możesz także odwiedzić stronę internetową [ussdevilfish.com](http://ussdevilfish.com).

Jeżeli nie posługujesz się Internetem, napisz do amerykańskiego wydawcy tej powieści. Oto adres:

NEW AMERICAN LIBRARY  
PENGUIN PUTNAM INC.  
375 HUDSON STREET  
NEW YORK  
NEW YORK 10014  
USA

Odpowiadam na każdy otrzymany list Nie zawsze w dniu, kiedy go dostaję, ale kiedyś na pewno. Zatem czekam na słowo od Ciebie.

*Chciałbym podziękować czytelnikom, którzy śledzą historię Michaela Pacino od czasów, kiedy dowodził okrętem podwodnym „Devilfish” klasy „Piranha”. Tym, którzy jej nie znają, a którym spodoba się obecna powieść, polecam moje poprzednie książki. W krajach anglosaskich ukazały się pod tytułami: Voyage of the „Devilfish”, Attack of the „Seawolf, Phoenix. Sub Zero, Barracuda Final Bearing oraz Piranha. Wszystkie są dostępne na stronach internetowych: [ussdevilfish.com](http://ussdevilfish.com), [Amazon.com](http://Amazon.com), oraz [BarnesandNoble.com](http://BarnesandNoble.com). Oryginalny tytuł książki, którą trzymasz w rękach, to Threat Vector.*

Witam na pokładzie. Przygotować się do zanurzenia...

Michael DiMercurio  
Princeton, New Jersey  
[www.ussdevilfish.com](http://www.ussdevilfish.com)

## Podziękowania

Najserdeczniej dziękuję mojej żonie, Patti — miłości mojego życia, która nadaje mi sens i inspiruje mnie.

Dziękuję moim dzieciom — synowi Matthew i córce Marii, którzy wypełniają moje życie miłością, nadzieją i radością.

Dziękuję mojej matce, Patricii, która nie chciała, żebym kiedykolwiek wszedł na pokład atomowego okrętu podwodnego, a jednak zachowała spokój.

Dziękuję mojemu ojcu, Dee, który przypomniał mi kiedyś, że uzyskał szlify oficera marynarki jako dwudziestolatek, podczas gdy ja byłem w tym wieku zaledwie podchorążym. Nigdy nie pozwolił, żeby uderzyła mi do głowy woda sodowa.

Dziękuję Joemu Pittmanowi — najlepszemu wydawcy na rynku.

Dziękuję Nancy Perpall — wspaniałej przyjaciółce i utalentowanej pisarce.

Dziękuję Billowi Parkerowi — błyskotliwemu projektantowi komputerowemu z firmy Parker Information Resources ([www.parkerinfo.com](http://www.parkerinfo.com)), który stworzył fantastyczną wprost stronę internetową [www.ussdevilfish.com](http://www.ussdevilfish.com). Zapraszam do jej odwiedzenia.

Dziękuję mojemu przyjacielowi i mądrymu krytykowi, Craigowi Relyea, który podtrzymywał mnie na duchu w chwilach zwątpienia.

Dziękuję załodze i oficerom USS „Hammerhead”, SSN-663, i nieśmiertelnemu duchowi tego czcigodnego okrętu, którzy zrobili ze mnie podwodniaka. To dzięki nim mogłem nosić na mundurze symbol delfinów.

Dziękuję wreszcie świętej pamięci Donowi Fine'owi, który w zaświatach czyta tę powieść, marszczy brwi i zakreśla niektóre fragmenty czerwonym długopisem.

## SPIS TREŚCI

<b>Część pierwsza</b>	<b>7</b>
<b>Cele</b>	
1	8
2	19
3	29
4	38
5	56
6	62
<b>Część druga</b>	<b>68</b>
<b>Rafael</b>	
7	69
8	79
9	87
10	96
11	108
12	111
13	117
<b>Część trzecia</b>	<b>121</b>
<b>„Wiepr”</b>	
14	122
15	134
16	147
<b>Część czwarta</b>	<b>154</b>
<b>Spocznij</b>	



17	155
18	165
19	170
20	177
21	184
22	195
23	203
<b>Część piąta</b>	<b>209</b>
<b>Przylądki Wirginii</b>	
24	210
25	214
26	222
27	232
28	239
29	247
30	259
<b>Część szósta</b>	<b>270</b>
<b>„Hammerhead”</b>	
31	271
32	280
33	283
34	295
35	303
36	314
37	321
38	327
Epilog	336
Od Autora	342
Podziękowania	343